

Wielki Kalendarz Uniwersalny



czyli

POWSZECHNY

dla wszystkich stanów polskiego narodu

na rok **1924** Tom I





Wolność.

WIELKI

Kalendarz Uniwersalny

CZYLI

POWSZECHNY

DLA

Wszystkich Stanów Polskiego Narodu

NA ROK

1924

TOM I

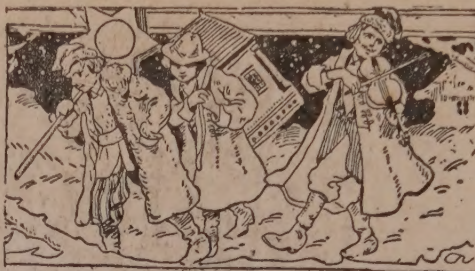
Nakładem i Drukiem Polskiego Wydawnictwa
Kalendarzy Europejskich
Cena \$1.00

STYCZEN

1924

PIERWSZY
MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-10 mroźnie;
11-16 łagodnie;
17-24 odwilż; 25-
27 śnieg, poczem
deszcz do końca
miesiąca.

Dzień	święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Stoń.	Stoń.	Księż.	Księż.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.	

1

NOWY ROK.
Ewangelia: "O Ochrzestaniu Pana Jezusa."

1 W	NOWY ROK	7:39	4:28	1:42	1:00	19 Hruđen 1923
2 S	Makarego	7:39	4:29	2:54	1:37	20 Ihnatyja
3 C	Genowefy	7:39	4:30	4:07	2:21	21 Juljanny
4 P	☩ Tytusa bisk.	7:39	4:31	5:19	3:11	22 Anastazji
5 S	Telesfora	7:38	4:32	6:26	4:07	23 10 Muczen.

2

Niedziela Trzech Króli.
Ewangelia: "O Mędrcach ze Wschodu."

6 N	Trzech Króli ☉	7:38	4:33	7:26	5:10	24 Nawecz. Rožd.
7 P	Łucjana M.	7:38	4:34	8:54	6:17	25 ROŽD. CH.
8 W	Seweryna M.	7:38	4:35	9:02	7:25	26 SOBOR P. B.
9 S	Juljana M.	7:38	4:36	9:39	8:31	27 STEFANA
10 C	Marejana	7:38	4:37	10:11	9:36	28 Domny
11 P	☩ Hygina M.	7:37	4:38	10:41	10:37	29 14,000 Mład.
12 S	Arkadiusza	7:37	4:39	11:08	11:40	30 Anzyzi

3

1-sza Niedziela po Trzech Królach.
Ewangelia: "Pan Jezus Między Doktorami."

13 N	Hilarjusza P. ☉	7:37	4:41	11:35	A.M.	31 Mełanyi
14 P	Eufrozyny	7:36	4:42	P.M.	12:39	1 Sicz. 1924. Obr.
15 W	Pawła I. Pust.	7:36	4:43	12:32	1:48	2 Sylwestra
16 S	Marcelego Pap.	7:35	4:44	1:02	2:35	3 Małachija
17 C	Antoniego P.	7:35	4:46	1:38	3:33	4 Sobor 70 Apost.
18 P	☩ Kated. św. Pi	7:34	4:47	2:27	4:29	5 Nawecz. Boh.
19 S	Henryka B. M.	7:33	4:48	3:04	5:25	6 BOH. HOSP.

4

2-ga Niedziela po Trzech Królach.
Ewangelia: "Gody w Kanie Galilejskiej."

20 N	Fabjana i Seb.	7:33	4:50	3:56	6:14	7 Joana Kr.
21 P	Agnieszki ☉	7:32	4:51	4:52	7:00	8 Heorhija
22 W	Wincentego M.	7:31	4:52	5:55	7:42	9 Polyeukta
23 S	Jana Jałmuż.	7:30	4:54	6:58	8:20	10 Hryhoryja
24 C	Tymoteusza B.	7:30	4:55	8:05	9:05	11 Teodozja
25 P	Naw. św. Paw	7:29	4:56	9:13	9:28	12 Tatiany
26 S	Polikarpa	7:28	4:58	10:25	9:59	13 Ermyła

5

3-cia Niedziela po Trzech Królach.
Ewangelia: "O Uzdrawieniu Trędowatego Sługi Setnika."

27 N	Jana Złotoust.	7:27	4:59	11:38	10:30	14 Otczew w S.
28 P	Ildefonsa	7:26	5:01	A.M.	11:02	15 Pawła Tiw.
29 W	Franc. Salez. ☉	7:25	5:02	12:43	11:38	16 Petra wer.
30 S	Martyny P.	7:24	5:03	1:53	P.M.	17 Antonija
31 C	Piotra W.	7:24	5:05	3:03	1:02	18 Afanasja

Zmiany Księ- życa.

☉ Nów 6-go, o go-
dzinie 7:47 rano.

☾ Pierwsza Kwa-
dra 13-go, o godzinie
5:44 wieczorem.

☀ Pełnia 21-go, o
godzinie 7:56 wie-
czorem.

☾ Ostatnia Kwa-
dra 29-go, o godzinie
12:52 rano.

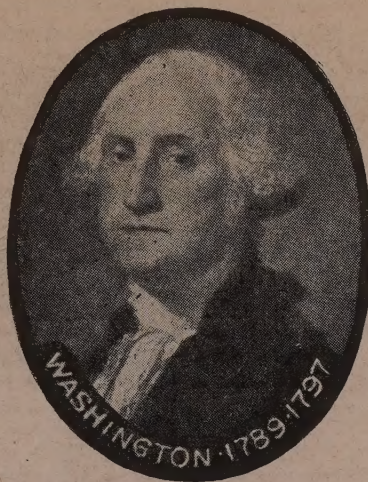
Dla Rolników

Zwozić budulec, o-
pał, łód. Szlamara.
Przygotowywać ma-
szyny i narzędzia.
Ułożyć plan obsie-
wów wiosennych. Za-
kupić potrzebne do
siewu zboże, nasio-
na, sztuczne nawozy.
W stawach rybnych
rąbać przereble. Prze-
garniać śnieg na dro-
gach. Podatek grun-
towy. Przymuszać
krowy, wycielone je-
sienią a niepokryte.

Co znaczą
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

[illegible]

LUTY

1924

DRUGI MIESIĄC

MA DNI 29



Przepowiednie Pogody.

1-8 deszcz; 9-12
łagodnie i pogod-
nie, ciepło aż do
20, następnie zi-
mne powietrze aż
do końca miesia-
ca.

Dzień	święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Wsch Zach.	Wsch Zach.	Słoń.	Słoń. Księż	

1 P	Ignacego	7:22	5:06	4:09	1:56	19 Makarja
2 S	Ocz. N. M. P.	7:21	5:08	5:11	2:53	20 Eftimija

6

4-ta Niedziela po Trzech Królach.
Ewangelia: "O Uciszeniu Burzy na Morzu."

3 N	Błażeja	7:19	5:09	6:09	3:56	21 Maksyma
4 P	Weroniki P.	7:18	5:10	6:53	5:03	22 Tymofeja
5 W	Agaty p.	7:17	5:12	7:33	6:11	23 Klymenta
6 Ś	Doroty p.	7:16	5:13	8:08	7:16	24 Ksenji
7 C	Romualda	7:14	5:15	8:41	8:22	25 Hrehora
8 P	Jana z Maty	7:13	5:16	9:08	9:24	26 Ksenofonta
9 S	Apolonji	7:12	5:18	9:36	12:25	27 Joana Chr.

7

5-ta Niedziela po Trzech Królach.
Ewangelia: "O Kąkolu Między Pszenicą."

10 N	Scholastyki p.	7:10	5:19	10:03	11:25	28 Jefrema
11 P	Łucjusza bisk.	7:09	5:20	10:31	A.M.	29 Ihnatyja
12 W	Gaudentego M.	7:08	5:22	11:02	12:23	30 TRECH ŚW.
13 Ś	Marjusza M.	7:06	5:23	11:36	1:19	31 Kyra i Joana
14 C	Walentego M.	7:05	5:25	P.M.	2:17	1 Łiuteń. Tryfona
15 P	Faustyna M.	7:05	5:26	12:56	3:12	2 Striten. Chr.
16 S	Kanuta Króla	7:02	5:28	1:58	4:03	3 Symeona

8

Niedziela Starozapustna.
Ewangelia: "O Robotnikach w Winnicy."

17 N	Flawjana bisk.	7:00	5:29	2:52	4:52	4 Izydora
18 P	Konstancji	6:59	5:30	3:51	5:36	5 Ahafji
19 W	Konrada W.	6:57	5:32	4:53	6:16	6 Wukola
20 Ś	Nicefora M.	6:58	5:33	5:57	6:54	7 Partenija
21 C	Eleonory p.	6:54	5:35	7:01	7:27	8 Feodora
22 P	Kat. Ś. Piotr	6:52	5:36	8:09	8:00	9 Nikifora
23 S	Fulgentego W.	6:51	5:37	9:17	8:32	10 Charalampa

9

Niedziela Mięsopestna.
Ewangelia: "O Nasieniu, Które Padło na Rolę."

24 N	Sergjusza	6:49	5:39	10:27	9:07	11 Własija
25 P	Macieja Apos.	6:47	5:40	11:36	9:39	12 Meletija
26 W	Zygryda B.	6:46	5:42	A.M.	10:18	13 Martinjana
27 Ś	Aleksan. bisk.	6:44	5:43	12:55	10:56	14 Kiryła
28 C	Anastazji p.	6:42	5:44	2:01	11:49	15 Onezyma
29 P	Romana W.	6:41	5:46	3:03	P.M.	16 Pamfila

Zmiany Księ- życa.

☾ Nów 4-go, o go-
dzinie 8:38 wieczo-
rem.

☾ Pierwsza Kwa-
dra 12-go, o godzi-
nie 3:09 popołudniu.

☾ Pełnia 20-go, o
godzinie 11:7 rano.

☾ Ostatnia Kwa-
dra 27-go, o godzinie
8:15 rano.

Dla Rolników

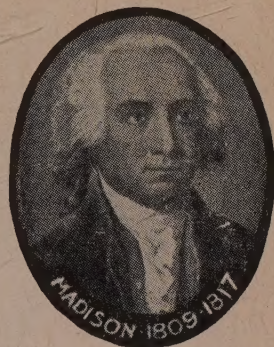
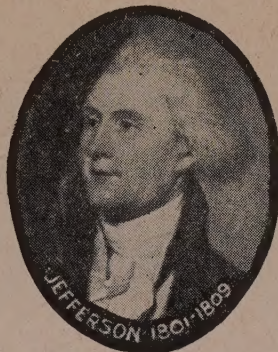
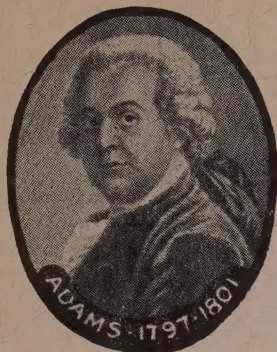
Inwentarz roboczy
lepiej paść. Spraw-
dzać siłę kielkowa-
nia nasion. Siał to-
masówkę, kainit i in-
ne. Spuszczać wodę
z ozimin i pół przy-
gotowanych pod ja-
rzyznę, zamówić drze-
wka do sadzenia. W
lesie zbierać wszel-
kie nasiona (szysz-
ki). Zapłacić ratę u-
bezpieczeniową. Zgro-
madzić w podwórzu
naprawione narzędzia
i maszyny, wzglę-
nie sprowadzić nowe.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

Handwriting practice lines consisting of 15 horizontal dotted lines.

MARZEC

1924

TRZECI MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-4 zmiennie;
5 - 10 pogodnie;
11 - 20 powietrze
zmiennie; 21 zi-
mno, poczem od-
wilż aż do końca
miesiąca.

Dzień	Święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Słoń.	Słoń.	Księż Wsch.	Księż Zach.	

1 S	Albina bisk.	6:39	5:47	3:58	1:45	17 Teodora
-----	--------------	------	------	------	------	------------

10

Niedziela Zapustna.

Ewangeliia: "Jezus Przepowiada Swą Mękę."

2 N	Symplicjusza	6:37	5:48	4:47	2:49	18 Miasopust.
3 P	Kunegundy p.	6:35	5:50	5:29	3:55	19 Archippa
4 W	Kazimierza K.	6:34	5:51	6:06	5:01	20 Lwa B.
5 S	☞ Popielec ☾	6:32	5:52	6:39	6:05	21 Tymofieja
6 C	Kolety p.	6:30	5:54	7:18	7:09	22 Petra i Atanaz.
7 P	☞ Tomasz A. k.	6:28	5:55	7:49	8:11	23 Polykarpa
8 S	Jana Bożego	6:26	5:56	8:09	9:12	24 Obr. h. ś. J.

11

1-sza Niedziela Postu.

Ewangeliia: "Jezus Kuszony od Djabła."

9 N	Franciszki Wd.	6:25	5:58	8:34	10:12	25 Siropust.
10 P	40 Męcen.	6:23	5:59	9:01	11:10	26 Porfiryja
11 W	Pelagji p.	6:21	6:00	9:34	A.M.	27 Prokopija
12 S	☞ Grzegorza	6:19	6:02	10:09	12:09	28 Własa
13 C	Nicefora bisk. ☾	6:17	6:03	10:49	1:01	29 Kassiana
14 P	☞ Zacharjasza	6:15	6:04	11:34	1:53	1 Mart. Jewd.
15 S	☞ Longina M.	6:13	6:06	P.M.	2:43	2 Teodota

12

2-ga Niedziela Postu.

Ewangeliia: "O Przemienieniu Pana Jezusa."

16 N	Cyryla bisk.	6:12	6:07	1:22	3:29	3 Ewtropija
17 P	Gertrudy wd.	6:10	6:08	2:24	4:10	4 Harasyrna
18 W	Gabrjela Arch.	6:08	6:09	3:30	4:48	5 Konona
19 S	☞ Józefa Ob.	6:06	6:11	4:39	5:34	6 42 M. w A.
20 C	Wolframa bisk. ☾	6:04	6:12	5:50	5:57	7 Wasilija
21 P	☞ Benedykta	6:02	6:13	7:03	6:40	8 Teofilakta
22 S	Bazylego M.	6:00	6:15	8:17	7:02	9 40 M. w S.

13

3-cia Niedziela Postu.

Ewangeliia: "Pan Jezus Wypędza Djabła."

23 N	Katarzyny West.	5:58	6:16	9:31	7:38	10 Kondrata
24 P	Ireneusza B. i M.	5:57	6:17	10:43	8:16	11 Sofronija
25 W	Zwiastow. N. M. :	5:55	6:18	11:54	8:58	12 Teofana
26 S	☞ Jana Pustel.	5:53	6:20	A.M.	9:46	13 Nikifora
27 C	Ruperta B. ☾	5:51	6:21	12:58	10:50	14 Wenedykta
28 P	☞ Sykstusa Pap.	5:49	6:23	1:56	11:38	15 Ahapija
29 S	Eustazego	5:47	6:23	2:46	P.M.	16 Sawyna

14

4-ta Niedziela Postu.

Ewangeliia: "Pan Jezus Karml 5,000 Osób."

30 N	Kwiryna M.	5:45	6:25	3:30	1:45	17 Aleksyja
31 P	Balbiny P. i M.	5:43	6:26	4:06	2:50	18 Kiryla

Zmiany Księ- życa.

☾ Nów 5-go, o go-
dzinie 10:57 rano.

☾ Pierwsza Kwa-
dra 13-go, o godzinie
11:50 rano.

☾ Pełnia 20-go, o
godzinie 11:30 w no-
cy.

☾ Ostatnia Kwa-
dra 27-go, o godzinie
3:24 po południu.

Dla Rolników

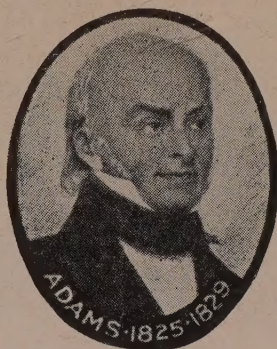
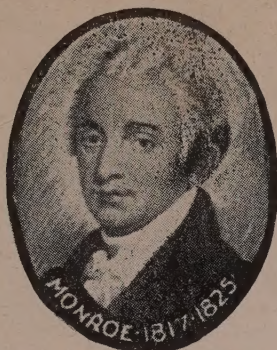
Przysposobić wszy-
stko do robót po-
nych. Śiać wczesne
mieszanki na zieloną
paszę. Rozsiewać sa-
letę chilijską na ozi-
miny. W stebniku
przewietrzać ule (od-
powiednia temp. 48
stop. F.). Sprowadzić
zarybek i umieścić
go w magazynach.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

A series of horizontal dotted lines for writing notes.

KWIECIEŃ

1924

CZWARTY
MIESIĄC

MA DNI 30



Przepowiednie Pogody.

1-3 zimno; 4-7
deszcz i wiatr;
8-15 burze z desz-
czem, poczem po-
wietrze ostre i z-
imne aż do końca
miesiąca.

Dzień	Święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Śłoń.	Śłoń.	Księż.	Księż.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.	

1 W	Teodory M.	5:42	6:27	4:40	3:49	19 Chryzanta
2 S	Franciszka P.	5:40	6:28	5:09	4:49	20 Oteew mucz.
3 C	Ryszarda bisk.	5:38	6:30	5:37	6:00	21 Jakowa śp.
4 P	Izydora bisk.	5:36	6:31	6:05	7:01	22 Wasilyja
5 S	Wincentego Fer.	5:34	6:32	6:37	8:01	23 Nikona

15

5-ta Niedziela Postu.

Ewangelia: "Pan Jezus Udowadnia Bóstwo Swoje."

6 N	Wilhelma Wyz.	5:32	6:34	7:08	9:00	24 Zacharija
7 P	Donata i Rufina	5:30	6:35	7:32	9:58	25 Błahow. Pr. Bog.
8 W	Djonizego bisk.	5:29	6:36	8:06	10:55	26 Hawryła
9 S	Marji Egip.	5:27	6:37	8:44	11:48	27 Matrony
10 C	Ezechiela Pror.	5:25	6:39	9:28	A.M.	28 Hilaryja
11 P	Leona Pap.	5:23	6:40	10:16	12:27	29 Marka
12 S	Juljusza Pap.	5:21	6:41	11:09	1:24	30 Joana

16

Niedziela Palmowa.

Ewangelia: "Wjazd Chwały Pana Jezusa do Jerozolimy."

13 N	Niedz. Palmowa	5:20	6:42	P.M.	2:05	31 Ipatija
14 P	Tyburcego	5:18	6:44	1:10	2:44	1 Cwieteń. Maryi
15 W	Krescentego	5:16	6:45	2:16	3:22	2 Tita
16 S	Lamberta	5:14	6:46	3:28	3:53	3 Nikity
17 C	Wielki Czwartek	5:13	6:47	4:37	4:25	4 Josifa
18 P	Wielki Piątek	5:11	6:49	5:52	4:58	5 Teodula
19 S	Wiel. Sobota	5:09	6:50	7:07	5:32	6 Eutychia

17

Niedziela Wielkanocna.

Ewangelia: "O Zmartwychwstaniu Pana Jezusa."

20 N	WIELKANOC	5:08	6:51	8:20	6:09	7 Georgja
21 P	Anzelma B.	5:06	6:52	9:39	6:51	8 Irodjona
22 W	Sotera M.	5:04	6:54	10:48	7:39	9 Jewpsichja
23 S	Wojciecha B.	5:02	6:55	11:50	8:30	10 Terentija
24 C	Jerzego M.	5:01	6:56	A.M.	9:29	11 Antipy
25 P	Marka Ewan.	4:59	6:58	12:47	10:22	12 Wasilja
26 S	Kleta i Marcel.	4:58	6:59	1:41	11:36	13 Artemona

18

Niedziela Przewodnia.

Ewangelia: "O Niewiernym Tomaszu."

27 N	Teofila bisk.	4:56	7:00	2:10	P.M.	14 PASCHA
28 P	Witalisa Męcz.	4:54	7:01	2:44	1:26	15 Pon. W.
29 W	Piotra M.	4:53	7:00	3:15	2:50	16 Wtor. W.
30 S	Katarzyny Sen.	4:51	7:04	3:40	3:52	17 Symeona

Zmiany Księ- życa.

☾ Nów 4-go, o go-
dzinie 2:17 rano.

☾ Pierwsza Kwa-
dra 12-go, o godzi-
nie 6:12 rano.

☾ Pełnia 19-go, o
godzinie 9:10 rano.

☾ Ostatnia Kwa-
dra 25-go, o godzinie
11:28 w nocy.

Dla Rolników

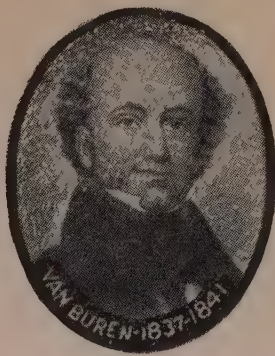
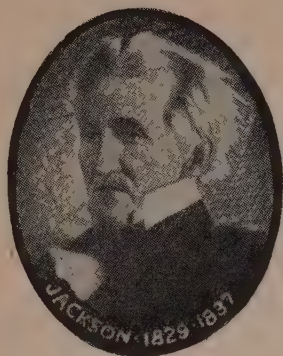
Przebieierać ziem-
niaki. Skupić wszy-
stkie siły robocze i
sprzężaj przy upra-
wach i zasiewach.
Bronować konieczyń,
lucernę, pszenicę, łą-
ki i drogi. Motyko-
wać zboża. Opatrzyć
kosiarki, żniwiarki.
Podatek. Sadzić
drzewka, reperować
płoty, drogi i rowy.
Wywozić ule ze steb-
nika. Kupować ule i
przewozić pszczoły.
Wysadzać kroczi i
zarybek. Spuszczanie
stawów zimowych.
Ubezpieczyć się od
gradu.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

MAJ

1924

PIĄTY MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-3 zimno i wiatr: 4-15 ciepło i deszczyk żagodny, poczem przymrozki z deszczem aż do końca miesiąca.

Dzień	Święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Śłoń. Wsch.	Śłoń. Zach.	Księż. Wsch.	Księż. Zach.	
1 C	Filipa i Jakóba	4:50	7:05	4:09	4:53	18 Joanika
2 P	Atanazego	4:48	7:06	4:36	5:53	19 Jona
3 S	Znał. ś. Krzyża	4:47	7:07	5:07	6:53	20 Teodora Tr.

19

2-ga Niedziela po Wielkiejnocy.
Ewangelia: "O Dobrym Pasterzu."

4 N	Florjana Męcz.	4:45	7:09	5:33	7:51	21 Januaryja
5 P	Moniki Wd.	4:44	7:10	6:02	8:50	22 Teodora S.
6 W	Jana w Oleju	4:43	7:11	6:42	9:42	23 Georgija
7 S	Domiceli p.	4:41	7:12	7:24	10:33	24 Sawy
8 C	Stanisława Bisk.	4:40	7:14	8:09	11:20	25 Marka Ap.
9 P	Grzegorza	4:39	7:15	8:55	A.M.	26 Wasylija
10 S	Izydora or.	4:37	7:16	9:56	12:01	27 Symeona

20

3-cia Niedziela po Wielkiejnocy.
Ewangelia: "Maluczko, a Nie Ujrzycie Mnie, iż idę do Ojca."

11 N	Mamerta bisk.	4:36	7:17	10:54	12:43	28 Jazona
12 P	Pankracego	4:35	7:18	11:57	1:18	29 9 Muczen.
13 W	Serwacego	4:34	7:19	P.M.	1:51	30 Jakowa
14 S	Bonifacego	4:32	7:21	2:15	2:23	1 Maj. Jerem.
15 C	Zofji M.	4:31	7:22	3:24	2:54	2 Borysa i Hleba
16 P	Jana Nepom.	4:30	7:23	4:39	3:26	3 Teodozija
17 S	Antonina B.	4:30	7:24	5:55	4:01	4 Pelahji

21

4-ta Niedziela po Wielkiejnocy.
Ewangelia: "O odejściu do Ojca i zesłaniu Ducha Świętego Poczieszyciela."

18 N	Eryka Kr. M.	4:28	7:25	7:13	4:42	5 Iriny
19 P	Prudencjanny p.	4:27	7:26	8:28	5:26	6 Joba
20 W	Bernardyna Sen.	4:26	7:27	9:36	6:16	7 Zjawl. św. Kr.
21 S	Wenanejusza	4:25	7:28	10:37	7:01	8 Joana boh.
22 C	Heleny Królowej	4:24	7:29	11:27	8:18	9 Izaji
23 P	Dezyderjusza	4:23	7:30	A.M.	9:24	10 Symeona Zilota
24 S	Joanny Wd.	4:22	7:30	12:09	10:32	11 Mokija

22

5-ta Niedziela po Wielkiejnocy.
Ewangelia: "O Prawdziwej Modlitwie."

25 N	Magdaleny	4:21	7:32	12:47	11:38	12 Epif. i Germ.
26 P	Filipa Ner.	4:21	7:33	1:19	P.M.	13 Htykerji
27 W	Jana Papieża	4:20	7:34	1:47	1:45	14 Izydora
28 S	Germana	4:19	7:35	2:16	2:46	15 Pachomija
29 C	Wniebowst.	4:18	7:36	2:43	3:47	16 Teodora
30 P	Feliksa i Ferd.	4:18	7:37	3:07	4:46	17 Andronika
31 S	Petroneli P.	4:17	7:38	3:37	5:45	18 Teodota

Zmiany Księ- życa.

☾ Nów 3-go, o godzinie 6:00 wieczorem.

☾ Pierwsza Kwadra 11-go, o godzinie 9:13 wieczorem.

☾ Pełnia 18-go o godzinie 4:52 wieczorem.

☾ Ostatnia Kwadra 25-go, o godzinie 9:16 rano.

Dla Rolników

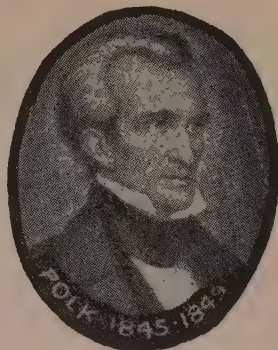
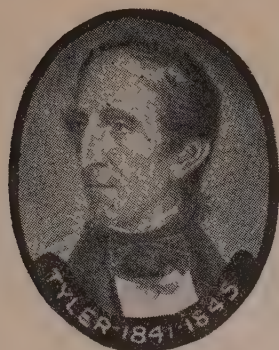
Kończyć zasiewy i sadzenie. Po 10-ym sadzić kukurydzę. Wałować pszenicę. Wycinać żyto z pszenicy gdy zakwitnie. Uszykować pralnię do owiec. Strzedz lasy od pożarów. W pasiece strzedz słabsze ule od rabunku. W ciepłe dni karmić ryby, tępć zaby. Tępienie ostu. Naprawiać drogi, przygotować komposty, zwieźć drzewo opałowe, wykonać naprawy w budynkach, smarować dachy.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

A series of horizontal dotted lines for writing notes.

CZERWIEC

1924

SZÓSTY
MIESIĄC

MA DNI 30



Przepowiednie Pogody.

1-5 piękna po-
goda: 6-10 zmien-
nie: 11-14 chłod-
no: 15-19 deszcz;
20-22 pogodnie,
początek deszczu aż
do końca miesia-
ca.

Dzień	święci rzymsko-katolicki	Stany Północne Słoń. Słoń. Księż. Księż Wsch. Zach. Wsch. Zach.	Dnie i święci grecko-katolicki
-------	-----------------------------	---	-----------------------------------

23

6-ta Niedziela po Wielkiejnocy.
Ewangelia: "W Imię Jezusowe."

1 N	Nikodema M.	4:17	7:39	4:07	6:42	19	Patrikija
2 P	Marcela i Piotra	4:16	7:40	4:43	7:38	20	Tałałaja
3 W	Erazma M.	4:16	7:41	5:22	8:40	21	Konst. i Eleny
4 S	Aleksandra	4:15	7:41	6:06	9:28	22	Wasyliśka
5 C	Bonifacego B.	4:15	7:42	6:55	10:04	23	Woznieś.
6 P	Norberta	4:14	7:43	7:47	10:44	24	Simeona
7 S	Roberta	4:14	7:44	8:47	11:19	25	Obr. h. Joana

24

Niedziela Zielonych Świątek.
Ewangelia: "O Zesłaniu Ducha Świętego."

8 N	Zielone Świątki	4:14	7:44	9:48	11:54	26	Karpa
9 P	Prymusa	4:13	7:45	10:51	A.M.	27	Teraponta
10 W	Małgorzaty	4:13	7:46	11:58	12:25	28	Nikity
11 S	Barnaby	4:13	7:46	P.M.	12:56	29	Feodosii
12 C	Onufrego W.	4:13	7:47	2:17	1:25	30	Izaakija
13 P	Antoniego z P.	4:13	7:47	3:29	1:57	31	Hermija
14 S	Bazylego B.	4:13	7:48	4:45	2:33	1	Czerwień. Justa

25

1-sza Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "Odpuszczajcie, a Będzie Wam Odpuszczono."

15 N	Wita i Modesta	4:12	7:48	5:56	3:14	2	SOSZ. S. D.
16 P	Benona Bisk.	4:12	7:48	7:13	3:59	3	Łukijana.
17 W	Adolfa Bisk.	4:12	7:49	8:29	4:54	4	Mitrofana
18 S	Marka i Marc.	4:13	7:49	9:17	5:56	5	Doroteja
19 C	BOŻE CIAŁO	4:13	7:50	10:05	7:03	6	Wisarjona
20 P	Juljanny P.	4:13	7:50	10:56	8:13	7	Teodota
21 S	Ałojzego	4:13	7:50	11:14	9:23	8	Teodora

26

2-ga Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Wezwaniu na Wieczerzę."

22 N	Paulina B.	4:13	7:50	11:50	10:30	9	Kyryła
23 P	Agrypiny p.	4:13	7:50	A.M.	11:35	10	Timofieja
24 W	Nar. Ś. Jana	4:14	7:51	12:19	P.M.	11	Warfołom.
25 S	Prospera B.	4:14	7:51	12:46	1:39	12	Onufryja
26 C	Jana i Pawła M.M.	4:14	7:51	1:12	2:39	13	Akuliny
27 P	Władysława	4:15	7:51	1:40	3:37	14	Eliseja
28 S	Leona Pap.	4:15	7:51	2:10	4:36	15	Amosa

27

3-cia Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Zgubionej Owcy i Groszu."

29 N	Piotra i Pawła	4:16	7:51	2:43	5:42	16	Tychona
30 P	Wspom. Pawła	4:16	7:50	3:24	6:21	17	Manuila

Zmiany Księ- życa.

● Now 2-go, o go-
dzinie 9:33 rano.

● Pierwsza Kwa-
dra 10-go, o godzinie
8:36 rano.

● Pełnia 16-go, o
godzinie 11:41 w no-
cy.

● Ostatnia Kwa-
dra 23-go, o godzinie
9:16 wieczorem.

Dla Rolników

Zamawiać zboża i
sztuczne nawozy na
jesień. Obejrzeć ipo-
zamawiać zużyte czę-
ści narzędzi i ma-
szyn do jesiennych
zasiewów, jak rów-
nież wozy żniwne,
młocarnie, płachty,
worki itd. Czyścić
sąsiedzi i strychy. Te-
pić kaniańkę w ko-
niecnych. Kosić
chwasty po miedzach
i burtach rowów,
dróg i pod budynka-
mi. Omiać ulę z
pajęczyn. W stawach
pilnować żywienia
ryb.

Co znaczy

A. M. i P. M.

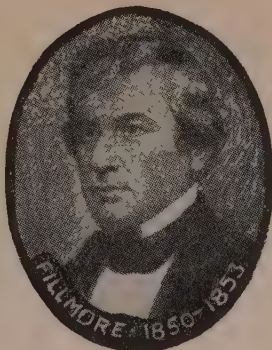
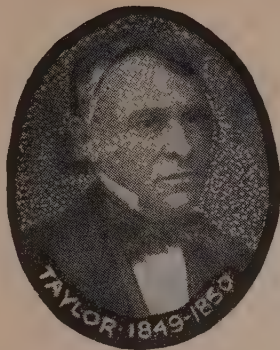
A. M.—Ante Meridiem

(przed południem)

P. M.—Post Meridiem

(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

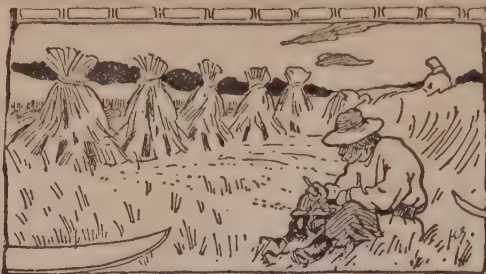
100

LIPIEC

1924

SIÓDMY MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-3 chłodno i pochmurnie; 4-6 zimno; 7-18 pogodnie; 19-21 deszcz, poczem pogodnie i gorąco aż do końca miesiąca.

Dzień	Święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Stoń. Wsch.	Stoń. Zach.	Księż. Wsch.	Księż. Zach.	

1 W	Juljusza M.	4:17	7:50	4:03	7:16	18 Leontija
2 Ś	Naw. N. M. P.	4:17	7:50	4:51	8:03	19 Judy
3 C	Heljodora B.	4:18	7:50	5:44	8:46	20 Miefodija
4 P	Józefa Kalas.	4:18	7:50	6:41	9:23	21 Juliana
5 S	Wilhelma	4:19	7:49	7:41	9:57	22 Ewsefja

28

4-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Obfitym Połowie Ryb."

6 N	Izajasza Pror.	4:20	7:49	8:42	10:28	23 Ahrypiny
7 P	Klaudjusza M.	4:21	7:49	9:49	11:02	24 Rożd. św. Joana
8 W	Elżbiety Król.	4:22	7:48	10:55	11:27	25 Fewronyi
9 Ś	Zenona M.	4:23	7:48	P.M.	11:58	26 Dawyda
10 C	7 Braci Męcz.	4:23	7:47	1:13	A.M.	27 Samsona
11 P	Piusa P. i M	4:24	7:47	2:25	12:31	28 Kyra i Joana
12 S	Jana Gwałb.	4:24	7:46	3:38	1:05	29 Petra i Pawła

29

5-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Sprawiedliwości Faryzeuszów."

13 N	Małgorzaty	4:25	7:45	4:45	1:49	30 Sobor ś. A.
14 P	Bonawentury	4:26	7:45	5:58	2:39	1 Julyj. Kosmy i D.
15 W	Rozesł. ŚŚ. Ap.	4:27	7:44	7:02	3:36	2 Poł. ryz B.
16 Ś	M. P. Szkap.	4:28	7:43	7:54	4:40	3 Jakynta
17 C	Aleksego Wyzn.	4:29	7:43	8:39	5:49	4 Andreja
18 P	Szymona z Lip.	4:30	7:42	9:16	6:59	5 Afanasja
19 S	Wincentego	4:31	7:41	9:51	8:11	6 Sisoja

30

6-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Nakarmieniu 4,000 Ludzi."

20 N	Czesława Wyz.	4:32	7:40	10:23	9:19	7 Tomy i Akakja
21 P	Praksedy P.	4:33	7:39	10:48	10:24	8 Prokopija
22 W	Marji Magdal.	4:34	7:38	11:15	11:27	9 Pankratija
23 Ś	Apolinarego	4:35	7:37	11:43	P.M.	10 S. 42 Muez.
24 C	Krystyn p.	4:36	7:36	A.M.	1:29	11 Eufemiji
25 P	Jakóba Apos.	4:37	7:35	12:12	2:27	12 Prokla i Ilaria
26 S	Anny Matki N.P.	4:38	7:34	12:44	3:24	13 Sob.ar.Hawr.

31

7-ma Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Fałszywych Prorokach."

27 N	Pantaleona	4:39	7:33	1:20	4:19	14 Akiły
28 P	Botwida Męcz.	4:40	7:32	2:01	5:11	15 Władimira
29 W	Marty p.	4:41	7:31	2:77	5:59	16 Atynogena
30 Ś	Abdona M.	4:42	7:30	3:37	6:33	17 Maryny
31 C	Ignacego Wyzn.	4:43	7:28	4:33	7:23	18 Emiljana

Zmiany Księ- życa.

☾ Nów 2-go, o godzinie 12:35 w nocy.

☾ Pierwsza Kwadra 9-go, o godzinie 4:46 popołudniu.

☾ Pełnia 16-go, o godzinie 6:49 rano.

☾ Ostatnia Kwadra 23-go, o godzinie 11:35 rano.

☾ Nów 31-go, o godzinie 2:41 po południu.

Dla Rolników

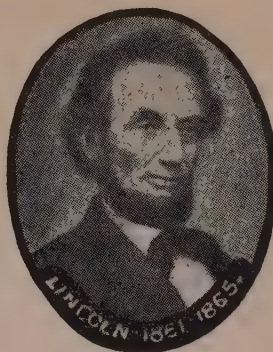
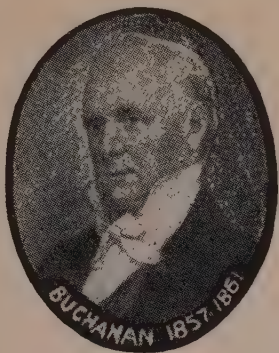
Zakupić drzewo, węgiel na opał, zwozić. Podorywać zaraz ścierniska. Nie dopuszczać skorupy na uprawach. Śiać kainit pod oziminy. Na śpichrzu przerabiać często zboże. W pasiece — miodobranie, zmieniać stare matki. Przestrzegać prawidłowej uprawy, siać poplony. Ubezić pieczy się od ognia (zmienić polisę).

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

6

SIERPIEN

1924

ÓSMY
MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-6 pogoda i u-
pały: 7-13 desz-
cze; 14-17 burze;
18-25 wielkie u-
pały, poczem bu-
rze aż do końca
miesiąca.

Zmiany Księ- życa.

③ Pierwsza Kwa-
dra 7-go, o godzinie
10:41 wieczorem.

④ Pełnia 14-go, o
godzinie 3:19 po po-
łudniu.

⑤ Ostatnia Kwa-
dra 22-go, o godzinie
4:10 rano.

⑥ Nów 30-go, o go-
dzinie 3:36 rano.

Dla Rolników

Ostatecznie przy-
sposobić zboże do
siewu. Konie żywić
mocno. W lesie zbie-
rać nasienie z brzozy
i wysiewać je. W pa-
siece pościeśniać wy-
loty dla ustrzeżenia
pszczoł przed rabun-
kiem. Wszelkie robo-
ty w pasiece wyko-
nywać wieczorem lub
w dni pochmurne.
Przygotować narzę-
dzia do zbioru oko-
powych i ziemnia-
czarki, pługi do wyo-
rywania buraków.

Co znaczą
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

Dzień	Święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i Święci grecko-katolicy
		Ślon.	Ślon.	Księż.	Księż.	
1 P	Piotra w ok.	4:45	7:27	5:33	7:59	19 Makryny
2 S	M. B. Anielskiej	4:46	7:26	6:36	8:32	20 Ilyi

32

8-ma Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Niesprawiedliwym Szafarzu."

3 N	Znal. Ś. Szczep.	4:47	7:24	7:40	9:03	21 Symeona
4 P	Dominika Wyzn.	4:48	7:23	8:47	9:32	22 Maryi Mahd.
5 W	M. B. Śnieżnej	4:49	7:22	9:54	10:03	23 Trofyma
6 Ś	PRZEM. PAŃ.	4:50	7:20	11:03	10:33	24 Borysa i Hleba
7 C	Kajetana W.	4:51	7:19	P.M.	11:07	25 Uśp. ś. Anny
8 P	Cyrjaka Męcz.	4:53	7:18	1:24	11:46	26 Jermołaja
9 S	Romana M.	4:54	7:16	2:34	A.M.	27 Pantalejm.

33

9-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Zburzeniu Jerozolimy."

10 N	Wawrzyńca M.	4:55	7:15	3:42	12:30	28 Proch. i Nik.
11 P	Zuzanny P. M.	4:56	7:13	4:46	1:23	29 Kałynyka
12 W	Klary panny	4:57	7:12	5:41	2:22	30 Syły
13 Ś	Hipolita M.	4:59	7:10	6:29	3:28	31 Jewdokina
14 C	Euzebjusza	5:00	7:09	7:11	4:38	1 Serpeń. Prois. Kr.
15 P	WNIEB. N.M.P.	5:01	7:07	7:46	5:48	2 Stefana m.
16 S	Rocha Wyzn.	5:02	7:05	8:18	6:58	3 Dalm. i Fawsta

34

10-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Faryzeuszu i Celniku."

17 N	Jacka W.	5:03	7:04	8:48	8:08	4 Otok w Ef.
18 P	Agapita M.	5:05	7:03	9:15	9:11	5 Jewsignija
19 W	Benigny p.	5:06	7:00	9:43	10:14	6 Preob. Ch.
20 Ś	Bernarda Op.	5:07	6:59	10:12	11:16	7 Dometyja
21 C	Joanny Wd.	5:08	6:57	10:44	P.M.	8 Jemyłjana
22 P	Symforjana	5:09	6:56	11:18	1:14	9 Matfeja
23 S	Zacheusza Bisk.	5:10	6:54	11:57	2:10	10 Lawrentyja

35

11-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Głuchoniemym."

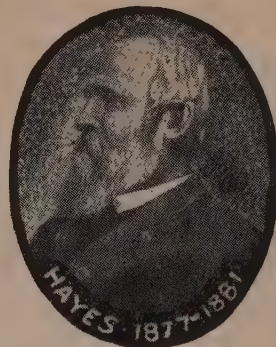
24 N	Bartłomieja Ap.	5:12	6:52	A.M.	3:03	11 Eupla
25 P	Ludwika Króla	5:13	6:50	12:40	3:53	12 Fotyja
26 W	Zefiryna M.	5:14	6:49	1:29	4:39	13 Maksyma
27 Ś	Cezarego Bisk.	5:15	6:47	2:23	5:21	14 Mycheja
28 C	Augustyna Bisk.	5:16	6:45	3:21	5:58	15 Uspen. B.
29 P	Święte ś. Jana	5:18	6:43	4:24	6:32	16 Diomeda
30 S	Róży p.	5:19	6:42	5:30	7:05	17 Myrona m.

36

12-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Miłosiernym Samarytaninie."

31 N	Rajmunda W.	5:20	6:40	6:36	7:35	18 Flora i Ławra
------	-------------	------	------	------	------	------------------

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

A series of horizontal dashed lines for writing notes.

WRZESIEŃ

1924

DZIEWIĄTY
MIESIĄC

MA DNI 30



Przepowiednie Pogody.

1-4 ciepło i
grzmoty; 5-9 po-
godnie; 10-26 po-
goda zmienna; 27
ciepło, poczem
deszcz aż do koń-
ca miesiąca.

Dzień	święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Stoń. Wsch.	Stoń. Zach.	Księż. Wsch.	Księż. Zach.	
1 P	Idziego Op.	5:21	6:38	7:42	8:05	19 Andreja
2 W	Stefana Kr.	5:22	6:36	8:54	8:36	20 Samuila
3 Ś	Joachima	5:24	6:34	10:05	9:09	21 Fadeja
4 C	Rozalji p.	5:25	6:32	11:15	9:46	22 Abatonika
5 P	Urbana Pap.	5:26	6:30	P.M.	10:29	23 Łuppa m.
6 S	Zacharjasza Pr. ☿	5:27	6:29	1:33	11:19	24 Ewtychija

37

13-ta Niedziela po Zielonych świątkach.
Ewangelia: "O Dziesięciu Trędowatych."

7 N	Reginy p.	5:28	6:27	2:36	A.M.	25 Tita
8 P	NAR. N.M.P.	5:30	6:25	3:34	12:12	26 Adryana
9 W	Gorgonjusza	5:31	6:23	4:33	1:15	27 Pymena
10 Ś	Mikoł. z Tolent.	5:32	6:21	5:06	2:21	28 Mojseja
11 C	Prota i Jacka	5:33	6:19	5:44	3:29	29 Usik. hł. J.
12 P	Gwidona W.	5:34	6:17	6:16	4:39	30 Aleksandra
13 S	Eulogjusza B ☿	5:36	6:15	6:46	5:47	31 Poł. poj. B.

38

14-ta Niedziela po Zielonych świątkach.
Ewangelia: "O Służeniu Bogu i Mamonie."

14 N	Podwyż. Krzyża	5:37	6:14	7:15	6:54	1 Weresień. Sym.
15 P	Nikodema M.	5:38	6:12	7:45	7:59	2 Mamanta
16 W	Kornelego	5:39	6:10	8:11	9:01	3 Antyma
17 Ś	Franciszka	5:40	6:08	8:42	10:01	4 Wawylę
18 C	Tomasza z Wil.	5:42	6:06	9:15	11:03	5 Zacharyja
19 P	Januarego M.	5:43	6:04	9:52	P.M.	6 Ewdoksija
20 S	Eustachjusza ☿	5:44	6:02	10:33	12:55	7 Sozonta

39

15-ta Niedziela po Zielonych świątkach.
Ewangelia: "O Wskrzeszeniu Młodzieńca w Naim."

21 N	Mateusza Ap.	5:45	6:00	11:29	1:45	8 Rożdż. B.
22 P	Mauryczego	5:46	5:58	A.M.	2:33	9 Joakima
23 W	Tekli P. i M.	5:48	5:56	12:11	3:16	10 Mynodory
24 Ś	Gerarda B.	5:49	5:55	1:08	3:56	11 Feodory
25 C	Kleofasa Męcz.	5:50	5:53	2:08	4:30	12 Awtonoma
26 P	Euzebiusza	5:51	5:51	3:07	5:03	13 Kornyla
27 S	Kosmy i Dam.	5:52	5:49	4:19	5:34	14 Wozd. Kr.

40

16-ta Niedziela po Zielonych świątkach.
Ewangelia: "O Uzdrawieniu Opuchłego."

28 N	Wacława ☿	5:54	5:47	5:18	6:05	15 Nikity
29 P	Michała Arch.	5:55	5:45	6:49	6:35	16 Jewfimji
30 W	Hieronima W.	5:56	5:43	7:51	7:08	17 Sofji mucz.

Zmiany Księ- życa.

☿ Pierwsza Kwa-
dra 6-go, o godzinie
3:45 rano.

☼ Pełnia 13-go, o
godzinie 2:00 rano.

☾ Ostatnia Kwa-
dra 20-go, o godzinie
10:35 wieczorem.

☿ Now 28-go, o go-
dzinie 3:13 po poł-
dniu.

Dla Rolników

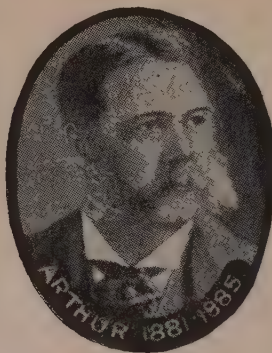
Zaprawiać śniecia-
ste zboże. W pasiece
ukończyć podkarmia-
nie pni. Strzedz sta-
wy przed kradzieżą.
Zamówić potrzebną
paszę treściwą.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

[illegible]

Październik

1924

DZIESIĄTY
MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-5 pogoda i
przymrozki; 6-15
zimno i pochmur-
no; 16-19 wiatr,
poczem pogoda
zmienna aż do
końca miesiąca.

Dzień	Święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Śłoń.	Śłoń.	Księż.	Księż.	
1 S	Remigjusza	5:57	5:41	9:04	7:45	18 Ewmenyja
2 C	Aniołów Stróż.	5:59	5:39	10:16	8:26	19 Trofima
3 P	Kandyda M.	6:00	5:38	11:26	9:13	20 Ewstatija
4 S	Franciszka Ser.	6:01	5:36	P.M.	10:07	21 Kondrata

41

17-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Najprzedniejszym Przykazaniu."

5 N	Płacyda Mecz. ☺	6:02	5:34	1:31	11:07	22 Foki i J.
6 P	Brunona W.	6:04	5:32	2:24	A.M.	23 Zacz. Ś. J.
7 W	Marka Pap.	6:05	5:30	3:08	12:12	24 Tekli m.
8 S	Brygidy Wd.	6:06	5:28	3:44	1:49	25 Eufrozyny
9 C	Dyonizego M.	6:07	5:27	4:17	2:26	26 Joana boh.
10 P	Franciszka Bor.	6:09	5:25	4:47	3:33	27 Kalistrata
11 S	Gereona	6:10	5:23	5:16	4:40	28 Charytona

42

18-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Uzdrawieniu Paraliżem Rażonego."

12 N	Maksymiljana ☺	6:11	5:21	5:43	5:45	29 Kyrjaka
13 P	Edwarda Kr.	6:13	5:19	6:11	6:48	30 Hryhoryja
14 W	Kaliksta Pap.	6:14	5:18	6:41	7:50	1 Pax. Pokr. B.
15 S	Jadwigi Wd.	6:15	5:16	7:11	8:51	2 Kiprjana
16 C	Teresy p.	6:16	5:14	7:48	9:50	3 Dyonizyja
17 P	Wiktora B.	6:18	5:12	8:27	10:46	4 Jenofieja
18 S	Łukasza Ewang.	6:19	5:11	9:12	11:48	5 Charytyny

43

19-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Szacie Godowej."

19 N	Piotra z Alk.	6:20	5:09	10:00	P.M.	6 Fomy ap.
20 P	Jana Kantego ☺	6:22	5:07	10:54	1:11	7 Serhija m.
21 W	Urszuli p.	6:23	5:06	11:52	1:51	8 Pełahiji
22 S	Brunona B. i M.	6:24	5:04	A.M.	2:25	9 Jakowa a.
23 C	Jana Kapist.	6:26	5:02	12:54	3:01	10 Eulampija
24 P	Rafała Arch.	6:27	5:01	1:59	3:32	11 Fylypa ap.
25 S	Kryspina M.	6:28	4:59	3:06	4:02	12 Prowa m.

44

20-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Uzdrawieniu Syna Księżęcego."

26 N	Ewarysta Pap.	6:30	4:58	4:16	4:33	13 Karpa
27 P	Frumenc. B.	6:31	4:56	5:28	5:04	14 Nazaryja
28 W	Szymona i Judy ☺	6:32	4:55	6:42	5:40	15 Ewtymija
29 S	Narcyza Bisk.	6:34	4:53	7:57	6:20	16 Lonhina
30 C	Edmunda B.	6:35	4:52	9:12	7:06	17 Ozyji pror.
31 P	Wolfgang B.	6:37	4:50	10:22	7:59	18 Łuki

Zmiany Księ- życa.

☾ Pierwsza Kwa-
dra 5-go, o godzinie
9:30 rano.

☾ Pełnia 12-go, o
godzinie 3:21 po po-
łudniu.

☾ Ostatnia Kwa-
dra 20-go o godzinie
5:54 wieczorem.

☾ Now 28-go, o go-
dzinie 1:57 rano.

Dla Rolników

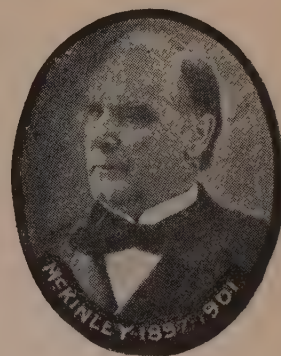
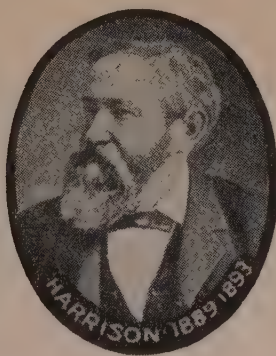
Oszklić okna w bu-
dynkach. Skontrolo-
wać rowy, przegony.
Zrobić etat paszy itd.
Przejsć stopniowo z
letniej paszy na zi-
mową. W lesie—zbie-
ranie: żołądź, nasie-
nia klonów, obrywa-
nie szyszek jodło-
wych. Siew modrze-
wi, dębów, klonów i
jodeł. Zabezpieczyć
ule przed myszami.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

LISTOPAD

1924

JEDENASTY
MIESIĄC

MA DNI 30



Przepowiednie Pogody.

1-15 zimno i deszcz; 16-23 na przemian pogodnie lub pochmurno; od 24 ciepło aż do końca miesiąca.

Dzień	święci rzymsko-katolicy	Stany Północne				Dnie i święci grecko-katolicy
		Słoń.	Słoń.	Księż.	Księż.	
		Wsch.	Zach.	Wsch.	Zach.	

1 S WSZYST. ŚW. 6:38 4:49 11:12 8:58 19 Jola

45

21-sza Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Niesprawiedliwym Słudze."

2 N	Dzień Zaduszny	6:39	4:49	P.M.	9:59	20 Artemija
3 P	Huberta B. ☼	6:41	4:46	12:55	11:05	21 Barjona
4 W	Karola Borom.	6:42	4:45	1:47	A.M.	22 Awerkija
5 S	Emeryka Król.	6:43	4:43	2:14	12:18	23 Jakowa a.
6 C	Leonarda Wyzn.	6:45	4:42	2:53	1:23	24 Arefty
7 P	Engelberta M.	6:46	4:41	3:18	2:30	25 Markijana
8 S	Koronatów	6:48	4:39	3:47	3:35	26 Dimitryja

46

22-ga Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Groszu Czyszowym."

9 N	Teodora Męcz.	6:49	4:38	4:18	4:38	27 Nestora
10 P	Andrz. z Awel.	6:50	4:37	4:49	5:40	28 Terentyja
11 W	Marcina Bisk. ☼	6:52	4:36	5:22	6:40	29 Anastazyi
12 S	5 Braci Pol.	6:53	4:35	5:48	7:41	30 Zenobija
13 C	Dydaka Wyzn.	6:54	4:34	6:33	8:33	31 Stachija
14 P	Marcina P.	6:56	4:33	7:06	9:34	1 Łyst. Kosmy i D.
15 S	Gertrudy p.	6:57	4:32	7:52	10:44	2 Akindyna

47

23-cia Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Wskrzeszeniu Córkii Jaira."

16 N	Stanisława K.	6:59	4:31	8:44	11:09	3 Josyfa i A.
17 P	Salomeji p.	7:00	4:30	9:40	11:51	4 Joannikija
18 W	Maksyma B.	7:01	4:29	10:39	P.M.	5 Hałaktyona
19 S	Elżbiety Wd. ☼	7:03	4:28	11:41	1:01	6 Pawła ap.
20 C	Feliksa de Val.	7:04	4:27	A.M.	1:31	7 Jerema
21 P	OFIAR. N.M.P.	7:05	4:26	12:47	2:05	8 Michała a.
22 S	Cecylii panny	7:07	4:25	1:53	2:30	9 Onysyfara

48

24-ta Niedziela po Zielonych Świątkach.
Ewangelia: "O Spustoszeniu Jerozolimy i Końcu Świata."

23 N	Klemensa Pap.	7:08	4:25	3:02	3:01	10 Jerasta
24 P	Chryzogona M.	7:09	4:24	4:14	3:33	11 Myny
25 W	Katarzyny P.	7:10	4:23	5:30	4:10	12 Josafata
26 S	Grzegorza ☼	7:12	4:23	6:45	4:53	13 Joana Złat.
27 C	Walerjana	7:13	4:22	8:01	5:46	14 Filipa
28 P	Rufina M.	7:14	4:22	9:11	6:42	15 Samona
29 S	Saturnina B.	7:15	4:21	10:12	7:47	16 Matfeja

49

1-sza Niedziela Adwentu.
Ewangelia: "O Znakach Dnia Sądowego."

30 N	Andrzeja. Adwent	7:17	4:21	11:48	8:56	17 Hryhoryja
------	------------------	------	------	-------	------	--------------

Zmiany Księ- życa.

☼ Pierwsza Kwa-
dra 3-go, o godzinie
5:18 wieczorem.

☼ Pełnia 11-go, o
godzinie 7:30 rano.

☼ Ostatnia Kwa-
dra 19-go, o godzinie
12:38 w południe.

☼ Now 26-go, o
godzinie 12:15 w po-
łudnie.

Dla Rolników

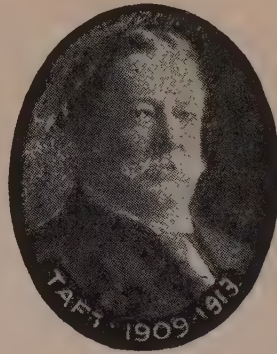
Począścić i pocho-
wać zbyteczne w tym
roku narzędzia. Opa-
trzyć budynki, kopce,
piwnice, pompy przed
mrozami. Drogi bro-
nować, ażeby nie by-
ło grudy. Czyścić i
strzyż inwentarz.
Pokrywać jatowiznę.
Pilnować pokrocia w
swoim czasie krów
wycielonych.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



ZAPISKI DOMOWE.

1

GRUDZIEŃ

1924

DWUNASTY
MIESIĄC

MA DNI 31



Przepowiednie Pogody.

1-9 śnieg; 10 zimno; 11-14 łagodnie i śnieg; 15 pogodnie i zimno; 16 do końca miesiąca obfite śniegi.

Dzień	Święci rzymsko-katolicki	Stany Północne				Dzień i Święci grecko-katolicki
		Śłoń.	Śłoń.	Księż.	Księż.	
1 P	Eligjusza bisk.	7:18	4:20	P.M.	10:07	18 Płatona
2 W	Bibjanny p.	7:19	4:20	12:24	11:13	19 Awdija
3 Ś	Franciszka Ks. ③	7:20	4:20	12:56	A.M.	20 Hryhoryja
4 C	Barbary panny	7:21	4:19	1:25	12:23	21 Wowed B.
5 P	Piotra Chryz.	7:22	4:19	1:52	1:28	22 Filymona
6 S	Mikołaja Bisk.	7:23	4:19	2:19	2:31	23 Amfilochja

50

2-ga Niedziela Adwentu.
Ewangelia: "O Janie w Więzieniu."

7 N	Ambrożego	7:24	4:19	2:45	3:32	24 Jekateryny
8 P	NIEPOK. PO CZ.	7:25	4:18	3:15	4:34	25 Klimenta
9 W	Leokadii p.	7:26	4:18	3:47	5:34	26 Alipija
10 Ś	N. M. P. Lor.	7:27	4:18	4:23	6:32	27 Jakowa
11 C	Damazego Pap. ④	7:28	4:18	5:03	7:27	28 Stefana a.
12 P	Senezjusza M.	7:29	4:19	5:48	8:19	29 Paramona
13 S	Łucji panny	7:30	4:19	6:37	9:07	30 Andreja a.

51

3-cia Niedziela Adwentu.
Ewangelia: "O Świadectwie Jana."

14 N	Spirydjona	7:31	4:19	7:32	9:50	1 Hrud. Nauma
15 P	Euzebjusza B.	7:32	4:19	8:30	10:29	2 Awakuma
16 W	Adelajdy	7:33	4:19	9:31	11:03	3 Sofonja
17 Ś	Łazarza B.	7:33	4:20	10:32	11:44	4 Warwary
18 C	Gracjana B.	7:33	4:20	11:36	P.M.	5 Sawy
19 P	Nemejusza ⑤	7:34	4:20	A.M.	12:31	6 Nykołaja
20 S	Pelagji Pokut.	7:35	4:21	12:42	1:02	7 Ambrozyja

52

4-ta Niedziela Adwentu.
Ewangelia: "O Rządach Tyberjusza."

21 N	Tomasza Apos.	7:36	4:21	1:51	1:29	8 Patapija
22 P	Zenona M.	7:36	4:22	3:02	2:00	9 Zaczt. B.
23 W	Wiktorji p.	7:37	4:22	4:12	2:41	10 Meny
24 Ś	Adama i Ewy	7:37	4:23	5:31	3:27	11 Danyła
25 C	BOŻE NAR. ⑥	7:37	4:23	6:46	4:21	12 Spirydjona
26 P	Szczepana M.	7:38	4:24	7:50	5:24	13 Eustatija
27 S	Jana Ewang.	7:38	4:25	8:51	6:43	14 Tyrsa

53

1-sza Niedziela po Bożem Narodzeniu.
Ewangelia: "O Symeonie i Annie."

28 N	Młodzianków	7:38	4:25	9:11	7:46	15 Eleuterja
29 P	Tomasza Bisk.	7:38	4:26	10:24	8:59	16 Aggieja
30 W	Dawida Króla	7:38	4:27	10:58	10:09	17 Danyła
31 Ś	Sylwestra Pap.	7:38	4:28	11:28	11:17	18 Sewastjana

Zmiany Księ- życa.

③ Pierwsza Kwa-
dra 3-go, o godzinie
4:10 rano.

④ Pełnia 11-go, o
godzinie 2:3 rano.

⑤ Ostatnia Kwa-
dra 19-go, o godzinie
5:11 rano.

⑥ Nów 25-go, o go-
dzinie 10:45 wiecz-
rem.

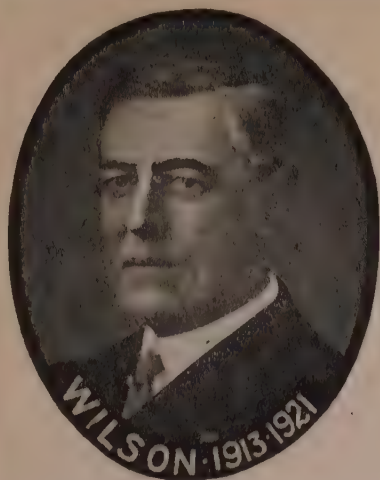
Dla Rolników

Utrzymywać cie-
pło budynki inwen-
tarskie. Przewietrzać
budynki. Wozić łód,
drzewo, węgle, drze-
wo budulcowe, cegły
itd. Rąbać przeręble
w stawach.

Co znaczy
A. M. i P. M.

A. M.—Ante Meridiem
(przed południem)

P. M.—Post Meridiem
(po południu).



**PREZYDENCI
STANÓW
ZJEDNOCZONYCH**



ZAPISKI DOMOWE.

[illegible]

KALENDARZ NA ROK 1924-ty.

ERY.

Dzień 1-szy stycznia roku 1924-go jest dniem 2,423,422-im Okresu Juljańskiego, a rok 1924-ty odpowiada rokowi 6637-mu tegoż okresu, którego rachuba rozpoczyna się od roku 4713-go przed narodzeniem Chrystusa. Wedle rachuby żydowskiej rok 5685-ty od stworzenia świata rozpoczyna się 10-go września roku 1924-go. Wedle rachuby japońskiej rok 13-ty okresu Taiszo rozpoczyna się 1-go stycznia roku 1924-go. Rok 1343-ci ery maho-metańskiej zwanej Hedžyrą (gdzie lata liczą się od ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny w roku 622-ym) rozpoczyna się o zachodzie słońca dnia 13-go sierpnia roku 1924-go.

ZACMIENIA.

Na rok 1924-ty przypadają trzy zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca.

1. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 20-go lutego, niewidzialne w Stanach Zjednoczonych, widzialne w części Alaski, na Oceanach: Spokojnym i Indyjskim, w Australji, Azji, Europie i Afryce.

2. Częściowe zaćmienie słońca, 5-go marca. Niewidzialne w Stanach Zjednoczonych, widzialne na Oceanie Antarktycznym i z południowej części Oceanu Atlantyckiego.

3. Częściowe zaćmienie słońca, 31-go lipca. Niewidzialne w Stanach Zjednoczonych. Widzialne z tych samych mniej więcej okolic, co zaćmienie słońca 5-go marca.

4. Całkowite zaćmienie księżyca, 14-go sierpnia. Niewidzialne w Stanach Zjednoczonych, ani wogóle w Ameryce, natomiast widzialne w częściach wszystkich pozostałych lądów świata.

5. Częściowe zaćmienie słońca, 29-go sierpnia. Niewidzialne w Stanach Zjednoczonych. Widzialne w Greenlandji, w północnych okolicach Europy i Azji, oraz pod biegunem północnym.

OKRESY CHRONOLOGICZNE.

Litera Dominikalna	FE
Epakta, czyli wiek księżyca 1-go stycznia	24
Liczba Złota (okres księżycowy)	6
Okres słoneczny	1
Indykcja Rzymska	7
Okres Juljański	6637

ŚWIĘTA RUCHOME.

Septuagesima (trzecia niedziela przed początkiem postu) — 17-go lutego.

Quinquagesima (ostatnia niedziela przed początkiem postu) — 2-go marca.

Popielec — 5-go marca.

Pierwsza niedziela postu — 9-go marca.

Palmona niedziela — 13-go kwietnia.

Wielkanoc — 20-go kwietnia.

Wniebowstąpienie Pańskie — 29-go maja.
Zielone świątki — 8-go czerwca.
Niedziela Świętej Trójcy — 15-go czerwca.
Boże Ciało — 19-go czerwca.
Pierwsza niedziela Adventu — 30-go listopada.

SUCHE DNI.

Pierwsze: 17-go, 19-go i 20-go Grudnia.

Drugie: 12-go, 14-go i 15-go Marca.

Trzecie: 11-go, 13-go i 14-go Czerwca.

Czwarte: 17-go, 19-go i 20-go Września.

PORY ROKU.

(Godziny podane wedle czasu "central standard time.")

Wiosenne zrównanie dnia z nocą 20-go marca. Początek wiosny o godzinie 3-ej minut 20 rano. Wiosna trwać będzie 92 dni, 19 godzin i 40 minut. W pierwszym dniu wiosny słońce wchodzi w znak Barana.

Letnie przesilenie dnia z nocą 21-go czerwca. Początek lata o godzinie 11-ej minut 0 rano. Lato trwać będzie 93 dni, 14 godzin i 59 minut. W pierwszym dniu lata słońce wchodzi w znak Raka.

Jesienne zrównanie dnia z nocą 23-go września. Początek jesieni o godzinie 1-ej minut 59 po północy. Jesień trwać będzie 89 dni, 18 godzin i 47 minut. W pierwszym dniu jesieni słońce wstępuje w znak Wagi.

Zimowe przesilenie dnia z nocą 21-go grudnia. Początek zimy o godzinie 8-ej minut 46 wieczorem. W pierwszym dniu zimy słońce wchodzi w znak Koziorożca.

Długość roku zwrotnikowego wyniesie 365 dni, 5 godzin i 52 minuty, licząc od chwili, kiedy słońce weszło w znak Koziorożca dnia 22-go grudnia roku 1923-go, do chwili, kiedy wejdzie znowu w znak Koziorożca z chwilą rozpoczęcia się zimy dnia 21-go grudnia roku 1924-go. Długość zimy roku 1923-24-go wyniesie dni 89 i 26 minut.

GWIAZDY PORANNE.

Merkury: Od 12-go stycznia do 22-go marca; od 7-go maja do 5-go lipca; od 11-go września do 25-go paźdz.; od 27-go grudnia do końca roku.

Venus: Od 1-go lipca do końca roku.

Mars: Od 1-go stycznia do 23-go sierpnia.

Jowisz: Od 1-go stycznia do 5-go czerwca; od 22-go grudnia do końca roku.

Saturn: Od 1-go stycznia do 19-go kwietnia; od 28-go października do końca roku.

Uranus: Od 7-go marca do 12-go września.

GWIAZDY WIECZORNE.

Merkury: Od 1-go do 12-go stycznia; od 22-go marca do 7-go maja; od 5-go lipca do 11-go września; od 25-go października do 27-go grudnia.

Venus: Od 1-go stycznia do 1-go lipca.

Mars: Od 23-go sierpnia do końca roku.

Jowisz: Od 5-go czerwca do 22-go grudnia.

Saturn: Od 19-go kwietnia do 28-go października.

Uranus: Od 1-go stycznia do 7-go marca; od 12-go września do końca roku.

ŚWIĘTA LEGALNE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

1-go stycznia. Nowy Rok: We wszystkich stanach i w Dystrykcie Columbia, z wyjątkiem Massachusetts, Mississippi i New Hampshire.

8-go stycznia. Rocznicą bitwy pod New Orleans w Louisianie.

19-go stycznia. Urodziny Lee'a. We Florida, Georgia, Alabama, Arkansas, North Carolina, South Carolina i Virginia.

12-go lutego. Urodziny Lincolna. W Connecticut, Illinois, Minnesota, New York, North Dakota, Pennsylvania i Washington (stan).

22-go lutego. Urodziny Washingtona: We wszystkich stanach i Dystrykcie Columbia, z wyjątkiem Mississippi.

2-go marca. Rocznicą Niepodległości Teksaskiej: w Texas.

6-go kwietnia. Pamiątka Konfederacji: w Louisianie.

19-go kwietnia. Dzień Patriotów: w Massachusetts.

21-go kwietnia. Rocznicą bitwy pod San Jacinto: w Texas.

26-go kwietnia. Pamiątka Konfederacji: W Alabama, Florida, i Georgia.

10-go maja. Pamiątka Konfederacji: W North Carolina i South Carolina.

Maj (w drugi piątek). Pamiątka Konfederacji: w Tennessee.

20-go maja. Rocznicą podpisania Mecklenburgskiej Deklaracji Niepodległości: W North Carolina.

30-go maja. Dzień Wieńczenia Grobów. We wszystkich stanach i terytorjach (i w Dystrykcie Columbia), z wyjątkiem Alabama, Arkansas, Florida, Georgia, Idaho, Louisiana, Mississippi, New Mexico, North Carolina, South Carolina, Texas i Virginia.

3-go czerwca. Urodziny Jeffersona Davisa: w Alabama, Florida i Georgia.

4-go lipca. Dzień Niepodległości: W całych Stanach Zjednoczonych.

24-go lipca. Dzień Pionierów: w Utah.

16-go sierpnia. Bitwa bennigtońska: we Vermont.

Wrzesień (pierwszy poniedziałek), Dzień Robotniczy: We wszystkich stanach i terytorjach (i w Dystrykcie Columbia), z wyjątkiem Arizona, Arkansas, Louisiana, Mississippi, Nevada, New Mexico, North Carolina North Dakota, Oklahoma i Vermont. Obserwowane jest w Wyoming, ale nie jest świętem legalnym.

9-go września. Przystąpienie do Unji: w California.

1-go listopada. Dzień wszystkich świętych: w Louisiana.

Listopad, pierwszy wtorek. — Główne wybory: W Arizona, California, Colorado, Idaho, Indiana, Iowa, Kansas, Kentucky, Louisiana, Maryland, Minnesota, Missouri, Montana, Nevada, New Hampshire, New Jersey, New York, North Dakota, Ohio, Pennsylvania, Rhode Island, South Carolina, South Dakota, Tennessee, Texas, West Virginia, Washington, Wisconsin i Wyoming—w latach kiedy wybory odbywają się w tych stanach.

25-go listopada. Dzień Pracy w parafji (powiecie) neworleańskiej, w Louisianie.

Listopad. — Dzień Dziękczynienia przypada zwykle w czwartą, czyli ostatnią czwartek w listopadzie, jak Prezydent oznaczy. Jest obserwowany we wszystkich stanach i w Dystrykcie Columbia, chociaż w niektórych stanach nie jest świętem obowiązującym.

Niedziela i święta uroczyste są świętami legalnymi we wszystkich stanach, gdzie przepisane jako takie. W Mississippi i Nevadzie niema świąt obowiązkowych, lecz przez zwyczaj ogólny święcą Czwartego Lipca, Dzień Dziękczynienia i Boże Narodzenie w Mississippi. W Kansas Dzień Wieńczenia, Dzień Robotniczy i Urodziny Washingtona są jedynymi świętami legalnymi według przepisu legislatury; inne legalne święta są obserwowane tylko przez zwyczaj ogólny. W New Mexico Dzień Wieńczenia, Dzień Robotniczy i "Arbor Day" są świętami, jeśli tak postanowi gubernator.

"Arbor Day" (Święto wiosenne sadzenia i szczepienia drzewek) jest świętem legalnym w Arizona, Minnesota, North Dakota i Wyoming. Dzień ów jest naznaczony przez gubernatora; w Texas 25-go lutego, w Nebraska 22-go kwietnia, w Montanie 8-go maja, w Utah 15-go kwietnia, w Rhode Island 11-go maja, we Florida pierwszy piątek w lutym, w Georgia pierwszy piątek w grudniu, w Colorado (tylko szkolne święto) trzeci piątek po 1-ym maja.

Każda sobota od 12-ej godziny w południe jest świętem legalnym w stanach: New York, New Jersey, North Carolina, Pennsylvania, Maryland, Tennessee, Virginia, w mieście New Orleans, La., w powiecie Newcastle, Del., oprócz St. George's Hundred; w Louisianie i Missouri w miastach z ludnością 100,000 lub więcej; w Ohio w miastach z ludnością 50,000 lub więcej, a także od 1-go czerwca do 31-go sierpnia w Denver, Colo. W Connecticut, Maine, Ohio banki zamykają w sobotę o 12-ej godzinie w południe.

Wykaz Alfabetyczny Imion ŚWIĘTYCH I ŚWIĄT NA ROK 1924 Z OZNACZENIEM DNIA I MIESIĄCA.

A.

Abdona, Męcz. 30 lipca.
Adama i Ewy 24 grudnia.
Adelaidy 16 grudnia.
Adolfa Bisk. 17 czerwca
Agapita Męcz. 18 sierpnia.
Agaty Panny 5 lutego.
Agnieszki Panny 20 kwietnia
Agnieszki Panny 21 stycznia
Agrypiny Panny 23 czerwca
Alberta 8 kwietnia
Albina Bisk. 1 marca
Aleksandra Bisk. 26 lutego
Aleksiego Wyzn. 17 lipca
Alojzego Gonz. 21 czerwca
Ambrożego 7 grudnia
Anastazji Panny 27 lutego
Andrzeja Apost. 30 listopada
Andrzeja z Awel. 10 kwietnia
Aniceta Papieża 17 kwietnia
Aniołów Stróżów 2 października
Anny, Matki NMP. 26 lipca
Antoniego Pustel. 17 stycznia
Antoniego z Padwy 13 czerwca
Antonina B. 17 maja
Anzelma B. 21 kwietnia
Apolinarego B. i M. 23 lipca
Apolonji Panny 9 lutego
Apoloniusza M. 18 kwietnia
Arkadiusza M. 12 stycznia
Atanazego 2 maja
Augustyna Bisk. 28 sierpnia

B.

Balbiny P. i M. 31 marca
Barbary Panny 4 grudnia
Barnaby Apost. 11 czerwca
Bartłomieja Apost. 24 sierpnia
Bazylego Bisk. 14 czerwca
Bazylego M. 22 marca
Benedykta Opata 21 marca
Benigny Panny 19 sierpnia
Benona Bisk. 16 czerwca
Bernarda Opata 20 sierpnia
Bernardyna Sen. 20 maja
Bibianny Panny 2 grudnia
Błażeja B. i M. 3 lutego
Bonawentury Dok. 14 lipca
Bonifacego Bisk., 5 czerwca
Bonifacego Męcz. 14 maja
Botwida Męcz. 28 lipca
BOŻE CIAŁO, 19 czerwca
5 Braci Polaków M. 12 listop.
7 Braci Męcz. 10 lipca
Brunona B. i M. 22 październ.
Brunona W. 6 października
Brygidy Wd. 8 października

C.

Cecylii Panny 22 listopada
Cezarego Biskupa 27 sierpnia
Chryzogona M. 24 listopada
Cyrjaka Męcz. 8 sierpnia
Cyryla B. 16 marca
Czesława Wyzn. 20 lipca

D.

Damazego Pap. 11 grudnia
Dawida Króla 30 grudnia
Dezyderjusza B. 23 maja
Domicełli Panny 7 maja
Dominika Wyz. 4 sierpnia
Donata i Rufina 7 kwietnia
Doroty Panny i M. 6 lutego
Dydaka Wyz. 13 listopada
Dyoniziego B. 8 kwietnia
Dyoniziego Męcz. 9 październ.
Dzień Zaduszny 2 listopada

E.

Edmunda B. 30 października
Edwarda Kr. 13 października
Eleonory Panny 21 lutego
Eligiusza Bisk. 1 grudnia
Elżbiety Kr. 8 lipca
Elżbiety Wdowy. 19 listopada
Emeryka Króla 5 listopada
Emila 22 maja
Emilji 5 kwietnia
Engelberta Męcz. 7 listopada
Erazma M. 3 czerwca
Eryka Kr. M. 18 maja
Eufrozyny Panny 14 stycznia
Eulogjusza B. 13 września
Eustachjusza M. 20 września
Eustazego 29 marca
Euzebjusza B. 15 grudnia
Euzebjusza 14 sierpnia
Euzebjusza 26 wrześn.
Ewarysta Pap. M. 20 październ.
Ezechiela Proroka 10 kwiet.

F.

Fabjana i Seb. M. 20 stycznia
Faustyna M. 15 lutego
Feliksa Pap. 30 maja
Feliksa de Val 20 listopada
Filipa i Jakóba Ap. 1 maja
Filipa Nereusza 26 maja
Flawjana Bisk. 17 lutego
Florjana Męcz. 4 maja
Franciszka Borg. 10 październ.
Franciszka Ksaw. 3 grudnia
Franciszka Salez. 29 stycznia
Franciszka Seraf. 4 październ.
Franciszka z Pauli 2 kwiet.
Franciszki Wdowy 9 marca
Frumencyusza B. 27 październ.
Fulgentego Wyzn. 23 lutego

G.

Gabrjela Arch. 18 marca
Gaudentego Męcz. 12 lutego
Genowefy Panny 3 stycznia
Gerarda B. i M. 24 września
Gereona z tow. MM. 11 październ.
Germana 23 maja
Gertrudy Panny 15 listopada
Gertrudy Wdowy 17 marca
Gerwazego i Protaz. 19 czerw.
Gorgonjusza 9 września
Gracjana B. 18 grudnia

Grzegorza Cudotw. 26 listop.
Grzegorza Papieża 12 marca
Grzegorza Teologa 9 maja
Gwidona W. 12 września

H.

Heleny Król. 22 maja
Heljodora B. 3 lipca
Henryka B. i M. 19 stycznia
Hermogenesa M. 19 kwietnia
Hieronima Wyz. 30 września
Hilarjusza Pap. 13 stycznia
Hipolita Męcz. 13 sierpnia
Huberta B. 3 listopada
Hygina M. 11 stycznia

I.

Idziego Opata 1 września
Ignacego Bisk. i Męcz. 1 lutego
Ignacego Wyzn. 31 lipca
Ildelfonsa Bisk. 28 stycznia
Ireneusza B. i M. 24 marca
Izajasza Proroka 6 lipca
Izydora Bisk. 4 kwietnia
Izydora Oracza 10 maja

J.

Jacka Wyznawcy 17 sierpnia
Jadwigi Wd. 15 października
Jakóba Apos. 25 lipca
Jana Bożego 8 marca
Jana Ewangelisty 27 grudnia
Jana Gwালberta 12 lipca
Jana i Pawła M. 26 czerwca
Jana Jałmużnika 23 stycznia
Jana Kantego 20 października
Jana Kapistrana 23 październ.
Jana Nepom. 16 maja
Jana Papieża 27 maja
Jana Pustelnika 26 marca
Jana w Oleju 6 marca
Jana Złotoustego 27 stycznia
Jana z Maty Wyzn. 8 lutego
Januarego M. 19 września
Jerzego M. 24 kwietnia
Joachima, Ojca P. M. 3 wrześ.
Joanny Franciszki Wd. 21 sierp.
Joanny Wdowy. 24 maja
Józefa Kalasantego 4 lipca
Józefa Obl. NMP. 19 marca
Juljana M. 9 stycznia
Juljanny P. 20 czerwca
Juljusza Męcz. 1 lipca
Juljusza Papieża 12 kwietnia.

K.

Kajetana Wyzn. 7 sierpnia
Kaliksta Pap. 14 października
Kandyda Męcz. 3 października
Kanuta Króla 16 lutego
Karola Borom. 4 listopada
Katarzyny P. i M. 25 listop.
Katarzyny Sen. 30 kwietnia
Katarzyny West. P. 23 marca

Kated. ś. Piotra w Ant. 22 lut.
Kated. ś. Piot. w Rz. 18 stycz.
Kazimierza Królew. 4 marca
Klary Panny 12 sierpnia
Klaudjusza Męcz. 7 lipca
Klemensa Pap. i M. 23 list.
Kleofasa Męcz. 25 września
Kleta i Marcelina PP. 25 kwiet.
Kolety Panny, 6 marca
Konrada Wyzn. 19 lutego
Konstancji P. 18 lutego
Kornelego i Cypr. 16 wrześ.
Koronatów 4-ch 8 listopada
Kosmy i Damiana 27 wrześ.
Krescentego 15 kwietnia
Kryspina M. 25 października
Krystyny P. 24 lipca
Kunegundy Panny 8 marca
Kwiryna M. 30 marca

L.

Lamberta M. 16 kwietnia
Łazarza Bisk. 17 grudnia
Leokadii Panny 9 grudnia
Leona Pap. 28 czerwca
Leona Pap. 11 kwietnia
Leonarda Wyzn. 7 listopada
Longina Męcz. 15 marca
Łucjana M. 7 stycznia
Łucji Panny 13 grudnia
Łucjusza Bisk. 11 lutego
Łudwika Króla 15 sierpnia
Łukasza Ewang. 18 paźdz.

M.

Macieja Apos. 24 lutego
Magdaleny de Pazyś 25 maja
Makarego Pustel. 2 stycznia
Maksyma B. 18 listopada
Maksymiljana B. 12 paźdz.
Małgorzaty Król. 10 czerwca
Małgorzaty P. 3 lipca
Mamerta Bisk. 11 maja
Marcela Pap. 16 stycznia
Marcela i Piotra MM. 2 czerwca
Marcina Bisk. 11 listopada
Marcina P. i M. 14 listopada
Marcjana Wyzn. 10 stycznia
Marka Ewang. 25 kwietnia
Marka i Marcelina 18 czerwca
Marka Pap. 7 października
Martyny Panny 30 stycznia
Marty Panny 29 lipca
Marji Egipcjanki 9 kwietnia
Marji Magdaleny 22 lipca
Marjusza M. 13 lutego
Mateusza Apost. 21 września
Maurycego 22 września
40 Męczenników 10 marca
Michała Archanioła 29 września
Medarda Bisk. 8 czerwca
Mikołaja Biskupa 6 grudnia
Mikołaja z Tolent. 10 września
Młodzianków 28 grudnia
Moniki Wdowy 5 maja

N.

NARODZENIE CHR. 25 grud.
NARODZENIE NMP. 8 wrześ.
Narodz. ś. Jana Ch. 24 czerwca
Nawiedz. NMP. 2 lipca
Nawróc. ś. Pawła 25 stycznia
Nemezjusza M. 19 grudnia
Niepok. Począ. NMP. 8 grudnia
Nicefora Bisk. 13 marca
Nikodema Męcz. 1 czerwca
Nikodema M. 15 września
Norberta Bisk. 6 czerwca
NOWY Rok 1 stycznia

O.

Oczyszczenie NMP. 2 lutego
Ofiarow. NMP. 21. listopada
Onufrego Wyzn. 12 czerwca
Opata B. i Aleksandra 4 czerwca
Oswalda B. 2 lutego

P.

Palmowa Niedz. 13 kwietnia
Pankracego Męcz. 12 maja
Panny Marji Łożet. 10 grudnia
Pantaleona 27 lipca
Patrycjusza B. 17 marca
Paulina B. 22 czerwca
Pawła I. Pustel. 15 stycznia
Pelagji Panny 1 marca
Pelagji Pokutnicy 20 grudnia
Petroneli Panny 31 maja
Pięt. ś. Franciszka 17 wrześ.
Piotra Chryzologa 5 grudnia
Piotra i Pawła Ap. 29 czerwca
Piotra M. 29 kwietnia
Piotra w okowach 1 sierpnia
Piotra Wyzn. 31 stycznia
Piotra z Alkant. 19 paźdz.
Piusa P. i M. 11 lipca
Placyda Męcz. 5 października
P. M. Anielskiej 2 sierpnia
P. M. Śnieżnej 5 sierpnia
Podwyż. ś. Krzyża 14 wrześ.
Polikarpa Bisk. i M. 26 stycz.
Popielec 5 marca
Praksedy P. 21 lipca
Prospera B. 25 czerwca
Prota i Jacka MM. 11 września
Prudencjanny i Felic. MM. 9 czerw
Przemien. Pańskie 6 sierpnia

R.

Rafała Arch. 24 października
Rajmunda Wyzn. 31 sierpnia
Reginy Panny 7 września
Remigjusza 1 października
Roberta Opata 7 czerwca
Rocha Wyznawcy 16 sierpnia
Romana Męcz. 9 sierpnia
Romana Wyzn. 28 lutego
Romualda Opata 7 lutego
Rozalji Panny 4 września
Rozesłanie śś. Ap. 15 lipca
Róży Panny 30 sierpnia
Rufina Męcz. 28 listopada
Rupertu Bisk. 27 marca
Ryszarda Bisk. 3 kwietnia

S.

Salomeji Panny 17 listopada
Saturnina Bisk. 29 listopada
Scholastyki Panny 10 lutego
Ścienie ś. Jana 10 lutego
Serwacego Bisk. 13 maja
Seweryna M. 8 stycznia
Sotera Męczennika 22 kwietnia
Spirydjona Bisk. 14 grudnia
Stanisława Bisk. 8 maja
Stanisława Kostki 16 listopada
Stefana Kr. 2 września
Sykstusa Papieża 28 marca

Sylwestra Papieża 31 grudnia
Symforjana M. 22 sierpnia
Symplicjusza B 2 marca
Synezjusza Męcz. 12 grudnia
Szczepana Męcz. 26 grudnia
Szkaplerza NMP. 16 lipca
Szymona i Judy Ap. 28 paźdz.
Szymona z Lip. 18 lipca

T.

Tekli Panny i M. 23 września
Telesfora Męcz. 5 stycznia
Teodora Męcz. 9 listopada
Teodory Męcz. 1 kwietnia
Teodozji Panny 29 maja
Teofila M. 27 kwietnia
Teresy 16 października
Tomasza Apost. 21 grudnia
Tomasza Bisk. 29 grudnia
Tomasza z Akwinu 7 marca
Tomasza z Wil. 18 września
Trzech Króli 6 stycznia
Tyburcego 14 kwietnia
Tymoteusza Bisk. 24 stycznia
Tytusa Biskupa 4 stycznia

U.

Urbana Papieża 5 września
Urszuli Panny 21 października

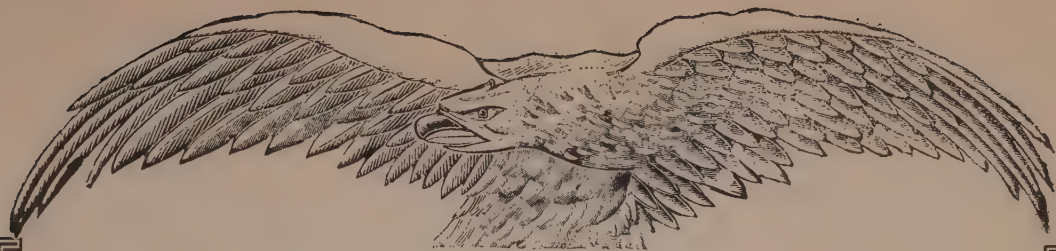
W.

Wacława Kr. i M. 28 września
Walentego M. 14 lutego
Walerjana 27 listopada
Walerjana M. 14 kwietnia
Wawrzyńca M. 10 sierpnia
Wenancjusza M. 21 maja
Weroniki Panny 4 lutego
WIELKANOC 20 kwietnia
Wiktoru B. 17 października
Wiktora Panny 23 grudnia
Wilhelma Opata 5 lipca
Wilhelma Wyzn. 6 kwietnia
Wincentego Fer. 5 kwietnia
Wincentego M. 22 stycznia
Wincentego z Pauli 19 lipca
Wita i Modesta 15 czerwca
Witalisa Męcz. 28 kwietnia
Władysława Króla 27 czerwca
Wniebowstąp. 29 maja
Wojciecha B. i M. 23 kwietnia
Wolfganga B. 31 października
Wolframa B. 20 marca
Wspom. ś. Paw. Ap. 30 czerw.
Wszystkich śś. 1 listopada

Z.

Zacharjasza B. 14 marca
Zacharjasza Proroka 6 wrześ.
Zacheusza Bisk. 23 sierpnia
Zefryna M. 26 sierpnia
Zenona Męcz. 9 lipca
Zenona Męcz. 2 grudnia
ZIELONE ŚWIATKI 8 czerwca
Znalezienie ś. Krzyża, 3 maja
Znal. ś. Szczepana 3 sierpnia
Zofji Męcz. 15 maja
Zuzanny P. i M. 11 sierpnia
Zwiastow. NMP. 25 marca
Zygryda B. 25 lutego.

This image shows a single sheet of white paper with horizontal blue or grey ruling lines. The lines are evenly spaced and run across the width of the page. There is no handwriting or other markings on the paper.



Dźwięczy Zygmunta Dzwon Dzwoni...

I.

Dźwięczy *Zygmun-*
ta dzwon dzwoni,
a echo daleko krąg
niesie,
toń opowiada wciąż
toni Alleluja!

II.

Zygmunta dzwon
dzwoni, rozdźwię-
ka,
w Ojczyźnie swobo-
dy i woli
...skończyła się Pol-
ski już męka
—Alleluja!



Dzwon "*Zygmunt*" na Wawelu.
...A echo wciąż idzie, łopce,
na skrzydłach radość się wzbija —
— dziś wolni — nie dzieci sieroce
Alleluja!
Zygmunta serce wciąż dzwoni...

STEFAN GRALEWSKI.

III.

"*Zygmunta*" koły-
szą się bary
i serce drży w mi-
łość, przestrogę:
"Wypleńcie z swych
mózgów już swa-
ry.
"Alleluja!"

IV.

"Radujcie się szczę-
ciem wolności;
"z niewoli wyzwo-
lon jest naród
— "potęgi dokazem
w miłości!"





BOULANGER.

STUDJUM

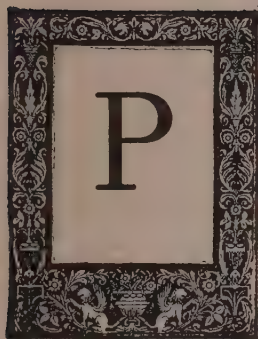


NAWRÓCONY

POWIEŚĆ W SKRÓCENIU

Przez

Bolesława Prusa



AN ŁUKASZ siedział zamyślony.

Był to starzec wysoki, chudy, pochylony. Liczył około 70-ciu lat i miał czarne, dosyć gęste włosy, upstrzone si-

wymi kosmykami. Nie posiadał ani jednego zęba, a śpiczasta broda zbiegała się z haczykowatym nosem, co fizjognomji starca nie nadawało przyjemnego wyrazu. Okrągłe, zapadłe oczy, a nad niemi brwi krzaczaste, żółta, pomarszczona skóra na twarzy i lekkie trzęsienie głowy nie robiły go piękniejszym.

Siedział w pokoju dużym, od kilkunastu lat nieoczyszczanym, zapchanym sprzętami. Były tam staroświeckie szafy i komody, były fotele, na których mole skórę zjadły, wyściełane krzesła i ob-

szerne kanapy. Na ścianach, zasnutych pajęczyną, wisały zczerniałe obrazy, na komodach i biurkach stały posążki i zegary, pokryte warstwą kurzu.

Prócz tego największego, były jeszcze dwa pokoje mniejsze, także wypełnione gratami. Graty owe, niepodobne jedne do drugich, ustawione nieporządnie, ściśnięte, próchniejące, wyglądały tak, jak gdyby z różnych stron świata spędzono je do wspólnego grobu.

Były między nimi niektóre, posiadające wielką wartość archeologiczną, niektóre uderzające pięknnością, inne — rozmiarami i dokładnością wyrobu, a jeszcze inne nie warte funta kłaków. Nie mniejszą rozmaitością odznaczyło się pochodzenie ich. Jedne pan Łukasz odziedziczył, drugie kupił u antykwaryuszów, albo na licytacji za marne pieniądze, trzecie darowano mu, jako miłośnikowi

osobliwości, inne zabrał swoim dłużnikom i niewypłacalnym lokatorom. I wszystko to zwłóczył do mieszkania, zapychał tem każdy kąt wolny, gromadził bez wyboru, ładu i końca, nie zadawszy nawet sobie przez siedmdziesiąt lat pytania: w jakim celu to robi! co mu z tego przyjdzie?

Przynióśszy na świat instynkt zagarniania wszystkiego, co się da, nie myślał o celu swych działań, nie zdawał sobie sprawy ze skutków, tylko... zagarniał. Głuchy na krzyk cierpień i klątwy, obojętny dla nieszczęść, które wytwarzał, skromny w użyciu, krzywdził ludzi na prawo i na lewo, sam nie osobliwego nie zaznał, tylko chwycił i gromadził. Postępowanie to nie przynosiło mu żadnego szczególnego zadowolenia, lecz zaspokajało ślepy instynkt.

Będąc jeszcze dzieckiem, Łukaszkiem, wydrwiwał on od swoich rówieśników zabawki, spędzał ich z miejsc cieplejszych na piasku, objadał się do niestrawności i napełniał kieszenie, byle z jego poreji nie dostało się co rodzeństwu. Będąc uczniem, pracował dni i noce, byle otrzymać najwyższe możliwe nagrody, i jeszcze gryzł się, że pomimo to, inni nagrody dostają.

Jako młodzieniec, wstąpił do biura i tam chciał pełnić wszystkie urzędy, wykonywać wszystkie prace, zabierać wszystkie pensje i łaski zwierzechników. Na-

reszcie ożenił się z najładniejszą i bogatą panną, nie z miłości, ale dlatego, ażeby kto inny jej nie dostał. I jeszcze niezadowolony ze swego losu, chciał bałamucić żony kolegom i znajomym.

Wszelako w tej epoce życia zetknął się z poważnemi przeszkodami. Koledzy biurowi chętnie odstępowali mu referaty, ale mocno bronili swoich tytułów i pensji. Zwierzchnicy chętnie posługiwali się nim, ale łask skąpili. Nareszcie panie, do których umizgał się, drwiły z niego, że był brzydki, a mężowie ich za natręctwo często urządzali Łukaszowi bolesne manifestacje.

Dzięki tak gorzkim naukom, pan Łukasz przestał dążyć do zagarnięcia wszystkiego, co jest pod słońcem, ale ograniczył się rzeczami możliwemi i najbliższemi. Gromadził więc sprzęty, książki, odzież, rozmaite osobliwości, a nade wszystko — pieniądze.

W gonitwie za posiadaniem bynajmniej nie myślał o używaniu. Mieszkania nie odnawiał, sługi nie trzymał, jadał w najlichszych restauracjach, nigdy nie leczył się, z powodu wstrętu do płacenia honoraryów lekarzom.

Żona jego rychło zmarła, zostawiwszy mu kamienicę i córkę. Pan Łukasz córkę wychował jako tako i najspieszniej wydał ją za męża. Ale ani wesela nie sprawił, ani obieczanego posagu nie wypłacił, ani nawet kamienicy matczynej nie zwrócił. Wkońcu nieznoś-

nym uporem sprawił to, że zięć wytoczył mu proces o zwrot domu. Sprawa była czysta, ale p. Łukasz nie chciał ustąpić. Będąc zasobnym i bardzo biegłym w prawie, przegrać musiał, ale dobrowolnie wynajdował mnóstwo wykrętów i działał na zwłokę, w czym dzielnie pomagał mu pan Kryspin, stary adwokat. Kryspin stracił już praktykę, ale z nałogu wyszukiwał sobie klientów z najbrudniejszymi sprawami i prowadził ich procesy za liche wynagrodzenie, albo nawet darmo. Byle nie zaśniedzieć!

Przez jakiś czas pan Łukasz miał rozrywkę. Oto z kilku starymi sędziami, z pewnym prokuratorem, z adwokatem Kryspinem schodzili się codziennie na preferans i grali o liczmany. Trwało to ze dwadzieścia lat, ale wkońcu urwało się. Sędziowie i prokurator zmarli, i został tylko pan Łukasz z adwokatem. Ponieważ zaś we dwu przyzwoitej gry urządzać nie mogli, a o tak dobrane towarzystwo, jak niegdyś, było im obecnie trudno, więc obaj zarzucili preferans. Pocieszali się tylko nadzieją, że prędzej lub później połączą się w niebie ze zmarłymi towarzyszami i tam grać będą całą wieczność.

Siedział tedy pan Łukasz na kanapie, z której w jednym rogu włosień wyłaził, splótł kościste dłonie, oparł je na kolanach, machinalnie poruszał zapadłemi ustami, trząsł głową i wciąż myślał.

Miał sporo kłopotów.

W dniu jutrzejszym przypadała w sądzie sprawa jego z córką o kamienicę, a tu, jakby na nie-szczęście, adwokat Kryspin wyjechał z Warszawy. Może nie wróci na czas i przegra?...

Byłby to dla pana Łukasza silny cios pod wielu względami. Najprzód, musiałby oddać córcie



dom, on, który tylko brać lubił. A powtóre, kto wie, czy córka, którą ojciec rzucił na pastwę niedostatku, nie zechce mścić się i nie każe płacić sobie za komorne?...

— Ech! chyba nie robi tego — szepnął Łukasz. — Ona zawsze była dobrym dzieckiem... Aie

zresztą — dodał z westchnieniem — to być może.

Pan Łukasz zrana posłał do kancelarii Kryspina list z zapytaniem: kiedy adwokat wraca? Tymczasem nie odebrał odpowiedzi, choć była już druga po południu.

— Co to może znaczyć!...

Taki był pierwszy kłopot, wcale nie największy. Jutro bowiem przypadała licytacja na ruchomości pewnego stolarza, który mieszkał w domu Łukasza i za kwartał komornego nie zapłacił. Otóż frasował się znowu pan Łukasz: czy niesumienny lokator nie ukrył czego i czy licytacja pójdzie dobrze, aby on odzyskał należność za komorne i jeszcze na koszt procesu?

Z tą licytacją była prawdziwa heca.

Dzień w dzień przychodził do pana Łukasza ktoś z rodziny stolarza, upadał mu do nóg i błagał, jeżeli nie o darowanie długu, to przynajmniej o prolongatę. Płakano przytem i mówiono, że stolarz jest ciężko chory i że licytacja zabić go może...

Ale pana Łukasza takie rzeczy nie obchodziły. On myślał raczej o tem, że kilku dobrych lokatorów miało zamiar wyprowadzić się z jego domu, i że już jeden lokal od dwu tygodni stał pustką. Niepoczciwi ludzie oczernili pana Łukasza. Mówili, że jest chciwy, zły gospodarz, i że, chociaż na pierśsiach nosi trzydzieści tysięcy rubli

listami zastawnymi, przecież nie chce odnawiać mieszkań i zarywa lokatorów, ile się da. Z tego powodu tylko w ostateczności najmowano lokale w jego domu.

— Zły gospodarz! — mruczał pan Łukasz. — A co to?... czy ja stróża nie trzymam? Czy co pierwszego nie zgłaszam się sam po komorne? Czy nie zmusił mnie magistrat do zaprowadzenia chodnika asfaltowego przy kamienicy?... O! jeszcze dziś gotują tę obrzydłą smołę pod oknami, a dym aż dusi... Bodaj z piekła nie wyjrzeli ci asfalcjarze, a najpierw główny przedsiębiorca!...

I znowu mruczał w dalszym ciągu:

— Mówią, że im mieszkań nie odnawiam. A dawnoż to kazałem obmurować wspólną wygódkę?... A mało przy tem miałem zgryzoty... Mularz hultaj zrobił źle, i aż musiałem mu nie tylko wstrzymać zapłatę, ale jeszcze przyaresztować naczynia...

Teraz pan Łukasz spojrzał w kąt pokoju, aby przekonać się, czy zaaresztowane przedmioty leżą na właściwem miejscu. Rzeczywiście zobaczył powalany wapnem szaflik, młot i kielnię.

— I taki łotr — dodał po chwili pan Łukasz — śmie jeszcze grozić mi procesem, albo nachodzić mój dom i upominać się o swoje naczynia i o zapłatę!... Czysty rabuś... Strach pomyśleć, jacy niesumienni są dzisiejsi ludzie! A

wszystko przez chciwość.

W tej chwili pan Łukasz powstał ciężko z kanapy i, suwając nogami, wyjrzał przez okno na ową zepsutą przez mularza wygodkę. Ale pomimo najszczerzych chęci nie mógłby powiedzieć, na czym polegało zepsucie naprawionego budynku...

Blżej okna stał duży śmietnik, zawsze pełny i cuchnący. Na szczycie stosu słomy, papierów, skorup i tym podobnych rupieci, pan Łukasz zobaczył swój stary, okrutnie podarty pantofel, który po długiej walce z sobą, wczoraj własnoręcznie wyrzucił.

— Ej! czy ja się tylko nie pośpieszyłem zanadto z tem wyrzuceniem? — pomyślał starzec. — Pantofel z daleka wygląda wcale dobrze... Chociaż... zostawmy go w spokoju! Codzień musiałem go łatać, na co, jak obliczyłem bez błędu, wychodziło mi rocznie za parę rubli skrawków...

Wtem zapukano do mieszkania. Pan Łukasz odwrócił się od okna i z niemałym wysiłkiem, prędko suwając nogami, doszedł do drzwi. Otworzył w nich drewniany lufcik i przez kratę zapytał:

— Kto tam tak wali we drzwi?... Czy nie wiesz, żeś mógł je wyłączyć?

— List z kancelarji pana adwokata! — odpowiedział głos z poza kraty.

Pan Łukasz prędko pochwycił pismo.

— A może co na piwo dostanę? — zapytał posłaniec.

— Nie mam drobnych — odparł pan Łukasz. — Zresztą, nie wal tak mocno we drzwi, jeżeli chcesz dostać na piwo.

Zamknął lufcik i powlókł się do okna, a tymczasem za drzwiami posłaniec wymyślał mu:

— A to stary kutwa! Nosi na żebrach trzydzieści tysięcy rubli, obdziera każdego i jeszcze na piwo nie chce dać. Bodaj cię z piekła wyrzucili...

— Cicho bądź, ty zuchwalcze! — odparł mu pan Łukasz i odpieczętował list.

Straszna wiadomość!...

Dependent pisał, że pociąg, którym jechał adwokat Kryspin, rozbił się. Ponieważ adwokat żałował zwykle pieniędzy na telegramy, więc dependent był dotychczas w niepewności, czy pan Kryspin żyje... W każdym razie jednak — stało dalej w liście — sprawa pana Łukasza przeciw zięciowi o kamienicę jutro będzie popierana. Kryspin bowiem, jako człowiek systematyczny, naznaczył przed wyjazdem zastępcę.

— A! do licha! — mruknął Łukasz. — Temu zastępcy trzeba zapłacić, gdy tymczasem pocziwy Kryspin nie brał!... Jeszcze może sprawę przegram i wyrzucą mnie z domu?...

Złożył list, wsunął go w koper-

tę i schował do biurka, mówiąc dalej do siebie:

— Pewnie Kryspin, jak zwykle, miał przy sobie wszystkie pieniądze... Jeżeli zginął w pociągu to go niezawodnie okradną. Familji nie ma... Stary kawaler... Nie wolał onby to mnie taką sumę zapisać?... Miał chyba ze dwadzieścica tysięcy rubli...

Z temi słowy pan Łukasz obmacał piersi, na których pod koszulą gruba paka tysiącerublowych listów zastawnych spoczywała dniem i nocą.

Wiadomość o możliwej śmierci adwokata, w połączeniu z procesem i licytacją, które on właśnie prowadził, zrobiły na panu Łukaszu bardzo silne wrażenie. Starzec zmartwił się tak, że aż uczuł bóle reumatyczne w nogach i w głowie. Chodzić nie mógł, więc owinał głowę zabrudzonym szalikiem i położył się na łóżku.

Z ulicy dolatywała go woń asfaltu, którym na koszt pana Łukasza i innych właścicieli domów wylewano chodnik. Ostry zapach drażnił starca.

— Oto dzisiejsze gospodarstwo miejskie! — biadał stary samotnik. — Robią chodniki z materjałów kruchych i tak cuchnących, człowiekowi mało głowa nie pęknie. Bodajecie z piekła nie wyrzeli, a najbardziej ten djabelski inżynier, który dopóty pisał o asfalcie, dopóki nie wziął go w przedsiębiorstwo. Włóczykij!...

I z niejakim zadowoleniem

rozmyślał o tem, że inżynier może naprawdę z piekła wyrzeć. Ale jednocześnie przypominał sobie, że przed chwilą jemu, panu Łukaszu, posłaniec powiedział:

— Bodaj cię z piekła wyrzucili!...

— Głupiec jakiś! — szepnął pan Łukasz. — Mnieby tam z piekła wyrzucili!...

Ale wnet pomiarkował się, że plecie od rzeczy i sam na siebie zły wyrok wydaje. Bo jeżeli go z piekła nie wyrzucą, to będzie w niem siedział, będzie gotował się w smole...

— Za co?... — mruknął starzec. — Cóżem ja komu winien?...

Sumienie jednak musiało mu coś wyrzucać, wnet bowiem poprawił się:

— Naturalnie, zem nie nikomu nie winien... Jak żyję, nie pożyczałem pieniędzy od nikogo!...

Ale i ten wykręt nie zaspokoił go.

Pan Łukasz był jakoś dziwnie rozstrojony. Asfalt pachniał coraz mocniej, a jego bolała głowa coraz gwałtowniej. Nie mógł opędzić się myśli o losie adwokata Kryspina, który już umarł, choć miał dopiero lat sześćdziesiąt — i umarł nagle...

A ten piękny komplet preferansistów, grających o liczmany, jakże prędko rozproszył się! Jeden sędzia umarł na apopleksję, mając lat pięćdziesiąt ośm. Drugi na suchoty — w pięćdziesiątym roku życia. Trzeci spadł ze scho-

dów. Prokurator bodaj czy się sam nie otruł, a teraz przyszła kolej na adwokata...

Przy siedmdziesięcioletnim panu Łukaszu wszyscy oni byli młodzikami i pomimo to zeszli ze świata. Tam, za grobem, zebrało się już całe kółko preferansistów — i jeżeli nie grają jeszcze, to tylko z tego powodu, że on się jeszcze nie stawiał.

— Brrr!... jakże mi zimno! — mruknął pan Łukasz. — A jeszcze ten asfalt... O, to byłby interes, gdyby mnie dym asfaltowy umorzył teraz, zaraz! A tu proces nie rozstrzygnięty, stolarz nie zlicytowany, lokale nie wynajęte, mularz może wykraść swoje narzędzia... A stróż ten, gdybym już nie wstał, zrewiduje moje zwłoki i zabierze mi z pod kaftanika trzydzieści tysięcy rubli. A ja nie będę go mógł nawet zaskarżyć!... Czy to być może, abym ja przeżył siedmdziesiąt lat? Wydaje mi się, że dzieciństwo, szkoły, biuro, preferans, że wszystko to odbyło się wczoraj. Ale kłopoty, procesy, samotność, jakże długo ciągnęły się!...

Strach ogarnął pana Łukasza. On nigdy jeszcze tak poważnie nie myślał o życiu, nigdy nie zastanawiał się nad niem, tylko zbierał i gromadził, co mu wpadło pod rękę.

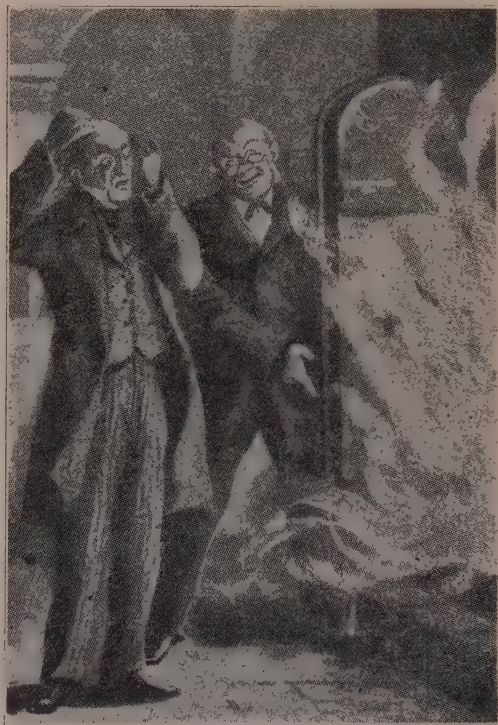
— Ej! czy te nowe, niesłychane myśli nie oznaczają blizkiego końca!...

Pan Łukasz chciał zerwać się,

ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Chciał zrzucić szalik z głowy, ale stracił władzę w ręku. W końcu chciał oczy otworzyć... Na próżno!...

— Umarłem! — westchnął, czując, że mu i usta zdętwiały.

Gdy panu Łukaszowi wróciła przytomność, nie leżał już na swym łóżku, ale stał w jakiejś du-



żej sieni przed żelaznymi drzwiami. Sień była sklepią i miała ceglana posadzkę. Przy drzwiach był ogromny zamek, przez którego dziurkę dokładnie widzieć można było mieszkanie sąsiednie.

Pan Łukasz zajrzał.

Zobaczył dwie sale, jedną za drugą. W pierwszej ktoś, bardzo podobny do adwokata Kryspina,

czytał wielki zeszyt aktów sądowych. W drugiej sali był stół zielonem suknem przykryty i kilka prostych foteli, obitych czarną skórą. W głębi przy szafie, wypełnionej aktami, czterej mężczyźni zdejmowali ubrania cywilne i wkładali mocno wyszarżane mundury ze złożonymi guzikami i haftem na kołnierzach.

Pan Łukasz zaniepokoił się. Ci czterej byli mu dobrze znani. Jeden z nich, kulawy, z bliznami na twarzy, bardzo przypominał sędziego, który stracił życie, spadłszy ze schodów. Ten drugi, tłusty, z krótką szyją i siną twarzą, był niesłychanie podobny do sędziego zmarłego na apopleksję. Trzeci, chudy jak laska cynamonowa, czysty szkielet, kaszlący — to sędzia, który umarł na suchoty. A czwarty — to prokurator we własnej osobie, który ze wszystkimi kłócił się przy preferansie, wечно chorował na wątrobę i pod wpływem hipochondrii połknął strychniny!...

Co to znaczy?... Czyżby pan Łukasz spał i marzył?...

Starzec uszczypnął się, i teraz dopiero spostrzegł, że zamiast szlafroka ma na sobie długi, czarny surdut watowany. Coś go ukłuło w brodę. To kołnierzyk, tak mocno wykrochmalony, że w życiu podobnego nie nosił. Uczuł wkońcu, że nogi go trochę pieką. Spojrzał: ależ on ma nowe buty!... nowe i ciasne!

Nieograniczone zdumienie ogarnęło pana Łukasza.

W takim nastroju ducha przycisnął wielką klamkę. Ciężkie drzwi odsunęły się, i pan Łukasz wszedł do sali, sklepionej podobnie jak sień i przypominającej izby klasztorne, albo hipoteczne.

W tej chwili jegomość, czytający akta, odwrócił się od pulpitu, i pan Łukasz poznał w nim adwokata Kryspina. Prawnik zdawał się być nieco potłuczony, miał jednak cerę zdrową i minę dość swobodną.

— Więc ty żyjesz, Kryspinie! — zawołał pan Łukasz, ściskając rękę przyjaciela.

Adwokat spojrzał na niego badawczo.

— Twój dependent — mówił dalej Łukasz — napisał mi, że się pociąg z tobą rozbił...

— No tak — odparł adwokat obojętnie.

Pan Łukasz zawahał się, jakby nie dowierzając swoim organom słuchowym.

— Jakże? — pytał — więc w tej katastrofie kolejowej ty zostałeś zabitym?...

— Rozumie się.

— Na śmierć?...

— Rozumie się! — odparł zniecierpliwiony adwokat. — Przecież, kiedy ci sam mówię, że zostałem zabity na śmierć, to już musi być prawda.

— Powiedz-że mi, mój Kryspi-

nie — rzekł — powiedz-że mi, a... pieniędzy nie ukradli ci?

— Bynajmniej, leżą nawet w tej sali.

I to powiedziawszy, adwokat wskazał jedną półkę, gdzie między stosem makulatury walały się listy zastawne.

Pan Łukasz oburzył się.

— Któż znowu tak robi, mój Kryspinie? Mogą ci jeszcze zginąć!... — zawołał.

— A cóż mnie to obchodzi? Listy zastawne nie mają tu żadnej wartości.

— Tylko złoto? — pochwycił Łukasz.

— Ani złoto. Bo i co nam po niem? Wikt mamy darmo, mieszkanie darmo, odzienie nie niszczy się, a preferansa grywamy o grzechy powszednie.

Pan Łukasz nie rozumiał tego, co słyszy, ale też przestał się dziwić.

— Swoją drogą — rzekł do Kryspina — złoto nawet w tych warunkach ma swoje powaby. Posiada ono blask, dźwięk...

Adwokat zbliżył się do ściany i otworzył małe, żelazne drzwiczki. W tej chwili Łukasz zobaczył straszliwy blask, buchający jakby z pieca, gdzie topi się stal, usłyszał okrutne jęki tysiąca głosów i brzęk łańcuchów.

Pan Łukasz zamknął oczy i zakłaskł uszy. Nigdy jeszcze nerwów jego nie wstrząsnęły równie silne wrażenia.

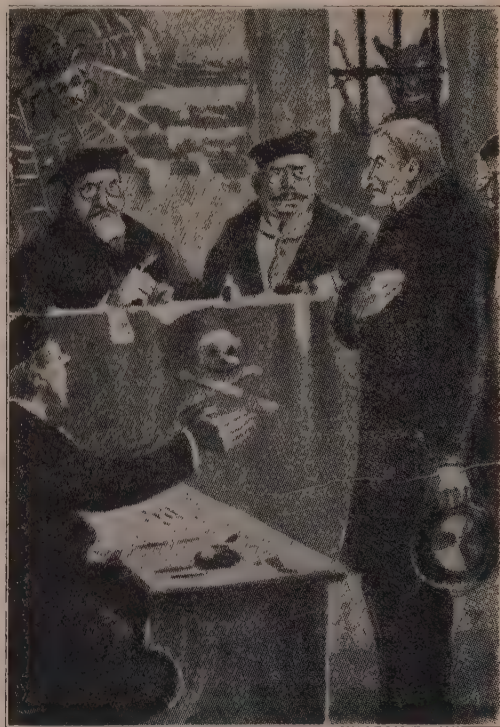
Adwokat zatrzasnął drzwiczki i rzekł:

— To ma lepszy dźwięk i blask, aniżeli złoto. Prawda?

— Tak — odparł spokojny Łukasz — ale złoto ma wagę i trwałość.

Kryspin przez chwilę mileżał smutnie.

— Łukaszu — rzekł nagle —



podaj-no mi moją rękawiczkę. Leży na tym pulpicie.

Łukasz schwycił prędko czarną rękawiczkę zwyczajnych rozmiarów, lecz w tej chwili rzucił ją na ziemię. I — niesłychana rzecz! — drobny ten przedmiot upadł z łoskotem kilkusetfuntowej bryły żelaza.

— Co to znaczy? — zapytał prze-
rażony.

— To widzisz, jest materiał, z
którego mamy odzienie. Krawat i
rękawiczki ważą po pięćset fun-
tów, buty po dwa tysiące funtów,
surdut około stu tysięcy funtów i
tak dalej!... Mamy zatem dosyć o-
wej wagi, która ci się tak podoba
w złocie.

— A więc, kochany Kryspinie!
powiedz mi, gdzie... niby gdzie...
ja jestem?

Adwokat wzruszył ramionami.

— Czy jeszcze nie domyśliłeś
się, że jesteś za grobem, tam, gdzie
zmarli zamieniają żywot doczesny
na wieczny?

Pan Łukasz otarł pot z czoła.

— Niestety! — zawołał —
a toć ja zostawiłem dom i miesz-
kanie bez dozoru...

W sąsiedniej sali rozległ się
głos dzwonka.

— Kto tam jest? — zapytał na-
gle Łukasz.

— Nasi preferansowi towarzy-
sze: sędziowie i prokurator.

— Więc możemy zrobić pulkę?
— rzekł nieco weselej Łukasz. —
Widziałem tam nawet stół...

Kryspin jednak był mniej we-
soły.

— My tu robimy pulki — odparł
— ale z tobą musimy najprzód za-
łatwić czynność urzędową. Do-
wiedz się, że tamci panowie two-
rzą sąd szczegółowy, który zbada
całe twoje życie i zakwalifikuje
cię do pewnej kategorii piekła. Ja
jestem twoim adwokatem, rozpa-

trzyłem się w aktach i obawiam
się, czy będziesz mógł zasiąść z na-
mi do pulki!...

Gdyby teraz pan Łukasz miał
przed sobą lustro, przekonałby się,
że istotnie jest trupem — tak zmi-
zerniał, wysłuchawszy adwokata.

— Kryspinie! — rzekł nieszczę-
śliwy, drżąc całym ciałem — więc
wy jesteście w piekle?

— Bah!

— I ja mam być w piekle?...

— Och!... — mruknął adwo-
kat, jakby zdziwiony pytaniem.

— A jakimże prawem wy mnie
sądzicie?

— Tu, widzisz, jest taki zwy-
czaj, że hultaje sądzą hultajów —
odparł Kryspin.

— Mój kochany — rzekł Łu-
kasz, składając ręce — więc kiedy
tak, to osądzisz mnie do tego od-
działu, w którym sami bawicie!..

— My tylko tego pragniemy —
odpowiedział adwokat — ale...

— Co ale?... Jakie ale?

— Musisz dowieść sądowi, że w
ciągu życia spełniłeś choć jeden
czyn... bezinteresownie.

— Jeden? — zawołał pan Łu-
kasz. — Chyba sto, tysiąc... Ja
całe życie postępowałem tylko
bezinteresownie.

Kryspin z powątpiewaniem po-
kiwał głową.

— Mój Łukasz — rzekł — ja z
twoich akt bynajmniej nie widzę

tęgo. Gdybyś, jak mówisz, całe życie postępował bezinteresownie, to nie dostałbyś się do naszego towarzystwa, które w czwartym departamencie piekła tworzy ósmą sekcję jedenastego oddziału.

W sąsiednim pokoju odezwał się dzwonek po raz drugi. Jednocześnie Łukasz usłyszał gruby głos sędziego, który zmarł na apopleksję:

— Czy nowoprzybyły już gotów?

— Chodźmy! — rzekł adwokat, biorąc Łukasza pod rękę.

Weszli. Sąd siedział w komplecie, ale żaden z jego członków nawet kiwnięciem głowy nie powitał Łukasza. Starzec obrzucił okiem salę. W dużych szafach leżały akta, opatrzone nazwiskami. Łukasz naprędce odczytał niektóre i ze zdumieniem przekonał się, że są to nazwiska dobrze znane.

Nad szafami widać było gęstą pajęczynę, pająki z twarzami sławnych lichwiarzy, które zajmowały się udręczeniem much. W tych biednych owadach pan Łukasz poznał najznakomitszych współczesnych rozrzutników.

Sala ta znajdowała się pod dozorem jednego z eks-urzędników cyrkulowych, który grzeszył braniem łapówek, a umarł z pijaństwa.

Prokurator zabrał głos.

— Dostojni sędziowie! — rzekł, wskazując Łukasza. — Ten oto człowiek, jak wam z dokumentów wiadomo, przez ciąg siedm-

dziesięciu lat, spędzonych na ziemi, nikomu nie zrobił nic dobrego, a wielu krzywdził. Za takie postępowanie wyrokiem wyższej instancji zakwalifikowany został do jedenastego oddziału w czwartym departamencie piekła. Obecnie zaś chodzi o to tylko, czy ma być przyjęty do naszej sekcji, czy do innej, a może... posłany gdzie dalej. Zależy to od jego osobistych zeznań i dalszego postępowania. Czy adwokat obwinionego ma co do powiedzenia?

Pan Łukasz spostrzegł, że już w połowie prokuratorskiej mowy wszyscy sędziowie twardo zasnęli. Nie dziwiło go to jednak, gdyż, jako zapamiętały procesowicz, bardzo często bywał na sądach, tam—na ziemi.

Nigdy jeszcze pan Kryspin nie okazał tyle adwokackich przymiotów, co przy obronie dzisiejszej. Gmatwał sprawę, kręcił i kłamał tak znakomicie, że aż w zakratowanych oknach sali ukazały się zdziwione twarze djabłów. Ale sędziowie drzemali niewzruszeni, wiedząc, że nawet w piekle nie warto słuchać dowodzeń, nie mających praktycznego gruntu.

Nareszcie adwokat upamiętał się i zawołał:

— A teraz, dostojni sędziowie, zacytuję wam jedną tylko, ale niezbłą prawdę na obronę mojego klienta. Oto... był on prefersistą jakich mało...

— Prawda! — szepnęli rozbudzeni sędziowie.

— Mógł grać całą noc i nigdy się nie irytował.

— Prawda!...

— Skończyłem, panowie! — rzekł adwokat.

— I zrobiłeś pan bardzo dobrze — odezwał się prokurator. — A teraz zechciej nam wymienić jeden, jedyny czyn, któryby obwiniony spełnił w życiu bezinteresownie. Inaczej, jak panu wiadomo, grzesznik ten nie może być przyjęty do naszej sekcji.

— A tak świetnie pomagał!... — szepnął sędzia, który zmarł skutkiem upadku ze schodów.

Wymowny adwokat umilkł i zagłębił się w rozpatrywaniu dokumentów. Widocznie nie miał już nic do powiedzenia.

Stan sprawy Łukasza był tak smutny, że wzruszył nawet prokuratora.

— Obwiniony! — zawołał oskarżyciel. — Czy nie przypominasz sobie choć jednego bezinteresownego czynu w życiu, byle dobrego?...

— Sędziowie! — rzekł pan Łukasz z głębokim ukłonem. — Kazałem przed domem wylać chodnik asfaltowy...

— Za który na dwa tygodnie pierwszej podniosłeś komorne lokatorem — przerwał mu prokurator.

— Odnowiłem wygodkę!...

— Tak! ponieważ zmusiła cię do tego policja.

Łukasz pomyślał.

— Ożeniłem się!... — rzekł po chwili.

Ale prokurator tylko machnął ręką i surowo zapytał:

— Czy nie już więcej nie masz do powiedzenia?

— Panowie sędziowie! — zawołał Łukasz, bardzo już przestraszony. — Ja wiele w życiu mojem spełniłem czynów bezinteresownych, ale jestem stary... pamięć mi nie dopisuje...

Teraz adwokat zerwał się, jakby go pokropiono święconą wodą.

— Sędziowie! — rzekł — obwiniony ma rację. Poszukawszy, znalazłby niewątpliwie w życiu swem niejednen czyn piękny, bezinteresowny, szlachetny, ale cóż, kiedy go pamięć opuściła?... Dlatego proszę, a nawet domagam się, ażeby sąd, ze względu na wiek i przestrah obwinionego, nie ograniczał się jego zeznaniami, lecz... poddał go próbom, które w całym blasku okażą wszystkie wzniosłe jego przymioty...

Zgodzono się na projekt, i sąd począł naradzać się nad rodzajem próby. Pan Łukasz tymczasem odwrócił głowę i spostrzegł za sobą jakąś nową figurę. Był to niaby woźny sądowy, ale z miną tego pokątnego doradcy, który miał na ziemi słynny proces o kradzież, oszustwo i przywłaszczenie sobie tytułów.

— Zdaje mi się, że mam przyjemność znać pana dobrodzieja?—

rzekł Łukasz, wyciągając do woźnego rękę.

Woźnemu oczy zaiskrzyły się, i już chciał schwycić rękę Łukasza, gdy nagle pan Kryspin odtrącił go mówiąc:

— Dajże pokój, Łukaszu!... Toż to djabeł... Dopierobyś dobrze wyszedł, gdyby cię raz złapał...

Pan Łukasz bardzo się zmieszał, począł uważniej oglądać tę nową figurę, a nareszcie szepnął do adwokata:

— Jak też ludzie we wszystkim przesadzają! Mówiono mi zawsze, że djabeł ma rogi, tak wielkie, jak stary kozieł, a ten przecie nie ma większych, niż młode ciele. Ledwie mu guzy znać...

W tej chwili sąd przywołał do siebie adwokata. Prezydujący szepnął mu coś, i wnet potem Kryspin rzekł głośno do Łukasza:

— Czy zrobiłeś kiedy w życiu jaką ofiarę, naprzykład na cel dobroczynny?

Łukasz zawahał się.

— Niedobrze pamiętam — odparł — mam już lat siedmdziesiąt...

— A czy nie miałbyś ochoty teraz zrobić podobnej ofiary? — pytał adwokat i znacząco mrugnął.

Pan Łukasz wcale nie miał ochoty, ale spostrzegłszy owo mrugnięcie, zgodził się.

Podano mu papier i pióro, a pan Kryspin rzekł:

— Napisz deklarację, tak, jakbyś ją pisał do Kurjera.

Pan Łukasz usiadł, pomyślał, napisał i oddał kartkę.

Prokurator czytał:

“Od Łukasza X., właściciela domu... na ulicy... pod numerem... rubli srebrnych trzy (Nr. 3) składa się na cel dobroczynny. Tamże znajdują się narzędzia mularskie do sprzedania, tudzież róż-



ne lokale do wynajęcia po cenach umiarkowanych.”

Usłyszawszy taką deklarację, sąd osłupiał, adwokat przygryzł ze śmiechu.

wargi, a djabeł aż się za boki brał

— Obwiniony! — krzyknął prokurator. — Tyś napisał reklamę dla swego domu, nie zaś deklarację. Kto robi ofiarę na cel dobroczynny i robi ją bezinteresownie,

ten nie może jednocześnie załatwiać spraw majątkowych.

Po tej nauce podano Łukaszowi inny papier. Nieszczęśliwy, drząc z trwogi, usiadł i napisał:

“Od nieznanomego dla ubogich kopiejek... piętnaście.”

Ale wnet przemazał wyraz piętnaście i napisał pięć.

Sąd odczytał deklarację, sędziowie pokiwali głowami, ale zgodzili się, że jak dla Łukasza, to i taka ofiara, byle bezinteresowna, wystarczy.

Wtem odezwał się djabeł:

— To w jakim celu dałeś pan, panie Łukaszu, te pięć kopiejek na ubogich?...

— Za zbawienie grzesznej duszy mojej, panie dobrodzieju! — odparł Łukasz.

Djabeł znowu wybuchnął śmiechem, sędzia prezydujący uderzył pięścią w stół, a adwokat począł rwać sobie włosy.

— Ach, ty stary ośle! — zawołał Kryspin na pana Łukasza. — Słyszałeś przecie, że masz zrobić ofiarę bezinteresowną, a więc ani na ogłoszeniach o lokalach, ani nawet za zbawienie duszy!... Ale ty widać taki jesteś chciwy, że pięciu kopiejek nie możesz poświęcić dla ubogich bez żądania nagrody, i jeszcze takiej, jak zbawienie!...

Teraz sędziowie powstali ze swych miejsc. W ich groźnych i smutnych spojrzeniach pan Łukasz czytał dla siebie jakiś straszny wyrok.

— Woźny! — rzekł prezydujący. — Wyprowadź obwinionego do ostatniego kręgu piekła!

Ale djabeł machnął ręką.

— A nam co po takim pensjonarzu — rzekł — który własną duszę ocenia tylko na pięć kopiejek?

— Cóż my z nim zrobimy? — spytał prokurator.

— Co się panom podoba! — odparł djabeł, pogardliwie wzruszając ramionami.

— Więc zrobmy jeszcze jedną próbę — pochwycił adwokat.

I zbliżywszy się do prezydującego, coś z nim poszeptał.

Prezydujący naradził się z innymi sędziami i rzekł:

— Obwiniony! Między nami pozostać nie możesz, djabeł przyjąc cię nie chce, boś sam za nizko otaksował swoją duszę. Skazujemy cię na ostatnią próbę. Oto dusza twoja wejdzie w ten stary pantofel, który przed kilku dniami wyrzuciłeś na śmietnik... Dixi!

Pan Łukasz zdań o duszy słuchał obojętnie, ale gdy wspomniano o pantoflu, zainteresował się.

W tej chwili djabeł popchnął go ku zakratowanemu oknu sali sądowej: starzec wyrzwał i — o dziwy!...

Zobaczył podwórko swojej kamienicy, okno swego mieszkania (po którym ktoś obecnie chodził), nareszcie śmietnik, a na jego szczycie swój pantofel.

— Ej! — mruknął — czy ja się tylko nie pospieszyłem z wyrzuce-

niem jego?... Chociaż za dużo kosztowały reparacje...

Na podwórku ukazała się żebraczka nędzna, obdarta. Jedną nogę miała owiniętą w brudne łachmany i mocno kulała.

Rozejrzała się po oknach, widocznie z zamiarem proszenia o jałmużnę. Ale, że jakoś nikt nie wyglądał, więc zwróciła się ku śmietnikowi, myśląc, że choć tam co znajdzie.

Spostrzegła pantofel Łukasza.

Z początku wydał się jej bardzo zły. Że jednak nie było nic lepszego pod ręką, a chora noga widać bardzo jej dokuczała, więc... wzięła pantofel.

Pan Łukasz nie przeoczył ani jednego ruchu z tej sceny. Gdy zaś zobaczył, że uboga bierze pantofel i wychodzi z nim z podwórka, zawołał:

— Hej! hej! kobiecino, to mój pantofel!...

Żebraczka obejrzała się i odparła:

— A cóż wielmożnemu panu po takim łachu?

— Łach, czy nie łach, ale zawsze on mój. Darmo go brać nie wypada, bo to wygląda na kradzież. Więc jeżeli nie chcecie mieć grzechu, to... zmówcie paciorki za duszę Łukasza!...

— Dobrze, panie! — rzekła baba i poczęła mruczeć pacierze.

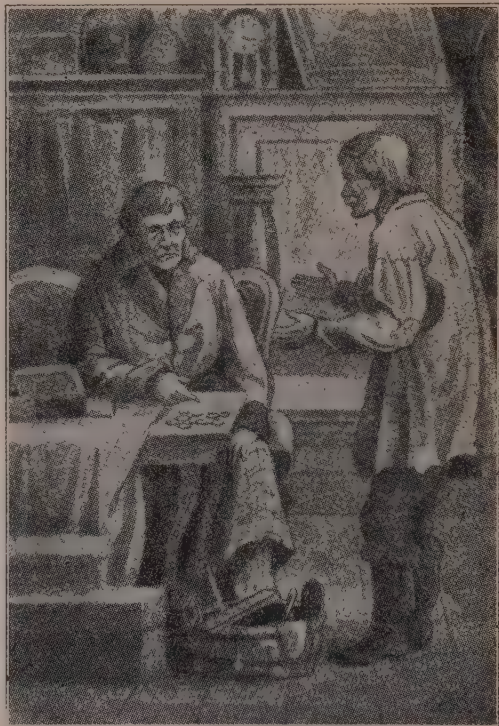
— Jednakże ten pantofel miał jeszcze wielką wartość! — pomyślał Łukasz.

A potem dodał głośno:

— Kobieto! kobieto!... Kiedy już wam darowałem takie obuwie, to zobaczcie przynajmniej, kto tam chodzi po mojem mieszkaniu...

— Dobrze, panie! — odparła baba i poszła na górę, ciężko utykając.

Po upływie kilku minut wróciła i rzekła:



— Nie wiem, panie, kto chodzi, bo mi drzwi nie chcieli otworzyć!... Niech będzie pochwalony...

— Matko! matko!... — zawołał. — Za taki porządny pantofel moglibyście sprowadzić mi tu stróża.

— A gdzie on jest? — zapytała baba.

— Pewnie na ulicy, tam, gdzie robią chodnik.

— Tam go niema, widziałam przecie.

— To może poszedł po wodę koło Zygmunta. Sprowadźcie go, jakeście poczeiwi!...

— Mam lecieć do Zygmunta za ten pantofel? — zapytała baba.

— Rozumie się! — odparł Łukasz. — Przecie nie darmo.

Baba, choć nędzna, oburzyła się.

— O, ty kutwo! — krzyknęła — a weźże sobie ten łach do piekła!.

I rzuciła pantofel z taką siłą, że przeleciał przez kratę, świsnął nad głową panu Łukaszowi i upadł na stół, okryty zielonem suknem.

Pan Łukasz obejrzał się.

Za nim stał sąd w całym komplecie, a zgryźliwy prokurator, zobaczywszy pantofel na stole, rzekł:

— Oto materialny dowód nieo-

graniczonej chciwości tego niegodziwca Łukasza.

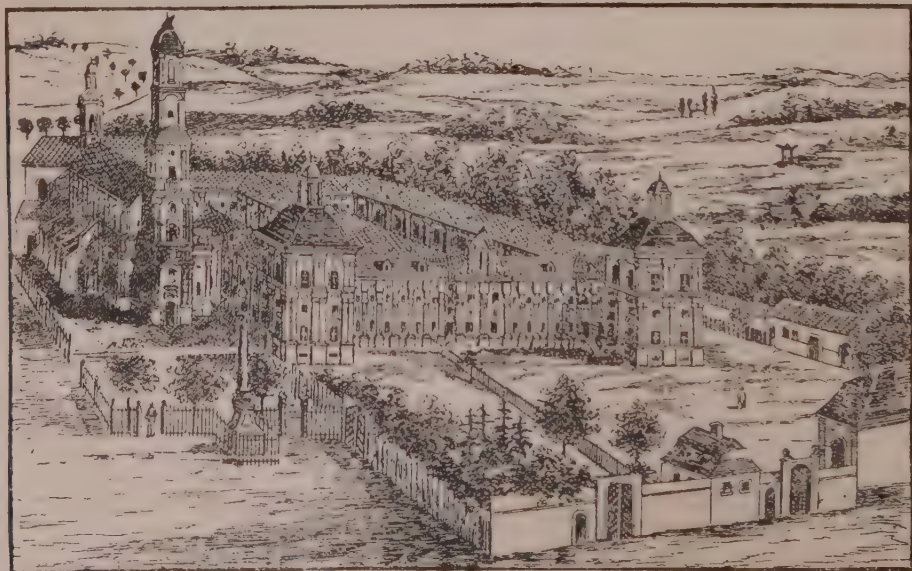
A potem, zwracając się do adwokata i stojącego za nim djabła, dodał:

— Róbcie z obwinionym co chcecie. Nam już go ani sądzić, ani skazywać nie wypada!

Dostojnicy zmienili swoje urzędowe uniformy na cywilną odzież, w której ich pochowano, i wyszli, nie patrząc nawet na Łukasza. Tylko sędzia, który umarł na apopleksję i zawsze był prędko, przestąpiwszy próg sali, plunął ze wzgardą.

Djabeł śmiał się jak opętany, a adwokat Kryspin o mało nie rzucił się z pięściami na Łukasza.

— O, ty egoisto! chciwcze!... — zawołał. — Zakleliśmy duszę twoją w ten stary pantofel, myśląc, że choć w takiej powłoce odda ona komu usługę bezinteresow-



Klasztor Cystersk w Trzebnicy.

na. I stało się to, czegośmy pragnęli: żebraczka znalazła pantofel, miałyby choć na godzinę pożytek z niego, a ty spełniłbyś mimo woli czyn moralny. Ale gdzie tam!... Chciwość twoja jest tak wielka, żeś wszystko zepsuł... Nawet zgubiłeś na wieki pantofel, który, raz ożywiony przez taką nędzną duszę, musi obecnie iść do ostatniego kręgu piekła!...

Rzeczywiście djabeł zdjął pantofel ze stołu i rzucił go w luft, z którego wylatywały straszne płomienie, skąd rozlegały się jęki i brzęk łańcuchów.

— A co z nim zrobisz?... — zapytał djabeł adwokat, wskazując Łukasza nogą.

— Z tym egzemplarzem?... — odparł djabeł. — Wyrzucę go z piekła, ażeby nas nie kompromitował!... Niech wraca na ziemię, niech na wieki wieków dusi swoje listy zastawne i banknoty, niech trzyma kamienicę, niech licytuje biednych lokatorów i krzywdzi własne dzieci. Tu zagnoiłby piekło swoją wstrętną osobą, a tam, krzywdząc ludzi, może nam oddać usługi.

Pana Łukasza, gdy słuchał tego, opanowały myśli ponure.

— Za pozwoleniem! — spytał — więc gdzież ja ostatecznie będę?

— Nigdzie! — odparł z gniewem adwokat. — O niebie ani czyścicu sam chyba nie myślisz, a z piekła, pomimo całej naszej protekcji, wyrzucają cię. No, —

dodał — bywaj zdrów i złam kark!...

I ażeby nie podać ręki panu Łukaszowi, schował obie ręce do kieszeni i wyszedł.

Pan Łukasz stał osłupiały i stałby tak przez całą wieczność, gdyby djabeł nie wykrzyknął, potrąciwszy go obcasem:

— Ruszaj, stary!...

Wyszli z gmachu sądowego na ulicę i biegli prędko, zgraja bowiem uliczników piekielnych, zobaczywszy ich, poczęła wrzeszczeć:

— Patrzcie! patrzcie!... tego kutwę Łukasza wyprowadzają ciupasem z piekła...

Djabeł o mało nie spłonął ze wstydu, że musi towarzyszyć podobnemu nędznikowi, ale pan Łukasz, widocznie całkiem już pozbawiony ambicji, zachował zimną krew i zamiast opłakiwać swoją hańbę, oglądał się po piekle. Djabeł aż pluł ze złości i, udając, że go bołą zęby, podwiązał sobie twarz kolorową chustką od nosa, ażeby go nie poznano.

Wreszcie schwycił Łukasza za kołnierz...

Napół umarły z trwogi egoista uczuł tak silne kopnięcie, że wyleciał w powietrze z prędkością kuli armatniej.

Nie mógł prawie tchu złapać...

* * *

Silny ból orzeźwił pana Łukasza.

Kiedy otworzył oczy, przeko-

nał się, że leży na podłodze, przy łóżku. Szlafrok miał rozrzucony, jakby skutkiem gwałtownych ruchów, a szalik spadł mu z głowy i zwiesił się z poduszki.

Starzec dzwignął się z trudnością. Rozejrzał się. To jego własne łóżko, jego mieszkanie i jego szlafrok. Te same sprzęty i ten sam zapach asfaltu, którym wylewają chodnik przed domem.

Rzucił okiem na zegar. Szósta — i mrok już zapełniał pokój. Jest więc szósta wieczorem. Ostatnia zaś godzina, jaką słyszał, była trzecia.

Co robił od trzeciej do szóstej? Chyba spał...

Tak jest; niezawodnie spał, ale jakież przykre sny go dręczyły!... Sny?

Jużci, chyba że sny... Niezawodnie, że sny!... Piekło, jeżeli istnieje, musi wyglądać całkiem inaczej, a jego towarzysze preferansowi nie pełnią tam prawdopodobnie obowiązku sędziów.

W każdym jednak razie sen ów był dziwny, dziwnie jasny, jakby proroczy, i głęboko wyrzył się w umyśle pana Łukasza.

Ale czy to był sen?... Jeżeli sen, to w takim razie dlaczego pan Łukasz doświadcza w okolicy krzyża tępego bólu, jakby od uderzenia djabelskim kolaniem?...

— Sen?... Nie sen!... Sen!... Nie sen... — powtarzał sobie starzec, i dla ostatecznego sprawdzenia swoich wątpliwości, powlókł się do okna, włożył okulary i uważnie

począł przypatrywać się śmietnikowi.

Widział tam słomę, papiery, skorpury, ale między niemi pantofla nie było...

Gdzież pantofel?... Rozumie się, że w piekle!

Pana Łukasza ciarki przebiegły. Otworzył lufcik i krzyknął do zamiatającego stróża:

— Józef! A gdzie podział się ze śmietnika mój pantofel?

— A podniosła go jakaś baba — odparł stróż.

— Cóż to za baba? — pytał starzec, coraz bardziej zatrwożony.

— Jakaś biedna warjatka. Wciąż gadała do siebie, modliła się za dusze zmarłe i nawet kołatała do pańskiego mieszkania — mówił stróż.

Panu Łukaszowi robiło się na przemian zimno i gorąco, ale dalej pytał:

— Jakże ona wyglądała? Poznałbyś ją?...

— Cobyśmy nie miał poznać? Miała jedną nogę owiniętą w gałgan i bardzo kulała.

Pan Łukasz zaczął zębami szczerkać.

— I czy ona wzięła z sobą pantofel?

— Z początku wzięła — mówił stróż — ale potem zaczęła kogoś kłać i tak gdzieś rzuciła pantoflikiem, że go znaleźć nie można. Jakby się w piekło zapadł!... Choć coprawda, niema czego żałować, bo już był wielki gałgan...

Ale pan Łukasz nie słuchał

końca mowy Józefa. Gwałtownie zamknął lufcik i prawie bez sił padł na starą kanapę, mrucząc:

— Więc to nie był sen!... To była rzeczywistość!... Więc istotnie wypędzono mnie nawet z piekła!...

— Odtąd — szeptał dalej — do końca świata będę żył w tej kamienicy, między tymi gratami, nosząc na piersiach listy zastawne, które tam... nie mają żadnej wartości...

— I co mi po tem?...

Pierwszy raz w życiu pan Łukasz zadał sobie pytanie: co mu po tem? Co mu po tej kamienicy, w której nie ma wygody? po sprzętach i gratach, spróchniałych w natłoku? nareszcie co po pieniądzach, za które nigdy nie użył i które nie znaczą wobec wieczności? A wieczność już się zaczęła dla niego!...

Wieczność jednostajna i strasznie nudna, bez zmian, nadziei, a nawet niepokojów. Za rok, za sto i za tysiąc lat pan Łukasz będzie nosił na piersiach listy zastawne, a skryte szuflady biurka będzie napełniał bankocetłami, srebrem i złotem, skoro tylko wpadną mu do rąk. Za sto i za tysiąc lat będzie posiadał swoją ponurą kamienicę i będzie się procesował z własną córką i zięciem, potem z ich dziećmi, później z wnukami i prawnukami. Nigdy już w miłym towarzystwie przyjaciół nie usiadzie do preferansa, ale za to wiecznie będzie patrzył na te sprzęty, chaotycznie ustawione i kurzem

pokryte, na zczerniałe obrazy, na podartą kanapę, na swój szlafrok rozsypujący się i zatłuszczony, i... na ten szaflik z mularskimi narzędziami.

O czym pomyślał, na co spojrzał, wszystko przypominało mu karę wieczną, straszną tem, że była niezmienna, nieruchoma, jakby skamieniała. Takie życie, ja-



kie on dzisiaj prowadzi, można wyczerpać w jednym dniu, a znużyć się niem za tydzień. Ale pędzić je przez wieki wieków — to już okrutna męczarnia!

Zdawało mu się, że paka listów zastawnych pali mu piersi. Wyjął więc je z pod kaftanika i rzucił do Komody. Ale i tam nie dawały mu spokoju.

— Co mi po nich? — szeptał. — Mam je i, straszna rzecz! nie uwolnię się od nich nigdy...

W tej chwili zapukano do drzwi.

Wbrew zwyczajowi pan Łukasz nie uchylając lufcika, otworzył — i zobaczył mularza.

— Zlituj się, wielmożny pan — błagał mularz, trzymając pokornie czapkę w ręku — i oddaj moje statki. Ja tam procesować się z panem nie będę, bom ubogi. Bez statków roboty nie dostanę, a na kupienie nowych nie mam pieniędzy...

— A weź sobie twoje statki, tylko je prędko wynoś! — krzyknął pan Łukasz, kontent, że pozbędzie się choć szaflika.

Istotnie mularz bardzo prędko wyniósł statki do sieni, ale zdziwienia ukryć nie mógł. Patrzył na pana Łukasza, miętosząc czapkę, a pan Łukasz patrzył na niego.

— No, czy ci brakuje czego? — zapytał starzec.

— Już ci brakuje mi... zapłaty za robotę — odparł zapytany nieśmiało.

Pan Łukasz poszedł do biurka i wysunął jedną z licznych szufladek.

— Ile ci się należy?...

— Pięć rubli, wielmożny panie. A co ja miałem straty, żem robić przez ten czas nie mógł!... — mówił mularz, chcąc prędzej wydobyć pieniądze.

— Ileżeś miał strat?... Tylko

mów prawdę — spytał pan Łukasz.

— Chyba ze sześć rubli — odparł mularz, myśląc z obawą, czy też stary zwróci mu jego należność.

Wnet jednak przekonał się z największym zdumieniem, że pan Łukasz wypłacił mu jedenaście rubli z miną, jakby orzech zgryzł...

Mularz nie chciał wierzyć własnym oczom, oglądał pieniądze i błogosławił pana Łukasza. Ale starzec prędko zamknął przed nim drzwi, mrucząc do siebie:

— Chwała Bogu, żem się choć pozbył szaflika i jedenastu rubli... Byleby tylko nie wróciły...

Niebawem zapukano po raz drugi. Pan Łukasz znowu drzwi otworzył i spotkał się oko w oko z żoną stolarza.

— Panie! — zawołała kobieta, klękając na progu — po raz ostatni błagam cię: nie licytuj nas. My się później wypłacimy... Ale dziś, czy pan wie, że nie mam ani na doktora dla chorego męża, ani nawet na łyżkę strawy dla niego i dla dzieci...

I, mówiąc, płakała tak żałośnie, że starzec uczuł ból w sercu. Pobiegł do biurka, wyjął stamtąd dwa ruble, i wciskając je w ręce kobiecie, rzekł:

— No, no!... niech pani nie płacze. Tu ma pani trochę pieniędzy na najpilniejsze rzeczy, a później... dodam więcej. Licytację

odwołam, w mieszkaniu was zostawię i pomagać będę, byleście tylko... uciekali się do mnie w razie rzeczywistej potrzeby, bez żadnych zachcianek do wyzyskania starego człowieka.

Stolarzowa oniemiała i patrzyła na pana Łukasza błędnymi oczyma. On odsunął ją lekko od progu, zamknął drzwi i szepnął, jakby się sprzecząc z kimś:

— Otóż nie będzie licytacji, ani jutro, ani nigdy!... A swoją drogą znowu ubyły dwa ruble. To już trzynaście...

Wnet jednak wzięły górę nad nim smutne myśli. Każdy bowiem przedmiot, stojący w pokoju, a było ich bardzo wiele, ranił go jak sztylet.

— Kto zechce wziąć te graty? — mówił do siebie. — Czy ja będę mógł wyprowadzić się kiedy stąd, kiedy już taka kłątwa wisi nademną, że muszę całą wieczność przepędzać w tym domu!...

Pan Łukasz był jakiś znużony, więc zapalił świecę, rozebrał się i legł spać.

Zasnął twardo, bez marzeń. Ale następnego poranku przypomniał sobie piekielne widzenie, jednostajną wieczność, brak celu w życiu — i posmutniał.

Stróż przyniósł mu bułkę i trochę gorącej wody. Pan Łukasz przyrządził sobie herbatę, wypił ją i znowu medytował nad swym nieszczęściem.

W południe ten sam stróż zao patrolzył go obiadem z taniej kuch-

ni i wyszedł, nie mówiąc. Pan Łukasz był pewny, że już dziś nie zobaczy twarzy ludzkiej, a na miasto iść nie śmiał, obawiając się, ażeby mu nie przypomniało zbyt wyraźnie piekła.

Wtem, około czwartej, począł ktoś gwałtownie dobijać się do drzwi. Pan Łukasz otworzył i o mało nie padł na ziemię. Przed nim stał adwokat Kryspin.

Starzec, nie mogąc myśli zebrać, milczał. Adwokat zaś był jakiś niezadowolony. Wszedł na środek pokoju i rzekł pochmurnie:

— No, ciesz się!... Wygrałeś sprawę, ale przed trybunałem Boskim!...

Szalona radość opanowała starca.

— Ja wygrałem sprawę przed trybunałem Boskim?... — zawołał. — Jakim sposobem?... Więc mnie już nie wyrzucą z piekła?...

— Czyś zwarzował, Łukaszu?... — spytał adwokat zdziwiony.

— Słyszę przecie co mówisz...

— Kiedy mówię — rzekł adwokat — żeś wygrał sprawę przed trybunałem Boskim, to znaczy, żeś ją przegrał w sądzie ludzkim, i że albo musimy wynaleźć kruczek do nowego procesu, albo oddać twojej córce ten dom... Rozumiesz?...

Pan Łukasz począł trochę rozumieć.

— Trybunał Boski... trybunał Boski... — mruczał starzec, a po-

tem nagle zapytał adwokata:

— Za pozwoleniem!... Wićeś ty nie zginął w tym pociągu, który się rozbił?...

— Ja nim nawet nie jechałem. Ale co ty mówisz, Łukaszu?

— Zaraz! — przerwał mu starzec. — Wiće nie zabiłeś się i nie byłeś w piekle?...

Do pokoju wpadł stróż, trzymając w ręku pantofel.

— Panie! — zawołał — jest pantofel, znalazłem go za beczką...

Pan Łukasz obejrzał swój pantofel i nie mógł dostrzedz na nim śladu ognia.

— Wiće i mój pantofel nie był w piekle?... — szeptał starzec.

— Ty masz bzika, Łukaszu? — krzyknął rozgniewany adwokat. — Ja ci mówię, żeś przegrał proces, a ty mi pleciesz o piekle.

— Widzisz, miałem wczoraj dziwny i przykry sen...

— Co tam! — przerwał Kryspin — sen mara, Bóg wiara!... Teraz nie o sny chodzi, ale o to: czy wynosisz się z kamienicy, czy dalej procesujesz się z córką?

Pan Łukasz zamyślił się. Myślał, rozmyślał, rozważał, nareszcie rzekł stanowczo:

— Proces!...

— Tak to rozumiem! — odparł adwokat. — Ale, ale!... Była dziś u mnie stolarzowa i powiedziała, że odwołujesz licytację na ich ruchomości. Czy to prawda?...

Pan Łukasz aż skoczył.

— A niechże Bóg broni! — wykrzyknął. — Wczoraj byłem tro-

chę rozstrojony, obiecałem, że cofnę licytację i nawet, wstyd mi wyznać! dałem babie dwa ruble... Ale dziś jestem już zupełnie trzeźwy i uroczyście odwołuję wszystkie nierozsądne obietnice.

— No tak! — rzekł adwokat z uśmiechem, ściskając Łukasza za rękę. — Teraz poznaję cię... Bo kiedyś tu wszedł, wydawałeś mi się jakby innym człowiekiem!

— Ten sam, ten sam do śmierci!... Zawsze twój Łukasz!... — odparł rozrzewniony starzec. — Żał mi tylko trzynastu rubli, które pozwoliłem sobie wydrzeć.

Po tej odpowiedzi obaj panowie ucałowali się serdecznie.



W. WITOS, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego i premier Polski.



ŻARTY I DOWCIPY



SPROSTOWANIE.

Pańska córeczka, panie radco handlowy, ma bardzo wielkie zdolności — tylko rachować nie umie! — Co jest, rachować nie umie! Ona może rachować na pół miliona!

PYTANIE I ODPOWIEŹ.

Dlaczego złodzieje są często mądrzejsi aniżeli lekarze? — Gdy złodzieje odchodzą, wiedzą dokładnie, co ludziom brakuje.

JEDNA Z NAJŁADNIEJSZYCH.

Zosia. Janek powiedział wczoraj na wieczorku, że jestem najładniejsza ze wszystkich panien, jakie zna!...

Helenka. To samo mówił i mnie przeszłego roku!

Zosia. Wiem o tem, moja droga; ale od tego czasu mógł się mu gust poprawić!...

URZĘDNIK W BANKU.

Pani musi mieć kogoś, ktoby poświadczył tożsamość osoby!...

Interesantka. — Moja znajoma może poświadczyć.

Urzędnik. — Ale ja nie znam pani znajomej!...

Interesantka. — O to najmniejsza; zaraz pana przedstawię!...

W SZKOLE.

Nauczyciel: — To jednak dziwnie, że ty zawsze mylisz się przy dodawaniu.

Uczeń... milczy.

— Pomaga ci kto przy wyrabianiu zadań?

— Tak jest!

— Kto taki?

— Mój ojciec?

— A czym jest twój ojciec?

— Płatniczym w kawiarni.

DOKŁADNE OKREŚLENIE.

Pan: — A więc twój majster umarł nagle?

Terminator: — O tak, jego serce i ręka od wczoraj przestały bić!

TYLKO PRĘDKO, ABY TO JESZCZE BYŁO NA CZAS.

Pani Dulska: — Posłuchaj, ja w lecie potrzebuję nowego kostjumy.

Pan Dulski: — Zaraz dziś zamów go sobie, aby prędko był zrobiony, aby to jeszcze weszło do masy konkursowej, gdyż na drugi miesiąc ogłaszam bankructwo.

ON MUSI BLAGOWAĆ!

Proboszcz (przy ślubie): — Panie narzeczon! Pytam pana, czy pan swą narzeczoną Annę Wielnicką, dobrowolnie i bez przymusu bierzesz za swą prawowitą małżonkę?

Narzeczon (agent firmy "Stefan Pomagel i Syn"): — O z pewnością, w samej rzeczy, niema wątpliwości zupełnie dobrowolnie! Proszę pozwolić —

WSPOMNIENIE.



A.: — Cóż ty stoisz taki smutny przed sklepem fryzjera?

B.: — Tu po raz ostatni strzygłem sobie włosy!

STARY WYGA.

Automobilista: — Co, dwadzieścia koron rachujecie sobie za jedną przejechaną kurę — to jest przecie żadużo!

Chłop: — Wcale nie żadużo! Ja przecież porachowałem w tem i jaja, które byłąby zniosła!

MOCNE POSTANOWIENIE.

Któs, uderzywszy w twarz pewnego jegomościa, podaje mu swoją kartę wizytową. Wypolizkowawany odpowiada:

— Od czasu ostatniej przegranej w klubie, przysiągłem sobie nie brać kart do ręki.

Powiedziawszy to, szybko się ulatnia.

OSTROŻNY.

— Nie rozumiem dlaczego ty się nie żenisz z panią Febronią.

— Oho, niema głupich, od choleryny tylko jeden krok do cholery.

— Cóż to może mieć wspólnego?

— I bardzo, dama o której mówisz, będąc panną, jest tylko Febronią, a po ślubie stałaby się prawdziwą febrą.

NIC NIE UMIE.

Jednego razu prosił syn ojca, aby mu dał innego nauczyciela. — Cóż ty masz przeciw twojemu dotychczasowemu nauczycielowi? — To, że nic nie umie. — Jakże ty możesz o tem sądzić? — Tak, kochany ojcze, bo nauczyciel zawsze mnie o wszystko pyta, a ja niestety! zwyczajnie tego nie wiem.

BIEDACZYSKO.

— Coś taki smutny, Janku?

— Bom się najadł.

— Więc coś z tego?

— Straciłem apetyt do jedzenia, a przysłowie powiada, że jak się je, apetyt przychodzi. U mnie przeciwnie, jadłem i znikł zupełnie.

PORADA LEKARSKA.



Lekarz: Mąż pani musi mieć bezwarunkowo spokój. Zapiszę kilka proszków na sen.

Żona: A jeżeli mąż mój nie zechce ich zażywać?

Lekarz: W takim razie niech je pani zażyje.

PEŁEN.

W twoje ręce, panie Zdziśławie — mówi gospodarz, podając gościowi dwudziesty z kolei kieliszek wina.

— Chyba, że w ręce — odpowiada bełkocąc pan Zdziśław — bo w gardło już się nie zmieści.

PROSZĘ WYBACZYĆ!

Żebzak (w karczmie wiejskiej): — Dzień dobry, moi panowie! Proszę mnie czem obdarzyć, ja już przez dziewięć tygodni podróżuję w taki paskudny czas!

Chłop (grający z drugim w karty): — Czy wy się nie wstydzicie żebrać w świętą niedzielę w czasie uroczystego nabożeństwa?

Żebzak: — Proszę wybaczyć, moi panowie, że panom przeszkadzam w ich... nabożeństwie!

GRUBA ŻAŁOBA.



Pan Delikatnicki: — Ignas, dlaczego ty pijesz teraz zawsze tylko czarne piwo?

Pan Strowski. — Bo moja teściowa umarła...

Z TEKI OBSERWATORA.

Jakto dziwnie się dzieje: im mniej kobieta na siebie wdzieje, tem większe budzi nadzieje!

NIEPOROZUMIENIE.

Gospodarz (do wchodzącego gościa): — Czy to prawda, panie baronie, że choroba pańskiego wuja pogorszyła się od wczoraj tak bardzo, że każdej chwili czekają końca?

Baron: — Tak jest! Ja jestem przygotowany na wszystko.

Gospodarz: — Tak, a ja myślałem, że pan baron dziedziczy tylko połowę.



Mikołaj Kopernik



— Hoże dziewczę, skąd spieszysz tak z rana,
Czemu wzrok twój spogląda w dal siną?
— Idę z targu z zakupem dla pana!
— Dobra jesteś w swej pracy dziewczyno!
— Wzrokiem w słońce zaś gonie w błękicie,
Patrzę kędy drży łąka kwiecista,
— Piękna jesteś, dziewczyno, jak życie,
I jak łąka w dżdżu rosy, tak czysta.



ŻARTY I DOWCIPY



GRZECZNOŚĆ.

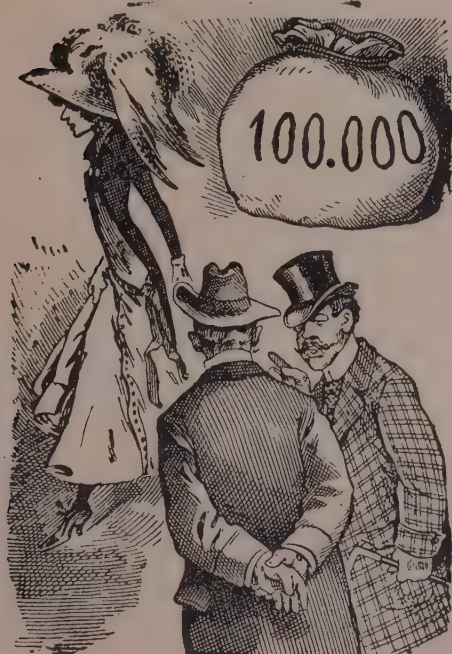
— Bogacz pewien zwykł był po obiedzie używać przejażdżki — stangret więc przerywając pańską zadumę — rzekł: o czym się pan mój zamyśla? — o tem, czybyś ty ze mną jechał: — gdzie? — do piekła; — ha! i owszem — jabym się zatrzymał przed piekłem — i czekał na pana, bo to moja powinność.

POCO DAWAĆ?

— Dlaczego pan, człowiek bogaty, nie chce nic dać na głodnych i bezdomnych?

— POCO mam dawać? Wojna trwała tak długo, że głodni i bezdomni przyzwyczaili się już znakomicie do braku jada i dachu.

RÓŻNE ZAPATRYWANIA.



Przyjaciół Baran: — Co to za pani ta, co przesła? Okropnie chuda!

Przyjaciół Cielecki: — To jest córka miejskiego budowniczego. O, to jest tłusty kasek.

EWA.

Mama: Chciałabyś jeszcze siostrzyczkę, Zosiu?
Mała Zosia: O tak, mam, ale tak ładną jak ja nie powinna być.

OBRAZOWO .

— Powiadasz pan, że kobiety są zagadkami, a mimo to się żenisz?

— Tak... To jest jednak dla mnie zagadka z nagrodą pieniężną.

PO KUPIECKU.

Konkurent: — Jakto, więc pani nie wierzy, że panią kocham? Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli żję!

Bogata panna: — Ależ panie, pan staje się nieprzywoitym!

Konkurent: — W sprawach pieniężnych, proszę pani, niema mowy o przywoitości.

PRZED WYJAZDEM W GÓRY.

— Salcia! Ty mi przysięgnij, że nie będziesz kochać żadnego innego mężczyzny, gdybym się tak przypadkowo zabił w górach.

— A jak się nie zabijesz?

NA WAKACJACH.

— Więc doprawdy pani nigdy się nie sprzeniewierzyła mężowi... nawet myślą?

— Myślą... nigdy.

DOBRY POMYSŁ.

Podróżny, który zajechał na nocleg do wiejskiej gospody, nie mógł zasnąć, bo chłopci w izbie szynkowej bardzo hałasowali. Wstał więc i poszedł do gospodarza. "Gospodarzu—rzekł—obudźcie mnie jutro rzycho, bo na drodze pięćset marek zgubiłem." — Poszedł znowu na górę i położył się spać, chłopci zaś wnet się wynieśli, aby szukać pieniędzy, a podróżny mógł spać spokojnie.

SPRAWY GRAMATYCZNE.

— Jak się mówi: bez czy przez?

— I tak i tak można. Mówi się bowiem, że "pan Damazy usycha bez kobiety", ale można powiedzieć także, że pan Tadeusz usycha przez kobiety."

UPRZEDZAJĄCO.

Przewodniczący sądu: — Oskarżony skazany został na dożywotne, ciężkie więzienie. Jeżeli przyjmiecie karę i chcecie zaraz ją odsadywać, to będzie się wam liczył już dzień dzisiejszy.

NA WYSTAWIE OBRAZÓW.

— Proszę cię, mężu, dlaczego ten Turek na obrazie ma taki obrzymi turban na głowie?

— Moja kochana, taki poganin ma z dziesięć żon, musi więc dobrze owijać głowę, ażeby mu nie pękła z... rozkoszy.

ROZSĄDNY WOJAK.



— Powiedzno, mój panie wojowniku, czybyś pan również strzelał między ludność, gdyby kiedyś przyszło do tego?

— Ha, ha, ha! ani mi na myśl nie przyszło.

— A to rozsądnie... tak mi się podoba .. Gospo-sio, proszę o parę kielbasków dla tego rozsądnego wojaka. — Spodziewam się, iż w waszym pułku więcej takich się znajdzie, jak pan, czy prawda?

— A jakże, salutka muzyka — ja zaś biję w wielki bęben!

NIEWIEDZĄCA.

Pewna pani mówi do kaznodziei:

— Ja należę do niewierzących.

A ksiądz na to:

— Czytała pani Pismo Święte?

— Nie.

— A Ojców Kościoła?

— Nie.

— A Bossueta?

— Nie.

Ksiądz: — To pani nie należy do niewierzących, ale do niewiedzących.

OMYŁKI DRUKU.

Wziął pannę, mającą dwa stare dołki i bas.

Całował jej stopy i pieścił się jej kłosami.

UPADEK KREDYTU.

On: — Daj dziewczę całusa! — zaraz cię poślubię. Bo ja bardzo cenię dobre obyczaje.

Ona: — Dać całusa nigdy, ale aż po ślubie, bo teraz na kredyt nikt już nic nie daje.

W RESTAURACJI.

Gość: — Cóż to ma znaczyć? Z rachunku wypada \$13, a wy naliczyliście \$14.

Kelner: — Pan wybacz — sądziłem, iż pan jest przesadnym i nie życzy sobie w rachunku fatalnej trzynastki.

SZCZYT DELIKATNOŚCI.

— Przepraszam Szan. Panią. Pani będzie łaska-wa się nie gniewać, lecz nie myślę się, pani jest mężatką...

— Tak, panie...

— I pani ma dzieci?...

— Tak jest, dwóch chłopczyków...

— Czy to nie pani chłopczyk, w żółtych bucikach?

— Mój, panie...

— Prześliczne buciki, pani...

— Cóż to, oglądał je pan, czy co?...

— Wypadło, proszę pani... przechodzę obok ba-senu, patrzę, — czyjeś nóżki z wody wyglądają, więc się też bucikom przyjrzałem.

NASZE SŁUGI.

— To już proszę pani wszystko dobrze, ale mam brata, który do mnie codzień przychodzi, więc mu-szę naprzód powiedzieć, żeby potem pani się nie gniewała...

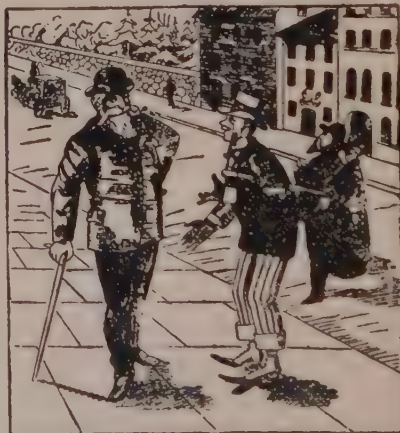
— Wiesz co, moja droga, to już wolę przyjąć do służby twego brata, a ty przychodź codzień do nie-go.

ZŁY OJCIEC.

— Jeśli mi ojciec nie chce dawać więcej na utrzy-manie, zmuszony będę sprzedać swojego wierz-chowca.

— Tem lepiej, będę myślał o jednym tylko zwie-rzęciu...

STARA SPÓŁKA.



A.: Jak się masz, drogi przyjacielu? Czy przypo-minasz sobie czasy, kiedyśmy to wszystko wspól-ne mieli? Jeden używał kasę drugiego...

B.: Naturalnie, że pamiętam. Ja bowiem zawsze byłem tym drugim.

W NAUCE.

Frącek: — No, jakże ci się u twojego majstra po-doba?

Józek: — Majster, jak majster, ale majstrowa, to istny zegarek.

Frącek: — Taka punktualna?

Józek: — Co to, to nie, ale co godzinę... bije.

KAZIMIERZ ROSINKIEWICZ (ROJAN)

HULTAJ.

Pani w żałobie zaprasza Hultaja do siebie.



ACZEKAJ, chłopczyku, zaczekaj... Nie ci złego nie zrobię. Pogadamy chwilkę i pójdiesz sobie dalej. Dam ci nawet cukierka... O, popatrz, popatrz... długi, ładny, słodki cukierek...

Tak zapraszała pani w żałobie małego wisusa, który wychyliwszy głowę z za węgła osmolonego domu, wykrzywił się złośliwie i grał palcami przyłożonemi do nosa.

Pani jednak nie zważała na tę żakowską muzykę i wywijając cukierkiem w powietrzu, zbliżała się powolutku, ostrożnie do zaułka, w którym ukrył się chłopak.

Ten, ufny w chybkosć swych bosych nóg, niebardzo się spieszył z ucieczką. Droczył się i dogadywał:

— Niech go pani zje sobie sama. Już ja wiem jaki to cukierek.

— Ależ zaręczam ci, że dobry!... Naprawdę dobry.

— Niech go pani rozwinie i nadgryzie, ale tak mocno, żebym aż tu usłyszał, jak w zębach zatrzeszezy.

— No dobrze, — odrzekła pani — nadgryzę i ot tak mocno, jak sobie życzysz, a resztę oddam tobie, tylko musisz mi przyrzec, że nie uciekniesz przedtem, póki ze sobą nie pogadamy.

Rzekłszy to, kobieta w żałobie rozwinęła rzeczywiście papierek i krzywiąc się nieco, przełupała cukierek w białych i równych jak perełki zębach:

— Zdrowe ma pani zęby — pochwalił ją chłopak. — Strzeliła pani, jak z kanony — rzekłszy to, wyszedł już cały z ukrycia. Nim jednak wyciągnął rękę po cukierek, który mu podarowała doktorowa Budrewiczowa, zauważył podejrzliwie:

— Ale pani nie chwyci mnie za kołnierz? Bo ja od czasu, jak mnie chcieli wieszać, bardzo tego trzymania za kark nie lubię.

— Nie... nie chwycę. Bądź spokojny.

— Słowo?

— Słowo!

— Ej! mówię zgóry, że jakby pani chciała zatrzymać mnie przemocą, to ugryzę w rękę.

Wziął teraz śmiało cukierek z rąk kobiety w żałobie i wetknął w rumiane, zdrowe usta.

— Jak ty się chłopczyku nazywasz?

— Ja się nazywam naprawdę: Stasiek Lubicz.

— Dlaczego naprawdę?

— Bo mnie wszyscy we wsi — emoknął z rozkoszą słodycz cukierka — bo mnie wszyscy we wsi nazywali na codzień: Stach Hultaj.

— Jaktó: "na codzień?"...

— Tak to: ze środy na piątek, albo z piątku na środę, jak pani woli — zaśmiał się filuternie.

— Ty, jak widzę, jesteś naprawdę wielkim hultajem.

— To się wie. Dobry cukierek. A ja myślałem, że pani tylko tak udaje...

— Czy ty wiesz, kto ja jestem?

— O!... jeszczebym nie wiedział! Pani przecie jest tą czarną warjatką, której zabili zeszłej jesieni na wojnie męża, a która teraz

łazi po kątach i łapie dzieci za kołnier, aby szły do wyplatania koszyków.

— Nie wszystko, co mówisz, jest prawdą. Ja jestem rzeczywiście czarną warjatką, której na wojnie zabito męża. Ale to nieprawda, abym jakiegokolwiek dziecko ciągnęła przemocą do domu i tam zmuszała do pracy. Ja tylko zapraszam te biedne dzieci, którym wojna zabrała rodziców albo których pozbawiła dachu nad głową, aby przyszedli do mnie i spróbowały skromnego obiadu i jeszcze skromniejszej na noc pościeli.

— Ale tam u pani muszą dzieci pleść cały dzień maty i koszyki, że aż im ręce puchną z roboty.

— Kto ci powiedział?

— Tak słyszałem.

— Nieprawda! Żadne z dzieci, choć ich mam trzydzieścioro, nie miało dotąd popuchniętych palców. I to także nieprawda, żeby przez cały dzień wyplatały koszyki lub maty. Pracują ręcznie tylko codzień po cztery godziny, t. j. od 8 do 12-tej rano, po obiedzie zaś bawią się, uczą czytać i pisać, zaś nad wieczorem słuchają powieści i bajek, które ja im zwykle czytam.

— Co? pani czyta bajki? — podchwycił chłopak mocno zaciekawiony.

— Tak jest. Czytam.

— A ładne?

— O, bardzo ładne i bardzo ciekawe!

— Hm!... przewrócił językiem cukierek w ustach i mruknął: — Ja lubię bajki. A jakże!

— No, to chodź dziś i posłuchaj.

— Ba! Kiedy ja nie lubię wyplatać koszyków. A paniby zaraz za bajkę chciała, żebym kucał do roboty. Akurat! Nie głupim!

— Daję ci słowo, że ci nie nie każę robić. Ot, przyjdiesz, sidziesz sobie i będziesz słuchał pótý, póki ci się podoba, potem pójdziesz gdzie i kiedy zechcesz.

— A jak ja zechcę zostać na noc? To co?

— A no, to zostaniesz. Są tam jeszcze trzy wolne łózka.

— Naprawdę?... zapytał Hultaj ciekawie, a potem dodał — bo ja, widzi pani, już dwa miesiące nie spałem w łózku.

— A gdzie ty teraz sypiasz?

— Pod mostem. Akurat dwa miesiące jak nam Ruscy spalili dom i cały dobytek, a Austriacy i Szwabi zabrali resztę zboża z pola.

— Gdzież to było?

— W Rodziejce. Cztery mile stąd. Pani była kiedy w Rodziejce?

— Nie, nie byłam. Wiem tylko, że jest wieś tego nazwiska.

— Nie ma pani jeszcze jednego cukierka?

— Owszem, mam.

— Ten pierwszy był bardzo dobry, tylko cała bieda w tem, że pani kawałeczek nadgryzła, a ja się boję, żeby mi w nocy nie śnili się cyganie.

[Pani zaczęła się śmiać i wydobyła z torebki cukierek.

— Dziękuję. Ja pani zato powiem, co pani w tej chwili myśli.

— Ejże! A no, powiedz!

— Pani myśli: "Ten chłopak, to wielki hultaj"... Może nie?

— A tak! Właśnie o tem myślałam!

— Ale ja pani jeszcze powiem, co pani teraz myśli.

— A no, a no?...

— Pani myśli: "ten hultaj teraz napewno już nie zgadnie, o czem ja myślę"... Co? może nie?!

— A niechże cię nie znam, ty urwisie jeden! Zgadłeś.

— He, he, he... Dobry cukierek. Pani ma ich jeszcze w torebce z pewnością ze cztery.

— O nie. Mam co najmniej: sześć.

— Gdzież tam sześć: cztery! Niech pani porachuje.

Czarna pani spojrzała na torebkę, którą zawiesiła obok na parasolce, opartej o ścianę. Torebka była otwarta, a na jej dnie bieleły się tylko cztery długie karmelki. Kobięta zdumiała się:

— Rzeczywiście tylko cztery. A przecież z domu wzięłam ośm. Tobie dałam dwa; więc gdzie są jeszcze dwa?

Pogrzebała chwilę palcami po dnie torebki i dodała:

— Ot, musiałam zgubić. Szkoda!

— Nie. Nie zgubiła pani, bo te dwa cukierki są u mnie w kieszeni.

— Jakto?... Wyjąłeś je z torebki?... ukradłeś?...

— Tak ukradłem, ale tylko na żarty. Bo jakbym był ukradł naprawdę, tobym się był nie przyznał.

Wydobył z kieszeni dwa cukierki, podrzucił je kilka razy na dłoni tak sprytnie, jak cyrkowy sztukmistrz i cisnął przez ramię niby na dach.



Ale pani nie chwyci mnie za kołnierz?

Czarna pani pobiegła oczyma za ręką chłopca, ale na dachu cukierków nie było.

— No, a gdzież są teraz cukierki? — zapylała zdziwiona.

Chłopak klasnął w dłonie, na znak, że puste i zaśmiał się:

— Niech pani popatrzy do torby. Ha, ha, ha...

Rzeczywiście w torebce były wszystkie cukierki.

— A to spryciarz z ciebie, chłopcze!... Ty musiałeś być w cyrku.

— Nie, nie byłem. Ale ja tam może jeszcze pójdę. Tylko nie na długo...

— Dlaczego chcesz tam być i dlaczego tylko na czas krótki?

— Dlatego, bo ja mam coś ważniejszego do roboty, niźeli wywijać koziołki na koniu.

— A mianowicie co?

— Ja postanowiłem sobie, że będę doktorem.

— Naprawdę?

— Tak jest, już postanowiłem!

— Gdzież ty nabrać zamykowania do medecyny?

— A no, byłem przez trzy miesiące u ruskich sanitarjuszów i zbierałem rannych...

— Co? Tyś zbierał? Ileż ty masz lat?

— Trzyście skończyłem na wiosnę.

— I mogłeś udźwignąć chorego człowieka?

— Pomagałem we dwójkę, we trójkę. Jak było potrzeba. Nasz doktor był Polakiem i bardzo mnie lubił. Raz kazali mi Ruscy podpełznąć nocą pod niemieckie okopy i policzyć ognie za górką. Porachowałem trochę, a potem sunąłem się jak wąż i doszedłem aż do niemieckich drutów. Już policzyłem ognie i miałem się wyczołgać, a tu tymczasem błysnął reflektor, ktoś nadbiegł z boku i złapał mnie za kark. Prusak to był. Krzyknął mi nad uchem "Sapperlot!" i powiódł do oddziału. Tam zrobili zaraz nade mną sąd i chcieli do księżycy powiesić. A niedaleko był sosnowy las. Wiodą. Ja patrzę, a tu wisał bez karabinu chowa za sobą sznurek, niby na psa.

— Hej, źle. Pójdę na gałąź!

Tymczasem zachciało się temu, co mnie za kark trzymał, zapalić fajkę.

— Halt! — powiada do drugiego — gib Feuer.

Jak zaczął pykać, tak i przestał trzymać mocno za kołnierz. A ja fiut! — zostawiłem mu kitle w garści, sam zaś w nogi do

lasu. Posypały się za mną kule... rany Boskie!... niby, groch. Ale ja chyłkiem hyc w prawo, hyc w lewo i dopadłem szczęśliwie do krzaków. Ho, ho! Djabła zjeeie szwaby, jeśli mi co teraz zrobicie! Uciekałem lasami całą noc i pół dnia, aż trafiłem na polskie legjony. Tu przystałem znowu do sanitarjuszów. Ale było mi jakoś smutno. Tu Polacy i tam Polacy i muszą do siebie strzelać!... W dwie niedziele później przyszedł nowe wojska i poczęły cisnąć na Ruskich. Ci cofali się i cofali, aż poszli daleko poza Rodziejkę. Wracam ja do domu — patrzę — a z chaty naszej tylko popielisko. Cała wieś zgorzała. Ruscy podpalili. Macocha, ojciec i siostra pojechali furą na wschód, bo taki był rozkaz, a ja zostałem sam. No i tyle...

— I ty tak od dwu miesięcy tułasz się sam po Bożym świecie.

— A tułam.

— Z czego żyjesz?

— Cóż to, niema w polu ziemniaków?

Zresztą są i dobrzy ludzie. Cała bieda, że mi już zapalki wychodzą. Ale, jak widzę, pani dobra kobieta, więc da mi pani jaką paczuszkę... prawda, że da?

— Oczywiście, że dam. Teraz chodź ze mną na obiad. Jest zupa grochowa i jagłań kasza.

— Omaszczona? — co?

— Tak. Omaszczona.

— No to idę! A wieczorem posłucham bajek.

— Nocą prześpisz się w białym łóżeczku.

— Jutro zaś wypłotę pani kawałek kozyka. Niech będzie!... bo ja wszystko potrafię. Tylko proszę nie zmuszać siłą. U mnie każda rzecz musi iść z dobrej woli. Inaczej — buch! — i już mnie niema.

— I owszem, i owszem. Ja także uznaję, że wszyscy powinni robić wszystko po dobrej woli, a nie pod przymusem. Powiedz mi jeszcze, mój kochany, czym był twój ojciec w Rodziejce.

— Rolnikiem i stolarzem. Takim stolarzem co robił we wsi trumny. I należał do bractwa.

— A tyś chodził do szkoły?

— To się wie!

— Umiesz czytać i pisać?

— Szkoda że pani umie, bobym panią nauczył. Ale ja coś umiem takiego, czego pani z pewnością nie potrafi. Założę nogę

przez głowę i tą nogą na tablicy napisze wszystko, co kto zechce.

— Bodajże cię, chłopaku! Jeszcze takiego zabawnego wisusa nie widziała.

— To proszę dać jeszcze jednego cukierka, aby było... nie do pary.

II.

Stach zostaje u czarnej pani.

Czarna pani ujęła Stacha za buraczkową, podrapną w wielu miejscach i szorstką rękę, i rozmawiając już teraz swobodnie, po przyjacielsku, wiodła go na kraniec miasteczka ku starej cegielni, obok której leżał dość jeszcze ładny, choć już tu i owdzie nadszerebiony latami, murowany domek. Dookoła otaczały go gęsta zielenią stare akacje, lipy, włoskie orzechy, grusze, śliwy i jabłonie, a między nimi, niby wiekowy patryjarcha, wznosił dumnie ku niebiosom swe rozłożyste konary stary dąb. Miał już ze trzysta lat i zawierał w swych potężnych słojach sporo materiału opałowego. Czemu go dotąd nie ścięto i nie spalono?

Może dlatego, że ów ogród należał od wielu setek lat do starej, polskiej rodziny Budrewiczów. Mieli oni w swych żyłach coś z litewskich tradycji, coś z pokornych umiowań dla świętego zniecha i świętych starych dębów. Z wielkiego klucza Budrewiczowskich posiadłości pozostał czarnej pani i jej nieboszczykowi mężowi zaledwie ów niewielki, murowany domek o sześciu pokojach, dwumorgowy ogród w części przeznaczony na warzywne gospodarstwo, tudzież na obozowisko dla drobiu, świnek, krów, cieląt i pary koni, w części zaś spełniał rolę sadu z parkowymi alejami i wielkim dębem pośrodku. Za starym parkanem, który miejscami dobrze się już chylił, rozpoczynały się bieżące w dal pola orne, równiutkie niby pasy, różnobarwnymi tonami zbóż, ściernisk i ugorów okraszane. Tylko jedna strona tej równiny, pochylona nieco ku odległej rzece, nagle zmieniała się w dziki, krzaczasty wertep, wypełniony u dołu resztkami urządzeń starej cegielni. Ta stara cegielnia, oddawna zaniedbana i nieczynna, stanowiła wraz z domkiem i pięciu morgami pola, rozciągającymi się tuż za ogrodem, całą pani Budrewiczowej majątność. Co prawda, miała ona jeszcze pretensję do dalszych dwudziestu morgów, znajdujących się obec-

nie w rękę sąsiada, p. Kurzaka, ale tych wyprocesować nie mogła.

Dziad Kurzaka był przed półwiekiem rządcą u Budrewiczów i tak pięknie rządził, że znaczna część ich mienia przeszła w jego ręce. Rozpoczął się tedy proces, który z przerwami trwał lat czterdzieści. Tymczasem dzieci i wnukowie starego Kurzaka nie długo cieszyli się zagrabionymi dostatkami: hulając i pijąc, szybko wysprzedawali ziemię, i wreszcie zbiednieli, podobnie jak Budrewicze. Ni jedna ni druga strona nie miała już zapasowych pieniędzy na prowadzenie procesu i tym sposobem ostateczne rozstrzygnięcie sprawy poszło w odwłokę. Przymusowe zawieszenie broni między panią Budrewiczową i Andrzejem Kurzakiem trwało już lat piętnaście i tem się cechowało, że Kurzak, handlując w miasteczku drzewem, używał bez ceremonji owych dwudziestu morgów pola jako swej niezaprzeczalnej własności, pani Budrewiczowa zaś stale upewniała wszystkich znajomych, że jest to bezprawie i że ona prędzej czy później na drodze sądowej doczeka się wymiaru sprawiedliwości. Do cegielni również obie strony rościły sobie pretensję, ale że był to wertep i nieużytek, żadna tedy ze stron nie przywiązywała większej wagi do władania owym uboczem. W dodatku na drugim końcu miasteczka powstały nowe cegielnie parowe, więc na starą szopę i stare formy ceglane amatorów nie było. Pani Budrewiczowa o tyle tylko zaznaczała czasem swe prawa do tego ubocza, które zresztą tuż za jej leżało parkanem, że kazała wypędzać tam na trawę swe bydło. Kurzak wiedział o tem i nie protestował. Zdawało się, że milczeniem przyznaje słuszność swej sąsiadce.

Mąż czarnej pani był doktorem, lecz do swego zawodu nie czuł szczególnego zamiłowania. Pacjentów nie lubił i zbywał ich jak najkrótszą radą, zaś wysuwania ręki po zapłatę wprost nienawidził, to też zarabiał mało i nie nie odkładał na czarną godzinę. Żyli przeważnie z małego gospodarstwa pani Budrewiczowej, a żyli nad wyraz skromnie. Mimo to pani Budrewiczowa kochała męża gorąco, troszczyła się o niego jak o dziecko i nie szczędziła wysiłków, by mu było w domu ciepło i swojsko. Lubili oboje muzykę. Ona grała ładnie na fortepianie, on na skrzypcach, a to wspólne umiowanie piękna muzycznego było największym ich

wspólnem szczęściem, ich prawdziwą radością życia.

Pani Budrewiczowa, rozmawiając wesoło ze Stachem Hultajem, zbliżyła się do żelaznej bramy wjazdowej swego domostwa, obok której zarysowała się wąska furteczka ogrodowa.

W tej furcie stał mężczyzna na szczudle. Mimo kalectwa i laski, trzymanej w rękę, stał prosto i patrzył strzeliście, rozkazująco. Na pierwszy rzut oka łatwo w nim było rozpoznać wojskowego, oficera.

— Spóźniłam się na obiad, co? — rzuciła pani Budrewiczowa pytanie zdaleka.

— Niebardo — odparł mężczyzna — najwyżej pięć minut. Dzieci dopiero co zbiegły się do stołów.

— Zato wiodę wam nowego kawalera. Nazywa się Stasiek Lubicz, herbu Hultaj, i jest naprawdę wielkim hultajem. Przyrzekł, że dziś baje z nami obiad, nad wieczorem wysłucha bajek i może tę noc przepędzi pod naszym dachem. Co będzie dalej, to się dopiero pokaże.

Staszek stanął przed wojskowym także w pozycji służbowej i nie przerywając swej opiekuńczej przemowy oglądał uważnie nieznajomego od bujnej jego płowej czupryny począwszy aż po kauczukową gałkę na szczudle, gdy zaś pani skończyła, podniósł oczy w górę, strzelił niemi prosto w twarz wojskowego i zawołał:

— Pan był w polskich legjonach!

— Byłem!... Skądże ty o tem wiesz?

— Wiem, bo pańska bluzka taka jak u legjonistów. I urwali panu na wojnie nogę.

— Prawda, wszystko prawda.

— Ja także byłem w legjonach.

— Oho! aż tak!

— Mnie także Szwabi chcieli urwać głowę, ale się nie dałem. Pokazałem im język i uciekłem.

— Doskonale! Zatem witaj, towarzyszu broni!

Wyciągnął rękę do malca i ścisnął mu dłoń siarczyście.

— O!... pan mocny człowiek! — zauważył chłopak i strzepnął palcami.

— Ale i ty, jak widzę, nie będziesz ułamkiem.

— To się wie!

Rozmawiając tak przeszli cienistą, owocową aleję i zbliżyli się do dębu, pod którym rojowisko dzieci, gwarząc głośno i brząka-

jąc naczyniami, zjadało smacznie grochówkę i jaglaną kaszę ze "szwedami."

Pani Budrewiczowa, zatrzymawszy się u głowicy stołu, powitała gromadkę ciepłymi słowami:

— Jak się macie dzieciaki. Smacznego!

— Dziękujemy — odpowiedziano chórem.

— Przywiodłam wam nowego towarzysza zabaw. Nazywa się Staszek Lubicz-Hultaj. Pozdrowcie go na początek braterskim powitaniem.

— Wiwat! Niech żyje!... ozwały się jak na komendę liczne głosy.

Widocznie czarna pani już oddawna przyuczała wychowanków i wychowance do ciepłego, przyjacielskiego traktowania nowoprzybyłych, aby ich odrazu do życia towarzyskiego zachęcić.

Ale Staszek Hultaj żadnej zachęty pod tym względem nie potrzebował. Zdjął czapkę z głowy, zakręcił nią na podziękowanie w prawo i lewo, poczem głośno zawołał:

"Bracia — cześć!

Dajcie jeść! A psich!" —

— Hurra!... Ha, ha, ha... zaśmiały się dzieciaki i cała ich gromadka posunęła się wzdłuż ławki, aby nowemu towarzyszowi zrobić miejsce przy stole.

Wnet też przyniesiono smacznej grochówki, z małym skrawkiem wieprzowego mięsa i jaglanej kaszy dość dobrze omaszczonej.

Staszek jadł z widocznym apetytem, zaś po skończonym talerzu jaglanki zwrócił się do czarnej pani, która przy tym samym stole jadła z nimi razem i zauważył:

— Jak mnie pani będzie tak dobrze karmiła, to ja tu chyba na dłużej zostanę. Od dwu miesięcy tak dobrego obiadu nie jadłem.

— Bardzo się cieszę — odrzekła pani i zamieniła z legjonistą znaczące spojrzenie.

Stół, przy którym dzieci jadły obiad, składał się z dwu złaczonych pod kątem prostym skrzydeł. Więksi chłopcy siedzieli przy skrzydle dłuższym, dziewczątka zaś wraz z trojgiem dzieci, które ledwie co przestały chodzić na czworakach, przy drugim. Tu przy tym drugim, dziewczęcym stole matkowała czterastoletnia Frania Łanowiecka, dziewczynka o ognistych, czarnych oczach, bujnych brwiach niby dwu skrzydłach jaskółki i głębokiej zmarszczce między temi skrzydełkami, która nadawała jej twarzy stanowczy i surowy wyraz.

Frania utrzymywała porządek między dziewczynkami, pamiętała o nosach swej nie-

letniej trójki, której często wyrwała łyżki lub noże z rąk, gdy mały zbyt energicznie walił niemi w fajansowe talerze. Niekiedy w obronie pokrzywdzonych dziewcząt stawała do walki z nieposłusznymi chłopcami, i najczęściej wychodziła z niej zwycięsko, wytargawszy tego lub owego porządnie za uszy.

Chłopczy woleli jej nie zaczepiać i nazywali ją z przekąsem "Matroną".

Opiekunką większego stołu była panna Zimska, daleka krewna doktorowej Budrewiczowej. Przed rokiem zdała dopiero maturę i odbywała tutaj pierwszą swą praktykę internatową i nauczycielską. Ona to rozdawała śniadania, obiady i wieczery, ona czuwała nad bielizną dzieciaków i ona wreszcie zastępowała swą ciocię, doktorową, w całym zarządzie domowym i szkolnym. Była jednak ogromnie łagodną i pobłażliwą, tak, że jej dzieci prawie chodzili po głowie: grały z nią w zielone, zadawały jej podstępne zagadki, przypinały jej wystrzyganki do sukni i bluzki. Klapsy, rozdzielane przez nią na wszystkie strony, nie miały żadnego poskramiającego znaczenia, przeciwnie podniecały tylko do dalszych figlów i zbytków.

Największym jednak szacunkiem całej dziecięcej gromadki cieszył się pan Wiktor, legionista. Był on nauczycielem gimnastyki, rachunków, musztry wojskowej i śpiewu, co prawda niebardzo uczonego, ale płynącego z duszy i do dziecięcej duszy trafiającego. Choć ułomny, grał świetnie w palanta i krokiet, a nawet czasami zdrową nogą jak podbił piłkę nożną, to ta przelatywała aż po za domek pani Budrewiczowej. Wielką krzywdę wyrządził mu los, pozbawiając go tej ruchliwości, w której jako znakomity wojskowy celował; znosił jednak swą niedolę ze wspianą uległością i spokojem, pod wpływem zaś pani Budrewiczowej nabierał coraz wyraźniej tych szlachetnych cech charakteru, którymi odznaczają się ludzie stojący na najwyższych szczeblach moralnych, jako prawi i dobrowolni słudzy ludzkości.

Oto pan Wiktor pewnej nocy, rozmyślając o swem kalectwie i smutnej przyszłości, doznał nagłego olśnienia i radości w sercu: zrozumiał swe powołanie:

"Będę opiekunem dzieci — wychowawcą"... zawyrokował.

— A jakiegoż przedmiotu będziesz ich uczył? — pytało go sumienie.

— Miłości Ojczyzny i poczucia obywatelskiego obowiązku.

— Ależ takich przedmiotów w szkole jeszcze niema.

— Nie nie szkodzi. Przyjdzie czas, że owe przedmioty będą wysunięte na czoło wszystkich nauk. Narazie zostanę u pani Budrewiczowej. Ta dobrze mnie rozumie i na wszystko się zgodzi.

Tak pocieszony usnął i odtąd coraz spokojniej, coraz pogodniej począł patrzeć w przyszłość zarówno swego narodu jak i w swoją własną.

Zwykle po obiedzie miały dzieciaki dwie godziny wypoczynku, podczas których wolno im było swobodnie poruszać się po całym ogrodzie: łąził po drzewach, grać w palanta na szerokiej łące obok cegielni, lub też czytać książki w przeróżnych zakątkach ogrodu, gdzie ku temu celowi kazała doktorowa ustawić kilkanaście prostych ławeczek. Tylko dyżurni obiadowi, zmieniający się co dwa tygodnie, musieli w tym czasie pomyć i powycierać naczynia, aby były czyste od wieczery. Tę usługę społeczną spełniali zarówno chłopcy jak i dziewczęta pod okiem czarnobrewej Matrony.

Podczas tych dyżurów obiadowych i poobiednich powstawały najczęściej "ploteczki", które zaczynały się od słów: "wiesz, co on na ciebie powiedział?"—albo: "wiesz, co ona o tobie mówiła?" Do wieczora, oczywiście wszyscy w internacie wiedzieli, ku wielkiej zgryzocie pani doktorowej, co ktoś na kogoś "powiedział". Często też zdarzało się, że plotki były tak dokuczliwe i krzywdzące, że aż sama przełożona albo panna Zimska musiały się w sprawę wdawać i pościagać winnych do odpowiedzialności. Również i legionista silnie tępił plotkarstwo w swej chłopięcej drużynie.

Stach Hultaj, podjadłszy sobie dobrze, zawarł na poczekaniu przyjaźń z sąsiadami: Michałem Rogożnym, nazwanym "Liczykrupą", albowiem wszystko wokół siebie liczył i dodawał: sztachety, wiersze w książce, guziki przy ubraniu itd., prócz tego z Józkiem Kłapą, chłopakiem czerwonym jak ewik, mocnym i zdrowym, ale i najgłupszym z całej kolonji. Kto chciał, jeździł mu na grzbiecie, kto chciał, wysługiwał się nim, lecz musiano mu za to płacić kromkami chleba; jadł bowiem za trzech i zawsze był głodny. Legionista nazwał go raz w przyszłości dobrego humoru: "Głodomorem". I

ta doczepka została przy nim już na zawsze.

Kiedy doktorowa, panna Zimska i legjonista odeszli do swoich pokojów na gazety, które właśnie przyniesiono z poczty, zapytał Stach Głodomora:

— Ty! — a co się teraz robi?

— Co bądź, — co kto chce.

— Nie idziecie do koszykarni?

— Nie. Jużemy rano pletli. Pani sprzedawała dziś do Krakowa dwadzieścia mat i dziecięć koszyków. Była bardzo zadowolona, bośmy sami zarobili na tygodniowe utrzymanie. Teraz mamy do trzeciej wolne. Potem od trzeciej do piątej uczymy się trochę, potem słuchamy bajek, albo idziemy nad Wisłę; ściegać się nago na słońcu, grać w palanta, kąpać się lub zbierać muszelki do wykładania ramek.

— Więc teraz swoboda? — powtórzył jeszcze raz pytanie Hultaj.

— Tak. Wolno robić co się komu podoba. Ja pnę się zaraz na akację i tam czytam bajki. Najlepiej na drzewie, bo nikt nie przeszkadza.

— A czemu nie leżysz na dęba?... przecież tu najwygodniej.

— Jakże leżeć, kiedy pierwsze konary są wysoko, a dąb taki gruby, że go nie obejmiesz ni rękami ni nogami. Trzebaby drabiny, a ta zamknięta w komórce.

— To ty bez drabiny nie potrafisz?

— Nikt nie potrafi. Jużemy próbowali.

— Toście fujary. A ja potrafię. Założmy się — wyciągnął rękę do zakładu.

— Jak przegrasz, to dasz mi swoją kromkę przy wieczery. Co? — dasz?

— Zgoda! Ale ty musisz mi stanąć pod dębem, niby słupek.

— Stań, ale to nie wystarczy. Jużemy i tak próbowali.

— W takim razie damy ławkę na stół, ty staniesz na ławce, ja tobie wskoczę na ramiona, a potem fiut!... podbiję się i pochwycę za gałąź.

— A no, a no!...

Cała dzieciarnia przysłuchiwała się tej rozmowie i mocno się zaciekawiła. Nowoprzybyły towarzysz imponował! Utworzyło się też zaraz szerokie koło widzów o roziskrzonych od ciekawości oczach.

Kto wygra: Głodomór czy Hultaj?

Stach ustawił ławkę na stole i popróbował, czy mocno stoi. Ale na to nadbiegła Matrona z kuchni i zawołała:

— Co wy tu robicie?

— Robimy barykadę, po której ja mam wdrapać się na dęba.

— Nie wolno! Zaraz mi ściągnij ławkę ze stołu.

— A tobie co do tego? — zapytał butnie Stach, zaś iskierki gniewu zamigotały w jego bystrych oczach.

— Mówię ci, zaraz ściągam ławkę ze stołu.

O, widzicie go, jaki mi pan! Ledwie przyszedł, a już chce coś rozkazywać! Ściągaj mi zaraz ławkę na ziemię! Słyszysz?

— Nie ściągnę! Ani mi się śni! A tobie nie do tego.

Oboje poczerwienieli i zaperzyli się na dobre. Cała młodzież rozdzieliła się na dwa obozy: jeden większy stanął po stronie Stacha, ciekawy nowego sposobu wdrapywania się na starego brodacza, — drugi mniejszy bronił powagi swej opiekunki Matrony.

Francia tupnęła groźnie nogą:

— A ja ci mówię, ty smarkaczu, ściągam ci zaraz ławkę ze stołu, bo inaczej pójdę i poskarżę pani!

— A ja ci mówię, ty smarkata, zamknij swój zły dziobek na dwa spusty, a nie, to biegnij zaraz na skargę, bo nie doczekasz się tego i do północy, abym ja ci ściągał ławkę ze stołu.

— To ja ją sama zdejmę!...

Porwała oburącz za ławkę. Ale Stach otoczył jedną jej rękę palcami niby pierścieniem i mocno ścisnął.

Aj, aj! — zawołała Matrona i siniejąc ze złości, wymierzała mu lewą ręką silnego klapsa w ucho; Staszek jednak błyskawicznie ostonił ucho pięścią, z której wysunął niby cień jeden palec. W ten palec ugodziła z całej siły Matrona dłoń. Stachowi oczywiście nie zrobiła nic, siebie zaś naraziła na dotkliwy ból, który ją doprowadził do wściekłości. Odkoczyła i zaniósła się gwałtownym płaczem.

— Dobrze, dobrze!... zaczekaj ty drabie, przybłodo! — zawołała wśród zjadliwych spazmów. — Idę zaraz do pani! Do wieczora już cię tu nie będzie...

I pobiegła.

— Padam do nóg. Moje uszanowanie. Szczęśliwej podróży! Ha, ha, ha! — zaśmiał się Staszek i powiódł oczyma po dziecięcych twarzach, na których odbiło się zdziwienie, przerażenie, ciekawość i wreszcie niezadowolnienie z powodu niepotrzebnej przeszkody w czasie wesołej i ciekawej zabawy. Więk-



...a ja potrafię. Założmy się!

szość najwidoczniej stała po stronie Stacha, bo Frania Łanowiecka zbyt często tyranizowała swe otoczenie, zmuszając wszystkich do ślepego posłuszeństwa, zaś nikt dotąd nie zdobył się na taką śmiałość, aby się nie zastosować do jej rozkazów. Niektóre jednak dzieci, zwłaszcza młodsze, pobiegły za Franią do domostwa przełożonej, aby stanąć wobec pani po stronie pokrzywdzonej "Matrony".

Tymczasem Staszek, nie tracąc ani na chwilę humoru, kazał wstąpić Głodomorowi na ławkę, sam zaś, jak mała, wdrapał mu się na barki i trzymając się palcami kory dębu, wyprostował się na całą długość. Wyciągawszy ramiona, dosięgnął już palcami najbliższego konaru, ale go objąć dłonią nie mógł.

— Nie dostanie, nie dostanie!... zahuczało w dole.

Na to Staszek spojrział w ukos i zawołał:

— Właśnie, że dostanę! — Hej! Głodomór! stój mocno, prosto i trzymaj się kory, bo ja się odbijam i podskakuję!

Nim Kłapa zrozumiał, co się dzieje, bosa pięty Hultaja odbiły się mocno od jego ramion i nagle zrobiło mu się zupełnie lekko na grzbiecie.

—Brawo!... zahuczał w tej chwili jakiś głos z balkonu i ozwały się gorące oklaski.

To legjonista, który całej tej scenie przyglądał się z oddali, widząc zręczność Hultaja, z jaką ten wdrapał się na dęba, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia mu oklaskami swego uznania. Bo rzeczywiście był to skok szaleńca. Gdyby Staszek nie był pochwycił konaru obu rękami, to niewątpliwie byłby runął na Głodomora, wywrócił ławkę i potoczył się z towarzyszem aż na ziemię. O złamanie ręki lub nogi, o rozbicie głowy lub połamania żeber bardzo łatwo w takich razach. Ale Staszek bystre miał oko, małpi spryt i szaloną odwagę... A to wszystko wystarcza, aby się najtrudniejsze udawały sztuki. Niby mały goryl pisał się teraz z nadzwyczajną szybkością po konarach w górę i dosięgnął wreszcie szczytu. Rozejrzał się dokoła, uderzył w dłonie i zawołał radośnie:

— Hej Wisła, wielka Wisła... nasza polska rzeka!...

Zapatrzył się w siną dal, w jasny pas wody, gubiący się hen, hen... na zakręcie za lasem i zmartwiał na chwilę, jakby go wielkie skrzydła nieznanego ptaka unosiły w błękitne niebiosy. Tak trwał dobrą chwilę i od-

dychał dziwnie miłym oderwaniem się od ziemi.

— Hej, ty Stachu! — zawołał w tej chwili z dołu Leczykrupa:

— Ile stamtąd widać wiosek?

— Licho tam wie.

— Policz.

— Takżebym zwarjował! Licz sam! Kościół w Rodziejce widzę dobrze.

— No, to złaź niżej i opowiadaj coś wesołego — dodał Głodomor, — który stał się już całą duszą przyjacielem i niewolnikiem Stacha.

Hultaj, napatrzwszy się rodzinnej wiosce i świętej polskiej rzece, zsunął się istotnie w dół i zapytał:

— Słyszeliście wy kiedy wilgę?

Jedni odpowiedzieli "tak", drudzy "nie".

— No, to posłuchajcie.

Złożywszy odpowiednio usta, wyrzucił z piersi kilka dźwięków, przypominających zupełnie dokładnie mowę tego ptaka.

— Doskonale, doskonale!

— A teraz posłyszycie srokę.

Rzeczywiście: wszystkim się wydaje, że sroczka siedzi na płocie, rusza ogonkiem, skrzeczy i zapowiada gości.

— Ha, ha, ha!... Jeszcze coś, jeszcze coś!

— Teraz będzie słowik.

I znowu ozwały się dźwięki w zadziwiający sposób zbliżone do miłosnej pieśni słowika w rozkoszny, majowy wieczór.

— Doskonale, doskonale!... Staszek, jeszcze coś, jeszcze coś! — wołają natarczywie dalej liczne głosiki z dołu.

Przez otwarte okno wychyliła czarna pani głowę, słucha, uśmiecha się i co chwila spoziera ku górze, aby zamienić jakąś myśl niemą z legjonistą na balkonie.

Przed chwilą wysłuchiwała skargi Frani, pocieszyła ją, pogłaskała po twarzy, uspokoiła i przyrzekła, że po szkole, wieczorem, rozmówi się z niesfornym przybyszem. W duszy jednak doznaje takiego wrażenia, że słuszność będzie po stronie chłopca.

Więc wychyliła przez okna głowę, rozmyśla o tej słuszności i słucha.

Tymczasem Hultaj, którego wciąż dzieci z dołu proszą o jakąś nową zabawkę, pomyślał nieco i rzekł:

— Teraz będziemy wszyscy żabami.

— Dobrze, doskonale! Będziemy wszyscy żabami... Ale jak?

— Zaraz powiem, tylko cicho!... Ja śpie-

wam pierwszy, a wy, jak skończę jedną zwrotkę, odpowiecie mi chórem:

“Kwak, kwak, kwak!” — Co?... rozumiecie?

— Rozumiemy, rozumiemy!

— A więc: baczność!

Stach odchrząknął i zanucił bardzo ładnym, dziecięcym głosem:

Ze stawiska, koło lasu

Wysły żabki na naradę.

A że było dużo czasu

Zaspiwały serenadę:

“Kwak, kwak, kwak!”

— Teraz wy!...

Dzieci powtórzyły chórem i zaśmiały się.

— Kwak, kwak, kwak... Ha, ha, ha... kwak, kwak, kwak! —

Ogólna radość. Stach huśta bosem nogami z wielkiem zadowoleniem i rozpoczyna zwrotkę drugą!

Swary, wrzaski, rada długa:

Jakto pozbyć się bociana.

Skrzeczy jedna, skrzeczy druga,

Od wieczora, aż do rana:

Kwak, kwak, kwak...

Kum, kuma...

— Teraz wy:

— Kwak, kwak, kwak... ha, ha, ha, kwak, kwak, kwak... kum, kuma...

Wtem nadleciał bociek stary,

Żabki “hups!”... aż prysła woda!

I ucichły skargi, swary,

Nastąpiła święta zgoda.

Kwak, kwak, kwak...

— Kwak, kwak, kwak, ha, ha, ha, kwak, kwak, kwak...

Po tej piosence Stach Hultaj miał już dość przewodnictwa, więc nie troszcząc się o dalsze prośby i nalegania, wykonał kilka skoków w dół, zawisnął przez chwilę w powietrzu, trzymając się oburącz konara, wreszcie skoczył na stół i ze stołu na ziemię. Pac, pac!... chlapnęły bosc nogi o drzewo i twardą ścieżkę.

Wkrótce potem ozwał się dzwonek, zawieszony przy wejściu do willi pani Budrewiczowej. Był to znak, że zaczynają się lekcje po obiedzie. Ochrona doktorowej, założona doraźnie i przypadkowo, posiadała znaczne jeszcze niedostatki, między którymi najdotkliwiej odczuwać się dawał brak sal do nauki. Domostwo, chociaż liczyło sześć pokoiów na dole i trzy na górze, było tak szczupłe, że mogło dostarczyć zaledwie trzydzieści pięć miejsc noclegowych. I to też

narazie wyzyskano, aby bezdomne, wychwypane po ulicach dzieci mogły bodaj na noc mieć zaciszną osłonę nad głową. Na sale klasowe nie starczyło już miejsca. Ale narazie grono nauczycielskie, złożone z doktorowej, legionisty, panny Zimskiej, księdza wikarego, który przychodził z miasteczka parę razy w tygodniu, i stolarza, który w piwnicy urządził mały warsztat stolarski, radziło sobie jako tako, prowadząc naukę głównie w ogrodzie, pod dębem i obok starej gruszy. Oddział wyższy zasiadał przy dębie, dla mniejszych dzieciaków, należących do klasy pierwszej, wyznaczona była grusza. Póki na dworze świeciło słońce, nauka na świeżem powietrzu, w ogrodzie, między drzewami była nawet bardzo przyjemną, gdy jednak niebo zasępilo się czasem i poczęło sieć deszczem, musiały dzieciaki złączyć się gromadnie w ciasnych izdebkach, obsiadając łóżka i podłogi. W takich warunkach pracując, wszyscy czuli, że o ile lato zezjdzie na świeżem powietrzu, wśród zieleni przyjemnie i wesoło — to zima będzie bardzo ciężka.

Sprawą tą troskała się dzień w dzień biedna doktorowa i wciąż przemyślała, jakby złemu zaradzić.

Rzecz prosta, że myślami swojemi najczęściej dzieliła się z legionistą, który zawsze spokojnie i cierpliwie wystuchiwał jej żalów i wątpliwości, a czasami umiał ją pocieszyć, pokrzepić na duchu i dobrą podsunąć jej radę.

Pewnego razu, gdy znów czarna pani poruszyła sprawę dwu klas wykładowych i lepszej pracowni koszykarskiej, mieszczonej się dotąd w starej szopie, przerobionej dorywczo na widny pokój — legionista, który dotąd wciąż cierpliwie słuchał, milczał i coś tajemniczo przemyślał, uderzył się naraz po kolanie i zauważył wesoło:

— Niech mi pani odpowie na jedno pytanie, a może się coś ciekawego obmyśli...

— Proszę, pytaj pan.

— Do kogo właściwie należy stara cegielnia, tam, w dole, nad Wisłą?

— Niewątpliwie do mnie, aczkolwiek kochany sąsiad, pan Kurzak, wciąż jeszcze wymienia ją w podaniach procesowych jako przedmiot sporny. Faktem jednak jest, że ja na gruntach, należących do cegielni, już od wielu lat każę paść moje krowy. On wie o tem i nie nie mówi. Z tego samego jużby wynikało, że cegielnia moja.

— Nie próbowała pani wydzierżawić ją kiedy komu?

— Próbowałam, ale nikt się nie trafił.

Legjonista znów zamyślił się, wreszcie rzekł:

— Ciekaw jestem, co by było, gdybyśmy sami zaczęli wyrabiać cegły...

— Trudno — odparła doktorowa. — Robotnik dziś bardzo drogi.

— POCO robotnika! A nasze dzieci od czego?

— Również brak kierownika ceglarza.

— Ja jestem technikiem. Chodziłem przecież we Lwowie na architekturę i znam się cokolwiek na ceglarstwie. Zresztą gdzie jak gdzie, ale tu najłatwiej zastosować przysłowie: "Nie święci garnki lepią." Można by poprobać. Cegły łatwiejsze od garnków.

— Niema narzędzi, form, stołów.

— A od czegoż nasz mały warsztatik? Majster Kolankiewicz ma głowę na karku i z pewnością porobiłby nam ze starych desek doskonałe formy i stoły cegielniane. Zresztą ja i bez Kolankiewicza sam to potrafię.

— Bardzo pięknie, ale brak nam przede wszystkim opału do ceglanego pieca...

— I tego nie potrzeba. Od czegoż słońce na niebie. Ono wypali samo. Ileż to domów na świecie zbudowano z cegły "surówki". Prawda, że wypalana lepsza, ale i surówka bywa czasem dobrym materiałem budowlanym. A tutejsza glina, jak się przekonałem, wyborna. Zresztą w okolicy są zamożni właściciele ziemscy, którzyby może dali trochę opału dla szkoły.

— Do czego pan właściwie zmierza?

— Nie mamy sal wykładowych i koszykarskiej pracowni. To prawda. Ale mamy ochotne ręce dzieciaków i mamy dobrą wolę; a to wystarczy, aby własnymi siłami na przyszły rok wybudować domek, złożony z trzech lub czterech większych pokoi na sale szkolne i warsztaty. Idzie tylko o to, żeby wolno było używać cegielni, jak równie o to, żeby mi pani pozwoliła działać.

— Ależ działaj pan, działaj! — wykrzyknęła doktorowa radośnie, patrząc w roziskrzone na zimno oczy legjonisty, w których przeblyskiwała stanowczość, siła i niepożyta energia.

— Więc pani udziela mi swego pozwolenia?

— Proszę, oto moja ręka!...

— W takim razie od poniedziałku zabieram się do roboty!

Rozmowa ta między legjonistą a czarną doktorową miała miejsce na trzy dni przed przybyciem Stacha Hultaja do ochronki.

Kiedy dzieci usłyszały głos dzwonka z werandy, rozdzieliły się zaraz na dwie grupy i poczęły szybko urządzać pod dębem i gruszą "szkołę". Dwie pary maleców pobiegły do domu po czarne tablice, inne pary rzuciły się ku szopie, skąd wyniosły kilka ławek bardzo prostego pokroju, bo zbudowanych ze zwykłych desek, w które wbito po cztery ostrugane kołki, jako nogi. Ale to zupełnie wystarczało, aby siedzieć, słuchać i patrzeć na tablicę zawieszoną na haku, wbitym w twardą korę starego dębu.

Lekeja dzisiejsza zapowiadała się bardzo ciekawie, albowiem legjonista już poprzedniego razu, kiedy kończył naukę rachunków, oznajmił, iż wytłumaczy wyższemu oddziałowi, jak się formuje, wypala cegły, jak się potem te cegły wiąże zapomocą wapna w mury i ściany i jak wreszcie oblicza się, ile trzeba cegieł na wybudowanie domu albo szkoły. Wkońcu dodał, że jeżeli dzieci prędko nauczą się tego wszystkiego, to od poniedziałku starszy oddział przystąpi do wyrabiania cegieł, i na przyszłą wiosnę sam sobie wybuduje szkołę i koszykarską pracownię.

Bardzo to się dzieciom podobało i czekały następnej lekcji rachunków z wielkim zaciekawieniem. Na lekcję przyszła także Frania Łanowiecka, zaczerwieniona jeszcze gniewem. Usiadła na boku w znacznej odległości od tej grupy, w której siedział Stach Hultaj. Cisnęła kilka razy złemi spojrzeniami na chłopaka z pod czarnych brwi i sięgnęła tak zawzięcie wargi, że wyglądała jak dwie wążutkie, sinawe tasiemeczki.

Legjonista stanął przed tablicą i rozpoczął:

— Moje dzieci! Żył przed stu laty wielki wojownik francuski, który nazywał się: Napoleon Bonaparte. Był on później cesarzem Francji i wojował z całym światem. Ale w początkach swego wojskowego zawodu, kiedy był jeszcze młodzieńcem, bo zaledwie 25-cioletnim generałem, musiał rozpocząć we Włoszech walkę z cesarzem austriackim, a miał armję bosą, cbdartą i głodną. Otóż pewnego dnia stanął on przed tą armją i zawołał: "Żołnierze! Jesteście głodni, obdarci i nie macie butów, ale oprócz tego

jesteście śmiali, odważni i silni, i niesiecie światu wolność. A zatem naprzód: towarzysze za mną w bój! Do jutra pobijemy wroga, zdobędziemy buty, ubranie, jedzenie i uwolnimy braci Włochów od tyranji austriackiej”. “Hura!” odkrzyknęli żołnierze. Rzucili się za swym młodym generałem do walki, pobili wroga i zdobyli przydziewek, jedzenie, dużo broni i innego dobytku i obdarzyli mieszkańców północnych Włoch swobodami. A teraz ja do was mówię: “Hej dzieci!... nie macie ani szkoły, ani butów, ani ubrania na zimę... co wam teraz czynić trzeba?”

— Ja powiem, proszę pana, ja powiem, ja powiem!... wołali chłopacy ze wszystkich stron, trzęsąc palcami powyżej głowy.

— Powiedz ty, Lisowski.

— Trzeba pójść i zdobyć!

— Dobrze, ale gdzie..., w jaki sposób?

Lisowski spuścił oczy i nie umiał nic więcej powiedzieć.

Na to rzekł Sewerek Dymkiewicz:

— My już przecie na buty, odzienie i na życie trochę zarabiamy, plotąc codziennie koszyki.

— Prawda! — odrzekł legionista — z butami, odzieniem i życiem szłoby już jako tako, a po pewnym czasie pójdzie jeszcze lepiej, gdy tylko w koszykarstwie znacniejszej nabierzemy wprawy. Ale co będzie ze szkołą?

— Pan powiedział, że sami będziemy robili cegły i sami sobie wymurujemy szkołę, — zauważył Liczykrupa.

— Tak jest, ja tak powiedziałem. Ale ja nikogo nie przymuszam i chciałym najpierw wiedzieć, co wy o tem myślicie.

Na te słowa zerwał się z ławki Stach Hultaj, podrzucił czapkę w górę i zawołał:

— My tak, jak ci żołnierze we Włoszech: “Hura!” — robimy cegły i postawimy sami szkołę!

Inni, porwani zapałem Stacha, poczęli także podskakiwać na ławkach, bić w dłonie i wołać z całej siły:

— “Hura!”... robimy cegły, stawiamy szkołę!...

— Dobrze, moi kochani, bardzo się cieszę, że tyle objawiacie ochoty do spełnienia pięknego dzieła. Ale obawiam się, żeby to nie był słomiany ogień; bo ludzie nieraz w pierwszej chwili zapalą się i rozpoczynają jakąś robotę, lecz wnet, gdy przekonają się o ogromnym wysiłku, który ich czeka, o-

puszczają ręce i uciekają z pola. Wierzajcie mi, moi drodzy, że daleko trudniej nieraz wytrwać w zwyczajnej, codziennej robocie przez dwa, trzy lata, niżeli w ciągu kilku godzin stać w ogniu nieprzyjacielskim lub uderzyć na wroga z bagnetem w rękę. Wytrwałość to większa jeszcze zaleta charakteru, niżeli odwaga i śmiałość; to też zastanówcie się dobrze, czy wytrwacie w pracy...

— Wytrwamy, wytrwamy... — ozwały się ze wszystkich stron głosy.

— Kto zatem postanawia, że nie ustanie dopóty, póki wspólnymi siłami nie zbudujemy szkoły, niech podniesie rękę.

Wszyscy podnieśli ręce z wyjątkiem Frani Łanowieckiej, która tylko dlatego nie chciała przyłączyć się do gromady kolegów i koleżanek, bo najwięcej zapału do roboty okazał Stach Hultaj i porwał innych za sobą, a ona tego przybysza już z całej duszy nienawidziła.

— Franka, a ty nie?... — zapytała siedząca obok Wiktusia Smolarzówna.

— Nie chce mi się! — odrzekła hardo Matrona i ruszyła ramionami. — Ja z tym przybłędą, co mnie uszczypnął w rękę, żadnej roboty razem wykonywać nie będę.

— Ale w zimie, co będzie w zimie... — pytała Wiktusia.

— Mnie nie szkoła nie obchodzi. Szkołę mamy tutaj, pod dębem i to wystarcza.

— Ale w zimie, co będzie w zimie!...

— W zimie powrócą rodzice i zabiorą nas do domu. A zresztą gdzieby same dzieci wybudowały jaką szkołę!... Na to trzeba pieniędzy i dobrych majstrów, a nie takich smyków jak ten głupi przybłęda!

Rzuciła groźnym spojrzeniem na Stacha i umilkła.

Tymczasem legionista, który nie słyszał cichej rozmowy Wiktusi z Franią, a nawet nie zauważył, że Łanowiecka nie głosowała za budową szkoły, ucieszył się ogromnie zapalem całej gromadki i ciągnął dalej:

— Teraz jednak, moje dzieci, obliczmy sobie, ile to cegieł musielibyśmy wyrobić, aby zbudować sobie dwie izdebki na pierwszą i drugą klasę, a trzecią na pracownię koszykarską i na warsztat stolarski. Uczyliśmy się już, jak się oblicza objętość kostki. A teraz wyliczymy sobie, ile w takiej kostce, której jedna krawędź liczy metr długości, mieścić się będzie cegieł. Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że przeważnie lu-

dzie na świecie robią takie cegły, aby miały 30 cm. długości, 15 cm. szerokości, a $7\frac{1}{2}$ wysokości. Że tak jest, zaraz się przekonamy.

Kazał przynieść kilka cegieł, leżących pod domem, od czasu przestawiania pieca piekarskiego, wydobył z bocznej kieszeni składaną miarę, która nazywa się metrem, i kazał Liczykrupie przemierzyć jedną cegłę. Istotnie, pokazało się, że wymiary były właśnie takie, jakie poprzednio podał. Potem legionista ustawił warstwicę cegieł na ziemi, tak, aby utworzyły metr kwadratowy. Z tego zestawienia okazało się, że na wypełnienie metra kwadratowego powierzchni trzeba około 22 cegieł, a ponieważ na metr sześcienny idzie trochę więcej niż 13 takich warstwic, więc znowu wyliczyły sobie dzieci same, że na metr sześcienny idzie mniej więcej 290 cegieł. W dalszym ciągu wytłumaczył legionista na przykładzie, jak się układa cegły przy tworzeniu muru, aby nastąpiło należyte ich związanie, i znowu, obliczając pojemność jednej ściany po drugiej, wyliczył wraz z dziećmi, że na wymurowanie takiej szkoły, o jakiej była mowa, potrzeba będzie aż 30 do 40.000 cegieł.

— Prawda, że tego dużo? — zapytał.

— Dużo!... ho, ho!...

— Na wszystko to trzeba najpierw udeptać glinę w dole bosymi nogami, potem z tego szlamu porobić w formach cegielki, potem ustawić je pod szopą na przewiewnem miejscu i wreszcie wypalić w starym piecu, o ile ktoś z dobrych ludzi da ochronee trochę drzewa ze swego lasu. W przeciwnym razie trzeba będzie budować z surówek.

— Drzewa na opał musi dać pan Wojtasiewicz — zauważył Stach. — Pójdziemy i zaśpiewamy mu "Rotę". On stary legionista z powstania w r. 1863, i jak usłyszcy kiedy takie pieśni, tak zaraz płacze, a potem ściąga buty z nóg i oddaje każdemu, kto poprosi, albo i nie poprosi.

— Skądże ty o tem wiesz? — zapytał pan Wiktor.

— Opowiadał to memu ojcu nasz organista z Rodziejki, który chwalił się, że w ten sposób wyśpiewał sobie w kościele na chórze całe pokrycie domku budowanego dla zięcia. Bo pan Wojtasiewicz po każdej mszy płakał a potem starego szachraja, co oszukiwał Pana Boga i dobrego człowieka, klepał po ramieniu i mówił mu do ucha: "Pięknie śpiewałeś bratku. Przyslij tylko furę po drzewo, a dam, ile zechcesz na dach i pokrycie".

I dał tyle, że można było cztery domki pokryć i jeszcze trochę sprzedać.

— A no... może zwrócimy się po drzewo i do pana Wojtasiewicza, skoro on taki ofiarny, ale narazie najważniejsza rzecz, cegły.

Więc od poniedziałku stajemy do roboty.. co?

— Hura! Stajemy!... ozwały się wszystkie głosy z wyjątkiem jednej Frani Łanowieckiej.

III.

Cegły.

Przez całą niedzielę pracował pilnie nasz legionista nad planem przyszłej szkoły koszykarsko-rzemieślniczej, którą zamierzał wybudować na ogrodzie pani Budrewiczowej przy pomocy dziecięcych sił z Ochrony. Było to jedno z przedsięwzięć, wobec których ludzie, szczącący się trzeźwymi głowami na karku, najczęściej ruszają z politowaniem ramionami. Ale młody architekt należał do tych, którym zapał i dobra wola stała towarzyszą w życiu.

— Co będzie, to będzie, a ja przecież spróbuję! — zawyrokował, uderzając pięścią w stół, na którym napięty był rysunkowy papier. Widniał już na nim szkic przyszłej budowy.

Ponieważ jednak Wiktor Marchwicki, mimo swej gorącej natury, trzeźwym odznaczał się sądem we wszystkich sprawach technicznych, więc i tu nie szedł w swych postanowieniach za daleko.

— Zobaczmy co będzie! — rozmawiał sam z sobą, wpatrując się w rysunek szkoły. Poco budować wszystko odrazu. Ot, na wiosnę dość będzie, gdy uda mi się wyprowadzić pod dach dwa pokoje... a choćby tylko jeden. Cóż to!... jeden pokój, wielka historia! Gdybym miał obie nogi, to sam wymurowałbym w ciągu miesiąca. Prawda: nogi mi brak, ale posiadam przecież trzynastu chłopaków do pomocy... Trzynastu ochotnych zuchów, że jeno skały roztrącać! Ej, nie! Czuję doskonale, że mi się stwórzka uda. Gdy zaś w pierwszym roku postawię dwa pokoiki, ręczę, że reszta pójdzie jak z płatka. Ofiarnych ludzi u nas dość, wiem o tem doskonale, ale każdy z nich chce coś widzieć. Same słowa nie wystarczają. Zresztą słów tych na każdym kroku tyle, że aż czasem niedobrze. Lepiej robić, niżeli mówić. To moja zasada i koniec!

Uderzył jeszcze raz pięścią w stół i zapalił papierosa.

Program pracy był zatem ułożony: szkoła miała być budowana po kawałeczku, na raty, i to tylko własnymi siłami. Stosownie do tego zamiaru naszkicował tak plan budowy, aby ją można było rozłożyć na lat kilka.

Od jutra postanowił tedy zabrać się do wyrobu cegieł i wszelkie do tego przygotowania już poczynił. Przedewszystkiem należało postarać się o dłuższy stół ceglarski i kilka form skrzynkowych. Wszystko to już przygotował w ciągu piątku i soboty majster Kolankiewicz ze swymi pomocnikami: Lisowskim i Danieckim. Teraz należało jeszcze doprowadzić wodę do dołu, aby niepotrzebnie nie nosić jej kubłami pod górę. Architekt omówił przeto ze stolarzem kształt i wymiary zastawki, którą miał umieścić przy sadzawce, sam zaś postanowił dobrać sobie trzech żwawych chłopaków i w ciągu poniedziałku wykopać rowek między wodospadem a jamą do przerabiania gliny, zarazem wybudować tamę przed wodospadem, aby przez to utworzyć na gorze małą sadzaweczkę tuż przy skale.

Do tej pracy przeznaczył Sewerka, Liczykrupe i Stacha Hultaja.

Co prawda, rozpoczynając budowę szkoły i odciągając część chłopeów od zarobkowych prac koszykarskich, narażał chwilowo Ochronkę na pewne straty, pocieszał się jednak myślą, że przez wybudowanie domu był szkoły nie tylko na czas piękny utrwali, ale i po wojnie zapewni jej piękny rozwój, bo jak raz szkoła będzie miała własny dach nad głową, to już i zwiniętą nie zostanie; powtórę chodziło tu tylko o miesiące jesienne, do pierwszych przymrozków, później bowiem wyrabiać już cegły nie można, więc niezbyt długo miało potrwać zmniejszenie sił roboczych w koszykarni. Zresztą nadechodzi już jesień i zima — myślał. — Co się straci w sierpniu i wrześniu, to się nadgoni później..

Podniecony powziętem postanowieniem obudził się w poniedziałek o czwartej rano, przetarł oczy i usiadł na łóżku. Ochrona jeszcze spała. Czuł, że już nie zaśnie na nowo, a wstawać jeszcze mu się nie chciało. Że jednak na dworze zapowiadał się śliczny, pogodny dzionek, więc wyskoczył z łóżka i czepiając się stołu, dotarł do okna, otworzył je i pełną piersią zaczerpnął świeżego powietrza. Młode jaskółki szepleniły mu nad głową, w oddali czekał jakiś pies, a za o-

grodem klekotał próżny wóz, jadący w pole. Cudna była jutrzienka, przechodząca z mrocznego zółcienia w słoneczną czerwień.

Architekt, wypełniwszy płuca wilgotną, ożywczą wonią ogrodu, cofnął się i usiadł na kanapie, aby jeszcze raz odświeżyć sobie spokojnie w pamięci zamierzoną na dzień dzisiejszy pracę. Nie zdołał jednak skupić myśli, gdyż niebawem uwagę jego zwrócił na siebie jakiś głosik dziecięcy tuż pod oknami. Ktoś nucił sobie jakąś piosenkę pod nosem i uderzał bosemi piętami o twardą ścieżkę.

Legjonista dzwignął się i spojrzał w dół. Z pochyloną ku ziemi głową stał tam naprzeciw okna Staszek Hultaj i szukał czegoś pilnie w trawie. Nareszcie dojrzał! Schylił się szybko i pochwycił z widoczną radością tutkę cygaretową z resztką niedopalonego papierosa.

— Co ty tu robisz, chłopeze!... zagadnął go niespodziewanie legjonista z góry.

Chłopak drgnął zrazu, jakby się przeląkł, ale potem natychmiast podniósł oczy i uśmiechnął się:

— O!... pan już nie śpi!!

— Jak widzę i ty nie śpisz także. Czemuś się tak rano zerwał?

— Umyślnie wstałem weześniej, aby który nie wybierał mi "kumetek" z pod okna.

— To ty już palisz?

— O, ho, ho!... Proszę mi rzucić z góry pudełko i jedną zapalkę, a zaraz pokażę panu, jak się umiem zaciągać!

— Ej, chłopeze, rzuć ty lepiej tę "kumetkę". Co ci po niej!

— A panu co było po niej?

— Prawda. Ale cóż, nie trafiłem na takich, co by mnie byli wczas ostrzegli, kiedy byłem jeszcze młodym chłopakiem i dopiero zaczynałem.

— I ja nie trafiłem na takich...

— Przeciwnie. Trafiłeś, bo właśnie ja ci powiadam: daj pokój. Jesteś jeszcze dzieckiem, które się dopiero rozwija. Tytoń na taką młodą krew działa zabójczo: zatruwa mózg i żołądek, odbiera apetyt i sen.

— Tak mówią starsi. Ale to nieprawda. A ja już także przyzwyczaiłem się tak, jak i pan.

— Dobrze... wszystko to prawda. Skąd ty jednak bierzesz pieniądze na papierosy?...

— To właśnie bieda, że ja ich nie mam

skąd wziąć! Ale to nie. Co rana poszukam tu w trawie... Może coś znajdę...

— Bardzo wątpię. Będę na przyszłość ostrożniejszy.

— Kto panu posługuje?

— Sewerek.

— Może mnie pan weźmie. Ja panu codziennie wyczyszczę but jak szkło, przyniosę wody, pościelę i pozamiatam w pokoju za jednego całego papierosa... Dalibóg!

Legjonista uśmiechnął się.

— Ty jesteś naprawdę "Hultaj" pierwszej klasy.

Staszek puknął językiem, jakby odkorkowywał flaszkę, i schował ogarek papierosa do kieszeni.

— Spałeś dobrze?

— Ho, ho!... jak młody król!

— I przyjemnie ci u nas?

— To się wie!... Inaczej byłbym już dawno poszedł w świat. A dziś kopimy rowek. Prawda?

— Kopiemy po śniadaniu.

— Czemu dopiero po śniadaniu? Teraz nie można? Do śniadania mamy jeszcze trzy godziny. Za ten czas cały rowek może być gotów. Fit!...

— Niezawodnie!

— No, to ja idę po Sewerkya i Liczykrupę.

— Spróbuj. Może zechcą...

— Co to znaczy: "zechcą"! Muszą, i już! A nie, to za uszy i w kark!

— O, za pozwoleniem! Tak nie wolno. Zauważyłeś przecie, że u nas wszystko musi się odbywać po dobrej woli i z wesołością na twarzy.

— To też ja im zaraz zrobię turkawkę, potem jak huknę koło uszu niby osioł: "i — ha!"... tak zaczną się śmiać i wstaną po dobrej woli.

Ostatnie słowa wypowiedział już w biegu, podskakując ochotczo i pędząc dokoła budynku na boczne schody.

Architekt zebrał się także szybko, przypasał szcudło i wyszedł na podwórko. Tu już wczoraj przygotował trzy rydle i jedną szeroką łopatę. Narzędzi tych było pod dostatkiem w komórce ogrodowej, używano ich bowiem do robót w polu i ogrodzie, do gracowania ścieżek.

Wkrótce potem nadbiegli trzej chłopcy: Liczykrupa, Sewerek i Stach, za nimi zaś podążać, zapinając jeszcze guziki u bluzki, Głodomór.

— Ja także... proszę pana! — /przymilał się zdaleka, podciągając pasek.

— No, to chodź i ty.

Chłopcy byli naprawdę weseli i rozbawieni nowością. Najwięcej cieszyło ich to, że legjonista właśnie ich wybrał z pośród całej gromadki.

— Bo my silniejsi od innych — rozumował Sewerek, i jakby dla zaznaczenia swej siły począł stawiać nadmiernie szerokie kroki i chlapać mocno boscami nogami po twardej ścieżce. Gdyby było pod ręką lusterko, byłby niewątpliwie popatrzał, czy mu przez noc nie urosły wąsy.

Wykopanie małego rowka w gliniastej ziemi, na przestrzeni trzydziestu kroków, rzeczywiście nie wyglądało na zbyt trudne zadanie, przeciwnie, w trójkę można się było z tem uporać w ciągu jednej godziny; cokolwiek cięższą robotę przedstawiało otoczenie bocznej ściany przy górnej sadzawce odpowiednim wałem, dla przytrzymania tam wody, trzeba bowiem było wzmacniać wał takim materiałem, którego nie znosi wiosenna lub jesienna ulewa.

— Musimy tu dać faszyny i przymocować je silnie kołami do ziemi. Samą glinę zerwałaby woda odrazu.

Po tych słowach wyjaśnił legjonista chłopcom, co to jest "faszyna."

— Pójdziemy nad Wisłę — mówił — natniemy łązy i powiążemy ją w małe przecinkowe snopki. Te snopki wrzucimy następnie między dwa szeregi kołków i zarzucimy to wszystko gliną... Widzieliście może takie faszyny przy groblach rzecznych, obok młynów?

Sewerek i Stach widzieli, Liczykrupa nie widział, Głodomorowi zaś wydawało się, że coś niby widział, ale napewno nie wie. Czuło było, że zmyśla.

— A uszy swoje widziałeś? — dociał mu Sewerek.

— Daj mu pokój, — dokończył Stach poważnie — bo jakby zobaczył, toby się przstraszył, takie długie. A na drugą noc jeszczeby mu się śniło, że się opędza przed muchami ogonem. Wiecie przecież, że każdy na nim jeździ.

Głodomór zrozumiał i stanął zaraz do walki na pięści, ale architekt wetknął między nich łaskę i rozdzielił zapaśników.

Do śniadania rowek był wykopany w całości. Również nacięli chłopcy spory kopczyk łązy na faszyny, brakło jeszcze tylko

kołków i zastawki. Właśnie w tej chwili odezwał się dzwonek na śniadanie.

Chłopaki, wchodząc wesoło z rydlami na plecach do ogrodu, poczęli już zdaleka wymyślać tym, co siedzieli przy stole pod dębem i zapijali herbatę z mlekiem. Kubki ich były olbrzymie i chleba spore stosy leżały na stole. Każdy jadł, ile chciał. W pierwszym roku wojny nie odczuwało się jeszcze braku chleba; potem dopiero w trzecim i czwartym dała się ta ciężka zmora ludziom dobrze we znaki.

— My już wykopali rów i znieśli łożę na faszyny, a wy leniuchy, darmożjady drapiecie się wciąż jeszcze w nieuczesane głowy — zawołał Liczykrupa, przełażąc przez ławkę.

— A my widzieliśmy cztery śliczne na polu sarny i piątego capa — dodał Stach z powagą.

— Jakiego capa?... zapytał ciekawie Liskowski.

— Takiego jak ty. Pił herbatę z mlekiem i wołał: mie... e, e, e...

— Idź, kłamiesz!

Mały Janek Znajda, przestał na chwilę płakać i powtórzył: mie... e, e, e...

Zawisło nad stołem powszechne zaciekawienie: co to za rowek, co to są faszyny, czy prawda, że były na polu sarny i cap? Powstał szmer głosów złożony z krótkich pytań i odpowiedzi. Z głosów tych tylko tyle można było zrozumieć, że wszyscy chcą zaraz po śniadaniu pójść do cegielni i oglądnąć robotę. Jeden tylko Janek, który prawdopodobnie wstał lewą nogą z łóżka, po chwilowej przerwie znów rozpoczął swe długie monotonne bekсы. Prowadził wojnę z Matroną, swoją opiekunką. Odpychał ją i odpędzał przeraźliwym piskiem, wymachując ze złością małemi nóżkami w powietrzu.

— Czego on tak wrzeszezy, ten bęben! — zapytał Liskowski i dodał — cicho bądź, ty, durniu mały. Myślisz, że nam przyjemnie słuchać twoich pisków?

Janek nie zważał jednak na te przestrogi i borykał się w dalszym ciągu z Matroną. Ta wreszcie, rozgniewana uporem mazgaja, dała mu klapsa po ręce, tupnęła nogą i krzyknęła z całej siły:

— Cicho bądź! Ani mru, mru!

Janek rozżalił się do reszty i począł przebieściele zawodzić, przykładając rączkę do oczu.

— Jeżeliś taki złośnik, to ja sobie idę! —

rzuciła porywezo Franka i odeszła do kuchni.

Na to Stach Hultaj, który wypił był już saganik herbaty z mlekiem i przełknął z wielkim smakiem kilka kromek chleba, wstał i podszedł do małego Znajdy.

— Poczekaj Januś — rzekł słodko, pieszczotliwie — nie trzyj oczek rączkami, bo zatrzesz i będą cię piekły. A wiesz ty, jak to robi baranek?

Kucnął przy nim, pochylił głowę i potrząsnął ją jak prawdziwy baran:

— O tak: widzisz?... Baran, baran... buć!... A jakże! No, jeszcze raz: baran, baran... buć! — mówiąc to bućnęła chłopaczka w brzuszeczek.

Dzieciak przestał płakać, rozpromienił rumianą twarzyczkę i uśmiechnął się przez łyzy, które zawisły mu na rzęsach.

— A potem przyleciała wrona, chwyciła Janusia za rękę i powiada: kra, kra, kra!... I poleciała: fur, fur, fur...

— He!... śmieje się Janek przez łyzy.

— A potem przybiegł piesek i prosi: Janku, daj mi kawałeczek chleba... Januszek dał mu całą kromkę, a on na to: hau, hau, hau!...

— Pet, hau, hau!... Kalo, kalo... — powtarza Janek i już cały zanosi się od śmiechu.

Dziewczęta i chłopcy otoczyły zabawną grupę i przyglądają się przedstawieniu. Na to nadbiegła Matrona z kuchni. Otrzymała tam od matki spory kubek doskonałej kawy ze śmietanką i tę przełknęła spiesźnie w korytarzyku, aby nikt z kolegów i koleżanek nie widział tego wyróżnienia — poczem wróciła do ogrodu zadowolona i skłonniejsza do ustępstw wobec małego Znajdy. Tu jednak spotkała ją niespodzianka. Przed jej wychowankiem siedział na piętach zniebawidzony Hultaj, zabawiał dziecko opowiadaniem o zwierzętach i dawał całemu towarzystwu przedstawienie z rozkosznej radości Janka.

— Idź precz! Tyś tu niepotrzebny! — zawołała — Co tobie do dziecka?

Stach zerwał się i kopnął ją bosą nogą poniżej pasa.

— Na masz! A nie ciskaj się! — dorzucił, ponsowiejąc jak mały kogut ze złości.

Franka zbłądła, skamieniała. Nie spodziewała się aż tak ciężkiej zniewagi. Nagle porwała Janka za rękę i ściągnęła go z ławki.

Równocześnie uderzyła w wielki, przeraźliwie bolesny lament:

— Dobrze, dobrze!... ty zbóju, ty łajdaku, ty oprysku!... Ty tu będziesz ludzi jak zwierzęta, kopał?! Idę zaraz do pani na skargę. Zobaczysz, co cię zato spotka. Do wieczora już cię tu u nas nie będzie!... Zobaczysz, zobaczysz!

Ciągnąc wciąż Janka za sobą, wygrażała się pięścią i siną z wściekłości lamentowała w niebogłosy. Ale i mały chłopczyna miał swój własny upór, niegorszy od złości Franinej. Zaparł się i począł krzyczeć, co mu sił starczyło:

— Ja nie cie, ja nie cie... ja nie cie!...

Wreszcie wyrwał się, pobiegł pędem do Stacha i rzucił mu się w objęcia.

— Flania — be!... Flania — be!... Ja cie Stacha!

Matrona zgłupiała po raz wtóry. Teraz jednak nie próbowała już odbić swego malca Stachowi, gdyż czuła, że Janek za nią nie pójdzie, tylko wykrzywiwszy twarz brzydkim spazmatycznym płaczem, puściła się co tchu do mieszkania doktorowej.

Stach, w poczuciu swej niewinności odwrócił się do całej Ochrony i zapytał:

— No cóż? Powiedziecie sami!... Ja tu za winił, czy ona?

— Ona, ona, ona!... — ozwały się z różnych stron głosy.

— Tylko niepotrzebnie ją kopnąłeś — broniła przyjaciółki Wiktusia. — Pani doktorowa z pewnością będzie się gniewała, bo ona bić się nie pozwala, ani gryźć, ani kopać.

— To i cóż! — odciał się hardo Staszek — niech ta wasza Matrona pamięta na drugi raz, że mnie trącać nie wolno, ja także człowiek. Przecież ja nie zaczynam!

— Żeby cię tylko pani nie wypędziła! — zatroskał się Lisowski.

— Niech wypędzi!... wielka rzecz!... Czy to mnie raz ludzie ścigali z domu. Byłem przecie u organisty, byłem we dworze przy stajni. Wylali — tom zagrał im na nosie i szedł dalej. O, wa! świat szeroki! Żeby tylko tyle kłopotu — potem zwrócił się do małego Janka. — Chodź, Januś na barana. Ja będę twoim koniem. Pojedziemy w świat!... hen, daleko pojedziemy aż do twojej mamusi. Tam cię z pewnością nikt bić po rękach nie będzie. A jakże! Wio, koniu, wio!

Wsadził go sobie na ramiona i począł

cwałować krótkim, bocznym galopem po różnych ogrodowych ścieżkach.

Dzieci, spożywszy śniadanie, zrobiły prędko pod dębem porządek i udały się do koszykarni. Wiedziały, że to ich w ciągu całego dnia praca najważniejsza, zarobkowa, mianowicie ta, która z dochodów, otrzymanych za maty i kosze, w pewnej części kryje wydatki na ich życie i przyodziewek. To też zarówno chłopcy jak i dziewczęta, z małymi tylko wyjątkami, spełniały swoją robotę w koszykarni z prawdziwie przykładną pilnością. Do ociężałych pracowników należał czasami Głodomór, czasami marudziła Julka Kołpaczewska, wreszcie niekiedy uciekał z szopy i krył się w krzakach Sewerek, ale tylko wtedy, gdy miał jakąś bardzo ciekawą książkę do czytania. Zresztą wszyscy inni spełniali swój obowiązek bez przymusu i z uśmiechem na ustach. Owóż zaraz po śniadaniu uciszyło się w ogrodzie. Po dębem zostali tylko trzej chłopcy, którzy pracowali rano z legionistą koło cegielni i czekali na dalsze zlecenia, zaś w oddali galopował niezmordowanie po ścieżkach Staszek Hultaj z małym Jankiem na grzbiecie który w dalszym ciągu zaśmiewał się rżakosznie.

Galopował tedy Stach i rozmyślał na chłodno, gdzie pójdzie i co zrobi, gdy go z Ochrony wyleją. Zaledwie trzeci tu był dzień, a już się przyzwyczaił i pokochał tu tejsze życie. Zarówno, doktorowa jak i legionista byli to jacyś nowi ludzie, których dotąd nie spotykał, ludzie jak gdyby wyjęci z książek, a nie z tego codziennego, złego i dokuczliwego świata. Również i dzieci, z wyjątkiem jednej Matrony, dawały się lubić. Było mu tutaj zacisznie, wesoło, pogodnie i swojsko. Łóżko miał wygodne i obiad na czystym stole i świeżą, białą otrzymał w niedzielę bieliznę wzamian za stare, brudne łachmany, po których łażyło dokuczliwe robactwo.

— Wszystko to prawda, — myślał Stach ze smutkiem — ale jak trzeba będzie pójść, to się pójdzie i koniec.

Wtem na werandzie ukazała się czarna doktorowa z legionistą, obok nich zaś szła Matrona i skarżyła, wyciągając rękę w kierunku starego dębu. Widocznie było, że p. Budrewiczowa czuła się podniecona, bo poczerwieniała na twarzy i błyskała oczyma.

— Odejdź! — rzekła po chwili do Franki

— sama z nim pomówię — potem zwróciła się do legjonisty.

— Chce pan być przy tem?

— I owszem. Aczkolwiek już urobiłem sobie sąd o całej sprawie, wątpię, abym zmienił zdanie.

— Niech go pan tu zawoła.

Legjonista przyłożył dłoń do twarzy i huknął:

— Hej, Staszek!... a chodź-no tu!

Stach zdjął chłopczyka z karku, ustawił go ostrożnie jak pieczółowita niańka na ziemi i wiodąc za rękę, podszedł ku pani Budrewiczowej.

— Czy to prawda, żeś kopnął Franię?... zapytała kobieta ostro.

— Tak jest, kopnąłem! — odrzekł hardo Stach, wyprostował się i czekał. Znaczyło to: "Chcesz bić, to bij, ale prawda i słuszość po mojej stronie."

— Dlaczegoś to uczynił?

— Bo ona mnie pierwsza potrafiła, gdym zabawił płaczącego Janusia.

— Ona mówi, że cię tylko zlekka odsunęła na bok.

— Ona kłamie! Potrafiła mnie w złości tak, że aż zatoczyłem się i uderzyłem głową o ostry kant stołu. Niech pani spyta kogo bądź, każdy powie, że mówię prawdę.

Śmiałość i pewność siebie w odpowiedzi Stacha zbiły nieco doktorową z tropu. Początkowo sądziła, że będzie tu miała do czynienia z brutalną napaścią popędliwego i nieokrzesanego chłopca, z napaścią, którą w zarodku trzeba będzie poskromić. Tymczasem stawało się coraz widoczniejszym, że jeżeli Stach zawinił, to był podrażniony i że Franka conajmniej taką samą poniosła jak i on winę. Więc też doktorowa, aczkolwiek w pierwszej chwili postanowiła rozprawić się ze Stachem Lubiczem ostro, a nawet nie baczyć na możliwą jego ucieczkę z zakładu, teraz po wysłuchaniu jego śmiałej, nacechowanej prawdą odpowiedzi, znacznie złagodniała.

— Czy ty chłopcze tego jeszcze nie rozumiesz, że w dobrze wychowanym społeczeństwie ludzie nie trącają się, nie kopią, nie gryzą, nie biją?...

Stach milczał. Nie zastanawiał się nigdy dotąd nad tem, jak powinno wyglądać dobrze wychowane społeczeństwo. Nawet nie zrozumiał naprawdę tego wyrażenia.

— Ja nie pozwalam na to, żeby się u mnie w zakładzie dzieci biły, żeby sobie nawza-

jem dokuczały i zatrzuwały życie. U mnie musi być spokojnie, ciepło, pięknie i wesoło. Wszyscy muszą się kochać i służyć sobie wzajemnie. Może ty tego jeszcze nie rozumiesz, lecz zapamiętaj, com powiedziała, i pomyśl czasami o moich słowach. Przyjdzie kiedyś taka chwila, że mnie zrozumiesz.

Tu odwróciła się do legjonisty i dorzuciła, jakby mówiąc do siebie samej:

— Sądzę, że na dziś dość.

— I ja tak sądzę, — odrzekł Wiktor, uśmiechając się nieznacznie i dodając w duchu: "Z wielkiej chmury mały deszcz."

— To ja mam iść sobie w świat, czy nie? — zapytał chwiejnie Staszek.

Tym razem uśmiechnęła się znowu nieznacznie czarna pani. Zauważyła w głosie chłopca żal i to ją ucieszyło. Sądziła, że z tym hardym dzikusiem dłuższy czas będzie miała wiele kłopotu, atoli okazało się, że Hultaj prędzej się oswoił i przyrósł do zakładu, niżeli to się działo z innymi bezdomnymi wykołajeńcami.

— Iść w świat?... Nie!... Poco? — odrzekła wesoło doktorowa.

— Myślałem, że mnie pani wypędzi...

— Och! Daleko jeszcze do tego. Musisz mi jednak dać słowo, że Frani nigdy więcej przykrości nie zrobisz.

— Ja na to słowa dać nie mogę.

— Czemu?

— Bo jak mnie kto nastąpi na palce, to ja go zaraz w kark. Więc mógłbym coś złego zrobić... czy ja wiem. Ale ja pani dam na coś innego słowo. Dam pani słowo, że się będę trzymał od niej zdaleka. To potrafię. Tylko niech jej pani powie, żeby mnie także nie zaczepiała.

— Zgoda! Niech będzie i tak. Dawaj rękę! Od złego dłużnika każdy datek dobry.

Stach wyciągnął rękę i wstrząsnął białą dłonią doktorowej mocno, zamaszycie.

Ukryta daleko za krzakami Frania przysłuchiwała się uważnie tej scenie i zakończenie jej zrozumiała trafnie. Nastąpiła zgoda. Stach zostawał w zakładzie. Zjadliwa dziewczyna znów pozieleniała ze złości i pobięła do matki na skargę.

IV.

Dobry początek.

Czterej chłopcy, którzy wraz z panem Wiktorem pracowali przy cegielni, należeli do najsilniejszych w Ochronie. Wszyscy oni,

z wyjątkiem Stacha, który dopiero co przyszedł, cieli piłą i łupali drzewo do kuchni i pralni, więc też umieli dobrze władać toporem. Legjonista kazał im tedy zejść do drwalni nabywierać palików odpowiedniej grubości i pozacinać ich końce w ostre szpice.

Z robotą ową zwinęli się chłopcy w mig, zabrali od majstra Kolankiewicza zastawkę i zanieśli ją wraz z palikami na dolinę.

Teraz dopiero zaczęła się dla nich bardzo ciekawa i zajmująca robota, legjonista bowiem nie tylko był kierownikiem budowy, ale i nauczycielem: nim coś zarządził, starał się najpierw wydobyć z chłopców ich własne zdanie, w jaki sposób tę czy ową pracę wykonać należy. Gdy było źle, objaśniał i naprowadzał dopóty, póki wszyscy nie weszli na trafną drogę. Miła to była nauka: nie męczyła formułkami i regułami szkolnemi, a myśl szybko i zasobnie rozwijała.

Do południa mała sadzawka na górze była wykonana, tak, że zaraz po obiedzie można było przystąpić do mieszania gliny.

O dwunastej, gdy tylko ozwał się dzwonek, zwiastujący koniec robót w koszykarni, cała dzieciarnia wysypała się z ogrodu pani Budrewiczowej i runęła po stoku w dół ku cegielni.

Posypały się zaraz liczne pytania:

— Coście zrobili?... Po co to?... Dlaczego? itd.

A potem, w miarę objaśnień następowało kiwanie głowami:

— Aha, to tak!... to tak?

Legjonista śmiał papierosa na boku i cieszył się. Zajęcie się sprawą w sposób żywy wypisane było niemal na wszystkich twarzach. Rozumiał, że po tym dobrym początku i ciąg dalszy powinien być szczęśliwy. Do cegielni przyszła także doktorowa.

— No! — zauważyła, oglądając pilnie poranną robotę chłopców — widzę, że jakoś to pójdzie. Chwała Bogu, chwała Bogu! Teraz dzieci na obiad!

Ugniatanie gliny na cegły bosemi nogami miało się rozpocząć zaraz po obiedzie. Prosił o to sami chłopcy i zrzekali się poobiedniego odpoczynku. Mieli przecież brodzić i tańczyć po wodzie, a przy tem stroić figle; była to więc zabawa, co się zowie. Dziewczęta, widząc ochotę chłopców, poczęły również wpraszać się do roboty, tak że wkońcu doktorowa, pamiętając o tem, iż każda no-

wość bawi, postanowiła zatrudnić całą Ochronę przy cegielni, "aby nikomu nie stała się krzywda". Oczywiście, że wszyscy byli z tego obrotu rzeczy bardzo zadowoleni. Zachodziła tylko mała obawa, czy legjonista znajdzie dla całej trzydziestki zajęcie. Zapytany o to, odrzekł:

— Na dobrą sprawę będzie nas tam trochę za gęsto. Ale to nie: raz jeden wyjątkowo! Niechaj wszyscy przypatrzą się robocie. Będziemy pracowali na zmianę, aby wszyscy kiedyś z czystym sumieniem mogli powiedzieć: że własnymi siłami wybudowali szkołę. Zatem do szeregu, w lewo zwrot i naprzód marsz!

— Hura!... krzyknął Lisowski. Inni poszli za jego przykładem.

Była to jakaś prawdziwa wyprawa, mająca swój miły urok.

— Budujemy szkołę!... szepnął Sewerek do Liczykrupy z dumą i zapałem. Ten jednak dojrzał na wiśni sąpelek gumy jasnej przezroczystej, więc bąknął tylko: "uhm", i poskoczył do drzewa:

— Co, ty zbierasz gumę?

— Zbieram i suszę. W zimie będę kleił różne rzeczy z papieru: pudełka, teczki, a na Boże Narodzenie ukleję wam ładną szopkę ze zwierzętami. Zobaczysz!

Tymczasem Lisowski i Głodomór wynieśli z komórki kilka lichych koszyków do dźwigania gliny i jeszcze dwa rydle. Więc oddział uformował się i ruszył raźnie przez ogród ku cegielni. Tu legjonista rozdzielił partję na trzy części: jedna dziesiątka miała kopać za szopą glinę, druga nosić ją w koszykach do dołu, trzecia miesić nogami. Zrazu wszyscy cheili brodzić po wodzie i napierali się do tej roboty, lecz wnet ustąpili, gdy im p. Wiktor zaręczył, iż każda z partji dostąpi zaszczytu ugniatania gliny bosemi nogami.

W pięć minut potem praca obok cegielni raźnie zawrzała i szła w jak najlepszym porządku. Napuszczono wody do basenu, co bardzo krótko trwało, poczem zaczęto wypróżniać kosze z gliną nad dołem, otoczonym wokół deskami. I teraz pięciu chłopców i pięć dziewcząt, podkasawszy się nieco, jęło żwawo przebierać nogami, które w glinie grzęzły niby w maśle i wyciągane szybko aż pukały wskutek rozrzedzonego pod stopą powietrza. Oczywiście, że miarowa robota trwała tu dość krótko, albowiem wszyscy byli tak rozbawieni, że trzeba było małej tylko podniety, aby rozpocząć jakieś zabawne figle.

I to niebawem nastąpiła pierwsza sposobność, gdy Głodomór odrzuciwszy słomkowy kapelus, błysnął swoją gołą głową, ostrzyżoną na gładko. Naga czaszka chłopaka aż się mieniła w promieniach słońca, taka była połyskliwa. Ujrzawszy to Stach Hultaj, który znajdował się w grupie brodzieńców, ujął w obie garście sporą bryłę gliny, przypominającą bochenek chleba, i zaszedłszy z tyłu, włożył ją poważnie Głodomorowi na polyskującą pałkę:

— Aby cię słońce nie poraziło! — dodał z pieczołowitością troskliwej matki.

— No! — krzyknął Głodomor i zgarbawszy głinę z głowy, strzelił nią w Stacha. Ale ten przegiął się w bok i uniknął raz, a cały nabój poszedł dalej i zatrzymał się na karku Wiktusi. W powietrzu rozległo się chłasknięcie, poczem nastąpiły krzyki i piski dziewcząt.

W sprawę musiał wdać się legionista i zagrozić, że niespokojnych zbytników odeśle do domu, jeżeli nadal przeszkadzać będą innym w pracy, dopiero wówczas uspokoiły się nieco dzieciaki i poczęły przerabiać glinę starannie. Mimo to dobry humor nie opuszczał całej gromadki, która wnet, zachęcona przez Sewerka, poczęła śpiewać wesołą piosenkę, przebijającą w takt nogami:

Ej, chodźcie-no, chodźcie bajeczki,
Do mojej złotej krobecki,
Niechaj was razem zawinę
W czerwoniusenkom chuścinę...
I niech zaniosę do chaty,
Gdzie jest mój Burek kudłaty...
Oj dana, oj dana, oj dana...
Krobecko ty moja kochana...

Kiedy to się działo obok cegielni Frania Łanowiecka, która sama jedna została w zakładzie na górze, wywnętrzyła się przed matką kucharką i ojcem woźnicą, ze swej bezgranicznej nienawiści do nowego przybłądy, Stacha Lubicza.

— Tak było u nas cicho, spokojnie jak u Pana Boga za piecem, póki ten opryszek nie zjawił się w naszej Ochronie — mówiła zaperzona. — Nie!... ja z nim dłużej nie wytrzymam: Albo on, albo ja! Ja dość pracuję, dość biegam, dość doglądam... aby pani doktorowa nie miała kłopotów na głowie. Cała bielizna pod moim dozorem, wszystkie części ubrań u dzieci ja muszę oglądać i oddać do naprawy, wszystkie buciki oglądać, przeliczyć i poukładać w szatni... i za to wszystko,

żeby nie była mi wymierzona sprawiedliwość?!... Nie!... mama widzi przecie, że tak być nie powinno. Zamiast go wyrzucić, jak parszywego psa z podwórza, pani doktorowa podaje mu rękę. Czy jest to sprawiedliwe?... Czy słyszał kto coś podobnego? Hm!...

— Nie bój się! — odrzekła matka — myjąc naczynie i podciągając ze złości nosem — już my coś na to poradzimy. Pójdę ja sama do pani i powiem kilka słów na rozum — a będzie za mało, to zrobi się jeszcze coś innego. Przecież nie sama doktorowa i ten kulawy tu rozkazują. Na utrzymanie dzieci oprócz doktorowejłoży także komitet i jest jeszcze Rada opiekuńcza, do której należy i ksiądz wikary i doktor i żona burmistrza. Nie bój się, już ja wszędzie trafię, gdzie będzie potrzeba, a tobie krzywdy robić nie pozwolę.

— Niech go tylko wyrzucą z Ochrony, a wszystko będzie dobrze.

— Zaczekaj... mówię ci, zaczekaj! Już ja to biorę na moją głowę...

Brzęknęła otartym talerzem i zwróciła się nagle do męża, który, siedząc w kącie przy stole, wyjadał z rynki smaczne kaski pieczenia.

— Owies kupiłeś?

— Kupiłem.

— Po czemu?

— Po ośmnaście.

— Słyszałam, że już poszedł w górę. Jak będziesz zdawał rachunki tygodniowe, pamiętaj, — tu zniżyła głos i spojrzała ku drzwiom i oknu, czy kto nie podsłuchuje — pamiętaj, żebyś policzył po dwadzieścia...

— No, no...

— Nie: "no, no"... tylko po dwadzieścia! — rozumiesz?!... bo ty znowu stchórzysz. Mówiłam po dwadzieścia, albo jeszcze lepiej: po dwadzieścia jeden! Rozumiesz?...

Mąż kiwnął głową obojętnie i jadł dalej.

— Żeby się to tylko nie wykryło — bąknęła Franka, patrząc w dal. — Zgorzała bym ze wstydu.

— Głupaś — odmruknęła matka i ciśnięła dalszy talerz na spory stos naczyń...

Nastało krótkie milczenie, podczas którego cała rodzina popadła w zamyślenie. Wreszcie przemówiła znów stara

— Teraz taki czas, że korzysta każdy, kto ma głowę na karku. Pan Bóg jeden wie, co będzie później. Mówiła mi Wojciechowa, że Ochrona długo się nie ostoi, bo ludzie nie chcą dokładać, a doktorowa nie ma skąd.

Jak dzisiaj nie oszczędzimy coś na czarną godzinę, która lała miesiąc może nadejść, to co wtedy, ha?...

Mąż rozłożył ręce na znak zgody, córka ruszyła ramionami. Pracowali wszyscy przy Ochronie i żyli z niej, ale ani tej Ochrony nie kochali, ani też dbał o jej przyszłość. Cała ta trójka należała do ludzi, co to nie-bardzo znają się na przykazaniach Bożych, nie rozumieją sprawiedliwości ludzkiej i nie umieją patrzeć w dalszą przyszłość. Ot, urwać, ukrąść, zrobić coś złego, byle tylko nabić groszem własną kieszeń i przeżyć z dnia na dzień, — to wszystko.

V.

Pierwsze cegły. — Powidła na zimę. — Pierwszy rój.

— Jutro zaczynamy robić cegły — rzekł legjonista do swoich czterech gwardzistów, którzy w poniedziałek rano pracowali nad doprowadzeniem wody do gliniarki. Cała ta czwórka tak się przejęła swoim zadaniem, że odrzucała łokciami wszystkich innych, co się wpraszało do tej roboty.

Wiktor, nie chcąc nikogo krzywdzić, zapowiedział, że po kolei będą wszyscy pracowali partjami przy każdym nowym zadaniu. To podziało, i odtąd swarów i sprzeczek nie było w Ochronie.

Formowanie cegieł nie należy do rzeczy trudnych, i gdy się raz dziecku pokaże, jak to się robi, niemal każde z nich rychło wdraża się do tej roboty. Więc też i nasi czterej "cegielnicy" zaraz w pierwszym dniu weale zgrabnie wypełniali już formy gliną, wytrząsali nowe cegły na stół i tak je układali, aby się ze sobą nie lepily. Co prawda, szło to jeszcze powoli i niezgrabnie, ale już po trzech dniach zaczęli chłopcy robić na wyści-gi.

— A no, kto prędzej!... a no!... raz, dwa, trzy! — buch, buch i już.

Pod wieczór tego dnia legjonista, który wciąż stał przy robocie, i dbał o to, żeby nikt nie wykonywał w tej pracy niestosownych, niezgrabnych lub zbędnych ruchów, odszedł na chwilę pod szopę i przeliczył ilość ulepionych cegieł. Wkrótce potem wrócił zadowolony i oznajmił:

— Hej, chłopaki, cieszcie się! Pierwsza tysiączka gotowa!

— Powinniśmy ją czymś oblać! — zauważył Głodomór z boku. Słyszał wciąż do-

tyd na wsi, czy to przy dożynkach na łanie, czy przy stawianiu domu, czy przy jakiej innej robocie, że ludzie stale musieli "oblewać" jej zakończenie, sądził przeto, że ten zwyczaj powinien być zachowany i w Ochronie. Legjonista jednak uśmiechnął się na to i zauważył:

— Czemżebyś ty chciał "oblewać?"

— No, wódką!...

— A wiesz, co ona dziś kosztuje?

— Wiem: jest droga.

— Właśnie. A w dodatku osądź sam, czy ładnieby to wyglądało, gdyby w szkole każde ukończone zadanie dzieci "oblewały" wódką?

— Byłoby to śmieszne!

— Niewątpliwie. Dlatego też...

Legjonista nie dokończył zdania, bo w tej chwili przy stole rozpoczęła się bójka między Głodomorem a Hultajem.

Ten ostatni posłyszawszy zdanie o oblewaniu, zakreślił się zaraz, przyniósł z szopy garnuszek z wodą i odcyliwszy zręcznie po cichu Głodomorowi kołnierz na karku, chlusnął mu obfitą garścią wody za koszulę.

Głodomor skoczył zaperzony i rozpoczął ze Stachem gwałtowną bójkę, którą dopiero architekt zażegnał swoją łaską.

— Dość, dość, a to co?!...

— Oblań mnie całego! — skarżył się Głodomór, ruszając mokremi łopatkami.

— Chciałeś przecie, żeby "oblać" pierwszą tysiączkę, więc ją oblałem. Może nie?!

Wiktor śmiał się z zabawnych kogutków.

W tej chwili zbliżyła się do szopy doktorkowa.

— W szczęśliwą przychodzi pani godzinę! — zawołał legjonista, spostrzegłszy kobietę w czarnej sukni — właśnie ukończyliśmy formowanie pierwszej tysiączki cegieł.

Oczy pani Budrewiczowej błysnęły szczerą radością. Spojrzała na stos cegieł, ułożony w przewiewną szachownicę i zawołała:

— Więc pan naprawdę myśli, że z tego coś będzie?

— A dlaczegożby nie!...

— Daj Boże, daj Boże... a ja wciąż przypuszczałam, że to tylko zabawka. Skoro jednak w ciągu trzech dni zrobiliście tysiąc cegieł, to do końca lata gotowicie zrobić ich kilkanaście tysięcy.

— Albo i kilkadziesiąt. Sądzę, że z każdym dniem praca pójdzie coraz szybciej.

— Doskonale. Narazie jednak musicie mi w czymś pomóc.

— Niechaj pani rozkazuje.

— Czeresnie i wiśnie już w ogrodzie przeszły; agrest także się kończy, a myśmy nie z tego nie odłożyli na zimę. Prawda, jadły dzieci co drugi dzień smaczne zupy owocowe, ale co będzie później, gdy owoców nie stanie? Otóż postanowiłam z tych resztek wiśni, agrestów, malin i porzeczek, które jeszcze możemy zbierać, jak również z tych dojrzewających już jabłek i gruszek, co upadają na ziemię, smażyć powidełka. Później przyjdą większe zapasy gruszy i jabłek, no a wkońcu śliwki. Czas więc zacząć już myśleć o powidłach i marmeladach... Do tego potrzebny mi jest porządny piec ogrodowy. Kocioł mam, piec zaś wy musicie mi wymurować z waszej pierwszej tysiączki!...

— Wymurujemy! — odrzekł legionista wesoło. — Żeby tylko tyle kłopotu! Jutro do południa będzie pani miała piec. Dobrze, że mamy jeszcze surowe cegły, łatwiej nam będzie formować sklepienie.

Powiedziawszy to, przystąpił zaraz do podziału roboty na jutro:

— Stach i Sewerek pójdą ze mną do pieca, ja zaś — tu wskazał na Lisowskiego i Głodomora, — zostaniecie w cegielni!...

Skrzywili się na to obaj i już chcieli coś mówić o swem pokrzywdzeniu, ale Wiktor przerwał im prędko:

— Zostaniecie w cegielni i będziecie nauczycielami. Idzie mianowicie o to, żebyście nie tylko wy sami umieli robić cegły, lecz żeby wszyscy inni chłopcy z naszej Ochrony nauczyli się tej... niewielkiej zresztą sztuki. Otóż wy wybiercie sobie czterech dalszych chłopaków i postaracie się nauczyć ich tego wszystkiego, czego ja was nauczyłem. I cóż, zgoda?

Teraz znowu Głodomór i Lisowski rozjaśnili swe twarze radością. Oto będą nauczycielami! Bardzo im się to podobało i już o piecu nie wspominali. Zdawało się nawet, że tym razem Sewerek tamtych cokolwiek zazdrości, bo zawahał się i otworzył usta, jakby chciał o coś prosić, ale wkońcu namyślił się i umilkł.

Tak więc wydane przez legionistę zarządzenia na dzień następny pozostały bez zmiany.

Nazajutrz Stach i Sewerek zbili przy pomocy majstra Kolankiewicza nosze i zaczęli dźwigać na nich cegły do ogrodu. Według obliczenia legionisty potrzeba było na piec około 200 cegieł, to też chłopcy biorąc do 30

sztuk na nosze, po sześciu obrotach zgromadzili potrzebny materiał na miejscu, które im doktorowa wybrała.

Piec miał stanąć w środku sadu, aby ze wszystkich stron można było łatwo i prędko donosić owoce.

Teraz pan Wiktor objaśnił najpierw chłopców, o czym przy wznoszeniu pieca pamiętać winien każdy roztropny budowniczy. Przedewszystkiem wytłumaczył im, poco jest potrzebny komin, dalej, jak należy urządzać palenisko i wreszcie jak się buduje sklepienie. Majster Kolankiewicz zbił im wnet kabłakowate korytko, które, po odwróceniu wypukłością do góry, miało służyć jako rusztowanie do tworzenia sklepienia.

Wszystko to było bardzo zajmujące w samem już tylko opowiadaniu legionisty; rzecz prosta, że temat stawał się coraz ciekawszym z chwilą, gdy chłopcy przystąpili do wypracowania go w praktyce. Cegły, co prawda nie były wypalone, lecz podeschły już o tyle, że można z nich było wyrabiać murarskie kształty. To wystarczało, albowiem po stworzeniu paleniska, wmurowaniu kotła i wzniesieniu komina reszty miał dokonać ogień rozniecony we własnym piecu ognisku.

Do wieczora piec był gotów.

I teraz znowu zbiegła się dzieciarnia z całej Ochrony i podziwiała wykonane arcydzieło Stacha i Sewerka. Przyszła także doktorowa z panną Zimską, zajrzała wreszcie i matka Frani. Tylko Frania sama, choć była ciekawa, nie udała się do sadu: wołała stłumić w sobie ciekawość, a nie narażać się na przypuszczenie, że może ją cokolwiek obchodzić praca Stacha Hultaja.

Inne dzieci jednak były piecem zachwycone. Zwłaszcza nadzwyczajnie podobał się wszystkim komin! Było w nim coś z podwórzowych zabawek, które dzieciaki tak chętnie z gliny lepią, przecież jednak różnił się od zabawki tem, że przedstawiał jakąś prawdziwą wartość, że miał im przynieść istotną korzyść w formie słodkich na chlebie powidełek.

— Komin!... komin!... patrzajcie! — wołały. — A jaki wysoki! wyższy od nas! Prawda?

Był wyższy: dosięgał niemal wzrostu samego pana Wiktora.

— A co będzie ze skrzynką, na której spoczywa sklepienie?...

— Jak się ją teraz wyciągnie? — pytał zatroskany Łeczykrupa.

— Ogień sam wyciągnie — objaśni Łstach, który już poprzednio zadał był to samo pytanie legjoniście i dowiedział się od niego, jak się rzecz przedstawia.

— Zapali się w ognisku i skrzynka wewnętrzna wypali się sama.

— Proszę pana... czy tak?... czy tak?... proszę pana — czy tak? — pytały różne głosiki ze wszystkich stron.

— Tak, tak — potwierdził pan Wiktor.

— A no, to palmy... zaraz palmy! — zawołała Michasia, podskakując z radości.

— Palmy!... palmy! — powtórzono chórem.

— Ha, trudno! — zaśmiał się legjonista i spojrzał na doktorową — musimy palić, skoro głos "ludu" tego się domaga. Skoczcie dzieciaki do stolarni i przynieście trochę wiorów, heblów i odpadków.

W chwilę potem, gdy słońce skryło się całkowicie za lasem, a w sadzie nastał zmierzch, piec Stacha i Sewerka rozgorzały naraz jasnym płomieniem i poczęły syczeć, schnąc pospiesznie.

Dzieci zagapiły się i przykuwszy oczy do roziskrzonego paleniska dały się tak dalece cpanować urokowi czegoś niezwykłego i tajemniczego, iż na chwilę zamilkły, jakby były w kościele. Twarze ich tonęły w jaskrawych światłocieniach.

— Jutro pracujemy w koszykarni tylko dwie godziny, później zaś idziemy do sadu i zbieramy owoce na powidełka — orzekła doktorowa.

— Zbieramy! zbieramy!...

Stosownie do tego postanowienia rzeczywiście następnego dnia o 10-tej rano uderzyła panna Zimska w dzwonek szkolny, dając znak, że praca w koszykarni na dziś skończona i że cała Ochrona udaje się do sadu dla zbierania owoców. Przy kotle na krzeselku zasiadła doktorowa jako naczelną głową, kierującą warzeniem powideł. Obok niej stanęła panna Zimska, zaś naprzeciw nich usadowił się na kloce starej gruszy legjonista. Ponieważ najważniejszą rzeczą przy robieniu powideł jest dobre ich wymieszanie, więc tę czynność przed obiadem miały spełniać na przemian panna Zimska i Frania, po południu zaś matka Frani, Jędrzejowa, z Michasią. Kolankiewicz sporządził do tego celu jeziorną "kopystkę", przypominającą małe, płaskie wiosło.

Doktorowa pozwoliła wszystkim pracownikom najeść się najpierw do woli jabłek, agrestu, malin i porzeczek, sad bowiem był dotąd zwykle dla dzieci zamknięty, kto zaś zakradał się do niego cichaczem bądź to w nocy, bądź też wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali i opychał się niezdrową zieleniną, ten uchodził w Ochronie za przestępcę, którego już sama doktorowa ostro karciała, ale jeszcze więcej gromili go koledzy i koleżanki, nazywając poprostu "złodziejem" i bojąc się na niego przez kilka godzin. Pod takim sądem koleżeńskim pozostawał już dwukrotnie żarliwy Głodomór. Aby więc nie narażać mniej wstrzemięźliwych na pokusę, cofnęła dziś doktorowa zakaz nietykania owoców:

— Pozwalam wam jeść, ile chcecie, — zawołała głośno — nie bierzcie jednak do ust jabłek i gruszek niedojrzałych, abyście się nie pochorowali. Oprócz tego starajcie się jeść umiarkowanie, gdyż i tu przesada może się zemścić na waszym zdrowiu. Niechaj tedy wstrzemięźliwsi uważają na tych, co nie umieją panować nad namiętnościami i wczas przypomną im na ucho, że już dość!...

Po tej uwadze rozleciały się dzieciaki po całym ogrodzie. Dziewczęta przeważnie kucnęły przy krzakach agrestu, malin i porzeczek, chłopcy zaś snuli się pod drzewami i wyławiali opadłe owoce z trawy. Wszyscy mieli małe koszyki własnej roboty. Kto napełnił taki koszyk, niósł go z triumfem do doktorowej:

— O!... jest! —

— Dobrze! — wrzucił do kotła.

VI.

Jak wypalić cegły?... Odwiedziny u starego Wojtasiewicza w Glinniku.
Leśniczówka.

Odtąd co dwa, trzy dni zbierały dzieci owoce na powidełka i robiły sobie same zapasy słodkiego kordjału na zimę. Również i w cegielni praca szła żwawo i w połowie sierpnia cała niemal szopa zavalona była surowymi ceglami.

Dwadzieścia tysięcy!... a wszystko to dobytek małych, dziecięcych pszczołek.

Teraz zatroskał się Wiktor, co dalej począć, bo oto niepodobna już było wyrabiać większego zapasu surowek bez możliwości umieszczenia ich pod dachem, gdyż pierwszy większy deszcz byłby rozpuścił glinę i uczy-

nił z foremnych cegieł żółtą błotnistą masę.

— Trzeba koniecznie postarać się o drzewo i wypalić zapas surówek, wówczas już im śłota nie nie robi — rzekł raz do pani Budrewiczowej.

Doktorowa przyznała mu słuszość, lecz jednocześnie mocno się zatroskała.

— Niestety, — rzekła cicho rumieniąc się aż po białka, — kasa moja prawie pusta, a tu trzeba myśleć i o bucikach na zimę, i o zapasach do jedzenia, i o cieplejszych ubrankach.

— Niechaj się pani nie martwi!... wszystko będzie dobrze — pocieszał ją Wiktor. — Ziemniaki są, jarzyny są, własne krowy są, dokarmi się sześć świnek i będzie omasta; chleb otrzymamy z zarządu miejskiego po niższej cenie, powidełek nagotujemy, owoców nasuszamy, i jakoś zima przejdzie!... A ubranka? I te się, da Bóg, znajdą.

— Ja też nie rozpaczam — odrzekła Budrewiczowa — usprawiedliwiam się tylko, że narazie nie miałabym dość gotówki, aby zakupić dla cekielni drzewa.

— Podobno stary Wojtasiewicz należy do ludzi bardzo ofiarnych i uczynnych, a on ma las...

— Że jest ofiarnym i uczynnym to prawda, ale też dlatego sam często nie ma za co kupić nowego ubrania. Powiadają ludzie, że wciąż jeszcze chodzi po domu w żupanie pradziadka.

— Pochlebne to przedewszystkiem dla starych żupanów. A co do drzewa, to niech mi pani wierzy, że lepiej będzie, gdy nam go Wojtasiewicz trochę udzieli, bo niebawem Niemcy naślą tu swoich robotników i tak mu drzewostan przetrzebią, że po lesie zostanie tylko wspomnienie. Widziałem ja ich gospodarke już na zachodzie... Oprócz tego mówi się dziś coraz częściej o upaństwowieniu lasów w przyszłości.

— Jeżeli tak, to trzeba by z nim pomówić!

— Sądzę, że powinienem zrobić do jego dworku wycieczkę z dziećmiakami. I dzieciom będzie przyjemnie, i on widząc je w gromadzie, cieplej się odniesie do sprawy. Czy zna go pani osobiście?

— O, doskonale. Łączy nas nawet jakieś dalekie powinowactwo.

— Tem lepiej. Proszę zatem napisać list i zapowiedzieć nasze odwiedziny.

— Dobrze, napiszę.

Na tem chwilowo stanęło.

Pewnego dnia Wiktor, pracując przy naprawie pieca do wypalania cegieł, przypo-

mniał sobie, że 15 sierpnia jest święto Wniebowzięcia Najśw. Panny Marji. Zaraz też przyszło mu na myśl, że ten dzień, wolny od pracy w koszykarni, należałoby wyzyskać i urządzić wycieczkę do lasu Wojtasiewicza, poczem skrócić na wieś i odwiedzić starego w Glinniku. Po krótkim namyśle zapytał chłopców, zajętych przy stole formierskim:

— Hej, dziatwa!... Który z was zna drogę do Glinnika?

— Ja! — odpowiedział pierwszy Stach. Byli i inni, co drogę znali, lecz Wiktor zwrócił się już tylko do Stacha z dalszem pytaniem.

— Byłeś tam kiedy?

— Ho, ho! Ze sto razy. Przecież tamtędy idzie droga do naszej Rodziejki...

— Wiesz zatem, gdzie mieszka stary pan Wojtasiewicz?

— Wiem. We dworze.

— Trafiłbyś tam?

— Phi!... Idąc na raczki tyłem jeszcze nie zabiłdę.

— W takim razie skocz do pani doktorowej i poproś, by ci dała list do pana Wojtasiewicza, potem pędź zaraz do Glinnika... Albo nie! Lepiej będzie jutro rano, poco wracać późnym wieczorem lub nocą do domu.

— Księżyc świeci jak w dzień, a ja się nie boję. Zresztą kto mi co może zrobić, kiedy ja nie mam nic.

— Nie, pójdiesz jutro. Teraz jednak skocz do pani doktorowej i poproś o list. Ona ma obecnie wolną do pisania chwilę.

Stach poszedł i spotkał Budrewiczową we drzwiach willi. Prowadząc małego Januszka za rękę, szła do stajen. Stach opowiedział jej, z czem przychodzi.

— Dobrze, zaczekaj, zaraz napiszę — odrzekła — chodź jeszcze ze mną na chwilkę do Jędrzeja, bo mam się go o coś zapytać.

Hultaj ujął Januszka za drugą rączkę i szli tak we trójkę. Kiedy przechodzili obok stajen, zauważył Stach:

— Choć stajnie zamknięte, odrazu poznaję, jakie zwierzę gdzie mieszka. Tu krowy — tu konie — tu świnki — tu kury.

— Po czymże to poznajesz?

— Ano po zapachu! Każde zwierzę inaczej się poci.

— Prawda — odparła doktorowa. Zajrzała przez otwarte okno do wozowni i przywołała Jędrzeja.

— Proszę was, Jędrzeju — zapytała — na ile dni macie jeszcze owsa?

— Najwyżej na tydzień!

Doktorowa westchnęła.

— A po czemu płaciliście ostatnim razem? Zapomniałam zapisać.

— Po dwadzieścia trzy. — Doktorowa westchnęła znów.

Na to Stach, który dotąd słuchał rozmowy obojętnie, błysnął oczyma i zawołał:

— Proszę pani!... Ja pani kupię po ośmnaście. Dalibóg, że kupię! Jak jutro pójde na wieś, do pana Wojtasiewicza, to pogadam z ludźmi po drodze i kupię po ośmnaście! Zobaczysz pani!

— Idź precz!... co ty mówisz! — obruszył się Jędrzej, patrząc groźnie na chłopca. — Ty się na tem znasz jak ryba na fajcie.

— A żebyście wiedzieli, że się znam. Przecież służyłem we dworze przy koniach i odstawiałem nieraz z ojcem owies do Mendla Marszałika... Ja myślę, że wy nie umiecie się targować i dlatego przepłacacie. Na drugi raz pójde ja z wami do składu i sam pogadam z Marszałikiem wedle starej znajomości.

— Głupis! — mruknął Jędrzej i ruszył z politowaniem ramionami, co miało oznaczać: ot, szkoda strzępić język z takim smarkaczem, który sam nie wie, co gada!

Stach nie upierał się więcej, ale w duszy postanowił:

— Gdy mnie pan Wiktor pośle po tytoń do miasta, to skoczę po drodze do Mendla i może co utarguję. Będę się wówczas śmiał ze starego Jędrzeja, a pani zrobię dobrze.

Doktorowa, nie wiedząc, czy list zaraz potrzebny, zasiadła natychmiast po powrocie ze stajni do biurka, Stachowi zaś kazała tymczasem bawić się z małym Januszkiem.

Po chwili wręczyła mu papier.

— Proszę pani — przymilił się Stach, chowając list w zanadrze. — Jabym chciał o coś zapytać...

— O cóż ci idzie?

— Jak to było z małym Januszkiem...

Kto jego przyprowadził do leśniczówki, komu oddał... i tak wszystko chciałbym wiedzieć, jak było.

— POCO ci to potrzebne?

— Bo ja słyszałem, że nie można odnaleźć jego rodziców...

— Niestety, nie można. Ogłaszałam już kilkakrotnie w różnych dziennikach. I na nie.

— Możeby jeszcze ogłosić kilka razy?...

— Ba!... kiedy to wiele kosztuje, a my nie mamy pieniędzy na takie rzeczy.

— Ja też myślałem inaczej, bez pieniędzy.

— No, jakżeś ty to myślał... Mów!

— Jutro mam iść do Glinnika. Po drodze jest leśniczówka pana Bareckiego, gdzie to zatrzymała się ta dziewczyna, co przysłała z Januszkiem, a potem umarła. Jabym tam wstąpił i pogadał z furmanem, z kucharką i ze służącą... Ot pogadałbym po swojemu, a możebym się przecież czegoś dowiedział.

— Ja już badałam starą Marychnę, ale nie mogłam niczego dowiedzieć się od niej.

— Bo ona pani z pewnością wszystkiego nie powiedziała.

— Dlaczegożby nie miała powiedzieć?

— A, bo państwu nie wszystko się mówi. Ja myślę, że jakbym ja z nią pogadał na rozum, to ona by mnie więcej powiedziała niż pani. Swoją swojemu zawsze więcej ufa. Zresztą, ja umiem ludziom głowę zakręcić, że aż hej!

Doktorowa uśmiechnęła się i długo patrzyła z widocznym zaciekawieniem w stalowe, bystre oczy Staszka, z których tryskał przyrodzony spryt i zdrowy rozsądek polskiego chłopca, potomka kołodzieja Piasta. Wreszcie rzekła:

— Czemu nie? Spróbuj. Wstąp po drodze na leśniczówkę i pogadaj z kim chcesz. A nuż wyjdzie coś z tego naprawdę?...

— Dobrze!... Wstąpię i pogadam.

Udał się tedy Stach Hultaj nazajutrz do Glinnika do pana Wojtasiewicza z listem, w którym doktorowa prosiła go o pozwolenie odbycia wycieczki do jego lasu i o ugoszczenie Ochrony po wycieczce. Budrewiczowa, choć dziś biedna, miała mir w okolicy. Ludzie pamiętali jeszcze magnackie czasy jej dziadów i pradziadów, a dziś cenili w niej to "wielkie serce", o którym wspominał legjonista. To też nie ulegało wątpliwości, że stary Wojtasiewicz najchętniej zastosuje się do jej prośby.

Stach nie zastał jednak właściciela Glinnika w domu, bo ten wyjechał do Oborek i miał dopiero wrócić wieczorem, więc chłopak zostawił list we dworze i żwawym krokiem pomknął przez las ku leśniczówce.

Tu na wstępie trafił przy studni na woznicę, pojącego konie. Podszedł do tegoż śmiało, uchylił czapeczki i przywitał się poufale:

— Daj Boże zdrowie!... Jak się macie. Wy z leśniczówki?

— A juści. Ty co za jeden?



...uchylił czapeczki i przywitał się poufale: Daj Boże zdrowie!

— Ja z Ochrony pani Budrewiczowej. Wiecie?

— Wiem, wiem. Tej ezarnej warjatki... Jeździłem przecie do niej.

— Ona nie warjatka, choć ją tak ludzie nazywają. To bardzo dobra pani. Nosiłem list od niej do waszego starego w Glinniku.

— On dziś pojechał do Oborek.

— Właśnie! Zostawiłem list i puściłem się na leśniczówkę.

— Pewnie ci nie dali jeść we dworze, więc przyszedłeś do nas. Idź do kuchni, tam ci Krystyna coś wyskrobie.

— Ej, nie; dziękuję. Ja miałem jedzenie ze sobą.

— Poczóż nałożył tyle drogi!... Nielepiej to było wracać prosto do domu?

— Może i lepiej, ale ja chciałem być w lesie. Bo, wiecie, pojutrze na Matkę Boską, robimy sobie do waszego lasu wycieczkę na grzyby. Właśnie o tem pisała doktorowa do waszego pana. Chciałem zobaczyć, czy w lesie sucho i jak z grzybami.

— Aha!

Konie podniosły głowy na znak, że już pić więcej nie będą, zatem woźnica, Józef Duda, zawrócił do stajni. Stach przyczepił się i szedł obok.

— Ten wasz kary ma już ze szesnaście lat!

— Skąd wiesz? Akurat szesnaście!

— Tak, na oko!

— Dobrze masz oko, nieboże. Uważaj, żeby ci go kto nie wybił.

— A wy pilnujcie waszych zdrowych zębów, bo także ich szkoda. Wasz pan gdzie?

— Cechuje w lesie drzewo, albo bije przepiórki w grochu.

— A wy macie jaką robotę?

— Nie. Dopiero co przyjechałem z Oborek i do wieczora już niedaleko.

— To ja odpocznę koło was, bo mnie trochę nogi bołą — wszedł do stajni.

— A odpoczywaj sobie. Tam, pod poduszką... wio kary!... na pościeli, jest... hou, stój, prrr... trochę chleba. Jak chcesz, to jedz.

— Dziękuję wam. Kapinkę przetrącić nie zawadzi.

Usiadł na łóżku, wyciągnął chleb z pod poduszki i jął zlekka łupać i "przetrącać", huśtając boscami nogami. Po chwili zagadnął znów.

— My mamy od was chłopaka...

— Aha, tego małego Jasia, wiem. — Za-

wiozłem go przecie sam do Ochrony, — mruknął woźnica, nabijając porcelanową fajkę. — Cóż?... chowa się?

— I jak jeszcze!

— A ja myślałem, że zemrze. Takie to było mizerne po śmierci dziewczyny.

— Wyście tę dziewczynę widzieli?

— Jakże nie!... przecież to ja ją przywiozłem na leśniczówkę!

Stach przestał jeść i zerwał się z pościeli.

— Nie może być!

— Tak jest, przywiozłem. Czego się tak dziwisz?

— A no, powiedzie, jak to było.

Józef Duda zapalił fajkę i splunął. Znaczyło to, że się zabiera do dłuższego opowiadania ciekawych rzeczy, w których on sam ważną odegrał rolę. Ludzie lubią dużo mówić o sobie, a Duda nie był gorszym od innych.

— Ot, jak było. Jadę ja sobie pod wieczór z koniczyzną do domu, patrzę, gościńcem idzie dziewczyna. Patrzę... ot, nie: dziewucha, lat może siedmnaście. Choć z chłopska, ładnie ubrana, czysto i po dworsku. Idzie bokiem ścieżką i niesie na ręku dziecko, a w drugiej garści trzyma ładny, żółty kuferek, taki, jak to biorą zamożni ludzie na kolej, pod rękę.

— Co?... kuferek?...

— Tak, kuferek. Czego się dziwisz?

— Nie, nie. Mówcie dalej.

— Ciężko niebodze, — myślę zdaleka, — bo widzę, że ledwie się sunie i wciąż zatacza. Możeby ją zabrać na furę i podwieźć cokolwiek. Gdym dojechał, patrzę z pod oka i wstrzymuję konie, a ona na mnie tak łypnęła białkami boleśnie, jakby chciała o coś prosić.

"Gdzie to Pan Bóg prowadzi?" — pytam.

Stała, postawiła dziecko na ziemi i otarła kurz z czoła rękawem wyszywanej koszuli.

"Ej, zlitujcie się gospodarzu — jęknęła, aż serce zabolęło — weźcie na furę, bo już iść nie mogę. Coś mnie zimnica rozbiera, a głowa jak w ogniu. Trzy dni już tak idę i sama nie wiem gdzie. Żeby tylko do Kołoi i do Warszawy."

"Siadaj! A skądże ty idziesz dziewczyno?"

"Czy ja wiem skąd? Hen, od okopów. Jak już Niemcy do naszego dworu nadeciągali, pan kazał się w nocy na gwałt zbierać. Mie-

liśmy jechać do brata pani aż na Wołyń. Koleje już nie chodziły, więc trzeba było furą. Jedziemy, jedziemy, aż tu i strzelają za nami po drodze... Przelecieli kozacy i nasz powóz tak potracili, że Kasper zjechał w rów i wyboczył koło. Ot, i stanęliśmy! A tu dokoła nas: bum, bum, bum! Pani aż pozieleniała. Pan siadł na jednego konia i pojechał do wsi szukać stelmacha. Chciał kupić koło, choćby proste od wozu. Ledwie odjechał, aż tu bokiem wojsko niemieckie na koniach. Chryste Panie... zmiłuj się! Za chwilę przyciągnęli kanonierzy i dalejże walić w Ruskich. Ogniste kule nad nami, a łoskot, niech Bóg zachowa! Pani krzyczy: "Zośka, pod most, pod most". Zabiegły my pod most. Tyle, żem chwyciła dziecko na ręce, a z rzeczy tę oto torbinę. Ale potem zaczęła się jeszcze większa bitwa, i od Ruskich padały kule na nas. Przez most przebiegło nowe wojsko. Tylko zadudniało nam nad głowami. Pani znowu krzyczy: "Uciekajmy do lasu, tam będzie bezpieczniej; uciekajmy, uciekajmy." Wybiegłam z ukrycia i pędzę do lasu. A tu... buch!... pękła kula niedaleko. Oglądam się a moja pani siedzi i trzyma się rękami za nogę. — "Uciekaj!... krzyczy i odpędza mnie ręką — uciekaj z dzieckiem w las". Pobiegłam co tchu do lasu i szłam, szłam, szłam... Pan Bóg wie którądy, żeby tylko jak najdalej od miejsca, gdzie był ten wielki huk. I tak już trzy dni idę"...

"Czemużeś nie wróciła do pani?" — pytam.

"Jakże miałam wracać, kiedy mi kazała uciekać w las. Musieli jej przetrącić nogę, to i została na polu. A potem, gdy już pociemniało, zupełnie straciłam rachunek i nie pamiętałam, którądy do pani wracać. Więć myślę sobie: dojdę do kolej, wsiadę na pociąg i zawiozę dziecko do siostry pani, do Warszawy; a nie, to pójdę do jakiegoś księdza albo doktora i poproszę o opiekę. Przecież moi państwo bogaci, to za wszystko do brze zapłacą."

"A cóż się stało z Kasprem? — pytam jeszcze.

Powiedziała, że siadł na drugiego konia i popędził w las. To ci dopiero godny człek! Ot, i wszystko, com się od niej dowiedział. Zaraz potem zaczęła się skarżyć, że ją strasznie głowa boli i prosiła, żebym dziecko przytulił do siebie, bo ona go już utrzymać nie może. Zabrałem od niej dziecko i przy-

trzymałem na kolanach. Ale już nie było daleko do leśniczówki. Ledwie dziewczynę dowiozłem, taka była chora. Na twarzy miała wypieki czerwone niby cegła. Przenocowała, a rano kazał ją pan odwieźć do miasteczka do szpitala, gdzie potem za kilka dni umarła. Dziecko było jakiś czas pod opieką kucharki Marychny, ale że nasz pan nieżonaty i dzieci nie lubi, więc napisał do waszej pani doktorowej, żeby wzięła chłopca do Ochrony. Tak też się stało...

— Moście wy! — zawołał Stach rozgoryczony — a nie powiedziała wam dziewczyna, jak się nazywali rodzice Januszka i skąd byli?

— Ot, bieda! zapomniałem po drodze zapytać, bo mnie taka złość odrazu porwała na tego łajdaka, Kaspra, żem tylko o nim wciąż myślał. Siadł sobie na drugiego konia i poleciał w las, a dwie kobiety zostawił pod kulami. Tybyś zrobił coś podobnego?... ha?!

— Gdzie znowu!

— Rozumie się!... Po drodze dziewczyna mówiła jeszcze dorzeczy, więc jakbym był zapytał, pewnieby była powiedziała. Ale ja wciąż myślałem o Kasprze. Potem, gdy dojechaliśmy do domu, patrzę, a ona już i Bożego świata nie widzi. Coś bąka piąte przez dziesiąte o swojej matce, o czerwonych wstążkach, o weselu... Zanieśliśmy ją, niebogie, do kuchni i położyli. Marychna mówiła, że dziewczucha rozповідаła wciąż przez całą noc o różnych różnościach, ale wszystko to nie trzymało się kupy. To też stara, choć ją ludzie pytali o dziecko, między nimi także i twoja doktorowa, nie mądrego powiedzieć nie może... bo i skąd? Wszystko, co o dziecku wie, wie ode mnie — splunął i dodał z goryczą — mnie się nikt nie zapytał, choć ja wiem najwięcej!

— Cóż z tego, kiedy wy także niewiele wiecie.

— Prawda! Wciąż myślałem o Kasprze i nie zapytałem!...

— Proszę was — badał dalej Stach — a co się stało z tą żółtą torbinką, co dziewczyna miała w rękę?

— Albo ja wiem? — odrzekł Duda i ruszył obojętnie ramionami.

— Widzieliście ją potem jeszcze kiedy?

Woźnica utkwiał oczy w ubitą na twardo ziemię i mocno się zamyślił, trzymając fajkę od siebie daleko, jakby na znak, że póty

z niej nie pociągnie, póki sobie nie odnowi w głowie całego wydarzenia.

— Czy ja ją potem widziałem? — biedził się długo, wreszcie rzekł:

— Nie, nie widziałem! Na pewno: nie!

— Może odwieźliście ją razem z dziewczyną do szpitala?

— Hm... do szpitala? Nie!... Taki nie! Byłbym zapamiętał!

— To może oddaliście ją w Ochronie?

— Jakże!... Czyżbym zapomniat?! Ej, nie!... Taki ładny złoty kuferek, jak na stołowe srebro, to przecież w oczach zostaje. — Zresztą spytaj w Ochronie, tam ci powiedzą. Doktorowa odbierała dziecko sama.

— Może tam nawet srebro było, w tym kufereczku? — bąknął Stach.

— Czemu nie! — odmrunknął Duda i jął szybko ruszać powiekami, jakby wyciskał łzy z zadymionych oczu. Nagle ożywił się i usiadłszy na łóżku, grzmotnął się pięścią w kolano:

— Jak tam było srebro, to ta stara wiedźma musiała ukrąść! Bo to złodziejka gorsza od sroki!

— Jeżeliście nie wywieźli kuferka do szpitala, ani do Ochrony, to on tu, na leśniczówce, musiał pozostać.

— Chyba, że tak. Ale w takim razie zabrała go ze sobą stara Marychna, gdy szła na wieś. Potem wyciągnęła zapewne wszystko srebro, co w nim było, schowała, a sam kuferek albo spaliła, albo zakopała w ziemię dla zatarcia śladów.

— A może tam, w kufierku, były jakie papiery?

— Co komu po papierach. Srebra wielka szkoda, jeżeli naprawdę przeszło w takie podłe ręce!

— A jak z tych papierów możnaby było wyczytać, kto są Januszka rodzice, to co?!

Duda pomruknął znowu powiekami. Stach zaś ciągnął dalej:

— Dziewczyna powiedziała, że to są bogaci ludzie. Oniby z pewnością za dziecko dobrze zapłacili, więcej nawet, niż za srebro.

— Prawda! — przytaknął mu Duda — ty, chłopcze, masz głowę na karku!

— Chwała Bogu. Ale ja tego samego o was powiedzieć nie mogę...

— Hę?...

— Nie, nie. Pozwólcie mi ze dwa razy pociągnąć z fajki.

— A to se pociągnij — choćby może lepiej było kota za ogon.

Podał fajkę chłopcu i rozważał dalej:

— Nie innego, tylko stara ukradła srebro i kuferek spaliła, albo zakopała gdzieś na ogrodzie.

— Ba! żeby zakopała, to jeszcze byłoby dobrze — dorzucił Stach, pykając poważnie i spluwając na boki — możnaby kuferek odkopać i przeszukać, czy tam niema czegoś ciekawego we środku. Ale jak spaliła... Oho! — wszystko przepadło. A gdzież ta wasza Marychna teraz?

— Licho ją tam wie! Poszła nibyto na wieś do córki, ale w tydzień potem pojechała do Kiele, czy do Radomia. Ktoś mi znowu mówił, że do Krakowa. Ej, czekajże. Wiesz pociąg ona pojechała do Krakowa?...

Stach ruszył ramionami...

— Pojechała sprzedawać srebro!... Ot co! Teraz już wiem!

— I to możliwe!

— Ho, ja ją znam, to złodziejka, jakich mało!

— A ta córka Marychny gdzie mieszka?

— W Oborach jest za mielnikiem. Słuchaj! Już ja teraz widzę, którędy ty jedziesz!

— Jakiś: "widzicie"?

— Ano, ty chcesz odszukać rodziców tego chłopaka, aby ci dobrze zapłacili...

— Tak. Chcę odszukać rodziców, ale nie poto, żeby mi zapłacili. O zapłacie dotąd nie myślałem. Chciałem tylko sierocie znaleźć rodziców, a rodzicom oddać dziecko, aby się wszyscy cieszyli. Nie więcej.

— Toś duren! Z takiego interesu można ładny grosz pociągnąć. Dziś takie czasy, że powinno się ciągnąć z każdego interesu, co się tylko da.

— Już ja wolę ciągnąć z fajki, a nie z interesu. Jeśli jednak idzie wam o zapłatę, to postarajcie się odszukać ten kuferek, a jak się w nim trafi coś ciekawego, to z pewnością nagroda was nie minie.

— Jakże ci go znajdę, kiedy Marychna poszła gdzieś w świat.

— Wiecie co?... Ja wam powiem po sprawiedliwości: nie mieszkajcie wy się do tej rzeczy, bo nie tu nie poradzicie, a możecie tylko zaszkodzić. Ze starą trzeba gadać ostrożnie, bo jeżeli naprawdę ukradła kuferek i jeżeli w dodatku było w nim jakie srebro, to z pewnością prawdy nie powie. Jakbyście wy się zabrali do tej roboty, tobyście ją zamurowali na gładko. Już ja pomówię sam z Marychną, a nie, to z jej córką. Jeżeli zaś uda się wyszukać rodziców Januszka, to

Ja się już o to postaram, żeby starzy i o was pamiętali. Przecież wyście przywieźli dziecko do leśniczówki, potem odstawił do Ochrony. Co?... może nie?

— Całkiem sprawiedliwie.

— Jabym to wszystko starym rozpowiedział.

— Pamiętaj, że masz tak zrobić!

— Będę pamiętał. A teraz jeszcze powiedzie mi, który to mielnik w Oborkach jest mężem córki Marychny i jak się nazywa, bo tam są trzy młyny.

— Mielnik nazywa się Kapuściński i miełe w tym środkowym młynie za karczma.

— Wiem, wiem... W tych dniach muszę tam pojsć i pogadać z córką starej Marychny.

Po tych słowach Staszek pożegnał Dudę i szybkim krokiem ruszył przez las do Ochrony. Słońce już zachodziło.

W Ochronie powitały go dzieci wielkim krzykiem i zasypały gradem pytań, czy wycieczka odbędzie się, czy grzyby są, i czy stary Wojtasiewicz da drzewo do cegielni, on jednak zagrał im palcem na nosie i, nie odpowiadając na pytania, poszedł do legjonisty złożyć sprawozdanie z wycieczki. Rzecz prosta, że cały nacisk położył na rozmowę z Dudą i na ów żółty kufer.

— Przedewszystkiem musimy zapytać się pani doktorowej, czy ona nie wie co o tym kuferku, albo też, czy go przypadkiem nie otrzymała później od leśniczego z rzeczami Januszką. Chodź!

Poszli do pokoju Budrewiczowej, i tu Stach jeszcze raz opowiedział najdokładniej całą rozmowę z woźnicą leśniczego.

Doktrowa o żółtym kuferku nie zgola nie wiedziała. Marychna podczas badania nie wspomniała o nim ani słowa.

— Z tego wszystkiego wynika — zauważył legjonista — że stara kucharka naprawdę dopuściła się z tym kuferkiem jakiegoś podejrzanego matactwa. Żółta torebka istotnie mogła posiadać w swem wnętrzu cenne szeregóły, po których łatwiejby było dojść do rozwiązania tej zawilej i tajemniczej zagadki.

— Niech mi państwo pozwolą pójść do córki Marychny — ózwał się na to Staszek. — Ja, jak zaczę kręcić na wszystkie strony, to przecież coś z niej wykręcę, tak jak wykręciłem dziś na leśniczówce...

— Ależ idź, mój chłopce, idź, choćby zaraz jutro! — zawołała doktorowa, mocno podniecona opowieścią Stacha. Legjonista jednak miledzał. On każdą rzecz zwykle długo

ważył w głowie, nim coś postanowił, ale też gdy raz postanowił, umiał wytrwać w swych zamierzeniach i te doprowadzić do pomyślnego końca.

Kiedy opuścili pokój pani Budrewiczowej, Wiktor położył rękę na ramieniu Stacha i rzekł:

— Jutro jeszcze do Oborek nie pójdziesz...

— Czemu?

— Trzeba to wszystko najpierw dokładnie w mózgu przetrawić. Przytem sędzę, że taką starą kucharkę, czy jej córkę najłatwiej zmusić można do wyznań, gdy się im przyrzeknie znaczniejszą i ponętniejszą jakąś nagrodę. A tej narazie jeszcze nie mamy.

— Powiem, że rodzice Januszką dobrze zapłacą.

— To za mało! Byłyby to gruszki na wierzbie, wszak o rodzicach chłopaka nie wiesz, zaś kobiety ciężko pracujące wierzą najęściej tylko w to, co widzą. To narazie nie możesz im nic na dłoni pokazać. Czyż nie tak?

— Poproszę pani doktorowej, aby mi dała trochę pieniądzy.

— Ani mi się waź! Pani doktorowa nie ma pieniędzy na najniezbędniejsze wydatki i już z powodu ciągłych trosk sypiać po nocach nie może. Więc narazie musisz trochę poczekać... Ja dzień, dwa pomyślę, podumam, a może coś się poradzi.

— Jak pan uważa — odrzekł Stach cichym głosem, w którym przebijał odcień smutku.

VII.

Pokusa. — Wycieczka.

Wiktor Marchwicki przed wojną rozpoczął był dopiero swą pracę zawodową u starszego architekty, Iwańskiego, a pochodził z biednej rodziny i majątku osobistego nie posiadał. To też w chwili, gdy wybuchła wojna, miał w garści skromną zaledwie sumkę, którą w ostatniej przed wymarszem godzinie wymienił na złoto. Było tego sztuk kilkanaście. Trzymał je w irchowej torebce na piersiach i odwoływał się do ich pomocy tylko w ostatecznej potrzebie, zmieniając dukat po dukacie na płynne papierki i zdawkowe grosze. Mimo to pieniądze topniały i w końcu, gdy legjonista po odcieciu zgruchotałej nogi opuścił szpital wojskowy, zauważył, iż zostały mu się w torebce irchowej tylko dwie złote sztuki. Owe dwie dwudziestokoro-

nówki postanowił zużyć na coś bardzo uczciwego i pożytecznego.

Już była chwila, że chciał po nie sięgnąć, mianowicie wtedy, gdy zamierzał kupić u szewca Świderskiego dzierzon na pomieszczenie złapanego roju. Na szczęście Świderski darował ul Ochronie i dukaty ocalały.

Teraz jednak przyszła druga krytyczna chwila. Przyjmując stanowisko nauczyciela w zakładzie pani Budrewiczowej, zgodził się Wiktor pracować za mieszkanie, całe utrzymanie i dziesięć rubli miesięcznie. Było to śmieszne wynagrodzenie, ale legjonista, widząc bezgraniczną ofiarność kobiety i jej codzienne troski, nie miał odwagi prosić o więcej, przeciwnie, wciąż bił się z myślami, czy nie byłoby sprawiedliwiej rzec się jeszcze owych 10-ciu rubli?! Skromnym był człowiekiem i małe posiadał wymagania, w dodatku miał u doktorowej mieszkanie bezpłatne i jakie takie utrzymanie,—mógł tedy rzec się swej skromnej miesięcznej opłaty. Potrzebował jej jednak na tytoń!... to jest na ostatnią namiętność, której jeszcze ulegał. Wstydział się tej namiętności i w swych rozmyślaniach karciał nieraz sam siebie, przemawiając niby do obecnej osoby:

— Ślicznie!... o! ślicznie!... Jesteś człowiekiem o silnej woli!... że cię tylko fotografować i oddać do menażerji, między małpy. Biedna kobieta gryzie się po nocach i wyprzedaje z rodzinnych pamiątek, aby tylko Ochronę utrzymać i jako tako, rozwinać, a ty przyjmujesz od niej po 10 rubli miesięcznie i ten wdowi grosz puszczasz z dymem. Wstyd, dalibóg, wstyd!

I w takich chwilach karcenia samego siebie przypominał sobie rozmowę ze Stachem Hultajem: "Poco ci chłopcze to palenie?!"... "A panu poco?"... Zupełnie trafna odpowiedź! — Poco?... poco? — Chyba poto, aby krzywdzić kobietę, zasługującą ze wszelkimi na obronę i opiekę... Przechodziło mu też wówczas często na myśl, że każdy nauczyciel powinien wystrzegać się takich samolubnych nawyczek jak nałogowe picie po szyneczkach lub palenie. Bo i jakże śmiesznie wygląda ów nauczyciel, gdy napomina dzieci, aby nie piły, albo nie paliły, gdy sam siebie na wodzy utrzymywać nie umie! Dzieci śmieją się z takich kazań i nie tylko im nie wierzą, lecz przeciwnie, tem więcej upewniają się, że w tych kazaniach niema ani słowa prawdy. "Kto chce uczyć innych, niechaj zacznie najpierw od samego siebie..." To była myśl

końcowa, do której zwykle podczas takich rozpamiętywań powracał.

Ale oto zdarzyło się, że doktorowa nie otrzymawszy w sierpniu zapłaty za kosze z Krakowa, nie uściła się chwilowo ze swych zobowiązań wobec panny Zimskiej i Wiktora.

Legjonista, zamiast zmartwić się, rozpromienił swe oblicze i pomyślał:

— Nie zapłaciła?... chwala Bogu! Tem lepiej! nie będę miał wyrzutów sumienia przez cały miesiąc. A co do tytoniu — — — ot, wydobędę jednego dukata i pošlę Sewerka lub Stacha...

Tu stanął mu przed oczyma obraz Stacha, polującego rankami pod jego oknem na resztki cygar i papierosów.

"A panu poco?..."

W kilka dni później przyniósł chłopak wiadomość o swej rozmowie z Józką Dudą i o złotym kuferku.

W legjoniście drgnęła stara chętka do energicznego czynu w pokonywaniu wszelkich trudności:

— Mógł bym ofiarować Marychnie i jej córce nagrodę za odnalezienie kuferka — pomyślał — wszak mam jeszcze dwa dukaty we woreczku na piersiach... Co jednak będzie dalej z tytoniem?... Hm!... będzie źle. Jeszcze tydzień, dwa, a zapasy skończą się i trzeba będzie — przestać palić!...

Pomyślał chwilę.

— No, to i co!... Wielka rzecz! Przestanę i już!

— A jak nie wytrwasz? — pyta sumienie...

— Prawda!... Jedyna to i niezbyt kosztowna przyjemność, jaka mi jeszcze w życiu została. Czyżby się i tej wyzbyć? Ha... Jeżeli nie wytrzymam, to wrócę do palenia i kwita!

— I albo przyjmiesz znów od doktorowej kilka rubli, których brać nie powinienes, albo rozmienisz dukaty, których mógłbyś użyć na spełnienie pięknego uczynku — przemawia znów głos wewnętrzny.

— To złe i tamto niedobre — boryka się sam z sobą legjonista.

Naraz wydaje mu się, że rośnie, rośnie i staje się swoim własnym generałem, że ten generał prostuje się przed nim i powiada donośnie:

— Poruczniku, Wiktorze Marchwicz! Rozkazuję ci, abyś od jutra przestał palić!

— Do usług, panie generale!

— Możesz odejść.

Żołnierz przykładając palec do srebrnego daszka, wykonywał obu zdrowymi nogami w lewo zwrot, aż ostrogi brzękły, i odchodził. Potem idzie, idzie daleko, schodzi niżej, coraz niżej i zatrzymuje się wreszcie w poikoiku pani Budrewiczowej jako biedny inwalida bez nogi. Rozkaz jednak padł, i wojak spełnić go musi.

Nazajutrz wieczorem — a było to właśnie przed wycieczką do lasu na grzyby — stanął przed oknem Stach Hultaj i rzekł, patrząc w górę:

— Czego pan taki skąpy?

— Jakto skąpy?

— Już drugi dzień niema ani jednej "kumetki" pod oknem.

— Chodź-no, Stachu, do mnie na górę, coś ci powiem na ucho.

— Chłopak skreślił się jak szczupak i pędem pobiegł na górę. Zapukał — wszedł.

— Oto tytoń i papierki. Będzie tego jeszcze na cztery papierosy. Od wczoraj już nie palę. Postanowiłem odzwyczaić się i postanowienia dotrzymam!... Masz te resztki, wypal sobie, ale równocześnie musisz mi dać słowo, że będziesz przez kilka dni żołnierzem obywatelom.

— Co to znaczy?

— Zaraz zrozumiesz. Oto musisz wyobrazić sobie, że stoi przed tobą generał.

— Dobrze, już wyobraziłem sobie.

— A teraz ten generał prostuje się i rozkazuje ostro: "Stachu Lubiezu! Gdy wypalisz owe cztery papierosy, złożysz uroczyste ślubowanie, tak, jak to uczynił mój porucznik, Wiktor Marchwicki, że odtąd nigdy więcej palić nie będziesz."

— Pan naprawdę złożył ślubowanie?... pyta Stach, patrząc Wiktorowi ciekawie w oczy.

— Tak jest, złożyłem!

— I nigdy pan już więcej palić nie będzie?

— Nie będę.

— To i ja nie będę. Jeśli słowa nie dotrzymam, niech mi urosną ośle uszy. Dalibóg!... Ale jak pan zacznie, to i ja także. Zgoda?

— Zgoda!... Przecież ty służyłeś w legjonach, więc jesteś moim kolegą, a legjoniści, gdy dadzą słowo, to go zawsze dotrzymują.

— Tak jak skauci!... Prawda?

— Tak jak skauci.

— Ja będę kiedyś także skautem. A oni tak samo nie palą.

— Czy ty wiesz chłopcze, skąd się wzięło palenie i jaki był jego cel pierwotny?

— Nie, nie wiem.

— Kiedy Hiszpanie przybyli do Ameryki, trafili tam na stada zjadliwych komarów, których ukąszenie wywoływało ciężką i najczęściej śmiertelną chorobę żółtej febry. Dalej zauważyli Hiszpanie, że czerwonoskórzy Indianie trzymają rurki w nosach i wciągają jakiś dym w płuca, potem zaś wydychają ten dym w powietrze, aby odpędzić od siebie owe stada dokuczliwych komarów. Palili oni tytoń!

— Więc to był sposób na komary?... Aha!

— Tak, na komary. A teraz powiedz mi, co swem paleniem odpędzają Europejczycy?

— Nie!

— O nie. Właśnie, że nie. Oni odpędzają od siebie tych bliźnich swoich, co nie palą, tych, co dymu nie znoszą, — oni odpędzają biednych suchotników, którym zatrują powietrze i jeszcze bardziej skracają im krótkie życie.

Stach zastanowił się:

— A to zabawne! — rzekł, mrugając oczyma.

— Tak. To istotnie bardzo zabawne! Zatem od jutra nie palimy obaj.

— Nie od jutra, tylko od dziś, bo ja pańskie cztery papierosy cisnę zaraz do ognia. Cóż to!... mam być podobny do głupiego Indianina?

— Brawo! Jesteś naprawdę moim kolegą. Daj rękę. W zamian od jutra, względnie od następnego poniedziałku rozpoczynamy lekcję łaciny. Chcesz być doktorem i łacinę musisz znać, aby skończyć gimnazjum. Jesteś dzisiaj tak rozwinięty, że możesz pojsć od razu do trzeciej lub czwartej klasy, o ile będziesz znał język łaciński. Już dawno postanowiłem uczyć cię tego przedmiotu wieczorami, ale odkładałem to na porę zimową. Skoro jednak spisałeś się tak dzielnie z temi papierosami, więc w nagrodę pilności przyspieszymy lekcje.

Staszek wzruszył się i chciał Wiktora pocałować w rękę, ale ten schował ją za siebie i zawołał:

— Nie wolno, kolego!... nie wolno!...

— Pan taki dobry!...

— Cicho. Ani słowa o tem więcej. Powiem ci coś innego. Ponieważ przestałem palić, więc teraz oszczędzam. Z tych to oszczędności urosnie kwota potrzebna nam na poda-

rek dla Marychny i jej córki. Oto mam jeszcze dwa dukaty, które po wycieczce do Glinnika, postanowiłem wręczyć tobie, abyś poszedł z nimi do Oborek. Błyszniysz tam żonie mielnika złotem przed oczyma i powiesz, że jeżeli ci zwróci złoty kuferek z tem wszystkim, co w nim jeszcze jest, to zaraz otrzyma wzamian dwa dukaty, zaś w razie, gdyby udało się odszukać rodziców Janusza, dostanie oprócz tego jeszcze dziesięć razy tyle. Nadto powiesz jej, że wszystko, co matka wyjęła z kuferka, jest jej własnością i nikt więcej o to pytać nie będzie. Rozumiesz chłopaku, co?...

— Rozumiem!...

— Jeżeli zechcesz, pójdziesz do Oborek zaraz pojutrze.

— A dlaczego nie jutro?

— Dlatego, bo pani doktorowa postanowiła najpierw widzieć się we dworze, u starego Wojtasiewicza z jego leśniczym, Bareckim, i zapytać go, czy nie wie co o złotym kufeku. Jeśliby przypadkiem Barecki miał go jeszcze u siebie, to rzecz prosta, nie trzebaby było nagabywać córki Marychny.

— No, tak — odrzekł Stach i zamyślił się, po chwili zaś dodał: Ech, toż to baba patrzyłaby na złoto i łykała ślinkę! He, he... Niech mi pan jednak pokaże te dukaty, bo ja nigdy złota nie miałem w palcach.

Wiktor rozpiął kamizelkę, wydobył z irchowego woreczka dwa połyskliwe pieniążki i dał je chłopcu.

Stach bawił się nimi przez chwilę, podrzucił je i łapał, przecierał w palcach i wkońcu zauważył:

— Ciężkie są i śliskie...

W dzień Matki Boskiej, zaraz po obiedzie, który doktorowa kazała przygotować wyjątkowo na godzinę jedenastą, wyruszyły dzieciaki do oborzecckiego lasu na wycieczkę, połączoną ze zbieraniem grzybów. Trzeba było zbierać ich trochę i nasuszyć jako okrasę do zimowych zup i barszczów. Zarówno wycieczka do lasu jak i zbieranie grzybów były dla dziatwy z Ochrony wydarzeniem niecodziennem, zapowiadającym miłą zabawę i sporą garść nowych wrażeń; ale do tego dołączała się jeszcze nadzieja gościnnego przyjęcia u starego Wojtasiewicza, który na list doktorowej odpisał bardzo ciepło, serdecznie i zaprosił całą Ochronę do Glinnika na podwieczorek, a po Budrewiczową i pannę Zimską przyrzekł wysłać powóz i konie.

Na dane hasło ruszyła dziatwa parami pod

przewodnictwem Wiktora, który, choć mógł jechać powozem, żadną miarą nie chciał usunąć się ze stanowiska komendanta oddziału. Na troskę doktorowej, czy zajdzie, odrzekł butnie:

— Jeżeli oni wszyscy zajdą na dwu nogach, to czemuż ja nie zaszedłbym na trzech?!... Uformował szybko oddział i zakomenderował: Baczność! W lewo zwrot. Naprzód — marsz!

I powiódł swoją gromadkę do Oborzecckiego lasu.

Dzieci miały w rękach koszyki własnego wyrobu, używane do zbierania owoców. Dziś te same koszyki były przeznaczone na grzyby. Początkowo cała gromadka szła parami ładnie, w porządku — lecz trwało to niedługo, gdyż wnet szereg złamał się w kilka grupiek, a wszystkie koszyki znalazły się na głowach.

Wiktor obejrzawszy się, zaczął się śmiać, gdy zaś po godzinnym marszu oddział dziecięcy dobił do lasu i usiadł na krótki odpoczynek koło rogatki na leśnej trawie, nauczyciel stanął pośrodku i rzekł:

— Koszyki na waszych głowach przypominają mi jedno zabawne, prawdziwe zdarzenie w Indjach wschodnich, które wam muszę opowiedzieć. Budowano tam kolej z Kalkuty do Benares. Przy tej budowie pracowali robotnicy biali i czarni. Biali wozili ziemię taczkami, czarni nosili ją w koszach, na kędzierzawych głowach. Ale czarnym wydało się, że są pokrzywdzeni i zażądali także tacek. Przedsiębiorstwo angielskie, dbając o spokój, sprowadziło taczki i oddało je czarnym. Poczęli tedy wozić ziemię w taczkach, lecz niebardzo im to szło zgrabnie. Aż wreszcie jednemu z nich przyszła złota myśl do głowy: dźwignął tacekę i bardzo zadowolony wsadził ją sobie na kędzierzawą pałkę. W pół godziny potem cały oddział czarnych nosił ziemię w taczkach, trzymanych na głowie, zupełnie tak, jak wy wasze koszyki.

— Ha, ha, ha!... zaśmiała się dziatwa.

— A to mały!... zauważył Domaniewski.

— A wy co? — podchwycił legionista — Jeden z was wsadził koszyk na głowę, i wnet wszyscy poszli za jego przykładem! Oj dzieciaki, dzieciaki! No, a teraz: baczność!... Idziemy dalej! Nie rozchodzić się zbytnio na boki i często hukać, abyście się nie pogubili.

— A jak kto znajdzie prawdziwego grzyba, niech zaraz trąbi w kułak — zachęcił Li-czykrupa.

Oddział rozszedł się w linję bojową i ruszył ławą przez las. Co chwila odzywały się głosy chłopaków:

— Hop, hop, hop!

Na to odpowiadały piskliwe, przeciągłe głosiki dziewczęce:

— Hooooop!

Tu i owdzie śpiewano. Stach Hultał jak kukułka, szedł jak pies, ścigający dziką w kniei, udawał rogacza, naśladował jego bek doskonale, gwizdał jak kos, lub też przemieniał się w inne jakie zwierzę. Naraż gdzieś z boku zatrąbił ktoś w kułak,

— Tra, ra ra... tra, ra ra — trą, ra ra!...

— Grzyb, grzyb, grzyb!

Oddział stanął. Sewerek nadbiegł do legjonisty i pochwalił się:

— Jest.

Rzeczywiście był to prawdziwy grzyb, borowik, czysty, twardy i nierobaczywy. Przeszukano najbliższe krzaki dokładnie i znaleziono w tem samem miejscu jeszcze sześć innych borowików.

— Ot, będzie już do barszczu na jeden obiad! — cieszone się ogólnie i coraz pilniej rozglądano po ziemi. Odtąd co chwila rozlegały się w różnych stronach lasu grania na kułaku: "Tra, ra, ra, — tra, ra, ra..." Nie wszystkie te znaki były uzasadnione: mieszano "kozary" z borowikami.

— Czy wszystkie zbierać grzyby, czy tylko same borowiki? — zapytał Sewerek z oddali.

— Wszystkie, wszystkie — objaśnił Wiktor. — Jutro w domu przeberzemy i odrzucimy niejadalne.

Tak szukając, śmiejąc się, gwarząc i śpiwając dzieci przeszły spory szmat lasu i na ogół nabierały dość znaczny zapas leśnych przysmaków w swe koszyki. W trzy godziny później rozwidnił się przeciwny brzeg lasu, a za nim ukazały się kominy, strzechy i oplotki Glinnika.

— Otóż i jesteśmy na miejscu — zauważył legjonista, ocierając chustką pot z czoła. — Kto zna drogę do dworu, niech prowadzi.

— Ja znam! — krzyknął z oddali Stach, podbiegł i wysunął się szybko na czoło pochodu.

We dworze zastały już dzieci panią Budrewiczową i pannę Zimską. Kobiety siedziały z gospodarzem w ogrodzie owoc-

wym, gdzie stary Wojtasiewicz kazał poustawiać stoły pełne wiejskich przysmaków, więc: mleka, sera, miodu, chleba, jabłek i gruszek. Śliwki, zupełnie już dojrzałe, wolno było rwać prosto z niskich drzewek.

Zgłodniała brać rzuciła się przedewszystkiem na chleb, ser i mleko jak szarańcza, i przez dobrą chwilę nie było nic więcej słychać tylko dzwonienie łyżeczek o szklanki i kubki. Tu i ówdzie ktoś rozkaśił jabłko tak zamasyście, że aż strzeliło niby z pukawki: "chrup!"

Wśród tego nadjechał leśniczy Barecki i przywitał się z paniami. Stach, ujrawszy go, podsunął się do stołu, przy którym siedziały kobiety, chciał bowiem podsłuchać co Barecki powie o złotym kuferku. Rzeczywiście niedługo czekał na zaspokojenie swej ciekawości, bo doktorowa po krótkich słowach powitalnych zaraz zagadnęła leśniczego:

— Panie Barecki, mam się pana o coś zapytać.

— Służę.

— Przypomina pan sobie chwilę, w której przywieziono panu do domu małego Januszka?

— Tak, przypominam sobie.

— Nie zauważył pan wówczas w ręku dziewczyny małej, złotej torebki, czy też kufereczka ręcznego, używanego w podróży?

Barecki podniósł brwi wysoko i dźwignął ramiona w górę:

— Torebki?... kufereczka?... Pierwszy raz słyszę!

— Pański furman twierdzi, że dziewczyna miała taką torebkę w ręku.

— Nie mi o tem nie wspominał. Ja zaś wróciłem owego dnia dość późno do domu i ujrzałem dziewczynę dopiero w kuchni, na łóżku, bredzącą w najwyższej gorączce.

— Zatem pan nie o torebce nie wie?...

— Upewniam panią, że dowiaduję się o niej dziś dopiero z ust pani.

— W takim razie musiała ją zabrać stara Marychna,

— Marychna jest znaną złodziejką. To prawda. Ale właśnie dlatego, że ją znał jako złodziejkę, oglądałem jej rzeczy na wozie, gdy odjeżdżała do córki. Mogę panią również upewnić, że między temi rzeczami nie widziałem złotej torebki.

— Zapewne odniosła ją na wieś przedtem...

— Albo też dziewczyna, jadąc, wypuściła torebkę z ręki, wszak miała już gorączkę.

— Prawda. I to możliwe.
— Jeżeli pani sobie życzy, możemy zapytać Marychny.

— I owszem, i owszem...
Leśniczy zastanowił się i potarł ręką czoło:

— Ale prawda... Ona podobno wyjechała do Kiele, czy do Radomia. Zresztą, jeżeli torebkę ukradła, to się z pewnością nie przyzna. Ja ją znam!

Stach, słuchając z boku tej rozmowy, uciekł się, że leśniczy nie wie o torebce, albowiem wyprawa jego do mielnikowej była wobec tego zupełnie usprawiedliwiona.

Doktorowa chciała jeszcze o coś Bareckiego zapytać, bo już otworzyła usta, ale właśnie w tej chwili nadszedł Liczykrupa, stanął przed Budrewiczową i oznajmił:

— Dwieście dziewięćdziesiąt sześć!

— Co to znaczy: dwieście dziewięćdziesiąt sześć? — zdziwiła się doktorowa.

— Tyle nazbieraliśmy grzybów.

— A!... tak! — jużes policzył? Bardzo pięknie. Nowy dobytek na zimę. — zwróciła się do Wojtasiewicza. — Szkoda, żeśmy o tem wcześniej nie pomyśleli.

— Niech pani przysyła dzieci odtąd co niedziela do lasu, a może jeszcze co uzbierają — odrzekł z dobrotliwym uśmiechem staruszek.

— Ale my do dobrodziejstwa mamy inną jeszcze prośbę...

Stary przyłożył rękę do ucha:

— Słucham.

— Dzieci moje ulepiły sobie przeszło 20 tysięcy cegieł na szkołę. Będą ją same budowały na wiosnę pod okiem pana Wiktora.

— A, to ładnie, bardzo ładnie! Cieszę się, gdy widzę coś podobnego.

— Tylko te cegły dotąd niewypalone, a do ich wypalenia potrzeba nam drzewa...

— Dam!... dam! — uśmiechnął się znów staruszek i ruszył ręką w kierunku leśniczego.

— Panie Barecki, słyszy pan? — zwróciła się Budrewiczowa do zarządcy lasu.

— A ile państwu sążni potrzeba? — zapytał tenże.

— Pan Wiktor powie panu dokładniej; za ręczęm tylko, że będziemy bardzo umiarkowani i bardzo oszczędni.

Wiktor, słysząc to, zwrócił się do dzieci i rzekł:

— Baczność, dzieciaki!... Otrzymaliście drzewo do cegielni, podziękujcie pięknie.

— Dziękujemy! — ozwały się liczne głosy w jednym zgodnym chórze.

— Teraz jeszcze musimy naszemu kochanemu panu gospodarzowi coś ładnego zaśpiewać. Naprzykład: — "Rotę"...

— Dobrze, dobrze!... zaśpiewamy.

Dzieciaki ustawili się w zespół chóralny i zanuciły miłemi i dość dobrze wyćwiczone mi głosikami tę cudną pieśń z czasów wielkiej wojny, którą śpiewały zgodnie polskie legiony po obu stronach linii bojowej, tę cudną pieśń, przy której jednakie serca, choć w różne mundury przyodziane, płomieniem jednakiej nadziei drgały:

"Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...

Nie damy pogrześć mowy,
My, polski naród, polski lud,
Królewski szczepek piastowy.
Nie damy, by nas zniszczył wróg.
Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziemy bronić ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżacka zawierucha.
Nam twierdzą będzie każdy próg.
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił,
Stanie orężny hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił
W ten dzień, gdy zagrzmi złoty róg.
Tak nam dopomóż Bóg!

Staruszek podszedł ku pieśniarzom, zasłuchał się i rozpromienił oblicze, jakby przed nim otworzone podwoje nieba, a gdy pieśń dobiegała końca, podniósł rękę i krótkim ruchem strącił łzę z powieki.

— Ślicznie, ślicznie! — wyszeptał.

Tymczasem z gromadki śpiewaków wysunął się nieco naprzód Stach Lubiec, wydobyl z kieszeni trzy jabłka i zaczął nimi grać, rzucając je szybko w górę i łapiąc w ten sposób, że jedno ścigało drugie. W chwilę potem, nie przerywając swej sztuczki, wyszarpnął z kieszeni czwarte jabłko i puścił je wraz z poprzednimi w mistrzowski obieg, przypominający falę górskiej rzeki z jej błyskami na silnych spadach.

— A niechże go!... jaki sprytny! — zawołał staruszek.

Wtem upadło jedno jabłko pod jego nogi i potoczyło się dalej. Chłopak poskoczył za nim, pochylił się do nóg Wojtasiewicza, o-

kręcił się koło nich, szukał po ziemi, cofnął wstecz ramiona, wyprostował się, znowu skurczył i przysiadł, znowu rozglądał się niby za jabłkiem, które zatrzymało się w trawie na widocznym miejscu, wreszcie cofnął się zupełnie i zawołał z szelmowskim uśmiechem na twarzy, zwracając się do Wojtasiewicza:

— Może pan dobrodziej pozwoli jednego papierosika. Ja wprawdzie od wczoraj nie palę, lecz na papierosach znam się i wiem, że są doskonałe.

Wojtasiewicz, spojrzawszy zrazu na chłopca mocno zdziwiony, potem zwrócił oczy na papierosnicę.

— Co?... moja papierosnica? czyżem ją zgubił?...

— Nie, nie zgubił pan. To ja ją zamieniłem za jabłko, które ma pan w lewej kieszeni...

Wojtasiewicz uderzył się po kieszeniach i rzeczywiście trafił lewą ręką na twardą wypukłą górkę.

— Jabłko!... wykrzyknął, jeszcze bardziej zdziwiony i naraz zaczął się śmiać jak małe dziecko. Rzecz prosta, że i grono widzów zawtórowało mu chórem rozkosznego śmiechu.

— Więc tyś to zrobił?... ty?... — pytał dalej staruszek Stacha, wycierając chustką załzawione od śmiechu oczy.

— Ja — odrzekł Stach, zadowolony z siebie.

— Ale kiedy, kiedy?

— Jakiem się kręcił koło panu, szukając niby jabłka na ziemi... Proszę — dokończył, i oddał papierosnicę.

— A ty, urwisie kochany... chodźno tu bliżej, niech ci się lepiej przypatrzę. Daj go katu, co za sprytny zuch!...

Ujął twarz Hultaja w obie dłonie i przez dłuższą chwilę patrzył chłopcu w oczy.

— Skąd ty jesteś? — zagadnął wreszcie.

— Z Rodziejki.

— Nazywasz się?

— Stach Lubicz.

— Ojciec twój czym jest?

— Rolnikiem.

— A matka urodzona w mieście. Co?... zgadłem?

— Nie, na wsi. Ale już nie żyje. W domu jest macocha, i dlatego poszedłem sobie w świat.

— Hm!... Matka także z ludu. Ciekawe! — mruknął stary, cofnął się do kobiet na ła-

weczce i szepnął stłumionym głosem do pani Budrewiczowej:

— Boże, Boże... ile to wśród ludu naszego sprytu, dowcipu i bystrości. Co z tego jeszcze być może, ej... co być może!

Ponieważ wkrótce potem zaczęło się ściemniać, dzieciaki podziękowawszy staruszkowi gorąco za gościnne przyjęcie, uszykowały się na rozkaz legionisty w szereg i ruszyły żwawo ku domowi. I tym razem towarzyszył im Wiktor.

Kiedy oddział opuścił wieś i wydostał się na bity gościniec, legionista zwolnił nieco kroku i przywołał do siebie Staszka.

— Bardzoś to sprytnie zrobił z tem jabłkiem i papierosnicą, — przemówił półgłosem, aby inni nie słyszeli — ale... mój chłopce kochany... proszę cię serdecznie, po przyjacielsku, nie powtarzaj tego nigdy więcej w życiu...

— Dlaczego!... Przecież wszyscy się śmiali! — zadziwił się Hultaj.

— Nie to nie znaczy. Ty tego jeszcze nie rozumiesz... no, tak, ty tego nie rozumiesz. Zaen staruszek, który całe życie myślał tylko o jednym swoim wielkiem ukochaniu, nie wziął ci tego za złe, a nawet ujrzał nawet w tobie to, co chciałby widzieć w każdym dzielnym Polaku: zręczność, spryt, śmiałość, bystrość, odwagę i wogóle to wszystko, co może w przyszłości przydać się biednemu dotąd i nieszczęśliwemu społeczeństwu. Ale niekażdy jest takim jak Wojtasiewicz, zapatrzonym w jeden punkt człowiekiem. Inni mogliby to zrozumieć inaczej. Ludzie w państwach zachodnich, zwłaszcza obywatele takiej Szwajcarii, Francji, Anglii, Szwecji, Norwegii itd. patrzyliby, sądząc, na taki żart krzywym okiem... I bez twej woli spotkałaby cię za to może jakaś przykrość.

Są pewne wady, do których nawet w żarcie zbliżać się nie można; a do tych wad w pierwszym rzędzie należy "złodziejstwo"... rozumiesz? Choćby nawet było to złodziejstwo udane i zabawne...

Stach zwiesił głowę, zadumał się i dłuższą chwilę siedł w milczeniu obok legionisty, ścinając laseczką przydrożne chwasty. Wreszcie rzekł:

— Więcej nie będę... Ktośby mógł naprawdę pomyśleć, że ja jestem sprytny złodziej.

W Oborkach. — Wojtek Gwizdoń. — U mielnikowej.

W dwa dni później wybrał się Stach Hul-taj do Oborek, aby pogadać z mielnikową o żółtym kufereczku.

Nim jednak doszedł do drugiego młyna, spostrzegł przed plebanją dorożkę, zaprzężoną w dwa okrągłe gniadosze. Ładne konie zawsze go zajmowały, więc podszedł bliżej i ogarnął ciekawem spojrzeniem zarówno konie jak i ich woźnicę. Naraz wykrzyknął mocno zadziwiony.

— Hej! Wojtek!... a ty tu co robisz?

— Ot, co robię: — zauważył tamten — czekam.

— Ale ja pytałem, u kogo ty teraz słyszysz?

— A no... u Kurzaka.

— Co? u Kurzaka?... Tego, co to obra-bował naszą doktorową?

— Czy ja wiem? — odparł Gwizdoń i ru-szył obojętnie ramionami.

— Ale ja wiem!... My się jeszcze kiedyś z nim porachujemy. Chłopey z Ochrony mó-wili mi, że on chce nam odebrać cegielnię! No, no, niech spróbuje! — pogroził pięścią w powietrzu. — To ty teraz, Wojtek, służysz niedaleko nas... Patrzajcie, nie nie wie-działem! A dawno jak porzuciłeś Rodziej-kę?

— Już ze trzy niedziele — odparł Wojtek Gwizdoń, chłopak starszy od Stacha może o trzy lata.

— Co tam u nas się dzieje? Ojciec mój nie wrócił?

— Nie.

— A u ciebie co?

— Nie.

— Zawsze taki głupi, jak dawniej?

Wojtek westchnął, ale widocznie pogo-dzony oddawna z losem, ani się pogniewał, ani nie zaprzeczył.

— Ładne masz konie — zauważył dalej Stach, klepiąc tłustego gniadosza po karku — wyglądają jak beczki.

— Dużo jedzą, to i wyglądają.

— Ty, Wojtek, a wy gdzie kupujecie owies?

— Czasem na wsi, czasem u Mendla Mar-szalika.

— Aha. A po czemu dajecie u Mendla?

— Po ośmnaście.

— Naprawdę?!

— Wczoraj sam płaciłem, to wiem.

— Muszę ja do tego Mendla pójść i po-gadać — mruknął Stach pod nosem, poczem dodał: — Bywaj zdrow, Wojtek, a powiedz swemu panu, niech nas nie zaczepia, bo bę-dzie z nim źle.

Wojtek ruszył znów ramionami.

— To nie moja rzecz.

W kilka chwil potem zatrzymał się Sta-szek przed zagrodą mielnikowej i począł rozglądać się uważnie na wszystkie strony. Wtem rozwarły się drzwi od chaty i na pro-gu ukazała się młoda i ładna jeszcze ko-bieta:

— Ej! — zawołała opryskliwie — a ty, wiesz, czego się tak czaisz? Może podoba-ły ci się moje kury? ha?... Coś ty za jeden?

— Nawet nie wiedziałem, matko, że ma-cie kury — odrzekł Stach swobodnie. — Je-żeli macie, to dobrze, a jak są ładne, to jesz-cze lepiej. Gdybyście zaś dali jaki kawałek upieczonej, to byłoby najlepiej.

— O widzicie go! Jaki rozmowny.

— Wy, mielnikowa, prawda?

— Juści, że mielnikowa!

— Pozwólcie, że trochę usiądę, bo mię no-gi bołą. — Nie czekając na odpowiedź u-siadł obok stojącej mielnikowej na ławce i mówił dalej: — Pytaliście, com ja za jeden. Ja jestem z Ochrony pani doktorowej Bu-drewiczowej... zapewne ją znacie.

— Jeszczebym też nie znała!

— Ja tu przyszedłem umyślnie... ale nie do was, tylko do waszej matki, kucharki Marychny.

— Moja matka pojechała do Radomia, a stamtąd, zdaje się do Krakowa.

— Oj, to źle. Byłoby dla niej miejsce.

— Czy to się jeden o nią dopytywał? Dobra kucharka nigdy z głodu nie zginie, bo zawsze miejsce znajdzie.

— Tak, tak... Tylko ja miałem z waszą matką pogadać jeszcze o czymś innym.

— No, o czym?

— O czymś takim, coby wam mogło ładny grosz napędzić do kieszeni.

— Hm! — wpatrzyła się bystro mielni-kowa w Stacha. Ten zaś ciągnął dalej:

— Wyście może słyszeli o małym chłopacz-ku, Januszkę, który jest u nas w Ochronie.

— O jej!... czemużbym nie słyszała. Toż moja matka dość się koło niego nachodziła, a nikt jej za to nawet nie powiedział: "Bóg zapłać"...

— Ja właśnie przyszedłem po to, żeby

waszej matce nie tylko podziękować słowami, ale i czemś lepszym.

Tu Stach wydobyl z bluzki dwa złote pniażki i poczał niemi pobrzakiwać. Mielnikowej zaiskrzyły się oczy.

— Oto widzicie tu dwa dukaty? Doktorowa Budrewiczowa kazała wam powiedzieć, że te dukaty przeznaczone są dla człowieka, który odszuka żółtą, skórzaną torebkę, którą dziewczyna, opiekunka małego Januszka miała w rękach, gdy przyjechała na leśniczówkę. Są ludzie, co widzieli, jak wasza matka odebrała tę torebkę od chorej dziewczyny.

— To pewnie mówił Józek Duda! — zaperzyła się mielnikowa — ale to nieprawda. Moja matka nie brała torebki od dziewczyny, tylko wzięła na ręce dziecko, a torebkę niósł Duda i pewnie zaniósł ją do siebie, do stajni. Potem przyschła przy nim, jak wiele innych rzeczy.

— Ej, matko, poco tu długo gadać?... Doktorowa wie na pewno, że wasza stara zabrała torebkę...

— A nieprawda, a nieprawda! właśnie że nie zabrała, bo jakby była zabrała, to ja bym przecież była o tem coś wiedziała...

— Pani doktorowa wie nawet, że wasza matka zakopała ją na ogrodzie... a to, co w niej było, zabrała sobie.

— Także coś!... tam przecież nie nie było... Trochę bielizny i jakieś stare gazety, czy papiery...

Staszek podskoczył i porwał mielnikową za fartuszek...

— Ależ słuchajcie, kobieto! Właśnie doktorowa chce mieć te stare gazety i papiery, bo może po nich da się odszukać rodziców małego chłopca. Jej nie chodzi ani o torebkę, ani o to srebro, które tam było...

— Tam nie było żadnego srebra! — zawołała mielnikowa, czerwieniąc się z oburzenia, czy też ze wstydu.

— Mniejsza o to. Doktorowej chodzi tylko o te papiery, co tam w torbie były, a że były, toście mówili sami. Więc też kazała mi powiedzieć, że za te papiery, gdy się znajdą, da wam zaraz czterdzieści koron w złocie. O! te same, które trzymam w ręku. Potem, gdyby udało się odszukać rodziców Januszka, dostalibyście znacznie więcej... rozumiecie?... znacznie więcej, może nawet dziesięć razy tyle. A dwadzieścia dukatów, to ładny pieniądz... Co? może nie?

Mielnikowa zwiesiła głowę, wpiła oczy

w ziemię i myślała: widocznem było, że waha się, co czynić. Nawet Stach, choć był jeszcze nawpół dzieckiem, zrozumiał, że przy jej pomocy da się może dojść po nitce do kłębka. Wreszcie rzekła:

— Może matka wie coś o żółtej torebce, ja nie wiem.

— A gdzież wasza matka?

— Przecież ci mówiła, że pojechała do Radomia, a potem miała stamtąd jechać do Krakowa...

— Pisała do was co z Krakowa?

— Nie, nie pisała. Nie wiem nawet, czy już wyjechała z Radomia... Gdzie teraz listy chodzą porządnie?!

Długo jeszcze rozmawiał Staszek z mielnikową, pobrzekując wciąż dla przynęty złotemi pniażkami; mimo jednak tej błyszczącej pokusy nie udało mu się wydobyć z kobiety nic więcej nad to, co już wiedział. Wynikało z tej długiej i dowcipnie prowadzonej pogadanki, że kobieta naprawdę nie wie nic bliższego o torbie, ani też nie umie powiedzieć o miejscu pobytu matki. Przystała tylko na jedno, mianowicie na to, że skoro otrzyma list od matki i dowie się o jej adresie, to zapyta ją o żółtą torebkę, a gdyby się udało ją odszukać, to ją zaraz do pani Budrewiczowej przyniesie, za co, wedle zapewnień Stacha, ma otrzymać narazie 40 koron nagrody w złocie, a później "co łaska" od rodziców Janka.

Bądź co bądź, był to krok naprzód w rozwikłaniu zagadki pochodzenia Januszka, i Stach Hultaj wracał do Ochrony w doskonałym humorze.

X

Nowe zapasy na zimę. Jakób Palisa. Atak na Stacha ze wszystkich stron.

Aby wypalić cegły, trzeba było najpierw ponaprawiać w kilku miejscach rozwalony piec. Wiktor, dobrawszy sobie najsprytniejszych "ceglarzy", usunął rumowisko, które tu i owdzie już pokryte było chwastami, wybrał z niego co lepsze cegły i przy pomocy surówek pozatykał otwory tak dobrze, iż można było liczyć na udatną w piecu robotę. Teraz chodziło już tylko o drzewo, które miał zwieźć z lasu do Ochrony Jędrzej. Ale właśnie w tym czasie wypadła dzieciom z Ochrony inna pilna robota, która wypalanie cegieł nieco odwlokła:

Oto w Dudniowie, obok Glinnika, był rol-

nik Jakób Palisa, zamożny wdowiec, który oddał córkę, Michasię, na wychowanie do Ochrony. Wiodło mu się wcale dobrze na różnych dostawach, zwłaszcza podczas wojny, ponieważ jednak często wyjeżdżał i nie wracał po kilka dni do domu, więc obawiając się, aby dziewczynie nie stało się coś złego, uprosił doktorową o przyjęcie Michasi do zakładu. W każdym razie była ona częścią sierotą, a Ochrona głównie zajmowała się sierotami i bezdomnymi dziećmi.

Palisa należał do ludzi uczciwych i oświeconych. Czytywał gazetki ludowe, zajmował się polityką i już rozumiał dobrze, jakie ma prawa i obowiązki nowoczesny Polak ziemianin. To też choć doktorowa swoim zwyczajem nie chciała przyjąć za Michasię żadnego wynagrodzenia, on uznał z własnego popędu, że nie jest tak biedny, aby dziecko jego potrzebowało korzystać z obcej pomocy i przywoził często do Ochrony różne cenne podarki: to kilka kop jaj, to parę worków mąki z tegorocznego żniwa, to beczkę ogórków, to kilka kur, gęsi i kaczek. Palisa pod tym względem śmiało mógł innym ludziom świecić przykładem: drażliwym był aż do przesady i stanowczo dawał więcej, niż się należało. Gdy doktorowa zwróciła mu na to uwagę, odpowiedział:

— Niech ta!... Bóg mnie daje, ja wam. A dziewczyna moja nauczy się u was, zacna pani, więcej pożytecznych rzeczy niż u mnie w domu.

Owóż ten Palisa przyjechał pod koniec września do Ochrony, przywiózł w podarku sporą dzieję sera i — jak zwykle czynił — zaszedł do pani Budrewiczowej na krótką pogawędkę o "polityce" i różnych nowościach z szerokiego świata. Coprawda, doktorowa niewiele więcej posiadała wiadomości od niego samego i nie mogła mu udzielić żadnych nowinek; atoli przy tej sposobności rozgadali się o sprawach gospodarczych i o najbliższych potrzebach Ochrony na nadchodzącą zimę. Chodziło doktorowej o dostawę ziemniaków.

Na to Palisa rzekł:

— Dobytku na wsi jest sporo, tylko rąk do roboty mało. Ot, sąsiad Kocura wyjechał za Bug i nie wrócił, a całe jego pole zasadzone ziemniakami zmarnieje, bo nie ma komu zająć się sprzętem.. Możemy ja sam wdać się w to, ale zaraz powiedzieliby ludzie, że zabieram cudzą pracę dla własnego użytku. Ale gdyby tak wykopać ziemniaki dla Ochro-

ny pod nadzorem gromady, to któżby śmiał mówić o tem coś złego?

— Ależ ja najchętniej zapłacę i za ziemniaki i za wykopanie.

— Ba! — kiedy we wsi nie ma komu kopać.

— W takim razie dzieci wykopią same.

— Toby było najlepsze — zauważył Palisa po krótkim namyśle.

— W takim razie mówcie panie gospodarzu, kiedy mamy stawić się do roboty.

— A choćby i jutro.

— Doskonale! Dzieci nasze lubią wszelkie wycieczki, więc zrobią sobie jutro małą wycieczkę do Dudnowa.

Na tem stanęło.

Nazajutrz, skoro świt, wyruszyła znów cała gromadka dzieci z motykami, workami, koszami i pieśnią na ustach do Dudnowa. Ponieważ robota obliczona była na cały dzień, więc Jędrzej miał przywieźć w południe wielki kocioł od powideł, w którym dzieci same, a zwłaszcza dziewczęta z Michasią Palisówną na czele, postanowiły ugotować "polową" zupę. Na drugą potrawę miały być pieczone w popiele ziemniaki, do których przyrzekł stary Palisa wystarać się o kilka osetek masła, sera i parę bochenków chleba.

Wycieczka ogromnie podobała się dzieciom, zwłaszcza gotowanie w polu zupy i pieczenie ziemniaków. A tak się wszyscy przejęli tą myślą, że mało kto miał ochotę, zabrać się do poprzedniej pracy przy kopaniu kartofli. Dopiero Wiktor zaprowadził jaki taki porządek, podzielił całą gromadkę na oddziały i każdemu z nich wyznaczył osobną robotę. Jedna grupa kopała ziemniaki, druga znosiła je na kupkę i ładowała w worki, trzecia poszła w las nazbierać suchych gałęzi na ognisko, czwarta robiła z darni oparcie na kocioł, pod którym miał przechodzić płomień, wreszcie piąta poszła do sioła, do Palisy, po chleb, ser i masło. Tej ostatniej dostał się jeszcze jeden podarek od szcudrobliwego gospodarza, o którym poprzednio nie wspominał: Był to spory kawał wędzonki do zupy.

Stach Hultaj poszedł z Lisowskim, Liczykrupą i Sewerkiem po gałęzie do lasu i pociągnął za sobą Kutę, podwórzowego kundysa gospodarza Palisy. Pies tak do niego przylgnął, jakby byli przyjaciółmi oddawna. Leż o to z tej przyjaźni wyłoniło się wnet coś zabawnego. Przed samym lasem były krzaki tarniny gęste i zbite jak koszykowa

plecionka. Stach idąc miedzą, ujrzał z daleka jak młody szarak, "marczak", położywszy uszy po sobie, pokiecutał rowkiem ku tej tarninie i ukrył się w jej pogmatwanych czeluściach.

— Hej, chłopcy! — zawołał cicho. — Będzie zaraz polowanie — zwrócił się do Sewerka: Ty zostaniesz z tyłu i jak ci dam znak, zaczniesz walić kijem w krzaki i pędzić kopyrę na las. My zaś w trójkę stanjemy z tamtej strony tarniny, a psa weźmiemy z sobą. Na którego wyskoczy zając, ten niech go wali kijem przez łeb.

Po tym rozkazie Sewerek został w tyle, zaś trzej inni wraz z psem pobiegli naprzód i ustawili się między lasem a tarniną z kijkami w pogotowiu. I rzeczywiście, skoro tylko Sewerek uderzył kilka razy patykiem po krzakach i gwiznął, zając przedarł się chyłkiem przez gąszcz i skręcił ku lasowi. Ale tu wpadł najpierw na Stacha, który zawiął się nań kijem. Szarak rzucił się w bok i wpadł na Lisowskiego. Ten cisnął na niego z oddali laseczką i tak przeraźliwie zawrzeszczał, że zając dał jeszcze jednego szczupaka w bok i wpadł prosto w zęby psu Kurcie.

— Wau! — ozwał się krótki jęk i szarak rozciągnął się jak długi na polu, przygnieciony zębami Kurty do ziemi.

— Nie rusz!... oddaj!... — krzyknął teraz Stach i przypadł do psa, aby mu zwierzyne odebrać. Jako istotnie była to nowa cenna zdobycz dla biednej kuchni w Ochronie. Stach ujął kopyrę za skoki i poszedł za innymi w las, aby zbierać gałęzi na ognisko.

W kilka chwil potem byli chłopcy już napowrót przy robocie na kartoflisku z pełnymi rękami suchych gałęzi. Rzecz prosta, że całą dzieciarnię najwięcej zadziwił i zachwycił upolowany zając. Ktoś podał myśl, aby go zaraz sprawić, wrzucić do kotła i ugotować w zupie, lecz doktorowa nie zgodziła się na to, upewniając, że zupa byłaby zła, zaś o wiele znakomitszą będzie pieczeń z dzikim sosem na niedzielę.

Niebawem zahuczało ognisko i dziewczęta poczęły krzątać się koło kotła, w którym gotowano grochówkę z wędzonym boczkem, chłopcy zaś przykucaли nad ogniskiem i w miarę jak się ono zmieniło w popiół buchającym żarem, wtykali węć po kilka naście ziemniaków...

Wiadomo, że nigdy ziemniaki nie smakują tak znakomicie jak w polu, gdy się je

upiecze w popiele. Są sypkie i bokami dobrze przypieczone. To też wnet rozpoczęła nasza dziatwa królewski obiad — obiad tem smaczniejszy, że sporządzony własnymi rękami i to w tak niecodzienny sposób. Że przytem Stach Hułtaj musiał namalować Głodomorowi zwęglonym patyczkiem wąsy i brodę hiszpankę, o tem upewniać nie potrzeba, bo i jakże bez figlów obejść się w takiej chwili, kiedy to młodzież wśród przyrody, w jasny dzień pogodny używa świeżego powietrza, cieszy się nowością, śmieje się, weseli i wydaje ze siebie młodociane siły na pracę celową i pożyteczną...

Pod wieczór, gdy pole gospodarza Kocury oczyszczone było z ziemniaków, doktorowa poprosiła kilku poważnych włóścian ze wsi i obliczała przy nich plon uzbierany. Przed wygasłem już ogniskiem stało rzędem 18 worków z doskonałymi "amerykanami".

— Gdy Kocura wróci — rzekła doktorowa — będziecie tacy dobrzy: uwiadomiecie go, co się stało z jego ziemniakami i powiedzcie mu, aby przyszedł po zapłatę do Ochrony. Dla nas jest to pomoc znaczna, bo z naszymi własnymi zapasami będzie przynajmniej tyle ziemniaków na zimę, że dzieci głodu nie zaznają.

Gospodarze pożegnali się, lecz uszedłszy kilkadziesiąt kroków, zatrzymali się i chwilę pociechu naradzili, poczem dwu z nich wróciło do doktorowej.

— Uradziliśmy — rzekł stary Gębiarski przyjąć cały rachunek z Kocurą na nasze sumienie, a to, co sobie dzieci same ukopały, niechaj zdrowo szczęśliwie zjedzą...

Doktorowa podziękowała serdecznie, poczem, gdy owi dwaj wysłancy odeszli, zwróciła się do Wiktora z rozpromienionem obliczem:

— Ten Dudnów — rzekła — to wieś o bardzo rozwiniętej kulturze. Zauważyłam to już po Palisie, teraz zaś widzę, że jest tu więcej takich godnych Palisów...

— Między nimi musi być jakiś dzielny Polak-obywatel, na którego inni się zapatrzyli i starają się go naśladować, — odrzekł Wiktor i zamyślił się, poczem dodał: "Świętym ten na ziemi, kto umiał zawrzeć przyjaźń ze świętymi"... Oby tych świętych było na ziemi jak najwięcej.

Domawiając tych słów, spojrzął przelotnie, z wyrazem głębokiego szacunku, na czarne szaty doktorowej i na jej bladą, zmę-

czoną twarz, okraszoną dziś lekkim rumieńcem radości.

Gromadzące się oddawna nad głową Stacha Lubicza chmury do czekały się wreszcie takiego wysycenia, że lunął z nich pewnej niedzieli rześisty grad na barki chłopaka.

W niedzielę i święta nawiedzali Ochronkę pani Budrewiczowej różni ludzie. Byli to krewni i opiekunowie sierót, którzy chcieli się naocznie przekonać, jak się ich dziatwa sprawuje w szkole i koszykarskiej pracowni, byli dalej opiekunowie Ochronki, wybrani przez "Radę" zawiadowczą, którzy czuwali nad bytem materialnym i rozwojem zakładu. Coprawda, niewiele ta Rada troszczyła się o pełną spiżarnię i o bieliznę lub buciki dziecięce, ale do gadania, krytykowania i do udzielania wskazówek, jak się powinno prowadzić szkołę, było ludzi sporo. Ci poczytywali sobie za wielką zasługę, że kiedy niekiedy przyszlisi na posiedzenie lub na pogadankę z doktorową Budrewiczową. Wreszcie odwiedzali ją także bliscy znajomi i krewni, którzy przychodzili głównie poto, aby się niejako ogrzać i nacieszyć przy jej sercu, pełnem miłosierdzia i dobroci dla całego świata.

O ile jednak w dni świąteczne nikt z gości nie nawiedzał Ochrony, doktorowa, korzystając z wolnej chwili, naradzała się w swym pokoju z Wiktorem i Zimską nad programem nauk i prac szkolnych w Ochronie na najbliższy tydzień lub miesiąc, dzieliła się swemi spostrzeżeniami co do postępu i rozwoju poszczególnych wychowanków i wychowanie zakładu i wysłuchiwała bardzo chętnie sprawozdań swych pomocników o zauważonych rysach charakterów dziewczątek i chłopców.

Właśnie tej niedzieli, o której mowa, obliczyła doktorowa z legionistą zapasy żywności zgromadzone na zimę w spiżarni, na strychu i w piwnicach, kiedy u furty odezwał się dzwonek na znak, że ktoś obcy pragnie wejść do zakładu. Była to pani burmistrzowa, kobieta, lubiąca wiele mówić i wiele biegać po różnych domach. Należała ona do "Rady" i uważała za swój obowiązek bodaj raz na miesiąc zajrzeć do pani Budrewiczowej.

Przyszła, przywitała się, odrzuciła zamasyście jeden koniec futrzanej okrywki, omotanej dokoła szyi, i po kilku zapytaniach bez związku i składu przystąpiła do właści-

wej sprawy, z którą, jak się zdawało, głównie przybyła.

— Czy to prawda — zapytała, zwracając oczy na doktorową — że pani przyjęła do zakładu niejakiego Stacha Lubicza, syna rolnika z Rodziejki?

— Tak, przyjęłam — odparła doktorowa spokojnie. — Chłopiec ten jest już u nas prawie od trzech miesięcy.

— Ach!... jakże można było! — zawołała na to burmistrzowa, czerwieniejąc cokolwiek na twarzy. — Pani chyba nie wie, co to za ziółko...

— Zdaje mi się, że wiem. Miał on i ma swoje wady, jak prawie każde z naszych dzieci, ale też posiada pewne cechy dodatnie, które przemawiają za nim i świadczą, że można będzie z niego zrobić zupełnie porządnego człowieka.

— Ach nie!... ach nie! Pani się najzupełniej myli! Toż to parszywa owca, która zapowietrzy cały nasz zakład. Boże! co ja o nim nasłuchałam się od różnych ludzi!... Tego chłopca trzeba jak najszybciej usunąć z zakładu, inaczej popsuje nam całą naszą młodzież.

Doktorowa mocno się strapiła i zawałała. Do Stacha od pierwszego dnia poczuła dziwną słabość, która z biegiem tygodni nie tylko się nie zmniejszyła, lecz przeciwnie coraz bardziej się w jej uczuciu utrwalała. I jakże tu naraz przekreślić wszystkie te swoje spostrzeżenia i myśli i przemienić obraz biały na czarny?

Zacna kobieta, nie znając zarzutów skierowanych przeciw Stachowi, zwiesiła głowę i umilkła bezradna.

Tymczasem legionista, który z boku siedząc, pilnie się wsłuchiwał w oskarżenia burmistrzowej, zabrał głos w zastępstwie doktorowej i przemówił spokojnie, ale stanowczo:

— Bardzo byłbym pani obowiązany, gdybym się dowiedział, kto i o co Staszka oskarża.

— O co?... — zaczerwieniła się znów kobieta — o wszystko złe, mój panie, o wszystko złe, co tylko istnieć może na świecie. Niedarmo rówieśnicy jego w Rodziejce nazwali go "Hultajem", tyle ma on wad i przywar w sobie.

— No... "Hultaj"... nie jest jeszcze takim obelżywym słowem, żeby aż nad niem łamać ręce — odrzekł znów Wiktor. — Cza-



Toż to parszywa owca, która zapowietrzy cały nasz zakład.

sami rozumie się przez nie nawet coś zabawnego i miłego...

— Dziękuję, dziękuję!... — oburzyła się piękna pani i ze zgrozą potrząsała głową, aż grube brylanty w jej uszach zamigotały. — Pan także, jak widzę, nie poznał się na tym cpryszku z pod ciemnej gwiazdy.

— Ależ proszę pani, co on właściwie tak złego zrobił?

— Co?... pan jeszcze pytasz: co?

— Właśnie pytam. Bo ja lubię patrzeć na rzeczy trzeźwo i sprawiedliwie, a sądzić nie wedle tego, co ludzie mówią tylko wedle własnego sumienia. Otóż, jeżeli łaska, prosiłbym o bliższe szczegóły co do winy Stacha Lubieza.

— I owszem, i owszem, mój panie! Pierwszą jego winą jest to, że go rodzony ojciec obić i wypędził z domu. Jeżeli kogoś nawet rodzice ścierpieć w domu nie mogą, to chyba najlepszym jest świadectwem, co takie dziecko warte. Może nie?

— Zapewne, zapewne... Ale ja wiem tak-że, iż czasami macochy nie spełniają swych obowiązków należycie i dokuczają dzieciom z pierwszego małżeństwa. A u Stacha w domu rządzi podobno wszechwładnie macocha...

— Żeby nawet! Uczeń dziecko powinno słuchać tak samo macochy jak i matki. Ale on nikogo słuchać nie umie i nie chce. Był u organisty, bo podobno ładnie śpiewa, i tam doprowadził do tego, że go organista obić i także wypędził z domu. Potem znowu służył we dworze u Kalinowskiego przy tajni, ale i tu wyprawiał takie różne awantury, że go wreszcie znowu obito i wyrzucono. Czyż tego wszystkiego nie dość?! Mój panie łaskawy, przyznaj pan sam: jeżeli chłopca wyrzucają z domu rodzicielskiego i z każdej służby, do której się tylko zgłosi, to czyż ten chłopiec przedstawia materiał na porządnego człowieka? A my przecież w Ochronie musimy dbać o to, by z groźną publiczniego korzystały tylko dzieci porządne i uczeiwe... Słyszałam także dalej, że potem, gdy uciekł od Kalinowskiego, tułał się jakiś czas po okopach, wyuczył się tam jak najgorszych rzeczy i żył tylko z tego, co ukradł.

— W okopach był przy sanitarjuszach i doglądał rannych i chorych.

— To on tak sam o sobie mówi, ale inni co się mu z boku przyglądali, rozповідаją o nim zupełnie coś innego. Zaręczam panu, że żył tylko z tego co ukradł, a jest tak

sprytnym złodziejem, jakich mało. Słyszałam, że staremu Wojtasiewiczowi w oczach ludzi wyciągnął srebrną papierośnicę z kieszeni i zaniósł do karczmy, aby ją przepić!.. Ale nie koniecznie na tem! Jak był u organisty — tu pani Felicja pochyliła głowę i zniżyła głos do tajemniczego szeptu — tak się rozzuchwalił, że wygadywał na Kościół i święte obrazy. Mój panie!... Czyż i tego panu jeszcze za mało?!

Na to po twarzy legjonisty przebiegł płomyk gniewu. Wyprostował się i rzucił nieco ostrzej:

— Proszę pani! Niechaj mi pani powie przynajmniej, od kogo pani wie o tem wszystkim, bo co do starego Wojtasiewicza...

Ale kobieta wpadła w większe jeszcze rozdrażnienie i przerwała Wiktorowi w pół zdania:

— Od kogo wiem, to już moja rzecz... dość, że wiem i dość, że znam całą prawdę — wstała z krzesła i zarzuciła okrywkę na ramię. — Przepraszam, że dłużej o tem mówić nie będę, spieszę się bowiem na posiedzenie "Towarzystwa opieki nad chorym żołnierzem." Zecheicie państwo przyjąć moje słowa do wiadomości i jaknajprędzej zrobić z tym małym bandytą porządek, inaczej musiałabym poruszyć sprawę na Radzie i tam domagać się jego usunięcia. Panu zaś, panie Wiktorze, radzę: niech go pan nie broni, nie osłania, bo doprawdy szkoda czasu i atłasu.

Pożegnała się i odeszła.

Doktorowa mocno posmutniała i na ustach architektka zawiśł równie grymas przygnębienia. Burmistrzowa była wpływową w mieście osobą i ludzie liczyli się z jej zdaniem. Zadrzcć z nią, znaczyło tyle, co narazić się na złe oko opiekunów Ochrony i utracić tę niewielką zresztą pomoc, na którą jeszcze można było liczyć. Z drugiej strony tak doktorowa jak i legjonista czuli, że Stachowi dzieje się krzywda.

— Prawda — mówiła stroskana kobieta — jest on nieraz dokuczliwy, a nawet złośliwy; prawda, iż nie łąsi się, nie pochlebia, a nawet wobec starszych powie czasem coś takiego, że aż się ciepło robi — mimo to, widzę w nim charakter dodatni, z którego da się na pewno urobić dzielna jednostka społeczna.

— Ja go znacznie wyżej cenię, aniżeli wielu innych chłopców — dorzucił Wiktor stanowczo.

— Cóż jednak zrobimy, jeżeli pani Feli-

eja uprze się na "Radzie" i zażąda, aby go usunąć z zakładu?

— Przedewszystkiem chcąc go bronić, musimy zbadać jej zarzuty i przekonać się, ile w nich prawdy. Trzebaby może napisać do Kalinowskiego, do nauczyciela w Rodziejce, do organisty... Niezawsze djabeł taki czarny, jak go malują. Ot, widzi pani co już urosło z żartu, na jaki pozwolił sobie Stach wobec starego Wojtasiewicza. Przecież w naszych oczach oddał papierosnicę, a ludzie doczepili do tego całą historję o zaniesieniu do karczmy... Skarciłem go za ten żart, on zaś wysłuchał mych słów uważnie, i przyrzekł, że więcej czegoś podobnego czynić nie będzie. Czyż ten zarzut pani Felicji można traktować poważnie?

— Ona nawet groziła panu. A to kobieta mściwa — szepnęła doktorowa, patrząc Wiktorowi lekliwie w oczy.

Legjonista ruszył jednak ramionami i uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie bałem się karabinów maszynowych i ciężkich pocisków, nie zleknę się też lekkiego języka pani Felicji. A zechce mścić się? to i cóż nam zrobić może? Najwyżej pozbawi nas skromnych dodatków miejskich... czyż jednak nie będziemy mogli bez nich istnieć i rozwijać się nadal? Niech się pani nie boi: własnymi siłami rozwiniemy gospodarstwo, własnymi siłami powiększymy oddział koszykarski, rozmnożymy pasiekę, a może nawet od wiosny puścimy w ruch cegielnię... lub ją wydzierżawimy... Cóż znaczy wobec tego wszystkiego niechęć lub zła wola pani burmistrzowej Felicji?!

Pod wpływem tych słów doktorowa rozpogodziła swą bladą twarzyczkę i odetchnęła swobodniej.

— Tak, to prawda, — szepnęła — najlepiej nie liczyć na cudzą pomoc i tylko o własnych iść siłach. Pan, panie Wiktorze, dziwnie kojąco wpływasz na moje usposobienie. Coraz mocniej wierzę, że wszystko, co pan powiesz, napewno stać się musi. Dlatego też naszego Stacha Hultaja bronić będziemy co sił starczy, choćby nawet przyszło narażać się na gniew burmistrzowej.

— Ale przedtem, pozwoli pani, że go wybadam dokładnie i przekonam się, iż słusznej bronić będziemy sprawy. Czuję, że nie jest on bez winy, ale też idę o zakład, iż zarzuty pani Felicji znacznie są przesadzone.

— Niech go pan zatem wybada.

— Chce pani być przy tem?

— I owszem, i owszem.

Wiktor podszedł do otwartego okna i chciał przywołać Stacha, ale właśnie w tej chwili ozwał się dzwonek ogrodowy, i przez furtę wkroczyli do zakładu: doktor Karliński i wikary ks. Bandur.

Należeli oni obaj także do Rady opiekunów i odwiedzali czasami Ochronę; nadto Karliński był lekarzem zakładu, szczepił dzieciom ospę i oglądał je, gdy panna Zim-ska przywiodła mu które do wizyty lekarskiej.

Goście weszli do pokoju pań Budrewiczowej. Po wstępnych, powitalnych słowach i grzecznościach przemówił pierwszy doktor Karliński:

— Już dawno wybierałem się do państwa, aby pomówić o pewnej ważnej sprawie, lecz tyle miałem pracy i kłopotów na głowie, że trudno było wywiązać się z postanowienia. Dopiero dziś zesłaliśmy się z księdzem wikarym i ruszyli razem... Oto słyszałem, że do naszej Ochronki został przyjęty syn rolnika z Rodziejki: Stach Lubiez. Jak mi mówiono, chłopak to zły i w najwyższym stopniu zepsuty, który w dodatku umie się łasić i zacierać za sobą ślady swych wykroczeń. Obowiązkiem moim jako członka Rady opiekunów jest zwrócić uwagę łaskawych państwa na tę parszywą owcę i poprosić, abyście ją z zakładu jak najprędzej wydalili, inaczej cała nasza dziatwa może ulec złemu jego wpływowi. Ksiądz wikary, zupełnie niezależnie ode mnie, miał takie same wiadomości o Stachu Lubiezu i również nosił się z zamiarem ostrzec zarząd Ochrony przed grożącym niebezpieczeństwem.

Tu wmieszał się do rozmowy ks. Bandur.

— Tak jest — rzekł — Stach Lubiez powinien być usunięty z zakładu. To bardzo zły i szkodliwy łobuz. Słyszałem, że go ojciec obić i wypędził z domu, że ten sam los spotkał go dalej u organisty i Kalinowskiego, i że wreszcie tułał on się po okopach wojskowych, gdzie jeszcze gorszych nauczył się rzeczy. Jest on zawołanym złodziejem i przez kilka miesięcy żył tylko z tego, co ukradł. A oprócz tego wysmiewa się z rzeczy świętych i bluźni...

Legjonista spojrzał znacząco na doktorową i zauważył:

— Wszystko to opowiedziała panom zapewne pani burmistrzowa Felicja.

— Pani Felicja? — zdziwił się doktor. — Ależ nie. Nigdyśmy z nią o tem nie mówili.

— W takim razie jest ktoś trzeci, który to wszystko o Stachu opowiedział zarówno pani Felicji, jak księdzu wikaremu, jak wreszcie i panu, panie doktorze. A upewnia mnie w tem ta okoliczność, że zarówno w opowiadaniu pani Felicji jak i księdza wikarego powtarzają się te same fakty i obrazy, a nawet te same zwroty, jak naprzykład: “parszywa owca, która zapowietrzy całe stado”. Czy mógłbym zapytać, od kogo panowie mają te o Stachu wiadomości?

— Mnie to mówiła praczka Wojciechowa, która u nas pracuje od lat dwudziestu; ona zaś jest z Rodziejki i zna całą rodzinę Lubiechów doskonale — objaśnił doktor.

— Ja również wiem to wszystko od Wojciechowej. Wydaje mi się jednak, że jest ona kobietą o tyle prawdomówną i bogobojną, iż do jej słów można się odnosić z pewnem zaufaniem — dokończył wikary.

— W takim razie i pani Felicja otrzymała swe wiadomości od Wojciechowej, bo, o ile wiem, ta kobieta pierze także w ich domu — zauważyła pani Budrewiczowa.

— Zdziwiła mnie jednak, dlaczego ta Wojciechowa aż w trzech domach poruszyła tę samą sprawę i to temi samemi słowami; dlaczego tak czarno przedstawiła Stacha Lubiechę właśnie przed trzema członkami Rady opiekuńczej — odrzucił Wiktor. — Wygląda mi to na jakąś intrygę, na jakiś osobisty porachunek między Wojciechową a rodziną Lubiechów...

Nastało krótkie milezenie, podczas którego doktor i wikary, zachwiani nieco w swych przekonaniach, pogrążyli się w myślach. Wreszcie przemówił wikary.

— I to możliwe. Ludzie napozór enotliwi uważają oszczerstwa lub plotkę za coś dozwolonego i nieszkodliwego. Być może, iż Wojciechowa także tym razem przesadziła. Bądź co bądź powinniśmy być ostrożni, albowiem strzeżonego Pan Bóg strzeże...

— Już po słowach pani Felicji postanowiliśmy zbadać rzecz dokładnie, u źródeł, i postąpić tak, jak nam sumienie nakaze — objaśnił Wiktor.

— Właśnie o to chodziło — ozwał się Karliński i dorzucił, zwracając się ku wikaremu: — Zadanie nasze, jak mi się zdaje, na dziś skończone. Możemy zatem iść na słońce póki jeszcze świeci, i wygrzać się w jego promieniach.

Pożegnali się i odeszli.

— Ci przynajmniej stawiają rzecz po obywatelsku: domagają się wyświeatlenia prawdy — przerwał krótkie milezenie Wiktor.

— Powinniśmy ją zaraz zbadać — zauważyła doktorowa. — Stach jest prawdomówny i jeżeli ma jakiś grzech na sumieniu, to z pewnością przyzna się do niego. Niech go pan przywoła tu do nas.

W chwilę potem wezwany przez okna Staszek wbiegł pędem na górę i zatrzymał się we drzwiach. Przypuszczał widocznie, że go legionista użyje do nowej jakiejś posyłki w sprawie Januszka, bo uśmiechał się wesoło, filuternie i już przemysłował o jakimś żarciku, ale pochmurne twarze Wiktora i pani Budrewiczowej zbiły go z tropu. Stał więc w progu, pohamował się i czekał.

— Słuchaj, chłopcze — przemówił Wiktor, patrząc mu bystro w oczy. — Pani burmistrzowa, ks. wikary i doktor Karliński, którzy tu przed chwilą byli, oskarżają cię o różne karygodne przestępstwa i żądają, aby cię wydalić z Ochrony. Wiesz dobrze, że zarówno pani doktorowa jak i ja jesteśmy z ciebie zadowoleni. Chcemy cię bronić! Ażebym jednak ta obrona była skuteczna, musisz nam odpowiedzieć na kilka pytań, ale tak sprawiedliwie i sumiennie jak na świętej spowiedzi, bo tylko wtedy łatwo trafić ludziom do przekonania, gdy się mówi pełną, szczerą prawdę.

Staszek mrugnął oczyma na znak, że rozumie, i czekał na zapytanie:

— Powiedz mi, mój chłopcze, czy prawdą jest, że cię ojciec obić i wygnać z domu?

— Nie, nieprawda.

— A więc jak było?

— Ja kłóciłem się często z macochą. I to prawda, że ona w złości wyrzuciła mnie raz z chaty. Potem ojciec odwiózł mnie do organisty, a gdy się żegnał, to położył mi rękę na głowę i płakał. Ojciec nie bił mnie nigdy, no i nie wypędzał z domu. Macocha biła. Ja też ją raz ugryzłem w rękę, a raz oberwałem jej fartuszek i rzuciłem go na strzechę. I tyle.

— Dobrze. Teraz powiedz mi, czy prawdą jest, że organista obić cię i wypędził?

— Wypędził, ale nie obić, bo ja nie dałbym się obić. Ja panu już mówiłem, że to taki złodziej, co za święte pieśni pokrył sobie dach, a prócz tego dużo jeszcze sprzedaje drzewa, które mu pan Wojtasiewicz dał za te pieśni. On domagał się, żebym go szanował, bo on jest świętą osobą, a ja tylko zapytałem: “od

kiedy?" — Rozłożył się tego dnia i chciał mnie bić. Miał on porcelanową, niemiecką fajkę, na której był wymalowany Szwab w zielonym kapeluszu, z szelkami przez ramiona i w pończochach. Ja zapytałem raz przez żart, co to za święty na jego fajce, bo jeżeli on jest świętą osobą, to i jego fajka powinna być święta. Potem ten stary oszust powiedział przed ojcem, że ja się wyśmiewam ze świętych rzeczy. Ale raz tak mi dokuczył, że mu tę fajkę zdarł z cybucha, cisnął o ziemię i poszedł sobie przez. I tyle.

— Dobrze... A cóż było u Kalinowskiego?

— Nie. Nudna była robota, więc powiedziałem: "bądźcie zdrowi" i poszedłem sobie w świat. Właśnie wtedy zaczęła się wojna. Zatrzymałem się w okopach i byłem tam przy rannych w oddziale doktora Borowińskiego. Tam mi było dobrze... Usługiwałem chorym w szpitalu.

— A potem, gdy zostałeś po tej stronie linii bojowej, z czego żyłeś?

— Z tego, co ludzie dali... bo ja umiem z różnymi ludźmi różnie gadać. A jak nie dostałem nic, to mszedł na pole, wykopywał trochę ziemniaków, piekł i jadł. I tyle.

— Powiedz mi jeszcze, mój chłopce, coś kiedy komu ukradł.

— Nie skradłem naprawdę nic, tylko te jedne ziemniaki. Czy to grzech? Przecież dziś wszyscy biorą z pola: i Rusey, i Szwabi, i każdy, kto chce. Wojna jest, to jest i wojenne prawo. Po ludziach ja nie kradłem; tylko czasem tak udawałem, jak z panem Wojtasiewiczem. Ale niedawno temu postanowiłem, że już nigdy więcej ani nie będę palił, ani nie będę udawał złodzieja, bo jedno i drugie niepotrzebne i żyć bez tego można.

— Jeszcze coś, mój Stachu — znasz ty starą praczkę, Wojciechową, z Rodziejki?

— Ho, ho!... Jeszczeby jej nie znał!

— Co nam możesz o niej powiedzieć?

— Stara to jędza, zupełnie taka jak moja macocha.

— Czy ona żyła w zgodzie z twoim ojcem, czy nie ma do ciebie jakiego żalu?

— Z ojcem?... Nie nie słyszałem, żeby się z nim kiedy wadziła. A co do mnie, to tylko tyle pamiętam, że raz na ulicy pokazał język i zagrał na nosie... Na tem koniec. Ale ja mam na nią coś, tylko narazie nie jeszcze nie mówię. Wpierw muszę wszystko dokładnie obejrzeć abym nie skłamał.

— Cóż to masz takiego, mów śmiało.

Stach potrząsł głową.

— Nie, nie powiem. bo, jeszcze nie pora. Ale jeśli to ona tak na mnie naszkarzyła, to naprawdę nie wiem czemu!... Czego ona ode mnie chce?... Chyba... chyba... że to matka Frani kazała mnie osmarować przed księdzem i doktorem. Przecież one obie żyją ze sobą jak rodzone siostry. No, no... niech będzie. Jeszcze trochę, a pokaże się, kto będzie na wierzchu!

Słowa te zastanowiły legionistę.

— Wie pani — rzekł on, zwracając się do doktorowej. — Możliwie, żeśmy doszli po nitce do kłębka — potem odwrócił się do Stacha — dziękuję ci, chłopce! wiem już wszystko, com chciał wiedzieć.

Stach uklonił się zamaszystym szurnięciem nóg i odszedł.

Za drzwiami już czekali na niego chłopcy.

— Co to było, Stachu, co to było? — pytali.

— Ot, nie — rzucił wesoło Hultaj. — Pani burmistrzowa, ksiądz wikary i doktor chcą mnie wylać z Ochrony...

— Dlaczego, dlaczego?

— Czy ja wiem, dlaczego?!

— Nie bój się, — zawołał na to wzruszony do głębi Sewerek. — Jak ty, to i my!... Zobaczysz!

XI.

Kto na wierzchu?

Na rozkaz doktorowej pojechał Jędrzej po drzewo do lasu, Ochrona bowiem przystępowała do wypalania cegieł. Trzeba się było spieszyć, bo lada dzień mogły być nadejść śniegi, legionista zaś doradzał, żeby z tą robotą uporać się przed nastaniem dni dżdżystych i chłodnych. Na szczęście, pierwsza połowa października była jeszcze tak ładna, jakby nowa zaczynała się wiosna. Mimo to legionista pędził ze zwózką opatu, i aby sprawnie całą robotą zarządzić, wysłał sześciu chłopaków do lasu, jako nakładaczy drzewa na furę. W tej gromadce znajdował się oczywiście i Stach Hultaj. Cała szóstka poszła na przełaj do lasu piechotą, Jędrzej bowiem musiał po drodze odwiedzić zboże do młyna. Tu chłopcy zastali już gajowego, który im wskazał wyznaczone dla Ochronki stopy. Aby sobie ułatwić pracę, zabrali się raźnie do noszenia polan z krzewiastych zarosli na leśną dróżynę, tak, żeby jak najprę-

dziej móc wypełnić niemi wóz i ułatwić sobie dwukrotną jazdę tam i zpowrotem w ciągu dnia jednego. Jędrzej atoli nie spieszył się; w złym był humorze i marudził. Stał jakiś czas i pykał obojętnie fajeczkę, potem długo i szeroko wymyślał koniom, potrącając je ramieniem i bijąc pięścią po karku i zębach. To się nie podobało Stachowi, więc mruknął półgłosem do Sewerka, ale tak, żeby go stary usłyszał:

— Coś nasz Jędrzej wstał dzisiaj lewą nogą z łóżka, bo tak zły, że chyba powytrąca koniom wszystkie zęby.

Jędrzej łypnął ku niemu złem spojrzeniem i zawołał gniewnie:

— Stul tam gębę, ty osłe jeden, jeżeli nie cheesz, abym się dobrał i do twoich zębów!

Stachowi buchnęła krew do głowy. Z Jędrzejem i jego rodziną miał on oddawna swoje porachunki, czekał tylko okazji, żeby je wyrównać.

— Ejże! doprawdy? — zawołał i zaciągnął zezem. — To wy aż tacy jesteście, panie Jędrzeju?... No, no, ktoby się spodziewał! Tylko zapomnieliście, że biedna szkapa gadać nie umie, więc się przed nikim nie poskarży; ja zaś nie szkapa i gadać umiem, a u nas w Ochronie bić dzieci nie wolno. Ktoby zaś o tem zapomniał, mógłby sam wyjechać z zakładu jak czarownica na łopacie kominem...

Na to Jędrzej chwycił za bat, odwinał się i tak śmignął po nogach chłopca, że aż ramię okręcił mu się koło kostek.

Stach podskoczył, jęknął, poczem błyskawicznie uchwycił obu rękami za koniec bieżyska, wyszarpnął je chłopu z ręki, silnym ruchem przełamał drewnienko na kilka części i te drzazgi cisnął w oczy Jędrzejowi.

— Ty łajdaku! — wrzasnął woźnica i puścił się za chłopcem w pogoń.

Ale teraz lekki, sprytny Hultaj był już górą. Podskakując przed nim jak tanecznica, grał wciąż palcami na nosie, a dogadywał, wyśmiewając jego niedźwiedzie ruchy:

— A jakże, a jakże! W sam raz wybrałście się ze mną na oberka. A no, spróbujcie trochę prędzej... a no, a no!... jeszcze prędzej, jeszcze prędzej! Ja zaczekam, ja mam czas...

Jędrzej zasapał się i ustał. Tak stracił oddech, że nawet mówić nie mógł, więc tylko dysząc i łykając ślinę, pogroził mu pięścią, zatoczył się na jakimś pieńku i wró-

cił do koni. Stach złożył mu z oddali niski ukłon słomianym kapeluszem:

— Do widzenia, panie Jędrzeju, do widzenia! Pogadamy ze sobą dziś u pani doktorowej! Do widzenia! A uważajcie, żebyście się nie przewrócili... Tu las, nie orne pole, i radlić go nosem nie potrzeba.

Wrócił do Ochrony, a że popołudniowa lekeja panny Zimskiej już się skończyła i dzieci były wolne, więc wydobyl z kuferka książeczkę z historyczkami opowiadaniem, usiadł przy oknie i począł spokojnie czytać.

Tymczasem nadjechał Jędrzej z lasu. Ledwie wyprzągł konie i zawiódł je do stajni, udał się zaraz na górę do doktorowej. Tu zastał także pannę Zimską i Wiktora. Powiódł po wszystkich oczyma, odchrząknął i rzekł:

— Przychodzę do państwa na Staszka Lubicza ze skargą. Ten gałgan, szubrawiec połamał mi bat na drobne kawałki i patykami cisnął mi w głowę. Mnie, staremu człowiekowi połamał bat i cisnął patykami w głowę. Czy słyszał kto coś podobnego? Jak żyję, jeszcze takiego łajdaka nie widział! To też skarzę się przed państwem na tego zójja, opryszka, na tę parszywą owcę, co tylko zapowietrza całą Ochronkę, i powiadam: Albo on, albo ja!

Legjonista spojrział na doktorową zukosa i szepnął:

— Chwała Bogu! Znowu mamy "parszywą owcę" — podszedł do okna, przywołał Liczykrupę i posłał go po Stacha.

W chwilę potem nadbiegł Stach i stanął spokojnie przy drzwiach, jak na rozkazie wojskowym.

— Pocoś ty połamał Jędrzejowi bat i rzucił kawałkami na niego? — zapytał ostro Wiktor.

— A poco on zwlekał z robotą, żeby dwa razy nie obrócić do wieczora? Poco bił konie po zębach, aż biedne zwierzęta skakały w bok? Poco wreszcie mnie śmignął batem po nogach, aż do tej chwili mam czerwone pręgi... O, proszę! Niech państwo popatrzą... Tu koło kostek, są czerwone znaki...

Mówiąc to, Stach podniósł bosą nogę w górę i rzeczywiście wskazał palcem na czerwoną pręgę.

Teraz legjonista zwrócił się do woźnicy.

— Jędrzeju, co to znaczy?

Stary zmieszał się nieco, ale zaraz przyszedł do siebie i odpowiedział butnie:

— Prawda, uderzyłem go, bom musiał go skarcić. Z tym łotrem nikt już w zakła-

dzie wytrzymać nie może. Dla niego niema żadnej świętości na świecie. Wszystkim dokuczy, wszystkim nawymyśla i wyśmiej się ze wszystkiego, nawet ze swoich przełożonych, nawet ze świętych rzeczy. A jakim jest sprytnym złodziejem, to już wszyscy wiedzą. Dlatego ja żądam sprawiedliwości i powiadam: albo ja, albo on!

Przy wzmiance o "złodzieju" Stach poczerwieniał jak wiśnia i wykrzyknął, błyskając oczyma:

— Ja jestem złodziejem, ja?... Nieprawda!... Nie ja jestem złodziejem, tylko wy!... Wy jesteście złodziejem i cała wasza rodzina... bo oddawna we trójkę okradacie Ochronę, okradacie bez sumienia biedne sieroty...

Jędrzej wykonał kilka ruchów rozpaczliwych rękami, jakby chciał pochwycić za drąg albo krzesło, potem nagle poskoczył naprzód, porwał chłopca za koszulę pod szyję i począł nim uderzać jak workiem o mur, że aż od uderzeń chłopięcej głowy zadudniała ściana.

— Stój!... — krzyknął na to legionista głosem krótkim, dobitnym, jakby wydawał wojskową komendę; równocześnie laska jego mignęła jak błyskawice w powietrzu i opadła na rękę Jędrzeja.

Pod tym ciosem chłop wypuścił malea z żyłastych uścisków, pochylił się naprzód, opuścił niby goryl oba ramiona i zmierzył legionistę wściekłym spojrzeniem. Zdawało się, że lada chwila rzuci się na inwalidę, przewróci go i pocnie deptać po ziemi ciężkimi buciskami. Wiktor jednak zmierzył go swemi ogromnemi jak dwie płomienne gwiazdy oczyma i utrzymał na uwięzi.

Jędrzej nie odważył się postąpić kroku naprzód, ale wewnątrz kipiał z wściekłości, żuł w ustach ślinę i syczał przez zęby:

— To on ośmielił się nazwać nas złodziejami, a pan... zamiast nas bronić, pan rzuca się jeszcze na mnie z kijem?... co?... na mnie starego rzuca się pan z kijem?

Na to Stach przyskoczył bliżej i nie zważając na poprzedni atak niedźwiedzia, cisnął mu prosto w oczy:

— Tak jest!... Wy jesteście złodziejem, wy, wasza żona i wasza córka! Wszyscy okradacie oddawna Ochronę i jużescie nas skrzywdzili, o ile ja wiem, na kilkaset rubli...

Tu zwrócił się do doktorowej i śmiało oskarżał dalej:

— Proszę pani, ten człowiek od kilku miesięcy liczył pani po dwadzieścia kilka rubli za pud owsa, a sam płacił u Mendla Marszałika po szesnaście, a potem po ośmnaście. Ja tam byłem i pytałem. Marszałik przecież żyje i może zaświadczyć. Nigdy nie brał on więcej nad ośmnaście, a proszę... niech pani popatrzy do rachunków, to pokaże się zaraz, co tam sprawiedliwy Jędrzej naśpiewał. Ale to jeszcze niewszystko. Żona jego i córka żyją w największej przyjaźni z tą starą wiedźmą Wojciechową, do której prawie codziennie idzie połowa omasty, co ją pani doktorowa przeznacza na żywność dla dzieci; ile zaś woreczków mąki, kaszy i cukru poszło nocą do Wojciechowej, to jeden tylko Pan Bóg policzy. One to chyba obie sprzedają do spółki gdzieś po sklepach i dzielą się zyskami, bo sama praczka wszystkiego zjeśćby nie mogła. Ja już oddawna zauważyłem, że tu się coś złego dzieje i koło dwunastej w nocy wybiegałem nieraz na ogród, aby patrzeć z za krzaków. Zawsze o tym czasie albo przychodziła stara Wojciechowa i stawiała za parkanem, koło stajni, a Jędrzejowa wynosiła jej różne zapasy pod fartuszkami, albo też Franka goniła z woreczkami na miasto... Czasami chodził sam ojciec! Wszystko to, co mówię — święta prawda! Ja zrazu nie chciałem skarżyć, bom myślał, że mi się przywidziało... wolałem czekać i przekonać się dokładnie, ale teraz niema co już dłużej milczeć. Niech państwo zawołają Marszałika na świadka i zapytają wedle owsa, a zaraz pokaże się, po czyjej stronie prawda! Jeżeli ja skłamał, — dobrze, nie powiem ani słowa i pójdę sobie w świat; — jeżeli jednak oni krzywdzą Ochronę, to niech oni idą stąd precz, bo bezdomnych sierot i naszej dobrej opieki krzywdzić nie można!

Doktorowa, panna Zimska i Wiktor byli tem odkryciem wprost zdumieni. Zwłaszcza biedna pani Budrewiczowa, która w każdym człowieku dopatrywała się tylko dobrych stron jego charakteru, nie mogła pojąć, aby tuż obok niej żyli tak potworni ludzie, ci ludzie, którym tyle dobrego wyświadczyła i których takim darzyła zaufaniem. Leez, i Jędrzej popadł także w jakieś zdumienie, graniczące niemal z odrętwiałością. Wykonał kilka niepewnych ruchów, postukał w prawo i lewo ciężkimi buciskami i wreszcie

bąknął pod nosem, nie patrząc nikomu w oczy:

— E, widzę ja, że się tu żadnej nie doczekam sprawiedliwości!

Strzepnął rękami, odwrócił się, westchnął i wyszedł.

— Piękna historia!... — szepnęła teraz doktorowa, bębniąc palcami po stole. — Ktoby się był spodziewał!

— Ta Frania..., ta Frania! — dorzuciła panna Zimska.

— Takie to już potworne czasy — zauważył napozór obojętnie legjonista. — Szatan rozpętał swe skrzydła i hula po ziemi. Każdy odarłby drugiego ze skóry, aby tylko sam mógł przeżyć dzień jeden. Tylko mały odłam ludzi wielkiego serca wzdycha i cierpi... W nich to uderza cała fala zła i ludzkiej brzydoty.

— Ale kiedyś przecież będzie lepiej! — zauważyła ze smutkiem doktorowa. — Powiedz pan, że tak — bo inaczej ciężko żyć. „Ludzie czy szakale?”... jak powiedział Grottgger.

— Nie wątpię, że po burzy oczyści się powietrze, lecz na to jeszcze jakiś czas poczekamy. Co zaś do tych ludzi, to rozmówię się sam z nimi i dam im jutro odprawę. Bo jeżeli...

Nie dokończył, gdyż z korytarzyka ozwało się silne pukanie, połączone z odgłosami licznych nóg dziecięcych.

— Proszę! — zawołał Wiktor.

Do pokoju weszli: Sewerek i Głodomór. Za nimi, gdy się drzwi rozchyliły, widać było liczne główki dziecięce o twarzach zaciekawionych, ale zarazem okraszonych jakąś poważną obawą.

— Proszę pani — przemówił Sewerek. — My słyszeli, że Staszek ma być wydalony z zakładu. Ale Staszek Lubiez, to dobry kolega i my go bardzo kochamy. Więc my wszyscy zeszli się na podwórze, pod dębem i uradzili, aby się z nim wstawić i prosić, żeby on z nami został. Wszyscy głosowaliśmy za tą prośbą z wyjątkiem jednej Franki, która ze Stachem jest w niezgodzie.

Głodomór odsapnął i przemówił swoim silnym głosem o nosowych dźwiękach:

— Tak jest! Staszek to bardzo dobry chłop i zany kolega. On się już nieraz podzielił ze mną swoim jedzeniem. A jak kogo bije, to zawsze wtedy, kiedy bić trzeba, i nikt się na niego za to nie gniewa. Mówię sprawiedliwie.

— Więc wy chcecie, aby on został? — zapytała doktorowa, uśmiechając się nieznacznie.

— Cheemy!

— I ja chcę także — odrzekła pani Budrewiczowa.

— I ja! — dodał legjonista.

— Ja także głosuję z wami — dorzuciła panna Zimska.

— W takim razie wszyscy chcemy, aby Staszek został — dokończyła doktorowa — przeto Staszek zostanie. Natomiast opuści nasz zakład Frania i jej rodzice.

— Oj, to, to! — podchwycił z zadowoleniem Głodomór.

Chłopcy szurnęli nogami i odeszli mocno uradowani. Wkrótce potem ozwały się w korytarzyku liczne głosiki chłopięce i dziewczęce:

— Hurra! Chodźmy do Stacha, chodźmy do Stacha!... Ha, ha, ha, ha!

— — — — —

Nazajutrz, gdy Wiktor po śniadaniu zszedł na dół, aby rozprawić się z Jędrzejem i jego rodziną, dano mu na podwórze znać, że zająca szajka opuściła do świtu zakład i udała się na dworzec, gdzie wsiadła do pociągu, idącego w kierunku Warszawy.

— Tem lepiej!... — zauważyła doktorowa, wychodząc także na ganek — mniej będzie kłopotu.

— Właściwie takie jednostki powinno się ścigać sądownie — zaprzeczył Wiktor. — Złe chwasty trzeba wyrwać z korzeniami, inaczej rola nigdy nie będzie rodziła, jak się patrzy. Dziś krzywdzili nas, jutro krzywdzić będą kogoś innego. Temu trzeba raz położyć koniec.

— A wie pan, dokąd odjechali?... wie pan, gdzie ich szukać?

— To rzecz sądu, nie moja. Ja spełnię swój obowiązek i wniosę oskarżenie, choćby tylko dla samej zasady.

— Jak pan uważa. Narazie jednak będziemy mieli sporo kłopotu, bo jednego dnia ubył nam woźnica, ubyla kucharka i ubyla szatna.

— Bagatela! — podchwycił Wiktor — złe zaraz naprawimy.

Uderzył w dłonie:

— Hej! Baczność! dzieciaki! Ano: do szeregu! Formuj się...

Z różnych stron ogrodu zleciała się dzieciarnia i ustawiła w szeregu: po prawicy stanęli chłopcy, po lewicy dziewczęta

— Słyszeliście, co się stało: brak nam chwilowo kucharki, woźnicy i szatnej. A więc pytam: na ten krótki czas, póki nie znajdziemy kogoś starszego, kto z was zajmie się kuchnią?

— Ja!

— Ja!

Były to Michasia Palisówna i Wiktusia.

— Dobrze! Wy obejmiecie kuchnię.

— I ja także! — zamruczał z boku przez nos Głodomór.

Wszyscy w śmiech.

— Każdy, tylko nie ty, — przerwał mu Wiktor, śmiejąc się także. — A teraz pytam dalej: kto się zgłasza do koni?

— Ja! — krzyknął Stach Hultaj. — I przysięgam, że dziś jeszcze obrócę trzy razy z drzewem, a koniom krzywdy nie zrobię.

— Zgoda!... ruszaj! — zakomenderował legjonista.

Na to Stach huknął także po wojskowemu:

— Moja piątka, baczność! Za mną do lasu, marsz!

— Co zaś do szatni, — odezwała się z boku panna Zimska, — to tę ja właściwie prowadziłam, a tylko czasami wyręczałam się Franką. Odtąd jednak prowadzić będę sama.

— W takim razie sprawa załatwiona. Zatem dzieci: do koszykarni, a żwawo, bo po południu zaczynamy wypalać cegły.

XII.

Ostatnie prace w cegielni. —Nadejście zimy.

Surowe cegły ustawiono w piecu, w kilku komorach, szachownicowo, tak, aby między nimi płomień swobodnie przechodził; wypełniono palenisko sosnowymi polanami i podłożono ogień.

Czynności tej przyglądała się cała Ochrona i cieszyła widokiem kończącej się jednej, wielkiej pracy. Wszyscy, jak tu stali, złożyli coś w daninie ze swych sił dziecięcych: to miesili glinę nóżkami, to odrywali ją rydlami od gliniastej ściany, to urabiali w formach cegły, to wreszcie przenosili je z miejsca na miejsce. I oto teraz zbliżają się do końca. Jeszcze dwa, trzy dni cierpliwości, i stos czerwonych cegieł stanie równiutko pod szopą. Kto się tego spodziewał!... Wszystko zrobili sami!...

— Oby tylko ładnie się wypaliły — szepeczą dziewczątka.

— Czemu nie mają się wypalić? — odpowiada ktoś z boku.

— Jutro zobaczymy!

Wtem od Wisły nadlatuje głośnie trzaskanie z bata. To Hultaj wiezie pierwszą furę drzewa. Stojąc, powozi doskonale, jak stary, tylko może trochę zanadto emoka ustami i koniom własnymi łokciami pomaga, jakby rozmachiwał się do lotu.

— Hej, z drogi fam! — woła wyniośle — nie widzisz, kto jedzie?

Z wysokiego komina, który od kilku lat stał martwy, rozwija się znowu pas dymu, niby długa a wąska chorągiew; w ognisku trzeszczą wesoło smolne szczapy, aż serce rośnie... Toż to będą ładne cegły! A potem... a potem, na wiosnę, gdy słońko znowu zaświeci, dziatwa własnymi rękami z tych cegieł wystawi sobie szkołę... piękną, czarną szkołę z jasnymi oknami, na dwie, albo trzy klasy, z przestronną pracownią koszykarską i warsztatem stolarskim, i oddziałem ślusarskim, i oddziałem szewskim. Tak rozpowiadają sobie dzieci, zapatrzone w wielki, czerwony płomień ogniska.

— Będzie tam także szwalnia! — dodaje Wiktusia z boku.

— O! widzicie ją! — woła Lisowski — ona musiała zaraz wyjechać ze swą babską robotą!

— A bo pewnie! Jak podrzesz majtki na drzewie, to kto ci załatwi, co? — odcina się Wiktusia rezolutnie.

— No i trzeba przecież szyć bieliznę dla was, smyków zatraconych — popiera ją Michasia. — Inaczej chodzilibyście czarni jak kominiarze i ocierali nosy w podarte rękawy, albo stłizelali z nich jak z procy.

— Lepiej ocierać w fartuszki, niż w rękawy — dorzuca z przekąsem Sewerek.

— Idź! — oburzają się dziewczęta. — Tylko wy, dzieci ludzie, strzelacie z nosów, zatkawszy jedną dziurkę palcem. My zawsze nosimy chusteczki w kieszeni, jak pani doktorowa nakazała — a wasze chusteczki gdzie? ha?... Jużście dawno pogubili! I taki sobie jeden powiada, że jemu szwalnia niepotrzebna, że szwalnia to babska robota!... O! Widzicie go!

Liczykrupa, który wciąż nad czymś prze-myślał, uśmiecha się sam do siebie i mówi, mrugając jednym okiem.

— A na szkole musi być mała wieżyczka z dzwonkiem.

— Poco ci wieżyczka i dzwonek? Przecie

my tu wszyscy razem, a dzwonek potrzebny tylko na wsi, gdzie dzieci nie mają zegarów i nie wiedzą, kiedy iść do szkoły — tłumaczy Kasia.

— Nie nie szkodzi! — broni się Liczykrupa — przecież i tutaj dzwonią nam na śniadanie, na obiad i po każdej godzinie. Poco kołatać pani doktorowej pod oknami, kiedy dzwonek powinien być w wieżyczce na szkole.

— Prawda, prawda — przytakują inni. — Na szkole musi być wieżyczka i musi być dzwonek...

— A dzwonnikiem będę ja! — dodaje zachwycony Liczykrupa. — Ja już sobie obmyśliłem, ile razy uderzę po każdej godzinie, ile razy uderzę na śniadanie, ile razy do kościoła, ile razy do kąpieli, ile razy do zmiany bielizny, ile razy...

— Ile razy do bicia w skórę — dodaje poważnie Stach Hultaj, oparłszy się obu rękami na patyku, do którego przyczepił kawałek białego sznurka. Ma to mu wyobrażać batóg, bez którego przecież woźnica istnieć nie może.

Liczykrupa nie zważał jednak na złośliwą uwagę Stacha i mówił dalej:

— Mój dzwonek wszystko wam od razu opowie, jakby był mądrym człowiekiem, tylko trzeba słuchać i liczyć. Bo ja będę grał różnie: raz prędko, raz powoli, niby ten telegrafista, co siedzi na pocztę. Zobaczycie, jak to będzie pięknie i wesoło.

— O, wa! — ruszyła ustami z lekceważeniem Wiktusia.

Wtem przykuła do gromadki legjonista.

— No i jakże tam? — zapytał, wpatrując się w ognisko.

— Pali się dobrze! — odrzekł ktoś z boku.

— Niechże się pali tak jak teraz! Ty, Lisowski będziesz naszym palaczem, doglądaj ognia i dorzucaj polan, wy zaś — tu Wiktor przygarnął do siebie Sewerka, Głodomora i Domaniewskiego — pójdziecie ze mną na górę, do ogrodu. Będziemy tam kopali jamę pod wapno.

— To gasimy wapno jeszcze przed zimą? — zapytał Sewerek.

— Tak jest, przed zimą. Może nawet jutro albo pojutrze, bo wapno taką ma naturę, że tem lepiej trzyma, im się dłużej wystoi ugaszone w ziemi.

— Szkoda, że ja muszę do lasu — zauważył Stach z westchnieniem — inaczej zarazbym kopął dół na wapno.

— Tamto także bardzo ważne — pocieszył go nauczyciel, odchodząc ze swą trójką ku domowi.

Po wypaleniu pierwszej komory i ostudzeniu paleniska zabrały się dzieci nazajutrz do wydobywania cegieł z pieca i znoszenia ich pod szopę.

Jakże wielką była ich radość, gdy po kilku godzinach pracy, obok żółtych surówek ukazał się pod dachem pierwszy blok twardych, wiśniowych cegieł.

Dzieci wynosząc je z pieca, pukały zgłębami paluszkami w czerwoną powłokę i cieszyły się:

— Gra!

— A jakże: gra! Prawdziwa zendrówka!

Co to znaczy "zendrówka" w języku murarzy wytłumaczył im już poprzednio Wiktor.

Jednocześnie na górze wykopali chłopcy jamę, tuż obok studni, niedaleko tego miejsca w ogrodzie, gdzie to miała stanąć z wiosną szkoła, zaś majster Kolankiewicz zbił ze starych desek skrzynię z zastawką do gaszenia wapna, małą budkę z daszkiem do okrycia wapna na wypadek słoły i korytko, łączące studnię z wapniarką.

— Teraz, moi chłopcy — zauważył Wiktor — czeka nas ostra robota. Musimy gasić wapno dzień i noc, aby się w wilgotnem powietrzu nie rozlało. Kto zatem zgłasza się do roboty dziennej, a kto do nocnej?

Dziwna rzecz, niemal wszyscy chłopcy chcieli pracować w noey. Bo co to w dzień! Ot, zwykła robota. Ale w noey!... w noey!... przy migającej latarni!... zupełnie, a zupełnie co innego...

Stach tak gorąco prosił legjonistę, aby mu pozwolił gasić wapno w noey, że ten zgodził się wreszcie, aczkolwiek żałował straconego dnia zwózki.

— Nie tracimy nie!... zobaczy pan, nie stracimy nie — zaręczał Stach. — Ja do rana będę gasił wapno, a rano, skoro świt, pojedę do lasu po drzewo.

— Jakto?... A kiedy się wypisiz?

— Jutro w noey.

— Chciałbyś zatem dwa dni i jedną noc ciągnąć bez odpoczynku?

— O, jej... Czy to dla mnie nowina?... Przecież niejedną noc przesiedziałem w okopach nad chorymi, a potem cały dzień robiłem co innego. Niby to pan nie był sam w wojsku? Mus, to mus i już!

— Prawda! — uśmiechnął się Wiktor

ty przecież wojskowy. Więc zostań przy wapnie na noc, skoro chcesz tak bardzo. Jeżeli zaś będziesz zmęczony, to jutro przerwiesz zwózkę albo dasz konie Sewerkowi.

— Ja nie dam moich koni nikomu! — zawołał Stach i rozkrzyżował ręce, jakby chciał zastronić koniętą własną osobą.

— Nie, to nie! — uśmiechnął się znów legionista i poszedł do miasta zamówić wapno.

Na szczęście Ochrona w tych dniach otrzymała z Krakowa znaczne zamówienie na koszyki wojskowe wraz z pewną zaliczką pieniężną i z należnością za dawne prace. Architekt mógł przeto bez ciężkich wyrzutów sumienia poprosić doktorowej o trochę grosza na zakup wapna. W dodatku postanowił, gdyby brakło, zastawić swój srebrny zegarek i dołączyć uzyskaną kwotę do pieniędzy pani Budrewiczowej. Dzięki takiemu rozwiązaniu sprawy w godzinę potem wapno było już w budce złożone.

— A teraz słuchajcie! — objaśniał Wiktor Ochronę, która znów niemal w całości zebrała się przed wapniarką. Najpierw napuszcza się albo nalewa wody do skrzynki... Hej tam, Sewerek, pompuj!

Sewerek z Domaniewskim uczepili się chwacko pompy i zaczęli rytmicznie przysiadąć i podskakiwać; w ślad za tem pełna fala wody, tocząc się po korytku, wpadała do skrzynki z szumem.

— Dość! — rozkazał wkrótce potem legionista. — Teraz dwóch z was staje do nabierania i wrzucania wapna, a dwu do mieszania. Gdy zaś ta pierwsza czwórka zmęczy się, na ich miejsce wstąpi druga. I tak na przemian praca będzie szła dalej i dalej.

Stosownie do tego rozkazu, Liczykrupa i Głodomór zanurzyli łopaty w bryłkach wapna i cisnęli pierwszą warstwicę w wodę.

— Pszszsz... — zasyczały białe bryłki, jakby je kto gotował we wrzątku, i zwojna poczęła rozpyływać się w mleczną masę.

— Teraz wy, gracarze do roboty!... mieszajcie żwawo raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa — tłumaczył dalej Wiktor, pokazując własnoręcznie, jak się to robi.

— Niewielka sztuka! — zauważyła Wiktusia. — Jabym to zaraz potrafiła.

— A któż ci mówił, że to sztuka? — zapytał Wiktor, uśmiechając się nieznacznie.

I rzeczywiście!... Wszystko to nie jest sztuką, tylko trzeba nieco dobrej woli, ocho-

ty do pracy i tej świętej gwiazdy, która całe życie pewnym ludziom przyświeca, jak trzem mędrocom biblijnym, gdy spieszyli do Betlejem — tej jasnej, świętej gwiazdy, którą nazwano "ideę."

Do tygodnia wszystkie cegły były pięknie wypalone i stały w równych rzędach pod szopą, na zimową drzemkę, również obszerna jama, wypełniona wapnem, zapadła w kilkomiesięczny sen. Robotę całą ukończyły dzieci akurat w sam czas, bo na drugi dzień po zakryciu wapna warstwicą piasku, nastał ostry, zimny wieher i naniósł pierwsze w tym roku płaty śniegu.

Zima już się zbliżała.

I teraz to dopiero zająca doktorowa rozumiała w całej pełni, jak ciężkiego podjęła się zadania, zwłaszcza wobec szczupłych środków pieniężnych, któremi rozporządzała.

Najgorzej jednak było z koszykarnią i klasami na naukę. Bo i jakże tu pracować w chłodnej szopie podczas ostrej zimy, jak uczyć pod dębem w silny mróz, na dworze? Jedyne jeszcze rozwiązaniem sprawy było: ściągnąć dzieci do pokoiów, przeznaczonych na sypialnie, i tu wyznaczyć zarówno koszykarską pracownię jak i klasy szkolne. Lecz jakże w takiej ciasnocie między łózkami pleść maty i kosze, jak uczyć, jak wreszcie zgromadzić całą klasę w jednym pokoiku? Gryzła się tedy biedna kobieta od kilku tygodni i co rana po obudzeniu się spoglądała z trwogą w okno, czy jeszcze na dworze nie pada. Wreszcie nadszedł dzień, w którym trzeba było sobie powiedzieć:

— No! Stało się, co się stać musiało!... Śnieg już nadchodził. W ślad za tem wydała kobieta rozkaz:

— Od dzisiaj dzieci zostają w swych pokojkach i tu plotą koszyki, tu odbywają swą naukę.

Była jednak smutna i przygnębiona. Powtarzała sobie w duchu na pocieszenie:

— Oby tylko przetrwać tę zimę... tę jedną! Na przyszłość czuję, że będzie lepiej... musi być lepiej! Od czegoż jest Wiktor, od czegoż wymyślił budowę szkoły własnymi siłami i od czegoż zabrał się do tej pracy tak cicho!

Zacna, ofiarna, ale niebardzo obyta z twardem życiem i nie pod każdym względem zaradna kobieta patrzyła teraz w legjonistę jak w święty obraz i wierzyła z każdym dniem coraz głębiej, że przy jego po-

mocy Ochronka nie upadnie; sama sobie zostawiona, możeby była opuściła ręce.

Nie przypuszczała jednak pani Budrewiczowa, że ten dzielny oficer bez nogi już nawet w tym roku wymyśli coś takiego, co jej usunie najprzykrzejszą troskę z głowy. Oto, gdy nadeszły pierwsze śniegi i doktorowa wywnętrzyła się przed nim ze swych obaw i kłopotów, Wiktor uśmiechnął się ciepło, serdecznie, wesoło i zauważył:

— Pamiętałem o zimie, tak jak i pani, i obmyśliłem coś takiego, co złemu zaradzi.

— Mów pan, na miły Bóg... mów pan — zawołała doktorowa, podnosząc na niego oczy, pełne wdzięcznej ciekawości.

— Zna pani przecież sposób urządzania sypialni w kajutach okrętowych i kolejowych wagonach?

— No?...

— Rzecz zupełnie prosta. Aby lepiej wyzyskać nieznaczną przestrzeń, stawia się łóżka nie obok siebie, tylko jedno nad drugim...

— Więc?...

— To samo zrobimy i u nas: każemy Kolankiewiczowi pozbijać deski w kształcie rusztowań, tak, aby można było na nich umieścić jedno łóżko nad drugim. Obecnie zajmują dzieciaki pięć pokoiów na sypialnie. Jeżeli urządzimy piętrowe łóżka z drabinkami do włożenia na górę, to wszystkich chłopców pomieścimy w jednym pokoju, a wszystkie dziewczęta w drugim; otrzymamy zaś w zysku: dwa większe pokoje i jedną komórkę. Jeden z tych pokoiów przeznaczy się na koszykarnię, drugi na klasę wyższą, zaś trzeci — trzeci zostałby na klasę dla malec. Ale to pokój za mały. Dlatego ja się przeniosę z mego większego pokoju do tej komórki, zaś mój oddam na klasę. Tym sposobem narazie wszystkie braki dadzą się szczęśliwie usunąć. Prawda, że sypialnie będą cokolwiek za ciasne i niebardzo zdrowe pod względem świeżości powietrza — ale to trudno: od tego mamy wojnę. Będziemy zresztą bardzo pilnie wietrzyć te pokoje, oprócz tego często wypędzać naszą dziatwę na dłuższe przechadzki po świeżem powietrzu. I da Bóg, jakoś szczęśliwie przetrwamy zimę. Zobaczy pani! A po roku będzie inaczej...

Doktorowa klasnęła w dłonie, mocno uradowana:

— Ależ to cudowne! Nigdybym nie była wpadła na coś podobnego!...

Jednak wkrótce potem posmutniała nieco: — Tylko te piętra, te piętra!... ileż to desek trzeba nam będzie na ich sporządzenie!

— I o tem już pomyślałem. Rozbierze się jedną wewnętrzną ścianę w stajni, która tam stoi bezecełowo, poprzecina się odpowiednio deski i zdobędzie się potrzebny materiał.

— Więc nie trzeba będzie na to żadnych pieniędzy? — zawołała doktorowa, rozpromieniając twarz na nowo.

— Odrobinę na gwoździe. Nie więcej.

— Ach to doskonale! Nie wiem nawet, jak panu dziękować!

— Radość pani jest dla mnie najmiłszem podziękowaniem...

— Jutro wydam Kolankiewiczowi stosowne rozkazy. Zgadza się pani na to?

— Ależ z największą ochotą.

XIII.

Zimowa szkoła. — Nauka panny Zimskiej.

— Liczykrupa staje się "chomikiem."

Nim Kolankiewicz rozebrał ścianę w stajni, zbił szesnaście rusztowań i urządził piętrową sypialnię dla chłopców i dziewcząt, poobiednia nauka musiała się narazie odbywać w dwu pokojach sypialnych.

Na dworze zaczęły się już listopadowe deszcze, przewlekłe, monotonne, beznadziejnie uparte. Dzwoniły po rynnach dzień i noc, pluskały po bajorach wytworzonych gęsto na podwórzu i w ogrodzie, napełniały powietrze zimną wilgocią i trzymały dziatwę w domu, jakby na uwięzi. Już to samo, że nie można było wyhasać się po podwórzu i w ogrodzie, zmęczyć się nieco i wyładować nadmiar energii życiowej dostatecznym było powodem, aby dzieci w zły wprowadzić humor. Tłoczyły się w ciasnych pokojach między łózkami, deptały sobie nawzajem po palcach i piętach, biły się, wrzeszczały i roztręcały. Cała gromadka, dotąd taka grzeczna i posłuszna pod dębem w ogrodzie, tu naraz stała się tak dalece złą i dokuczliwą, że trudno z nią było dojść do ładu.

Jeszcze legionista i doktorowa trzymali rozhukaną szajkę jako tako na wodzy, natomiast pocziwa, słodka i łagodna panna Zimska przechodziła z nią istny krzyż Pański.

Oto jedna z tych jej ciężkich lekcyj:

Przyniosła do sali globus, atlas i kilka

map ściennych. Wedle podziału godzin miała to być lekcja geografji. Dzieci obsiadły łóżka, jak jaskółki drut telegraficzny, komu zaś brakło miejsca na siennikach, ten siadał "w kuki" między łózkami. Byli i tacy, co układali się wygodnie pod łózkami i spali. Do tych w pierwszym rzędzie należał Głodomór.

Młoda nauczycielka klaszcze mocno w dłonie, prosi, błaga o spokój i wreszcie zaczyna naukę, podnosząc globus w górę.

— Mówić dziś będziemy o Afryce, to jest o tej części świata, która leży na południe od Europy. Już wam wspominałam, że mamy pięć części świata... Prawda?

— Nie, nieprawda!

— Kto mówi, że nieprawda?

— Ja! — odzywa się z kąta Stach Hultaj.

— Jakto?... więc ja wam nie mówiłam o pięciu częściach świata?

— Mówiła pani... to prawda, ale to, co pani mówiła, to nieprawda.

— Dlaczego nieprawda?!...

— Dlatego, że mamy pięć części ziemi, a nie pięć części świata.

Biedna panna Zimska, podniosła wysoko brwi i zamilkła. Przyznawała w duszy, że Stach ma słuszość, tu zaś wobec klasy ciężko wyznać, że tak jest. A Stach jeszcze dodaje:

— Ja tak samo mówiłem w Rodziejce, ale nasz pan skrzyczał mnie i nakazał, abym się ściśle wyrażał.

Młoda nauczycielka zmieszała się jeszcze więcej, ale udała, że to ją niewiele obchodzi, co "pan w Rodziejce nakazał", i zaczyna mówić dalej, podnosząc znów globus w górę:

— Jak widzicie, ziemia jest okrągła...

— Nieprawda! — woła powtórnie Staszek z ukrycia.

— Czemu nieprawda?

— Bo ziemia nie jest okrągła, tylko kulista. Tak nas uczył pan w Rodziejce i gniewał się, gdy ktoś mówił, że ziemia jest okrągła. Okrągłe jest koło. Trzeba się wyrażać ściśle.

Panna Zimska poczerwieniała.

— Staszek!... Jak mi będziesz przeszkadzał, to pójdziesz za drzwi!

— Gdzie? na ślotę?... Aby się potem pani doktorowa gniewała, że niszczę ubranie i noszę błoto na nogach do szkoły?

— Proszę pani! — woła w tej chwili z drugiego kąta Kasia — Walek rozlał atrament i poplamiał mi sukienkę.

— Walek, dlaczego rozlałeś atrament? — gniewa się Zimska i uderza linijką w stół.

Hałas coraz większy. Domaniewski zaczyna się bić z Sewerkiem. Porwał go ztyłu za włosy i ciągnie. Sewerek wrzeszczy wniebogłosy i uderza wtył pięściami, ale napaśnika dosięgnąć nie może.

— Puścisz go — krzyczy Zimska — i pędzi ku nim; w drodze potknęła się o wystające nogi Lisowskiego i mało nie upadła... Klasa w śmiech!

— Mało pani zębów nie wybiła — cieszy się Głodomór, wychylając głowę z pod łóżka.

Zrozpaczona Zimska wraca na swoje miejsce, sapie ze zmęczenia i bierze globus do ręki.

— Jak widzicie — mówi z westchnieniem. Nie może jednak skończyć zdania, bo Głodomór wyłazi cały, siada, podnosi nogi w górę i ogląda nowe buty, które dopiero wczoraj ubrał po raz pierwszy.

— Spuścisz ty nogi na dół? — przecież to nie wystawa, żebyś podnosił buty w górę i pokazywał ludziom podeszwy.

— Kiedy one mnie w palcach cisną — skarży się z grymasem chłopak.

Nim się skończyło z Głodomorem, z trzeciego końca pokoju, gdzieś z pod łóżka odzywa się przytłumiony głos:

— Dalibóg, że mój!...

— A, nieprawda!... nieprawda! zmierz puszkę!

— Co oni tam robią? — pyta panna Zimska i idzie w stronę owych tajemniczych głosów: to Liczykrupa pod łóżkiem gra z Madajem w guziki i dochodzi swych praw.

Nauczycielka, przeskakując po różnych nogach i głowach, stanęła wreszcie nad graczami i wyciąga Liczykrupę z pod łóżka za kołnierz. Ten prędko chowa do kieszeni stare pudełko z zapatek.

— Co tam masz? pokaż!...

— Nie, proszę pani, nie. Stare pudełko...

— Pokaż!

Liczykrupa ociąga się. Zimska wyrывa mu jednak z kieszeni pudełko i otwiera. Kilkanaście guzików wylatuje na podłogę.

— Co?... guziki? Ty grasz w guziki?... No, patrzajcie, co za urwisz! A ja w głowę zachodzę, czemu przy świątecznych ubraniach w szatni niema ani jednego guzika!...

— On ma w swoim kuferku aż cztery takie pudełka z guzikami — objaśnia Kasia.

— On już wszystkich chłopców obegrał i

pochował guziki jak chomik do kuferka — dodaje Domaniewski.

— Idź zaraz i przynieś te guziki — rozkazuje panna Zimska.

Liczykrupa ociaga się.

— Ja z nim pójdę i zrobię porządek! — ofiarowuje się Stach i ciągnie Liczykrupę do drzwi.

— Idź!... odczep się! — woła tenże i wyszarpuje rękę.

Sewerek pospieszył Stachowi na pomoc. Ujęli obaj Liczykrupę pod ramiona i poprowadzili do drugiej sypialni. Za chwilę wrócili do klasy i przynieśli siedem pudełek: pięć z guzikami, a dwa z piórami.

— Co, i pióra? — woła ze zgrozą panna Zimska. — A ja się wciąż dziwię, gdzie się pióra podziewają! Tymczasem one tutaj!

— Chomik schował do kuferka — dorzuca Sewerek.

— To on teraz będzie się nazywał Chomik-Liczykrupa — powiada mała Kasia.

Klasa huczy.

— Pióra i guziki zabieram — powiada panna Zimska — a wam zabraniam, abyście się kiedykolwiek jeszcze temi rzeczami bawili... Rozumiecie?

Dzwonek. Godzina geografji skończona. Panna Zimska wychodzi jak mysz z łąni... ale wciąż jest wesoła. Nikomu krzywdy nie zrobiła, nikomu nie dokuczyła, nikogo nie pogrążyła w smutku.

Poeziwa droga, kochana panna Zimska!

XIV.

Miesięczna opieka. — Gazetka. — Nauka.
Stach. — Polak-obywatel.

Z chwilą, gdy Kolankiewicz porobił rusztowania, urządził piętrowe sypialnie i uwolnione od łóżek pokoje przerobił na klasy, nauką weszła na bardziej prawidłowe tory. Legjonista zaprowadził znów posłuch i karność wśród młodzieży, doktorowa zaś w dalszym ciągu przykuwała uwagę dziatwy do swych przesłizanych opowiadań o różnych wydarzeniach z dziejów ojezystych lub z historii powszechnej, czytywała im opisy podróży, niekiedy zaś pouczała w zajmujący sposób, o tem, co się obecnie na świecie dzieje i co się w najbliższej może stać przyszłości. Również i panna Zimska, doczekawszy się lepszego rozmieszczenia dziatwy w klasie, zdołała jako tako zapanować nad rozwydrzonymi chłopcami.

Jeżeli jednak w nauce szkolnej wyczuwało się jeszcze tu i owdzie usterki i braki, to wewnętrzny ład i porządek w Ochronie, ujęty przez doktorową w pewne postępowe normy wychowawcze, zasługiwał niewątpliwie na chlubne wyróżnienie. Wewnętrzne życie zakładu polegało głównie na rozwijaniem starannie, i to przy każdej sposobności, poczuciu obywatelskiem i na koleżeńskiej, współdzielczej pracy.

“Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego — jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”...

To były zasady, na których doktorowa starała się rozwiązać swój sposób wychowania, stosując owe zasady zarówno w rzeczach większej wagi jak i w najmniejszych codziennych drobnostkach.

W tym celu zaprowadziła przede wszystkim “miesięczną opiekę”, zwaną także “dyżurem” nad przeróżnymi domowemi robotami, do których należało: mycie podłóg w korytarzach i pokojach, zmiatanie wnętrza domu i podwórza, wietrzenie sal i palenie w piecach, mycie naczyń po każdym jedzeniu, utrzymywanie w porządku kałamarzy, piór, ołówków, gąbek, ścierek, kredy; wymiana bielizny, trzepanie ubrań i kocyków, strzyżenie maszynką włosów itd., itd.

W korytarzyku, na ścianie wisiał stale arkusz papieru, podzielony na miesiące i “działy”, wymagające opieki, t. j. czujnego oka i pewnej, powtarzającej się codziennie lub też co kilka dni czynności. Każdy, kto dobrowolnie zgłaszał się do jakiejś pracy, zapisywał swe nazwisko na arkuszu, i ten też zwykle naznaczany był opiekunem owego działu. Bywały jednak pewne czynności, od których początkowo wszyscy się usuwali, i arkusz w tych “działach” świecił białą pustką; wówczas doktorowa sama wyznaczała dla tych robót “opiekunów” lub “opiekunki”, przezem żadne dalsze wykrety już nie pomagały. Łagodna i wyrozumiała doktorowa pod tym względem była nieubłaganą, dzieci zaś po pewnym czasie tak, do tego nawykły, że zgłaszały się ochotnie po kolei do każdej pracy i tę naogół w ciągu swego miesiąca sumiennie spełniały. Po pewnym czasie, obok zwykłego przyzwyczajenia wyrobiło się w nich takie poczucie obowiązku, że jedni pilnowali drugich, wytykając sobie nawzajem błędy, przeoczenia,

niedbalstwa lub objawy rozmyślnego lenistwa.

Do każdej czynności wyznaczała doktorowa po dwie lub trzy osoby, dbając o to, żeby dana praca odpowiadała sile i wiekowi dziecka; przyrodzone skłonności poszczególnych jednostek w miarę możliwości były równie brane w rachubę, aczkolwiek pani Budrewiczowa przedewszystkiem dbała o to, aby każde z dzieci obznajmiało się z pracą wszelakiego rodzaju, a wyzbywało nieuzasadnionych kaprysów, wstrętów lub lęków.

Jednym z bardzo ciekawych i nader udatnych czynników wychowawczych była tak zwana "Gazetka", zaprowadzona przez doktorową według wskazań pewnego warszawskiego literata - wychowawcy. Polegała ona na tem, że dzieci spisywały na karteczkach swe wrażenia i spostrzeżenia, swe radości lub smutki, swe boleści i skargi, zapatrywały je podpisem i wrzucały do skrzynki. Po pewnym czasie doktorowa przepisywała te kartki w zeszyte i na wieczornem zebraniu odczytywała je całej Ochronce. Tym sposobem wytworzył się zaczerpnięty z życia dzienniczek, który działał na działwę zarówno pouczająco jak i rozweselająco. Nie dziw też, że dzieci oczekiwały dnia "Gazetki" z prawdziwą niecierpliwością, a gdy wreszcie nadszedł, bardzo się cieszyły.

Przynosiła ta "Gazetka" Ochronce jeszcze jedną wielką korzyść. Wiadomo, że dzieci w ochronach i internatach wciąż na siebie skarżą, wciąż się obrażają i sprzeczą, wciąż się gniewają lub złorzeczą. A ta ciągła walka podjazdowa, kończąca się zwyczajnie słowami "proszę pani..." albo "proszę pana..." bywa niekiedy tak dokuczliwa, że doprowadza nauczyciela czy nauczycielkę wprost do rozpacz. Owóż twórca "Gazetki" wymyślił ją w pewnej mierze i dlatego, że widział w niej coś w rodzaju samoobrony przed zbyt niemi gadulstwem i plotkarstwem dzieci. Gdy mianowicie przyszło które do niego ze skargą lub zażaleniem, odpowiadał: — Napisz to, dziecko, do "Gazetki."

Dzieciak odchodził z postanowieniem rozpisania się szeroko o swojej krzywdzie i zemszczenia się na przeciwniku przy pomocy pióra i atramentu; nim jednak postarał się o kawałeczek papieru i uporządkował w głowie, co ma pisać, nim usiadł, zamacał pióro i ułożył pierwsze zdanie, złość najczęściej w nim przemijała, a w dodatku

biedny óskarżyciel tak się zmęczył i spocił, że rzucał w połowie drogi kartkę do kosza i nie więcej nie pisał. Tym sposobem niejedno głupie, dokuczliwe "proszę pana..." rozplywało się nieszkodliwie w przestrzeni i czasie, dziecko zaś przecież taką z tego odnosiło korzyść, że zastanawiało się w spokoju bodaj przez chwilę nad swem poprzedniem gorączkowym podnieceniem i zdobywało pojęcie o sprawiedliwości i rozwadze na chłodno, nie mówiąc już o tem, że niekiedy ćwiczyło się dodatkowo w wypracowaniach piśmiennych.

Staszek Hultaj, o ile uważał w szkole, dawał zawsze trafne i dokładne odpowiedzi, rzadko jednak zmuszał się do uwagi, wołał bowiem czytać gdzieś w kącie pierwszą lepszą książkę. Już dawniej zauważył legjonista, że jest on chłopcem rozwiniętym nad swe lata i nad poziom swych rówieśników. O ile więc w pierwszej chwili puścił mimo uszu wzmiankę Stacha, że chce on być doktorem, później, gdy się przekonał o jego niepoślednich zdolnościach, zaczął zastanawiać się poważniej nad tem, czyby nie dopomóc chłopcu w naukach i nie przygotować go do jednej z wyższych klas gimnazjalnych.

Na szczęście w tym czasie Ochrona otrzymała znowu z Krakowa poważne zamówienie na wojskowe kosze, a za dostarczone już poprzednio plecionki dostała większą gotówkę, dzięki czemu doktorowa popłaciła wszystkie swe zobowiązania, między którymi były i zaległe należitości Wiktora. Architekt mógł tedy jakąś częśćkę owych pieniędzy przeznaczyć na książki dla Stacha Lubieza, co mu obecnie przyszło tem łatwiej, że już nie nie wydawał na tytoń. Skorzystał tedy z podróży aptekarza do Krakowa i zakupił przez niego wszystkie podręczniki, które mu były potrzebne od pierwszej do czwartej gimnazjalnej.

Stach, dowiedziawszy się o postanowieniu Wiktora, mało nie oszalał z radości i tak się rozrzewnił, że aż mu stanęły łzy w oczach.

— Ja dla pana... nie wiem, co... nie wiem, co... — szeptał, ale nie umiał jaśniej wyrazić swej wdzięczności.

Od połowy września zaczął się tedy Staszek uczyć z legjonistą po dwie do trzech godzin dziennie, a to: między drugą i trzecią po południu i między szóstą a ósmą wieczorem. Przychodził do pokoiku Wiktora, siadał przy jego łóżku i słuchał, albo wypracowywał zadania. Wiktor najczęściej w tym

czasie wypoczywał i był zupełnie wolny, to też temi godzinami rozporządzał swobodnie. Zresztą nie potrzebował się bardzo nateżać, bo Stach nie tylko należał do uczniów pojętnych i bystrych, ale też odznaczał się nadzwyczajną pilnością, tak, że cała nauka we wszystkich przedmiotach szła mu raźnie i składnie. W dodatku zdobył on u doktorowej taki mir, że czego tylko zapragnął, umiał sobie u tej dobrej kobiety wyjeanać. Przedewszystkiem nie dopuścił do tego, aby przyjęto do koni nowego woźnicę.

— Poco na zimę opłacać starszego człowieka? — tłumaczył legjoniście i pani Budrewiczowej — przecież ja umiem chodzić koło koni, i zrobię wszystko to za darmo, co tamten za słone pieniądze. A w zimie prawie niema roboty. Ot, co najwyżej pojedzie się parę razy po drzewo do lasu, albo ze zbożem do młyna, albo za jaką inną dostawą na miasto. To wszystko. Dla mnie wystarczy, że mam u państwa opiekę i przytułek, że mam odzienie i naukę, a staremu tego wszystkiego za mało. Jeżeli zaś państwo chcą mi pomóc, to proszę pozwolić, abym zamieszkał przez zimę w komórecie koło stajni. Ona jest widna i ciepła, tylko nie ma piecyka. Ale ja właśnie taki piecyk żelazny widziałem na strychu, więc proszę, abym mógł zanieść go do komórki i tam ustawić! Palić będę wiórami stolarskimi i drzazgami z podwórza, tak, że i opał mało co będzie kosztował. A jak ja sobie zamieszkam w tej komórecie, to będę miał spokój cały dzień i cały wieczór i będę mógł wyuczać się pilnie wszystkiego co mi pan Wiktor zada.

Przekonywał tak serdecznie i gorąco, że doktorowa nie tylko na wszystko się zgodziła, ale nawet dała mu do komórki ze swego pokoju stolik, krzesło, lampę i półeczkę na książki, nadto uwolniła go od robót koszykarskich i zajęć szkolnych, które zresztą niebardzo były mu potrzebne, bo z Wikto-rem przechodził kurs o wiele wyższy.

Tym sposobem wszystko ułożyło się ładnie i Stach z całym zapatem zabrał się do gramatyki łacińskiej, nauk przyrodniczych i algebry.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia.

Doktorowa naznaczyła dzieciom cały tydzień wypoczynku i pozwoliła wszystkim bawić się, jak kto tylko chciał i umiał.

Był to pierwszy wypoczynek od chwili założenia Ochrony, albowiem przez lipiec

i sierpień pracowały dzieci tak, jak zwyczajnie w ciągu całego roku.

Ale też ten tydzień świąteczny i wakacyjny, tydzień zupełnej swobody i wolności, napełniał ich sieroce serduszką niezmierną radością. Dziewczęta przed świętami wyszywały sobie na ramionach i rękawach koszulek strojne wzorki, doprowadzały do porządku swe spódniczki, bluzki, staniki, chusteczki; w dzień wilji pomagały w kuchni lepić pierogi z serem, kapustą i powidełkami i uciarać mak na kutję, zaś po świętach basowały całymi popołudniami w wyższej klasie, do czego przygrywała im sama doktorowa ze swego pokoju, a była w tem graniu, trwającem po trzy, cztery godziny, wprost niezmordowaną. Chłopcy, doczekawszy się śniegu i gładkiego na Wiśle lodu, uganiali po całych dniach bądź to po ogrodzie, bądź też po przyległych polach, gdzie stacjali zacięte boje na śnieżne kule, toczyli "lawiny" po stoku obok cegielni, lub też wreszcie ślizgali się po Wiśle. Nie obeszło się jednak i bez tego, że niektórzy pozazdrościli dziewczętom tańca i stanęli także do płasów. Wreszcie na Sylwestra przygotowano wspólnemi siłami amatorskie przedstawienie, na którym byli obecni oprócz doktorowej, panny Zimskiej i Wiktora, także niektórzy członkowie Rady opiekuńczej a to: ks. wikary, doktor, aptekarz i golibroda Dopytański, jeden z najbardziej ofiarnych opiekunów Ochrony z najbardziej ofiarnych opiekunów Ochrony. Tylko burmistrzowa pani Felicia, która nie zakładu, nie przybyła na przedstawienie, — lecz wobec stwierdzonej wyrokiem sądowym kradzieży rodziny Jędrzeja i przyjaznego stosunku praczki Wojeichowej do tej szajki złodziejskiej, nie miała już odwagi występować przeciw zarządowi Ochronki, ani też domagać się w dalszym ciągu "ukarania" Stacha. Czując swą porażkę, pogniwiała się na zakład i odtąd przestała się nim jakiś czas zajmować.

Na przedstawieniu grały dzieci "Mądrego szewczyka," który wszystko wiedział lepiej od swego majstra i przeróżne płatał ludziom figle. Młodzież zaśmiewała się z nich do rozpuku i bawiła się cały wieczór doskonale. Szewczyka grał bardzo udatnie Sewerek, majstrów Wiktusia, majstra Lisowski, a przyjaciela szewczyka Liczykrupa. Chciano początkowo, aby Staszek grał główną rolę, bo i szewczyk był małym hultajem, ale wielki Hultaj, Stach, odpowiedział na to, że

tylko własne figle stroi dobrze i to tylko takie, które nie wiedzieć skąd przychodzą, zaś na wyuczanie się obcych dowcipów nie ma czasu.

Staszek w ciągu ostatnich dwu miesięcy, t. j. od chwili, gdy zaczął uczyć się z Wikto-rem do gimnazjalnego egzaminu, znacznie spoważniał. Przesiadywał głównie w swej komórcie obok koni i wykuwał każdą lekcję, — jak sam powiadał — “na cienką blaszkę”. Wiktor był jego pilnością zachwycony i coraz mocniej przywiązywał się do chłopaka. Gdy nadszedł tydzień świąteczny, kazał mu przychodzić do siebie na całe poobiedzia i wówczas nie tylko słuchał jego odpowiedzi i objaśniał nowe w książkach ustępy, lecz także rozmawiał z nim całemi godzinami, jak z młodszym bratem.

Trzeciego dnia świąt przyszedł Stach do legionisty zaraz o zmierzchu, t. j. około godziny czwartej, bo i jemu było u tego kochanego opiekuna najprzyjemniej.

Legionista leżał w łóżku. Chorym jednak nie był, tylko — jak sam mówił — “wypędzal z kości ciepłym kocem karpackie strzykania,” które go odezasu do czasu nawiedzały.

Na dworze prześlicznie świecił wtedy księżyc. Spojrzawszy swem okragłem, roziskrzonem obliczem w okna Wiktora, zalał cały pokój cudną srebrzystą lawą, która przedzierając się przez mroźne desenie na szybach, rozsunęła się po ścianie i podłozde jak wzorzysta koronka.

Mleczny ten koronkowy obraz taki był po-
nętny, że ani Wiktor, ani Staszek nie chcieli go płoszyć nikłem, żółtawem światłem lampy. Choć się przedtem nie porozumieli ze sobą, czuli obaj wyraźnie, że jest to ta chwila, podczas której spływają na człowieka jakieś prześliczne marzenia, że te marzenia por-
wiają go w swe objęcia i unoszą wysoko i daleko... hen, gdzieś... w zaświaty. Takiej uroczej chwili trzeba się poddać jak przecudnej muzyce albo słodkiemu śpiewowi słowika w majowy wieczór.

Staszek usiadł w kąciu, na kanapie i dłuższy czas milczał, wpatrując się z serdecznem rozczuleniem w ukochaną postać swego mistrza i nauczyciela. Wiktor wsparł głowę na łokciu i dumiał. Koszula na tym łokciu była nieco nadarta, zwisała strzępem w dół i odkrywała nagie ciało, które połykiwało białawym kolorem w świetle księ-
życa. Nieco wyżej nad łokciem wyróżniała

się na tem ciele jaśniejsza pręga. — Znał ją Staszek: była to także pamiątka po karpackiej wyprawie. Takich pamiątek, oprócz odciętej nogi, miał Wiktor aż cztery... Kiedy go niesiono z pobojuwiska do szpitala, wszyscy myśleli, że to dogorywający człowiek, tak był rozbity i we własnej krwi ukąpany. Mimo to jednak po kilku miesiącach dźwignął się, wyzdrowiał.

O tem wszystkiem właśnie teraz rozmyślał, jakby się rozczytywał w kartach księ-
życowego pisma. A sięgał swemi myślami daleko... daleko wstecz do innych pobojuwisk i do innych ludzi, z którymi wiązała go wspól-
na krew, wspólna myśl i wspólna ofiara. Był on niejako jednym z ostatnich ogniw jakiegoś długiego łańcucha, wypełnionego ludźmi, co śnili, marzyli, działali i w rozpaczę przeszli. Jemu jednak może Bóg dozwoli spełnić kie-
lich radości w imieniu zarówno swoim, jak i tamtych ukochanych.

Naraz czuł potrzebę głośnego wyspo-
wiadania się ze swych uczuć, wypełniających mu piersi po brzegi, począł tedy mówić pół-
głosem, w części do Stacha, w części do sie-
bie samego.

— Pradziad mój był w powstaniu koś-
ciuszkowskiem jako młody mężczyzna i wal-
czył pod Naczelnikiem w jedenastu bitwach. Potem służył w legionach i zginął pod Líp-
skiem. Mało co wiem o nim, bo nici rodzinne zostały przerwane. Pochodził z Litwy. Dziad służył również w wojsku, a miał przed ro-
kiem trzydziestym warsztat rusznikarski w Lublinie. I on także legł na polu chwały, bab-
ka zaś dostała obłędu, wybiegła w lubelskie lasy i nie wróciła do domu. Później zna-
lezione resztki jej sukien i nadgryzione kości. Pożarły ją wilki. Ojca i ciotkę, dwoje małych sierot, prawie niemowląt przywiózł z Lublina do Galicji wuj ich, kapelan wojsk polskich, ks. Skórzyński, ten sam, co w Paryżu dawał Mickiewiczowi ślub z Celiną Szymanowską. Dzieci te oddał na wychowanie do polskiego magnata Zamoyskiego w Wysocku. Zacił ci ludzie opiekowali się sierotami, kształcili je i zapewnili im przyszłość.

Potem przyszedł rok sześćdziesiąty trzeci. Ojciec mój był komisarzem rządu narodo-
wego i przewoził broń lasami w okolicy Ka-
mieńca Podolskiego, tam też dostał kulą w biodro od rosyjskiego, strażnika nad Zbru-
czem. Mnie jeszcze wówczas na świecie nie było, więc co się wtedy działo w domu, nie pamiętam. Później dopiero, w lat kilkanaście

pokazywał mi ojciec ciekawy obrazek ołówkowy, na którym narysowany był wół, przeżuwiający spokojnie trawę. Wśród tego rozchylił okładkę i wydobyl z ukrycia swą nominację na urzędnika narodowego rządu. Mieszkaliśmy wówczas w leśniczówce między Zielenicami a Cyganami w borszczowskim powiecie. Na krótko przed śmiercią powiedział mi, że tam w ogrodzie tej leśniczówki zakopana jest drukarnia, na której drukowały się odezwy, idące do Kamieńca i dalej na Podole. Ona tam jeszcze jest. Kiedyś gdy będę miał więcej czasu, pojedę tam, odkopię ją — bo miejsce w przybliżeniu znam — i oddam do jakiegoś muzeum narodowych pamiątek... Widywałem także u ojca w żółtej szafce stożkowe, powstańcze kule i kapiszony do belgijskich sztuców...

A oto teraz, teraz... kolej przyszła na mnie. — Karpaty — odmrożone palce i pięty — roztrzaskana noga — cztery blizny na ręce i piersi. — Ostatnie ogniwo w długim szeregu tych, co nie dla nagrody, nie dla osobistych zysków szli na krwawy bój!... Ja jednak szczęśliwszym będę od tamtych!... O, tak!... mój chłopcze... o, tak!... I ty także doczekasz się wolnej Polski i wypijesz ten cudny kielich do dna, ten kielich, co się ku nam już zbliża... Obyś tylko umiał nową ukochaną Polskę dźwigać uczciwie z gruzów i budować, jak się patrzy...

Umilkł i westchnął...

Staszek poszedł za jego przykładem... westchnął także. Był wzruszony, drżał na ciele, jakby ujrzał idące przez przestrzeń i czas białe tajemnicze widmo... Wreszcie zapytał chwiejnym, cichym głosem:

— Jak mam ją budować, proszę pana, jak?...

— Słusznie, że pytasz. Lecz dziś nielata to jeszcze odpowiedź. Przyszłość dopiero wskaże ci, kiedy i na jakiej zatrzymać się musisz placówce, aby tam trwać... Trzeba tylko przygotować się należycie do tej wielkiej pracy, która na waszych kiedyś spocznie barkach.

— Jak się przygotować? — zapytał znowu Staszek cicho.

— Tak się przygotować, mój chłopcze kochany, aby w każdej życia godzinie czuć się dzielnym Polakiem-obywatelem! Z tego jednego małego źródła wszystko inne wytryska. Mówię świętą prawdę. Ty tego dziś jeszcze nie rozumiesz, ale kiedyś zrozumiesz na pewno, bo masz dobre serce, bystry ro-

zum i pęd ku społecznej ofiarności: doglądałeś rannych, myślałeś o małym Januszkę, wyżej nierzaz cenisz przyjacielski uścisk dłoni niżeli pieniężną zapłatę... Tak! idę w zakład, że ty będziesz dzielnym Polakiem obywatelem...

Stach złożył ręce jak do modlitwy i wyszeptał drżącym głosem:

— Proszę pana, niech mi pan jeszcze coś o nim opowie... o tym obywatelu Polaku.

Legjonista przetarł ręką czoło, pomyślał chwilę i wreszcie przemówił:

— Polak-obywateł ... hm, Polak-obywateł! Chcesz wiedzieć jak wygląda... Dobrze, niech będzie, posłuchaj:

— Człowiek to wielki i silny, choćby małego był wzrostu i wątłej budowy.

Wielkie w nim serce i mężny duch.

Już jako dziecko hartować się musi w ogniu dwu potężnych uczuć: miłości i ofiary.

Ogień ten nauczy go, jak kochać innych i jak dawać ze siebie więcej, niżeli się od nich wzamian odbiera lub żąda.

Oprócz tego Polak-obywateł musi dobrze rozumieć hasło: "Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego", albowiem w tej zasadzie kryje się tajemnica społecznej budowy narodu, państwa i całej ludzkości.

Ludzkość, której pewną częścią jest naród, przypomina poniekąd mrowisko, mające swój ład i porządek, swe prawa i nakazy, swą władzę i społeczny posłuch, w ostatecznym zaś wyniku swe zyski i zdobycze, swe uśmiechy, radości i przybłyski szczęścia.

Im owe cnoty u jednostek piękniej są rozwinięte, im są mocniejsze i trwalsze, tem społeczeństwo bywa silniejsze i bardziej twórcze. Z twórczości zaś rodzi się postęp i lepsza przyszłość.

Są jednak ludzie, co nie wierzą w potęgę miłości, w skuteczność ofiary, w pożytek społecznego stawiania w szeregu — tym trzeba na żywych przykładach wykazać i udowodnić, że owe piękne hasła są dla nich samych pożyteczne, że im przynoszą namacalną korzyść i ułatwiają życie.

We wsi, dajmy na to, powstał pożar. Na dany sygnał spieszy, kto żywy, i staje w szeregu. Jeden czyni to bezinteresownie, w celu niesienia pomocy swym bliźnim, drugi z wyrachowania, aby stłumić pożar w zarodku i nie dopuścić go do własnej zagrody.

Kto tu jest prawdziwym obywatelem-Polakiem?



Stach złożył ręce jak do modlitwy i wyszeptał drżącym głosem.

Własność osobista wśród społeczeństw cywilizowanych w wysokim znajduje się poszanowaniu.

Oto młody Szwajcar, gdy znajdzie na drodze jabłko, które spadło z drzewa rosnącego za parkiem, wrzuci je niewątpliwie do ogrodu zpowrotem — bo to jabłko nie jest jego własnością. Dzięki takiemu poczuciu Szwajcarowie nie zamykają na klucz swych domów, gdy z nich wychodzą, albowiem niema tam rabusiów, złodziei i bandytów. Podobnie jak w Szwajcarii bywa na przykład i na wyspach Kanaryjskich. Tu nawet sklepy z towarami nie bywają zamknięte na noc — przy niektórych niema nawet zamków, drzwi i okien. Wieki wytworzyły tu człowieka-obywatela.

A jaki z tego społeczny pożytek?

Oto takie poszanowanie osobistej własności wiedzie w prostej linii do tego, że młodzi ludzie przyuczają się do poszanowania własności nie tylko sąsiedzkiej, ale i gminnej, gromadzkiej, komunalnej, państwowej!

W szkołach zachodnich dziecko nie kraje ławki seyczorykiem, nie niszczy urządzeń szkolnych i nie wypiera się gdy przypadkowo coś uszkodzi lub zniszczy. — bo ono od swych rodziców-obywateli wie, że urządzenie szkolne to własność powszechna, składana przez przodków, i to składana nie na jeden dzień, czy na jeden rok, ale na dłuższy okres czasu. Dorosły obywatel dba tam o czystość i porządek w poczekalni kolejowej, w wagonie, w publicznym ogrodzie, bo wie, że ten ogród, ten wagon, ta poczekalnia to własność ogółu, którą trzeba ochraniać wspólnymi siłami. Tam, w niektórych państwach niema konduktorów tramwajowych — są tylko składnice, zwane "automatami", do których wrzuca się należytość za bilet. Ale niech no ktoś wejdzie do wozu i nie wrzuci opłaty do skrzyni!... No! w tej chwili towarzysze podróży przywołają go oczyma do porządku.

Urzednik-obywatel na zachodzie nie bierze łapówek, nie podkrađa cichaczem dobra państwowego, zaś nadzór nad niem sprawuje sumiennie i uczciwie. A cóż się działo u nas za czasów wszechwładzy rosyjskich czynowników? "Skarbowy wróbel" istniał poto, aby przy nim mogła wyżyć z kradzieży jakaś czynownicza rodzina. Kradzieże rosyjskie i łapówki to najwstrętniejsze dwa zaprzeczenia rzetelnej obywatelskości.

Prawdziwy Polak-obywatel musi wyrobić w sobie pewne zasady, z którymi tak jemu

samemu jak i jego państwu, jego narodowi bez wątpienia będzie dobrze.

Sumienny kupiec-obywatel nie odziera swego biednego sąsiada ze skóry, jak się to podczas obecnej wojny powszechnie dzieje, albowiem takie postępowanie rabunkowe podkopuje byt, zdrowie i siłę wytwórczą całego narodu, wskutek czego musi nastąpić ogólne zubożenie i zniechęcenie do wzajemnej ufności, do społecznej pracy i do ofiarności. Żarłoczny wyzyskiwacz krzywdzi zatem nie tylko biedaków, ale i krzywdzi całe swe społeczeństwo, w końcowym zaś wyniku także samego siebie.

Tymczasem prawdziwy kupiec-obywatel musi przestrzegać zdrowej zasady umiarkowanego i sprawiedliwego zarobku, tak jak się to dzieje u społeczeństw zachodnich.

Anglicy na przykład, na poparcie tej zasady wkładają w usta umierającego ojca taką dla syna przestrożę:

— Synu, bądź uczciwym — próbowałem obu sposobów.

Znaczy to tyle, że lepiej być uczciwym, bo się przez to zdobywa i zatrzymuje ludzkie zaufanie.

Podobnie jak zdrowa zasada kupiecka, niezmiernie ma dla społeczeństwa znaczenie także uczciwość podatkowa.

Oto każdy Polak-obywatel powinien dobrze pamiętać, że nie wolno mu wykręcać się od sumiennego płacenia podatków, nie wolno podawać fałszywego zestawienia swych dochodów lub zwlekać z uiszczeniem państwowych należytości. Gdyby bowiem każdy wykręcał się sianem, kłamał i oszukiwał skarb swej ojczyzny, to wkońcu oszukałby sam siebie, bo miałyby złe drogi, złe koleje, złe poczty, złe szkoły, złe wojsko, zły wymiar sprawiedliwości.

Śmiało też można twierdzić, że wartość dzielnego i pracowitego społeczeństwa mierzy się ilością opłacanych ohotnie podatków.

Najszczytniejszym jednak podatkiem jest: podatek krwi.

Dla spokoju i szczęścia swych najbliższych, dla spokoju i szczęścia swych krewnych, sąsiadów i rodaków, słowem: dla obrony swej wolnej Ojczyzny trzeba umieć ohotnie stanąć w wojskowych szeregach, gdzie łatwo stracić życie, zdrowie lub mienie. W obronie swej wolnej ziemi matka bez wahania powinna powiedzieć synowi: "Dziecko moje, idź" — żona mężowi: "idź" — córka ojcu: "idź!"

Takim rozkazem przemawiać powinna każda dzielna Polka...

I to jeżeli się w ten sposób ogarnie całokształt życia ludzkiego i ustrojów społecznych, to łatwo dojść do przekonania, że na wytworzenie Polaka-obywatela składają się dwa czynniki: jeden materialny, wyrozumowany, drugi moralny, uczuciowy. Pierwszy powiada, że każdy uspołeczniony człowiek powinien dążyć do tego, aby był wobec swych bliźnich sprawiedliwym, sumiennym, przewidującym, ofiarnym, albowiem tylko w ten sposób wytworzyć można potężną siłę społeczną, działającą jak jedna wielka lawina. Natomiast drugi czynnik stwierdza, że to jeszcze niewszystko, że sama rachuba nie wystarcza, albowiem piękny stan duszy, wypływający z poczucia społecznej ofiary, więcej szczęścia i wewnętrznego zadowolenia człowiekowi przynosi, niżeli wszelkie materialne rachuby, zwycięstwa, korzyści, wygody i zyski. Ten czysty, słoneczny stan duszy jest najmielszą osłodą doczesnego żywota.

Prawddziwy Polak-obywatel, który zdoła wyrobić w sobie poczucie społecznej ofiary, śmiało będzie patrzył wszelkim przeciwnościom w oczy, ze spokojem zniesie każdą niedolę, z każdego podżwignie się nieszczęściem, zaś w szczęściu i powodzeniu nie zatraci rozumu ani szlachetniejszych uczuć...

Obywatel-Polak, gdy odbył sprawiedliwie swą doczesną wędrówkę i odchodzi w lepsze światy, zostawia tu, na tej ziemi pewien ślad uczciwego czynu, który kiedyś, choćby tylko nieznacznym, przecież godnym i drogocennym owocem wydać musi. Takie bowiem jest odwieczne prawo Boże!...

— — — — —
Nauczyciel, wypowiedziawszy te słowa, odetchnął głęboko i zapytał:

— Czy ty to rozumiesz, mój Stachu, czy ty to choć trochę rozumiesz?

Stach zwiesił głowę, wpatrzył się w jasne światło księżyca na podłodze i po pewnym namyśle odrzekł chwiejnie:

— Zdaje mi się, że rozumiem.

XV.

Wiosna. — Budowa szkoły. — Uprawa ogrodu. — Pszczoły.

Przy pracy dnie mijają szybko, i dzieci, zajęte w koszykarni i szkole wyętzającą robotą, nawet się nie spostrzegły, kiedy słońce podeszło znacznie w górę, kiedy sypnęło hojnie

rozkosznem wiosennem ciepłem i pokryło pola, ogrody i lasy lekkim szronem zieleni;

Wiosna!...

Stary nawet na ten widok prostuje krzyż i uśmiecha się radośnie — coś dopiero młódz, zamknięta w ciasnych i dusznych pokoikach przez długą zimę.

— Hej! cudna ty wiosno! Prześliczna królewno z bajki! Bądź pozdrowiona!

Dzieci wybiegły na obsychające ścieżki ogrodowe i ścigają się, plaskają rozkosznie bosymi stopami po ziemi, borykają po miękkich jeszcze i wilgotnych trawnikach. Doktorowa obchodzi swe gospodarstwo, zagląda w każdy kąt i wydaje stosowne rozkazy.

Przez zimę Ochrona zarobiła sporo grosza za maty i koszyki, tak, że choć przednówek już niedaleko, biedy dotąd w zakładzie nie czuć. Oto są jeszcze zapasowe powidła, są ziemniaki, jest kapusta w dzieżach, i kilka pości słoniny w spiżarni! W dodatku błąka się nieco w komodzie oszczędzonych pieniędzy na chleb, mydło i inne najpotrzebniejsze wydatki. Jaj i mleka dostarcza własne gospodarstwo!...

Ej!... jakoś to będzie!...

Dzięki temu stanowi rzeczy przyjęła doktorowa pod wiosną kucharkę, przez co uwolniła obie najstarsze dziewczynki, Michasię i Wiktusię od kuchennych zajęć i zgodziła młodego woźnicę Kaspra do koni. Stach wprowadził protestował, prosił, błagał, lecz to nie nie pomogło:

— Chcesz być doktorem — odrzekła pani Budrewiczowa na przedstawienia chłopca — to trzymaj się już książek, nie koni. Zresztą do orki jesteś zamały i zawąty, a tu musimy zorać kilka morgów, obsiać i zwieźć sporo materiału budulcowego z lasu. Lada dzień rozpocznie się przecież budowa szkoły, będziesz więc panu Wiktorowi potrzebny tu, w domu. On mówił mi, że na ciebie liczy!

Stach poweselał i przestał nalegać. Ucieszył się w duszy, że ci zaćni a kochani ludzie mówili o nim, że na niego liczą.

Wiktor, gdy tylko pogoda się ustaliła, przede wszystkim obejrzał ze Stachem swe pszczoły...

Przezimowały szczęśliwie i już huczały radośnie, ciesząc się bażkami i pąkami na drzewach, z których mogły już zbierać żółty pyłek, zwany pyrką. One także miały wypożyczynku dość i tęskniły do pracy na świeżem powietrzu.

Ponieważ przez zimę Kolankiewicz zrobił

z Lisowskim i Liezykrupą aż cztery podwójne dzierzony, więc Wiktor postanowił doprowadzić swą pasiekę w tym roku do dziesięciu pni i w tym celu za oszczędzone przez zimę na tytoniu pieniądze kupił już w marcu u Swiderskiego trzy stare roje, w maju zaś zamierzał dokupić jeszcze jeden. Tym sposobem liczył, że będzie na wiosnę rozporządzał pięcioma pniami, które do jesieni dadzą mu pięć rojów nowych.

Oglądał tedy ze Stachem oprócz starego ula świeżo kupione roje, oceniał ich siłę i cieszył się...

— Zobaczymy, co z tego będzie! — pomrukiwał sobie pod nosem — zobaczymy.

Załatwiwszy się z pszczolami, zwołał w kilka dni po świętach wielkanocnych, które w tym roku dość wcześnie wypadły, całą Ochronę do ogrodu i oznajmił:

— Od jutra przerywamy w koszykarni robotę na miesiąc i rozpoczynamy na świeżem powietrzu trzy prace niecierpiące zwłoki. W tym celu musimy rozdzielić się na trzy grupy: jedna, złożona przeważnie z dziewcząt, zabierze się z panią doktorową do prac w ogrodzie jarzynowym i owocowym; druga musi mi wyrabiać przez jakiś czas w cegielni dachówki, które później wypalimy; wreszcie trzecia grupa będzie ze mną murowała szkołę. Zgłaszajcie się tedy dobrowolnie, kto do jakiej grupy chce należeć. Te zgłoszenia potrzebne mi będą dopiero jutro. Pomyślcie zatem o rodzaju pracy i rozmówcie się wieczorem po gospodarsku, aby kłótni i sprzeczek nie było. Do cegielni potrzeba mi pięciu chłopców, do murarki dziesięciu — reszta pójdzie do prac ogrodowych. Ktoby jednak nie czuł ochoty do któregoś z tych trzech prac i wolał dalej robić w koszykarni, ten niechaj zostanie. I tamta praca tak samo ważna jak i ta, o których mówiłem, lecz ludziom potrzeba trochę odmiany w robocie; dlatego wyprosiłem u pani doktorowej przerwę w koszykarskim zajęciu. Wróćmy do niego w połowie maja, albo nieco później.

Tego wieczora zebrały się dzieci na naradę i po krótkich sprzeczkach i swarach pogodziły się ostatecznie, tak że z podziałem pracy Wiktor nie miał więcej kłopotu.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, grupa ogrodnicza odeszła z doktorową i panną Zimską w głąb warzywnego ogrodu, zaś grupa dachówkarzy i murarzy została narazie na górze, gdzie legionista pragnął ich mieć razem, aby im pokazać praktycznie, jak się wy-

tycza na ziemi plan budowy. Już poprzednio przygotował Lisowski do tego celu w stolarni kilkadziesiąt krótkich kółków, zaś Staszek zniósł ze strychu kilka sznurów, na których wieszano się zwykle bieliznę.

Zebrawszy to wszystko przed sobą na ziemi, rozpoczął Wiktor swój wykład:

— Kiedyś tu, w klasie, uczyłem was, jak to zapomocą cyrkla można wykreślić do danej linii drugą linię prostopadłą. Oto z dwu punktów na tej linii kreśli się dwa łuki w górze i w dole, potem punkta przecięcia tych łuków łączy się ze sobą. I to będzie prosta, prostopadła do danej linii zasadniczej, zwanej najeźściej "podstawą." A teraz to samo zrobimy tu, na ogrodzie, zapomocą wielkiego cyrkla, którym będzie zwykły sznurek do wieszania bielizny w połączeniu z dwoma kółkami. Niemal wszystkie domy na świecie mają ustawione do siebie ściany pod kątem prostym, więc też wytyczanie kąta prostego w budownictwie, na terenie, jest bardzo ważne. Zrobimy to zaraz.

Po tem krótkim, teoretycznem wyjaśnieniu wytyczył sam niedaleko studni i wapniarki linię zasadniczą, czyli podstawę, następnie zaś kazał Stachowi i Sewerkowi wypaukować prostopadłą do niej.

W kilka minut później okazało się, że wszyscy chłopcy zrozumieli doskonale całą zasadę wykreślenia linii prostopadłych i spełniali tę czynność szybko i zupełnie poprawnie.

Po załatwieniu się z tą robotą przyniósł plan szkoły ze swego pokoju i po kolejki wytyczać dalsze linie ścian wedle tego planu. Odległości odmierzano metrem wedle cyfr, zapisanych na planie.

Te cyfry w budownictwie nazywają się "kotami" — objaśnił architekt.

— Co, co?... kotami? — zawołał uradowany Głodomór, inni zaś poczęli miauczeć, a inni jeszcze syceć, jakby pędzili kota: "ks, ks... a kae, a kae, a kae"...

— Cicho! — zawołał Wiktor, śmiejąc się serdecznie. — Nie o takich kotach tu mowa, jeno o takich, co się piszą w budownictwie z łacińska przez "c". No, dość! Sądzę, że na przyszłość będziecie wiedzieć, że istnieją na świecie dwojakiego rodzaju koty, a to cyfrowe i miauczące.

— Czy to prawda, proszę pana, — zapytał Liezykrupa, który sobie coś przypomniał. — że dotąd niema na świecie takich kocurów, któreby miały zabarwioną sierść trzema koło-

rami, na przykład: żółtym, czarnym i białym. Trzy barwy na sierści mają tylko kotki. Czytałem w jednej książce, że Anglicy wyznaczyli nawet nagrodę za trójkolorowego kocura, ale nagroda wciąż leży nietknięta.

— Rzeczywiście — potwierdził Wiktor. — Tak to jest.

— Ja ci coś poradzę: — zauważył Stach z powagą, zwracając się do Liczykrupy. — Wdziej ty na siebie tygrysią skórę, która ma trzy kolory: żółty, biały i czarny i jedź do Anglii. Z pewnością weźmiesz nagrodę. Potem nakupisz za te pieniądze dużo piór i guzików, i będziemy grali!

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się dziatwa.

Do południa na ziemi w ogrodzie rozsnuła się ciekawa siatka sznurów, wyznaczająca miejsce, na którym stanąć miała nowa koszykarsko-rzemieślnicza szkoła.

Po południu druga i trzecia grupa zeszła na dół, do cegielni, i tu Wiktor pouczył znowu dziatwę, jak się formują dachówki. Praca to prosta i mało co różniąca się od sposobu formowania cegieł. To też pięciu dachówkarzy stanęło zaraz potem do mieszania gliny na dachówki, inni zaś wrócili z Wiktorem na górę i wyciągnawszy rydło z komórki, zabrali się do kopania fundamentów pod przyszłą szkołę. W miejscu, gdzie miała być piwnica, kazał architekt kopać jamę głęboką na wysokość człowieka z podniesioną w górę ręką, ziemię zaś odkładać na bok i urabiać z niej kopytek, na którym kiedyś miała stanąć altanka.

Aczkolwiek prace te bardzo były zajmujące, to przecież nie mogły się dzieciaki doczekać chwili, w której zaczną się już prawdziwe murowanie! Na wszystko jednak przychodzi stosowna pora. Trzeciego dnia zniesiono na noszach kilkaset cegieł z szopy obok cegielni, rozrobiono wapno i rozpoczęła się „prawdziwa” murarka.

Wiktor, choć biedny i niedołężny ze swą drewnianą nogą, wskoczył sam do dołu fundamentowego, ujął w rękę murarską kielnię, nabrał na nią wapna i nałożył je na pierwszą warstwę cegieł, ustawioną bez zaprawy.

— W murarce trzeba pamiętać przedewszystkiem o tem — tłumaczył — aby cegły wiązały się nawzajem, to znaczy, aby na szew, czyli spojenie dwu cegieł, w następnej warstwie przypadła cegła swą częścią środkową. Murarze mówią o tem: „pełne przychodzi na fugę.”

Równocześnie objaśniał Wiktor praktycznie

pewne ruchy, które murarz wykonywa kielnią, aby wapno ładnie rozlać po wymurowanej płaszczyźnie, albo narzucić je na ścianę, podchwytyjąc potem opadające jego resztki. Następnie wydrapał się przy pomocy Stacha i Sewerka z dołu i kazał im wskoczyć na swe miejsce.

— Pamiętajcie — zauważył z góry — że tylko początki są trudne. Jeżeli to i owo zrazu się nie uda, jeżeli jakaś część muru wyjdzie krzywo lub wichrowato, co się młodym murarzom często przytrafia, to niewielkie nieszczęście! Złą część rozbierzemy i wymurujemy nanowo. Gdyby zaś było jeszcze źle, rozbierzemy wadliwą część po raz wtóry i powtarzać będziemy dopóty, póki całość nie wypadnie zupełnie dobrze. Rozumiecie?

— Rozumiemy! — odpowiedziały dzieci chórem.

— No, to do roboty! Głodomór i Domaniewski będą narazie „koźlarzami.”

— A co to, proszę pana, „koźlarze”? — zapytał Głodomór.

— Ci, co kozy doją! — objaśnił Stach z dołu i chlapanął poważnie Sewerkowi wapnem w kark.

Ale Wiktor zabronił takich żartów, aby przypadkiem wzroku nie zanieczyścić wapnem, poczem wytłumaczył, że w murarce „koźlarzami” nazywają się ci, co noszą na drewnianych koźlach cegły.

— A ci, co, jak nasz Głodomór, noszą na karku baranie głowy, ci nazywają się „baraniarzami” — zauważył Stach.

— Tyś sam baraniarz — odciał się Głodomór. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie wiedział co, więc się tylko zająknął i wykonał kilka chwiejnych ruchów rękami.

Na to Stach z dołu poważnie:

— Już wiem, już wiem! nie potrzebujesz się wysilać. Siadaj sobie i zapal fajkę, boś się zmęczył.

Dzieci znowu w śmiech; Głodomór rzeczywiście wyglądał zabawnie. Chciał się dalej gniewać, ale wnet zaczął się śmiać razem z innymi.

Rozpoczęła się tedy dziecięca murarka, kontrolowana pilnie i poprawiana co chwila przez architekta, który swego czasu będąc na politechnice, przez wakacje pracował jako pomocnik murarza przy budowie kaplicy w Ustroniu i zaznajomił się praktycznie ze wszystkimi szczegółami murarskiej roboty.

Rzecz prosta, że młodzi chłopcy nieodrazu doszli do wprawy i co chwila popełniali błę-

dy, które trzeba było naprawiać, w dodatku pracowali lekliwie, bardzo powoli, ustalając pionem położenie każdej niemal cegły. Ale to drobnostka! Murarka choć wolno, szła przecież naprzód, a o pośpiech nie chodziło. Architekt zakreślił sobie na rok bieżący dość skromne zadanie wybudowania dwu obszerniejszych pokoiów na klasy szkolne i jednego na warsztat koszykarski; drugie zaś skrzydło, złożone z dalszych dwu szkolnych lokalów, stolarni, ślusarni i szwalni, miało być wzniezione w roku przyszłym lub w następnych latach. Mały ten program, wyznaczony na dziś, nie był zatem taki trudny do wykonania i Wiktor mógł w pewnej mierze traktować pracę dzieci nie tylko jako zadanie budowlane, lecz także jako pracę naukową, która wiejskiej młodzieży nieraz w życiu może się przydać. Wszakże dzieje się często na wsi, że zaradny rolnik i gospodarz, znając się nieco na murarce, musi dać sobie sam radę z przestawieniem pieca, kuchni, naprawą komina itd.

Dźwigał się tedy mur powoleńku z dnia na dzień, coraz wyżej i wyżej, przynosząc co chwila z sobą jakiś nowy szczegół budowlany, który zajął dzieci swą nowością lub zaciekawił sposobem wykonania; do takich zajmujących szczegółów należała budowa sklepienia nad piwnicą, założenie dwu komińów, przejście z murów fundamentowych w ścienne, założenie drzwi i okien, budowa rusztowań...

Z jakąż radością i dumą oglądała Ochrona każdego wieczora całodzienną murarską robotę, jakże się nią cieszyła i jakie przywiązywała do niej nadzieje na przyszłość...

Doktorowa Budrewiczowa, która niemniej od dzieci cieszyła się każdą nową warstwicą cegieł, widząc raz płomień radości w oczach dzieci, ścisnęła rękę legjonisty z wdzięcznością i szepnęła w uniesieniu:

— Ależ panie!... One tę szkołę już dziś kończą i ręczę, że w tych skromnych pokojkach będą się lepiej uczyły, niż w pięknych komnatkach, wzniesionych obcą ręką.

— Tak! — odparł legjonista z nieznacznym uśmiechem i dodał patrząc w dal:

— „Ta ci jest dopiero praca miłą człeczce,

Z której, gdy pociśniesz, krwawy pot pocieże...”

Niemniej ochoczo i raźnie szła robota w ogrodzie, pozostająca pod osobistą komendą i nadzorem samej czarnej pani.

I tu, podobnie jak przy budowie szkoły,

każde zadanie musiało być spełnione dokładnie, sumiennie, wzorowo, każda grządkka musiała mieć równe i foremne, do sznura wytyczone kształty. Zarówno legjonista jak i doktorowa miłowali ład i porządek w pracy, a w naturze piękno i starali się te zamiłowania rozbudzić w swych wychowankach.

Budrewiczowa zaprowadziła w tym roku na próbę w swym ogrodzie pewną nowość, z której pomocą chciała wśród dzieci rozbudzać zmysł opiekuńczy nad otaczającym ich pięknem w przyrodzie. Oto wyznaczyła każdemu z dzieci po małej grzędeczce ziemi na kwiaty. Grzędę taką trzeba było skopać, zasiać różnymi kwiatami i codziennie o zachodzie słońca podlewać. Ponieważ jednak w całym zakładzie były wszystkiego trzy koneweczki do podlewania kwiatów, więc dzieci, za przykładem pomysłowego Stacha, prychały na roślinki ustami, czerpiąc wodę z kubków do herbaty. Powstawała z tego najczęściej zabawna muzyka, niby jakaś orkiestra kociego parskania, po której rozlegał się stale wesóły chichot wraz z nawoływaniem:

— A no, jeszcze raz, jeszcze, jeszcze!... Tylko razem, na komendę, aby było głośno!

I rzeczywiście było głośno, nieraz aż zagłośno!

Pewnego majowego wieczora, gdy legjonista po ukończonej pracy, przyglądał się z lubością swemu dziełu, doprowadzonemu już do sklepień okiennych, stanęła niespodzianie obok niego jakaś nieznana postać kobieca w jasnej popielatej sukience i takiej samej bluzce. Na głowie miała kolorową chusteczkę, zawiązaną tak jak u wiejskich dziewcząt.

Wiktor odwrócił się i zadziwił.

Była to sama doktorowa. Zrzuciła już żałobę i ubrała się tak, jak jej było najwygodniej podczas ogrodowej pracy. Od tej pracy na jej twarzy, zwykle bladej, ukazał się nieznany oddawna gość—rumieniec.

Wiktor uśmiechnął się, ale nie powiedział nic.

Wtem przypadła do kobiety Michasia, która także zobaczyła ją po raz pierwszy w jasnych kolorach, przytuliła główkę do jej ramienia i szepnęła z pieszczotliwym przymilem:

— Ładna nasza pani dzisiaj, ładna!...

Przyjemną, choć jednostajną i wytężającą pracę przy budowie szkoły i w ogrodzie prze-rwał na chwilę pożar domku w sąsiedztwie Ochrony.

Domek należał do starego emeryta, leśni-

czego, który liczył już może lat ośmdziesiąt, ale był jeszcze czerstwy, rzeźki i czerwony na twarzy jak piwonja. Jedno skrzydło donku odnajmował biedny szewc na mieszkanie i pracownię.

Kiedy na ulicy wszczął się ruch i hałas: "Ogień, pożar, gore! ratujcie, ratujcie!"... Wiktor nie czekając, skrzyknął swych chłopców, kazał im zabrać konewki i wiaderka i pogonił, co sił starczyło, na miejsce wypadku. Straży miejskiej jeszcze nie było, natomiast nadbiegło kilku ludzi z pobliskiego browaru z sikawką i warzelnikiem na czele. Ten, jako były wojskowy, powitał krótko Wiktora i zawołał:

— Panie poruczniku, proszę nad nami objąć komendę, bo pan tu między nami rangą najstarszy.

Był to zwyczaj wojskowy, i Wiktor zastosował się do niego: powyznaczał szybko ludzi do noszenia wody i do pompowania przy sikawce, dwu zaś strażaków-amatorów, którzy mieli ze sobą strażackie siekierki, posłał na dach, aby zerwali część gontów celem umiejscowienia pożaru.

Sobie zatrzymał sikawkę i prowadził ją śmiało, umiejętnie wzdłuż dachu i tlejących krokwi. Niestety jednak trafem ukazały się na dachu płomyki w takim miejscu, do którego Wiktor z dołu nie mógł dotrzeć strumieniem wody: przeszkadzał mu w tem ustawiony za blisko parkan. Krzyknął tedy na Stacha, który nosił wodę, i kazał mu się wdrapać na gruszę, której ramiona rozgałęziały się nad parkanem.

— Podam ci kran, gdy będziesz na górze — zawołał — ty zaś puścisz wodę na lewo, pod sam komin. Rozumiesz?

Stach wykonał rozkaz błyskawicznie i powlókł strumieniem wody tę część dachu, którą właśnie dwaj strażacy siekierami rozszarpali. Pod naporem tych uderzeń porządna połać dachu odskoczyła nagle i stoczyła się z trzaskiem w dół, aż do samej sikawki. W tej chwili jednak na tle groźnego pożaru zarysowuje się nader zabawna scena, która nawet poważnego Wiktora doprowadza do śmiechu:

Oto w czeleści dachowej na strychu ukazują się postać starego, czerwonego leśnika, który trzyma szewca za koszulę pod gardłem, wodzi nim po całym strychu i krzyczy, rozgniewany w najwyższym stopniu:

— A, ty łajdaku!... To tyś mi ukradł moje drzewo, co?

Prawda, że pożar nad jego głową i duszący dym, ale stary, co pięćdziesiąt lat pilnował w lesie drzewa przed złodziejami, nie mógł tego strawić, aby wyłapawszy kradzież leśną na gorącym uczynku, nie wymierzyć sobie sprawiedliwości! Niewiadomo, czy się było dalej stało, gdyby nie przytomność Wiktora, który w tej chwili krzyknął na Stacha:

— Hej, chłopcze!... A puśceno tam na nich wody, bo inaczej poduszają się jeszcze w płomieniach i dymie.

Stach zwrócił strumień wody na starego i obryzgał mu nią twarz i plecy, jak się patrzy. Dopiero teraz oprzytomniał poszkodowany leśnik, wypuścił zalegnionego szewca z żelaznych uścisków i począł uciekać schodami na dół. Szewce podążył w jego ślady.

Niemal w tej samej chwili przypędziła miejska straż pożarna i rozpoczęła swą chwałką pracę, dzięki której pożar został stłumiony w zarodku. Skończyło się ostatecznie na zerwaniu kawałka dachu i opaleniu się czterech krokwi. Jedynie zabawna scena starego leśnika, wymierzającego sobie "sprawiedliwość" wśród płomieni, pozostała na dłużej w pamięci całej Ochrony.

— — — — —
W pierwszych dniach czerwca robota mularska była ukończona.

Dzieci z Ochrony ledwie wierzyły własnym oczom: w ogrodzie między drzewami stały już mury jednej części przyszłej szkoły, a te mury od samego ich początku, od lepienia cegieł i gaszenia wapna były ich dziełem... ich własnym dziełem! Co za radość!...

— Wiecie, co wy teraz robicie? — zapytał ich Wiktor, gdy stały obok niego i wpatrywały się z zaciekawieniem w otwory okienne i pochłapane wapnem deski.

— Wiemy! budujemy szkołę.

— Nie. Tego jeszcze zamało — odrzekł legionista, pełen wewnętrzznego rozrzewnienia.

— Wy już budujecie swemi własnymi rękami wielką, nową Polskę!

Może i nie wszyscy rozumieli, co to znaczy, lecz czuli to wszyscy, że się dzieje coś pięknego i wielkiego.

Dziewczęta domagały się natarczywie, aby rozebrać czempredziej rusztowanie.

— Co wam na tem zależy? — zapytał Wiktor.

— Bo myby chciały widzieć, jak szkoła wygląda bez drzewa. Musi być ładna!

Dopiero wyjaśnił im Wiktor, że rusztowa-

nia nie można prędzej rozbierać, póki się nie umieści belek i krokwi na dachu.

Teraz też przyszła kolej na owe krokwie, belki i łąty, słowem, na robotę ciesielską. Na-leżało to do trudniejszych nieco zadań, niżeli wyprowadzenie muru, ciesiołka bowiem wy-maga znaczniejszego wykszolenia i większej pewności rąk: zepsutej krokwi nie można tak naprawić jak muru. To też kłopotał się Wik-tor nieco dachem przez cały czas robót mu-rarskich, nawet nie przeczuwając, że ludzie, gdy zobaczą dobry początek, staną się ofiar-niejsi, niżeli się można było po nich tego spo-dziewać.

Oto w ciągu robót odwiedził Ochronkę dok-tór, aptekarz i ksiądz wikary i wszyscy trzej byli pracą dzieci zachwyceni. Wnet rozeszło się po mieście, co się w Ochronie dzieje. Naj-więcej do tego przyczynił się golibroda Do-pytalski, który każdemu gościowi podczas smarowania mydłem twarzy, opowiadał sze-roko o znakomitym kierunku wychowaw-czym pani Budrewiczowej i jej pomocnika Marchwickiego.

Wieści te dotarły do uszu starego Wojtkie-wicza, który umyślnie przyjechał oglądnąć "nową szkołę."

Staruszek obejrzawszy mury, rozplakał się i zawołał:

— Potrzeba wam oczywiście materiału na dach?... Więć bierzcie, bierzcie, ile tylko du-sza zapagnie! Bierzcie, choćby cały las!

Tym sposobem część kłopotów spadła z głowy: belki, krokwie i łąty były!

Nareszcie chodziło jeszcze o zwózkę i cie-sielską robotę. Coprawda, były własne konie do rozporządzenia, lecz zwózka, prowadzona jedną tylko parą koni, byłaby trwała trochę zadługo, a tu trzeba było się spieszyć, aby dach stanął jaknajprędzej i umożliwić wypra-wę ścian przed jesiennymi mrozami. Na szcze-ście, doktorowa posiadała nieco zapasowego grosza, więc można było nająć konie; oprócz tego aptekarz również oświadczył, że w razie potrzeby gotów jest przyjść Ochronie z wy-datniejszą pomocą. Podobne zdanie objawili. doktor i Dopytalski. Jeden tylko wikary nie nie przyrzekał, bo sam był biedny jak mysz kościelna. Tymczasem najrychlejsza pomoc przyszła z tej strony, z której się Wiktor nie spodziewał. Do zwózki zgodził on starego Pa-lisę z Dudnowa. Ten przyprowadził trzech in-nych gospodarzy ze sobą i w pięć par koni wiozł cały materiał w ciągu dwu dni.

Gdy im za to Wiktor chciał zapłacić, gospo-

darze wzniesli dumnie głowy do góry i od-rzekli jeden po drugim temi samemi słowy:

— Nie chcemy! Nie przyjmujemy!

Palisa zaś dodał:

— Węźcie, panie, od nas tę ofiarę. Teraz akurat jest po sianokosach a przed żniwami, to i człek ma kapinkę wytehnienia. Czemu po sąsiedzku nie zaradzić? Jeszcze tylko w tem rzeecz, co będzie z ciesiołką?

— Kolankiewicz i ja umiemy robić toporem. Może jakoś poradzimy we dwójkę — odrzekł legjonista.

— Ja także umiem — rzekł na to Palisa— a i gospodarz Rybak lepszy cieśla niż my tu wszyscy. Jak się we czwórkę do roboty za-bierzemy, to w mąg umiemy krokwy zielenią na dachu...

—Więc wybyście chcieli? — zawołał Wik-tor, wyciągając do gospodarzy radośnie rękę.

Palisa mrugnął na Rybaka, ten zaś od-chrzaknął i skinął głową na znak zgody. Więć pierwszy dorzucił:

— Jutro, skoro świt przyjeżdżamy z narzę-dziami... a do niedzieli krokwie staną na da-chu. Trzeba się spieszyć, bo żniwa już tuj, tuj...

Ludzie ze wsi nie lubią szerokiej gadaniny; gdy jednak obaczą gdzieś ostry, doraźny twardy czyn—pierwsi stają do szeregu. Taka to już stara, polska, piastowska krew...

Nazajutrz równo ze świtanieciem owały się na podwórzu, obok ogrodu uderzenia topora o drzewo i posypały gęste płyty długich cie-sielskich odpadków.

Kiedy dzieci z Ochrony otoczyły po śniada-niu czterech majstrów na podwórzu, siedzą-cych na drzewie jak na koniach i pukających toporami, pierwsza krokiew ze wszystkimi krzyżulecami, wypracowana jako wzór, leżała już w jasnych zarysach na ziemi.

— A my będziemy co robili toporem? — za-pytał Sewerek legjonisty.

— Pozbierajcie trzaski i zanieście do kuch-ni. To wszystko, co wam w tej chwili do pra-cy wyznaczyć mogę. Za tydzień jednak za-cznie się znów wasza robota przy wyprawie ścian, suszeniu piasku pod podłogę i układa-niu dachówek. Narazie znoście dachówki z ce-gielni na górę, aby były pod ręką na każde zawołanie.

Dzieci zabrały się do tych czynności z taką ochotą, że ich do pracy w koszykarni trudno było nakłonić.

**Koniec budowy. — Poświęcenie nowej szkoły.
— Zajęte krowy.**

Dzięki pomocy zaenych włóścian z Dudnowa pod koniec czerwca rzeczywiście krokwie stanęły rzędem na dachu. Teraz mogli oglądać nową szkołę nie tylko opiekunowie Ochronki, którym drzwi zakładu stały otworem, ale i ludzie obcy z ulicy; szkoła bowiem stała na lekkim podniesieniu i zdaleka była widziana. Wkrótce potem ukazali się na jej dachu czterej silniejsi chłopcy i zaczęli przyozdabiać poprzeczne łaty w czerwone dachówki. Publiczność, widząc malców na dachu, uwierzyła wreszcie pogłoskom, krążącym oddawna po mieście, że nową szkołę naprawdę robią własnymi rękami same dzieci z Ochrony.

Bardzo to się ludziom podobało, a praktycznym wynikiem tego były hojne datki na szkołę, bądź to składane samej doktorowej, bądź też w kościele na tacę i do skarbonki, zawieszanej przez wikarego w przedsionku z napisem: "Ofiara na nową szkołę koszykarsko-rzemieślniczą..."

W pierwszych dniach sierpnia szkoła otrzynała drzwi i okna, które Kolankiewicz przygotował był jeszcze w czasie ubiegłej zimy, tudzież zwykłe, miękkie podłogi; ściany i sufity wyszorowali chłopcy sami według wskazówek legionisty. Do całosci brakło już tylko szyb w oknach i pieców, lecz z jednym i drugim można było jeszcze poczekać kilka tygodni.

Narazie urządziła doktorowa poświęcenie nowej szkoły, którego dokonał miejscowy kanonik w obecności wybitniejszych osób z miasteczka. Była przy tej ceremonii zarówno inteligencja z opiekunami Ochrony na czele, byli mieszczanie, był stary Wojtasiewicz, wreszcie zjawili się także dzielni gospodarze z Dudnowa, którzy z powodu uroczystości przywieźli Ochronie całą sprawioną świnkę i dziesięć worów zboża. Po poświęceniu odbyła się dla bliższych znajomych i opiekunów Ochronki bardzo skromniutka, prawdziwie sieroca i wojenna uczta, złożona z herbaty, chleba, masła, sera i owoców. Ożywiało ją jednak gorące uczucie i ogólne przeświadczenie, że dzieje się tu coś ucziwego i pięknego. Podniosły nastrój doszedł do szczytu w chwili, gdy po szeregu przemówień zabrał głos aptekarz i powiedział:

— Na zakończenie dzisiejszej uroczystości mam zaszczyt odczytać szanownym państwu

akt darowizny, który uczyniła przeznaczą doktorowa Budrewiczowa na rzecz powstającej szkoły koszykarsko-rzemieślniczej i związanej z nią wychowawczego internatu.

Tu mówca rozwinął papier i odczytał prawny dokument, mocą którego doktorowa zapisała po swej śmierci dla szkoły część ogrodu, na której stanął budynek, oraz trzy morgi pola, leżące tuż za ogrodem, na przewidziane w przyszłości rozszerzenie zakładu.

Po tych słowach aptekarza posypały się oklaski i powinszowania, składane doktorowej. Ta jednak szybko poprosiła o głos i zawołała:

— Nie mnie, moi panowie, należy się podzięka, bo ja byłam i jestem tylko ślepą wykonawczynią wskazań opiekuńczego ducha, który czuwa dzień i noc nad zakładem, który myśli o jego szczęściu i rozwoju, i który niewątpliwie postawi go na nogi, choć sam oddał jedną z nóg własnych w obronie Ojczyzny. Wiecie zapewne, panowie, o kim myślę i mówię.

Wszystkich oczy zwróciły się na Wiktora, który stał cichutko za dębem i oczy miał utkwione w ziemię. Ruszył zaraz ten i ów ku legioniście, by zacnemu człowiekowi uściśnąć dłoń serdecznie.

Tymczasem doktor zachęcił na uboczu zebranych do składki na okna i piece do nowej szkoły... Pieniądze posypały się jak gruszeki w jesieni, gdy kto mocno drzewem potrzebie. Ludzie lubią widzieć jakieś piękne dzieło, spełnione w ich oczach, wówczas ofiarność ogółu staje się podobną do wezbranego górskiego potoku, który już z oddali szumem i hukiem daje znać o sobie.

Zebrane pieniądze starczyły nie tylko na szyby i piece, ale i na piękne wyposażenie szkoły w ławki, stoły, tablice, liczydła, mapy i inne urządzenia.

W każdym jednak środowisku społecznym znajdują się ludzie, których sprawy ogółu nie obchodzą, którzy o niczym więcej wiedzieć nie chcą, jak tylko o swoich osobistych "interesach", o swoich zyskach, dochodach, zdobywach. Do tego rodzaju ludzi należał sasiad Ochrony, Kurzak, ten sam, który z doktorową Budrewiczową od dłuższego czasu wiodł spór graniczny i rościł sobie pretensje do cegielni. O budowie szkoły i jej poświęceniu nie Kurzak nie wiedział, tak samo o jakiejś ofierze dla niej nigdy dotąd nie pomyślał. Natomiast pewnego dnia przyszło mu coś innego na myśl. Oto już zeszłego roku wpadał w gniew i złość każdym razem, gdy mu służ-

ba donosiła, że dzieci z Ochrony robią coś koło cegielni, że się tam na stokach często bawią, a nawet podobno wypalają na sprzedaż cegły. Postanowił tedy zrobić z tem "łajdactwem" porządek. Mijały jednak tygodnie i miesiące, a Kurzak nie umiał sobie powiedzieć, co powinien uczynić, aby zaznaczyć w dobitny sposób swe prawa do cegielni. Tak przeszedł niemal cały rok bez jakiegokolwiek kroku z jego strony. Dopiero w kilka dni po poświęceniu szkoły, gdy go uwiadomiono, że krowy Budrewiczowej pasą się na stokach starej cegielni, nagle głupi Kurzak wpadł w wielką złość, posłał polowego do cegielni, kazał zająć krowy i zapędzić je na swój folwark!

Był to czyn człowieka, pozbawionego piątej klepki w głowie; wszak krowy doktorowej pasły się często od kilku lat obok cegielni, spór zaś graniczny o tę cegielnię nie został dotąd sądownie rozstrzygnięty. Ale Kurzak nie dbał o takie drobnostki, natomiast toczyła się wojna wraz ze wszystkimi swemi bezprawiami i niesprawiedliwościami jeszcze go bardziej zachęcała do wyrządzenia pani Budrewiczowej jakiejś dokuczliwości. Kazał tedy krowy zająć i pozbawił Ochronę mleka do wieczornej, jaglanej kaszy.

Dzieciaki, dowiedziawszy się o przyczynie swego pokrzywdzenia, odbyły zaraz przy stole walną naradę i uchwaliły wysłać zaraz jutro rano do Kurzaka posłów z oznajmieniem, że jeżeli nie zwróci on natychmiast krów zakładowi wraz z mlekiem wczorajszem, to one urzadzą na jego dwór wyprawę i powybijają mu wszystkie szyby. Na posłów do Kurzaka wybrano Domaniewskiego i Stacha Hultaja. Ci otrzymali równocześnie zlecenie, że mają działać bez wiedzy doktorowej, bo ta napewno nie zgodzi się na energiczny krok swej dziatwy. Przypuszczenie było zupełnie słuszne, albowiem doktorowa natychmiast po stwierdzeniu prawdziwości zajęcia krów przez Kurzaka zaprosiła do siebie aptekarza, doktora i panią Felicję, opowiadała im o całym wydarrzeniu i poprosiła o wdanie się w tę sprawę w charakterze członków sądu polubownego.

Nim jednak ta trójka zebrała się na naradę, obmyśliła wszystkie szczegóły postępowania i udała się do dworu Kurzaka, Stach Hultaj załatwił sprawę sam, na własną rękę, i to w dość energiczny, a przytem i zabawny sposób. Oto nazajutrz rano poszedł z Domaniewskim do dworku Kurzaka, przedstawił się ja-

ko wysłannik Ochrony i w te ozwał się poważne słowa:

— Wczoraj wieczorem jedliśmy postną kaszę jaglaną, bez mleka, a to z tego powodu, że pan kazał zająć nasze krowy... Ochronka nasza jest tak na pana rozzłoszczona, że kazała mi powiedzieć: Jeżeli pan natychmiast naszych krów nie każe wypuścić, to my wszyscy przychodzimy tu zaraz i rozpoczynamy atak kamieniami na szyby pańskiego dworu...

Kurzak skoczył na to jak oparzony, porwał obu chłopców za kark i wyrzucił za drzwi.

Stach mimo tak niegościnnego przyjęcia oprzytomniał rychło, uklonił się nisko swym słomkowym kapeluszem i zawołał:

— Do widzenia, łaskawy panie, do widzenia... Zaraz tu przyjdziemy w liczniejszym towarzystwie z kamyczkami w kieszeniach i upomnimy się o nasze bydelko po sąsiedzku.

Kurzak krzyknął na lokaja i kazał chłopców wyszuczyć psami. Lecz Stach z Domaniewskim dali szybko nura za bramę i uniknęli psiego ataku. W tej samej jednak chwili wyjechał boczną bramą z toku Wojtek drabiniastym wozem. Stach poznał go i zawołał:

— Hej!... Wojtek!... stój, zaczekaj!

A gdy tamten wstrzymał konie, chłopak zbliżył się i zapytał:

— Gdzie jedziesz?

— Do miasta, po deski.

— Podwieź nas trochę.

— Siadajcie! — odrzekł głupi Wojtek — i nie pytając, co tu chłopcy robią, zaciął konie w chwili, gdy obaj usiedli na desce i przez drabinę wypuścili bosc nogi na zewnątrz. Przez całą drogę mileczał Stach i przemysłkiwał nad czemś bardzo wesołym, bo się wciąż sam do siebie uśmiechał i coś mruczał pod nosem.

Gdy wreszcie stanęli przed składem tartego drzewa, Stach podziękował grzecznie sąsiadowi z Rodziejki za miłą przysługę i rzekł:

— Bóg ci zapłać, Wojtek. Idź teraz po drzewo, a my tu zaczekamy przy koniach, aby się nie spłoszyły i nie uciekły.

Wojtek zgodził się na tę przyjacielską usługę z ochotą i poszedł po deski.

— Wiesz, co teraz będzie? — zapytał Stach Domaniewskiego, mrugając filuternie oczyma...

— No?

— Kurzak zajął nam krowy, my zajmujemy mu konie!

— Doskonale! — zawołał rozochocony Domaniewski. — Siadajmy zatem i jazda!

— Mamy czas! — odrzekł na to Stach z powagą. — Niech nam najpierw dodadzą trochę desek. I tak potrzebujemy ich na ławki szkolne i na tablice.

I rzeczywiście, dopiero w pół godziny potem, gdy wóz był do połowy założony deskami, a Wojtek poszedł po kilka ostatnich, Stach porwał bat z ziemi, wskoczył na wóz i szybko odjechał z Domaniewskim do Ochrony. Biedny Wojtek, wyszedłszy z deskami na ulicę, ujrzał swe konie w oddali, zawracające właśnie w boczną uliczkę, ku posiadłości pani Budrewiczowej. Puścił się więc pędem za końmi i przypadł prawie bez tchu do furty ogrodowej. Tu jednak czekał już na niego Staszek Hultaj z wesołym uśmiechem na ustach.

— Ty!... a moje konie gdzie? — krzyknął wystraszony Wojtek.

Stach parsknął śmiechem.

— Twoje konie tam, gdzie nasze krowy, to jest w stajni. Tylko nasze krowy w waszej stajni, a wasze konie w naszej stajni... Idźże teraz nieboże do twego pana i powiedz mu, że nie zobaczy swoich koni prędzej, póki nie każe naszych krów przypędzić do Ochrony. A deski, powiedz, zostaną u nas za procent i za to mleko, któregośmy wczoraj nie jedli. Będą one nam potrzebne na ławki i tablice.

Wojtek chciał iść do doktorowej i prosić o wydanie koni, ale Stach chwycił go za rękę i powstrzymał, czyniąc ogromnie przeżalone oblicze.

— Bój się Boga!... nie idź!... Toż ty nie wiesz, jakiego my mamy złego psa. On kiedyś tu zadusił w ogrodzie złodzieja. A teraz właśnie biega po podwórzu. O, widzisz go?... Tam między krzakami... rusza ogonem!... Prada, jaki straszny?!

Głupi Wojtek nie widział nic, bo psa nie było, ale uwierzył.

Począł tedy biadać na swoją niedolę i skrobać się w głowę.

— Nieszczęście moje, nieszczęście — mówił płaczliwym głosem. — Co mi teraz pan powie! Nabije i wypędzi!

— Nie bój się! — pocieszył go Stach. — Bić teraz nie wolno... A jakby cię tknął palcem, to musiałyby ci dobrze za to zapłacić! Idź tylko i powiedz to wszystko, com ci kazał powiedzieć.

— Ależ on mnie wypędzi!...

— Nie nie szkodzi! Nasz Kasper odchodzi na pierwszego, więc będzie po nim wolne miejsce. Gdy się wstawię za tobą do pani doktorowej, to ona cię przyjmie napewno.

— Mówisz prawdę? — zapytał Wojtek chwiejnie.

— Przecież nie chcę, abyś ty, mój sąsiad z Rodziejki, cierpiał przeze mnie.

Głupi chłopczyzna rozpogodził twarz i uśmiechnął się:

— Jeżeli tak, to pójdę i powiem! Czemu nie?... Mam już tej służby dosyć. Dali-bóg!... pójdę i powiem. Żebyś wiedział, że tak zrobię!

— Ja byłem pewny, że tak zrobisz! — potwierdził Stach z powagą. — Smaruj zatem, Wojtek, smaruj!... a prędko, bo inaczej my znowu na wieczór nie dostaniemy mleka.

Gdy się to działo przed Ochroną, doktor i aptekarz właśnie w tym czasie byli u Kurzaka i przedstawiali mu niewłaściwość jego postępowania, żądając jednocześnie natychmiastowego wypuszczenia krów i grożąc skargą sądową w razie odmownej odpowiedzi. Rozmowa ich odbywała się w cieni-stym ganku, oplecionym zwojami dzikiego wina. Kurzak, wysłuchawszy przemowy obu panów, wpadł znowu w złość i oznajmił, że się żadnych skarg sądowych nie obawia, że pozwoli się procesować choćby do końca świata, a krów nie wypuści, bo słuszność sprawy pó jego stronie!...

Na to wszedł Wojtek na podwórze i zatrzymał się przed gankiem.

— Czego tam?! — krzyknął Kurzak niecierpliwie.

Wojtek, zwykle pokorny i cichy, nie uląkł się tym razem i wypowiedział jednym tchem wszystko, co mu Stach nakładł do głowy. Ale że należał do ludzi tępych, więc pod konie trochę pokreślił:

— Chłopey z Ochronki — mówił — zabrali konie do domu i powiedzieli, że są one w naszej stajni, a krowy w waszej stajni, to jak krowy będą w waszej stajni to konie pójdą do naszej stajni. A potem powiedziała pani doktorowa, że deski zostaną za procent i za wczorajsze mleko, bo są potrzebne na ławki i na tablice.

Doktor i aptekarz zaczęli się śmiać, Kurzak zaś zbiegł ze schodów i potrafił chłopa pięścią ku stajni.

Wojtek zatoczył się, pomrugnął oczyma i odchodząc zawołał:

— Dobrze, dobrze!... pan mi za to zapłaci!

Teraz przyszła kolej na aptekarza, który nie lubił Kurzaka.

— Jak pan widzi — rzekł — obie strony mają w swych rękach jakiś zastaw. Tylko zastaw nasz jest ważniejszy niż pański: bo my każdej chwili możemy kupić mleka naszym dzieciom do Ochrony, pan zaś bez koni podczas zwózki jesteś jak bez ręki. Chcesz pan procesu — i owszem; my go się nie boimy, a pańskie konie więcej warte niż nasze krowy. Będziemy je wynajmowali do roboty i za te pieniądze kupowali dzieciom mleka. A nie, to sprzedamy, i żaden sąd nas za to nie skaże, gdyż nie wolno odbierać sierotom najniezbędniejszych środków do życia. Za parę koni starczy nam mleka choćby na cały rok. Wybieraj pan zatem.

Kurzak milczał i ruszał tylko konopnemi wąsami niby sum.

— W dodatku — dorzucił doktor — narażasz się pan na śmieszność. Całe miasto spieszy dziś z różnemi datkami na nową szkołę, którą sobie dzieci same wybudowały, a pan tym dzieciom: zajmujesz krowy! Oprócz nas prosiła także doktorowa panią burmistrzową do sądu rozjemczego. Pięknie się pan przedstawisz wobec burmistrza, który porucza panu różne dostawy dla wojska!

Kurzak począł rozcierać ręką czoło i tupać gniewnie nogą. Nie wiedział, co czynić. Obawiał się śmieszności i gniewu burmistrzowej, więc odsapnąwszy wkońcu, kiwnął ręką:

— Niech będzie. Zaraz każę zapędzić krowy do Ochrony. Panowie zaś będziecie łaskawi poprosić, żeby mi doktorowa odesłała natchmian konie z wozem i deskami.

— Konie z wozem, tak! ale bez desek — zauważył aptekarz.

— Jakto bez desek? dlaczego?

— Dlatego, że deski ofiaruje pan nowej szkole na ławki i tablice. My wszyscy złożyliśmy nasze ofiary... A pan dałeś już co na tę szkołę?...

— Nawet nie wiedziałem, że tam jest jakaś nowa szkoła...

— Tem gorzej panie, tem gorzej! Taki zażożny obywatel jak pan nawet nie troszczy się najżywoźniejszemi sprawami swojej gminy. Pani burmistrzowa, gdy się o tem dowie, pogńiewa się na pana śmiertelnie i zapewne postara się o to, żeby burmistrz nie pamiętał o panu przy podziale wojskowych dostaw. Jeżeli pan zatem chce, abyśmy całe wydarze-

nie puszczili w niepamięć i nie powiedzieli o panu nic złego pani Felicji, to proszę czem prędzej oświadczyć, że owych kilka desek, co były na wozie, przysłał pan w upominku nowej szkole. I właśnie dlatego wóz tam zajechał. Tylko za tę cenę sprawa pozostanie w tajemnicy, i całe miasto nie będzie się z pana wyśmiewało! Cóż? zgoda?

Kurzak zgrzytnął zębami i odrzekł, tłumiąc w sobie wybuch gniewu:

— A niech tam będzie! Ktoby się z panami dogadał!... Idę i wypuszczam krowy!...

Panowie pożegnali go i odeszli do Ochrony, aby uwiadomić doktorową o odniesionem zwycięstwie.

Rzecz prosta, że bohaterem dnia był Stach Hultaj, bo gdyby nie jego zajęcie koni, Kurzak byłby może dopuścił do procesu; w najlepszym razie nie byłby obdarował szkoły deskami.

Stach Hultaj, dowiedziawszy się o swej wygranej, hulał z radości po podwórzu i opowiadał później przy stole całą swą rozmowę z Kurzakiem i głupim Wojtkiem, zamileczał tylko o tem, że sam wyleciał z mieszkania Kurzaka jak kamyczek, wypuszczony z procy.

XVII.

Piękne stowarzyszenie. — Mielnikowa. — Żółta torebka.

Mimo budowy szkoły nie zaniedbywał Wiktor wraz ze Stachem, Sewerkiem, Liczykrupą, Lisowskim i Domaniewskim swych ukochanych pszczołek.

Co wieczora, gdy słońce zachodziło, szedł ze swą "gwardją" do małej pasieki, złożonej z trzech dzierżonów, oglądał ramki, wycinał plastry z robotą trutniową i praktycznie pouczał chłopców, jak się z pszczołami trzeba obchodzić, dając im nieraz na zmianę do trzymania ramę, ciężką od miodu. Chłopcy, przekonawszy się, że niedrażnione pszczoły łożą spokojnie po ludzkich rękach i wcale nie "tną", nabierali coraz większego zaufania do tej pocziwnej, pracowitej, szarej braci... Zdarzały się jednak kiedyś niekiedy wypadki ukąszenia, lecz i z temi się wnet nasi mali pasiecznicy oswoili, zwłaszcza gdy, patrząc na Wiktora, widzieli jak ten z największym spokojem odrywał od swej ręki pszczołę i usuwał jej żądło. Trafiało się to jednak bardzo rzadko — bo jak sam legjonista powiadał — pszczoły zawsze miały do

niego zufanie i uważały go za swego przyjaciela. Chłopcy, choć kilku z nich chodziło przez pewien czas z zapuchniętymi twarzami, nie zważali wkońcu na żądła, tak bardzo zajęta ich praca wewnętrzna i organizacja tego pięknego stowarzyszenia.

— Tylko się nie zniechęcać — pocieszał Wiktor tych, których jakaś niegrzeczna mucha przypadkowo ucięła. — Pszczelarz zawodowy tak się zezasem do ich jadu przyzwyczaja, że wcale nie puchnie. To też prawdziwi pszczelarze nie używają nigdy masek, ani rękawiek. Co najwyżej obwiązują rękawy sznurkami, bo nie jest już winą biednej pszczołki, że ugryzie, gdy się ją w rękawie mocniej ubraniem naciśnie.

Raz, w początkach sierpnia, po takich oględzinach pasieki — a był to znowu piękny księżycowy wieczór, który zawsze wpływał podniecająco na Wiktora i rozbudzał jego fantazję — zmęczony dzienną pracą architekt i pszczelarz w jednej osobie usiadł na ławce pod dębem i, zapatrzwszy się w jaśniejsze płaty księżyca, przedzierającego się przez liście i gałęzie drzew, tak mówił do swych gwardzystów, którzy dokoła niego inne obsiedli ławki:

— O!... pszczoły piękniejsze tworzą społeczeństwo niż ludzie. Większy u nich posłuch, większy porządek i większa ochota do pracy. Niema między nimi różnych partij politycznych, niema kłótni i sporów. Biedna pszczołka, która sumiennie spełnia swe obowiązki, żyje tylko czternaście dni. W tym czasie tak wystrzępia swoje skrzydełka, szukając miodu po kwiatkach, że wkońcu latać już nie może, upada gdzieś na ziemię i ginie. Praca to jej najlepsza przyjemność; więc też zaczyna ją od pierwszego dnia, gdy tylko wysunie swe wiotkie skrzydełka z poczwarki. Jeszcze latać nie może i ula nie opuszcza, a już krząta się koło sześciogrannych komórek i uczy się je lepić. Nauka tej małej pszczołki trwa zaledwie kilka godzin, i już w tym czasie staje się uświadomioną "pszczołką obywatelką". Później spogląda uważnie na swe siostrzyce i robi to, co one.

— Pszczoły są bardzo mądre! — zauważył Sewerek.

— O! i jak jeszcze! — ciągnął dalej legjonista. — Gdy wylatują z ula po raz pierwszy, rozglądają się bardzo dokładnie wokoło, aby napewno trafić do swego domu. Potem odlatują troszkę i wracają. Jest to próba, czy dobrze zapamiętały drogę...

— I zawsze trafiają do swego ula?... —

— Prawie zawsze.

— A gdy im ktoś ule poprzestawia, to co? —

— O, wtedy pszczołki zabłąkane czują się bardzo strapiione i nieszcześliwe. W swej wielkiej trosce zapominają nawet o kłasnieniu. Gdy jednak przyjaciel-człowiek weźmie taką pszczołkę zabłąkaną i zanieśie do jej właściwego ula... oeh!... jakżeż ona mu jest wdzięczna, jak bardzo się cieszy na widok swej najbliższej rodziny. Pędzi przedziutko niezgrabnymi nóżkami po deseczce, trzepoce skrzydełkami radośnie i dźwiga odwłok w górę, co jest oznaką najwyższego jej zadowolenia. Pszczoły są bardzo mądre: gdy mają opuścić gniazdo rodzinne, aby się wyroić, wysyłają najpierw, podobnie jak skauci lub wojskowi, swoich wywiadowców. Ci szukają miejsca osiedlenia, wracają i oddają sa przewodnikami wyprawy. Matka jest dla nich uosobieniem rodzinnej władzy. Szanują ją, kochają, bronią, a gdy zginie, smucą się dopóty, póki nie wykarmią sobie nowej matki, nowej opiekunki i władczyni. Każdy czerw może być matką, zależy to od sposobu karmienia. W ulu może być jedna tylko matka; druga, gdy przyjdzie na świat, musi zginąć, z wyjątkiem tylko tej, którą społeczeństwo przeznacza na założycielkę nowego rodu.

— A co to, proszę pana, jest "trutień"? — zapytał Sewerek.

— Trutień, to darmozjad płci męskiej, który dużo miodu wyjada, a nie nie robi. Jest grubszy i dłuższy od pszczoły-robotnicy i nie ma żądła. Pszczołki jednak do czasu tylko pozwalają mu korzystać z dobra publicznego. W stosownej chwili wywlekają go za kark z ula, obcinają skrzydełka i zrzucają z pomostu na ziemię, gdzie już ginie śmiercią głodową.

— Ej, nie chciałbym być trutniem! — zauważył Lisowski.

Wiktor uśmiechnął się i po krótkim namyśle dodał:

— Tak, moje dzieci, tak! Naród, który ma dużo trutniów, nikomu się na nie nie przyda i wkońcu zawsze zmarnieć musi. Dlatego też was, małych ludzi, wychowuje się na pracowite pszczoły, a nie na trutniów, inaczej musiałoby was społeczeństwo tępić jak tamtych. Im społeczeństwo bardziej podobne jest do pilnej, zapobiegliwej i pracowitej gromadki dzielnych pszczołek, tem jest mu lepiej, tem pewniej przetrwa każda

zimę, każdą niedzielę. To też przyszła Polska musi pod każdym względem przypominać rój sumiennych, zapobiegliwych i karnych pszczołek. Wówczas będzie nam dobrze...

W dusze dziecięce zapadło nowe, dosadne spostrzeżenie, które miało im być drogowskazem w przyszłym życiu. Po dłuższej dopiero ciszy zapytał Domaniecki:

— Proszę pana: ile jeden porządny ul może dać miodu w ciągu roku?

— Zależy to od okolicy i pogody na dworze. W najlepszych warunkach daje ul około czterdziestu kilogramów na rok.

— O, to dużo! — zauważył Stach.

— Niewątpliwie. Gdyby cała Polska nauczyła się pszczelnictwa i sumiennie chodziła koło tych pracowitych stworzeń, a w dodatku dbała o "pożytek" dla nich, to jest o rośliny i drzewa, mające miododajne kwiaty, wówczas bogactwo kraju znacznieby się podniosło.

— Trzeba sadzić lipy... prawda?

— Tak jest: lipy, akacje i drzewa owocowe. Wszystkie drogi w całej Polsce powinny być powysadzane: jabłoniami, gruszami, wiśniami, lipami, akacjami itd.... wówczas miodu będzie dość.

— I owoców też...

— Pewnie: i owoców też. Dlatego pamiętajcie o tem, że jak ktoś obsadzi drogę wiśniami lub czereśniami, macie zaraz tam pójść i wyciąć sobie najpiękniejszy pęd na bieżysko albo na laskę.

— Ej, nie!... pan żartuje...

— Może i żartuje. Ale niestety, często tak bywa. Za dużo jeszcze u nas dzikusów, barbarzyńców i trutniów. Gdy więc ujrzycie, że ktoś niszczy przydrożne drzewka, pozwalam wam, abyście go porządnie wytargali za uszy.

— Dobrze! — zawołał Stach. — Niechno tylko takiego draba dopadnę, a zaraz zrobię z nim porządek!

— Ale sam będziesz także sadził drzewka przy drodze i hodował pszczoły, co?

— Pewnie, że będę!...

Nastało znów krótkie milczenie.

— Trzeba wam jednak wiedzieć — prze-rwał je Wiktor — że te pilne i pracowite pszczołki umieją być czasem leniuchami, co się zowie.

— Tak?... Naprawdę?...

— W Australji nie było pszczoł. Niemcy, gdy tam potworzyli swe kolonie, sprowadzili z Europy dzierzony i cieszyli się, że będą

mieli słodki miodek. Tymczasem / pszczoły zawzięły się i nie chciały wypełniać miodem woskowiny. Co do kasanja jednak, to cięły, jak i przedtem. Biedni Niemcy mieli popuchnięte twarze, ale słodkiego miodu żaden z nich nie kosztował.

— A to dla czego? — zapytał Lieczykrupa zdziwiony.

— No, jak myślisz, dlaczego?...

— Nie wiem.

— Oto dlatego, że w Australji, w tych okolicach, gdzie Niemcy robili z pszczołami ową próbę, panuje wieczna wiosna, i przez cały Boży rok kwitną kwiaty pełne miodu. Poco zatem nosić miód do ula i składać go na zimę, skoro tam zimy niema? Nie lepiej to wylecieć, najesć się do syta, a potem poleniuchawać... co?... No, jak myślicie?... nie lepiej?

— Pewnie że lepiej! — zauważył Stach w przystępie szczerości.

Na to legjonista, przygarniając go do siebie i przyciągając do piersi, zauważył:

— Pamiętaj jednak, mój chłopeze, że my żyjemy w kraju, gdzie co roku bywają długie i ciężkie zimy...

— Tak, to prawda — potwierdził Stach.

— Na dziś dość! Chodźmy spać, a jutro rano znów jak pszczoły, wstajmy do roboty.

Mówiąc to, Wiktor dźwignął się i pokułał do swej sypialni.

— — — — —

Prawie rok upłynął od chwili, gdy Stach Hultaj odwiedził żonę mielnika w Oborkach i przyrzekł jej nagrodę za wyszukanie żółtej torebki, w której były Januszka rzecezy. Mimo obiecanych dwu dukatów kobieta nie zgłaszała się; widocznie nie mogła się porozumieć z matką, albo też ta zaprzepaściła gdzieś torebkę i nie chciała się przyznać. W Ochronce zapomniano już o mielnikowej i nie przypuszczano, aby na tej drodze dało się coś dla Januszka zrobić.

Chłopczyna rósł tymczasem jak na drożdżach i stał się ulubieńcem całej Ochronki. Sypiał w pokoiku pani Budrowiczowej i miał tam swój stoliczek dziecięcy, na którym układał klocki z drzewa, wycinał nożyczkami obrazki zwierząt, lub też ustawiał w szeregi swe papierowe wojsko. Lubił tę zabawę i zradzał wielkie zamiłowanie do porządku, do wyciągania równych szeregów wojskowych, do kształtnej budowy z klocków.

Stach, przypatrując się nieraz z boku

jego dokładnej "robocie", nazwał go "dobrym gospodarzem". Podchwyciła to Ochrona i odtąd Januszek dla wszystkich stał się "małym gospodarzem", co zarówno doktorowej jak i jemu samemu widoczną sprawiało przyjemność.

Dzieciak zaczął już dość dobrze mówić i wszystko łatwo pojmował. W pracy był chętny i posłuszny, to też, gdy doktorowa szła do klasy na godzinę i kazała mu bawić się przy swoim stoliczku, była pewna, że usłucha, wobec czego nie potrzebowała wyznaczać mu na ten czas jakiejś opieki. Januszek lubił jednak towarzystwo i w porze obiadowej bawił się ze wszystkimi, wyróżniając swą miłością Michasie i Stacha. Zwłaszcza Stach cieszył się gorącą jego przyjaźnią i gdy czasami chłopczyzna grymasił, co zresztą zdarzało się dość rzadko, wystarczyło kilka słów i figlików Stachowych, aby go znowu w dobry wprowadzić humor. Do Hultaja lgnął całą duszą, wciąż się do niego napierał i z nim najchętniej długie prowadził rozmowy.

Że mały dzieciaczek tęsknił do towarzystwa i obcowania ze starszymi, temu się dziwić nie można, natomiast godną podziwu była pieczołowitość, z jaką żywy i zadzierzysty Hultaj otaczał zwykle malca. Stach, bawiąc czasami u Januszka, zmieniał się nie do poznania: miękł, łagodniał, uzbierał się w dziwną cierpliwość i wyrozumiałość.

Legjonista, patrząc z boku na tę chwilową przemianę w uosobieniu chłopca, zauważył raz pociechu wobec doktorowej:

— Rzecz dziwna, jak on zmienia swą naturę: wobec starszych i silniejszych staje zaraz do walki, dla małych i chorych pełen jest serca i wyrozumiałości. To naprawdę urodzony lekarz.

Z częstych rozmów, prowadzonych z Januszkiem, dowiedział się Staszek, że najprawdopodobniej mamusia jego nazywała się "Hela", bo tak tatuś mówił, i że w domu był wielki piesek "Karo", wymawiany przez Januszka zdrobniale: "Kalo"...

Były to, bądź co bądź, ciekawe szczegóły, które w połączeniu ze znakiem, wyszytym na śliniaczku: "J. S.", mogły kiedyś posłużyć do odszukania rodziców chłopczyzny. Doktorowa, przywiązawszy się do malca jak do rodzonożnego dziecka, niebardzo spieszyła się z poszukiwaniami. Postanowiła do końca wojny czekać cierpliwie i dopiero wtedy, gdy się wszystko na świecie uspokoi, rozpocząć

dalsze poszukiwania w drodze ogłoszeń po dziennikach.

Tymczasem pewnego dnia sierpniowego zjawiła się mielnikowa u pani Budrewiczowej i oznajmiła, że właśnie odszukała matkę w Krakowie, że porozumiała się z nią listownie i już wie, co się stało z żółtą torebką, za której odnalezienie miała otrzymać dwa dukaty.

Doktorowa posłała po legjonistę i Stacha.

— Więc pani ma jakieś ciekawe wiadomości? — zapytał Wiktor, wchodząc ze Stachem do pokoju. — Jeżeli torebkę odnajdziemy, to przyrzeczona nagroda z pewnością pani nie ominie.

— Torebka znajdzie się napewno. Właśnie pisała mi matka z Krakowa, że musi ona być w leśniczówce na strychu, za trzecią belką od wozowni... w samym kącie. Obawiała się tyfusu i dlatego ją tam wyniosła, a potem zapomniała zupełnie.

— Dobrze, moja pani, — rzekł na to legjonista — pójdę jutro na leśniczówkę i poszukam torebki na strychu; jeżeli ją znajdę, to Staszek pojutrze przyniesie pani 40 koron w złocie do Oborek.

Nazajutrz wybrał się Wiktor ze Stachem do Glinnika. Chciał iść piechotą, ale doktorowa nie pozwoliła na to i kazała zaprząć konie do wozu, wyścielonego suto słomą. Powtarzając po drodze wzory algebraiczne z pamięci, zajechali do leśniczówki, mocno obaj zaciekawieni. Na szczęście zastali leśniczego w domu i uzyskali jego zezwolenia dokonania zamierzonych poszukiwań na strychu. Barecki, zaciekawiony także, poszedł z nimi na górę. Stach, drżąc z niecierpliwości, wysunął się naprzód i począł jak zwinny kot biegać i skakać między belkami, zaglądając w każdy ciemny kącik, w każdy zakamarek. Naraz krzyknął:

— Jest!... jest!

Istotnie. Żółta, mocno zapyłona torebka ukazała się w jego ręku.

— Stój, zaczekaj, — zawołał legjonista, przekładając z trudem swe szczudło przez belki. — Trzeba najpierw oglądnąć samo miejsce. Jeżeli stara Marychna robiła tu coś z rzeczami, które były w torebce, to bardzo być może, że powyrzucała jakieś papiery na glinę pułapu. Wszak córka jej wspominała o jakichś papierach.

Przypuszczenia Wiktora rzeczywiście okazały się trafne. Oto niedaleko belki, przy której leżała torebka, porzucone były cztery

zwitki papieru gazetowego. Z ich kształtu łatwo można było domyśleć się, że służyły do owijania łyżek, noży, widełców, lub tym podobnych podłużnych przedmiotów.

— Otóż domysł nasz był trafny! — zauważył Wiktor. — W papierach tych kryło się stołowe srebro, jak się zdaje, dwie łyżki, nóż i widelec. Stara kucharka przywłaszczyła sobie te przedmioty i dlatego o torebce nie powiedziała nic nikomu. Mniejsza jednak o te srebrne drobnostki, o wiele cenniejszymi mogą być dla nas porzucone papiery. Musimy przedewszystkiem jak najdokładniej przeszkukać cały strych, czy się jeszcze co nie znajdzie...

Leśniczy zbiegł szybko na dół i przyniósł latarkę. Szukano następnie długo i uważnie, ale nie znaleziono nic więcej. Również otworzono torebkę i badano jej zawartość. Była zupełnie pustą, tylko dno jej wyłożone także było gazetą, oddartą od jakiejś całości.

— Zdaje się, że jest to cała nasza zdobycz — zauważył leśniczy.

— I ja tak myślę — potwierdził legjonista. — Chodźmy na światło, a może uda się coś wywnioskować z tych świstków.

Zeszli na dół i zasiedli w jadalnym pokoju przy wielkim stole, na którym rozłożono znalezione papiery. Leśniczy i Wiktor, ujawniając po kawałku, zaczęli cicho czytać... Stach wlepił oczy w trzeci urywek.

— O, o, o! ... jest coś! — zawołał nagle leśniczy. — Gazeta była krakowskim "Głosem narodu"... bo jest tu taka wzmianka kronikarska: "Czas", polemizując z nami, powiada: "Głos narodu"... itd.

— Niewątpliwie jest to "Głos narodu". Czytywałem go przed wojną i znam jego papier, druk, rozmiary. Tymczasem urywek mój jest częścią "Kurjera Warszawskiego". I te kształty znam dobrze, — zwłaszcza anonse. Widocznie pakowano w dwie gazety — wywodził legjonista. — Jednak w gruncie rzeczy mało nas to obchodzi, jaki tytuł nosiła ta czy owa gazeta. Jedynie to tylko jest charakterystyczne, że jedna gazeta była krakowska, druga warszawska.

— Jakiż z tego wniosek?...

— Właśnie, że niema żadnego — odparł Wiktor. — Powiedziałbym nawet, że nie, po której idą wnioski, została przez to jeszcze bardziej splątana. Szukajmy jednak daty. — Ty, Stachu, nie nie wyczytałeś w swoim świstku?

— Zdaje mi się, że nie. Niech pan jednak sam popatrzy.

— Pokaż...

Legjonista wziął do ręki świstek Stacha, Bartecki zajął się odczytaniem czwartego. Po krótkiej chwili mileżenia wykrzyknął tym razem Wiktor.

— Otóż mam!... przecież coś mam!

Leśniczy zerwał się i stanął za jego plecyma:

— Widzi pan? — objaśniał legjonista. — Tu był adres... Niestety, przedarto go w bardzo nieszczęśliwy sposób, tak, że nazwiska adresata nie mamy. Jest tylko ostatnia poczt... O, proszę: "p. Tomaszów".

— Istotnie! — klasnął w ręce leśniczy. — Przecież coś się znalazło... "p. Tomaszów." Znaczy to: "poczta Tomaszów." Ba, ale który, bo ja znam ich dwa: mazowiecki i lubelski.

— Ja znam i trzeci — dorzucił Wiktor — koło Żyrardowa. A jeżeli się nie mylę, to gdzieś nad Narwią jest jeszcze czwarty.

— Żle! — mruknął leśniczy. — Nieszczęśliwa jakaś ręka darła ten papier, co właśnie musiała obdrzeć początek i koniec adresu. Nie ulega przecież wątpliwości, że po "Tomaszowie" musiało być dodane "lubelski," "rawski", "mazowiecki", czy jaki tam!

— Zapewne, zapewne — potwierdził Wiktor.

— Ostatecznie, zawsze jest coś. Przedewszystkiem trzeba by stwierdzić, ile w Polsce mamy wsi i miasteczek o nazwie "Tomaszów", a dalej także dowiedzieć się, w którym z nich są urzędy pocztowe. Może z tego coś wyjdzie. Na szczęście nasz kanonik ma polski słownik geograficzny, w którym znajdziemy łatwo odpowiedź na pierwsze pytanie, urząd zaś pocztowy odpowie nam na drugie.

Tu legjonista wstał i kończył wywód, żegnając się.

— Musimy już jechać. Prosiłbym pana, abyś raczył udzielić nam tych kartek. Pragnę je pokazać doktorowej i przeglądnąć jeszcze raz jak najdokładniej. Jeżeli bym coś więcej znalazł lub wywnioskował, to opowiem panu o tem w przyszłą niedzielę.

Bartecki przystał z ochotą na prośbę Wiktora i oddał mu torebkę wraz z gazetowymi kartkami. Wszystko to zresztą było własnością Januszka.

W drodze Wiktor popadł w zadumę i milczał. Widocznie rozpatrywał rzecz z różnych punktów widzenia. Stach początkowo krępo-

wał się i mileżał także, nie chcąc przeszkadzać swemu nauczycielowi, wkońcu jednak znecierpliwiał się i nie wytrzymał.

— Proszę pana, — zawołał — a jakby tak napisać do księdza w jednym i drugim Tomaszowie?... Przecież któryś z nich musiał chrzcić małego Januszka.

Wiktor uśmiechnął się.

— W jednym i drugim Tomaszowie wielu jest księży, do którego więc pisać?

— Do proboszcza.

— Przypuścimy. To byłby najprostszy sposób. Zapomniałeś jednak, mój chłopcze, że tam jest nie „w Tomaszowie”, tylko „p. Tomaszów”... Cóż to może oznaczać? Pomyśl i powiedz sam.

Stach zastanowił się.

— Znacząłoby to — zauważył po chwili — że to miejsce, dla którego była przeznaczona gazeta, leży poza Tomaszowem, a tylko codziennie, jak od nas z Rodziejki, posyła się do Tomaszowa po listy...

— Otóż to właśnie! Rozumujesz zupełnie słusznie. Lecz w takim razie dokola jednego i drugiego Tomaszowa może być po 30, 40 takich miejscowości, które posyłają po listy do miasta.

— W takim razie napisać do wszystkich proboszczów...

Wiktor zastanowił się:

— Hm... Niewątpliwie byłaby to myśl rozsądna. Czemu nie? możnaby napisać... Albo może jeszcze lepiej zwrócić się do głów naczelnych kościoła w obu tych miejscowościach i prosić, by się odnieśli z takim zapytaniem do swych księży podwładnych... Bo jakże tu pisać aż 80 listów...

— My napiszemy. Jest nas w wyższej klasie ośmnaścioro, to każde miałoby po cztery listy do napisania. A to, co do ośmdziesięciu braknie, napiszę ja sam. Byłoby to... zadanie domowe dla wyrobienia sobie pisma.

Wiktor rozśmiał się uradowany:

— A wiesz, mój zuchu, że cię tym razem posłucham. Ułożę treść listu, potem poprosimy pani doktorowej, by na godzinę pisania kazała go przepisać po cztery razy, ale tak ładnie, jak tylko kto umie. Będzie to zajęcie miłe i pożyteczne. Bo najpierw wszyscy będą czuli, że nie tylko wypracowują zadanie, lecz także przyczyniają się do odnalezienia rodziców Januszka, powtórę będą się starali napisać listy jak najładniej. A to także coś warte!... Zatem zgoda! Nim jednak ukończycie waszą robotę, ja postaram się o bliższe

szczególne do miejscowości, zwanych „Tomaszowem”, i co do miejscowości pocztowych.

Dojechali do Ochronki i wyskoczyli z wozu. Stach trzymał triumfalnie żółtą torebkę i na padające ze wszystkich stron zapytania odpowiedział:

— Wiemy już, że Januszek pochodzi z okolic jakiegoś Tomaszowa. Wszyscy będziemy mu szukali rodziców. Napiszemy 80 listów. Na każdą głowę przypadnie po cztery. Przyrzekłem panu w waszem imieniu, że wszyscy spełnicie swą robotę sumiennie. Zgoda?

— Tak jest! Zgoda, zgoda! — ozwały się liczne głosy.

Doktorowa, wysłuchawszy całego opowiadania Wiktora, przystała na to oczywiście bez wahania, aby dzieci zamiast ćwiczenia szkolnego zajęły się napisaniem każde czterech listów tej samej treści w sprawie Januszka. Pismo miał ułożyć Wiktor. Jeszcze tego samego wieczora zabrał się on do pracy, rzucił na papier szkic listu, w którym streścił historję przybycia Januszka na leśniczówkę, nadmieniał dalej o śmierci dziewczyny, która się nim opiekowała, i dodał wkońcu, że na jednej z chusteczek dziecięcych są wyhaftowane litery „J. M.”, że matka Januszką najprawdopodobniej nosiła imię „Heleny” i że w domu był, jak się zdaje, pies „Karo”.

Kiedy następnego dnia pokazano Januskowi żółtą torebkę, malec ucieszył się i zawołał:

— Moja tolba, moja tolba!...

Na dalsze pytanie: „co w niej było”, odpowiedział:

— Było papu i było dobre jabłusko.

Tyle tylko pamiętał.

W słowniku geograficznym stwierdził Wiktor, że w Polsce są trzy większe „Tomaszowa”, a to: lubelski, rawski i żyrardowski, oprócz tego dwanaście wiosek, przysiółków i osad tej samej nazwy.

XVIII.

Listy rozesłane. — Dalsza nauka. — Niespodzianka.

Mimo rozesłania ośmdziesięciu listów do różnych parafji, leżących w okolicach Tomaszowa mazowieckiego i lubelskiego, i mimo powtórnego ogłoszenia doktorowej w kilku dziennikach warszawskich nie zgłosili się do

Ochronki ani rodzice Januszka, ani też nikt z jego krewnych.

Przyszło wprawdzie kilka zapytań o inne zaginionie dzieci, lecz te z Januszkiem nie miały nie wspólnego.

Tym sposobem życie w Ochronie popłynęło dalej zwykłym trybem. Dzieci z każdym miesiącem rozwijały się coraz bardziej, pracowały coraz ochotniej i zarabiały coraz więcej, tak, że doktorowa poczęła odkładać im część zarobku do kasy na powrót po wojnie do domu. Oprócz tego przyjęła doktorowa w drugim roku jeszcze szesnaścioro dzieci, z których dziesięcioro należało do t. zw. "dochodzących" z miasta. Dzięki wykonanej budowie było teraz w szkole i pracowni przestronnie, jasno i wygodnie. W dodatku gdy się wieść rozeszła o wybudowaniu nowej szkoły rękoma samych dzieci z Ochrony, posypały się na nią z różnych stron liczne datki i ofiary; tym sposobem pusta zwykle dotąd kasa doktorowej stawiała się z każdym dniem coraz zasobniejszą.

I znów nastała zima, która dzięki wytężającej pracy zarówno w szkole jak i po warsztatach minęła lotem jaskółki, i znów nadpłynęła rozkoszna wiosna, podczas której dzieciaki przystąpiły do budowy dalszego skrzydła szkoły, do uprawy ogrodu, sadzenia karłowatych drzewek, szczepienia, okulizowania i do pielęgnowania ukochanych pszczołek, które teraz często wywdzięczały się dziatwie za jej przyjaźń, udzielając wonnego wiosennego miodu jako okrasę na świąteczne pieczywa. Coprawda, nie były one tak grzeczne i ofiarne z własnej dobrej woli, albowiem podbierał im miód najeźsiej Sewerek bez ich zezwolenia, a Głodomór wykręcał go z plastrów z wielkim zapalem, oblizując co chwila palce, — mimo to, pocziwe pszczołki, dziś przez ludzi obrabowane, zaraz następnego dnia zabierały się z nadzwyczajną pilnością do roboty i wnet pustą woskową wypełniały słodką patoką.

Stach Hultaj wciąż uczył się pilnie z legjonistą do egzaminu z czwartej klasy i, według zdania Wiktora, z każdym miesiącem coraz większe robił postępy. Z prawdziwym zamiłowaniem przykładał się zwłaszcza do nauk przyrodniczych, ale i w językach nie należał do tępych. Zarówno Wiktor jak i doktorowa byli przekonani, że już obecnie mógłby się do egzaminu i zdać go zupełnie dobrze, mimo to nie spieszyli się z wysłaniem go do gimnazjum po pierwsze dlatego,

że narazie było jeszcze trochę za mało pieniędzy w kasie, ażeby go móc utrzymać kosztem Ochrony w większym mieście, powtóre i dlatego, że oboje pokochali Stacha serdecznie i nie chcieli go jeszcze tracić z oczu.

— Na przyszły rok, na przyszły rok! — tłumaczył Stachowi legjonista. — Gdy przerobimy jeszcze lepiej formy łacińskie, gdy wypracujemy więcej matematycznych zadań, wówczas napewno zdasz do piątej klasy i nie będziesz miał żadnych braków za sobą. A to rzecz w dalszej nauce niezmiernie ważna.

Stach nie miał nic przeciw tej zwłoce i godził się pozostawać w Ochronie jak najdłużej. Było mu tu dobrze, swojsko, ciepło...

Kiedy zatem życie w Ochronie płynęło jednostajną, zwyczajną falą, a na dalekich horyzontach wciąż grały armaty ponurego, pogrzebowego marsza, naraz pewnego dnia letniego doczekały się dzieci czegoś nadzwyczajnego, co ich z jednej strony mocno uradowało, z drugiej potrosze zasmuciło.

Oto znaleźli się rodzice Januszka...

Przyjechali do Ochrony, rozpoznali swe dziecko i zalali się łzami rzewnej radości.

Pani Helena Świdwicka uknęła przed dzieckiem i poczęła obsypywać jego okrągłutkie rączką tysiącem pocałunków; ojciec stał na uboczu, wpatrywał się w maleńką roziskrzonymi oczyma i ocierał chusteczką łzy, sphywające mu po twarzy.

— Ach, jakież on duże, jaki śliczny! — wołała pani Helena w ciągłym zachwycie.

Januszek jednak przeląkł się, nachmurzył i przytulił do doktorowej, jakby ją prosił o obronę przed napaścią tych obcych ludzi...

— Cóż dziecino... — pytała wciąż pani Świdwicka, przymilając się serdecznie — nie poznajesz swojej mamusi, nie poznajesz tatusia?... co? nie poznajesz?...

Wmałej główce dzieciaka zwolna zaczęło coś świtać. Wyciągnął po chwili rączkę i począł się bawić wisiorkiem złotego zegarka, co wisiał na długim łańcuchu omotanym dookoła szyi pięknej pani. Wreszcie rzekł:

— Zigołek!...

— Tak jest... zegarek... ten sam zegarek, który ci mamusia przykładła do uszka, a on mówił: tyk, tyk, tyk... pamiętasz? Posłuchaj: ten sam!...

Januszek posłuchał i zaśmiał się. Teraz już przypomniał sobie wszystko: i drewnianego konika, na którym się huśtał po poko-



...pamiętasz? Posłuchaj: ten sam...

ju, i płóciennego zajęczka, i żywego pieska z kasztanowatemi łatami na grzbiecie, który biegł za chusteczką i przynosił ją w zębach, a nazywał się "Karo."

Gdy wreszcie dostał kilka cukierków, wyciągnął obie ręce do swej rodzonej mamusi i poszedł do niej na kolana.

Teraz dopiero pani Swidwicka, otoczywszy ramionami swój skarb odnaleziony, zaczęła opowiadać doktorowej o swych losach.

Ranna w nogę na polu walki, mało tam z upływu krwi nie umarła. Odnaleziono ją dopiero następnego dnia zemdloną i zabrano do powozu. Ponieważ ofensywa niemiecka postępowała wciąż za nimi, więc nie mogli zatrzymać się nigdzie dłużej, nie chcąc dostać się znowu pod kule. Matka mimo rany, co prawda znacznej i bolesnej, ale nie niebezpiecznej, chciała koniecznie wrócić przez linję bojową do dziecka, jednak władze wojskowe nie pozwoliły na to i kazały szybko cofać się wstecz; wobec tego postarali się o polowego felczera, który założył prowizoryczny opatrunek, i jechali dniem i nocą dalej w głąb Wołynia — aż wreszcie, upadające zupełnie z sił konie dociągnęły ich jakimś cudem do Zytomierza.

Tu musiała pani Helena u krewnych przeleżeć w łóżku przeszło pół roku, nim zdołała przejść o własnych siłach przez pokój. Rodzice myśleli wciąż o Januszkę i pisywali przez Szwecję listy do krewnych i znajomych w Królestwie, prosząc o wdrożenie poszukiwań; listy te jednak, jak się później okazało, nie doszły na miejsce przeznaczenia. Dopiero następnego roku oświadczyli i jeszcze, iż pani Helena wytrzyma podróż do Królestwa przez Sztokholm i Danję, ale na to trzeba było zezwolenia władz wojskowych w Petersburgu. Wnieiono podanie... Długo nie było odpowiedzi, aż wreszcie przyszła — ale odmowna. Trzeba była zatem prośbę ponawiać. Wkońcu doczekali się państwo Świdwicy przepustki i rozpoczęli swą ciężką podróż przez kraje północne, która trwała blisko trzy miesiące. Przybywszy do Królestwa, odwiedzili w poszukiwaniu za synem wszystkich krewnych i bliższych znajomych, jednak nigdzie nie o dziecku nie wiedziano. Były chwile, że już stracili zupełnie nadzieję odszukania go kiedykolwiek. Ogłaszali także po dziennikach — atoli rzecz dziwna, że ani legionista, ani doktorowa właśnie owych gazet nie czytali. Tymczasem zauważył odezwę rodziców jeden z tych proboszczów,

do których przed rokiem dziatwa z Ochronki napisała ośmdziesiąt listów. Ten szczęśliwym trafem zatrzymał swój list w szafce i odesłał go rodzicom, gdy wyczytał w "Kurjerze Warszawskim" ich ogłoszenie. Tym sposobem państwo Świdwicy doszli wreszcie po nitce do kłębka i odszukali swego jedynaka.

Wszystko to opowiadała pani Helena długo i szeroko ze wszystkimi szczegółami, a Januszek słuchał, słuchał, słuchał i wreszcie usnął.

Państwo Świdwicy, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, przesyconego nadmierną szczęściem, zwrócili się do Budrewiczowej z wyrazami gorącej wdzięczności:

— Teraz, kiedy Bóg nam dopomógł odszukać nasze dziecko pod opiekuneczem skrzydłem tak zacnej kobiety jak pani — mówiła matka Janusia — musi łaskawa pani pozwolić, abyśmy okazali naszą wdzięczność nie tylko słowami, ale i jakimś poważniejszym czynem. Otóż prosimy o bliższe wskazówki, co mamy uczynić dla całej Ochronki jak i dla tych osób w Ochronie, które najwięcej okazały naszemu synkowi serca. Jesteśmy ludźmi zamożnymi, ja zaś uczyniłam taki ślub, że oddam wszystko, com od rodziców na wiano dostała, bylebym tylko odszukała moje dziecko. Proszę przeto zając panią o wskazówki, w jaki sposób mam ten mój ślub spełnić... Co do Ochronki, to postanowiliśmy z mężem posyłać dla niej co roku po 2000 koron przez lat dziesięć, teraz prosilibyśmy jeszcze o wnioski co do tych osób, któreby należało jeszcze osobno wynagrodzić.

Doktorowa pomyślała chwilę i odrzekła:

— Najgorliwszym opiekunem Januszka był jeden z naszych chłopców, nazwiskiem Stach Lubiec. Jemu też w znacznej mierze przypisać należy ten fakt, że państwo wpadli na ślad pobytu Januszka.

Tu pani Budrewiczowa opowiedziała, jak Staszek, niezachęcany przez nikogo, rozpoczął poszukiwania na własną rękę, jak wpadł na trop żółtej torebki, jak ją odszukał przy pomocy Dudy i mielnikowej, którym obiecał za to jakąś nagrodę, wreszcie jak zachęcił dziatwę do napisania ośmdziesięciu listów, z których jeden przecież trafił do rąk państwa Świdwickich.

— Sądzę, — kończyła doktorowa — że dziś należałoby spełnić przyrzeczenie Stacha, dane mielnikowej i Józkowi Dudzie.

— To się dziś jeszcze stanie — odrzekł ojciec Januszka.

— Dobrze — przerwała mu pani Helena — ale jaką nagrodę wymyśleć dla tego zacnego chłopca, który tyle okazał serca naszemu Januszkowi? Przecież on w pierwszym rzędzie zasługuje na jakiś piękny dar, gorący upominek. Niechże nam pan poradzi... bardzo serdecznie prosimy!...

— Staszek jest chłopakiem ambitnym i o materialne nagrody nie dba — odrzekła na to doktorowa. — Ma on jednak ogromne zamiłowanie do nauk i chce być doktorem. — Mój przyjaciel, porucznik legjonów, pan Wiktor Marchewski przygotowywa go już od trzech lat do gimnazjum i zaręcza, że z chłopaka będą ludzie.

— Skądże on nabrał takiej ochoty do medycyny? — zapytał p. Świdwicki.

— Jest to wogóle bogata natura — odrzekła doktorowa — zwłaszcza bogata pod względem gorącego uczucia dla wszystkiego, co małe, biedne i słabe. Przez pewien czas był w okopach przy lekarzu Polaku i doglądał rannych... Zresztą, mój Boże, któż z nas wie, skąd się rodzą i jakimi drogami podążają ludzkie zamiłowania? to pewne, że Staszek chce być doktorem i wierzę, że nim będzie...

— Czy on ma jednak dostateczne środki, by mógł uczęszczać do gimnazjum i na uniwersytet? — zapytał znów Świdwicki.

— Nie ma. Ja i pan Wiktor postanowiliśmy mu w miarę możliwości dopomagać.

Pani Helena plasnęła w dłoń:

— W takim razie przyjmijcie mnie państwo do spółki jako trzecią opiekunkę Stacha Lubicza. Mam ja w Warszawie siostrę zamężną, kobietę bardzo bogatą, która, jak sądzę, chętnie przystąpi do naszej spółki jako czwarta. W domu jej roi się od biednych studentów i studentek, inwalidów i sierót... Ręczę, że będzie bardzo szczęśliwą, gdy da nowej Polsce jednego więcej dzielnego doktora. Zawieziemy zatem Stacha do siostry, a ona już znajdzie dla niego stosowny pokój w jednej ze swych kamienic. Zatem zgoda?! Nieprawdaż, że zgoda?!...

Mówiąc to, pani Helena chwyciła rękę doktorowej i wstrząsnęła nią mocno raz po raz...

— I owszem, i owszem — odrzekła z uśmiechem Budrewiczowa. — Im mniej wydamy na Stacha, tem więcej zostanie dla Ochronki, dlatego też postanowienie pani z wdzięcznością przyjmujemy. Ręczę jednak, że nie będzie to ze strony państwa ofiara bez-

celowa, bo Staszek — o ile go znam — przyjmując dziś wsparcie dobrych ludzi, jutro skoro dojdzie do stanowiska, sam będzie innym wsparć udzielał. A więc ofiara łaskawych państwa przypominać będzie owego legendarnego dolara Franklina, który podobno od przeszło stu lat wciąż jeszcze błąka się po Stanach Zjednoczonych, i niejedną oddał ludzkości przysługę. Przyjmuję zatem dar państwa i z końcem sierpnia wyprawiam Staszka do Warszawy.

XIX.

Odjazd Januszka. — Na włosku. — Nowiny.

Państwo Świdwicey odjechali nazajutrz z Januszką do swych posiadłości.

Mały chłopczyzna tak przywykł do Ochronki, że zachodziła obawa, iż nie zechce rozstać się z p. Budrewiczową, Michasią, Staszkiem Hultajem i innymi, lub co najmniej swe pożegnanie gorzkimi obłędami łzami. Powiedziano mu zatem, że jedzie tylko na krótko, na kilka dni, aby zobaczyć pieska "Kara".

Januszek żegnał się tedy z wielką fantazją i upewniał wszystkich, że: "jutro" z pieskiem i mamusią przyjedzie znowu.

Kiedy jednak odjechał, w Ochronce zapanała jakby pustka. Wszystkim brakło naraż czegoś małego a zabawnego, co się rano, w południe i wieczór kręciło koło nóg ludzkich i szezebiotało.

Zwłaszcza silnie podzialała ta pustka panią Budrewiczową, która poczuła, że naraż ścisła ją coś za gardło, coś szarpie w mózgu i pali ogniem pod skroniami...

— Cóż to!... — pytała sama siebie — czyżem już tak zdzieciniała?... Przecież na odjazd chłopca byłam przygotowana oddawna, przecież cieszyć się muszę, że dostałam z powrotem kochających go rodziców, że rodzice odszukali swe jedyne dziecko!... Więc co?...

Mimo takiego rozsądnego tłumaczenia ból z piersi nie ustępował, przeciwnie, wzrastał z godziny na godzinę. Wieczorem, przy herbacie oparła kobieta głowę na dłoni, przymknęła powieki i rzekła sennym głosem:

— Coś mi jest...

Wiktor spojrzał na nią i zawołał;

— Pani jest chora! Toż pani ma na twarzy ceglaste wypieki...

— Tak... Jestem chora... — wyszeptała Budrewiczowa — i wiem nawet, co mi grozi.

— No? — zapytał niespokojnie Wiktor.

— Tyfus...

— Cóż znowu!

— Nie łudźmy się, tak już jest... Przed tygodniem odwiedzałam chorą na tyfus Kasię w szpitalu... I stąd to poszło... Jestem przecież żoną lekarza i o chorobach nasłuchiłam się dość; znam ich początki dobrze.

— Poślę zaraz po doktora Karlińskiego!

— Nie trzeba. On dziś nie nie rozpozna, jeszcze za wcześnie. Jutro, mój panie, jutro... Zresztą ja sama wiem wszystko i bez Karlińskiego — mówiąc to, dźwignęła się z trudem, podała rozpaloną rękę Wiktorowi i odeszła do swego pokoju.

Anioł śmierci stanął przy łóżu pani Budrewiczowej i rozpostarł swa czarne skrzydła gotowe do odlotu w dalekie ślady.

U łóża jej czuwają dzień i noc Wiktor, Stach Lubicz i panna Zimska. Dwa razy dziennie przychodzi doktor Karliński, ogląda papieraek, na którym zapisuje Zimska skoiki temperatury, rusza głową i nie mówi nic...

Aż pewnego dnia na twarzy jego zarysowała się silna zmarszczka. Doktorowa oddawna bredzi. Mówi wiele, jęczy, wzdycha, śmieje się, wydaje rozkazy... to znowu wypreża się i sztywnieje, jakby już kończyła życie.

Wiktor patrzy z zapartym oddechem w słodką, dobrą, szlachetną twarz kobiety i drży znacznie więcej niżli przed pierwszym atakiem na bagnety. Przez zaciśnięte zęby wymyka mu się lekkie pytanie:

— Konsyljarzu!... Czy to już koniec?

— Nie! — odburknął doktor, pocierając dłonią czoło.

— Ale nadziei już nie ma? prawda?...

— Ach! co za dzikie przypuszczenia! — zachnął się lekarz opryskliwie — póki serce stuka w piersi, obowiązkiem naszym jest nie tracić nadziei! Pan przecież wojskowy.

— Tak, tak — odpowiada Wiktor głosem, podobnym do smutnego echa. — Ja przecież wojskowy...

— Odejdźcie na chwilę — rozkazuje doktor...

Legjonista i Stach wychodzą na ganek. Chłopak chwycił rękę nauczyciela, popatrzył mu w oczy i zawołał łkając:

— Panie! ona nie umrze!

— Powinna umrzeć...

— Dlaczego?!

— Dlatego... dlatego — tu Wiktor zawałał się i dodał cicho z wysiłkiem — dlatego, że ja mam już takie szczęście, iż wszyscy,

których kocham, umierają w moich oczach... Dwu serdecznych przyjaciół straciłem w Karpatach. Obaj skonali na mojem ramieniu...

— Nie, nie! tak nie będzie. Ja mówię, że nie będzie! — Przy tych słowach Staszek zbierał jak ścianą, ale zarazem stwardniał i zakamieniał w sobie.

— Nie, ona musi żyć!... musi żyć dla mnie... a moje szczęście silniejsze od pańskiej niedoli — dorzucił silnie.

W kącikach oczu Wiktora ukazały się dwie wielkie łzy i potoczyły się wolno po zmęczonej ziemistej twarzy.

— Obyś mówił prawdę!... — wyszeptał i odetchnął głęboko...

A przecież!...

Przecież Stach powiedział prawdę! Budrewiczowa przetrzymała najcięższą chwilę i oparła się śmierci.

Czarny anioł odwrócił się od jej łóża, rozpostarł kirowe skrzydła i odleciał w przestworza sam...

Od tej chwili kobieta, choć jeszcze bardzo wyczerpana, wracała już z wolna do przytomności. Gorączka ustąpiła, i umysł więcej nie majaczy, lecz jest jeszcze waty jak pajęczyzna, niebardzo podechwytny ani też dłużej nie zatrzymujący wrażeń.

Wiktor jednak uśmiecha się sam do siebie i wzdycha rozkosznie. Choć już piąty tydzień czuwa u łóża, nie czuje ani zmęczenia, ani sił utraty. Stach również trzyma się dzielnie. Do snu trzeba go po prostu pędzić, inaczej nie odstępowałby od chorej po dwie doby bez przerwy. Doskonały ma humor i przechwala się, iż to on tak huknął gniewnie na staruchę z kosą, że ta uciekając, zgubiła po drodze jeden kalosz w kuchni koło komina.

— Ot, bieda, że już czas do szkoły, a my wciąż jeszcze siedzimy w domu — zauważył z troską legjonista.

Rzeczywiście od dwu tygodni rozpoczęła się po gimnazjach nauka, a Stach wciąż jeszcze siedział u łóża chorej.

Pod koniec sierpnia otrzymał piękny kuferek od państwa Świdwickich z ubraniem szkolnem. Ubranie, jak ubranie, ale czapeczka z białym orzełkiem cieszyła chłopca niepomrotnie. Obok ubrania leżał liścik pani Heleny, w którym zaczęła ta kobieta pouczać chłopaka, co ma uczynić za przyjazdem do Warszawy i gdzie się zgłosić.

Z razu chciał go Wiktor odprowadzić i



Rozbawiona Gromadka.



Poranek.



ŻARTY I DOWCIPY



MŁODZIUTKA PACJENTKA.

Doktór: — To jest migrena. Ileż pań na nią cierpi! Ażeby uwolnić się od tej przykrej dolegliwości, radzę pani postarać się jaknajprędzej wyjść za mąż.

Pacjentka: — Ależ, panie doktorze, od trzech lat jestem mężatką.

Doktór: — Czy podobna? A ile lat liczy szczęśliwy małżonek pani?

Pacjentka: — Siedmdziesiąt.

Doktór: — W takim razie radzę kochanej pani postarać się jaknajprędzej o rozwód.

ZE ŚWIATA DZIECIĘCEGO.

Tatus i Jaś siedzą przy śniadaniu.

Tatus (krzywiąc się): — Szkaradna kawa! Znowu mleko musiało być sfalszowane!

Jaś (zaciekawiony): — Prawda, tatusiu, że takie fałszowane mleko to daje fałszowana krowa?

NOWA LECZNICA.

Jeden z tutejszych filantropów zamierza założyć nową lecznicę, w której leczyć będą chorych następujący lekarze:

Na brak gotówki — Dr. Praca.

Na błagę — Dr. Ironia.

Na oszczerstwo i plotkarstwo — Dr. Pogarda.

Na zaczepianie kobiet — Dr. Stacja Pol.

Na marnotrawstwo — Dr. Nędza.

Na lichwiarstwo — Dr. Kryminał.

Na chęć złowienia posagu — Dr. Odkosz.

Na sprzeniewierzenie się żonom — Dr. Zdrada.

Dla kobiet wyznaczeni są inni lekarze, których nazwiska niżej podajemy:

Na romansowność — Dr. Staropanieństwo.

Na kokieterję — Dr. Obojętność.

Na karkowatość i wypychanie kształtów — Dr. Zła-opinja.

Sądźmy, że założenie tej nowej lecznicy bardzo jest na czasie i że kuracje w niej dokonywane wydadzą dobre rezultaty.

NA PENSJI PANIEN.

Nauczycielka: — Co to jest las dziewczycy?

Uczennica: — Jest to taki las, gdzie ręka ludzka nigdy jeszcze nogą nie powstała.

DOMYŚLNY SYNEK.

— Dlaczego, proszę mamy, ciocia już tak dawno u nas nie była?

— Bo od sześciu tygodni bawi w kąpielach.

— To dopiero musiała być brudna, kiedy aż tak długo się kąpie.

NIEPOCIESZONA.

— A czegoż to, Walentowa, tak płaczecie, czy wam dziecko umarło?

— Eh! co tam dziecko, to bajki, jedno zmrze, to drugie będzie, jeno mi wieprzek zdechł! Oj! moje ty śliczności, mój ty skarbie! czemużeś mnie sierotą na tym świecie zostawił, kiej mi już za ciebie 45 marek dawano.

ZŁA WYMÓWKA.



Leśniczy, niespodziewanie przychodzi w odwiedziny: — Ach, doskonale, przychodzę w samą porę jedzenia, doskonale się składa. Czy mogę się przysiąść?... Proszę go więc z kwaśną mną do stołu, a on siada i mówi: — Hoho, macie teraz zajęcia, teraz kiedy nie można na nie polować? — Chałupnik: — No wie pan, panie leśniczy — my — my temu nie nie jesteśmy winni; Nero go złapał i przyniósł. — Leśniczy: — Tak? Hm, a właśnie zębami zgrzytnąłem po śrócie? — Chałupnik: — No tak — to może być co innego, nasz Nero ma może plombowane zęby! — ?

W APTECE.

Pan X. wpada do apteki przerażony: — Ależ panie aptekarzu, zamiast chininy dałeś mi pan morfiny.

— Naprawdę? To pan dopłacisz jeszcze \$1.50.

SKRUSZONY MĄŻ.

Jedna z mieszkanek Belfastu, przekonawszy się, że ją mąż zdradza, postanowiła nie robić mu wyrzutów, ani urządzać scen zazdrości, lecz nakłoniła pastora swojej parafji, by w najbliższą niedzielę wygłosił kazanie przeciw wiarołomstwu. Wielebny pastor wysilił całą swoją swadę oratorską, a wkońcu oznajmił, że wśród zebranych jest wiarołomca. Nazwiska jego nie wymienia, jednak tylko wzywa go do skupienia się i żąda, by na znak skruchy i pokuty wrzucił do skarbonki, obnoszonej po nabożeństwie, złotą monetę dla ubogich. Gdy po kweście pastor obliczał zawartość skarbonki, znalazł — 37 złotych monet...

W CZASIE WIELKIEGO NAPŁYWU GOŚCI W HOTELU.



Gość: — Czy nie mógłbym się położyć w żłobie tego konia?

Gospodarz: — żałuję bardzo; ale i to miejsce telegraficznie zamówione.

RYFKA U DOKTORA.

— Co pani dolega?

— Ach, panie doktorze, ja taka jestem chora.

— No co? Cóż panią boli?

— Sadržawka.

— Co?... Aha! Rozumiem .. Rozbierz się pani.

— Ny, panie konsyljarzu, czemu tak?

— Przecież muszę panią zbadać.

— Przepraszam pana, ale tamten doktor to u mnie tak pomógł na stojąckę.

— Nie zavracać pani głowy. Proszę się rozbierać — szkoda czasu. tam pełno osób czeka.

— Ny, panie doktorze, kiedy ja sobie wstydzę.

— Doktor nikt się wstydzić nie powinien... Rozbieraj się pani.

— Ny, przecież pan doktor może i tak zobaczyć. Mnie tu boli (pokazuje na palce u ręki), tu gdzie tak spuchniało.

— Przecież to się nazywa staw.

— Ny, staw czy sadzawka, to przecie wszystkie jedno.

ROZBRAJAJĄCA SZCZEROŚĆ.

— Kasiu — mówi pani do sługi — czy nie mogłabyś, zamiast godzinami wystawać pod studnią, zając się czemś w kuchni?

— Mogłabym, proszę pani, ale w kuchni nie poją chłopcy... koni...

NUDNA MOWA.

Pewien mówca zakończył swoją nudną mowę i spojrzął na zegarek: — Ach, mój zegarek stanął mi i nie wiem, jak długo mówiłem.

— Aż do znudzenia! — odzywa się jakiś głos wśród publiczności!

W PRACOWNI.

Dama: — Zdaje mi się, mistrzu, iż miejscami nakładałeś zbyt dużo farby.

Artysta: — Wybacz pani — trzymałem się ściśle oryginału.

U DENTYSTY.

— Ile kosztuje wyrwanie zęba?

— Dwa zęby pięć dolarów!

— Ja mam tylko jeden do wyrwania.

— Znajdzie się i drugi.

METEOROLOGIA.

Sąsiadka: — Gdyby teraz spadł ciepły deszcz, panie sąsiedzie, to wszystko by wyszło z pod ziemi.

Sąsiad: — Ależ na miłość boską poco — przecież ja mam dwie pochowane żony.

KULAWY ŻEBRAK.



Żebrek: Proszę pani dobrodziejki, i ja pamiętam lepsze czasy, nie zawsze tak u mnie bywało...

Pani: Macie słuszność, gdyż przypominam sobie, iż w zeszłym tygodniu chromaliście na prawą nogę!

W SZPITALU NIEMIECKIM.

— Co to są za chorzy, tam w kącie, co tak marnie wyglądają?

— To Anglicy. Dziś w nocy umarli.

— Na co?

— Anglicy umierają wszyscy na jednakową chorobę. Z polecenia władzy nie daje im się nie jeść, a dłużej nad dziesięć dni przymusowego morzenia głodem żaden Anglik jeszcze nie wytrzymał.

ROZSZERZENIE OSOBISTOŚCI.



AKTY, które przytoczę i w miarę możności objaśnię, swoją niezwykłością mogą nasunąć niejednemu przypuszczenie, że są to na pół fantastyczne opowiadania. Otóż, żeby uchronić czytelników od tego rodzaju podejrzeń,

zaznaczam na wstępie, że będę mówił tylko o takich wydarzeniach, które zostały stwierdzone i zbadane przez pierwszorzędných psychologów i psychopatologów.

Pierwszy, zdaje się, naukowo zbadany wypadek rozdwojenia osobowości znajdujemy w "Medical Repository" (1816-go roku, styczeń) gdzie dwaj wybitni lekarze: Mitchel i Nott, opisali stan duchowy pewnej wykształconej Amerykanki, która zasnęła nagle, przyczem sen trwał dłużej niż zwykle i był bardzo głęboki, a gdy się obudziła, okazało się, że zapomniała wszystko, czegokolwiek się w życiu nauczyła. Pod względem umysłowym była jak nowonarodzone dziecko: nie poznawała nikogo, była pozbawiona mowy, nie wiedziała, do czego służą różne przedmioty, czytać i pisać nie umiała, słowem, trzeba było ją uczyć wszystkiego nanowo. Dzięki powtórnemu wychowaniu i kształceniu udało się ową damę znowu nauczyć wielu rzeczy. Podkreślić należy, jako cechę charakterystyczną, że w zdobywaniu powtórnem wiedzy robiła ona niezwykle szybkie postępy.

Po upływie kilku miesięcy Amerykanka zapadła w sen podobny do tamtego i po obudzeniu się znalazła się w stanie, w jakim znajdowała się poprzednio, to jest przed pierwszym snem patologicznym. Nie natomiast nie pamiętała, co się z nią działo podczas przerwy między snem pierwszym a drugim. Te dwie osobowości, nie nie wiedzące jedna o drugiej, zmieniały się prawie okresowo mniej więcej w ciągu czterech lat.

Oto inny przykład, zbadany przez dra Hodgsona ("Proceedings of the Society for

Physical Research", 1891-go roku). Cytuję go według Williama Jamesa.

Niejaki Anzelm Bourne, misjonarz, wziął z banku w Providence, d. 17go stycznia 1877-go roku, \$551, żeby zapłacić za nabytą w powiecie Green ziemię. Wsiadł do tramwaju konnego i to było wszystko co pamiętał. Tego dnia nie powrócił do domu. Opublikowano go w gazetach jako zaginionego, a policja, podejrzewając jakieś przestępstwo, napróżno szukała jego miejsca pobytu.

Dnia 14-go marca w Norristown pewien człowiek, nazywający siebie A. J. Brown, obudził się zrana w wielkim strachu i zaczął pytać sąsiadów, gdzie jest. Ludzie wzięli go za warjata. Sześć tygodni temu kupił on tutaj mały sklepik, napełnił go przyborami piśmiennymi, cukierkami, owocami, a także innym drobnym towarem, i handlował sobie spokojnie, przyczem nikt nie podejrzewał go o nienormalność i ekscentryczność. Teraz powiada, że nazywa się Anzelm Bourne, że nie zna zupełnie Norristownu, nie wie o handlu i że ostatnie, co pamięta—a zdaje mu się, że było zaledwie wczoraj — to fakt, iż wziął pieniądze z banku w Providence i wsiadł do tramwaju... — Bourne tak się bał tego sklepiku, że nie chciał w żaden sposób do niego wejść i nikomu nie wierzył, że tam mieszkał sześć tygodni. Pierwsze dwa tygodnie z tego okresu dwumiesięcznego nie zostały wyjaśnione, gdyż ani sam Bourne nie pamiętał, co się z nim w tym czasie działo, ani żaden ze znajomych wtedy go nie spotkał, aby mógł coś o nim powiedzieć.

W tej zmianie osobowości ciekawą rzeczą jest zajęcie, to jest handel, któremu się Bourne w ciągu sześciu tygodni oddawał. Poprzednio nigdy nie miał żadnej styczności z handlem. Sąsiedzi opisywali Bourne'a jako człowieka akuratnego, mileżącego i zupełnie normalnego. Kilka razy udawał się on do Philadelphji, robił starannie zakupy do swojego sklepu, chodził akuratnie do kościoła i pew-

nego razu na wiecu modlitewnym wygłosił mowę, którą wszyscy uważali za dobrą.

Mówiliśmy dotychczas o rozdwojeniach osobowości, znane są jednak wypadki rozszczepienia na trzy, cztery i więcej osobowości, do nich więc teraz przejdę.

Osgord Mason ("The Journal of Nervous and Mental Diseases", wrzesień 1883-go roku) opisuje następujący przykład:

Alma Z. do ośmnastego roku odznaczała się zdrowiem, była znakomicie wygimnastykowaną i przewyższała inteligencją wszystkie koleżanki. W tym jednak roku wskutek przemęczenia umysłowego zapadła poważnie na zdrowiu. Choroba wyraziła się psychicznie, między innymi, w zmianie osobowości. Zamiast dobrze wychowanej, myślącej, zmęczonej chorobą i ciężkimi dolegliwościami osobowości, powstała jaźń nowa, odznaczająca się dzieciinną wesołością, płochliwością, ubóstwem słów i mówiąca dziwnym, napół indyjskim dżalektem. Umysł tej nowej osobowości był jasny, przenikliwy, lecz co najdziwniejsze, jaźń ta była wolna od dolegliwości (bólów, bezsenności, zapalenia błony śluzowej ust, co uniemożliwiałoby jej przyjmowanie pokarmów, itd.) osobowości pierwotnej. Ta druga osobowość nazywała siebie "Twoey", a jaźń zwykłą, normalną ochrzciła "Nr. 1."

Osobowość nowa trwała zwykle od kilku godzin do kilku dni, poczem powracała jaźń Nr 1 ze swą inteligencją, cierpliwością, dobrem wychowaniem, ale i z bólami. Gdy znikała pierwsza i powstawała druga, świadomość jej zaczynała się od tego momentu, na którym była przerwana poprzednio. Jeżeli na przykład osobowość "Twoey" zaczynała się we wtorek w południe i trwała do nocy z czwartku na piątek, to N. 1., powracając, zaczynała swoją działalność świadomą z tego momentu w południe we wtorek, na którym się przerwiała.

Obie osobowości były całkiem zorganizowane i samodzielne, chociaż bezpośrednio nie o sobie nie wiedziały: każda z nich posiadała swoją świadomość, swoje wspomnienia. Po pewnym czasie z opowiadania innych i ze zmian w swoim otoczeniu N. 1. dowiedziała się o istnieniu nowej jaźni, ale jako o życiu zupełne oddzielnej istoty. Obie osoby polubiły się bardzo. Jaźń "Twoey" podziwiała wiedzę osobowości normalnej, jej cierpliwość, dobroć, i mówiła, że przychodzi ulżyć w jej cierpieniach. Dzięki leczeniu za pomocą hypnotyzmu chora przyszła do zdrowia.

Wizyty osobowości wtórnej stały się rzadkością. Alma Z. wyszła za mąż i była bardzo dobrą żoną i dzielną gospodynią.

Po niejakiem atoli czasie osobowość wtórna znowu zaczęła się ukazywać i pewnej nocy zakomunikowała, że wkrótce odejdzie, lecz na jej miejsce ukaże się osobowość trzecia. Po tem oznajmieniu Alma wpadła w stan głębokiego omdlenia, które trwało kilka godzin. Gdy świadomość wróciła, powstała nowa, trzecia zrzędu osobowość. Nazywała się ona "chłopcem" i powiedziała, że przychodzi pomagać osobowości pierwszej. "Chłopak" powoli przyzwyczaił się do roli żony, matki, gospodyni. Osobowość ta (No 3) nie posiadała tej wiedzy, co No. 1, to jest nie znała języka łacińskiego, matematyki, filozofji i niektórych innych gałęzi wiedzy, zdobytych w szkole, lecz posiadała nadzwyczajną pamięć, cytowała całe ustępy z Biblii, Walter Scotta i innych. Interesowała się współczesną literaturą, muzyką, sztuką, ale też chętnie spełniała i obowiązki gospodyni. Czasami No. 3 traciła zupełnie słuch, lecz wtedy wykazywała nadzwyczajną zdolność rozumienia tego, o czem inni mówią, obserwując tylko ruch warg. Osobowości No. 1 i No. 2 tej zdolności wcale nie posiadały.

Osobowość trzecia wiedziała o istnieniu innych jaźni, lubiła je i ze szczególnem umiłowaniem odnosiła się do osobowości pierwotnej. No. 2 i No. 3 zawsze pomagały osobowości pierwszej i pragnęły, aby ona jaknajprędzej powróciła do zdrowia.

W danym wypadku, jak widzimy, nowo powstałe osobowości żyją w harmonji z "ja" pierwotnem, lecz bywa i tak, że one waleczą z nim i ze sobą. Tak na przykład słynny uczony amerykański Morton Price ("La dissociation d'une personnalite," 1911-go roku.) leczyl pacjentkę Miss Beauchamp, u której rozwinęły się cztery osobowości, przyczem trzecia — Sally albo "Djabeł" — waleczyła i ciągle dokuczała pierwszej, to jest Miss Beauchamp, a czwartą nazywała "Idiotką."

W warunkach prawidłowych przeobrażenia osobowości odbywają się zwykle drogą bardzo powolną, a ponieważ zmiany te są niezmiernie małe i zostają natychmiast wielone do systemu, który nazywamy naszą "jaźnią", stają się dla samoobserwacji prawie niedostrzegalne. Z tego więc źródła pochodzi złudzenie tożsamości naszego "ja".

Wiemy jednak, że i w normalnym rozwoju człowieka nadchodzą chwile, kiedy pod wpły-

wem nowych, nie zlewających się harmonijnie z poprzednimi stanami wrażeń, osobowość zaczyna się jakby chwiać. Chwile takie na przykład powstają u osób nieuświadomionych w okresie dojrzwania płciowego, menstruacji i innych.

Poważniejsze zmiany osobowości zachodzą jednak dopiero wtedy, gdy czynności organów życia roślinnego i mózgu ulegną większemu zaburzeniu. Wtedy poczucie naszej jaźni albo zmienia się gruntownie, albo nawet zanika zupełnie. Chory K. Oesterreich powiada, że wszystko wykonuje mechanicznie. Gdy na przykład pisze, to zdaje mu się, że nie on, lecz kto inny porusza jego ręką. Chory Bala mówi, że osobowość jego zupełnie zanikła. "Umarłem dwa lata temu", a ta rzecz (to jest sam pacjent), która jeszcze istnieje, nie wie o dawnym "ja". Pewien żołnierz raniiony ciężko pod Austerlitz uważał siebie od czasu bitwy za zmarłego. Gdy go pytano, co porabia, odpowiedział: "Chcesz pan wiedzieć, co robi ojciec Lambert? Już nie żyje, kula armatnia go zabiła. To, co pan widzisz (wskazuje na siebie), jest jakąś kiepską maszyną".

Chorzy tego rodzaju wyrażają się prawie zawsze obrazowo, z ich jednak powiedzeń (co w pewnym stopniu potwierdza badanie przedmiotowe) wynika, że oni nie czują normalnie swego ciała i dlatego zdaje im się, że są lżejsi od gazu, że umarli itp.

Osobowość nasza, mówiąc ogólnie, jest syntezą dwóch czynników: (1) poczucia ciała i (2) pamięci, która łączy chwilę obecnej naszej jaźni z jej momentami poprzednimi.

W cytowanych na początku tej pracy przykładach mamy do czynienia z zaburzeniami funkcjonalnymi jednego i drugiego czynnika, lecz punkt ciężkości spoczywa na drugim.

Cechą charakterystyczną umysłu normalnego jest to, że świadomość każdego momentu aktualnego wie o procesach duchowych przynajmniej chwil ubiegłych. W niektórych jednak chorobach duchowych i stanach hipnotycznych ciągłość taka urywa się. Powstaje — wyrażając się obrazowo — sytuacja, jak gdybyśmy nagle jedną wstęgę w kinematografie zamienili inną. Stan taki technicznie nazywa się dysocjacją świadomości. Dysocjacje mogą być współczesne lub następcze, dotyczyć prawie wszystkich funkcji życia psychicznego i posiadają najróżnorodniejsze stopnie złożoności. W wypadkach prostszych osobnik zapomina tylko wyrazy,

ma zwężone pole świadomości, w bardziej skomplikowanych — dysocjacja obejmuje całe pole świadomości, powodując różnego typu zmiany osobowości.

Obserwacje kliniczne i badania eksperymentalne (za pomocą hipnotyzmu, roztargnienia i inne) wniosły do tej ciemnej a tak bardzo ciekawej dziedziny już sporo światła. Metodą hipnotyczną na przykład można odtworzyć eksperymentalnie prawie wszystkie zmiany chorobowe osobowości i tą drogą udaje się także w wielu wypadkach wymienione choroby leczyć.

Sztuczne i patologiczne rozszczepienia osobowości wykazują dowodnie, że chociaż w warunkach normalnych życie duchowe przebiega pod znakiem "jedności świadomości" i "tożsamości jaźni", w rzeczywistości dusza nasza jest bardzo złożonym organizmem, który może ulegać rozprzężeniu, i wtedy poszczególne procesy psychiczne nie tworzą harmonijnej całości, lecz rozwijają się w różnych kierunkach samodzielnie.

Tylko takie pojmowanie duszy pozwala nam zrozumieć psychologię obłąkanych, napół normalnych i stany wywołane sugestją lub hipnotyzmem.

A Dryjski.

AFORYZMY.

Pod "towarzyskimi stosunkami" rozumie się stosunki między ludźmi, którzy w obcowaniu ze sobą znajdują albo jednaką przyjemność, albo jednakie niezadowolenie.

Na ogół starzy kawalerowie dłużej wyglądają młodo, niż ludzie żonaci, gdyż muszą oni dłużej starać się o to, by się podobać.

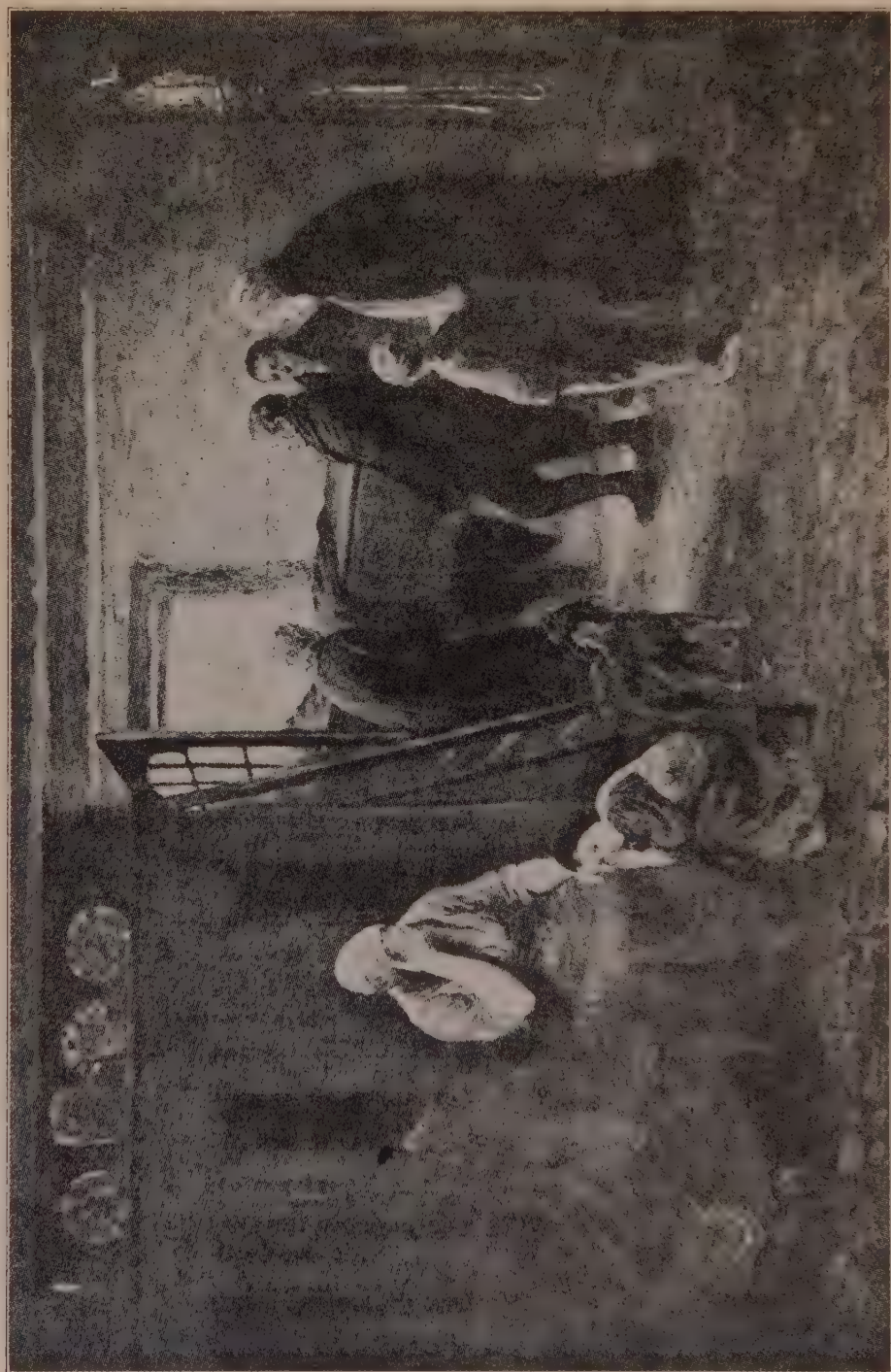
Flirty kobiety są hipoteką na jej sławie.

Człowiekowi dana jest mowa, by mogła ukrywać jego bezmyślność.

Optymizm i pesymizm są specjalną formą ślepoty na barwy.

Miłość jest delikatną rośliną, a małżeństwo rzucą na nią szron.

Powiedz mi, z kim przestajesz, a powiem ci kim chciałbyś być.



Nedza.

I DLA OKA MUSI COŚ BYĆ.

Napisał Jakób Bojko.



NIE POWIEM, gdzie to było, ale dość na tem, że jednej pięknej jesieni siedział sobie tamtejszy proboszcz na ławeczce w ganku plebanji i odpoczywał po dziennym trudzie, ciesząc się bożym światem.

Wtem skrzypnęła furтка od ogrodu i weszła nią Kasia Jamrówna, znana dobrze księdzu proboszczowi.

Była to sierota po nieboszczyku Jamrozie, która się chowała przy bracie, a której się wcale nieźle wiodło. A cóżby się jej miało źle powodzić, kiedy jej ojcowie zapisali i gruntu kawałek nie byle jak, i wiano brat jej miał dać sute, a nawet w Kasie Zaliczkowej u pana Zakrzewskiego czekało na nią parę słówek?

A że do tego dziewczucha miała gębusię okrągłą niby ten oto miesiąc w pełni i wszędy było jej na tyle, przytem była skromna i jak na wiejską dziewczuchę dość

rozgarniona, toć chłopaczyska kręciły się wedle niej, niby one zagorzałe koty w marcu, ale ona, jeno się węgiełkiem uśmiechała, a nie mogła się jakoś zgulać, któryby był z nich na męża najlepszy. Kuba Matusów, dobre niby chłopaczysko, ale to jakieś niemrawe, że ani kawałeczka stali w nim nie uświadczysz. Grzebie ta w tych książkach i grzebie, ale czy go kto widział w karczmie czy na weselu, aby coś wesołego zaśpiewał, zatańcował, jak inne chłopaki? A broń Boże!

A nawet wielkie pytanie, czy umie sieczkę rznąć, albo i owe kalenice pocziwie ułożyć. Do tego majątek jego, Boże się pozał żyć! Nie, taka pokraka nie dla niej.

Zato Józek Fajansów, to co innego. Chłopak w tańcu skacze jak żróbasek na błoni, włosy galanto nawpół rozczesane, buty się skłają niby dziedzicowi, a jak zacznie z dziewczuchami gadanie, to ci aż się z nogi na nogę przestępują, tak się im dusze rwą do niego.

Prawda, że jak wleje w pałę, to warjat czysty i gdzie się kto bije, to Józek, kto flaszki, i szynkfas rozbił, Józek, ale myślała Kasia, jak się ożeni, to się i odmieni i kto wie, czy się nie trzeba “ochwiarować” i iść za niego.

Ale przebiegła dziewczucha postanowiła jeszcze zaradzić się swego księdza proboszcza i właśnie, jak się wyżej rzekło, stanęła przed nim.

— Cóż mi tam panna Kasia powie? — zapytał dobrotliwie ksiądz proboszcz.

Lubo Kasi nie brakło odwagi, ale tą razą zarumieniła się po uszy i twarz jej była prawie tak czerwona, jak te korale, co je miała po matusi na szyi i zaczęła miąć jeden koniec krasnej zapaski, czyli fartuszka.

— Ja tu przyszła do jegomości po poradę kuli tego Józka Fajansa, bo mi go rają niby na męża i nie wiem, czy iść za niego, czy nie.

— No, a jakże ty uważasz, podobają ci się, czy nie? — zapytał ksiądz proboszcz, zapalając papierosa.

— Hm! On ta obleci i jest chłopczyśko uparte do roboty i do wszystkiego.

Ksiądz wymiarkował, że Kasia przyszła do niego tylko po aprobatę, toć puszczając wonny dymek z papierosa, powiada:

— Ano, jeżeli ci się podoba, to go bierz, ale mnie się widzi, że to pływak z niego, gorączka i nagliz-

na, to się boję, żeby cię potem nie poniewierał. Słyszałem, że się miał pytać o ciebie i Kuba Matuśów, możebyś lepiej z nim wyszła.

— Ej, proszę jegomości, to ta tylko ludzie tak go obnoszą na jejzorach, ale przecież Kuba ani się umył do niego, bo to i ruchliwy i pozorniejszy, a przecież jegomość wie, że i dla oka musi coś być.

— Ano, to i prawda, moje dziecko, ale widzisz, nie zawsze to złoto co się świeci. Ale jeżeli go tak masz przy sercu, to już rób, jak sama uważasz.

Kasia widząc, że ksiądz się zabiera do odejścia, podziękowała i poszła też do domu. Naturalnie, że za trzy niedziele odbyło się weselisko sute. Kasia została panią Fajansową i przeniosła się z radością do chałupy męża.

Zrazu wiodło się jej jako tako. Józek przypadł jej do gustu, a i matka jego obchodziła się z nią bardzo jedwabnie. Powoli, powoli, podnieśli z kasy pieniądze i Józef całe dnie rezydował w karczynie i fundował kolegom, którzy mu bakę w oczy szklili, bo im do brze było wypić i podjąć za durniczkę, ale po za oczy kpili sobie z niego — jak zazwyczaj. Kasia zaczęła mu robić wymówki, zrazu spokojnie i w dobrótkę, ale gdy się dowiedziała, że Józek przypija i do dziewczuch, zrobiła mu raz i drugi awanturę, na której biedaczka najgorzej wyszła. Bo dzika

natura Józka, podsycona gorzałką, wybuchała raz po raz coraz bardziej, aż przyszło i do tego, że raz pochwycił ją za śliczne czarne warkocze i bijąc jak w bęben, podbił jej oko nie byle jako.

Z zapuchniętem okiem poszła na skargę do księdza proboszcza i

płacząc, opowiadała mu, co jej Józef zrobił.

Ksiądz proboszcz popatrzył na nią i tylko jej powiedział:

— Moja Kasiu, i dla oka musi coś być.

Cóż jej miał więcej powiedzieć?



Wygłodniałe tłumy ludności rosyjskiej żebrają o kawałek chleba u korespondentów
pism zagranicznych.



MACIEK.



Przez T. Lenartowicza.

(Jak powinien być śpiewany).

Hej, do tańca, dziewczuchy!
Zagraj dudko Jaśkowa!
Cóż to, grajku, czyś głuchy?
Co tak siedzisz, jak sowa?

Hej, mazury, do licha,
Cóż to wam się przydało?
Każden patrzy a wzdycha, —
Czy złe ludzi dostało?

Ot i Bartek przechera,
Jeno zyzem spoziera,
A dziewczuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy...

Gdy tak Maciek ochoczy,
Ośmieliły się oczy,
I Jan stary z za stoła
„Grajże, grajku!” zawoła.

Chwycił Józef za basy,
Zwawo smykiem potoczył,
Maciek w taniec wyskoczył,
Ognia dały obcasy.

Oj! ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Co nam nie być wesoly,
Kiej mi zdechły dwa woly?
Niech-ta zdychają sobie,
Przez to w polu nie robię,
Jeno w karczmie tańcuję,
A cieszę się, raduję.

Oj! ta dana, ta dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoly?
Spaliły się stodoły;
Nie będzie ta kłopotu,
Wedle zboża omlotu,
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.

Oj! ta dana, ta dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoly?
Mój dorobek — dwa doły,
Kędy moja Zosiënka
I dziecina maleńka.

Oj! ta dana, ta dana,
Doloż moja kochana!

Cóż zaś patrzysz, hej, stary!
Stawałem-ci do miary;
Dzisiaj moja hulanka,
Jutro branka, oj! branka.
Hej! ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

I Maciek się ochoci,
Że aż grajko się poci;
Kropla w kroplę na oczy
I na wasy się toczy.

Czy mu struny porwano?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł czoło sukmaną
I coś mruczał i szeptał;
A dziewczki się splotały,
Że skrzypki grać przestały.

Bądźcież zdrowi, wy starzy,
Niech-ta Pan Bóg wam darzy!
Bądź-ta wszyscy: i Franek,
Bartek, Janek, Stefańek,
I Wawrzyna, i Ewa...
I znów skacze a śpiewa:
Oj! ta dana, oj! dana,
Doloż moja kochana!

Za muzykę zapłacę,
Jak się kiedy zbogacę;
Jak zbogacę... hej! gdyby...
Nastawiły się słuchy...
I wytrząsa dwa grzyby
I tam jakieś okrucy.
Hej! ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Wyśpiewuje o głodzie.
Pochyliły się głowy;
Posmutniało w gospodzie
Od uciechy Maćkowej.
Śnieg do karczmy zagania,
Kury drą się pod strzechą...
Niedaleczko do rania.
Bogdaj z taką uciechą!...





"Pali się!"
Wesoły obraz alarmu z Głupkowa, gdzie nie ma jeszcze straży pożarnej.



Jak Powstała i Wyglądała Pierwsza Książka.



NAJPIĘKNIEJSZĄ zasługą pracy człowieka jest książka.

Przez cały szereg stuleci umysł ludzki zapracowywa się, aby osiąść umiejętność wzajemnego kształcenia się i porozumiewania na odległość.

Należało stworzyć pismo i sztukę zapisywania myśli, która zanim osiągnęła dzisiejszy stopień doskonałości — przeszła okres długich a powolnych przekształceń.

Najwcześniejszym sposobem wyrażania myśli było rysowanie i wycinanie obrazków na skórze lub drzewie, czyli t. zw. pismo obrazkowe.

Wprawdzie od sztuki pisania do pierwszej książki jest jeszcze znaczny kawałek drogi — ale któż nie chciałby wiedzieć początku i końca historii? Tembardziej, że historia powstania pierwszej książki jest długą a ciekawą.

Początkowo znano jedynie pismo obrazkowe, z czasem jednak obrazki zastąpiono literami.

Alfabet oddał kolosalne usługi. Sztuka pisania rozpowszechnia się bardzo szybko, ułatwia nawiązywanie stosunków pomiędzy ludźmi, a jednocześnie jest głównym źródłem wszelkich wiadomości.

W starożytności zapisywaniem zajmowali się przeważnie wyzwolenicy, albo niewolnicy, później zaś zakonnicy.

Wszystkie dawne rękopisy pisane są na pergaminie albo na papierze.

Papier używano egipski, wyrabiany z właściwego krzewu papirusowego, albo też papier z bawełny lub jedwabiu, który miał praktyczne zastosowanie aż do 12-go wieku.

Wreszcie w wieku 13-ym czy 14-ym po na-

rodzeniu Chrystusa wynaleziono papier lniany.

Pióra do pisania znano już w 7-ym wieku. Inkaustu (rodzaj atramentu) używano najczęściej czarnego, rzadziej czerwonego — a już bardzo rzadko niebieskiego i jedynie do pisania ozdobniejszego.

Rękopisy układano w kształcie zwojów, albo też poszczególnych tomów. Pierwsze książki były więc pisane. Księgi starożytnych były przeważnie pisane na liściach papirusu, którego pojedyncze paski sklejało się z sobą i zwinano na jeden walek: stąd książki u Rzymian zwały się „Volumina”, to jest role, zwitki.

W 7-ym wieku pergamin został wyłącznym materiałem piśmiennym. Ze składanych pergaminów, zazwyczaj oprawianych i ozdabianych na najrozmaitszy sposób, powstało coś na kształt dzisiejszych książek, które sprzedawano po stosunkowo wysokich cenach w ówczesnych księgarniach.

Oczywiście, że handel księgarski ograniczał się do handlu rękopisami i rozpowszechniania ich przez przepisywanie, co było praktykowaniem zarówno w starożytności jak i w średniowieczu. Ze względu na znaczny koszt, nieraz używano po kilka razy tego samego pergaminu czy też papieru. Pergamin skrobano różem i wygładzano, papirus zaś powlekano wodą klejową i używano ponownie, jako materiał piśmienny — tylko, że wierszom inny nadawano kierunek. Tak, że jeden arkusz papieru mógł być zapisany w kilku kierunkach i mieć kilka tekstów, co znacznie utrudniało odczytywanie starożytnych rękopisów. Sposób kilkakrotnego używania papieru stosowano już w starożytności, szczególnie jed-

nak był rozpowszechniony w wiekach średnich, od 7-go do 13-go stulecia.

Usuwanie zwykle pisma autorów pogańskich, a zamieszczano chrześcijańskich. Z tych to, i innych względów bogate zbiory starożytnych ksiąg pisanych zostały zniszczone w wiekach średnich.

Jednakże, na mocy wyraźnych przepisów zakonnych w niektórych klasztorach, jak na przykład u Benedyktynów, zajmowano się gorliwie przepisywaniem książek i tym to klasztorom zawdzięcza potomność przechowanie większej części dzieł starożytnych.

Z chwilą wynalezienia druku, książka wchodzi w nową, coraz bardziej doskonałą fazę rozwoju.

Pierwsze ślady drukarstwa odnajdujemy w Niemczech na początku 15-go wieku, a mianowicie, w odbijaniu rysunków, które wyrzynano wypukło na drzewie, następnie nacierano farbą i odbijano za pomocą prasy śrubowej. Najwcześniejszymi płodami tej nowej sztuki były karty do grania, oraz obrazki świętych, pod którymi umieszczano krótkie podpisy.

Napisy te zaczęły się coraz bardziej mnożyć, aż wreszcie powzięto myśl wyrzynania na drzewie całych stronice tekstu i tym sposobem powstały pierwsze drobne (drukowane) książki szkolne, jak 'Gramatyka Donata.'

W zastosowaniu jednak powyższy sposób okazał się wysoce żmudnym i mozolnym, ponieważ należało przygotować tyle tablic rzniętych na drzewie, ile stronice książki zawierała. Później dopiero zastosowano druk właściwy, to jest pojedyncze czeionki. I aczkolwiek kwestja wynalazku druku należy do spornych, najczęściej jednak przyjmuje się, że około 1440-go roku Jan Gutenberg w Moguncji pierwszy wpadł na myśl wyrzynania pojedynczych liter ruchomych z drzewa, które po ukończeniu druku można było rozebrać i na nowo ułożyć. W tym celuawiął spółkę z bogatym złotnikiem Fustem i z Piotrem Schofferem.

Zasługa Fusta jest, że pierwszy zaczął odlewać czeionki czyli litery z metalu, zamiast wycinać je z drzewa.

W nowozałożonej drukarni w roku 1456-ym wydrukowano "Biblję" w dwóch tomach, w rok później "Psałterz", w roku 1459-ym "Rationale" i kilka innych.

Najdawniejsi drukarze musieli być jednocześnie giserami, drukarzami, księgarzami i

uczonymi, gdyż sami poprawiali książki wydane według rękopisów i sami skutecznie sprzedawali. Dopiero znacznie później rozdzieliły się te gałęzie przemysłu i uległy fachowemu wyodrębnieniu.

Mowa polska dostała się po raz pierwszy do druku w wieku 15-ym: w wydanej w roku 1475-ym we Wrocławiu łacińskiej księdze kościelnej, w której wydrukowano po polsku "Ojezenasz" "Zdrowaś" i "Wierzę." Oczywiście Modlitwę Pańską wydrukowano językiem staropolskim:

"Oteze nasz genz na nyebesach swyenteze ymye twe budz twa vuola jako na nebi tako na zemy" itd.

W roku 1506-ym wydrukowana była pieśń "Bogarodzica", a mniejwięcej w tym samym czasie zawieszono nad kaplicą świętego Stanisława na Wawelu wielką tablicę, na której złotymi literami wypisano również pieśń "Bogarodzica".

Oto dwa najstarsze druki polskie, ale jeszcze nie książki.

Człowiekiem, który obdarzył nas pierwszą drukowaną książką w języku ojczystym, był urodzony w drugiej połowie 15-go wieku Biernat z Lublina, uczony lekarz. Co to była za książka i w którym roku wyszła — nie wiadomo, gdyż się do naszych czasów nie przechowała. Można jednak przypuszczać, że była to przetłumaczona z łaciny, średnio-wieczna książeczka pobożna pod tytułem "Ogródek duszny" i że wyszła w Krakowie około roku 1515-go.

Znamy zato inne dziełko Biernata z Lublina, pod tytułem "Sprawa o lekarstwa końskie". Jest to podręcznik do nauki leczenia koni — jednak w pierwszym wydaniu do nas nie doszedł.

Pierwsza znana nam dzisiaj książka polska ukazała się w Królestwie w roku 1521-ym z drukarni Hieronima Wietora pod tytułem "Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołem grubym i sprośnym, a wszakoż, jako o nyem powyedają, bardzo wymownym, z figurami y zagadkami smyesznymi."

Tyle o dawnej książce, która prócz innych ma i tę zaletę, że daje nam możność porównania języka dawnego z dzisiejszym i zaobserwowania, w jaki sposób zmienił się i ukształtował język, którym obecnie mówimy.

Jerzy Laskowski.



Wawel od strony Wisły.

Błogosławieni.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpacz y głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni:

Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Wielkiego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z Chwałą króluje Zwycięstwo -
Bez twardych kajdan i bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni...

A raj się tylko dla silnych zieleni —

Błogosławieni!

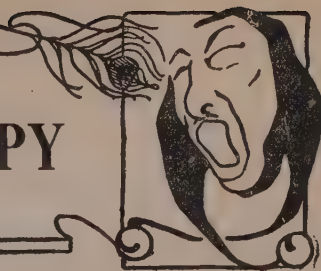
Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprząta li z ich ziaren owoce;
I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
Gdzie złote słońce blaskiem zamigoce,
Będą wołali duchem podniesieni:

Ze ojców sprawą świat się nam rumieni —

Błogosławieni!



ŻARTY I DOWCIPY



NIEWIDOMY ŻEBRAK.

Po otrzymaniu wsparcia: — Bóg wielki zapłać złoty jegomościu! już ja to wiedziałem zaraz, iż wielmożny pan ma dobre serce, zaledwo go ujrzałem na skrócie ulicy.

W SĄDZIE.

— Pan może zaświadczyć, że podsądny nazwał skarżącego bydlęciem?

— Tego nie słyszałem. Lecz, że skarżący rzeczywiście jest bydlęciem, to mogę potwierdzić.

KATECHIZM BOLSZEWICKI.

- Kto ty jesteś?
- Kawał drania.
- Jaki znak twój?
- Knut i bania.
- Gdzieś się rodził?
- Wśród warjatów.
- W jakim kraju?
- W kraju katów.
- Czem ta ziemia?
- Mem więzieniem.
- Czem zdobyta?
- Przekupieniem.
- Czy ją kochasz?
- Tak jak zwierzę.
- A w co wierzysz?
- W rubla wierzę.
- Czemś ty dla niej?
- Ja? Stupajką!
- Coś jej winien?
- Bić nahajką!

PRAKTYCZNE OKREŚLENIE PIEKŁA.

- Co to jest piekło?
- Jest to związek małżeński, w którym żona ma wielkie potrzeby, a mąż małe dochody.

SŁUSZNE OBURZENIE.

Przechodzień: — Szkoda waszego zebrania; sam nic nie mam.

Żebzak: — A czemu pan nie pracuje?

PEWNY BUDZIK.

Szef (do późno przychodzącego urzędnika): — Panie Majer, to mówię panu raz na zawsze: Zakażuję stanowczo takiej niepunktualności!

Urzędnik: — Proszę o przebaczenie, panie szefie! Dzisiaj zasnęło całe sąsiedztwo, bo ten akademik, co mieszka w naszym domu, — powrócił do domu zamiast o piątej, dopiero o siódmej rano!

KOCHAJĄCA ŻONA.

Elegancko ubrana, młoda pani wchodzi bardzo wzburzona do kancelarii pewnego adwokata w New Yorku. Z niecierpliwością zwraca się do niego z zapytaniem: — Czy pan mecenas wniósł już skargę o rozwód z moim mężem?

— Bardzo mi przykro, ale jeszcze nie. Proszę nie naciskać bardzo o to. Jeżeli będzie można, to dzisiaj jeszcze wniosę tę sprawę.

— Proszę tego nie robić — woła ona nalegająco. — Proszę zniszczyć moje zarzuty i wszystkie dowody winy mego męża. Dziękuję Bogu, że nie przyszedłem za późno.

Ucieszony tem mówi adwokat: — Więc pani przeprosiła się już ze swoim mężem!? Gratuluję pani serdecznie. Rozwód jest zawsze przykrą sprawą.

— Myli się pan mecenas! — przerywa mu dama. — Nastąpiło inne rozwiązanie sprawy. Mój mąż został dzisiaj przejechany na śmierć przez kolej — i ja wnoszę teraz skargę o... odszkodowanie.

RÓŻNICA.



Gość. — Tylko 10 fen. za tę wódeczkę! Czy niema lepszej?

Gospośnia: — Niechże pan przyjdzie do pokoju dla panów — tam płaci się 50 fen, za tę samą.

PRZYSZŁY DYPLOMOTA.

— Chodź-no, Stasieczku, pokażę ci coś bardzo ciekawego.

— E, takie małe dzieci, jak ja, nie powinny być ciekawe...

W RESTAURACJI.

Gość: — Ależ panna macza palec w tej zupie, którą mi niesie.

Kucharka: — Nie nie szkodzi, proszę pana, zupa już nie bardzo gorąca.

AHA!

Podróżny do hotelisty: — Ogłasza pan, że w tym hotelu jest centralne ogrzewanie. Jakoś wcale tego nie spostrzegłam.

Hotelista: — Owszem, szanowny panie, ogrzewa się pokój środkowy, a do następnych są drzwi otwarte.

ZACZĘSTO KONTROLUJE.



Turysta: Jakto, panie konduktorze, w tutejszej okolicy niezawodnie bardzo oszukują, kiedy pan tak często kontrolujesz?

Konduktor: Ale skąd, to tylko czynimy podezas lata, gdy podróżują turyści.

SEKWESTRACJA.

Egzekutor: — Przychodzę na żądanie pańskich wierzycieli przeprowadzić tu sekwestrację pańskich ruchomości...

Dłużnik: — Moich ruchomości?... No, przeciwko temu ja nic nie mam. Proszę wykonać swoją czynność urzędową... ja posłuszny jestem prawu...

Egzekutor: — To łóżko jest pańskie?

Dłużnik: — To łóżko, wraz z pościelą jest własnością mojej gospodyni, u której mieszkam, ale zresztą wszystko inne, co pan tu widzi, należy do mnie...

Egzekutor: — Ależ ja tu nic więcej nie widzę!

Dłużnik: — Żałuję bardzo — ale czem mogę służyć?

Egzekutor: — No, 50 centów należy mi się za przeprowadzenie sekwestracji...

Dłużnik: — Z przyjemnością... Bądź pan tak dobrym, panie komorniku, pożyczyc mi reńskiego...! a może pan zgóry odciągnąć te 50 centów!

WYTŁOMACZYŁ SIĘ.

— Słuchaj Mostek, czy masz sumienie?

— Jak ja nie mam mieć sumienia?

— A jednak zdzierasz 10 procent na miesiąc.

— No, to przecież nie idzie do sumienia, tylko do kieszeni.

NA JARMARKU.

— Niech pan pisarz kupi to krówsko, do doju jedynie bydle.

— Eh, mój Mateuszu, ja całą gminę mam do dojenia, a wy mi krową głowę zawracacie.

PRZEDSTAWIENIE.

Dyrektor kancelarii: — Mam zaszczyt przedstawić Waszej Ekszelencji wszystkich urzędników manipulacyjnych trybunałów, którzy mają zaszczyście Waszą Ekszelencję mieć za prezydenta. Tu... (przedstawiając) radca rachunkowy Stańkowski.

Prezydent: — Stańkowski? Jeden Stańkowski był ze mną na uniwersytecie razem i zdał świetnie egzamina prawnicze... czy to może pański krewny?

Radca: — Proszę o wybaczenie, panie hrabio... Ekszelencjo... chciałem powiedzieć... to jestem ja, ten sam...

Prezydent: — Tak?... Jakże to się stało, że pan nie otrzymał przynajmniej rangi radcy sądowego?

Radca rachunkowy: — Na moje odnośne podanie otrzymałem odpowiedź, że są starsi odemnie urzędnicy i że nie można odstąpić od zasady: przy jednakich zdolnościach trzeba uważać na lata służby — i nie można przeskakiwać — muszę więc czekać cierpliwie.

Prezydent: — Tak?! Proszę łaskawie dalej mi przedstawiać urzędników; jak się nazywa następny?

PRAWIE TAM.

Chłop do lekarza, który mu opatruje głowę rozbitą przez konia:

— Że ta psia bestja musiała mnie właśnie kopnąć w takie głupie miejsce.

SPRYTNY GOSPODARZ.

— Podobno szanowny pan ma zamiar wyprowadzić się z mego mieszkania?

— Tak, pragnę wziąć mieszkanie trochę droższe.

— I dlaczego chce pan wprowadzić się? To nie żaden powód, — przecież ja panu w każdej chwili mógłbym podwyższyć komorne na sumę taką, jaką by tylko pan sobie życzył.

TRZEBA UMIEĆ SOBIE PORADZIĆ.



Pani A: — Na miłość boską, co też pani wyprawia? Pocóż to dziecko na wadze?

Pani B: — Ach, mąż kazał mi odważyć cukier. Mają być paczki, każda po dziesięć funtów, a tu jak na złość moje chłopaki podziały gdzieś ciężarki dziesięciofuntowe. Zamiast ciężarków położyłam więc tego bębna, który waży akurat dziesięć funtów.

WIDMO.



PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO.



BYŁA dziesiąta wieczorem, gdy Anatol Douvre, zbrojny silnem postanowieniem i gotów na największe niebezpieczeństwa, stanął

przed domem, o którym wiadomem było, że straszy. Dzięki dokładnemu opisowi, jaki mu zrobiono, poznał go z łatwością.

Dom stał w uliczce pustej, ujętej w dwa rzędy parkanów, z poza których wychylały się drzewa przytykających do niej ogrodów, a ponad frontowymi drzwiami widniał duży napis: "Do wynajęcia", który nie był w stanie skusić nikogo.

— To tutaj, — powiedział sobie Anatol, przyglądając się wszystkiemu okiem badawczem ze zna-

czną dozą zimnej krwi. — To tutaj! Zobaczymy!

Miał klucz od drzwi frontowych, przed którymi rozciągał się niewielki taras.

Wszedłszy do obszernej sieni, potarł zapalkę świeczkową i przy jej blasku skierował się ku kamiennym schodom.

— W sali na prawo, na pierwszym piętrze, — mruczał idąc po dość zaniedbanych schodach. — To jakby miejsce ich schadzek... Dalej, śmiało... Jeżeli im się zdaje, że mnie wystraszą swemi sztuczkami!...

Był już na pierwszym piętrze i przy gasnącem świetle stearynowej zapalki namacał drzwi i przycisnął klamkę, która stawiała opór.

— Proszę! — odezwał się z wewnątrz uprzejmy głos.

— Do licha! tam ktoś jest...

— szepnął Anatol zdumiony, otwierając drzwi.

Obfity ogień na obszernym kominku i dwa kandelabry na stole oświecały duży pokój, wygodnie urządzony.

Na stole znajdowały się butelki i kieliszki. Przy stole, zajmującym środek pokoju, w zielonym, głębokim fotelu siedział łysy, stary jegomość, wytwornie ubrany, grzał sobie nogi, w rękę trzymał rozłożony dziennik i przez okulary przypatrywał się Anatolowi.

Obok niego na stole stał wysoki kapelusz, z którego wyglądały rękawiczki i jedwabna chustka na szyję, a o poręcz fotelu opierała się laska ze srebrną gałką. Paltot spoczywał na krześle. Stary jegomość palił cygaro i uśmiechał się uprzejmie.

— Proszę, wejdz pan, panie Douvre, — rzekł do Anatola.

— A toż co? Zna mnie! Któż to taki? — pomyślał Anatol, wchodząc z pewnem zakłopotaniem. — Przepraszam pana, bardzo przepraszam, — rzekł głośno — nie wiedziałem.

— Siadajże pan, — wymówił stary jegomość zapraszająco.

— Dziękuję, — odpowiedział Anatol i zajął miejsce w fotelu, który zdawał się oczekiwać na niego. — Pan wybaczy, że mu przeszkadzam — ciągnął dalej. — Nie wiedziałem... Rzecz się tak ma, że jak panu pewno wiadomo, w tym domu jakoby starszy... a

ponieważ należy on do mego przyjaciela Ponta... Pan zna Ponta?

— Owszem, — rzekł stary jegomość. — Wypij pan kieliszek koniaku.

— Dziwi mnie, że pana nigdy u niego nie spotkał... Nie; dziękuję za cukier... A pan tu także przyszedł?...

— Cygarko! — rzekł stary jegomość, podając Anatolowi pudełko.

— Chętnie. Mówiłem więc, że przyszedłem tu z racji strachów... Pont nie mi nie wspominał, że spędzimy noc we dwóch... Bardzo mi miło — dodał, wypróżniając kieliszek i napełniając go niezwłocznie, gdyż lubił spirytualia. — Czy pan czekał na mnie?

— Tak, — odpowiedział tamten.

— Pont istotnie powinien był mnie uprzedzić, — zauważył Anatol, otaczając się kłębamii dymu. — Doprawdy powinien był to uczynić!

— Ależ uczynił to — rzekł stary jegomość.

— Ja nic nie otrzymałem. I rzeczywiście to rzecz trochę kłopotliwa, wtargnąć gdzie tak niespodzianie...

— Ależ bynajmniej, bynajmniej.

I stary jegomość uśmiechał się jaknajuprzejmiej.

— Owszem — oświadczył Anatol z godnością, — powtarzam, że to rzecz kłopotliwa, gdy się nie ma przyjemności znać...

Zamilkł w nadziei, że jego interlokutor wymieni swoje nazwisko. Ale temu ani się śniło, i Anatol, aby ukryć pomieszanie, wypróżnił kieliszek i napełnił go znowu.

— Przewyborny — rzekł — przewyborny. Ale skoro jesteśmy tu dla przeprowadzenia, że tak powiem, naukowego eksperymentu... Wolno mi zapytać, co pan sądzi o tych strachach?... Opowiadano mi, że pokazuje się tu widmo jakiegoś starego głupca, dawnego lokatora... W każdym razie faktem jest, że nikt tu nie chce mieszkać i że ci, którzy spróbowali jak my spędzić tu noc, nie powrócili więcej. Cóż więc w tem jest naprawdę?...

— To mówią...

— Co, czy kto straszy w tym domu?

— Ja! — odpowiedział spokojnie stary jegomość, patrząc na Anatola ponad szkła okularów.

Anatol aż podskoczył na fotelu.

— Pan?!... Co za żart!...

— Bynajmniej — rzekł stary jegomość. — To nie żaden żart. To prawda. To ja jestem tym, którego przed chwilą nazwałś pan "widmem starego głupca, dawnego lokatora."

— Djabeł!... Dja... beł! — mruknął Anatol, wpatrując się w kieliszek.

— Nie.

— Co nie? — zapytał Anatol.

— Nie, nie jestem djabełem. Jes-

tem widmem, cieniem, duchem, wszystkim, czem pan zechcesz, tylko nie djabełem.

— To... to mi się jakoś nie mieści w głowie... — wyznał Anatol.

I znowu wychylił kieliszek koniaku.

— Zaraz to panu wyjaśnię — rzekł Duch dobrotliwie. — Zamieszkałem w tym domu przed dwunastu laty. Wtedy dostałem się na tamten świat, ale z powodów osobistych nie mogłem tam pozostać; więc, oczywiście wróciłem tutaj i żeby mieć spokój, musiałem straszyć ludzi, którzy tu chcieli mieszkać.

— Nic... nie rozumiem.

— To mnie nie dziwi, — odparło Widmo. — Pan jest bardzo inteligentny i dlatego postanowiłem przyjąć pana po przyjacielsku, unikając tych wszystkich niedoręczności, łańcuchów, płomieni, hałasów, dobrych do straszenia kumoszek. Ale pan nie pije... Proszę, bądź pan łaskaw...

— Owszem... owszem... — rzekł Anatol, przysposabiając sobie zgubną mieszaninę kursu i chartreuzy. — Ale... przepraszam... powiada pan, że pan nie mógł pozostać na tamtym świecie... Dlaczego?

— Powiedziałem, że to były powody osobiste, zauważył Duch wstrzemięźliwie. — Pomimo to, powierzę je pod przysięgą tajemnicy człowiekowi honoru... O-tóż, gdy umarłem, dano mi bilet

do Raju. Bo za życia byłem człowiekiem sprawiedliwym, cnotliwego serca i czystych obyczajów, byłem opiekunem wdów i sierot... to też poszedłem do Raju...

— I? — zapytał Anatol, wlepiając w swego interlokutora oczy zachodzące łzami upojenia.

— I — rzekło dobroliwie Widmo — Raj... to coś nie do wytrzymania... Ciągła muzyka, bez przerwy, bez litości... I tylko sztuka w wysokim stylu... Opera, mój drogi, najstraszliwsza opera, mająca niezliczoną ilość wykonawców, którzy wszyscy śpiewają do taktu, bez jednej fałszywej nutki dla urozmaïcenia. To okropne! Zaś co się tyczy słuchaczów... Wszystko ludzie najcnotliwsi, tacy przecnotliwi, że, powiadam panu, uciekać od nich o sto mil... To mi obrzydziło moje uczciwe życie. Ostatecznie, wytrwałem tam mężnie cztery miesiące i tydzień, ale zacząłem się wściekać i... dałem nogę... A ten biedny święty Piotr, kiedy mi otwierał, miał taką minę, jak gdyby sam chętnie to samo uczynił... Powiedział mi też ze smutkiem i zazdrością:

“Zmykasz?... Masz tego dosyć... Wierzę ci... Pomyśl tylko... Od tysiąca ośmiuset lat rozdzierają mi uszy tą muzyką.”

Wtedy zaszedłem do piekła!...

— A! A! — rzekł Anatol bardzo zaciekawiony, pławiąc się w rozkoszach przewybornego mro-

żonego Kummelu. — I cóż? Piekło? Zabawne?

— Tak, odparł Duch z goryczą, — bardzo zabawne... Ale oczywiście niema miejsca. Wszystko pełne. Miałem bardzo poważne rekomendacje i podałem prośbę o miejsce pod-djabła, ale naczelnik personalu powiedział mi otwarcie, że niema co na to liczyć. Było przedemną jedenaście milionów siedmset ośmnaście tysięcy dwustu dwunastu kandydatów, oczekujących swojej kolei, mówiąc jedynie o takich, którzy mają poważne kwalifikacje. Dość powiedzieć, że czeka jeszcze siedmnastu monarchów, a w tem dwóch murzyńskich!

— Bój się Boga! — rzekł poufale Anatol, na którego Kummel działa silnie.

— A więc — ciągnął dalej biedny Duch,—wygnany z Raju przez muzykę, niedopuszczony do piekła dla zbyt wielkiego tłoku...

— A czyściec? — zapytał Anatol.

— Zamknięty oddawna, — odpowiedział tamten. — Działy się tam rzeczy nieprawdopodobne. Nie pozostało mi więc nic lepszego do roboty, jak wrócić na ziemię, do tego domu, którego musiałem bronić przeciw idjotom, chcącym w nim zamieszkać. Byłem zmuszony uciekać się do najniedorzeczniejszych kawałów, aby uzyskać trochę spokoju. Uda wałem trupa z czaszką i całunem,

dla jednej upartej staruszki, która sama ze strachu umarła. — Dzwoniłem łańcuchami i pisałem po ścianach ognistemi literami dla jakiegoś zarozumiałca doktora. Czmychnął, a raczej zabrano go bardzo chorego. Nie dziwię się, zważywszy sentencje, jakie mu tam wypisywałem... Otwierałem pocichu drzwi i gasiłem światła przed flegmatycznym Anglikiem, który mnie szukał na strychu. Szeptalem do ucha panienki, która grała na fortepianie (brr!), i ciągnąłem za nogi starego jej ojca, pułkownika na emeryturze, podczas kiedy spał. Prawda, jakie to wszystko marne i oklepane? Ale przynajmniej nie męczy, a kiedy się to robi, zawsze odnosi skutek... Tym więc sposobem zdobyłem sobie trochę spokoju i dziś opowiadam to wszystko panu, jako człowiekowi inteligentnemu, chociaż trochę pod dobrą datą.

— Ja nie nie piłem — rzekł Anatol pijany i obrażony.

— Inteligentnemu, chociaż trochę pod dobrą datą — ponowiło Widmo, — abyś pan przekonał swego przyjaciela Ponta, że jego dom jest niezamieszkalny z powodu duchów, które w nim straszą.

— To nieprawda! — rzekł Anatol, całkiem spoufalony, — ty nie jesteś duchem!

— Jakto? — zapytało Widmo.

— Nie! — oświadczył majestycznie Anatol, któremu się język plątał. — Duchy... to... zupeł-

nie co innego... Duchy straszą... a ty... a ja... ja się ciebie wcale nie boję...

— Nie boisz się mnie, głupcze? — rzekł duch podrażniony.

— Nie — odrzekł Anatol, — anitycio... Tylko... tylko... nie złość się... bo mi to przykro... Jesteś bardzo miłutki... Troszkę pijany... ale miłutki...

— Co za bydlę! — mruknęło Widmo. — Jest taki sam głupiec jak inni. Trzeba się uciec do zwykłych sposobów.

I nagle światła na stole i w kominku pogasły. Zapanowała śmiertelna cisza, przed oczyma Anatola stary jegomość począł rosnać, rosnać, aż dosięgnął głowę sufitu. Głowa jego stała się głową barana o wyszczerzonych złowrogo zębach. A oczy jego błyszczały, jak przeklęte latarnie w straszliwych ciemnościach — w jakich się nurzał pokój.

Anatol wytrzeźwiony, z najeżonymi włosami, z twarzą konwulsyjnie ściągniętą, stał przez chwilę bez ruchu, milczący, dławiąc się przerażeniem.

Widmo wyciągnęło rękę, siną i kuszącą. Ale Anatol darł się już nieludzkim głosem i pędził ku drzwiom. Po drodze zatoczył się na kant kominka, wywichnął sobie rękę i, nie znajdując drzwi, wyskoczył przez okno.

Tą drogą z łatwością znalazł się na bruku i zemdłał, nie uczyniwszy sobie zresztą żadnej krzywdy,

oprócz złamania nogi w biodrze i
licznych potłuczeń.

— I kiedy pomyślę, — szeptała
Widmo starego jegomościa, który
znów przybrał wygląd przyzwoi-
ty, — kiedy pomyślę, że zawsze
trzeba wracać do starych, melo-
dramatycznych sposobów... A
powiadają, że człowiek stał się
niedowiarkiem!

Kiedy Jest Człowiek Godnym Nagany?

Jeżeli do siebie samego i do innych nie ma zaufa-
nia.

Jeżeli się nie stara swoje uczynki codziennie tro-
chę lepiej zrobić.

Jeżeli pozwala przeminąć dniowi nie uczyniwszy
komuś coś dobrego.

Jeżeli chce innych naprawiać wyrzutami zamiast
dobrym przykładem.

Jeżeli przyjmuje na siebie tyle pracy, że niema
już czasu na odpoczynek i zabawę.

Jeżeli jego przyjaciele kochają go więcej dla te-
go, co ma, aniżeli dlatego czem jest.

Jeżeli wie, że jest w błędzie, ale nie ma odwagi
przeznać to.

NIE DO PRZEBACZENIA.

Więc przebaczyłam jemu wszystko, wszystko.
Nawet i znany romans z tą... "artystką",
Z tą z "Colosseum", że świata zawłoka;
że tak we dwojkę hulali z nią szeroko;
że przez nieszczęsną swą porwany manię,
Kawiozem tuczył ją, kąpał w szampanie,
W jedwabie stroił, aksamit i złoto
I afiszował się jeszcze z niecnota,
A letnią porą w Norderney, w Połudze
Brudy jej w morzu prał z miną Naboba,
Nadomiar wszystko... za moje pieniądze!
Miała użycie ta szelma, ta "diva",
Lecz przebaczyłam jednak, bo-m osoba

Wskroś litościwa!

I przebaczyłam równie, gdy rozżarty
Nocami zamiast żony pieścił karty;
Kiedy formalnie ogarnął nim szal
I zły duch wodził w odmęt niecných sztuk;
Gdy z szubrawcami ciągle schadзки miał,
Gdy nasze-wasze, ferbla, maczka tłukł.
Chociaż powracał oplotany stale
I mimo wszystko wierzył jednak serjo,
że się odbije w końcu — choć w tym szale
Nie wiem, co zrobił z... moją biżuterją;
Choć przeklinałam wówczas gry mikroba
Wraz łotrem, który w sobie go ukrywa —
Lecz przebaczyłam i to, bo-m osoba .

Wskroś litościwa!

I przebaczyłam też, kiedy ujrzawszy,
Jak one sprawki grunt tu podmulily,
Na inny sposób jał doli skawskiej
Szukać, gdy (był to sposób bardzo miły)
Weksle z podpisem moim, te niewieście,
Te skandaliczne weksle co dnia, co dnia
Sypały na mnie protest po proteście;
Gdy fantowano mnie potem — o, zbrodnia! —
Choć mi, dalibóg, ni śniło się kiedy
Tą kaligrafią szukać sobie biedy.

Choć mąż i szal ten wstrętny były mi — oba,
Choć to oszustwem prostem świat nazywa,
Jam przebaczyła jednak, bo-m osoba

Wskroś litościwa!

Nakoniec jednak już mi tego dość,
Nakoniec nawet mnie porywa złość —
I żądza pomsty zabiega mi drogę, —
Dość przebaczyłam, jednego nie mogę.
Takiej decyzji nic w świecie nie zmienia:
Przeżyłam gorzyc, smutek i rozpacz
że mu już... nie mam nic do przebaczenia!

ZNA SIĘ NA INTERESIE.

Handlarz wędrowny wchodzi do pewnego miesza-
kania i zaczyna zachwalać:

"Proszę pani, mam na sprzedaż pyszną łapkę na
myszy, która..."

"Bardzo żałuję, nie mamy myszy!"

"Może pani używać tę łapkę zarazem do łapa-
nia orzechów!"

"Nie jadamy orzechów."

"Jeżeli się ją odwróci, można w niej palić ka-
wę!"

"Kupuję tylko paloną kawę!"

"Jeżeli pani łapkę w drugą stronę odwróci, moż-
na w niej gotować jajka."

"Mam naczynie do gotowania jaj."

"Jeżeli pani naciśnie tu tę sprężynę, to robi się
z łapki prześliczne lustenko."

"Nie potrzebuję lusterka!"

"Jeżeli pani naciśnie sprężynę na tem lusterku,
to wyskakuje drugie i trzecie lustenko, gdy panu
ustawi je na oknie w kuchni, pokażą pani, co się
dzieje w mieszkaniu naprzeciwko."

"Ile kosztuje taka łapka?"

"Trzy dolary..."

"Dobrze, wezmę jedną!"

Nie Kocham Jeszcze.

Nie kocham jeszcze, a już mi jest drogi,
Nie kocham jeszcze, a już drzę i płonę
I duszę pełną o niego mam trwogi
I myśli moje już tam, w jego progi
Lecą stęsknione...
I ponad dachem jego się trzepocą
Miesięczną nocą...

Nie kocham jeszcze, a ranki już moje
O snach mych dziwnie wstają zadumane,
Już chodzą za mną jakieś niepokoje
Już czegoś pragnę i czegoś się boję
W nocie niespane
I już na ustach ślad noszę płomienia
Jego imienia...

Nie kocham jeszcze, a już mi się zdaje,
Że nam gdzieś lecieć, rozplynać się trzeba
W jakieś czarowne, dziedziny i kraje...
Już mi się marzą słowicze wyraje
Do tego nieba,
Które gdzieś czeka, aż mnie ukołysze
W tę nocną ciszę.

M. Konopnicka.



Macierzyństwo.



Raz Idzi Tu-- Raz Idzi Tam

Zygarowa historja z perpendyklem.

Za Pipidówki, po przed las,
Nawyży kilometrów dwa,
Tuj tuj dzie stoi gminny dom —
Hersz Pinson swoje karczmy ma.



Szyroka stajnia na pięcz fur,
Nie próżna nigdy — boży broń!
Od frontu szynk, od tyłu żłób —
Wygody ma i pan i kuń.

Hersz tam już siedział kilka lat,
Roboty miał dwie pełnych rąk,
Bo w mieści był co tydzień targ,
Co tydzień oprucz piw i mniód,
I chłopcy pili jak ten bąk...
Beczulki okowity szło.
A Herszko schował w taki dzień
Namnij korunek jakich sto!

Był to już mocno starszy żyd,
Z kręconym pejssem szajn morajn,
No za to młode żonki miał,
Okrągłe, ślicny, pikies fajn!
Sześć lat ji kochał co miał sił,
No nie pomagał cały szwitsz,
Bo choć oboje chcieli — strach!
Jakoś im Pambuk nie dał nic!...

Ale że Herszko z pirszych żon
Wychował już bachurów sześć.
Więc mówił: "Nu! jak ni to ni!
Zostanie dla nas więcy jeść!"

I kto wi, cyby Ryfcia już
Nie była panną cały czas,
Żeby si mąż, pan Pinson Hersz
Okropnie nie był zgniwał raz...

Skąd się to brało — mniejsza z tym,
Dość, że si Hersz nie bedzi truł,
Bo wczoraj córki dwa na świat,
Dziwczyny przyszli zdrów jak wół!
Aby rozumieć co i jak,
Cofajmy trzy kwartały wstecz
A zobaczymy ja i wy,
Jak to si ta ma całą rzecz.

Było to właśnie tamten rok,
Wieczorko świecił już na szwiat,
Jak Herszko fajki w giemby brał
I po przed karczmy sobi szadł.



Pypkał cybuszko, klepał brzuch,
Z palcami czasem obtar nos,
Rozmarzeniował jego duch
I tak do szebi szeptał w głos:

"Pomagał Jahwe Herszka żyć,
Pół wsi już chłopów zdar ze skór;
Mam karczmy, ogród, wielgi grunt,
I mam piniędzy cały wór.
Żeby tak jeszcze choć ten raz
Małe bachurko z Ryfki miał
Jabym rabina — dejm fin Belz —
Zaraz korunek tysząc dał!"

On już doktora spisał w tym
 No doktor śmiał si: "Ha ha ha!
 Pan trochu już za stary mąż,
 Za mało pan energii ma!"
 Nie bardzo Hersz zrozumiał to,
 No belfer Katz, co wszystko wi:
 "Energia — mówił — to jest w tym,
 Jak człowiek czego bardzo zły!"



A Ryfcia pachni jak ten kwiat,
 A słodka jak z cybulki mniód,
 To jak un mógł być na niej zły?
 Chiba si szwiat zawali wprzód!...

Tak sobi dumal stary Hersz,
 Wtym patrzy — na gościłcu proch...
 Na rowyrowach kółkach tu
 Zajecha jakieś panów dwoch.

Karczmarz od ławki grzeczno wstał,
 Bo od nich co zarobić móg...
 I jak prawdziwy polski żyd
 Powiedział im: "A giten Tug!"
 I Ryfcia pita, co ich dać,
 Bo ona wszystko dobre ma...
 Więc zjedli rybki, masło, chlib,
 I wino flaszki poszło dwa.

Zgadało si ni to ni sio,
 Co slychać jest na świecie gdzie,
 "Może chto z panów jeszcze chce?"
 A Hersz si spisał z winem wciąż:
 A był na szciany zygar tam,
 Co ze skazówki robił znak;
 Aż goszcz si paczał, paczał w nim,
 Nareszci mówi Hersza tak:

"Panie arendarz! powidz pan,
 Cy móg by pan spokojnie stać,
 I na tym perpiendykuł tu
 Przez kwadranc haczne oko dać?
 Nic, no si paczać jak ten mur,
 I głośno zapowiadać nam,
 Powtórzyć z każdyn jego ruch:
 Raz idzi tu — raz idzi tam!?"...



Hersz trochu śmiał się pod wąs,
 I miśli sobi: "Co? un kpi?
 Przecie to taka łatwo rzecz!"
 Więc mówi: "Oj waj! za co ni?"
 A jeden, ten co blondin był:
 "O zakład! — krzyczy — To nie szpas!
 Ja sto korony pana dam,
 Jak pan wyczyma cały czas!"
 "Zgadza! — powiada na to Hersz —

I ja sto koron płacę tyż...
 Ale tu papir jest na stół,
 Tu, proszy, pan ugody pisz!
 Jak perpiendikuł zrobi "tik!" —
 Raz idzi tu! — powiedzieć mam;
 A jak już nazad zrobi "tuk!",
 To powim znów: raz idzi tam!"

"Kwadranc — rzekł blondin — ma pan stać,
 Choćby największy przyszyd strach,
 Choćby na panu szczeakał pies,
 Choćby si w karczmy palił dach!..."
 "Zgadza!" — powtarzał znowu żyd,
 Patrzy jak zygar dżga bim bam,
 I najspokojniej gada już:
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"

Z gości to jeden hau! hau!
 To drugi "płacić!" woła znów,
 To choć nie zapłacił nic
 Wstają i mówią: "Bądź pan zdrów!"



Ale Hersz miśli: "Głupi wy!
 Oszukać ja si nie dam wam!
 I śpiwa sy spokojni wciąż:
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"

Tak przeszli już mynuty dwa,
 Aż drugi, czarny wstał od stół,
 Do Ryfei zaczął suszyć ząb,
 I z jedne ręki brał ji w pól,
 I do alkirza poszed z ni...
 No Hersz si nie dał brać na witz,
 Po przed zygaem jak ten słup,
 Z niczego sy nie robi nic!

Choć blondin za nich zamknął drzwi,
 I mówi: "Co? cy pan si wścik?
 Un ma przy siebi ostry nóż,
 Un zarżnił ji jak jaki byk!"
 Nasz Herszko miśli: "Gada j zdrów!



Już ja te wasze szpasy znam!"
 I ciągle mówi jak ten mur:
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"

Już minut nowych przeszło trzech,
 Blondin już widzi, że z nim źle,
 Słucha pod drzwi i woła: "Gwałt!
 Panie arendarz! un już rżnie!
 Un ji oderżni głowy, nos...
 To gałgan jest! ja jemu znam!"
 Ale żyd mądry mruczy wciąż:
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"



A choć miał w sercy trochę strach,
 No miszlał: "Daj ty spokój, daj!
 Jakby tam Ryfki było źle,
 To by krzeczyła gwałt! aj waj!"
 Bo kuźden żyd mądrzejszy jest,
 Jak pirszy lepszy jaki cham...
 Więc Hersz powtarza swoje furt:
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"

Wyczymał zakład, kontent — strach!
 Bo już brakniło jego tchu...
 Aż kiedy skonczał, szuka — gdzie?
 Oho! ze z gości ni du du!

Gościńcu widać myli ćwierć —
 Z nich ani popiół ani dym!
 Hersz sobi brody z głowy rwie:



To też po osiem mynūt znów,
 Ten czarny wyszedł z po za drzwi...
 Ryfcia czerwony miała twarz,
 Z reszty nic nie urzynał ji!
 Śmiała si głośno: "Herszku! wisz?
 To było pyszny sam na sam!"
 Śmiał si i Hersz — no stękał wciąż:
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"

"Ja sto korony wigrał z nim!"
 I krzyczy: "Gane! złodził pies!
 To jakieś zbójów było dwuch!"

Tanty widzieli że nasz Hersz
 Konieczny stówki wigrać chce...
 Wyszli, siadali na swój kół,
 I krzykli oknem: "Hersz! adje!"
 Potem do Ryfci jeszcze wciąż
 Machał czapką z koła w tył,
 A Ryfcia na gościńcu szła,
 I też kiwała z całych sił...

Herszko stał słupem jak ten pies,
 A choć mu krzyczyć brało chęć,
 Choć jemu pisku bolał już —
 Wykląpił jeszcze mynūt pięć!...



Skacze jak rak — a Ryfcia nic...
 Śmieje — aż czyma si za brzuch!
 Na tem już Hersz si trochu wścik!...
 "Ty żona bedzisz z mężu kpić?
 Jak ja ci tu do głowy dam!
 Pakuj si! do alkirza idź!"
 I naraz wrzaśnił: "Aj waj mir!
 Ja mam energii! Ha! psia mać!
 Zamykaj karczmy! szwiatło zgaś!
 Ja lecem do alkirza spać!"

Co było — nie wim! Herszko dziś
 Córki bliźniaczki pieści dwa;
 Tylko no Ryfcia patrzy w nich
 I jakiś dziwny miny ma...
 A jak kołysa im siu siu,
 Szczególnie jak jest sam na sam,
 To spiwa sobie: "Oches mir!"
 "Raz idzi tu — raz idzi tam!"

TRAFIŁ NA SWEGO.

W wagonie siedział oficer naprzeciw kapucyna, który miał obok siebie spory tłumoczek. Oficer, choćę dokuczyć zakonnikowi, rzekł:

— Chciałbym mieć to, co ojciec ma w tym tłumoczku. Zapewne tłuste szynki, smaczne serki, białe bułeczki...

Kapucyn: — A ja chciałbym mieć to, co pan ma w głowie!

— A to dlaczego? — pyta zmieszany oficer.

Kapucyn: — Bo byśmy obydwaj nic nie mieli.

POSŁUSZNA CÓRKA.

Pewna pani, wyglądając oknem, zauważyła, że mała dziewczynka, wyszedłszy z bramy, zatrzymała się na chodniku, gdzie stała dłuższy czas, a w końcu rozplakała się. Zdziwiona tem, zapytała dziecko o przyczynę płaczu.

— Ach, proszę pani — odpowiedziała dziewczynka — mama moja, wysyłając mnie, rzekła: Pamiętaj, moje dziecko, nie przechodź przez ulicę, nim wóz nie przejdzie. Muszę iść naprzeciwko i pół godziny już czekam, a tu żaden wóz nie jedzie.



NA BANKIECIE LEKARZY.

Doktor Pękalski wznosząc toast:... A więc wychylam ten kielich na zdrowie...

Głosy: Protestujemy, zdrowie — to nasza ruina!



Japończyk o Gościnności Polskiej.



RZYMAJĄC rękę na pulsie życia społecznego, zbliżyłem się do Japończyków.

Mili i zdolni ludzie! Niejeden z nich po roku pobytu w Polsce wcale nieźle włada naszym językiem.

Z jednym z nich zaprzyjaźniłem się szczerze. Widywaliśmy się dość często, choć Japończyk mój, zajęty studjami nad Polską, mało miał czasu wolnego.

Pewnego dnia grono moich przyjaciół zaproponowało, by na znak przyjaźni urządzić zbiorowy obiad dla Japończyka. Taki niewielki, na 50 lub 60 osób, z kwiatami i z paniami.

Zawiązał się komitet. Ułożono menu. Wieczór. Fraki i toalety balowe. Sala w pierwszorzędnej restauracji. Orkiestra miała grać bigos z "Madame Butterfly". Każdy gość miał mieć w klapie olbrzymią chryzantemę. Przy wejściu Japończyka wszyscyśmy mieli chórem zawołać:

— Banzaj!

Postanowiliśmy też siłą sprowadzić Remigjusza Kwiatkowskiego, aby po każdym toaście improwizował "Uty".

Wreszcie delegacja złożona z dwu osób udała się do Japończyka, żeby go uroczyście zaprosić.

Przyjął nas serdecznie. Miłe powitania, wymiana grzeczności, gorąca herbata ze słodyczami.

Z powagą i namaszczeniem wypowiedziałem cel wizyty.

Japończyk był zakłopotany

Wypytał się o różne szczegóły i wreszcie odmówił stanowczo.

Byliśmy urażeni.

Nazajutrz Japończyk mnie odwiedził.

— Winienem panu wyjaśnienie z powodu mej odmowy, ale jestem związany słowem, które dałem samemu sobie.

— Że co?

— Że będąc z całą i gorącą przyjaźnią dla Polaków, nie pójdę nigdy na obiad, urządzony przez Polaków.

Przeczułem jakąś tragiczną tajemnicę. Poprosiłem przeto o bliższe wyjaśnienie, jeśli go to nie krępuje.

Japończyk uśmiechnął się.

— Tajemnicy w tem niema — odparł. — Od kilku lat przebywam poza swą ojczyzną. Poznałem wiele krajów, ludzi i ich obyczajów. Bywałem na zaproszonych lunchach, obiadach i kolacjach w Paryżu, Londynie, New Yorku i wielu innych miastach. O gościnności Polski słyszałem wiele i nie zawiodłem się. Jesteście uprzejmi i gościnni nad wyraz. Ale wasz system jądania może o śmierć przyprowadzić mieszkańca południa czy wschodu, nie przyzwyczajonego do tego.

Byłem zdumiony.

— Posłuchaj pan. Oto wkrótce po moim przyjeździe do waszej pięknej stolicy byłem zaproszony na obiad w większym gronie w pewnym hotelu. Zaproszenie na godzinę ósmą wieczór. Przyjechałem punktualnie i nie zastałem prawie nikogo. Dopiero później dowiedziałem się, iż u was, gdy się ma zaproszenie na ósmą — trzeba przyjść o godzinę później. We Francji i w Anglii, a i w Japonji, nie wypada się spóźniać więcej niż o kwadrans. Otóż w danym wypadku towarzystwo zaproszone na ósmą zebrało się o godzinie pół do dziesiątej. O tej porze zaproszono nas do stołu. Nie znałem jeszcze waszych zwyczajów. Na olbrzymim stole (pamiętam to dobrze) była zimna zastawa i wielkie ryby w majonezie i w galarecie, ryby faszerowane i wędzone, drób na zimno, wędliny i całe szynki, pasztety, galantyny (nauczyłem się waszego menu!), forszmaki, auszpiki, chaud-troix z drobiu, rydze, korniszony, sałatki z ryb i mięsa, konserwy rybne w puszkach. Była tego taka obfitość, iż wystarczyłoby na cztery razy więcej osób. Do tego mnóstwo

wódek i koniaków. Jedzenie było wykwitne i smaczne, ja zaś byłem głodny. Jadłem obficie, a co chwila według waszego pięknego zwyczaju, musiałem się z kimś trącić kieliszkiem i pić duszkiem wasze mocne wódki. Trochę mnie dziwiło, iż cały obiad jest stojący i na zimno, ale osądziłem, iż należy to do waszych zwyczajów. Po godzinie byłem najedzony nad miarę. Siadłem na fotelu, czekając aż się towarzystwo zacznie rozchodzić. Nagle otworzyły się drzwi i służba zaczęła wnosić gorące potrawy. Sąsiad objaśnił mnie, że po zimnem jedzeniu jada się u was gorące przekąski. A czego tam nie było! Grzyby duszone w śmietanie, rydze smażone, bigos, parówki duszone w pomidorach, flaki, wątróbka gęsia smażona, pomidory faszerowane, kwiezoły w słoninie — nie potrafię wszystkiego wymienić.

Wszyscy zaczęli jeść nanowo, pijąc mocną wódkę. Ponieważ nie wypada odmawiać, nie chcąc być źle wychowanym, jadłem i ja wszystkiego potrosze. Sąsiad mój nalał mi kieliszek starki i nałożył na talerz polskiego bigosu tyle, że wystarczyłoby to dla japońskiej rodziny z ośmiorgiem dzieci. Oblał mnie zimny pot, ale jadłem przez grzeczność. Wkrótce jednak temu mi zabrakło. Odsunąłem się, siadłem w kątku i kazałem sobie podać wody sodowej. Miałem wrażenie, że pęknię i nagle umrę. A inni wciąż jedli. Byłem zdumiony, jak można znieść takie dwa obiady: zimny i gorący, jeden po drugim. Marzyłem o tem, żeby jaknajprędzej wsiąść w auto i pojechać do domu. Cóż pan jednak powie? Oto otwierają się drzwi do drugiej sali i gospodyni z uprzejmą miną prosi na obiad.

Zdrętwiałem. Ktoś mi powtarza:

— Prosimy na obiad!

Pytam więc: Jakto na obiad? Przecież były już dwa obiady: zimny i gorący, oraz mnóstwo mocnej wódki. Na to odpowiada mi pewien dzentelman:

— Ach, przecież to była dopiero przekąska. Obiad dopiero się zaczyna.

Poszedłem więc i usiadłem. Brałem wszystko, ale nie już do ust wziąć nie mogłem. Było to niegrzecznie, ja wiem, ale już oddychać nie mogłem. A inni jedli: krem z karczów, paszteciki, rybę zapiekaną, polędwicę z trufkami, drób, szparagi, poncz mrożony, krem hiszpański z ciastkami... do tego z pięć gatunków wina, a na zakończenie czarna kawa z mnóstwem likierów i cygara.

Oh, pomyślałem wtedy: bogaty musi być

kraj, w którym ludzie mogą jeść tyle, iż wystarczyłoby na pół miesiąca dla ludzi zwyczajnych. I podziwiałem wasze żelazne zdrowie: Francuz, Włoch czy Japończyk nigdy nie jada nie na noc, a u was ludzie właśnie na noc objadają się w sposób niezrozumiały dla Europejczyka z Zachodu lub mieszkańca Japonji. Przecież u was najwięcej osób gromadzi się w restauracjach dopiero po teatrze, około północy. Ja bym umarł po miesiącu takiego życia, a mam przed sobą jeszcze dużo pracy i chcę żyć.

Dla tego to — kończył Japończyk — nie mogłem przyjąć waszego uprzejmego, serdecznego zaproszenia na obiad. Ale jeśli mnie zechcecie zaprosić wieczorem na szklankę herbaty bez jedzenia — przyjdę z przyjemnością.
(*"Kurjer Warszawski"*)



ZŁOTE MYŚLI.

Prawdy a żartów, jak soli używaj, bo często przesolisz.
Andrzej M. Fredro.

Rychle się uczeń u tego mistrza nauczy, na którego robotę patrzy, niżeli u tego, który o robocie mówi.
X. Piotr Skarga.

Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku;
Lecz idea nie zaginie. Zygmunt Karpiński.

Czas oczy zalane łzami ociera,
Czas drzwi do gmachów pociechy otwiera;
A czego w ludzkim nie znajdziesz rozumie,
Długi czas umie. Kasper Miaskowski.

Milczenie skarb wszelkiej polityki; milcząc, nie urazisz; milcząc, zdobędziesz; milcząc, wyrozumieysz; milcząc dokażesz.
Andrzej M. Fredro.

Nie nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół,
Iść przez drugich podnoszenie;
Tak Bóg czyni we wszechświecie,
Bo cel światów—szlachetnienie.

Zygmunt Krasiński.

Nie Bajka.

Spadł z drzewa topoli pączek,
I płynie z potoku piana,
Na nim sieć osnuł pajączek:
Czyha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wrywa
I targa sprężyste nici:
Gdy się wysunie wpół żywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Zwolna ją dusi i gnębi,
Zanim śmiertelny cios zada,
A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada.

I wkrótce po muszki klęsce
Gdy się już więcej nie broni,
Z ofiarą razem zwycięzcę
Wir wodny pogrążył w toni.

ADAM ASNYK.



Młody rybak.



Miasto Kazimierz Nad Wisłą.



O PATRZNOŚĆ łaskawa dzieląc szczerą ręką dary swe pomiędzy krainy ziemi, dała ludom słowiańskim, ob-

szerne zalegającym równiny, dwie rzeczy do życia najpotrzebniejsze, to jest zboże i sól. Rozległe równiny Polski, uprawiane pilną ręką rolnika, wydawały i wydają stokrotne plony, które od wielu wieków wywożone za granice, lub spławiane Wisłą do morza, stanowiły bogactwo kraju i obywateli i słusznie rolnik nasz mógł się szczycić i radość swą w piosenkach malować, iż pracą rąk jego pół ziemi żyje. Z królów polskich żaden nie poznał tak dobrze potrzeb i własności kraju swego, jak Kazimierz Wielki, ów sławny chłopków opiekun. Zabezpieczywszy bowiem kraj od zewnętrznych nieprzyjaciół, ustaliwszy wewnętrzny pokój przez na-

danie praw na wolnym zjeździe w Wiślicy, zwrócił całe swe staranie na podniesienie rolnictwa i handlu. W tym to celu zakładał miasta, obdarzał je swobodami, aby dźwigać przemysł, a lubo nie-szczęścia i klęski, które pod następcami jego kraj skołatały, zniweczyły to, co ręką jego wzniosła, świadczą jednak dotąd gruzy zamków i miast, przez niego wzniesionych, o gorliwości i podejmowanych pracach dla uszczęśliwienia narodu.

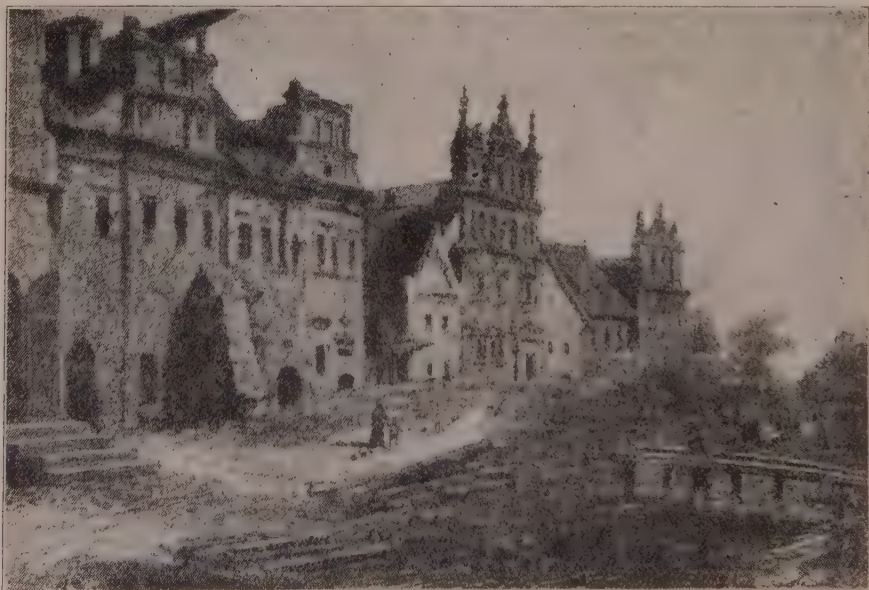
Ryciny nasze przedstawiają ruiny zamku, kościół i kilka domów na Senatorskiej ulicy i małą część miasta Kazimierza, wystawionego przez tego wielkiego monarchę. Był to ważny punkt dla handlu zbożowego, między ziemią Sandomierską i Lubelską, na głównym trakcie, łączącym dwa wówczas najznaczniejшие miasta: Kraków i Lublin. Długo było miasto to składem zboża, spławianego



Miasto Kazimierz: Ogólny widok miasta.

Wisłą, dopóki Gdańszczanie nie przywłaszczyli sobie prawa składu w Elblągu i Toruniu: przybywali tu liczni kupcy z zagranicy; są nawet wiarogodne świadectwa, że kupcy angielscy mieli tu swoje

kantory. I bogaci kupcy perscy i ormiańscy rozkładali tu swoje kramy. Rynek obudowany starożytnymi kamiennymi domami, wielka liczba śpichlerzy na kilka pięter stawianych w czworoboki,

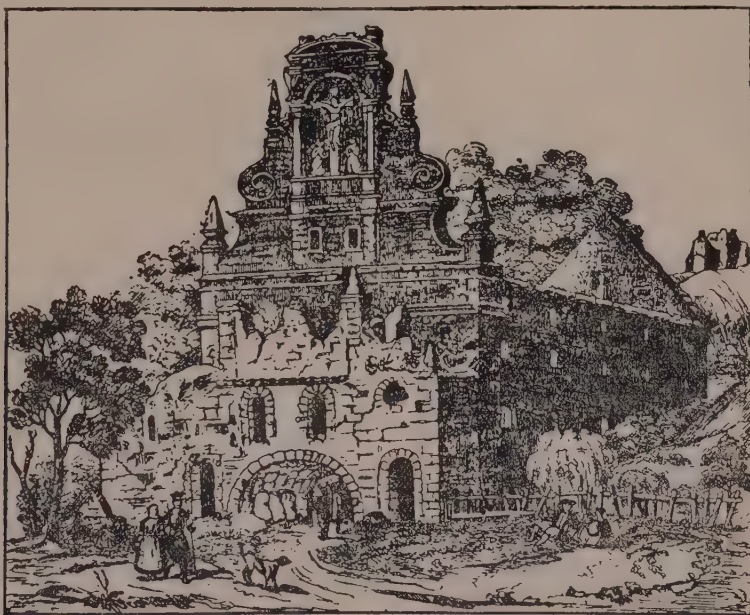


Miasto Kazimierz: Domy na ulicy Senatorskiej.

teraz po większej części zniszczonych, świadczą o dawnej zamożności miasta, które dziś zaledwie kilka set domów liczy, w większej części przez Żydów zamieszkałych, biednych i brudnych. Całe miasto w pięknej dolinie, otoczone wysokimi drzewem obrosłymi górami, nad bystrą Wisłą, przyjemny przedstawia widok.

Z pomiędzy wzgórz najwyższa

jest jednakże domniemanie, że w czasach, kiedy miasto Kazimierz przez liczne statki krajowe i zagraniczne odwiedzane było, wieża ta służyła za latarnię, a na szczycie jej, kratami żelaznymi okrytym, rozpalano ogień, który podczas ciemnych nocy przyświecał żeglarzom. Widok stąd na miasto i Wisłę, i na przeciwnej stronie leżący zamek Janówiec, a ku półno-



Miasto Kazimierz: Spichlerz.

jest góra zamkowa, na której znajduje się ogromny, spustoszały zamek, z wysoką wieżą okrągłą, dzieło i ulubione mieszkanie wielkiego króla. Obok w gruzach leżącego zamku, widać o kilkaset kroków od niego okrągłą wieżę, wewnątrz zupełnie próżną i nie mającą żadnego wejścia. Trudno się domyśleć jej przeznaczenia —

cy na piękne Puławy, o milę odległe, należy do rzędu najromantyczniejszych okolic. U spodu góry zamkowej stoi świątynia gotycka, wystawiona także przez Kazimierza Wielkiego, później przez Henryka Firleja odnowiona, w której nieśmiertelny Woroniec jako skromny pasterz nauki zbawienia pobożnemu ludowi udzielał.

MIŁA SŁUSZNOŚĆ.

— Czy byłeś już kiedy przedtem za kradzież karany?

— Nie! Zawsze potem.

NIE CIĄGNIJ ZA JĘZYK.

— Czy pan, panie Henryku, zawsze tak mało je?

— Nie... Tylko jak obiad niedobry, proszę pani.

MĄDRA PONAD WIEK.

Matka: Zosieńku, chciałabyś ty teraz jeszcze mieć siostrzyczkę?

Zosia: O mamó; nie, nie!

Matka: A dlaczego nie?

Zosia: Nasamprzód te wielkie krzykliwości i płacze — a potem miałabym tylko połowę posagu.

COŚ LEPSZEGO.

— Czy widziałeś już człowieka polykającego szpady?

— Widziałem coś lepszego.

— Naprzykład?

— Pan N. połknął majątek ziemski i dwie kamienice i nawet nie zadusił się.

NIEULECZALNY.

— Piwo pana zgubi — mówi lekarz. — Trzeba zacząć kurację od wypłókania żołądka.

— Można piwem? — zapytuje pacjent nieśmiało.

PO PIJANEMU!

— U... psia tego! Napisane na tabliczy, że musi się psa prowadzić na sznurku. Sznurka kawałek mam tu gdzieś w kieszeni... ale skąd im tak na gle psa wezmę?

KONKURS BEZ WYNIKÓW.

— Wiesz, wczoraj odbył się konkurs na najlepszą płytę gramofonową. Wyznaczono liczne nagrody. Nadano 50 płyt.

— Jakież wyniki?

— Żadne; przy 49 płycie ostatni sędzia ratował się ucieczką.

W SĄDZIE.

— Co podsądny może jeszcze powiedzieć po obrobie adwokackiej?

— Że była marna.

PRZERWANA DRZEMKA POOBIEDNA.



I.

Stary Rabi siwobrody
Drzemał smacznie wśród wygody.
Wnuczka patrzy przemyśliwa —
W głowie waży myśl szczęśliwą.



II.

Na podnóżku koło dziadzi
Rażno szczotką brodę gładzi.
Dziadus chrapie aż drży chata,
Wnuczka w warkocz brodę spiata.



III.

I nareszcie z brody dziadka
Gotów warkocz — rzadka gratka!
Teraz dzieciuch co tchu czmycha,
Bo wyspany dziadek wzdycha.

SIŁA PRYZWYCZAJENIA.

Nowy buchalter do szefa firmy bankierskiej:
— To okropne! Dostałem list, w którym klient
nazywa pana oszustem. Co począć?
— Nie zwracaj pan na to uwagi. On mi to powta-
rza w każdym liście.

POMIĘDZY BADACZAMI PRZYRODY.

— Wyobraź sobie kolega, pozawczoraj znalazłem
przy drodze, za rogatkami małą cząstkę węża, któ-
ry na pierwszy rzut oka wydał mi się Peliás berus.
Po bliższem zbadaniu okazało się, że popełniłem
błąd.
— Rozumiem; był to zapewne zwyczajny wąż,
Tropidonotus natrix?
— O nie; był to kawałek węża... od sikawki.

ZŁOŚLIWIE.

Pociąg rusza. W kącie wagonu rozplakało się
dziecię. Panna doletnia zatyka rękoma uszy.
— To okropność! Podróż mi obrzydnie!
Ojciec dziecka: — To trudno; pani też była
dzieckiem i płakała.
— Ale nie na kolei!
— Rozumiem — brzmi uwaga ojca — w latach
pani dziecięcych koleje nie były jeszcze wynale-
zione.



IV.

Przetarli oczy starowina —
A tu przed nim żona syna
Śmieje się, za boki chwyta:
"Gdzież-że broda, teściu"? pyta.

ZE SŁOWNIKA TERMINATORA.

— Podobno twój majster umarł?
— O tak. Wczoraj o północy przestały bić jego
serce i ręce.

OSZCZĘDNOŚĆ.

— Cóż wasza żona, ciągle jeszcze chora?
— Umrze niezawodnie, jeżeli jej nie zrobią ope-
racji, ale doktor chce za to \$25, tymczasem orga-
nista mówi, że pogrzeb najwyżej kosztować będzie
\$15. Poradźcie, kumie, co tu robić?

ZJADLIWA ODPOWIEDZ.

— Jak się masz, panie handlujący źle oszlifowa-
nymi brylantami?
— Dobrze się mam, panie... składniku... wil-
gotnych trumien.

DOWCIPNY.

Mama: Cóż rzekłbyś Jasiu, gdybyś siedział w
tramwaju, który jest zupełnie wypełniony a wtem
wchodzi jakaś pani?
Sześćioletni Jaś: Udałbym, żem się zdrzemnął!

MIEDZY BRACMI.

Paweł: Idę teraz kąpać się do rzeki.
Franek: No, no, idź a utop się, to dopiero od mat-
ki dostaniesz porządne rżnięcie.



Wierny stróż.



Pierwsza Pomoc w Nagłych Wypadkach.



STRZAŚNIENIE MÓZGU. Ułożyć chorego głową na dół, porozpinać ubranie. Jeżeli chory przytomny, podać mu wino (szampan), kamforę, piżmo, (ostrożnie) do wewnątrz; w razie zupełnej nieprzytomności — wstrzyknąć eter, kamforę pod skórę. Pozatem zawinąć chorego w wełnianą kołdrę, dać butelki z gorącą wodą w nogi, gorczyczniki na łydki, nadbrzusze, na okolicę serca. Spokój! Jeśli występuje okres pobudzenia, — lód na głowę, środki odciągające, bańki na piersi i plecy,

Wstrząs (Shock). Ułożenie chorego poziome, z opuszczoną głową i uniesionymi wysoko nogami. Wyciskanie krwi z kończyn górnych i dolnych (przez silne owijanie ich) w kierunku ku mózgowi i sercu. Zastrzykiwanie pod skórę (500 do 600 cm. kubicznych) lub do żyły (1,000 do 1500 cm kub.) wyjałowionego roztworu soli kuchennej 0.8% z dodatkiem 8 do 10 kropli orygin. (1:1000) adrenaliny. Zastrzykiwanie kamfory, eteru; gorczyczniki na dołek podsercowy, stopy i łydki. Jeśli oddech ustaje — sztuczne oddychanie, środki drażniące skórę i błony śluzowe (szczotkowanie stóp i rąk, drażnienie piórkiem błony śluzowej nosa i t. p.). Gdy chory już może połykać, podać, mu gorącą kawę, herbatę, wysskok.

Zmarznięcie. Pamiętać, że rozgrzewanie zmarzniętego winno się odbywać powoli, stopniowo, a nie raptownie, i że należy nie złamać zeszywniałych i stąd kruchych członków. Chorego umieścić w chłodnym pokoju, najlepiej w wannie z zimną (około 75 stopni Fahrenheita) wodą, której ciepłotę powoli podnosi się do 80-iu stopni; jeśli nie można użyć wanny, to ostrożnie nacierać skórę na całym ciełe śniegiem, póki sztywność nie u-

stąpi, dalej ostrożnie wykonywać sztuczne oddychanie. Polecają także okłady alkoholowe na skórę. Po ukazaniu się oznak życia można przenieść chorego do cieplejszego pokoju, umieścić w łóżku, rozcierać ciało flanelą, okryć kołdrą, podać trochę ciepłego napoju lub wina, unikać jednak środków silnie pobudzających.

Przy odmrożeniach poszczególnych członków — ostrożne (żeby nie złamać) nacieranie ich śniegiem lub kawałkiem lodu, póki skóra się nie zaczerwieni.

Otrucia. W przypadku podejrzanym o otrucie zwrócić uwagę na: (1) otoczenie chorego (jakość powietrza — czad, flaszki, słoiki z resztkami trucizn); (2) błonę śluzową ust chorego (nadżarcia, nieprawidłowe zabarwienie); (3) skórę chorego (suchość, zabarwienie, na przykład żółtaczkowe, zaczerwienienie, wysypka); (4) źrenice (zweżenie lub rozszerzenie, oddziaływanie na światło); (5) tętno, przytomność, drgawki, śpiączki itp.; (6) zapach wydychanego powietrza, zapać i wygląd wymiocin, zachowanie mózgu itp.

Jeśli otruty nie jest konający i niema wskazań do natychmiastowego zajęcia się sercem lub oddechem, należy dążyć do jaknajszego wydalenia trucizny z żołądka, nawet wtedy, gdy zatrucie nie nastąpiło drogą przewodu pokarmowego. Najlepszym do tego celu jest zgłębnik żołądkowy (stomach pump) i przepłukanie żołądka wodą czystą lub z dodatkiem odpowiedniej odtrutki. W braku zgłębnika użyć środków wymiotnych (przy zatruciach metalami Rp. Ipecacuanhae 1,0; przy truciznach organicznych: Cuprum lub Zincum sulfuricum 0,2 — 0,5! Apomorphinum podskórnie 0,005 — 0,01!; Tartarus scibiatus 0,03 — 0,05 — 0,02!). Nie zapominać o tem, że w razie głębszych obrażeń

blon sluzowych przez truciznę nie wolno używać ani zgłębnika ani środków wymiotnych z obawy o przedziurawienie. Przy użyciu zgłębnika lub środków wymiotnych należy chorych nieprzytomnych umieścić tak, aby zapobiedz możliwości aspiracji do płuc.

Ze względu na konieczność szybkiego działania nie zapominać o łatwo dostępnych środkach domowych.

Środki wymiotne: Sól kuchenna, spora łyżka w niewielkiej ilości wody; mąka gorczyczna, łyżeczka do łyżki w wodzie; łechtanie łuków podniebiennych, środki przeczyszczające, jakie tylko mogą się znaleźć pod ręką: lawatywa.

Środki pobudzające: Czarna kawa, rum, koniak, wino, zimne oblewania, fłaszki z gorącą wodą, nacieranie szczotkami, synapiz-

my, lawatywy z octu, rytmiczne uderzania dłonią w okolicę serca.

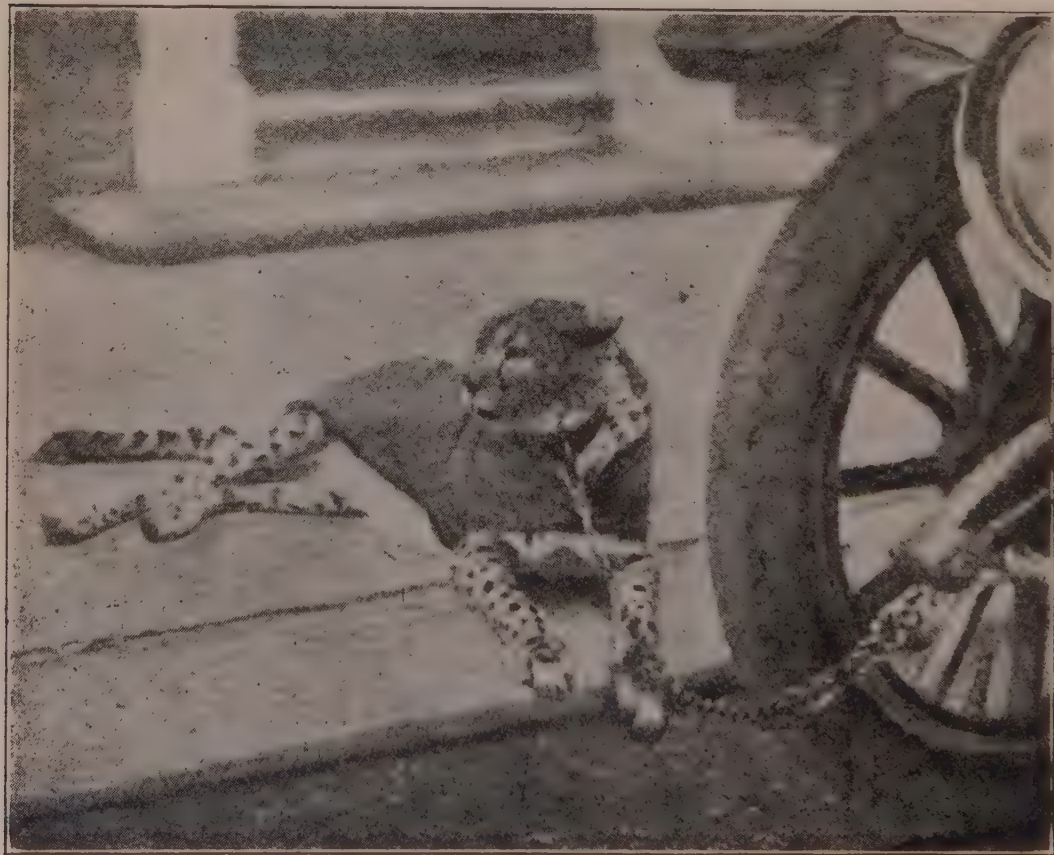
W zatruciu kwasami: mleko, woda białkowa, woda z mydłem, woda wapienna, kreda, lód.

W zatruciu alkalkjami: ocet, mleko, oliwa, lód.

W zatruciu alkaloidami: silny wywar herbaty (zawiera w stosunku do zwykłego naparu znacznie więcej taniny).

Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie miękną,
Ale się staną niby harfą strojącą,
I bite pięścią zapału—nie pękną!

Juljusz Słowacki.



Dobrze strzeżony automobil.

Oswojony lampart, zamieszkałej w Paryżu Amerykanki, strzeżł automobilu na rue de la Paix.



Które szczęśliwsze?



MAZUREK.

Uciekła mi przepióreczka w proso,
Lecz nie głupi ganiać za nią boso,
Choćby nawet buty matka dała,
Niech se leci, kiedy uciekała.

Oj, bo dziś takie czasy,
Na babę nikt nie lasy,
Dosyć kiwnąć jak na kpiny,
Jest dziewuch na tuziny.

W byle wiosce będzie tego kopa,
Po trzy, cztery na jednego chłopca,
A w Warszawie, kiej wyjdą w parady,
Gdzie rzuć okiem, niezem owiec w stadzie.

Szur, szur, szur ulicami,
Wiewają spódnice;
Jak tej drzewiny w boru,
Masz różne do wyboru.

Jak ci wyjdą na taką parady, —
Masz czerwone na gębie i blade,
Masz spalone, masz jak tyczka chude,
Są czarniawe, są kiej “wiewiór” rude!

Choć która czub uchwaści,
Dobierzesz wszelkiej maści,
Dobierzesz wedle smaku,
Niedrogo! po trojaku.

Sam widziałem za “Żelazną Bramą”,
Szia fornalka z ciocią, czy to mamą,
A co chłopak się trafił ulicą,
To im dziwnie, aż się oczy świecą.

Oj, gziłoż się, to gziło,
Choć niby z ciotką było,
A w łapy lazło samo,
Choć niby było z mamą.

Uciekła mi przepióreczka w proso,
Niema głupich ganiać za nią boso,
Jak mi będzie czas “przez” baby łzawy,
To pojadę na targ do Warszawy.

Dam mleka choć blaszankę,
I wezmę warszawiankę,
Jeno wpierw wypróbuję,
Czyli się nie farbuję.

Albo lepiej stanę przy “tyjatrze”,
To ci na mnie sama która natrze,
A że jestem mazur prawowity,
Toć mi nie dziw brać się do kobiety.

Uda się — wódki kupię,
Pogadawa o chałupie!
A trafi się straszdyło...
Oj, to jej spuszcze mydło!

El.



Według „Prepiski”.



PE W I E N polski szlachcic na Podlasiu, w byłym zaborze rosyjskim, zaprosił na wieczerzę i na partję kart generała moskiewskiego wraz z jego świtą i zgrają znajomych. Podczas kolacji podano flaki, sporządzone po polsku. To danie Moskalom najbardziej smakowało, więc pożerali porcję za porcją, niby wilki, a generał tak się zachwycił tą potrawą, że kazał do jadalni wezwać kucharza i zażądał, aby podał przepis („prepiskę”), jak się przyrządza polskie flaki.

Kucharz spełnił na miejscu życzenie, a generał, dobywszy z kieszeni notatnik, sam własnoręcznie wszystko zapisał.

W pewien czas później sprosił generał do siebie najwybitniejsze osobistości wojskowe, kilku obywateli, a także i owego szlachcica. W zaproszeniu napisano wyraźnie, że będzie „kuszanie” nadzwyczajne, że będą sławne polskie flaki. Wiedział bowiem generał, że między zaproszonymi są smako-

sze, którzy nie przyszliby na partję, a chciał ich mieć u siebie, ale na flaki przyjdą.

Podano wieczerzę. Stół był suto zastawiony różnemi potrawami, likierami i ‘szampańskim.’ Podano pierwsze na gorąco polskie flaki. Ustawiono na długim stole w podkowę cztery potężne wazy, z których rozchodziła się para po jadalni, roznosząc woń nieokreśloną, lecz dosyć silną i niezbyt przyjemną. Rozdano przed gości flaki. Moskale, po zalaniu się paru kieliszkami ‘palanki’, dostali wileczego apetytu i zaczęli chciwie zjadać, zachwalać smak i zapach flaków i powtarzać po drugiej porcji.

Wszyscy byli bardzo zadowoleni, tylko szlachcic polizał coś niecoś i odłożył łyżkę, a siedzący obok niego gospodarz, generał, także nie mógł jakoś dobrać smaku, bo próbował, potrząsał głową, a wkońcu, gdy skończono flaki, kazał zawołać kucharza do jadalni, przy gościach i pyta go:

— Kak ty warył eti rubcy? (Jak ty gotowałeś te flaki?)

— Według prepiski, wasze bła-

horodje — odpowiada kucharz, stając w postawie wojskowej.

Wtedy generał zakłada na nos ewikier, każe sobie podać 'prepisku' i rzecze:

— Kak to może być? Ty szto to zdiełał nie haraszo. (Tu generałowi silnie się odbiło, a inni goście toż samo zaczęli głośno 'hopkać', jak gdyby czkawki dostali.)

— Wsio według prepiski, wasze błahorodje — powtórzył kucharz stanowczo.

— Anu, czytajmy prepisku — zawołał generał.

I zaczyna czytać z kartki, jaką sam wypisał u szlacheica, za dyktatem kucharza polskiego.

Najprzód zapytał generał, z jakiego bydłęcia były te flaki?

— Ze starego wołu — odpowiedział kucharz.

— Czy był może suchy, albo chory?...

— Jej Bohu, tołstoj, z browarnej brahy i zdrowoj kak wasze błahorodnost. (Jak Boga Kocham, z brahy browarnej tłusty i zdrowy jak wasza wysokość.)

— Nu, a tiepier (a teraz) gawary wsio dokładnie: Czy ty wody dał?

— Dał — odpowiada kucharz.

— Soli dał?

— Dał!

— Percu dał?

— Dał!

— Papryki dał?

— Dał!

— Anglickogo ziela dał?

— Dał!

— Tokaja dał?

— Dał!

— Laurowych liści dał?

— Dał!

— Emantalera dał?

— Dał!

— To wsio... A to szto do czorta?... Etoi sam prepisok a niet smak... Paszoł, durak! — zawołał do kucharza; lecz gdy tenże obrócił się na pięcie i chciał odejść, generał zatrzymał go jeszcze i zapytał, czy wyczyścił flaki przed gotowaniem ich.

— Niet, wasze błahorodje — odpowiada kucharz bez zająknięcia.

— Szto????!! — wrzaśnie generał, zrywając się z krzesła. — Po czemu niet?...

— Potomu, wasze błahorodje, szto eto nie stołajo w prepiskie. (Dlatego nie, że to nie stało w przepisie).

— Aj, aj, paszoł won durak! — krzyknie zirytowany generał, chwytając się za głowę.

Szlachcic odszedł na chwilę od stołu, bo mu się słabo zrobiło, a Moskale zaczęli raz po raz przypijać wódką... Generał był wściekły na kucharza i tłomaczył się wobec gości, ale ci, wojskowi, stanęli po stronie kucharza, dowodząc że "nie winowat", ponieważ zrobił flaki według prepiski, więc tak być zapewne musiało. Zresztą flaki były z tem 'dużo harosze' (bardzo smaczne).

Zapytano szlacheica, czy tak być

ma. Szlachcic, chcąc ocalić kucharza, odpowiedział, że tak, tylko wół musiał być nie polski ale moskiewski i dlatego silniejszy miał.. zapach. Trzeba więcej wódki, a poczuja smak dopiero później.

To się wszystkim bardzo spodobało i zaczęli pić na umor, a coraz więcej chwalić, co to były za smaczne flaki.

Odtąd weszło w zwyczaj w okolicy, że na wszystkich większych przyjęciach u Moskali podawano do stołu wołowe bebechy ze wszystkim, nie wyczyszczone, ale mocno posolone i wypieprzone, jako specjalność, zwaną 'polskie flaki', po których mieli silne pragnienie i pili całą noc jak woły, przyczem występowała w całej nagości moskiewska 'szyrokaja natura.' Byli jednym słowem—szczęśliwi.

Po owej kolacji kucharz dostał od gości suty napiwek, od generała zaś rangę 'pułkowego oberkuchmistrza' i medal za owe flaki zrobione ściśle 'podług przepiski.'

Dziesięć Przykazań Dla Meżów.

1. Pamiętaj zawsze, że powinienes być pewnie panem swego domu, ale nie jego tyranem.

2. Nie zapominaj, że twoja żona nie jest aniołem, ale istotą ludzką z różnymi niedoskonałościami, które musisz znosić z tą samą cierpliwością, jak ona twoje niedoskonałości.

3. Pamiętaj o tem, że żona cielesnie najczęściej jest daleko słabsza od mężczyzny i że wśród codziennych, natężających obowiązków gospodarstwa domowego pracuje ona tylko z nadzwyczajnie cierpliwem przewyciężeniem swej słabości cielesnej.

4. Nie ceń pracy swej żony niżej od swojej własnej. Pracę kobiet widać najczęściej dopiero wtedy, gdy ona jest niezrobiona.

5. Przy sprzeczkach i kłótniach ze sąsiadami nie bierz nigdy strony przeciw swojej żonie. Pamiętaj zawsze o tem, że jesteś jej naturalnym obrońcą i opiekunem.

6. Nie daj, aby twoja żona zupełnie sama znosiła troski o codzienne potrzeby życia, ale porozmawiaj z nią o tem uprzejmie i poradź się z nią.

7. Miej od czasu do czasu uprzejmą pochwałę dla zręczności swej żony w gospodarstwie domowym i delikatne słowo dla niej. Jest jej to nieopisanie przyjemnie, chociaż ona może o tem nie mówić.

8. Niech sprawiedliwość będzie twoją najprędniejszą cnotą i w domu nie miej żadnych ulubieńców wśród swoich dzieci, z których jedne rozumieją się na pochlebstwie lepiej aniżeli te, które się trzymają z daleka.

9. Żonę swoją nie gań nigdy w obecności swoich dzieci ale bądź wtedy zawsze zgodnym z nią. Inaczej zrobisz jej wychowanie dzieci bardzo trudnem, które i tak przy twojej części nieobecności prawie zupełnie leży na jej barkach.

10. Jeżeli mieliście jaką kłótnię albo jakie nieporozumienie, to pamiętajcie o pięknem, starem słowie Pisma świętego: "Niechaj słońce nie zachodzi nad zagniewaniem waszem!"

Pochodzenie Niektórych Naszych Zwyczajów

Gdy ktoś ściska rękę znajomemu i zdejmuje przed nim kapelusza, czyni to dlatego, że tak jest we zwyczaju. Rzadko jednak z pewnością rozmyślał ktoś nad tem, jak właściwie powstał ten zwyczaj. Jest to wcale interesujące. Podanie ręki miało naprzykład niegdyś zupełnie inne znaczenie niż dzisiaj. Rękę podawano sobie tylko przed pojedynkiem, jak to teraz jeszcze jest we zwyczaju przed sportowymi zapasami. Oznaczało to widome przyrzeczenie przystępowania do rzezy uczciwie. Nasze uprzejme kłanianie się przed kimś pochodzi od skłaniania przez jeńców wojennych głowy przed zwycięzcą lub pod topór kata. I zdejmowanie kapelusza ma swoją

historję: Pochodzi ono od zdejmowania hełmu, gdy się chciało uznać za zwyciężonego. Zwyczaj niezasiadania do stołu w trzynastu osob, pochodzi od Ostatniej Wieczerzy Pańskiej, w której obok dwunastu uczniów brał udział zdrajca, Judasz Iskariota. Strzały we włosach naszych kobiet odnoszą się do czasów, gdy kobiety chodziły uzbrojone i nosiły ukryte we włosach małe sztylety. Łańcuszki na szyję, które nasze kobiety tak chętnie noszą, były dawniej prawdziwymi łańcuchami, oznaką męskich i żeńskich niewolników, podczas gdy kolczyki w uszach były tylko ozdobą, jako oznaka wolnych ludzi.

Poemat Bez "A".

Wieher rył bródzy po spienionej rzece,
Księżyc przez chmury srebrne niecił świece,
Wierzby się wiły w bezlitosnej męce
I ku rozgrzewce biły w suche ręce.

Północ już dzwoni. Przyciechły koguty,
Biljonem iskier mróz się świeci luty.
Kto żyw—się kryje w izbie w tej złej
I wieszcz jedynie ukryć się nie może. porze...

Chodzi po nocy w powiewnej opończy
I z wytężeniem szczytne dzieło kończy.
Wieniec victorji zdobędzie i juści..

.. ..
Gdy z swego dzieła głoskę "a" wypuści. **Fr.**



Wilno.



Wpływ Narkotyków Na Duszę.



ZALEŻNOŚĆ psychiki od różnych czynników fizjologicznych jest rzeczą ogólnie znaną. W tem miejscu ograniczymy się tylko do rozpatrzenia wpływu, jaki wywierają na całość życia duchowego lub na poszczególne jego przejawy niektóre trucizny zewnątrz pochodne (egzogenne), to jest wprowadzone do organizmu przez wstrzykiwanie podskórne, picie, palenie itd.

Dzieje kultury wykazują, że człowiek od niepamiętnych czasów stosował różne środki, których celem było podniesienie sprawności, siły życiowej lub wprowadzenie się w stan niezwykłego podniecenia, upiecia, ekstazy. Szamanowie plemion syberyjskich, chcąc się wprawić w niezwykły stan ekstazy i jasnovidzenia, jedzą pewien gatunek muchomoru. Magowie biali średniowiecza używali w tym celu różnych kadzideł narkotycznych, składających się z bardzo odurzających substancji (szalej, aloes, cykuta, asafedyta, nasienie maku czarnego, opjum i inne). Czarownice nacierały się odpowiednio przygotowanymi maściami. W naszych czasach zażywa się opjum, morfinę, kokainę, kofeinę itd.

Wykład nasz rozpoczniemy od narkotyku najbardziej rozpowszechnionego, to jest alkoholu.

ALKOHOL.

Działanie alkoholu na sferę psychiczną jest wielostronne. Wprowadzony do organizmu — zależnie od ilości i jednostki — rozpręga on funkeje ośrodków nerwowych i poraża je z tem większą siłą, im wyższemi czynnościami one zarządzają. Pierwsze miejsce pod tym względem zajmują ośrodki kojarzenia, w których trucizna ta wywołuje

rozszerzenia, wskutek czego niektóre ogniwa złożonych funkeji zanikają. Dane anatomicopatologiczne wykazują, że alkohol, wywołując procesy rozkładowe w protoplazmie i jądrze komórek nerwowych, niszczy w tym samym stopniu tkankę nerwową, co rtęć, ołów i tym podobne trucizny, przyczem poraża bardziej ośrodki korowe, niż podkorowe. Paralizując ośrodki naczynio-ruchowe, powoduje osłabienie nerwów ściągających ścianki naczyń, wskutek czego następuje ich rozszerzenie i zwolnienie obiegu krwi.

W psychice pod wpływem tego narkotyku występują zmiany następujące:

Pijany traci zdolność do samokrytyki i głębszej oceny wydarzeń. Myśl jego staje się powierzchowną, jednostronną, nie posiada łączności wewnętrznej i związku logicznego.

Procesy postrzegania odbywają się wolniej niż w warunkach zwykłych, zdolność do skupiania uwagi znacznie się obniża, a pamięć słabnie. Jeżeli naprzykład osobie czytającej damy odpowiednią dawkę alkoholu, po pewnym czasie będzie jej się zdawało, że czyta szybciej, tymczasem w rzeczywistości czytanie odbywa się wolniej. Osłabiając pamięć, alkohol stępią wzruszeniowość pochodzenia ideowego, wspomnieniowego. To nam tłumaczy, dlaczego pijani tracą poczucie wstydu, delikatności, uczucia społeczne, religijne itp.

Wskutek spowodowanej dzięki tej truciznie chorobliwej wrażliwości nerwów naczynio-ruchowych, alkoholicy i ich potomstwo są skłonni do reagowania wzruszeniowego nawet na bardzo słabe bodźce wrażeń i z tych samych powodów przechodzą z łatwością od stanów o dodatniem, przyjemnem zabarwieniu uczuciowem do smutku, przygnębienia, a nawet rozpacz.

Wrażliwość dotykowo-mięśniowa i bólowa jest osłabiona. Na tej podstawie w sferze zmysłu mięśniowego powstaje cały szereg złudzeń, na przykład: ciężar dany wydaje się lżejszym, niż w stanie trzeźwym. Pogląd, że alkohol "wzmacnia," jest błędem tłumaczeniem rzeczywistego stanu rzeczy, gdyż badanie przedmiotowe wykazuje, iż on tylko stępią wrażliwość mięśniową, bólową i wewnątrzorganiczną, dzięki czemu przestajemy sobie uświadamiać dokładnie zmęczenie i inne niedyspozycje.

W związku z wyżej powiedzianem człowiek pod wpływem tego narkotyku staje się lekkomyślny, nadmiernie szczerzy, beztroskliwy i wesoły. Wesołość ta jest niekiedy "bez miary", nie jest uwarunkowana żadnymi motywami psychicznymi i nie można jej często usunąć żadną sugestją smutku. Nawet te czynności, które normalnie spełnia się z przykrością, niezadowolaniem, na przykład uczenie się na pamięć zgłosek bezsensownych itp., po pijanemu są wykonywane z pewną dozą zadowolenia.

Nie przeszkadza to, jak powiedzieliśmy, alkoholikowi — również bez dostatecznych motywów psychicznych — przechodzić z jednej ostateczności w drugą. Trunek ten nie działa zresztą na wszystkich jednakowo. Niektóre na przykład osoby ze stanu wesołego pogrążają się w głęboki smutek, graniczący niejednokrotnie z rozpaczą.

W sferze ruchowej występuje z początku silne podniecenie. Człowiek staje się niezmiernie ruchliwy, ekspansywny, mówi dużo i szybko giestykułuje, żywo i wogóle jest bardzo skory do czynu. Nieco później ruchy dowolne, szczególnie ręki i języka, tracą charakter uwspółrzedniony, skoordynowany, poczem znika również prawidłowość ruchów nawpółautomatycznych — pijany chodzi nierówno, chwieje się, traci równowagę itd. Większe dawki alkoholu sprowadzają osłabienie natężenia mięśniowego, zanik odruchów, w końcu ustają ruchy automatyczne — bicie serca i oddychania i następuje śmierć.

MORFINA.

Morfina w przeciwieństwie do alkoholu przyspiesza i ułatwia postrzeganie, pobudza działalność skojarzeniową, lecz osłabia akty uwagi dowolnej, wolę i wogóle dążności ruchowe: morfinista unika wszelkiego rodzaju wysiłków mięśniowych i stara się zająć

pozycję jaknajwygodniejszą. Wrażliwość na ból słabnie, albo znika zupełnie. Jednocześnie powstaje stan bardzo przyjemnego osłabienia, któremu towarzyszy niezmiernie bujna gra wyobraźni.

OPJUM.

Opjum usuwa ból fizyczny i duchowy, uczucie strachu, bojaźni, podnieca wyobraźnię i zaostża w największym stopniu pamięć wydarzeń minionych. De Quincey (Spowiedź opjumisty) powiada, że najdrobniejsze szczegóły życia dziecinnego, zapomniane zupełnie w wieku późniejszym, znowu stawały pod wpływem tego narkotyku przed jego oczyma w całej swej świeżości.

Przypływowi wyobrażeń towarzyszy silne zabarwienie uczuciowe o charakterze dodatnim. Uczucie zadowolenia, które wywołuje opjum i morfina, możnaby nazwać ze względu na ich nasilenie stanem błogości.

HASZYSZ.

Zdaje się, że najsilniej pod tym względem działa haszysz (Cannabis Indica). Mozean de Towers, który dobrze zbadał działanie tego narkotyku, powiada, że uczucie, którego się doznaje pod wpływem haszyszu, jest uczuciem szczęścia. Rozumie on przez to stan, który nie ma nic wspólnego z rozkoszą żarłoka lub pijaka, raczej da się porównać z radością skąpeca lub zadowoleniem, które w nas budzi pomyślna wiadomość. Słowa te są jednak tylko słabem odzwierciedleniem tego, co odczuwa w danym razie taki osobnik, gdyż jest to stan jakiegoś bezgranicznego zadowolenia.

Haszysz powoduje swojego rodzaju upicie, któremu towarzyszy niezmiernie bujna gra wyobraźni i silne halucynacje wzrokowe o niezrównanej piękności. Jednocześnie występują złudzenia dotyczące rozmiarów własnego ciała, otaczających przedmiotów, ich proporcji i barw. Osobnikowi zdaje się wtedy, że jest bardzo duży i posiada ogromną siłę (te same objawy występują i pod wpływem opjum), że jest bardzo piękny i wyższy duchowo ponad całe otoczenie.

Wrażliwość bólowa i dotykowa stępią się lub znika. To samo dotyczy wrażliwości w zakresie zmysłu mięśniowego. Ciało staje się jakby coraz to lżejsze i w końcu traci się zupełnie poczucie swej ciężkości. Dzięki tej iluzji, upojony haszyszem sądzi na przykład, że nie dotyka się ziemi, lub że unosi się w po-

wietrzu bez żadnych przeszkód. Zmiany poczucia swego "ja" fizycznego i duchowego przeistaczają się niekiedy w zdwojenie osobistości.

Z początku samowiedza nie ginie zupełnie, gdyż osobnik taki zdaje sobie jeszcze sprawę, iż znajduje się tylko w przyjemnym stanie hipnotycznym, i może na stawiane mu pytania dawać całkiem rozumne odpowiedzi. Praca umysłowa pod tym wpływem haszyszu lub opjum nawet się zaostrza: upojony czuje poprostu nieczem niepowstrzymany napływ wyobrażeń, które zmieniają się z taką szybkością, iż mowa nie jest zdolna podążać za nimi. Władza natomiast kierowania przebiegiem uwagi dowolnej, jest zawieszoną.

Kiedy upojenie osiągnie stopień wyższy, świadomość słabnie, następnie ginie perjdycznie, poczem nastaje głęboki sen.

BEZWŁAD WOLI SPOWODOWANY PRZEZ NARKOTYKI.

Morfina, opjum i haszysz osłabiają wolę i nadużywanie tych środków prowadzi do kompletnego jej zaniku. Niezły opis takiego paraliżu woli podaje na podstawie samo-observacji T. de Quincey.

"Rzadko kiedy mogłem zmucić się do napisania listu: pod największym przymusem mogłem zaledwie napisać kilka słów odpowiedzi, i to wtedy, kiedy list, na który odpowiadałem, przeleżał u mnie kilka tygodni, a nawet miesięcy. Bez pomocy M. nie mogłem załatwić żadnego rachunku i cała moja ekonomja domowa... podpadła w nieład niewysdowiony.

"Jest to stan, o którym więcej nie będę już mówił, a którego doświadczy każdy spożywca opjum. Przygnębienie, męki, wynikające z poczucia niedołęstwa i słabości, niedbalstwo i owo wieczne odkładanie na później codziennych obowiązków, owe gorzkie wyrzuty, rodzące się pod wpływem refleksji. Morfinista nie traci zmysłu moralnego, nie porzuca zmysłu moralnego, nie porzuca swych dążeń, żyje on i pragnie tak żyć jak nigdy wykonać to, co uważa za możliwe, co mu nakazuje obowiązek, ale niemoc jego umysłu przewyższa nieskończenie wolność nie tylko wykonania, lecz nawet spróbowania"...

CHLOROFORM I SANTONINA.

Chloroform, jak wiadomo, znosi wrażliwość bólową.

Pacjent zachloroformowany pomimo krąpania, przypiekania, szarpania nie czuje wcale bólu, lecz staje się wyjątkowo wrażliwym na bodźce czysto dotykowe. Humphry Davis powiada, że będąc pod jego wpływem, zrozumiał ideę platońską, że materja jest tylko złudzeniem, a byt rzeczywisty posiada tylko duch. Innym razem tenże autor, znajdując się pod działaniem gazu rozweselającego, doznał nagle takiego uczucia, jakby duch jego wyszedł z ciała: "Stałem obok niego (ciała) i patrzyłem na to ciało, leżące na łóżku, które opuściłem." Słynny psycholog amerykański Wm. James na podstawie własnych doznań powiada, że narkoza spowodowana eterem lub gazem rozweselającym, wywołuje stany mistyczne, charakteryzujące się dziwnym rozszerzeniem pola świadomości i rozświetleniem umysłu. Zda się nam wtedy, że przenikamy jednym rzutem oka najgłębsze zakątki bytu, że zaślona wieczności podnosi się i prawda objawia się nam bez żadnych zastrzeżeń.

Santonina i Anhalonium Levini należą do grupy tych środków, które po przyjęciu niewielkiej dozy, wywołują specyficzne zmiany, zachodzące głównie w zakresie jednego zmysłu — wzroku.

Santonina w małej dawce sprowadza anomalje postrzegania barwnego. W pierwszym stadium jej działania, szybko zresztą przemijającym, wszystkie przedmioty otrzymują połysk niebieskawy albo fioletowy, poczem następuje ksantopsja, to jest wszystko wydaje się zabarwione na żółto. Stan ten trwa w przeciwieństwie do tamtego dosyć długo.

ANHALONIUM LEVINI.

Bardzo ciekawe wyniki daje wstrzykiwanie pod skórę Anhalonium Levini. Działanie jego występuje po upływie 30-tu do 80-iu minut po wstrzyknięciu. Pierwsze objawy są następujące: apatja, lenistwo, niechęć do ruchów i mówienia. Stany te przemijają, przechodząc w nastroje przeciwne, gdy wystąpią halucynacje, prawie wyłącznie natury wzrokowej.

Doktorzy: Guttman i Kohlrausch, którzy zbadali na sobie działanie tego środka, mówią, że siedząc w ciemnym pokoju, ujrzeni najpierw mnóstwo świetlnych punktów i

linji barwowych, koła, gwiazdy, fajerwerki, poczem halucynacje stały się bardziej żywe i cielesne — wystąpiły więc wspaniałe oświetlone płaszczyzny, ciała, kopuły itd. W czasie trwania tych halucynacyj — z naciskiem podkreślają ci badacze — świadomość była zupełnie jasna, niezmacona. Wysiłki woli, aby przerwać lub zmienić halucynacje, nie nie pomogły. Pamięć była spotęgowana. Inteligencja i uwaga dowolna nie doznały żadnych zakłóceń: mogli oni rozprawiać o trudnych tematach naukowych, wykonywać rachunek z pamięci itd.

Po pewnym czasie wizje stały się jeszcze żywsze i bardziej fantastyczne. Jednocześnie wystąpiły omamy unoszenia się w powietrze, latania i spadania na ziemię. Gdy halucynacje zbladły i poczęły występować rzadziej, wyszli oni na ulicę, żeby zaspokoić głód. Zauważyli wtedy niepewność orjentacji, a wszystkie potrawy wydawały się im bardzo słone.

Używanie narkotyków poza przepisami lekarskimi jest bezwzględnie szkodliwe. Eksperymentalne jednak badanie ich wpływu na stany świadomości posiada dużo znaczenia dla psychofizjologii, gdyż, po pierwsze, daje nam możność poznania innych niż nasza zwykła codzienna postać świadomości, po drugie, pozwala dowolnie rozłączać bardzo złożone zespoły psychiczne na ich składniki prostsze i poszukiwać współzależności, wyznaczników duchowych od tych lub innych funkcyj i ośrodków układu nerwowego.

DOKŁADNY OPIS DZIAŁANIA HASZYSZU.

Pierwszy opis naukowy działania haszyszu na psychikę i ciało podał francuski uczony Moreau de Tours. Wpływ tego narkotyku, podobnie zresztą jak i wielu innych trucizn psychicznych, zaznacza się z początku mniej lub więcej silnem podnieceniem, poczem następuje dłuższy okres przygnębienia. Cechą wybitną w pierwszym stadium jego działania jest uczucie niewystłowionego szczęścia (ten stan występuje nie zawsze), które opanowuje człowieka dosyć nagle i bez żadnego motywu psychicznego (duchowego).

To uczucie nadzwyczajnego zadowolenia, przechodzącego swą siłą wszystkie najbardziej intensywne rozkosze zmysłowe, wyjawia się na zewnątrz w całej postawie ciała,

w serdecznym uśmiechu i we wzruszeniowych zwrotach: "O, jaki ja jestem szczęśliwy! Szczęście, jakiego doznaję nie da się opisać!" itd.

Drugim objawem jest osłabienie uwagi dowolnej, dysocjacja (rozkojarzenie) umysłu, i woli, powstanie dziwnych złudzeń i halucynacji, zaostrzenie pamięci w pewnym kierunku, lub jej wyłączenie w innym, i niezwykłe rozognienie wyobraźni. Przytomność w bardzo wielu wypadkach nie ginie; gdyż osobnik taki może odpowiadać logicznie na stawiane mu pytania, wie, że wszystko, co przeżywa jest złudzeniem, omamem, nie może jednak uwolnić się od tego. Treść złudzeń i halucynacji jest bardzo urozmaicona, a ich odpowiednik wzruszeniowy zmienia się w zależności od cech indywidualnych (psychicznych i fizycznych) danego osobnika.

HALUCYNACJE PO ZAŻYCIU HASZYSZU.

Kapitan X., po otrzymaniu odpowiedniej dozy haszyszu, wyszedł z W. Szokalskim do ogródka. (Szokalski, "Fantazyjne objawy zmysłowe"). Po pewnym czasie zaczął żartować, wyśmiewać się z doktora, a następnie rzekł: "Tak mi dziś jakoś rażno, jak gdybym miał lat szesnaście, zdaje mi się, że bym w tej chwili susem na ten płot wyskoczył" i nuż się śmiać na całe gardło, rękami wywijając i podskakiwać. — "Polecałbym dogóry jak ptak — rzekł prawie krzyżując — i tak jestem szczęśliwy, jak ów Cygan, o którym mi pan mówiłeś, co to sto złotych ukradł, kiedy był królem, i uciekł. A to mi dopiero Cygan, ha, ha, ha, dalibóg wyborny! niechajże cię za niego pocałuję. Ale, cóż to jest? — zawołał — jakże ci nos urósł. Ot, oczy mi nim wybijesz, a twoja głowa, jak się do góry przedłuża; ale nie, to mi się zdaje tylko. Szczególna rzecz jednak jak mi się też to mogło przywidzieć".

Kapitan był w brylantowym humorze, oczy mu ogniem szczęścia pałały, twarz jaśniała lekkim rumieńcem. Gdy Szokalski chciał zbadać jego puls, nie pozwolił i rzekł: "Nie mam czasu myśleć teraz o medycynie, kiedy te gieorginje tak ładnie tańczą. Ale cóż to znowu? z każdego kwiatka wygląda główka w czepeczku, a cały krzak idzie na gęsiech nóżkach. A rzecz szczególna! Albo ten pies z pawim ogonem. Cóż u licha tu się w moim

domu porobiło? Czy mnie kto oczarował, czy co? Aha! Przypominam sobie, to twoje lekarstwo, doktorze!”

W tym momencie nastąpiła kilkunastominutowa przerwa, podczas której kapitan rozmawiał całkiem rozsądnie z doktorem i zaprowadził go do swego pokoju, żeby mu pokazać własnoręczny list Napoleona I. Nagle siada na krześle, zasłania sobie oczy, jakby go światło raziło, i zaczyna komenderować:

“Szwadron trójkami wprawo zachodź! równaj się! stępa! kłusem! marsz, marsz!” — Za chwilę zerwał się, popatrzył do ogrodu i obracając się, rzekł: “Ale gdzie oni lecą, warjaty? Oto wprost do tego jeziora. Potona, dalibóg potona. Stój, stój! Co się też ze mną dzieje! — rzekł reflektując się trochę. — Doktorze z długim nosem! oczarowałeś mnie, daję słowo honoru! Jakieś dziwne rzeczy wiążą mi się przed oczyma!” i potem: — “Jakaż to dobra sanna w tej Rosji! Ale nie wiedziałem, że do sanek zaprzęgają strusie, czy też wielbłądy z wołowymi rogami.”

“A ty, prześliczna Hebe! (Hebe, bogini młodości, córka Jowisza i Junony. Obowiązkiem jej było nalewać Jowiszowi i innym bogom nektar i ambrozję). Jakiż ty złocisty podajesz puhar! Szampan, dalibóg szampan! Daj, daj! Niechajże łyknę!” I miłośnie wyciągnął rękę, złapał za wielki kałamarz drewniany, chlusnął na siebie atramentem. To, równie jak parsknięcie ze śmiechu doktora, ocuciło go. “Jakiż ja stary głupiec!” — zawołał. — Oto i Hebe mi się teraz przyśniła. A cóż też teraz moja Jejmość powie na te plamy na koszuli? Doktorze! musimy się jakoś wyłgać, bo będzie bieda”.

Złudzenia i halucynacje, powstające pod wpływem haszyszu, mogą mieć najróżnorodniejszy charakter. Pewnemu indywiduum w tym stanie zdawało się, że głowa jego oderwała się od tułowia i zaczęła bujać samopas po świecie.

Inny sądził, że się zamienił w posąg, który ktoś pchnął. Posąg upadł na ziemię i rozleciał się w kawałki. “Otóż masz — zawołał — stłukło się wszystko i zbierajcie teraz skorupy, tam głowa, tu ręka, a jeszcze w innym miejscu nogi leżą i jakże ja tu dam sobie radę?”

UTRATA POZUCIA CZASU I PRZESTRZENI.

Są tacy, którym się zdaje, że mają takie wysokie nogi, iż ziemi dojrzeć nie mogą. Inni doznają znów niezwyklej lekkości, zdaje im się, że się unoszą w powietrzu lub fruują. Pewien Pers, wszedłszy na okno, zaczął powiewać pasem i krzyczeć, że musi latać koniecznie, bo jest ptakiem rajskim. Jakiemuś Francuzowi przywidziało się, że głowa jego oderwała się od ciała i lata w powietrzu na skrzydłach. Po pewnym czasie wbiegł on do obcego mieszkania, w którym było liczne towarzystwo, i pochyliwszy się nad stołem, zaczął poruszać rękoma, jakby skrzydłami, tłukąc półmiski, butelki i inne rzeczy.

Trzecim objawem jest utrata poczucia czasu i przestrzeni. Minuty wydają się wtedy tygodniami, miesiącami, latami, a nawet wiekami. Gdy osoba taka mówi, zdaje się jej, że pomiędzy wypowiedzeniem jednego a drugiego słowa już cały wiek upłynął. Przedmioty i osoby w bliskości stojące wydają się również jakby były bardzo odległe i posiadały rozmiary olbrzymie. Schody zdają się wznosić aż do nieba, metr wywołuje złudzenie kilometra itd. W tem stadium działania haszyszu powstają także różne zaburzenia słuchowe. W jednym wypadku ucho jakby drętwieje: spożywca haszyszu krzyczy na całe gardło i sam siebie nie słyszy, w innym — staje się niezwykle czuły: gdy nawet mówimy po cichu, upojony skarży się, że mu trąbią w uszy. Najczęściej powstaje jednak hyperakuzja, to jest zaostrenie wrażliwości słuchowej, szczególnie na dźwięki muzyczne. Najprymitywniejsza muzyka, jakieś niezdarne brząkanie na harfie lub innym instrumencie, wydaje się niezmiernie przyjemną, powoduje radość graniczącą z zachwytem lub pogrąża osobnika w słodkiej melancholji. Mniej lub więcej harmonijne dźwięki wywołują taką bogatą skalę uczuć radosnych, że żadne słowo nie jest w stanie tego nastroju wyrazić.

CZĘSTO HASZYSZ WYWOŁUJE UCZUCIE BOJAŹNI.

Wpływ haszyszu na rozbudzenie uczuć radosnych znali już starożytni. Zdaje się, że Homer w Odysei (Księga IV, miersz 221) wspomina o tym a nie o innym środku, na-

zywając go nepentes, to jest uśmierzającym cierpienia fizyczne i duchowe. Dostała go Helena od Tona, małżonka Polydamny w Egipte.

Wtem Helena skoczywszy do głowy po radę: Pijącym przymieszała czar taki do wina, Ze gniewów, smutków, zgryzot przeszłych zapomina

Kiedy co pokosztuje z zaprawnego kruża, W dzień ten nigdy łaża w oku nie postanie duża,

Choćby drogiego ojea i matkę pochował: Nigdy, choćby kto niecnym mieczem zamordował

Brata mu, albo syna przed jego obliczem — Taki to czar był, napój niezrównany z niczem!

(Tłumaczenie Siemieńskiego).

Czar ten nie zawsze jednak wywołuje, wzruszenia przyjemne, co zdaje się zależeć od właściwości osobniczych. Tak naprzykład pewien młodzieniec po zażyciu haszyszu dostał bardzo silnych konwulsji, zaczął wydawać przeraźliwe jęki i zdawało mu się przytem, że umarł, że go włożono do trumny, słyszał jak ją zabijano i spuszczano do grobu. Moreau de Tours powiada także, iż w niektórych wypadkach powstaje również uczucie bojaźni, lęku a nawet strachu. Człowiek boi się wszystkiego i wszystkich (panofobia): przyjaciele czyhają na jego życie i knują spiski, wisząca na ścianie fuzja napawa go lękiem itd. Jednocześnie wzruszenia przykre chwil ubiegłych odżywają, nabierają gwałtownej siły, opanowując bez przeszkód całe pole świadomości.

Wszystkie wzruszenia, mówiąc ogólnie, otrzynują bardzo wysoki stopień nasilenia i paradoksalności. Najmniejszy bodziec, w warunkach zwykłych nie znaczący, zabarwia się teraz piętnem wybitnie wzruszeniowem.

OSŁABIE NIE WOLI.

W zakresie woli powstają również silne odchylenia od normy. Powściągający, tłumiący charakter woli jest zupełnie zniesiony. Każdy popęd ruchowy urzeczywistnia się natychmiast: upojony haszyszem nie jest w stanie wstrzymać potoku słów, giestów i innych objawów ruchowych. Ze sfery podświadomej wypływają gwałtowne impulsy, często o charakterze płciowym. (Wschodni spożywczy haszyszu utrzymują, że narkotyk ten wogóle działa podniecająco

na myślowość płciową). Impulsom tym osobnik poddaje się biernie, nie mogąc ich wskutek osłabienia woli opanować. Niemożliwą również staje się jakaś czynność ruchowa o charakterze mniej lub więcej precyzyjnym.

Uwaga dowolna ulega rozluźnieniu, bierna — przeciwnie, staje się nawet żywszą. Profesor M. Lange, który zażył kilka razy haszyszu w celu obserwacji psychologicznej, zaobserwował, że pomimo znacznie spotęgowanego poczucia swej siły fizycznej i wogóle dobrego samopoczucia, funkcje umysłowe, szczególnie proces kojarzenia, odbywały się u niego nadzwyczaj zwiędłe. Myśl słabła, stawała się coraz to bardziej niedołężną i Lange od czasu do czasu dostawał zawrotu głowy, a nawet tracił świadomość. Tego rodzaju zjawisko zależy najprawdopodobniej od indywidualnych właściwości wypadków, gdyż wiemy, że w większości wypadków haszysz powoduje nadmiar idei, następujących po sobie niekiedy z zawrotną szybkością. Związku logicznego w tym kalejdoskopie wyobrażeń, wspomnień o silnem zabarwieniu uczuciowem niema, wszystko odbywa się jednak zgodnie z prawami kojarzenia. Ciekawą jest również rzeczą, co stwierdził Binet-Sangle, że każde wymówione słowo kojarzy się natychmiast z odpowiadającym mu obrazem wzrokowym, przyczem obrazy te posiadają bardzo silne napięcia, o charakterze pseudohalucynacyjnym,

CHRONICZNE ZATRUWANIE SIĘ DO- PROWADZA DO OBLĄKANIA.

Objawy upojenia haszyszem można streścić ogólnie w sposób następujący:

(1). Zaburzenia psychiczne — iluzje, halucynacje, złudzenia czasu i przestrzeni, dysocepcja wyobrażeń, urojenia, amnezje w jednym kierunku i jednocześnie wybitne zaostrenie pamięci w innym, sugestyjność, nadezułość wzruszeniowa w kierunku pozytywnym (enforja). (2) Zaburzenia w sferze zmysłów — hyperestazje (przeeczuwanie) i anestazje (znieczuwanie) i nadezułość wzruszeniowa w kierunku negatywnym (melancholja).

(3). Zaburzenia w sferze ruchowej — ruchliwość, skurcze konwulsyjne, śmiech spazmatyczny.

Prócz wymienionych, powstają również zaburzenia oddechu, krążenia krwi, procesu wydzielania i w sferze płciowej; po silnych

dawkach, a szczególnie przy zatruciu chro-
nicznem, zanik pobudliwości seksualnej.

Chwilowe zatrucie haszyszem nie pozostawia w organizmie śladów dostrzegalnych, chroniczne jednak zatrucie się nim wy-
cieńcza niezmiernie i prowadzi do obłądu. Najczęściej w tym wypadku, powstają idee
poniewolne (idee fixes), obsesje, różne ma-
nie, szczególnie w formie manji prześladow-
czej. Zboczenia te kończą się zwykle obłąka-
niem.

Stosowanie haszyszu w celach lekarskich
odznacza się przedewszystkiem niestałością
wyników. Można go używać jako środka u-
spokajającego, chociaż należy pamiętać, że
wyniki są krótkotrwałe i jak powiedzieliśmy
nieobliczalne. Pewne usługi może jednak od-
dać ten narkotyk, po należytem zbadaniu
tła podświadomego w medycynie nerwowej
i umysłowej.

LEKARZ DAŁ MU HASZYSZU DLA WY- LECZENIA GO Z HALUCYNACJI.

Kapitan, o którym mówiliśmy powyżej,
zblądził podczas burzy nocnej. Wśród huku
piorunów i deszczu jak "z cebra", zmęczo-
ny, znalazł jakąś na górze opuszczoną ow-
czarnię i w niej się schronił. Naraz podnosi
głowę i widzi, że się ogień pali pod skałą.
Zdziwiło go to trochę, lecz udał się pomimo
deszczu do tego miejsca. Szedł, szedł, a ogień
usuwał się przed nim. Nagle widzi naokoło
siebie skały strome i otwór ciemny w pieca-
rze. Z pieczary dochodzą go jakieś smętne
śpiewy. Za chwilę wszystko się nagle zmie-
niło i znalazł się sam w jakimś ciemnym ko-
ściele. Przy ołtarzu stało trzech księży, w sta-
lach siedzieli zakonnicy, a na środku kościo-
ła — trumna, obstawiona świecami. Kapitan
zbliżył się do niej i ujrzał w niej samego
siebie. Potem czterech księży podeszło aż do
trumny, wzięło ją na swe barki, inni ze świe-
cami szli obok — i zanieśli gdzieś daleko.
W końcu było ciemno i głucho. Aż tu nagle
zbliża się do niego mnich zakapturzony,
jedną ręką pokazuje mu drzwi, drugą ude-
rza go w ramię. Co się stało dalej — kapitan
nie wiedział. Gdy przyszedł do siebie, było
już jasno. (Szokalski.)

Oczywiście była to halucynacja, która po-
wstała w związku ze słabym udarem apo-
plektycznym. Kapitan jednak w rozmyśla-
niach nad tem wydarzeniem dochodził
wprost do manji. Żadne perswazje, że jest

to zwykła halucynacja, nie nie pomagały.
Wtedy, aby mu dowieść, że tego rodzaju o-
brazy mogą powstawać samorzutnie, bez u-
działu innych sił pozazmysłowych, Szokał-
ski dał mu odpowiednią dawkę haszyszu. Złu-
dzenia, którym uległ, przekonały go zupeł-
nie o tem, że "są to wszystko marzenia."
Od tej pory przestał więc łamać sobie głowę
nad znaczeniem widzenia dominikanów i
trumny, w której leżał.

DZIAŁANIE HASZYSZU ZALEŻNE OD OSOBY.

Po odpowiedniem zbadaniu sfery wzru-
szeniowej haszysz może być również używa-
ny do wywoływania u niektórych chorych
snów euforycznych (snów o poczuciu siły i
zdrowia), jako metoda utrwalenia dodatnie-
go nastroju w okresie czuwania.

Środek ten należy do grupy tak zwanych
trucizn psychicznych, wywołujących roz-
szerepienia różnych funkcji duchowych,
szczególnie umysłowych. Ponieważ prócz te-
go działanie tego narkotyku jest bardzo in-
dywidualne, to jest niepodobna często prze-
widzieć jakiego rodzaju powstaną złudze-
nia i halucynacje (o zabarwieniu przyjem-
nem czy strasznem), innemi słowy jaki za-
panuje nastrój w duszy chorego — używa-
nie go w lecznictwie wymaga dużych ostro-
żności.

Eksperymenty nad działaniem haszyszu
posiadają duże znaczenie dla psychologii i
psychopatologii.

Jak Pracuje Amerykański Reporter.

Podczas pogrzebu generała Bakera, do Białego
Domu w Waszyngtonie dostał się przez komin re-
porter jednego z nowojorskich dzienników, który
nie mógł już otrzymać karty wstępu i wszedłszy do
wielkiej sali żałoby, stanął tuż za duchownymi.
Podczas gdy jeden z duchownych odmawiał mo-
dlitwę za zmarłego, reporter zauważył na kapelu-
szu jego zwitek papieru. Porwał go w jednej chwili
i uciekł z nim. Gdy duchowny ukończył modlitwę i
chciał rozpocząć kazanie, sięgnął po nie za kapelusz
i nie znalazł go. Chcąc nie chcąc, musiał przema-
wiać z pamięci; kazanie było bardzo marne, ku
zdumieniu licznie zgromadzonych dostojników
państwa. Jakiem jednak było zdumienie duchowne-
go, gdy następnego dnia przeczytał w "New York
Heraldzie" całe swoje kazanie tak, jak je napisał!

Na Śniegu.

Białą się pola, oj białą;
Zasnęły krzewy i zioła
Pód miękką śniegu pościelą...



Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny, brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Stereżą z pod zasy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.



Tylko świerk zawsze ponury,
W tym samym żalobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się pełen spokoju.



Beskid.



ŻYD WIECZNY TUŁACZ.



PIERWSZEJ połowie XIII wieku rozbiegła się wieść, że żyje żyd, imieniem Józef, który był obecnym ukrzyżowaniu Jezusa i tej treści powstała legenda:

— “Kiedy Chrystus został uwięziony przez żydów i zaprowadzony do domu Piłata, ażeby przezeń był osądzony, gdy Go żydzi ciągle oskarżali a Piłat nie w nim karygodnego nie znajdował, rzekł do nich:

— Bierzeie go i osądźcie wedle praw waszych!

Lecz gdy okrzyki żydów wzmagaly się, Piłat na prośby ich uwolnił Barabasa, a Jezusa wydał na ukrzyżowanie.

Wtedy żydzi wyprowadzili Chrystusa, i gdy wlekli przez bramę, Kartafilus, odźwierny pałacu Piłatowego, uderzył go pięścią w kark i zawołał szyderczo:

— Idź prędzej, Jezusie! czemu się ociągasz?

Jezus zaś spojrział nań wzrokiem surowym i rzekł:

— Ja idę, ale ty zaczekasz aż wrócę.

Tak tedy, według słów Pańskich, czeka on, który podczas męki Chrystusowej miał około lat trzydziestu, i zawsze gdy dożywa stu lat, wpada w nieuleczoną chorobę, dostaje jakby omdlenia, lecz po wyzdrowieniu, wraca do tego wieku, jaki miał w chwili, gdy Pan był umęczony.

Na początku XVI stulecia już ów Józef nosił nazwę po raz pierwszy Ahaswerusa; widziano go w roku 1542 w Hamburgu, mógł mieć około lat pięćdziesięciu. Wysoki, z długimi, spadającymi na ramiona włosami, z bosymi nogami, choć to był czas zimowy, nie miał innego ubrania, prócz spodni marynarskich, zachodzących aż na stopy, krótkiego żupana i

plaszcza do ziemi. Tu biskupowi szleswickiemu, Pawłowi Eitzen, sam opowiadał, że jest rodem żyd, imię nosi Ahaswerusa, i jest szwecem z rzemiosła; iż był przytomnym śmierci Jezusa Chrystusa, i odtąd, nie umierając, zwiedził różne kraje. Że za czasów Chrystusa mieszkał w Jerozolimie, że prześladował Jezusa, że nastawał na śmierć jego, a gdy wyrok wydano, on krzycząc aby go ukrzyżowano, pobiegł przed dom swój, mimo którego Jezus musiał przechodzić, i oznajmił o tem swej rodzinie, żeby go także widziała, a wzięwszy małe swe dziecko na ręce, stanął we drzwiach, aby mu go równie dać widzieć.

Pan Jezus przechodząc obareczony krzyżem, oparł się o dom żyda, a ten dla okazania gorliwości, podbiegł i odepchnął go z obelżywymi słowami, wskazując na miejsce męki, dokąd iść powinien. Wtedy Jezus Chrystus popatrzył nań długo i rzekł:

— Ja się zatrzymam i spocznę, a ty pójdziesz!

I zaraz postawiwszy na ziemi dziecko, żyd uczuł, że się w domu już zatrzymać nie zdoła. Poszedł za tłumem i przypatrywał się śmierci Pana Jezusa, poczem nie mógł już wrócić do domu, nie ujrzał też nigdy żony i dzieci! Błąkał się po cudzych krajach, w sto lat dopiero wrócił i znalazł już Jerozolimę zburzoną, tak iż nie w niej rozpoznać nie mógł. Mówił każdym językiem tak doskonale, gdziekolwiek się pojawił, jak krajowiec; na początku XVI stulecia widziano go w Anglii, Francji, Włoszech, Węgrzech, Polsce, Moskwie, Inflantach, Szwecji, Danji, Szkocji i Persji.

Nieznany poeta francuski napisał pieśń p. t.: “Opowieść prawdziwa o żydzie tułaczku, który utrzymuje, iż był przy ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa, i dotąd w życiu pozostał”.



Żyd Wieczny Tułacz.

którą roku 1609 wydrukował w Bordeaux. Sprzedawano ją po odpustach i jarmarkach po dwa soldy.

Pisali o nim i Niemcy. Profesorowie uniwersytetu w Jenie i Witemberdze, ogłaszali uczzone rozprawy o świadku męki Chrystusa. Legenda ta z dodatkami przeszła aż do drugiej połowy XVIII stulecia. Nie dosyć, w Anglii w latach 1818, 1824 i 1830, wiele osób świadczyło, że własnymi oczyma widziały żyda tułacza.

W Szwajcarii lud opowiada, że w kantonie Wallis, pod górą Matterhorn, wznosiło się dawniej wielkie miasto. Żyd biegun (der laufende Jude) jak go Szwajcarowie nazywają, przechodząc raz przez nie, rzekł:

— Gdy po raz wtóry tędy przechodzić będę, na miejscu ulic i domów porosną drzewa i legną kamienie; a gdy trzeci raz wrócę, śniegi i lody pokryją to miejsce. (Grimm. Deutsche Sagen). Podanie to natchnęło Gustawa Dore'go do jednego z najpiękniejszych jego rysunków.

W Westfalji, o żydzie tułaczku powiadają, że za obelgę, wymierzoną Panu Jezusowi, skazany jest na bezustanną wędrówkę po świecie, i że tyle tylko wolno mu wypocząć, ile czasu potrzeba na zjedzenie bułki groszowej, a i wtedy może siedzieć jedynie na zrośnię-

tym z dwóch pni dębie. We Francji lud łączy żyda tułacza z duchami sprowadzającymi burzę i klęski. Gdy w pogodny dzień nagle zerwie się gwałtowny wichur, zaraz mówią: "Żyd tułacz przechodzi."

Podanie o tak nadzwyczajnej istocie dostarczyło bogatego materiału poetom i artystom. Goethe plan nawet nakreślił do napisania poematu o Ahaswerze. Zmarły niemiecki poeta w końcu zeszłego wieku, Schubart, niemałych zalet napisał liryczny rapsod, biorąc żyda tułacza za główną postać.

Z naszych pisarzy hr. Michał Borch, w zręcznej powiastce p. n.: Na piaskach (Ondyna, 1844 r.) przedstawił Ahaswera. Ważniejszą jednak mamy pracę w uczzonej rozprawie Jana Karłowicza, w której podaje o żydzie wiecznym tułaczku Legendy średniowieczne i krytycznie je rozbiera, (Biblioteka Warszawska, T. I; 1873 r.)

W załączonym rysunku, zgodnie z legendą widzimy postać wydatną Ahaswera, jak pędzony straszną wichurą z rozpaczą na obliczu, idzie w nieznane sobie strony świata, nie mogąc ani chwili odpocząć, ani zakończyć nie szczęśliwego żywota, który stał się dla niego ciężarem i męczarnią niewymowną. Ale iść musi dalej i bez wytchnienia aż do dnia Ostatecznego Sądu.



Chwali samego siebie ten, kto utrzymuje, że nigdy nie poczynił przykrych doświadczeń z ludźmi.

Pochlebstwo jest hamulcem, przecenianie może być bodźcem.

Równie mało jestem przekonany o twej prawdomówności, gdy unikasz wszelkiego kłamstwa z konieczności, jak i o twej uczciwości, gdy oznajmiasz o znalezieniu halerza.

W walce między rozumem a namiętnością, rozumowi przypada zwykle rola mądrzejszego, który ustępuje.

Jednego tylko miejsca nikt ci w świecie nie będzie zazdrościł: miejsca na gruzach twego szczęścia.

Wyrachowani ludzie oburzają się najwięcej na wyrachowanych ludzi!

Najlepszą komedję grają na scenie codziennego życia — aktorzy życia.

Miedzy myślami a czynami leży u większej części ludzi wielka woda: potok słów!



Przed pomnikiem Bismarcka.

Rysunek przedstawia wkroczenie wojsk aljanskich do Duesseldorfu zaraz po wygraniu wojny. Na głównej ulicy tego miasta nadreńskiego stoi pomnik "twórcy jedności Niemiec", księcia Bismarcka. On to położył podwaliny pod wielką wojnę, która zakończyła się tak niepomyślnie dla Niemiec.



Wynalazki w Starożytności.



ZWYJĄTKIEM siły elektryczności i materiałów wybuchowych, wszelkie zdobycze nowoczesnej nauki znane już były w starożytności. Takich prac jak budowa piramid, w naszej epoce nie znamy. Zresztą i działanie pary było znane w starożytności.

W drugim wieku przed Chrystusem Hero z Aleksandrii zbudował maszynę, którą uważać można za pierwowzór turbiny parowej. Węgiel był zdawna używany w Chinach, dalej w zagłębiu Ruhry, w Anglii i w niektórych dziedzinach nad Morzem Śródziemnym. Co się zaś tyczy elektryczności, to elektryczność powietrzna znana była dawnym Egipcjanom, jako też Żydom tak, że oni właściwie wynaleźli pierwszy piorunochron. Ogromne maszty i obeliski przed świątyniami egipskimi, zakończone miedzianymi końcami, służyły, jak dowodzą znalezione papyrussy, jako piorunochrony. Ten sam cel miały ogromne słupy z brązu o ukoronowaniu w kształcie lilii, stojące w drewnianej świątyni Salomona. Były one połączone z włócznieami, stojącemi na dachu i powiązanemi łańcuchami a służącymi jako przewód ziemny dzięki połączeniu ich ze zbiornikami wodnymi.

Salomon zaopatrzył Jerozolimę w nadzwyczajny wodociąg. Z basenów i jezior założonych na okolicznych wzgórzach tunelami i pagórkami szły wodociągi aż do Jerozolimy. Król Hiskia (727 do 669 przed Chrystusem) zaprowadził drugi wodociąg, który szedł przez 533 metrów długi tunel. Kanalizację w Jerozolimie zaprowadzono jeszcze za czasów Dawida (1055 przed Chrystusem), a osobne kanały odprowadzały wodę, inne zaś odpadki. Żydzi jednak nie byli pierwszymi

założycielami wodociągów. Już przed nimi Asyryjczycy zakładali wodociągi, długie aż na 45 kilometrów. Najstarsze greckie podziemne przewody były w zamku w Mykene. Wspaniały był wodociąg w Pergamie. Angielskie klozety z wodnym przepłukiwaniem znane były już 1,300 lat przed Chrystusem na Krecie, która także założyła pierwszy amfiteatr o kamiennych schodach, pierwowzór późniejszego teatru. Wygrzebany w roku 1850-ym w Pozzuoli klozet był tak wspaniale urządzony, że archeologowie mieli go pierwotnie za... świątynię. Za czasów rzymskich wynaleziono centralne ogrzewanie, prowadząc ciepło rurami i kanałami z rezerwoaru znajdującego się pod podłogą.

Także szyby są wynalazkiem czasów rzymskich, jakkolwiek szkło znane było znacznie dawniej. Wyroby szklane znane były w Egipcie, Mykene i Krecie. Warsztat garncarski należy do najstarszych urządzeń egipskich. Wyrób fajansów przejęli Rzymianie od Egipcjan z Mezopotamji i doprowadzili go do doskonałości. Papier i jedwab, — to wynalazki chińskie, a bawełnę sadzono i tkano w Egipcie i Mezopotamji. Sztuka malarska w Egipcie ograniczała się do farb klejowych, freski stosowano w Grecji i na Krecie, skąd przeszły do Włoch. Starożytność znała także rytownictwo i farby olejne, których technika zetraciła się w latach późniejszych. Dopiero bracia Eyck znów ją wprowadzili. Później malowano farbami żywicznymi. Żywiec używano również przy konserwowaniu wina. Dyonizos (Bachus) na końcu swej laski ma umieszczoną szyszkę. Tacyt wspomina już piwo a Homer — miód jako napój. Mydła w starym Rzymie używano pierwotnie jako pomadę, a również jako środek barwiący włosy rudo-blond. Sodę i potas znali Żydzi, a farby

na włosy i szminki od niepamiętnych czasów były w użytku.

Mosty i architektura starożytności także z dzisiejszemi mogą pójść w zawody. Nebukadnezar wybudował w Babilonie nad Eufratem most na 900 metrów długi. Zbudowany z belek drewnianych spoczywał na stu kamiennych słupach. Rzymianie budowali kamienne mosty łukowe, a wiele z nich stoi do dziś dnia. Babilończycy znali cement. Gościńce rzymskie rozciągały się na sieci 76,000 kilometrów i służyły celom zarówno handlowym jak strategicznym. Przy budowie tych gościńców trzymano się, jak przy dzisiejszych kolejach, zasady najkrótszej drogi, rozsadzano skały, budowano tunele, nasypywano wały, w bagnistych lasach wykładano drogi drzewem. Resztki tych w Germanji zakładanych dróg istnieją po dzień dzisiejszy. W Grecji na wzór dzisiejszy zakładano w gościńcach zagłębienia na koła, a więc zapowiedź późniejszych szyn.

Widzimy, że słuszność miał ów mędrzec, który twierdził, że wszystko już było.

Szach Perski a Kobieta w Spodniach.

Żona znanego francuskiego archeologa Dieulafoy'a, która sama jest wybitną badaczką i towarzyszy swemu mężowi we wszystkich podróżach naukowych po Azji, nosi od lat za pozwoleniem władz męskie ubranie; ponieważ zaś ma wogóle rysy ostre, trudno ją odróżnić od mężczyzny. O tej energicznej kobiecie opowiadał niedawno były konsul weale zabawną historję.

— Byłem właśnie w Teheranie, — mówił — gdy sławna para małżeńska czyniła badania w okolicy Teheranu. Dieulafoy prosił mnie o audjencję u szacha i został przyjęty ze zwyczajną tam wspaniałością. Po przyjęciu uczonego tłumacz oznajmił królowi królów, że i żona pana Dieulafoy miałaby ochotę „złożyć władcy Persów swą czolobitność.” W Teheranie niema wiele przyjemności i rozrywek, to też przybycie Europejki było zdarzeniem pełnem znaczenia. Szach uśmiechnął się z zadowoleniem, wysłuchawszy słów tłumacza, gdyż przypuszczał, że ujrzy przed sobą piękną Paryżankę. „Przyprowadź ją tutaj” — rzekł więc krótko i węzłowato. Badaczka weszła i złożyła przepisane ukłony. Gdy się podniosła, szach obejrzał ją zdumiony od stóp do głowy i czyniąc odpychający ruch ręką, rzekł. „Weźcie ją stąd!” To były jedyne słowa, które dama w spodniach usłyszała z ust króla królów.

W Główniej Kwaterze Niemieckiej.

Słynny bakteriolog i profesor uniwersytetu w Bonn, doktor medycyny Menschenlieb, wdarł się prawie siłą na posiedzenie wojenne niemieckie i nie bacząc na wszelkie względy, należne Wysokim Ekscelencjom, już zdaleka wołał:

— Mam! Mam!

— Co pan masz? — zapytał gniewnie pruski minister wojny. — Pewnie bzika! Każe pana wyrzucić.

— Wstrzymaj pan rozkaz na chwilę, panie ministrze — rzekł zadyszany profesor. — Ja mam sposób wybicia co do nogi Francuzów, Anglików i Rosjan.

To mówiąc, wyjął z kieszeni trzy bomby, każda średnicy mniej więcej po 6 cali. Na jednej była duża litera „C”, na drugiej „D”, na trzeciej „T”.

Profesor położył ostrożnie bomby na stole i rzekł:

— Mój wynalazek! Każdego gatunku jest już po tysiąc. Pasują doskonale do naszych armat 15-centymetrowych.

— A co w nich się mieści? Może jakie gazy trujące? Bo te już działają.

— Oho! Czem są wasze gazy trujące wobec mojego wynalazku? Słuchajcie! W bombie pod literą „C” są przecinki Choleryczne, pod „D” laseczniki Dżumy, pod „T” zarazki Tyfoidalne. W każdej bombie jest, odliczonych co do jednej sztuki, po 1,000,000,000,000 bakterji, słusznie wyhodowanych, zdrowych, mocnych i dobrze odpasionych. Za

wyrzuceniem bomby i dotknięciem szpica do ziemi, bomba się rozpada, zarazki wylatują i czepiają się otoczenia, czyli w tym wypadku wojska nieprzyjacielskiego. W trzy dni u wrogów wszystko trup. Rozumiecie panowie?

Zrozumieli najwidoczniej, gdyż po chwili całe zgromadzenie generalskie porwało wynalazcę na ręce i niosąc go przez obóz gwardji, wołało wielkim głosem:

— Hurra! Hurra! Hurra! Niech żyje profesor Menschenlieb, zbawca ojczyzny!

Jednocześnie depesza doniosła polecenie do Bonn o wysłanie po 1000 bomb wynalazcu pana profesora na trzy fronty walk niemieckich.

CZASY.

Agent Tow. ubezpieczeń obchodzi mieszkanie i spisuje rzeczy do ubezpieczenia.

— A w tym pokoju co pan ma?

— Ze trzydziści pak zapalek, kupionych na zapas. Może pan każe je usunąć?

— Cóż znowu? Niech będą! Nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa. Dzisiejsze zapalki przecież się nie zapalają, nawet gdy kto tego chce gwałtem!...

BENARES

Święte Miasto Hindusów.



NDJE wschodnie są krajem osobliwości wielkich. Osobliwości niespotykanych nigdzie na świecie..

Składa się na to przyczyn wiele. Różnorodna religja ich mieszańców: bramińska, buddyjska i maho-metańska, zwyczaje ich i obyczaje, kastowe urządzenia społeczne i na szerokiej tolerancji oparte polityczne.

Ale największą osobliwością w całych Indjach jest Benares. Święte miasto Hindusów, nie dość że święte: ze wszystkich ich miast najświętsze.

Kto w niem z wyznawców ich wiary mieszka — jest najszczęśliwszym ze szczęśliwych, kto w niem umrze, dostępuje dla duszy swojej niezmierzonej łaski nieba. A błogosławiona siła tego miasta jest tak wielka, jego względy u bogów Indji tak nadzwyczajne, że nawet dla niewiernego, który w niem z życiem swoim się rozstaje, trójca bogów bramińskich: Brama, Wisznu i Sziwa, wspinałomyślnie otwiera wrota nieba.

Zatem Benares jest to Rzym hinduski, ale i coś więcej nad Rzym: Mekka i Jerozolima, przeciw coś pozostawiającego i Jerozolimę i Mekkę za sobą w tyle, miasto jedyne, uprzywilejowane przed wszystkimi w pozaziemskich sferach, — miasto miast.

Kiedy z uszanowaniem przynależnem

temu, co miliony czeią otaczają, dostrzeże się kopuły jego świątyni, a w dali zamigota przed wzrokiem ozłocona słońcem wstęga Gangesu, ktokolwiek jesteś, który w progi miasta tego wstępujesz, doznasz uczuć, jakich mało gdzie doznawać może ludzka dusza.

Widzisz bo się nagle w otoczeniu czegoś, co jest z ciała, ale i nie z ciała, czemu jak Mickiewiczowskiemu upiorowi z drugiej części „Dziadów,” ścięły się usta i oczy zawarły, i czemu jak upiorowi temu, duch nadziei jedynie życie nadaje.

Tak jest, duch nadziei, bo wszystko co tu żyje, myśli, kocha i cierpi, żyje wyłącznie nadzieją, oczekiwaniem tego, co po troskach, walkach i goryczach tej ziemi dozwoli w szczęściu i niezamąconym spokoju użyć słodyczy i wesela.

Jest godzina wczesna, słońce przed chwilą dopiero rozpoczęło swoją przechadzkę po widnokręgu, żar zwykłych w Indjach promieni rozpalonych nie przepala jeszcze czaszek człowieczych.

Po kamiennych schodach, od stóp świątyni ku rzece prowadzących, toczy się fala ludzkich ciał. Jedni z pękami drzewa na ramionach, inni, obciążeni ciężarem zmarłych tej nocy swoich współwyznawców, inni wreszcie z wolnymi rękami. Biegają wszyscy raczej ku wodzie niż idą, na twarzach wszystkich maluje się powaga niezwykła, każdy ruchem swoim świadczy wyraźnie o tem, że gotuje się do spełnienia ważnego o-

brzędu religijnego. I nagle nastaje głęboka cisza, i w jednej chwili ukazują się oczom coś niezwykłego.

Znajduję się właśnie w łódce na środku Gangesu, w oddaleniu kilkudziesięciu kroków od obrazu tego, przyglądam mu się więc najdokładniej. Widzę go dobrze w całokształcie i w szczegółach, wchłaniam go w siebie z uwagą niezwykłą, by linja żadna nie zatarła mi się w duszy. Nie zaciera też mi się żadna. — Oto tam w dali szereg długi pałaców i świątyń. Pałaców i świątyń dziwacznych. Podpierają je kolumny bez smaku, ubierają ozdoby nie mające z naszemi nic wspólnego, nakrywają kopuły jaśniejsze od srebra i złota. To najwspanialsza dzielnica w Benares, najbogatsza i najświętsza ze wszystkich, świadek odwieczny czei, jaką w tem miejscu świat bramiński oddaje najświętszej swojej rzece. O wczesnej zazwyczaj godzinie, o tej właśnie, o której przyglądam mu się z łódki Gangesu. W tej chwili wstąpił świat ten już tłumnie w koryto rzeki, polewa wodą głowy wyznawców swoich, nurza się w niej z błogością w oczach, szczęśliwy, że dostępuje tej łaski wielkiej. I oddaje cześć słońcu.

Ganges przy brzegach jest nie głęboki, korytem płytkiem szeroko rozpościera się na długiej przestrzeni, tysiące więc łaski tej dostępują, tysiące z oczyma w stronę słońca zwróconemi nurzają się w nim, polewając wodą obnażone piersi i plecy. To na dole tych schodów prowadzących od miasta ku rzece; a na ich piętrach i szczycie? Dziesiątki ognisk pożerają ciała zmarłych, słupy czarnego jak noc dymu unoszą się ku górze. Ci ludzie na dole kąpać się w wodzie spełniają obrzęd mający ich ubłogosławić w tym dniu; ci na górze porzucają płomieniom tych, którzy ich przed chwilą opuścili na wieki; to co było w nich znikomego oddają ogniom na pożarcie, by to co nieśmiertelnem pozostało przedostało się oczyszczone w krainę szczęśliwości. Jedni i drudzy nie zważają na siebie, jedni i drudzy nie troszczą się o to, co

się dokoła nich dzieje, i gdy niedopalone szczątki pływające po wodzie nie przeszkadzają znajdującym się w niej pić ją w namaszczeniu, ci którzy te niedopalone ciała w ogień wrzucają, nie dbając wcale o to, aby ta woda czystą była, to czego ogień strawić nie zdołał zmiatają kąpiącym się na głowy.

Obrzęd dziwny, obrzęd jedyny, oprosmieniony wiarą głęboką, przy zobojetnieniu na marności doczesne, uduchowiony nadzieją w życie lepsze, gdzie już nie marność, ale błogość nieskończona stanie się udziałem wszystkich. I ta nadzieja błyszczy też się we wszystkich oczach, i w cokolwiek się wierzy, czemukolwiek cześć w duchu się oddaje, głowy przed nią nie schylić niepodobna.

Schodzę z łódki, gdy ognie trawiące ciała zmarłych już doszczętnie pogasły, a niezliczone tłumy wiernych opuściły koryto rzeki i po schodach wstępuje w progi świętego miasta. Ceremonja witania słońca w Gangesie już się skończyła, odbywają się w niem w tej chwili inne. Ceremonje cierpienia. Dla osiągnięcia również szczęśliwości wiecznej, w tej nadziei, że utrapienia ciała wymodlą ją u bogów tym, którzy z woli własnej w pogardzie fizycznego bólu na ból ciała swe oddają.

W pogardzie doprawdy zdumiewającej. Oto obraz, jaki roztacza się ponad tą rzeką świętą, przed chwilą tak ożywioną, teraz toczącą już spokojnie w dół swoje wody. U wrót świątyni na desce długiej siedzi półnagi człowiek. Przygląda mu się gromadka ludzi. Przygląda, i od czasu do czasu rzuca mu zapytania, na które on z całym spokojem odpowiada. Ze spokojem zdumiewającym, bo siedzi na wyostrzonych długich gwoździach. Ale siedzi na nich jak gdyby na wystaniu z pluszu. Żaden grymas twarzy nie mówi o tem, że go boli, żadne poruszenie nie świadczy o chęci przyniesienia sobie ulgi. Przeciwnie, porusza w tę i ową stronę nagiemi nogami, wyciąga je i kuczy, by przekonać przyglądających mu się z uszanowaniem, że gardzi tem, co innym

krew ścina w żyłach. I nie go nie obchodzi ta krew, którą tu wszystko na tej ławce jest zbroczone, i te otwarte i zaschłe strupy, któremi jest okryte jego ciało; myśli jego nie zaprzatają się tak poziomemi rzeczami; oderwane od świata, obcuja teraz z tem nieśmiertelnem, co jest wprawdzie cierpienie człowieczych na świecie źródłem, ale co jednocześnie w skarbnicy swojej posiada niezliczony zasób nagród, dla opłacenia wszystkiego co nam sprawia ból. I tego, jakiemu się on poddaje, i tego również, jakiemu jest poddany w pobliżu niego ten człowiek, który żywcem zamurować się kazał, jak i ten również tam nieco w oddali z okiem zwróconem w stronę rozżarzonego słońca wciąż. Tam w tej klatce z muru nad rzeką siedzi, modlitwy nabożne szepejąc, i gdy całe jego ciało murem klatki tej jest na zawsze zakryte, twarz jedna pozostaje jedynie dla przyjmowania nędznego pokarmu odsłonięta, a ten drugi w oddali dla ubłagania łaski swoich bogów wzrok swój składa im pokornie w ofierze. Siedzi więc od wschodu do zachodu na miejscu otwartem, zwróciwszy oczy swe w stronę słońca, które piekąc jak żar przez kilkanaście bez przerwy godzin, niszczy wszystko, co się przed nim nie schroni. Zniszczy mu więc i jego oczy, przyprawi o kalectwo okropne, przez całe życie wlec mu się każe po barłogach w opuszczeniu i nędzy, póki śmierć, wyzwoliwszy go z jego niedoli, nie sprowadzi mu tego, czego zdobycie skazało go na cierpienie tyle. On o tem wie, przecież bez ruchu siedzi. I nie opuszcza swego stanowiska aż wtedy dopiero gdy zaćmi mu się w głowie, gdy chmury czarne okraążą go dokoła, gdy noc wieczna i beznadziejna obejmie go w swoje posiadanie. Dopiero wtedy. Ale skoro ta chwila nastąpi, i gdy miłosierna jaka ręka sprowadzi go z jego stanowiska, doświadcza tak wielkiej rozkoszy ducha, jakiej nie doświadczają nigdy ci, którym jasna gwiazda słońca złociienne trudy. Wielki jego bóg szlwa, dumny z syna ta-

kiego, synowi temu przygotowuje miejsce po śmierci przy sobie.

Powiedziałem, że Benares jest Rzymem, Mekką i Jerozolimą hindusów, śródowiskiem ich świata, miastem dla nich ze wszystkich najświętszem. Widzi się to, gdy się po niem chodzi. Widzi na każdym kroku. — Bo na każdym niemal stoją w pokorze modlący się, na każdym unoszą kopuły swe ku niebu domy boże. Większych i mniejszych znajduje się tu ich 1,500, a niektóre z pomiędzy nich — to arcydzieła sztuki Hindusów, świadectwo bezprzykładnej ich szczodrości. Naturalnie smak nasz artystyczny nie zazna wobec żadnej z nich duchowego zadowolenia, ale przed niejedną przystanąć musimy z uszanowaniem i zdumieniem. Na widok ucieleśnienia ofiarności Hindusów, ich pietyzmu, by ich bóg nieśmiertelny miał godną siebie wśród nich siedzibę.

Ta wielka mnogość świątyń w Benares, którą powiększyć trzeba niezliczonymi kapliczkami rozsianymi na całej przestrzeni tego dziwnego miasta, czyni z niego coś jedynego na świecie. Czem żadne z miast, skąd promieniuje na świat jakakolwiek wiara, nigdzie nie jest. Bo żadne w tym stopniu co on, nie żyje wyłącznie religją, w żadnym wszystkie funkcje życia społecznego tak dalece jak tu nie podporządkowane są jej nakazom. Kiedy się więc chodzi po jego wspaniałem wybrzeżu nad Gangesem, lub krętami uliczkami przemyka się ku jego wnętrzu, ten jego charakter niespotykany nigdzie uderza przedewszystkiem w oczy. Przejmując wyznawcę każdej wiary jakimś uduchowieniem dziwnem, w obliczu tego rozmodlenia powszechnego, tych świętości, o które się potraça co krok.

* * *

Oto dom wciśnięty w inne brudne i biedne, w którego progi tłoczy się właśnie mnoga ciżba. Dom modlitwy. Ku czci bogini Anapurny. Bogini ukochanej przez wszystkich, bo dzięki niej żyją tu wszyscy. Ona dba w niebie o to, by na

stole każdego z jego mieszkańców znajdowała się zawsze miseczka ryżu, więc jako symbol tej dbałości jej o to, poświęcono jej w tym domu życiodajne krowy. I czezą w nim te krowy, otaczają je opieką najtkliwszą, i każdy konający Hindus w tem mieście uważa się za szczęśliwego, gdy oddając technienie ostatnie oddaje je z kawałkiem ich nawozu w ustach, który wkłada mu w nie miłosierna ręka, by mu skrócić męki konania.

Oto dom znowu inny. Świątynia małp. Najokrutniejsza bogini Kali króluje w niej w ich otoczeniu. Króluje pod postacią posągu ohydneho, który bramini skrapiają krwią koźłat zabitych. Biegają te małpy dokoła jej ołtarza, czepiają się pazurami po kolumnach, zaglądają do kieszeni twojej gdy się wśród nich znajdziesz, czyś nie zapomniał przynieść im w ofierze orzechów i słodyczy. I tu jak tam od rana do zmroku tłumi, i tu jak tam cheiwy bramin wyciąga od najuboższego grosz ostatni, i tu chyli w pokorze czoła lud pobożny. I tu. Choć ta Kali jest przeciwieństwem tamtej bogini, gdy tamta bowiem żywi Hindusa i myśli o nim, ta dyszy ku niemu nienawiścią i pożąda jego śmierci. Jest zła i mściwa. Jej ozdoba zwyczajna to łańcuch na szyi z zakrwawionych głów ludzkich, a jej zabawa gdy nią gniew owładnie, to taniec szalony na jej własnym mężu, który, by ten jej gniew ułagodzić, kładzie się w chwili jej rozdrażnienia na ziemi i leży spokojnie na niej nieczuły, póki znużone tańcem jej nogi na tej nieznannej żadnej baletnicy podstawie, nie zażądają odpoczynku.

To miasto święte śle tych, którzy w niem mają szczęście się znajdować, bezustannie w progi tych i podobnych im świątyń, przelewa tu się też ciągle z miejsca na miejsce od jednego ołtarza do drugiego fala ludzkich ciał, i zdaje się gdy się temu przygląda, że nie istnieje tu dla nich nic innego na świecie, prócz

trosk o hołd bogom, którzy tu sobie obrali doczesne mieszkanie.

* * *

Ten wyjątkowy przecież charakter tego miasta wywołany jest nie tem jedynie, że liczy ono w murach swoich przeszło 300,000 mieszkańców i że mieszkańcy ci wszyscy w ciągłych praktykach religijnych widzą cel swój i zadanie swoje. Choć tak ludne, zamknięte w sobie, nie dawałoby ono tego obrazu jaki przybyśzowi ze stron dalekich daje, nie byłoby ani w części tem, czem jest dziś. Ale Benares nie jest właściwie miastem, jest — że się tak wyrażę — zajazdem olbrzymim, przez który setki tysięcy z całego świata hinduskiego przelewają się przez cały boży rok. A ten hinduski świat w Indjach to świat nie byle jaki.

Wedle spisu ludności z roku 1911-go liczył on wtedy 207 milionów dusz, o kilkadziesiąt zatem milionów tylko mniej niż na całej kuli ziemskiej liczy w rozproszeniu świat katolicki. Pomyślny więc tylko: z tych dwustu siedmiu milionów nie rozproszonych na przestrzeniach olbrzymich jak katolicy, ale skupionych na terytorjum nie wiele od Europy mniejszem, rzadki tylko nie nawiedza tego miasta kilka razy w swem życiu; pomyślny o tem, a stworzymy sobie wyobrażenie rojowiska, jakie Benares o każdej porze roku oczom daje. Zrozumiemy wtedy i to natłoczenie ciągle w tych progach świętych tysiąca pięciuset przybytków bożych, i ten charakter jego niezwykajny, nadający mu tak odrębne w świecie piętno.

Zrozumiemy i coś więcej jeszcze. Że kto chce, zawitawszy do Indji, zapoznać się ze światem hinduskim — nie potrzebuje koniecznie przyglądać mu się bliżej na każdym punkcie półwyspu olbrzymiego, że mu to miasto wystarcza do osiągnięcia jego zamiarów w zupełności. Tu bo jeżeli ma on nie wszystko co jest właściwością tego świata, to bardzo wiele, to puls tego najsilniej uderza, co świata Hindusów stanowi najistotniejszą treść.

Legenda istot zaludniających hinduskie niebo tu ma swoje najplastyczniejsze na ziemi odbicie.

* * *

Ojcem bogów Hindusa jest wszechpotężny Brahma.

Twórca świata. Wyszedł on z jajka i rozbiwszy na dwie części jego skorupę, z górnej zrobił niebo, z dolnej ziemię.

Jest on wszystkowiedzący i wszechpotężny, a symbolem tego wszechwładztwa jego są cztery głowy.

Cztery obecnie, bo dawniej miał ich on pięć.

Ale nie idealna pobudka stworzyła je na jego ciele.

Wcale nie.

Porodziła je miłość, i to miłość występna.

Bo miał on córkę nadludzkiej piękności, i zakochał się w tej córce.

Co dostrzegłszy, rzuciła się ona do ucieczki.

Nie na wiele jednak to się jej przydało.

Gdyż wyskoczyła mu niespodziewanie głowa druga, potem trzecia i czwarta, i gdziekolwiek się przed nim na ziemi skryła, szedł tam za nią jego wzrok.

Wtedy dziewczyna wpadła na inny pomysł.

Uniosła się prostopadle nad ojcem w powietrze, sądząc, że tym sposobem nie dosięgnie jej spoglądający na prawo i na lewo jego wzrok.

Ale i to jej nie pomogło.

Ukazała bo mu się nagle głowa piąta, z oczyma skierowanymi w górę, poczuła więc swoją bezsilność.

I została żoną tego, któremu zawdzięczała, że żyje.

Nie na niższym wcale od Brahmy szczeblu, stoi drugi z kolei bóg Wisznu.

Tamten jest twórcą wszystkiego, ten ich zachowawcą.

Gdyby go nie było, świat cały rozpadłby się w proch.

I ten ma cztery głowy, tylko nie powstałe dla tak występnych jak u Brahmy

celów; i ten widzi wszystko, ale aby zabezpieczyć i uchronić wszystko od zniszczenia.

Sziwa jest trzecim bogiem w tej trójcy, bogiem najstraszniejszym ze wszystkich.

Bo jest niszczycielem.

Bo wszystko przyprawia o śmierć.

Mimo to nie jest przez Hindusów mniej od Brahmy kochanym, wedle bowiem przykazań ich wiary, śmierć jest u nich jedynie przemianą w inną formę istnienia.

Czczą go więc tak jak Brahme i Wisznu, odbiera on bowiem stworzeniom jedno życie, by im podstawić inne, zabija by rodzić.

O srogości jego, ale i wszechpotężde świadczy znany wszystkim Hindusom fakt.

Miał on syna Ganesza, o pięknej twarzy i zaletach niepospolitych, który był ulubieńcem jego matki Parrati.

Ta też zrobiła z niego nieodstępного swego towarzysza.

Kazała mu strzedz jej przed wszystkimi, nawet przed własnym mężem, a jego ojcem Sziwą.

Pewnego razu gdy bóg chciał się ze swoją żoną zobaczyć, a ta synowi rozkazała do tego niedopuszczyć, rozzłoszczony uciął mu głowę.

Ale wkrótce pożałował swego postępuku.

Zaprzagnął go ożywić, przez przyprawienie mu głowy nowej.

Rozesłał więc sługi po okolicy z rozkazem, aby pierwszemu stworzeniu, jakie po drodze spotkają, uciął głowę, i przynieśli mu ją natychmiast.

Traf chciał, że spotkali oni najpierw słonia po wyruszeniu poza próg domu, ścięli mu więc ją bezwzględnie i złożyli u nóg Sziwie.

A ten przyłożył ją do korpusu syna i stworzył człowieka o głowie rozumnego tego czworonoga. Stracił zatem Ganesza podobieństwo do człowieka, zyskał mądrość słonia. I tą mądrością góruje nad bogami innymi.

Otóż gdy każdy z tych bogów, w każ-

dem z miast Indji ma poszczególne ołtarze, tu w tym Benares mają je oni wszyscy, w tysiącu pięciuset świątyniach tego miasta odbierają wszyscy ciągłą cześć. Zstępują więc tu do niego jedynie wszyscy, ukochali bowiem ponad wszystkie miasta ten gród, czyniąc z niego jak gdyby odbicie nieba. W jego bramy wstępując jedynie, gdy stęsknieni za ludźmi zapragną się znaleźć w ich towarzystwie.

Ognisko bóstw, jest też Benares ogniskiem ich sług braminów.

Tych braminów, którzy aby Brahmie i innym równym mu bogom służyć, wyskoczyli z jego głowy.

Podczas gdy inne kasty indyjskie powyskakiwały z jego ramion, brzucha i nóg.

Jako porodzeni z głowy, są też oni głową kast innych, a że w Benares jest ich najwięcej, przeto tu nie gdzie indziej sprawiają prawdziwy rząd dusz.

Tu rozkazują miljonom, regulują ich życie, odbierają od nich hołdy, tu wyzymskują je w stopniu, żadnemu innemu miastu indyjskiemu nieznanym.

Żadne też z nich nie zna w tym co ono stopniu ich szalbierstw, żadne w tym co ono nie czuje również ich wszechwładzy. I pogardy dla niższych.

Zwłaszcza też dla tych parjasów nieszczęśliwych, którzy do żadnej z czterech kast indyjskich nie należący, są deptani przez wszystkie kasty. A przez braminów głównie.

A tych parjasów jak i tych braminów, liczy Benares tysiące. Jak pierwszych tak i drugich spotyka się w nim na każdym kroku. Tylko że gdy pierwsi obliczem swoim i zaokrąglonym wyglądem świadczą wyraźnie o tem, że służba bogom na zdrowie im idzie, ci są brudni, obdarei, wychudli. I raczej wegetują niż żyją.

Bo Hindus, a kapłan Hinduski przede wszystkim, nie zna pięknej zasady wypisanej na gmachu Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie: "Res sacra miser" — świętą rzeczą jest ubóstwo. Nie

zna. On od tego biednego parjasa stroni, on nim gardzi.

Kogokolwiek się Parjas dotknie, ten zostaje splugawiony, ktokolwiek posadzi go głodnego przy stole swoim, doznaje hańby nie zmytej niezem. Gdzie bramin mieszka — przebywać mu tam nie wolno, a biada mu jeśli poważy się w zapomnieniu przestąpić progi jego domu, stajni lub obory. Koń i wół godniejsze są o wiele w oczach sług bożych od niego.

Ponieważ płękość kobieca nie jest udziałem wyłącznie bogatych i szczęśliwych, i wśród parjasów więc nieraz zdarzyć się może, że urodzi się płci niewieściej istota, czarująca krasą swoją każdego kto na nią spojrzy.

Niechby przecież czarowi jej uległ przedstawiciel tej kasty odechciałoby mu się romansów na całe życie.

Bo uczułby na sobie ciężar tak srogich praw, iż war najbardziej wrzącej krwi przemieniłby mu on w lód.

Ta mnogość w Benares sytych i głodnych, bogatych i ubogich, czczonych i deptanych nogami, jednym słowem braminów i parjasów, nadaje temu ciekawemu miastu poza charakterem religijnym charakter miasta bogatego i nędznego razem. A na ten charakter wpływa i to, że najbogatsi maharadzowie indyjscy ściągają do niego zawsze choć na krótki w każdym roku pobyt, by w tych pałacach od złota błyszczących patrzeć na Ganges święty i cześć bogom w najświętszym mieście oddawać. Wywołuje ta okoliczność to, że nigdzie może w tym co tu stopniu dostatek nie potraça o nędzę, szczęśliwość o niedolę. I byłoby też tu skutkiem tego piekło prawdziwe, gdyby znowu nie ta wiara i ta nadzieja, jaśniejąca w oddaleniu przed okiem ducha najmizerniejszego z jego mieszkańców, że po tem życiu walki i utrapienia, kiedyś, kiedyś, tam wysoko na łonie tych potwornych, ale sprawiedliwych bóstw, zatrą się różnice społeczne i deptany na ziemi poniżony i pogardzony, jak ten nasycony i szczęśliwy znajduje się z nim tam w niebie na jednym

szczeblu. Gdyby nie ta wiara, która w Indjach i parjasowi temu żyć każe i życie mu umila, — jak i tej nie tak coprawda jak on pogardzonej, ale nie mniej od niego nieszczęśliwej kobiecie.

Bo kobieta w Indjach, której tu w tem Benares takie tłumy po ulicach widzę, jest prawdziwie nieszczęśliwem stworzeniem.

Nie ukrywa tu jej Hindus coprawda jak mahometanin swojej, przed okiem mężczyzny, nie skazuje jej na zamknięcie w haremie, widzi się ją z odsłoniętą twarzą wszędzie, ale widzi się jako coś podrzędnego i nędznego, coś co samo siebie nie wiele ceniąc niegodne jest niczyjej uwagi.

Bo przedewszystkiem nie ceni się ona sama.

Kiedy mężczyzna spełni coś szalonego, mówią jego znajomi, że on ma tyle rozumu jak kobieta, a kiedy ona sama nie potrafi usprawiedliwić postępu swojego, temi słowy odzywa się do swojego otoczenia: „Przecież ja jestem nieczem więcej jak kobietą.”

Za nierozumną jest więc ona uważana w całych Indjach i nie za inną uważa się sama, co sprawia, że własnej woli nigdy nie ma i mieć jej nie może.

Całe życie musi słuchać.

Panna — rodziców, mężatka — męża i teściowej, a wdowa (i to już jest coś potwornego) — swoich własnych synów.

Jest więc ciągle pokornem dzieckiem.

I gdybyż jeszcze to dziecko było dzieckiem pieszczonem, — gdyby za rzekomy brak rozumu otaaczano ją jak dzieci opieką i uczuciem!

Ale gdzie tam. Przeciążają kobietę pracą w klasach niższych, traktują bardzo źle wśród zamożniejszych.

Do takiego pogardzania sobą jest też ona tak przyzwyczajona, że gdyby przypadkiem mąż odezwał się tam do niej tkliwiej, sprawiłoby to jej prawdziwe zdumienie.

Kiedym bawił w Benares, dostało się do moich rąk klasyczne dzieło: Dubois Hindu Manners, Customs and Ceremonies

(Zwyczaj i obyczaj Hindusów i ich ob-rzędy). Autor dzieła tego przebywał długo w Indjach i wtajemniczył się doskonale w stosunek dwóch płci do siebie.

Cóż zatem mówi on o tym stosunku?

Posłuchajmy: „Mężczyzna traktuje tu kobietę zawsze szorstko, i gdy się do niej zwraca wyrazy: sługo, niewolnico i podobne pieszczotliwe wychodzą zawsze z jego ust.”

Czytelniczki moje może ciekawe będą dowiedzieć się, jak też tam ich siostry oddziaływają na podobne traktowanie.

Zaspokoje ich ciekawość przytaczając dalsze słowa tego pisarza.

Oto one w dosłownym z języka angielskiego przekładzie:

„Kobieta nie zwraca się nigdy do męża swojego inaczej jak najpokorniej. Nazywa go swoim mistrzem, panem, a nawet czasami bogiem. Nigdy nie odezwie się do niego po imieniu, a jeżeli przypadkiem Europejczyk obcy temu zwyczajowi zapragnie zniewolić ją, aby to uczyniła, ujrzy ją zażenowaną i odwracającą się od niego bez odpowiedzi, z uśmiechem na ustach świadczącym o pogardliwej litości nad podobną nieświadomością.”

Tyle ten autor.

Ten poddańczy stosunek kobiety do mężczyzny u Hindusów uświęca ich religja. Ta religja bezwzględna i bezlitosna, przestrzegana przecież jaknajskrupulatniej przez nich w tym kraju. Uregulowała ona w niebie stosunek dwóch płci do siebie mniej przyjemnie dla mężczyzny, skoro daje nam tam obraz bogini Kali, tańczącej w przystępie złości na ciele swojego męża, ale na ziemi nakazała kobiecie tak tańczyć jak jej mąż zagra. Tańczy więc tak, oczywiście nie na nim lecz przed nim, kto wie przecież czy nie pocieszając się w głębi ducha i tą nadzieją, że gdy po latach wielu a wielu roztanie się z ziemią i połączy ze swojemi bóstwami, zapatrzona w swoją energiczną i nie sobie z mężczyzn nie robiącą boginię, potańczy również ochoczo po swoim mężu, który ją za życia poddawał udęczeniom tyłu. I tym sposobem powetuje sobie to wszyst-

ko, czem ją za życia niegodziwie darzył. Ale zanim chwila tej satysfakcji słodkiej tam dla niej nastąpi, tu za jej poniżenie, zadość uczynienie żadne nie bywa niestety jej udziałem. Mówi nam o tem dzieło mędrca świętego hinduskiego Vasiszty, pod tytułem "Padmapurana." Aby mój obraz był o ile można pełnym, posłuchajmy, jakie przepisy znajduje w tem dziele kobieta hinduska dla siebie.

Oto świętego tego dzieła nakazy:

"Jesteś stworzona na to, o kobieto! ażeby słuchać, w żadnej więc chwili swojego życia nie powinnaś się uważać za panią niepodległą. Jeżeli się mąż twój śmieje, masz się śmiać, gdy jest smutny masz być smutną, a płakać kiedy płacze.

"Jeść możesz wtedy dopiero, gdy mąż twój jest syty, możesz z nim wyjeżdżać z domu kiedy on sam sobie tego życzy; jeśli ci rozkaże przeciwieństwo w nim pozostać, nie wolno ci przekroczyć progów mieszkania. W obecności swojego męża nie jest ci dozwolone patrzeć w bok, zwłaszcza jeśli tam przypadkiem stanie ktoś od innego piękniejszy i młodszy, a w oczekiwaniu na rozkazy jego, winnaś spoglądać wciąż w jego oczy. Kiedy on śpiewa, masz okazywać mu swój zachwyt, gdy zatańczy — nie wolno ci od niego odwrócić z podziwem oka."

Tyle Padmapurana.

Do tego poniżenia kobiety w Indjach przyczynia się w znacznym bardzo stopniu i to, że małżeństwo w tym kraju zawiera się w tym wieku, w którym u nas rówieśniczki narzeczonej sylabizują na elementarzu, lub bawią się lalkami i piaskiem.

Właśnie opuściłem świątynię małp w Benares ze śladami ich pazurów na rękach za to, że świętym tym stworzeniom nie przywiózłem tyle cukru ile spodziewały się odemnie go dostać, gdy nagle oczom moim ukazał się dziwny w tem najdziwniejszem z miast świata obraz.

Przy dźwiękach hałaśliwych trąb i kotłów posuwała się zwolna naprzód procesja.

Procesja pstrokato ubrana.

Kilku starszych na przodzie, reszta dzieci. Za starszymi chłopiec przyodziany odświętnie, za nim małeńka w żółtym zawoju dziewczynka.

Mój przewodnik, władający jak wszyscy przewodnicy w Indjach wybornie językiem angielskim, każe mi się zatrzymać, i gdy stosując się do jego woli przystaję na miejscu, na moje zapytanie, co to jest, odpowiada, że to jest wesele hinduskie.

Wesele? Chłopiec najwięcej lat jedenastu, dziewczynka siedmiu — i to jest małżeństwo?

Nie inaczej, tak się Hindusi zwykle tu żenia.

A następstwem tego jest co?

Bawiąc w Indjach, miałem sposobność zapoznać się ze sprawozdaniem angielskich misjonarzy chrześcijańskich w tym kraju, z roku 1910-go.

Zdumienie przejęło mnie do głębi, kiedy to sprawozdanie odczytałem.

W roku tym jedna tylko prowincja Indji Wschodnich liczyła 400,000 wdów poniżej 15-tu lat, 19,000 poniżej lat pięciu, a 508 poniżej jednego roku, gdyż i tego wieku panny młode stają, a raczej przy pomocy nianiek ustawiane są na kobiercu ślubnym.

Ale zdumienie, które mnie przejęło, gdy o tych tak osobliwych tam wdowach dowiedział, przerodziło się niebawem w prawdziwe przerażenie. Na wiadomość, jaka jest tam dola tych młodziutkich wdów. Wedle nakazów religji Hindusów i wiekami uświęconych zwyczajów, każdej z nich, jak tylko która woła bogów osieroconą przez zgon męża zostanie, gołą natychmiast włosy na głowie, pozbawiają tych praw szczupłych, z jakich Hinduska nad Gangesem korzysta, i już do śmierci iść drogą życia w samotnym stanie nakazują. Bez naturalnej opieki, która acz w Indjach srogiem brzemieniem kobietę zawsze uciska, bądź co bądź opieką jaką taką jest, bez rodziny naturalnej, która kobiecie w Indjach i nie w Indjach tylko, najeięższe pożyte zawsze słodzi.

Religia więc i zwyczaj odwieczny wzięły się za ręce, aby kobietę w Indjach poniżyć, one — nie kto inny — są sprawcami jej odwiecznej niedoli.

Był czas, że poniżenie to jej posuwały dalej, że były dla niej nie tylko bezwzględnymi ale i okrutnymi katami. Był niestety taki czas. I o tem mi mówi ta księga Padmapurana. Cóż w niej bowiem czytam, po szeregu przepisów czem ma być kobieta w stosunku do swojego męża w Indjach?

Posłuchajmy, a jeżeli posłuchawszy księgi tej nakazu nie zadrżymy na całym ciecie, nie wprowi nas w dreszcz śmiertelny przed niczem w życiu już nie.

“Kiedy po życiu najdłuższem, mąż twój, któremu winnaś umilać życie, umrze, masz się, o kobieto, bez wahania spalić wraz z jego ciałem na stosie.”

I wieki całe szła też Hinduska na stos, i szłaby dotąd, gdyby jej od ognia nie usunęła raz na zawsze potężna dłoń. Dłoń władającej krajem tym Anglii. Tej Anglii, która usadowiwszy się tu nogą silną, podobnego okrucieństwa tolerować nie mogła. Uszanowała ona tu wszystko, nie zadała gwałtu niczemu, otoczyła wszystko opieką swoją: i języki, i religje i urządzenia społeczne, gdy jednak stanęła oko w oko z morderstwem, wyrzekła potężnym głosem: nie pozwalam. I jeżeli dziś ta poniżana i ponięwierana przez męża Hinduska życiem swoim nie przypieczętowała jego śmierci, zawdzięcza to nie komu innemu tylko Anglii. Ona — nie kto inny — pogasiła w kraju całym niezliczone te ogniska, wobec których ogniska pogańskich cesarów rzymskich wyglądają jak zabawka dziecinna.

Nie może być mojem zadaniem w tej chwili roztoczenie obrazu kulturalnych, ekonomicznych i dobroczynnych wpływów Anglii na świat Hindusów, zanim się jednak rozstanę ze światem ich miastem, niechaj mi dozwolone będzie na zakończenie przytoczyć jeden z charakterystycznych tych wpływów, rys.

Jak to już zaznaczyłem, Indje Wscho-

odne wedle ostatniego spisu ludności liczą 207 milionów Hindusów. Ale Hindusi nie są jak widzieliśmy, jedynymi ich mieszkańcami. Mamy tam 60 milionów mahometan, wreszeie na Celjonie i w górach Himalajskich mnóstwo żyje buddystów. Razem przeto, zaludnia ten olbrzymi kraj 300 milionów bez mała ludzi. Ludzi kultur różnych, odmiennych wier, gwar językowych, zwyczajów i obyczajów. Zdawałoby się, że do panowania nad takim mrowiskiem ludzkim potrzeba olbrzymiej armji, że jedynie las bagnatów utrzymać je w posłuszeństwie może. Zwłaszcza też w posłuszeństwie państwu chrześcijańskiemu, oddalone-mu co więcej od tego kraju o dwadzieścia kilka dni drogi morskiej. Tymczasem Anglja utrzymuje stale w całych Indjach i na Cejlonie zaledwie 70,000 własnych żołnierzy. I przy ich pomocy rządzi krajem nie wiele mniejszym od Europy.

Ta szczupłość uzbrojonych jej tam szeregów, która wpadała mi wciąż w oczy kiedym dwukrotnie przebywał olbrzymie przestrzenie od Bombaju do Kalkuty i do gór Himalajskich, budziła prawdziwe już zdumienie moje, gdym się znalazł w Benares. Gdzie ten świat hinduski, nie mający z naszym chrześcijańskim nic wspólnego, znajduje się w stanie najsilniejszego skupienia i napięcia. Gdzie lada iskra zaproszona nieopatrzną ręką każdej chwili mogłaby wywołać pożar olbrzymi, i gdzie zdawałoby się, że aby ten pożar uniemożliwić więcej niż w każdym innem mieście należałoby tam trzymać wojska, żandarmów i policji.

A tymczasem cóż?

W Benares, pośród tej fanatycznej ludności, tych braminów i wygłodzonej rzeszy parjasów, tych fakirów, snujących się po ulicach rozmodlonych tłumów, dokoła posągów bogów tak wstrętnych, że bez odrazy spoglądać na nich nie mogłem, w tem powtarzam Benares czułem się o wiele bezpieczniejszy, niż za rosyjskich rządów na ulicach Warsza-

wy, gdzie uzbrojony policjant co krok niemal śledził uważnie, tylko nie za tem czy tam komu nie dzieje się jaka krzywda, ale za tem, czy na jakim szyldzie litery polskie od rosyjskich nie są o linję wyższe i grubsze.

W Benares choć tam nie widać na ulicach tak gorliwych o spokój wielkiego państwa policjantów, spokój panuje, — panuje i w innych miastach Indji.

Wszędzie tam Anglja jest, czuje się ją tam wszędzie, ale jej nieledwie nigdzie się nie widzi. Rządzi setkami miljonów ludzi tą śmiesznie drobną europejską armją, przy pomocy tak nielicznych wojsk stoi na straży ładu i porządku na pół dzikich ludów.

Przy ich pomocy, ale przy współdziałaniu innej wielkiej siły, o której zarówno ten troskliwy o potęgę Rosji policjant warszawski, jak i ci którzy go na ulicach stolicy naszej postawili, pojęcia i nie mają i nie mieli.

Siły ducha, siły kultury i tego, co winno być podstawą państw wszystkich — „fundamentum regnorum”, — sprawiedliwości.

I można Anglję sądzić jaknajsurowiej, za jej egoizm, nieznającą granic ekspansję, dawną srogość względem Irlandji, pogoń za bogactwami, może jej Polak każdy wyrzucać i słusznie że nieszczęśliwą Ojczyznę naszą w czasach ostatniego powstania po tchórzowsku i niegodziwie opuściła jedna z pierwszych, po pamiętnych do Rosji notach dyplomatycznych, że w tej chwili, trzymając z największemi naszymi wrogami Żydami, stara się usilnie byśmy byli najsłabszymi w Europie, niepodobna przecież nie oddać jej za to sprawiedliwości, że wszędzie wśród obcych, a więc i w tych Indjach nogę swoją postawiła, rękę swych rządów oparła o prawo, nie o bagiet i miecz.

To prawo, pozostawione w bezcennym spadku światu przez cywilizację łacińską, której my Polacy w przeciwieństwie do świata wschodniego bizantynizmu jesteśmy oddanemi dziećmi, to prawo, którego zaćmienie jest zwiastunem rozkła-

du i upadku całego świata. Wieszcząc mu jak Cassandra grecka gangrenę i śmierć.

Bo jak słusznie i mądrze powiada w „Panu Tadeuszu” nasz nieśmiertelny poeta i prorok narodowy Adam Mickiewicz:

“Jeśli miecz tylko ostry bezpieczeń-
stwa strzeże,
Ażeby w krajach była wolność nie
uwierze.”

Czytelnicy!

Kiedy nareszcie u nas i w Europie po strasznej bezprzykładnej w dziejach wojnie przyjdzie do równowagi,

kiedy ociekający wczoraj jeszcze łzami i krwią świat niemal cały odetchnie piersią pełną,

a kwitnące dotąd niwy Ojczyzny naszej zazielenią się kłosem nieśmiertelnego życia i spełnionych już nie połowicznie, ale całkowicie naszych nadziei, obyśmy uniesieni jak Łazarz z grobu, na sile ducha jak na granicie oparci, sile już przeważnie ducha zawdzięczali nasz państwowy rozwój i byt.

I wtłoczeni Opatrzności wolą między dwie największe tyranje świata: moskiewską i pruską, w przeciwieństwie do tego co tyranii tych było treścią życia i rdzeniem, za przykładem Anglji w świecie tych hindusów, szli nieustannie ku gwiazdom i słońcu naprzód, ze szczytnymi godnemi jedynie człowieka hasłami: — Równego Prawa dla wszystkich, porządku i wolności.

(Warszawa)

Stanisław Bełza.

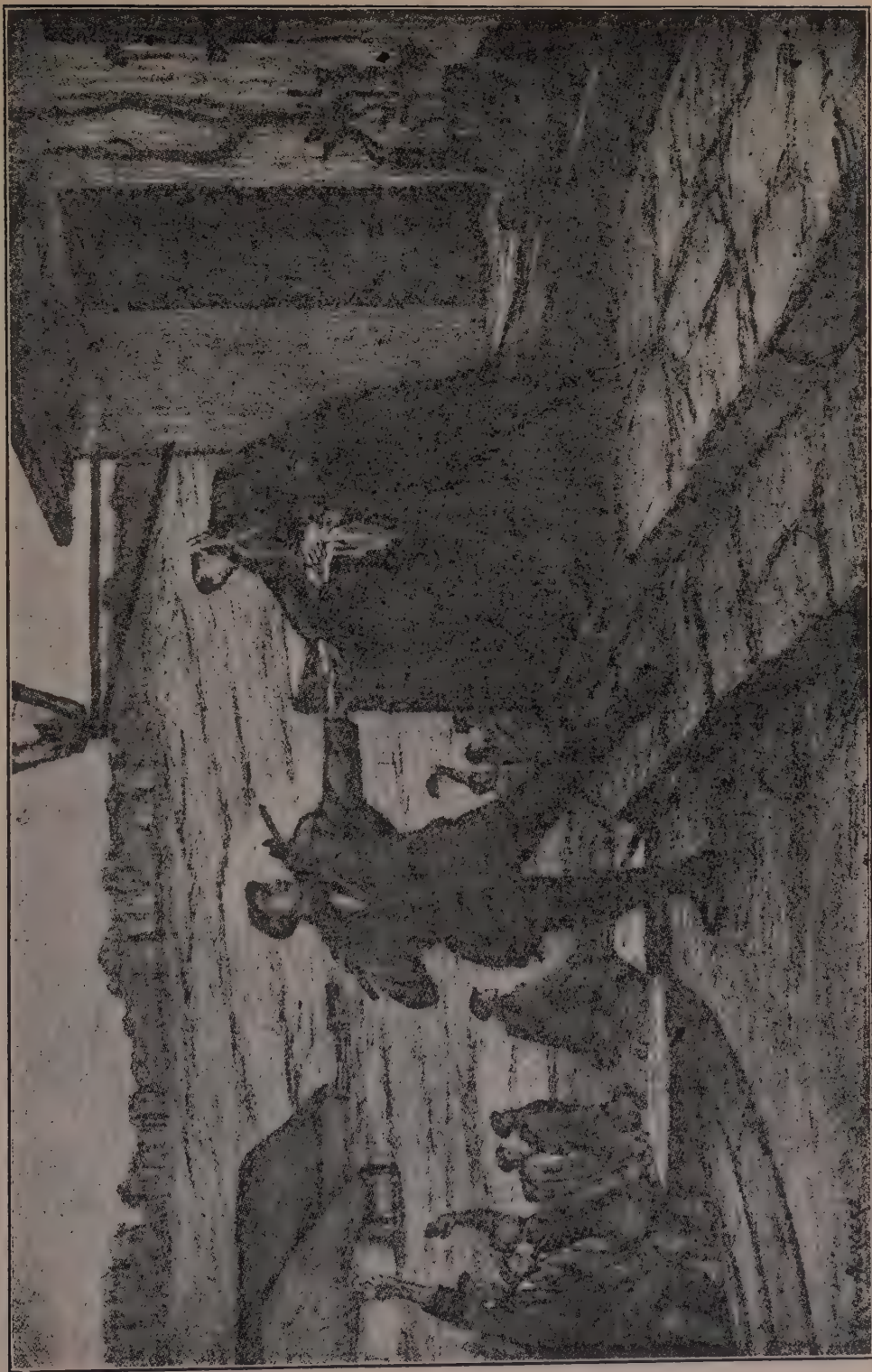
AFORYZMY.

Unikaj tego, kto nie szuka w tobie zalet.

Przyjaciele, których tracisz przez swą uczciwość, nie są warci twego żalu.

Nadzieja jest zbytkiem, spełnienie jest ograniczeniem.

Miłość i piżmo nie dadzą się ukryć.



Pożegnanie.

RORATY.



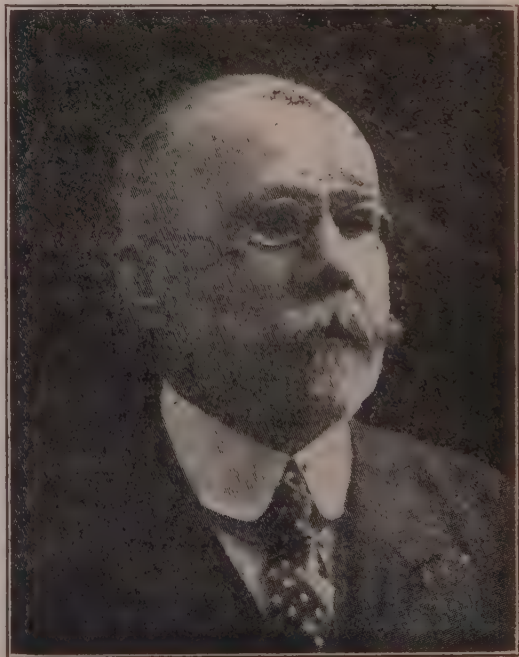
WCZASIE ADWENTOWYM odprawiają się jak wiadomo przed wschodem słońca msze św., zwane Roratami. Odprawianie Roratów przed świtem oznacza symbolicznie wybawienie ludzkości z ciemności błędów i występków, w jakich przed narodzeniem Chrystusa Pana pogrążone były narody świata.

Nabożeństwa tego nie obchodzono w żadnym kraju tak solennie i z takim pietyzmem jak w Polsce. Król pierwszy przystępował do ołtarza ze świecą zapaloną i tę na najwyższym lichtarzu w pośrodku siedmioramiennego świecznika ustawiał — mówiąc: “gotów jestem na sąd Boży”. Drugą na boczny lichtarz ustawił biskup z temi samemi słowy, trzecią senator, czwartą rycerz, piątą ziemianin, szóstą mieszczanin, siódmą kmiść.

Świeca środkowa najwyższa wyobraża Najświętszą Pannę, jako matkę Chrystusową, do którego narodzin adwent jest przygotowaniem wiernych. Jak jutrzienka poprzedza światło dzienne, tak Marja poprzedza słońce sprawiedliwości, to jest Chrystusa Pana.

Tak upodobanemu i tak uroczyście obchodzonemu w Polsce nabożeństwu Ludwik Kondratowicz (Syrokomla) poświęcił wiersz pod tytułem: “Staropolskie Roraty”
Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą Roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty,
I stany państwa szły do ołtarza,
I każdy jedną świecę rozżarza.
Król — który berłem potężnem włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,

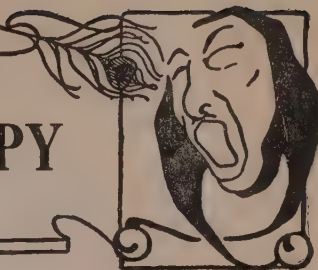
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcie — co królów Polsce nadawa,
Żołnierz — co broni swoich współbraci,
Kupiec — co handlem ziomeków bogaci,
Chłopek — co z pola ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozołi,
Każdy na świeczkę grosz swój położy
I każdy gotów iść na sąd Boży.
Tak siedem stanów z ziemiцы całej,
Siedmiu płomieniami jasno gorzały,
Siedem modlitew treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny.



Wacław Sieroszewski.



ŻARTY I DOWCIPY



ZROZUMIAŁ.

- Jakże się zowiesz, mały?
- Franio!
- A twój ojciec?
- Umarł.
- A czym był, nim umarł?
- Żywym.

NAWET WE ŚNIE.

- Wiesz, ten łągarz Antek opowiadał mi, że widział we śnie anioła, który zwiastował mu, iż po śmierci pójdzie prosto do nieba.
- A to łągarz! Nawet we śnie widzi kłamstwa!

ODPALONE.

- Profesor Piechnig, zatopiony w myśli, że małpy mogą mówić, zwiedza ogród zoologiczny. Gdy był w pobliżu klatki małp, przybiega do niego prędko pewien młody żartowniś, chcący zadzwic sobie z niego i mówi: — Panie profesorze, właśnie jedna małpa mówi teraz, a wie pan profesor z kim?
- O tak, — odpowiada profesor sucho — ze mną!

BOJĄ SIĘ KRZYŻYKÓW.

- Dlaczego to każdy żyd umie pisać?
- Bo się boi, żeby nie potrzebował w sądzie podpisywać się... trzema krzyżykami!

NIE ODCZEPI SIĘ.

- Co się pan do mnie przyczepił z tem ubezpieczeniem na życie? Mówiłem już, że nie! Jeśli pan się nie odczepi, zawiolał policjanta...
- A pan myśli, że on się ubezpieczy?

DYSTYNGOWANA.

- Lekarz: — Pani potrzebuje zmiany powietrza.
- Pani: — Mój konsyljarzu, — gdzie teraz najmodniejsze?

TAKŻE KATASTROFA.

- Czyś pan już kiedy przechodził katastrofę kolejową?
- Nie, tylko raz w tunelu, zamiast żony pocałowałem męża.

ZBYTECZNE.

- Pańskie starania o moją rękę dziwią mnie! Nie jestem przecież przystojną!
- O pani!... przy takim posagu chciałaby pani być jeszcze i przystojną? Tego byłoby już zawiele!

BIEDNY PAPUŚ.

- Ach! to okropne! Pewna kobieta zjadła serce swego ojca.
- I moje córki nie lepsze.
- Jakto?
- Zjadły to, co nosiłem na sercu—pugilares.

UNIEWINNIE NIE.



- Ależ Wojtek, toć żeś ty prawie całą szafę wypróżnił przez te pół godziny, com cię tu zamknęła?
- Inaczej przecież nie szło! musiałem sobie powietrza przysporzyć — byłbym się tu przecież udusił!

PRAWDOPODOB NIE.

- Pan profesor Gralski (bardzo roztargniony, spotykając znajomego): — Ach, jakże się cieszę, że pana znowu widzę! Co porabia pańska żona?
- Pan Kwiatek (śmiejąc się): — Dziękuję, ale pan profesor zdaje się zapomniał, że ja wcale nie jestem żonaty!
- Pan profesor Gralski: — Tak? To pewnie i pańska żona jeszcze nie zameżna?

— Jakie są obowiązki żołnierza podczas bitwy?
 — Rzucać na wroga gazy trujące, strzykać kwasem siarczanym, puszczać żywy ogień, sypać proszek bakterjologiczny z bakcyllami i od czasu do czasu strzelać z karabinu.

ON SIĘ JĄKA TROCHĘ.

Kupiec Alfonsik: — Ty, bądź tak dobry, Kulbas, ten kramarz z Koziej Wólki, ma u mnie zamówienie na trzysta koron. Ty znasz go dobrze, jak tam u niego, czy można mu skredytować na trzysta koron?

Kupiec Papara: — Kulbas? Tak, to jest specjalna historia. On był przedtem zupełnie pewny i punktualnie płacił, ale od pewnego czasu jąka się trochę ze swym płaceniem.

DOBRCZE ODPALONE.

Pewien żartowniś zapytał raz pewnego wielkiego rachmistrza, ile jest 2×6 . — Jeżeli się pan sam postawisz na końcu, to będzie 120, — odpowiedział tenże obojętnie.

NA LEKCJI GEOMETRII.

Profesor polecił uczennicy zbudować jakąś figurę geometryczną. Uczennica z mozołem kreśli na tablicy.

Profesor: — Muszę pani powiedzieć, iż budowa jej wcale mi się nie podoba.

Uczennica. — O! panie profesorze! Tego mi jeszcze żaden mężczyzna nie powiedział.



Pewien Mazur z Ciemiężny leży chory. — Spocić się, żeby on mógł tylko się spocić! — myśli doktor. Ale nie pomaga tu ani herbatka, ni żadne lekarstwo, ani okłady. Mazur nie może dostać potów. Wtem żonie jego wpadła doskonała myśl do głowy: Gdy właśnie egzekutor podatkowy przychodzi z poleceniem zapłaty z urzędu podatkowego do ich wsi, bierze Mazurka nakaz zapłaty, leci z nim do pokoju chorego i trzyma pismo przed oczyma męża. W tej chwili począł się Mazur pocić, jakby był w łaźni parowej. Nakaz płatniczy uratował mu życie.



NAJWYŻSZA CHEŁPLIWOŚĆ.

Radca magistratu Piwocki jest tak chełpliwy, że gdy idzie na przedstawienie komedji bierze ze sobą dwóch służących do teatru, aby przy śmianiu się jego trzymali go za brzuch.

BIAŁY TYGRYS PÓŁNOCY.



MAŁO jest ludzi, jeżeli w ogóle istnieją, którzy by więcej podróżowali i polowali po dalekich obszarach powierzchni świata, którzy prowadziliby obszerniejsze dochodzenia, niż Donald McMillan. Brał on udział w wyprawie admirała Peary i przy zatknięciu flagi amerykańskiej u bieguna północnego, a później został sam, kierownikiem wyprawy do Ziemi Crockera. I znowu przebijając się przez kraje podbiegunowe, kierował wyprawą badającą rozległą, śniegiem i taflami lodu pokrytą wyspę krainy Baffin. Z tej ostatniej ryzykownej wycieczki powrócił w roku 1922-im. Poniżej zamieszczone opowiadanie zajmuje się kilku wybitnymi przygodami jego z podbiegunowym wielkim zwierzem.

Gdy się cofnę myślą wstecz do lat spędzonych u Eskimosów, i przypominam sobie przygody moje na Dalekiej Północy, w umyśle moim pojawiają się ze szczególną dokładnością dni słoneczne kwietnia i maja, spędzone daleko poza śniegiem pokrytymi wyżynami wyspy Ellsmere, w kraju wysuniętym daleko poza ludzkie siedziby i ożywionym jedynie przez woły piźmowe i białe niedźwiedzie.

Dla kogoś, kto znalazł się pośród tej martwej ciszy Dalekiej Północy i spogląda na milczące, śniegiem pokryte pagórki, wierzchołki sterczące jak straż, piętrzące się skały i głębokie zatoki, wszystko to wydaje się nie rzeczywistym — zapewne nie częścią tego świata, lecz jak by widziano zbliżoną jakąś dawno zamarłą planetą. A już szczególnie podczas nocy księżycowej, gdy stoi się nad brzegiem morza podbiegunowego, złudzenie to jest zupełnem. Jak daleko — jak nie zmierznie daleko pod każdym względem jest się od ożywionych, pracowitych, gwarnych ulic New Yorku lub Bostonu!

Dziewięć naszych sani zawinęło od wschodu do zatoki Eureka, z dziwnym lecz zrozumiałym uczuciem, że jesteśmy pierwszymi istotami ludzkimi zamającymi znowu pokój tych okolic po czternastu latach. Pozornie nie zdawało się tam być ani jednej istoty żyjącej. Wprawne oko nasze przebiegało pola z chęcią pochwyceń różnic pomiędzy lekko żółtawą maścią "białego" niedźwiedzia a czystą białością pozwiewanych śniegów podzwrotnikowych. Polowaliśmy bowiem na "tygrysa północy".

Uśmiecha się na widok słabego człowieka.

Gdy jasność lata już poszła, a ciemność zimowa się skrada na całą krainę, ukrywając wszelkie ślady zwierza i szczupłe legowiska foki, Nan-Nook (niedźwiedź biały) stropić się nie da, tylko niechybnie idzie od otworu do otworu. Gdy silne wiatry i burzliwe morze wpędzą Eskimosa na kajak i zmuszą do szukania schronienia w krainach wyżej położonych, Nan-nook z łatwością przebywa lodowate nurty wody, lub pozwoli się unosić ku południowi, siedząc zadowolony na górze lodowej.

Czy więc ma biały człowiek dziwić się czemu, gdy w małym woreczku ze skóry foki, założonym około szyi dziecka Eskimosa, można znaleźć odrobinę futra niedźwiedzia podbiegunowego, albo pazur jego nogi? Czy może-bnem, mówią oni, znaleźć lepszego albo silniejszego opiekuna życia chłopięcia? Zapewne nic złego go spotkać nie może pod strażą takiego opiekuna!

W kilka minut po zjawieniu się naszym nad zatoką Eureka okrzyk: "Ta-koo! Nannook suah!" wydany przez Arklio, postawił uszy dogóry wszystkich naszych 90-ciu psów odrazu. Oczy nasze ślizgały się po lodach fjordu i w minucie zrozumieliśmy wszyscy. Wyciągnięty jak długi, leżąc na piersiach, z czar-

na mordą ukrytą w sierści łap przednich, leżał niedźwiedź podbiegunowy. Umysł jego był tak przykuty do upolowania foki w jej dziurze do oddechania w lodzie, że nie spostrzegł nas zbliżających się, dopóki nie znaleźliśmy się o jakie sto kroków od niego..

Psy były teraz w pełnym biegu, sanie się zataczały, biecze trzaskały, Eskimosi darli się jak szaleni; bo mają oni to ciekawe przeświadczenie, że im głośniejsze wrzeszczy, tem powolniejszym jest niedźwiedź do dzwignięcia się — może skamieniały z przerażenia niezmiernym wrzaskiem.

Wreszcie niedźwiedź zerwał się na nogi, wyraźnie zmistyfikowany niezwykłym widokiem 90-ciu psów w podskokach. Dotąd ani ludzi ani psów jeszcze nie widział. Wszystko, co żyło, unikało go, ale teraz coś widział — coś będzie. Obrócił się i wielkimi skokami zaczął biec w stronę środka zatoki. Moich dziecięć doskonałych szarych psów szybko wyprzedzały saneczki po saneczkach i teraz żwawo wysuwały się ku frontowi. Sięgnąłem po moją kamerę "Graflex" uwieszoną na wystawkach moich saneczek i przełożyłem nogę poprzez ładunek sani w taki sposób, ażeby siedząc na okrak, mógł trzymać się kolanami. Ukryłem twarz w kapturze, aby zfokusować niedźwiedzia, o jakie 20 łokci na przedzie teraz. Naraz miałem niewyraźną postać na dolnem szkle, i coś uderzyło w przód moich saneczek. Uchwyciłem go!

Gdy niedźwiedź nagle przystanął, moje psy rzuciły się na lewo i na prawo, pozwalając mi bez przeszkód dostać się na sanki. Zdjęcia fotograficzne zbliża są bardzo pożądane, lecz to tutaj pożądaniem nie było, dokąd nie znalazłem się o jakie 50 stóp na prawo. Potem spojrziałem po za siebie.

Gdy się odwróciłem, niedźwiedź stał na moich saniach, obrzucając bardzo rozdrażnione psy wzrokiem krytycznym. W minucie jeszcze 80 psów spuszczonej z postronków rzuciło się do ataku. Niedźwiedź, opuszczając swą zabezpieczoną pozycję po za moimi sankami, skoczył w sam środek gromady psów. O zdjęciu mojem zapomniałem. Wiedząc, że moje psy pozostały przyprzęgnięte przy saniach, obawiałem się o ich życie.

Chaos psów, niedźwiedzia i człowieka.

Wszystko w jednej chwili znalazło się w chaotycznym zamieszaniu. Podczas zamieszania sanie moje zostały wywrócone. Niedźwiedź znalazł się u spodu podskakujących

i ujadających psów, a cała ta masa zdawała się być powiązana mocno owemi dziesięcioma szesnastostopowymi postronkami u szyji owych ośmdziesięciu psów. Ujadania psów z bólu i wrzaski rozdrażnienia ośmiu Eskimosów dodawały walce tej konfuzji. Nu-Kaping-wa wywijał żelaznym zabijaczem, który jednak powstrzymywał się rzucić z obawy przed ubiciem którego z psów. Ak-ko-mo-ding-wa tańczył w około zajadle z odwiedzionym kurkiem swego 35-kalibrowego Winchestera, podczas gdy reszta z nas uchylała się i starała się uniknąć jego lufy. Wreszcie zdolałem wyrwać mu strzelbę z ręki, a wpakowałem lufę pomiędzy psy, przepędziłem kulkę przez cielsko niedźwiedzia w lód.

Przez następne kilka dni ta okolica zatoki Eureka dostarczała nam siedem niedźwiedzi. Jeden pomiędzy nimi — wspaniały okaz rodzaju męskiego — z łatwością bronił się przed naszymi 90-ciu psami, roztrzacając je na prawo i lewo swymi silnymi łapami jak piłki gumowe. Dwa psy zostały przywiezione do obozu na naszych saniach broczące krwią z ran im zadanych przez niedźwiedzia. Jeden z nich zdechł w przeciągu godziny, płuca jego były przebite wielkim zębem niedźwiedzia.

Tak wielki zapas świeżego mięsa pozwalał mi wierzyć, że zdolamy dociec do oznaczonego punktu daleko na zachód, lecz żywność wyczerpała się właśnie wtenczas, kiedyśmy jej najwięcej potrzebowali. Nie upolowaliśmy nic przez cały tydzień, póki nie przybyliśmy na wyspę Króla Chrystjana. Spodziewałem się, że ten nowy kraj, do którego mieliśmy dotrzeć najpierw, może będzie zaopatrzony dobrze w zwierzyne. Znaleźliśmy stare ślady renów i białego lisa, lecz ani śladu niedźwiedzia lub wołu piżmowego.

Polowanie pomiędzy pagórkami mogło być dać jakieś rezultaty, gdyby była pozwoliła pogoda. Lecz dwudniowa gołota wykluczała jakąkolwiek myśl tego rodzaju. Gdy ta szaruga przeszła i wydobyliśmy się z naszego śniegowego domu, postanowiłem przechować szczupłe zapasy pożywienia, jakie jeszcze mieliśmy, dokąd nie przybędziemy dalej na wschód do krainy wołu piżmowego.

Już cały dzień podróżowaliśmy bez widoku lub słyhu jakiegokolwiek żyjącego stworzenia, gdy naraz, z poza wielkiej góry lodowej, wyłonił się niedźwiedź, nie więcej jak 30 jardów oddalony. Instynktownie chwyciłem za moją kamerę, zaś mój Eskimos pochwycił strzelbę. Obydwa zaprzęgi w tej chwili skie-



"Gdy się odwróciłem, niedźwiedź stał na moich saniach, obrzucając bardzo rozdrażnione psy wzrokiem krytycznym."

rowały się w stronę niedźwiedzia i biegly teraz całym pędem. Gdy niedźwiedź przystanął i podniósł się na zadnie nogi, chłopiec z tamtych sanek dał ognia do niego. Zwierz runął kompletnie na lód, lecz w minucie znowu był na nogach i puścił się pędem w stronę głębokiego rowu śniegowego, który zawsze powstaje u stóp góry śniegowej przez zawiewy śnieżne.

Nu-ka-ping-wa szybkim cięciem noża poprzez postronki psów u sani zwoznił je teraz. Jak strzały przeleciały one koło moich sani i jednym susem przepadły po za zaspą śniegową. I ja powinienem był zrobić to samo, jednak chęć zrobienia zdjęcia tej walki kazała mi wytrzymać do ostatka. Sanie moje zawały się na chwilę u brzegu owego rowu, a potem runęły na wależącą masę drącego pazurami niedźwiedzia i rojących się psów.

Szybkie zdjęcie fotograficzne było wszystkim co zdołałem wykonać zanim zwałem się w prawo i zdołałem uchwycić ostrego brzegu ławy śnieżnej. Brzeg ten ułamał się pod moją ręką i runął hen w dół w piekielną masę kłaków, szczekania psów, ostrych pazurów i olbrzymiej czerwonej paszczeki — która w owej chwili wydawała mi się posiadać co najmniej cztery do pięciu rzędów białych zębów.

Gdy padłem na dno, machnięcie ogromnej łapy przypłaszczyło jednego z moich psów do śniegu, łamiąc mu obydwa biodra i krzyże. To jedno tylko widziałem oprócz drogi wyjścia dla siebie; tego ani na chwilę z oka nie straciłem. Głowa moja wynurzyła się ponad ławą śnieżną w sam czas, aby uszy moje mogły posłyszeć doskonale strzał Eskimosa z jego automatycznego rewolweru, gdy nadbiegł zobaczyć, co się ze mną stało.

I tak wreszcie mieliśmy tak bardzo potrzebne nam mięso świeże. Moją uciechę z tego znacznie tłumił widok biednego psa, który czołgał się do mnie na piersiach, skomląc żałośnie. Pogłaskałem go po głowie i poszedłem precz. Kula 22-kalibrowa skończyła jego cierpienie. Eskimos zrobił mi tę grzeczność — ja sam nie mogłem.

Goście nocni.

Po nakarmieniu naszych psów i zładowaniu reszty pozostałego mięsiwa na sanie, puściliśmy się ku jednemu z naszych dawnych obozów. Gdyśmy powiązali psy na noc, były one dobrze najedzone. Przenośny piec "Primus" był rozpalony, drzwi zamknięto i pa-

nowało ogólne zadowolenie. Zaledwie poobtykaliśmy się w naszych workach do spania, gdy ostre szczeknięcie jednego z psów pobudziło naszą baczność. Przebiegły szepty pospieszne: "Nan-nook-suah" (wielki niedźwiedź). Eskimos E-took-a shoo, wyskoczywszy ze swego worka, przywarł okiem do otworu nad drzwiami. "I-shoo-woo!" "A jakże!" powiedział on szeptem. W oka mgnieniu pozostałem sam jeden. Eskimosi moi zniknęli, pozostawiwszy po za sobą swe odzienie, jedynie nałożywszy w pośpiechu swe "kamiks" (buty). Obraz przedstawiający się moim oczom, kiedy wynurzyłem się z domu śnieżnego, na długo żyć będzie w mojej pamięci: trzy nagie, muszkularne postacie stały na zaspie lodowej z fuzjami przy ramionach, wszyscy biorąc na cel dobrze. Pospiechałem ku nim.

Krótkie szczeknięcie rewolweru automatycznego Arkoliosa, krótki huk gwintówki 901 Nu-ka-ping-wy, także 35-cio kalibrowca E-took-shooa. Niedźwiedź stał się olbrzymim pekiem białych kłaków, chwytających wokół łap i zębów trzaskających w usiłowaniach wygryzania dziur w swej zadniej części. Na dół — do góry — to znowu na dół. Potem z podrygiem, poślizgnięciem się i susem rzucił się ku zatoce. E-took-a-shoo pobiegł po swoje ubranie, a Azkolios po swoje psy, podczas gdy Nu-ka-ping-wa, przykucnąwszy na swoim zadzie, wrzeszczał.

Jeszcze jeden niedźwiedź.

E-took-a-shoo, teraz już odziany, pędził ku południowi po lodzie morskim za śladem niedźwiedzia, lecz wkrótce wyprzedził go Nu-ka-ping-wa, który ubrawszy się również przyprzągł moje psy do sani. O 3-ej byli z powrotem z saniami czerwieniejącymi się mięsem.

I czy uwierzylibyście? Zaledwo zdołaliśmy wemknąć się znowu w nasze ciepłe worki do spania, gdy drugi niedźwiedź naszedł nasz obóz i przyszedł prawie tuż pod drzwi. Bez wątplenia byłby nas odwiedził, gdyby nie szczekanie psów. Bogowie północy odstawiali nasze obstalunki z ostatnich dwóch tygodni tuż przed nasze drzwi frontowe. Drożyna świeżego mięsa kompletnie wzięła w łeb. Mieliśmy go teraz tyle, że wprost nie możliwym było je zabierać; dlatego postanowiłem pozostać na miejscu przez cały jeden dzień, by dać psom wypoczynek i wypaść je do ostateczności.

Żyjąc z płodów krain północy, życie wydaje się często "wielką uroczystością" — albo wielkim "głodem". Mieliliśmy tutaj mięsa całe zasy, a już sześć dni później tak żywo zajmowałem się zapasem naszej żywności, że uważałem dla bezpieczeństwa za potrzebne podzielić gromadkę naszą na dwie części, wysyłając Arkoliosa i E-took-a-shoo ku północy do krainy Axel Heiberg, podczas gdy ja sam z Nu-ka-ping-wą puściliśmy się dalej ku południowi, czyniąc przegląd Północnego Kornwalu. Fortuna uszczęśliwiła nas dwoma niedźwiedziami w ostatnich kilku dniach, podczas gdy ludzie wysłani na północ zdobyli jednego.

Polowanie w białym spodnie.

Tej nocy, kiedy dwaj nasi towarzysze nas opuścili, Nu-ka-ping-wa oparł swą strzelbę w taki sposób o drzwi wchodowe do naszego domku śniegowego, żeby była na pogotowiu na przyjęcie gości. O pół do piątej rano, on, względnie ona nadeszła, zbliżenie się jej ogłosiło nam naprzód szczekanie naszych psów. Nu-ka-ping-wa wyskoczył ze swego worka i wymknął się drzwiami, nie mając na sobie nic więcej jak skarpetki i parę spodni. Gdy przechodził wejście, całe sklepienie śniegowe, tworzące korytarzyk przy drzwiach, runęło na jego nagie plecy. Przy temperaturze 20 poniżej zera zajęcie to raczej przyspieszało jego biegu po strzelbę zamiast go powstrzymać. Sprawilo to mnie jednak nielada uciechę, chociaż przystąpiło wyglądem na dalszą scenę akcji jego. Nu-ka-ping-wa człapał się w śniegu i wypalił ze swego automatu trzy razy, dając mi wrażenie, że wszystkie trzy jego strzały chybiły i że utraciliśmy sposobność pozyskania nowego zapasu świeżego mięsa. Lecz wkrótce doznałem ulgi, posłyszawszy jego chichotanie i jedno słowo "tokowok" (nieżyje).

"Poco strzelałeś tyle razy?" pytałem go.

"Obaj byliśmy nieubrani," odpowiedział. "a przytem wieje śnieg i tworzą się zasy, bałem się że ucieknę, więc wolałem być pewnym."

Niedźwiedź na nartach.

Gdy w trzy dni później wracaliśmy z powrotem i znajdowaliśmy się tylko o kilka mil od tego samego miejsca, nasze psy zaczęły węszyć i zwróciły się w stronę morza. Zawróciliśmy je z powrotem na tory, myśląc, że mur-

szą się mylić, bo był ładny i klarowny dzień, i jakkolwiek świdrowaliśmy oczami prze-



Donald Mc Millan,
podróżnik podbiegunowy.

strzeń, nie było nic a nie widać podejrzanego. Kilkakrotnie psy podnosiły głowy, węsząc po-

wietrze i rzucając się w prawo, dokąd nie pozwoliliśmy im zniecierpliwieni ich uporem pójść dowolną drogą, a już zgóry cieszyliśmy się jak będą wywiedzione w pole.

Ku najzupełniejszemu zdziwieniu naszemu największy niedźwiedź, jakiego widzieliśmy kiedykolwiek, powolnie wyszedł z poza bryły lodu, gdzie sobie widocznie spał. Niedźwiedź ten był tak olbrzymi, że pierwsza myśl nasza zakreśliła się około bezpieczeństwa naszych psów. Eskimos z wielką wprawą przewrócił saneczki górną stroną ku ziemi, tak że długie zagięte ku przodowi wystawki zaryły się w śniegu twardym, jak kotwica okrętu w błocie, przez co bezpiecznie przymocował swój zaprzęg. W minucie przyłączył się do mnie, trzaskając z długiego bicia ze surowej skóry po nad głowami i uszami moich psów, z pożądanym skutkiem. Skomląc, poszczekując i drżąc z żądz, psy ryły się w śnieg, by uniknąć strasznego batoga.

Spuściłem dwa z moich najlepszych psów i pozwoliłem im pobiedz za niedźwiedziem, by go nawróciły podczas gdy ja sam uwijałem się z moją kamerą. I teraz zauważyłem coś, czego bodaj nikt poprzednio nie zanotował, a co tłumaczy szczególniejsze ruchy niedźwiedzia północnego. Chociaż posuwał się szybko, nogi jego ani na chwilę nie uniosły się z lodu — najwyraźniej używał on metody jazdy na nartach, i to z wprawą zawodowego narciarza. Bezwątpienia w przydatnych okolicznościach, gdy powierzchnia lodu jest równa, gładka i twarda, niedźwiedź północny z tego korzysta, by pomykać z szybkością i łatwo. Podeszwy jego wielkich nóg są zadziwiająco przydatne do ślizgania się na nich.

Porusza łapy z błyskawiczną szybkością.

Z wysuniętą naprzód górną wargą i wydychając raz po raz gwałtownie powietrze, posuwał on się dalej, małego zwracając uwagi na moją kamerę i na mnie, będącego zaledwo o kilka jardów od niego oddalonym. Oczy jego były zwrócone na psy, które szarpały go za pięty i zręcznie odskakiwały z zakresu jego z błyskawiczną szybkością poruszających się łap.

Skoro tylko zdobyłem moje fotografie, dałem znak Nu-ka-ping-wie, aby przyniósł mi mój .33-kalibrowiec i to też już było końcem Nan-nuka.

W trzy dni później dogoniliśmy Arkoliosa i E-took-a-shooa na południowych wybrzeżach krainy Axel Heiberg i puściliśmy się dalej do Etah w Grenlandji, mając sanie naładowane

dobrze skórąmi niedźwiedzi i wołów piżmowych, przeznaczonemi dla Amerykańskiego Muzeum w New Yorku, oraz na ciepłą odzież dla nas samych i dla Eskimosów.

Gdy przebywaliśmy zatokę Smitha, zadziwiła nas obecność 40-funtowego sześcenięcia niedźwiedziego, które kończyło karmić się resztkami foki. Matka widocznie zginęła od kuli przejeżdżającego myśliwego, pozostawiając małeństwo na niepewne bytowanie. Stojąc mocno na swych czterech puciołowatych nóżkach, błyskał groźnie z pod swej górnej wargi wielkim białym zębem i zdawał się wyzywać cały świat do walki z nim i z tymi stalowymi haczykami, ukrywającemi się pod długim włosiem jego łap. Ostrożnie zabiegami obrzuciliśmy go postronkami tak, że dostał się na moje sanie, gdzie został mocno przywiązany na transport do domu. Był jednak tak posłuszny, gdy go zwolniliśmy wieczorem do pożywienia, że został uwiązany na postronku i tak pozostał przez cały czas reszty podróży, postępując tuż za moimi saniami, albo też i za mną, przez jakie 30-ci mil drogi.

Po przybyciu do głównej kwatery, wprowadziłem malca do domu i przywiązałem go do ławy stolarskiej. Zaledwo opatrzyłem moje psy, gdy wypadł z drzwi frontowych kucharz, wrzeszcząc: "Chodź pan, chodź pan prędko, on rozdziera dom w kawały!"

Mały "Bowdoin" robi piekło.

I w istocie darł on dom w kawały. Jako wyznawca życia na świeżem powietrzu postanowił je mieć za wszelką cenę. Piec był wywrócony do góry nogami, rura rozwalona, ława kompletnie oprzątnięta ze wszelkich narzędzi, a podłoga pokryta szczałkami najrozmaitszego rodzaju. W samym środku tego wszystkiego kręciła się mała trąba powietrzna, którą rozpoznałem, jako mojego Bowdoina (bo taką nadałem mu nazwę). Komicznie był pokryty sadzami z pieca unoszącemi się nad wszystkim. Całe jego wysiłki zwracały się ku pozyskaniu wyjścia do jasności napływającej przez tylne okno. Jasność ta była jedyną rzeczą, którą rozpoznawał on w tem całym ołhecm mu otoczeniu.

Skomląc z wściekłości, a powstrzymany postronkiem około swej szyji, widocznie uważał mnie za powód wszystkiego tego złego, odwrócił się od jasnego okna i wpadł na mnie jak mały tygrys. Gdy wpakowałem mu w paszczę moją rękawicę z niedźwiedziej skóry,

gdy zrozumiał, że nie złego mu się nie stało, opuścił głowę i płakał rozszoszczony, wydając tony jak dziecko chore na krup.

To była moja pierwsza i ostatnia próba oswojenia tego małego dzikusa. Przez następnych kilka tygodni Bowdoin zamieszkał na zaspie śniegowej na pochyłości pagórka, na którym stał dom. Tam zabawiał się od rana do wieczora, wdrapując się powolnie na wierzchołek zasy i potem spuszczać się z powrotem po pochyłości na brzuchu, wszystkie cztery nogi od siebie. Był widocznie niezmiernie szczęśliwy. Miał dostatek pożywienia, gdyż mieliśmy wielki zapas delikatnego mięsa foki i moc tranu.

Ja go ogromnie polubiłem; codziennie biegał ze mną po wycieczkach moich po pagórkach i po przez długą białą zatokę w poszukiwaniu jaj wielkiej mewy zwanej "burgomaster", nurków i białego sokoła podbiegunowego. To były dla niego kropelki śmietanki. A raz po raz chodziliśmy także nad brzeg lodów, aby sobie popływał. Dzień zapisany czerwonymi literami! Jakże on używał sobie w lodowatej wodzie, a jak niechętnie ją opuszczał! Jasne mi było wtenczas, dlaczego Nan-nooka nazywają "niedźwiedziem wodnym."

Na ładzie i na lodzie niedźwiedź podbiegunowy jest niezgrabny i niekorzystnie się przedstawia, lecz w wodzie albo pod wodą jest najzupełniej w domu. Kiedyś, gdy biały niedźwiedź nawiedził nasz port i pływał od końca do końca pod wodą, mieszkańcy myśleli najpierw, że to był biały wieloryb — tak doskonale nurkował i pływał.

Zew pustyni.

Przeszły tygodnie. Nasz okręt pomocniczy nie nadszedł. Mały Bowdoin już teraz był taki mocny, że przyprzęgałem go do moich sani, i jazda na przejażdżkę — ale zawsze tam, gdzie się jemu, a nie mnie podobało. Jednego rana jak zwykle zaszedłem do niego. Ku mojemu zaskoczeniu wydołał się ze swej żelaznej okutej skrzyni i siedział na jej wierzchu, spoglądając uważnie ku południowi, wsłuchując się w odległą muzykę bałwanów morskich rozbijających się o brzegi lodów. W sercu jego budziła się tęsknota za rozległym życiem. Choć miał tutaj pod dostatkiem pożywienia, spokoju i odpoczynku, lecz tam hen było to wszystko, do czego się rodził: silne wiatry, bystre wody, pędzące bryzgi, zgniatające wszystko pola lodowe, piętrzące się góry — wszystko wrodzone części jego życia,

wszystko co zwalczać było drugą naturą jego. Bodaj lepiej byłoby nie żyć nigdy, jak nie znać rozkoszy zmierzenia swej siły z tymi żywiołami. Pogłaskałem ładną główkę jego i wsadziłem go z powrotem do skrzyni.

Jeszcze kilka spacerów razem — a potem, jednego rana, już skrzynia próżna. Straciłem towarzysza zabawy, lecz byłem uszczęśliwiony, i lubię przedstawiać go sobie tam w dali, prawie w obrębie koła podbiegunowego, jak sobie skacze z jednej lodowej góry na drugą, dumnie spoglądając z ich szczytów ponad rozłożyste pola lodów; jak walczy z bałwanami lodowatej wody, jak siedzi na pomykających odłamkach brył lodu, owiany siarczystymi mrozami podczas długich nocy zimowych — bo wiem, iż w udziale przypadło mu żyć całą pełnią życia — bez uszczerbku.

Zajmująca Bajeczka.

Pewien ojciec miał cztery córki:

1. Ładną, ale głupią.
2. Ładną i mądrą zarazem.
3. Brzydką i głupią zarazem.
4. Brzydką, ale rozumną.

I żadna nie miała posagu.

Przyszła pierwszy młodzian i rzekł: — Jestem bogaty, więc nie dbam o posag. Szukam czego innego. Daj mi więc twą córkę ładną i głupią.

Ojciec oddał mu pierwszą ze swych cór — i pobłogosławił; a młodzian się z nią ożenił.

I przyszedł drugi młodzian i rzekł:

— Stanowisko moje wymaga, bym posiadał żonę urodziwą i mądrą; aby mi urodą zjednywała przyjaciół, a rozumem pomagała w rachubach. Ważniejsze to dla mnie, niż posag.

— Weź drugą moją córkę — rzekł ojciec i pan czterech dziewcząt.

Pobłogosławił. Iżę uronił — i młodzi się pobrali.

Aż przyszedł trzeci młodzian, nie tego wyglądał, nisko się pokłonił, a spodnie miał podarte i surdut nie wedle ostatniej mody.

— Wiem czego żądasz — rzekł ojciec dwóch pozostałych dziewcząt — potrzeba ci gospodyni. Weź moją trzecią córkę. Brzydka jest, więc cię zdradzać nie będzie, głupia jest, więc będzie pokorna i cicha.

I rzekł ojciec do czwartej, jedynie pozostałej dziewczęcy:

— Ty, córko moja, mogłabyś być tylko żoną swego męża, a jak widzisz sama — nikt żony nie szuka. Ucz się więc i bądź szczęśliwa.

I brzydka, a rozumna dziewczęca bez posagu, poszła na uniwersytet...

Taka jest historia pierwszej emancypanki — a kto nie chce, niech sobie nie wierzy.

Pan Balsambaum i Cholera

Czyli

“Daj se spokój ze śliwkami”

Leje sze karbol mokro,
sypi szy na proszki,
Nawet kuźdy żyd stancye
pozamiatał troszki.
W kuźdy dziury magistrat
poślił kumisarze,
Coby szmieci sprzątnili,
gdzie ino sze pokaże!
A przez tegi od strachu
częsi si wy Lwowi,
Na wszystkie boki ludziom
zawrócało w głowi.
Bo wszystkie w ty opinie
zgadzali sze ze mnie,
Że mieć cholera, to jest
bardzy nieprzyjemnie!

Dobre jest wyno z Węgier,
kwargli łomunieckie,
Dobry jest “szlag samborski”
i... rabin z Otwocka,
No od wszystkie najlepsza,
to cholera brodzka!...
Kuźdyn sze jej boi,
i kuźdyn daje rady:
Ten każy nie piez kawy,
a tamtyn czukulady...
Z tymczasą wierzci państwo:
grunt jest mieć natury,
Coby nigdy nie chodzić
w biały garnitur...
Kto sze szmieje — niech słuha,
aby zrobiez szyku,
Kupiłym sy ubrani
i z białygo piku:
Kamzelki, marynarki, nu —
i tamte trzeci...

Jak zwyczajno sze chodzi
po gorącu w leci.

Na jedno popołudni,
dla lepszy ochłody,
Miałem z całe rodzyne
iszcz do żywny wody;
Zabrawszy zjeszeze co twarde
i to co sze leje,
Poszli my na pichoty
do dworeu koleje.

Jeszeze było na począg
z jakieh pół godziny,

Ja, Rebeka z dzieckamy,
i Łajbuś maleńki,

I teszczowy posadzył
z zawieszysty wdzięki.

A że u w restojracje
coszby zjeszcz wypada,

To Rebeka gęszyny
z koszyku wikłada,

Wycząga świeży kugel,
podaje go Małki,

I kuźdyn zaraz w ręki
trzyma dwie kawałki.

Na boku w drugim stole
byli dwa panowi...

Jeden drugiego czągli
cosz do ucho powi —

I oba jakby widzał
komedji w teatry,

Szmieje na cały gemby,
i furt na nas patrzy.

Nu — toby jeszeze wszystko
było bardzo piękni...

Ale zaraz sze jeden
jak wu! ryknie, stęknę,
Z obydwiey rękami
za brzuchu sze po!api,
I tylko sze jak długi
skręca! na kanapie!..
Leży jak nie! i z ręki,
ni z nogi nie rucha —
A gemby mu skrzywi!o
od ucha do ucha;
Drugi krzeczy: "Ucieka!ć!
jemu kolki biery...
Un nabucha!ł sze szliwki —
i teraz ma cholery!"

Co krzyki i strachu to państwo
powiedzeć nie czeba:
Jakby piorun wylecza!ł
ze samygo nieba!..
To nie żart! czeba zmyka!ć!
nima żadny względy,
Nu — jak zmyka!ć? Ja latam —
i nima które!dy!
Bo co tylko szedza!o
tutaj na wartsali,
Dzeczko, stary czy m!ody —
w dźwi sze wpakowali!...

Waj mic! ten pan sze kręci
czagle na kanapi —
Jak zostany, cholera
pewno mni za!api...
Widzym — na boku dźwiczky,
takie z wchodym ma!ym,
Co prędy z bezpechnoszczy
tam sze wpakowa!ym!
A zaraz drugi pan— zdrów —
skoczy!ł od stoliku,
Zaczasa!ł za mni dźwiczky
i zamknu!ł na haczyku.
Czemno mi sze zrobi!o,
pot wyla!ł mi na co!o;
Po!ożeni me by!o
ca!kim nie weso!o!..
Przekręca!ny we troje,
ode strachu szyny,

Mia!em sy taki kuczki
może z pu! godziny...
Z pocza!tku cosz s!ucha!em —
gada!i po czichu;
Potym g!eszn!o, a potym —
ryczali od szmichu...
Ja nie. — Aż g!os do mni
dochodzy z daleka...
A kto za mni szuka?
To moja Rebeka!
Jak durny baran, beczy
mój Łajbele mi!y...
"Ech bin du!" zawrza!ni!em
nu co mia!em szy!y!

Wycza!gli mnie pakiery —
jaki!s urzędniky...
Gwa!t, gwa!t, co sze stani!o
z moi bia!y piki?
Z czarne sadze od góry
na dół powalane...
Szmich: Poco pan la!ł w komin,
poco tar!ł o szczane!
"Nu, co jest?... pan cholernik
bardzo dobrze żyje,
I szedzy na stoliku,
i kawy se pije...
Un tylko naumy!slni
taki zrobi!ł kawa!ł,
Że jak sze najad!ł szliwky —
cholery udawa!ł!.."

Niech jemu kiszki boli
za taki kawa!y!..
Ja, jak jakie miszygen
pu! czarny i pu! bia!y
Musza!em w domu siedzycz
w zamknięty w komozy,
Coby mi policajy
nie wzię!y do kozy!
Ale już teraz ma!dry
nabra!em maniery:
Chodzym w czarny ubrany
i kpim se z cholery.

== WESELE. ==

Dzisiaj w chacie Stefana
ruch niezwykły od rana:
warzą smaczne potrawy,
różne sosy, zaprawy...

Zapach czuć aż na dworze,
A na półkach w komorze
czeka gości mięsiwo,
chleb i placków pieczywo.

Placki jeszcze dziś pieką
z mąki białej, jak mleko;
będą pulchne — bo świeże,
ciasto rośło, jak pierze.

Dla sieroty, dla Zosi,
Stefan chętnie ponosi
te niezwykłe rozchody
na weselne jej gody.

Zosia była maleńka,
gdy jej zmarła mateńka;
potem zimna mogiła
i tatusia jej skryła.

Lecz nad dolą sierocą,
jako we dnie, tak nocą
czuwa aniół litości, —
w sereach ludzkich on gości

i przemawia do ludzi
i niepróżno się trudzi:
kruszy twarde zapory
do sere naszych komory.

Stefanostwo więc tedy,
choć swej mieli dość biedy,
wzięli Zosię do siebie, —
a matusia jej w niebie

wyprosiła u Boga,
że Zosieńka jej droga
z biegiem czasu urosła,
jak topolka wyniosła.

Dziarska to-ci dziewczucha
i na męża też zucha
bierze sobie młodziana.
Będzie para dobrana.

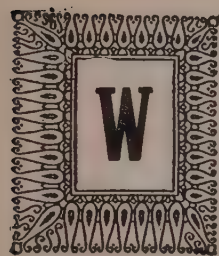
Młodzi poszli już w tany.
W takt poleczki zagranej
same chodzą im nogi.
Kto nie tańczy, precz z drogi!

Ten niech patrzy, niech słucha.
W lewo, w prawo, uh-u-ha!...
Któż wyrazi to w słowie,
co tam grali grajkowie!

A. K.

FREDERIC BOUTET

Morderstwo Amerykanina.



ŚRÓD wiadomości w kronice najpoczytniejszej z gazet Paryża znajdował się dnia 12-go grudnia następujący sensacyjny artykuł: "Tajemniczy Dramat, Który Rozegrał się na Placu Theatre Francais."

"Wczoraj, w sobotę o świcie przeził nielicznych przechodniów, mijających spieszenie ten plac, głośny i grozą przejmujący krzyk. Równocześnie z międzynarodowego hotelu, leżącego na rogu Avenue de l'Opera, spadło na bruk ciało ludzkie.

"Pospieszono natychmiast na miejsce wypadku, by podnieść ofiarę, która z rozwaloną głową i połamanymi członkami leżała, nie dając znaku życia. Śmierć musiała nastąpić natychmiast. Służba hotelowa rozpoznała w zabitym pewnego Amerykanina, Jozuego Wilsona, który mieszkał na piątym piętrze tego hotelu razem ze swoim krewnym, Tomaszem Wilsonem.

"Policja udała się natychmiast do mieszkania tego pana i znalazła go na pół ubranego, ogromnie rozdrażnionego, ze śladami zranień na głowie, które właśnie opatrywał, gdy wtargnięto do jego pokoju. Wzbraniał się

stanowczo udzielić jakichkolwiek objaśnień co do dramatu, który się tam dopiero co rozegrał, oświadczył jednak, że jest zupełnie niewinny jakiegokolwiek morderstwa. Mimo to został natychmiast aresztowany.

"Śledztwo wykazało, że obaj Amerykanie mieszkali od dwóch miesięcy w międzynarodowym hotelu. Pan Tomasz Wilson, władający biegle francuskim językiem, był człowiekiem około czterdziestoletnim, bardzo bogatym i z pozoru sądząc, bardzo lubiącym rozrywki dżentelmanem. Jego kuzyn, nieszczęśliwa ofiara tajemniczego wypadku, był o siedm lub ośm lat młodszy. Zdawał się pozostawać do niego w stosunku zupełnej zależności i zajmować przy nim stanowisko 'ubogiego krewnego.' Mówił tylko po angielsku, słuch miał mocno przytępiony, był usposobienia milczącego i zdawał się być mizantropem, unikającym towarzystwa obcych ludzi.

"Przeważną część czasu spędzał zwykle u siebie w pokoju, gdzie, zamknawszy się na klucz, palił, czytał albo melancholijnie wyglądał na ulicę.

"Jednej tylko osobie udało się, jak się pokazało, zbliżyć bardziej do niego. Była to młoda Angielka, imieniem Ethel Campbell, która zarządzała w hotelu bielizną i pościelą. Wobec tej

dziewczyny potrafił Jozue zapanować nad swą nieśmiałością i zdaje się rzeczą prawdopodobną, że zawiązał się między nimi mały romansik, bo gdy młoda Angielka dowiedziała się o strasznej śmierci Amerykanina, popadła w ciężkie omdlenie. Trzeba ją było zanieść do łóżka i wezwać lekarza.

“Komisarz Eglantine, wybitna siła policyjna tej dzielnicy, jaknajdokładniej zbadał mieszkanie obu Amerykanów. Zdawali się oni zajmować się wyłącznie kwestjami naukowemi, gdyż w jednej z szaf, starannie zamkniętej, znalazł komisarz wiele fizykalnych instrumentów i elektrycznych akumulatorów, a między innymi także jakiś szczególnie aparat, przypominający trochę przyrząd, jakich się używa przy telegrafii bez drutu. Znanemu i popularnemu sędziemu śledczemu, panu des Angles, poruczono zadanie rozjaśnienia tej zagadkowej sprawy.

“Tomasza Wilsona umieszczono w więzieniu śledczym po opatrzeniu ran, które ukazały się lekkimi i wcale nie niebezpiecznymi. Uprosił sławnego adwokata, pana Cabrolle, by podjął się jego obrony.

Dzienniki nazajutrz pisały:

“Zwłoki ofiary przewieziono do Morgi, — gdzie ma nastąpić autopsja.

“Wedle informacji, którą powtarzamy z zastrzeżeniem, kryje się podobno pod nazwiskiem Tomasza Wilsona, Amerykanina oskarżonego o morderstwo, jeden z najslawniejszych uczonych, który cieszy się z powodu sensacyjnych swoich odkryć naukowych wielką sławą zarówno w Ameryce, jak i w Europie. Narazie wstrzymujemy się jeszcze z opublikowaniem nazwiska tej wybitnej osobistości; wrzecz, gdyby ta sensacyjna pogłoska opierała się na prawdzie, rzecz cała nabrałaby niesłychanego rozgłosu.”

* * *

W ten sposób przedstawione morderstwo Amerykanina obudziło oczywiście największe zainteresowanie publiczności, tem więcej, że wiadomość ta, podana z wszystkimi zastrzeżeniami, okazała się prawdziwą. Już wieczorne wydania dzienników przyniosły nazwisko Tomasza Wilsona. Był nim sławny lekarz, doktor Jeffries z New Yorku. Opublikowano jego portret, biografię i chronologiczny wykaz jego odkryć. Co do osoby samej ofiary — nikt nie umiał dać jakichkolwiek wyjaśnień, tak samo jak i co do przyczyn dramatu.

Ponieważ następnego dnia była niedziela, tego dnia śledztwo nie posunęło się naprzód.

Młoda Miss Campbell miała się lepiej; nawet wstała już z łóżka i pełniła znowu swoje obowiązki, ale zdawała się być do głębi wstrząśnięta tem przejściem, a wszelkie pytania, odnoszące się do morderstwa, zbywała upartem ponurem milczeniem.

* * *

W poniedziałek rano udał się lekarz sądowy, dr. Gaspard, do Morgi, by dokonać oględzin zwłok, a o tej samej godzinie stanął przed sędzią śledczym podejrzany o morderstwo Amerykanin, który miał być przesłuchiwany w obecności swego adwokata, sławnego mistrza Cabrole.

Pan des Angles utkwiał przenikliwy wzrok w gładko ogolonej twarzy Amerykanina, która była cała obramowana białym bandażem. Ale w chwili, gdy sędzia, chcąc rozpocząć śledztwo, otworzył usta do pierwszego pytania, — przerwał mu oskarżony i powiedział:

“Panie sędzo, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za dłuższe jeszcze wodzenie francuskich organów sprawiedliwości po manowcach. W o-

becności pana Cabrole, który obiecał mi swoją nieocenioną pomoc, oświadczam zgodnie z prawdą, że jestem niewinny.”

“Najchętniej uwierzyłbym w to,” — odpowiedział sędzia z wyszukaną grzecznością, — “ale wszystkie pozory mówią przeciw panu, a wszelkie okoliczności, towarzyszące morderstwu, wskazują na to, że pan byłeś jego sprawcą.”

“Ale nie może tu przecież być mowy o żadnym morderstwie,” — zapewniał Amerykanin stanowczo.

“Wiem, wiem już, to było tylko samobójstwo. Przynajmniej pan tak pewnie twierdzi! Ale odniesione przez pana zranienia, fakt, że znajdował się pan ze zmarłym sam na sam w pokoju...”

“Ależ przecież żaden człowiek nie umarł,” — jeszcze raz przerwał sędziemu Amerykanin przekonującym tonem. — “Ciało, które znaleziono koło hotelu pod mojem oknem (przez które wyrzuciłem je własnoręcznie, jak to sam chętnie przyznaję), nie jest przecież wcale ciałem człowieka... Nie, nie, nie zamyślam tu wcale udawać obłąkanego, ja tylko poprostu stwierdzam fakt, który mi będzie bardzo łatwo udowodnić. To co wyrzuciłem przez okno, to był automat, maszyna, mająca pozór człowieczeństwa, androida, którego sam w ubiegłym roku skonstruowałem.”

Nastąpiła krótka pauza.

“No, żart na bok,” — mruknął w końcu sędzia. — “To jest przecież nonsens... to jest niemożliwe... Musiałoby się było w tej chwili zauważyć...”

“Panie sędzio,” — ciągnął dalej Amerykanin ze szczerym uśmiechem: “Proszę na mnie bardziej nie napierać. Nikt niczego zupełnie nie zauważył ku memu największemu zdumieniu, bo sam nawet nie myślałem, że

moje dzieło jest tak doskonałe... Czy czytał pan Villiersa ‘Ewa przyszłości’?”

Wtej chwili powstał mały hałas pod drzwiami i dr. Gaspard, o którym już była mowa, wpadł gwałtownie do pokoju.

“Ależ to wprost niesłychane!” — wołał.

“Czy pan wie, panie sędzio, co mi podsunęto do autopsji? Sztucznie sfabrykowany aparat! Rodzaj lalki, którą można było poruszać za pomocą elektryczności. Pomocnicy laboratoryjni byli tem wprost przerażeni. Zauważyli to dopiero wtedy, gdy ciało oziębło, ale nie śmieli mi o tem wspomnieć. Gdyż zdaje się, że jak długo ten aparat funkcjonował, ciało to miało temperaturę ludzkiego ciała. Ależ to arcydzieło!... Mówię wam, że to jest wprost cudowne! Ten sztuczny człowiek ma serce, mózg, płuca i krew w żyłach. Bezwątpienia musi być zaopatrzony nawet w elektryczne aparaty odbiorcze! Ależ to jest wprost fenomenalne!”

“Ależ, mój drogi kolego, jestem do głębi wzruszony pańskim podziwem” — zawołał Amerykanin.

“Doktór Jeffries!” — wykrzyknął Gaspard. — “Pan jesteś doktorem Jeffries! Mój drogi mistrzu, mój sławny kolego!”

Doktór Gaspard wpadł w kompletny entuzjazm.

“Mam nadzieję, że zechce mi pan wybaczyć kłopot, który mu sprawiłem,” — odezwał się uprzejmie Amerykanin do sędziego Des Angles. — “Ale nadarmo zapewniałem już poprzednio o mej niewinności, nie chciano mi wcale wierzyć. Lecz w gruncie rzeczy było mi to bardzo na rękę. Potrzebowałem zdarzenia budzącego powszechną sensację, by wprowadzić mój wynalazek w świat. W A-

meryce jestem zbyt znany i zaraz byliby ludzie czegoś się domyślali, podczas gdy tu rzecz się miała całkiem inaczej. Sensacyjna zbrodnia, aresztowanie, artykuły w dziennikach, a potem wśród tego zamieszania, jak bomba wybuchająca, — prawda... To jest, jak pan sam chyba przyzna, reklama tak wspaniała, że lepszą trudnoby było wymyśleć. Proszę sobie przypomnieć, że od przeszło dwudziestu lat pracowałem nad problematem stworzenia automatu, zupełnie podobnego do człowieka, że pięć maszyn skonstruowałem i zniszczyłem, zanim udało mi się stworzyć androide, którego nazwałem Jozua! Niezmierną trudność sprawiały mi akumulatory; my tak niewiele wiemy o elektryczności! Ale pozwolę sobie przy sposobności wyjaśnić panu to wszystko aż do najdrobniejszych i może zbyt zawitych szczegółów. Napisałem o tem memorandum, który podam do wiadomości świata naukowego... Równocześnie zaprodukuje i sam twór.”

“Wybaczy pan mą ciekawość, — zapytał pan des Angles. — “Jak się ma jednak rzecz ze skaleczeniami na pańskiej twarzy, skąd one się wzięły?”

“Moje skaleczenia?” — Amerykanin zawahał się chwilę. — “To tak”, objaśnił po chwili, — “te rany, to on mi zadał. Mówiłem już panu, że byłem zdecydowany obudzić wiarę w morderstwo, wywołać sensacyjny wypadek, któryby zaanonsował w świat mój wynalazek. Ale z wykonaniem czekałem jeszcze ciągle, wzdrygałem się poprostu. Zżymałem się na myśl, że miałbym zniszczyć ten twór, który był produktem olbrzymich studjów i wieloletniej pracy, — to, co oznaczało mój pierwszy, zupełny tryumf — a co poza tem jeszcze, tak wspaniale człowieczo wyglądało... gdy spoglądało na mnie swemi wielkimi, jasnymi o-

czyrna... — Wkońcu, w noc morderstwa” (uśmiechnął się), “w noc tej przygody wypilem naumyślnie whisky ponad zwykłą miarę, aby dodać sobie odwagi. Powróciłem do domu zwykłą nocą — byłem silnie zdenerwowany, lecz również silnie zdecydowany wykonać mój zamiysł. Tak całkiem dokładnie nie pomnę, co wówczas zaszło — whisky, panowie rozumieją, nieprawdaż. Zapewne zapomniałem wyłączyć prąd popędowy, który ożywił androide, zanim go zrzuciłem z okna — pewnem jest to, że się bronił — skoro ja noszę tego ślad.”

“On bronił się?” — zapytał zdumiony sędzia.

“Nie! Chcę tylko przez to powiedzieć, że ja niezgrabnie wzięłem się do rzeczy. (Coś, jakby cień, przemknął się po energicznej twarzy Amerykanki). Rzeczywiście wypilem za dużo whisky wówczas. Chodźcie panowie ze mną, pójdziemy do Morgi, tam sami się przekonacie, że jest to poprostu zwykła maszyna.”

“Ale ta mała Angielka, zajęta w hotelu?”

“To dziewczę? No tak, to był jeden z przeprowadzanych przezemnie eksperymentów. Chciałem się przekonać ponad wszelką wątpliwość, czy mój automat może wywierać głębsze wrażenie. Mogłem go oczywiście za pomocą prądu elektrycznego przez siebie kontrolowanego, wprawiać w ruch i udzielać mu wtedy rozkazów, które on posłusznie wykonywał. Pozostawiłem go więc dwa czy trzy razy sam na sam z dziewczyną, a ja chcąc nibyto pracować, zamykałem się w sąsiednim pokoju... Potem rzeczywiście zaledwie mogłem się powstrzymać od śmiechu, widząc, jak ta mała rzucała maszynie, z którą się — jak sądzę — zaręczyła, najczulsze spojrzenia... To

była rzeczywiście znakomita maszyna...” — dodał.

“Stawiam wniosek, by mego klienta wypuszczono natychmiast z więzienia” — powiedział pan Cabrole.

To krótkie zdanie, to było wszystko, co słynny adwokat wygłosił w tej dziwnej aferze, ale wystarczyło, by jeszcze bardziej umocnić jego i tak znaczny rozgłos.

* * *

Zadziwiająco szybko rosła sława doktora Jeffries. Z dnia na dzień stawał on się wraz ze swym androidą przedmiotem rozmów całego kulturalnego świata. Dzienniki prześcigały się w opisach interesujących szczegółów o tej człowieczej maszynie. Przypomniano automaty znane już z historii, mówiono o androidach Alberta Wielkiego, Meazelsa, Hoffmana i Villiersa de l'Isle. Zapatrywania uczonych były podzielone. Finansiści ofiarowywali uczonemu doktorowi olbrzymie sumy do dyspozycji, a spekulanci proponowali założenie przedsiębiorstw dla sporządzania sztucznych służących i żywych posągów. Doktor Jeffries został członkiem honorowym ogromnej liczby towarzystw naukowych, otrzymał moc orderów, a w tyśnięcach egzemplarzy rozszerzano kartki pocztowe z jego portretem, na wielu z nich umieszczono także portret nieszczęsnego Jozuego Wilsona.

Był on (Jozue) wskutek upadku ciężko uszkodzony. Prócz tego poturbował go srode w pierwszym swem zdumieniu i podnieceniu dr. Gaspard. Najpierw włóczono biedne, fałszywe zwłoki z jednej sali wykładowej do drugiej, potem wystawiano je na widok publiczny, a tłumy ludzi przeciągały przed tą cudowną maszyną i ze zdumieniem oglądały to nieszczęsne, a tak do ludzkiego podobne, okropnemi ranami pokryte, ciało, które było try-

umfem twórczego geniuszu ludzkiego.

Wśród tłumu ciekawych znalazła się i młoda, bladziutka blondyneczka. Znajdowała się, jak to później jednocześnie stwierdzili dozorca, w stanie najwyższego podniecenia i widocznego rozstroju nerwowego. Stała przez długą chwilę przed biednym, pokaleczonym automatem, nie odrywając od niego wzroku. Potem odwracała się z krótkim, histerycznym śmiechem i odchodziła.

Tymczasem doktor Jeffries zamienił swe dotychczasowe mieszkanie na wspaniałe apartamenty na pierwszym piętrze owego kosmopolitycznego hotelu. Zamierzał w najbliższych dniach opuścić Paryż, by objechać z odczytami wszystkie stolice Europy, przy czem zamierzał zademonstrować ciało Jozuego Wilsona. Równocześnie począł konstruować nowego Jozuego Wilsona. Wieczorem tego samego dnia, o którym co dopiero mówiliśmy, dr. Jeffries, powróciwszy około północy do domu, nagle usłyszał, że otwierają się drzwi do przedpokoju.

Wstał, żeby zobaczyć, kto tam wszedł, gdy naraz w półciemnym salonie dostrzegł zarys delikatnej sylwetki kobiecej w białym, dużym fartuchu. Odrazu przypomniał sobie ową małą angielską dziewczynę. Chciał przemówić, tłumaczyć, działać — ale już nie zdążył...

“Kłamco, kłamco, morderco!” — syknęła przez zaciśnięte zęby.

Podniosła rękę, rozległy się trzy strzały rewolwerowe, dr. Jeffries upadł na twarz, uderzając głową o podłogę. Z ust wytrysnął mu strumień krwi i twórca ten — skończył.

Chociaż nie skończysz, ciągle rób:
Ciebie, nie dzieło zamknij grób.
Choć tu dla czynów krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.

F. Brodziński.

DOWCIPNY MACIEK.

1



Wdrążając po Litwie Maciek, fajkę sobie dyma.
Przyrzecam puszcza kłębny dym jakoby z komina.
Droga jego obok skały przez zarośla wiedzie.
Wiem patrzy, a tu na skrajcu niedźwiedź sobie idzie

3



Zoczywszy więc starą lipę — do niej dolatuje
I z łecia kość zrzęcającą na nią się wkrabuje.
Niedźwiedź zaś bez namysłu na drzewo również wiazi.
I strażliwa cielsko swoje tuż pod Maciem sadzi

5



Mruczy więc niedźwiedź okrutnie i zawodzi płacz.
Pszczółki zaś mszczą się nad nim i szdłkami raczą.
Zwalwży się przeto na dół, zromię cielskiam ora.
Pazurami się drapie, wszak to bólu nie zmoże

2



Przełłki się strasznie nasz Maciek i dalej mój drogi.
Leś ci się starczy, aż mu spędyły buty z nogi.
Biegając tak w swoim zapale, przez zarośla krzawy.
Sporządził nagle, że i niedźwiedziako za nim bieży

4



Poczekaj ty drapieżniku, ty taki — a taki.
Rzeczcie Maciek i syple mu w nosisko tabaki.
Hapał, hapał, kicha Miśka, zlącząc ku dołowi.
A nie wie, że w drzewie znajduje się rój pszczołowy.

6



Maciek natomiast, śledząc jeszcze na swoim tropie.
Myśli sobie — masz zapalę, ty niecny gałganie.
Następnie cichutko z siedliska swego uchodzi, schłodzi.
Niedźwiedź wazakże wciął jeszcze nos swój, jak moś,...



Mitologia Słowiańska.



A BEZMIERNYM OBSZARZE od Łaby i Odry, aż do Dniepru i Wołgi siedział lud cichy i spokojny. Różną mową bogów chwalił, ale rozumiał przecież braci swoich, nawet daleko mieszkających, bo z jednego ro-

du byli wszyscy.

Byli gromadą ludów szeroko rozlaną, nąd którą jeden panował bóg, jeszcze podówczas pogański. Wyobrażano sobie tego boga w postaci człowieka o czterech głowach, patrzących na wsze strony. W pewnych okolicach nosił miano Jarowita, gdzie indziej nazywano go Świętowitem. I Radegast było jego imię, Piorun lub Prowe. Ale Bóg to był jeden, władca światłości, — wielka jasna, słoneczna gromowładna potęga, mocarz ponad chmury i noc ciemną, w której Bies mieszkał i złe Li-cho.

Świętowitowi w poświęcanych gajach świątynie stawiano, kontyny, jemu kapłani i lud cały znosił ofiary, to jest ofiary.

Na kontynach zewnątrz i wewnątrz gwarzyły rzeźby o jego potędze i wystające ze ścian wyobrażenia ludzi i zwierząt, w wielu barwach malowane. Ku ozdobie i czci Świętowita skarby znoszono do jego świątyń i broń nieprzyjacielską w bitwie zdobytą, dzbany złote i srebrne dla uczty i wróżby, rogi ogromne dzikich turów, złożone miecze i noże i różne sprzęty kosztowne.

Wielki, jasny, na cztery strony patrzący Świętowit był władcą ludzi i bogów mniejszych, podwładnych, po całym świecie mieszkających, tak na ziemi jak i pod ziemią, w wodzie, powietrzu i chmurze, równie jak i w starych drzew dziuple.

Tych bogów mniejszych, dobrych i złych duchów, było bezmała tyle, co ludzi na świecie.

Kmieć, w domu siedzący, wierzył, że tuż

koło niego duchy domowe mieszkają: Bożęta, Gospodarczyki albo Chowańce, albo Podziomki. — Były to dobre duchy, co krowom mleka dodają, kurom mnożą jaja, a gospodyni dobytek.

Ale zato na rozstajach dróg i uroczyskach strasznie bywało. Trzy siostry Nędzy bowiem tamtędy chadzały, kościasta Bieda krążyła jeżdząc, a kto na nią spojrział, temu doba była ciężka na świecie; czasem śmierć — Morowa Dziewica chustą wiała skrwawioną i ludzie marli podówczas, jak muchy.

I dalej po łąkach i polach różne boginki mieszkwały zwodnicze, z którymi lepiej nie spotykać się człowiekowi. Były to Jędze albo Wiły, Dziwożony, Południce. Koło ementarzysk zawsze duchy zmarłych krążyły, Dziady, którym ofiary składać należało.

Najwięcej istot nadludzkich mieszkąło po lasach, które olbrzymiami szmatami kraj cały pokrywały, jako ogromne, pełne dzikiego zwierza, puszcze. Ponad wszystkimi bogami leśnymi, najstarszy był Duch Leśny, czyli Leśnik, który różne psoty wyprawiał, a najbardziej nie lubił i mścił się, gdy chciwi ludzie drzewa wycinali w lesie i w ten sposób królestwo jego uszczuplali. Obok niego Rusałki mieszkąły w leśnych ustroniach, a na moczarach Wilkołaki. Rusałki rozpałały błędne ogniki, wodząc mdłym ich światłem podróżnych na manowce. Wilkołaki zaś piły najchętniej krew ludzką.

Nad wodami znowu panował Wodnik, czyli Król Morski. Dwór jego w głębinach jezior położony, Topielce otaczali i Topielice. Niebezpieczne to były duchy, albowiem czyhały na kąpiących się i nieostrożnych wciągały zdradziecko w bezdenne tonie.

Pośrednikiem między wodą a chmurami był Smok-Tęcza. On to jednym ramieniem swoim siedmiobarwnym wyciągał wodę z rzek, stawów i źródeł, a potem niósł ją wy-

soko ku chmurom, dostarczając im wody, aby miały czem pola skrapiać i łąki. Na każdej chmurze siedział Planetnik i kierował nią, gdy po niebie płynęła lotna, jak kędzierzawy baranek, albo ciężka i otłowiana jak wówczas gdy grad spada na polany albo słońca rozmokła.

Pod ziemią wreszcie Krasnoludki mieszkają, drobne karzelki zwane niekiedy Paluszkami. Dobry to był drobiazg i zawsze prędzej pomógł człowiekowi, aniżeli zaszkodził.

Taka była wiara prastarych Słowian.

AFORYZMY.

Głupiec, który chce udawać mądrego, przypomina mak, kołyszący poważnie na wietrze swą główkę, jakkolwiek każdy wie, jak małemi są ziarenka, które znajdują się w jej wnętrzu.

Najpotężniejszym ze wszystkich władców jest chwila.

Człowiek staje się tem, czem powinien być, dopiero przez wykształcenie.

ZŁOTE MYŚLI.

Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży;
A całość sama się złoży. K. Brodziński.

Czem drzewo bez głębszych korzeni, tem duch
narodu bez świadectw przeszłości.

Ks. Walerjan Kalinka.

Każda czysta dusza obawia się, czy spełnia, jak
należy, obowiązek. H. Sienkiewicz.

Należy pilnie baczyć, aby edukacja nie była edu-
kacją samego tylko ciała, albo samej tylko duszy,
ale—człowieka. St. Staszyc.

Do nieba patrzysz wgórę; a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto szuka tylko w niebie.

A. Mickiewicz.

Jako łódź na wodzie i ptak na powietrzu — nie
znać, gdzie przeleciał:

Tak głupich i gnuśnych żywota żaden ślad nie
zostaje. X. Piotr Skarga.

Skarb — to sumienie,
Moc — to skupienie.

Wincenty Pol.



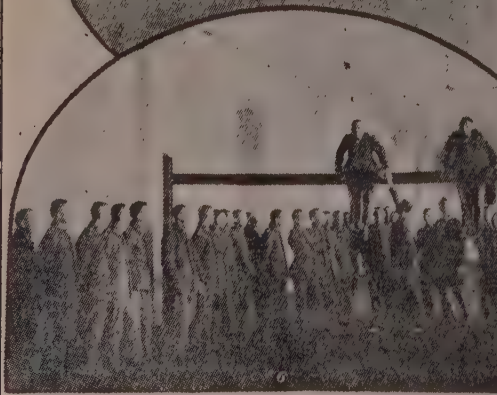
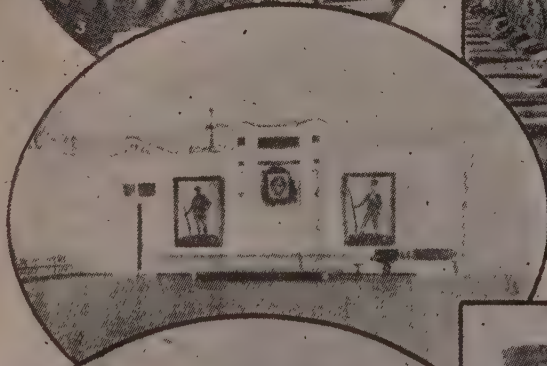
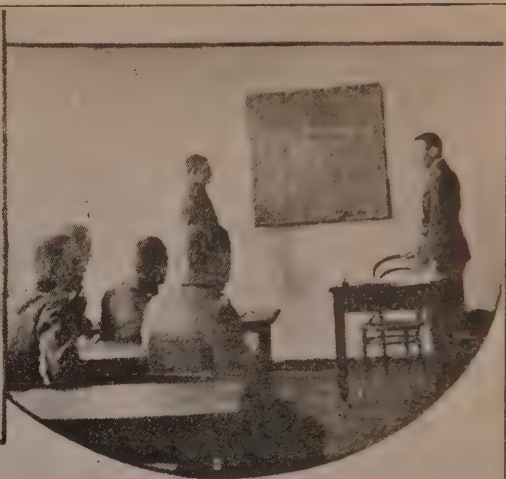
Szkoła Marynarska w Toruniu.



Czytelnia.



Audytorjum Starszego Kursu.



1) Fronton gmachu szkoły podchorążych. 2) Sala wykładowa w czasie lekcji. 3) Komendant szkoły pułk. Młodzianowski. 4) Wielka sala rekreacyjna. 5) Sypialnia. 6) Sala gimnastyczna. 7) Czytelnia.

PROF. DR. ANTONI OSSENDOWSKI.

A BYŁO ICH 134-CH

Szkic z Podróży Po Azji Środkowej.

PO CZTERECH miesiącach ukrywania się w syberyjskiej 'tajdze', to jest puszczy, przy 35-iu stopniach mrozu, z początkiem wiosny ruszyłem na południe. Zacząłem swoją podróż od miasta Krasnojarska, od którego w 95 kilometrach kryłem się przed bolszewikami, samotny w dziewiczej puszczy, mając za towarzysza **dobry karabin**, tego wiernego obrońcę, opiekuna i karmiciela.

Nie obawiałem się, że zbłądzę w bezbrzeżnym oceanie lasów, chociaż około tysiąca kilometrów miałem do przejścia, dążąc z miotającej się w agonii sowieckiej Syberji do granicy Mongolji. Nie obawiałem się dlatego, że pośród lasów i skał, całą przepiękną, malowniczą, ciemno-szmaragdową, pełną wirów i białej piany — szła droga. Był to "ojciec" Jenisej, jedna z największych i najpiękniejszych rzek syberyjskich, biorąca początek aż gdzieś w sercu Azji, w dzikich górach Ułan-Tajga, a wpadająca w swem ujściu w tajemnicze jak śmierć, zimne objęcia Oceanu Lodowatego, gdzie pod granitowym brzegiem wyspy Dicksona składa swe dary surowemu i mrocznemu Oceanowi.

Były to straszliwe dary. Tysiące trupów niósł do Oceanu Jenisej.

Gdzieś w Krasnojarsku, Minusińsku i Jenisejsku, pijani od krwi i "swobody" sowieccy kaci mordowali, rozstrzeliwali, wieszali ludzi, odrąbywali im głowy i ręce, wycinali pasy na nogach i czerwone gwiazdy na piersiach, wrzucając później te wymęczone, sturutowane ciała do wartkiego prądu groźnej rzeki.

Wściekły i roznamiętniony, pod promieniami wiosennego słońca, Jenisej mknął na północ, kręcąc w swych wirach, rozcierając ostre kamieniami i rozbijając o wystające skały ciała męczenników, aż wpadał całym pędem do Oceanu i tu, u podnóża mrocznego, granitowego Dicksona, oddawał niezbadanej otchłani morskiej swoje dary, straszliwe i tak bardzo krwawe.

Tą właśnie drogą, którą mknęły niezliczone trupy ludzkie, szukające dla siebie spoczynku wiecznego, kierowałem się dążąc na południe ku upragnionym górcom Sajanom. Poza niemi odłogi leżała koczownicza, pokojowa Mongolja, zastygła w formach życia trzynastego wieku. Nie mogłem więc stracić drogi do tej "Ziemi Obiecanej", gdzie jeszcze nie grasował rosyjski komunista — potomek dawnych koczowników azjatyckich.

Po kilkutygodniowej włóczędce po

lasach i górach, tropiony przez patrol "czerwonej kawalerji" i ścigany przez nią wtedy, gdy musiałem iść brzegiem rzeki i byłem spostrzegany przez wrogów lub, gdy byłem zmuszony przechodzić przez niezliczne wsie syberyjskie, spotkałem w lesie zajązzonego w krzakach człowieka. Był to chudy, zwinny, jak gdyby upleciony ze stalowych sznurów, rudy jak płomień — kozacki oficer, Bazyli Marijew.

Kroczyliśmy od tego dnia razem. Odszedłszy daleko od Krasnojarska, gdzieś około potężnej skały Baeni, prawie przegradzającej bieg Jeniseja, u koczujących Tatarów nabyliśmy dla siebie konie i siodła. Po kilku potyczkach z "czerwonymi" dotarliśmy nareszcie do rzeki Algiak, płynącej w głębokich wąwozach Sajanów. Tu już rozpoczynała się "zagranica", a mianowicie nienależny od Rosji i półzależny od Mongolji i Chin Urianchaj, kraj "wiecznego pokoju", ziemia prastarych Tubów, którzy w swoim kulcie religijnym święcie przechowują rytuał bogów asyryjskich i indyjskich.

Czuliśmy się szczęśliwi, że wydostaliśmy się z granic oszalałej Rosji, westchnęliśmy całą piersią, wchłaniając czyste i wonne powietrze wolnej ziemi Tubów. Czuliśmy się szczęśliwi... lecz nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy ile niebezpiecznych przygód mieć będziemy wśród tych gór i lasów, ile krwi cudzej i swojej będziemy musieli przelewać, ile męki i tragedji kryła w swoim gąszczu wspaniała puszcza Urianchajska, gdzie z niebotycznych, okrytych śniegami i tumanami gór, spływały do dolin pierwsze strumyki, dające początek Jenisejowi dla jego wspaniałego tryumfalnego biegu na północ, do bieguna prawie.

Przedzieraliśmy się długo na na-

szych wynędzniałych, zmordowanych koniach przez knieję. Minęło lato, jesień miała się już ku końcowi. O świecie srogie przymrozki dokuczały nam niewymownie, gdyż nie posiadaliśmy ciepłego obuwia ani ubrania. Na szczytach Ardaganu i grzbiecie Algiak już spotkaliśmy dość głęboki śnieg. Codzień widzieliśmy stada jeleni-norałów, uchodzących z gór przed śniegami i spuszczaających się do lasów, rosnących na południowych stokach grzbieców górskich. Tuż za nimi ciągnęły się całe ścieżki, wydeptane przez wilki, czyhające na szlachetne i potężne jelenie o wspaniałych rogach i ryku podobnym do lwiego.

Zima już się zbliżała. Jej lodowaty, zabijający oddech już dochodził nas z północy, a krwawe niebo wieczorne groziło wiatrami i mrozem.

Nareszcie przyszła, zwarzyła na czarno ostatnie liście brzozy i kaliny, pokotem położyła bujną trawę i przykryła wszystko białym całunem.

Ciężkie czasy przyszły na nas. Nie mogliśmy długo pozostawać na siodłach, gdyż to groziło nam zamrożnięciem, więc szliśmy lub biegliśmy obok naszych koni i tylko wieczorami i nocami rozgrzewaliśmy się przy ogniskach, pijąc herbatę i zagryzając czarnymi sucharkami. Nie uskarżaliśmy się na los, nie klęliśmy, gdyż wiedzieliśmy, że za sobą zostawiamy śmierć, a przed sobą, być może, mamy zbawienie i życie.

Szczególnej nadzieji jednak nie mieliśmy, bo trudno ją było mieć ludziom, jadącym przy mrozie 30 stopni w zwykłych bluzach z cienkiego sukna i w lekkich butach oficerskich. Ale życie jest największym skarbem świata i dwóch ludzi, zatraconych w dziewiczej, dzikiej knieji Urianchaju, walczyło z zaciekłością o ten skarb, ze wszystkim co mu groziło.

Pewnego mroźnego wieczoru jechaliśmy znużeni i zmarznięci do szpiku kości, wyglądając w ciemności miejsca, gdzie nasze szkapy mogłyby znaleźć dla siebie trawę i marząc o ognisku i gorącej herbacie. Nagle w oddali spostrzegliśmy wierzchołki cedrów, zarumienionych od płonącego gdzies w gęstwinie ogniska.

Kto tam się zaczął w nocnym mroku? Wróg czy włóczęga—zbieg jako i my?...

Kozak, pełzając jak wąż przez krzaki, ruszył w wywiad. Zostałem przy koniach z karabinem w ręku, przygotowany biedz mu na pomoc w razie potrzeby. Długo czekałem, w ciszę nocną wsłuchany, czując wraz z zimnem jakąś ostrą, zakradającą się do duszy, sprawiającą wprost fizyczny ból, trwogę... A może to było przecucie?...

Nagle rozległ się w oddali głośny krzyk Marijewa. Wołał na mnie...

Pojechałem, prowadząc za sobą jęgo konia. Wkrótce zobaczyłem duże ognisko pośród krzaków i cały tłum ciemnych postaci. Niektóre siedziały, większość leżała.

Podjechałem i zeskoczyłem z konia.

— Panie — mówił mi do ucha kozacki oficer — tu konają ludzie...

Narazie nie zrozumiałem całej zgromy tych słów. Uważnie rozglądałem się dokoła. Naraz zadrzałem z przerażenia, gdyż spostrzegłem, że prawie wszyscy mieli pomrożone i odpadnięte dłonie lub stopy, straszliwe rany na miejscu nosów i uszu, strupy i pękającą skórę na policzkach.

— Skąd tu przybyliście i kto jesteście? — pytałem, czując, że włosy mi się jeżą na głowie.

Usłyszałem najstraszniejszą opowieść, jaką kiedykolwiek w życiu czytałem.

Był to obóz Polaków...

Jedni z nich — to żołnierze polskiej syberyjskiej dywizji, którzy po zdradzonem powstaniu pod Krasnojarskiem, byli uwięzieni w lochach "czerezwyczajki" lub w obozie dla jeńców, lecz zdołali uciec do lasu, gdzie przetrwali do zimy, żywiąc się jagodami, grzybami lub czasem upolowanym jeleniem lub sarną: inni byli to cywilni Polacy, którzy ukryli się w puszczy, uchodząc od prześladowań bolszewickich w dobie zwycięskiej wojny Polski z Moskwą. Istnieli i mieli płomyk nadzieji nawet wtedy, gdy tygodniami szli o głodzie i chłódzie, bosi, zjadani przez pasorzyty. Ale trwało to do czasu, aż zima objęła ich swoim lodowatym oddechem i położyła pokotem jak trawę ściętą i zwaną mrozem.

Było ich 134-ech... przed zimą. Po zostało 86-ciu. Reszta leżała na ubożu w krzakach z otwartymi, martwymi oczyma i zaciśniętymi pięściami w ostatnim wysiłku rozpacz i bezsilnej nienawiści.

Towarzysze, którzy stracili na mrozie stopy i dłonie, a w objęciach ciągłego i wzmagającego się zimna resztki sił i nadzieji, nie mogli oddać ich ziemi i tylko codziennie, budząc się po straszliwej, tęnącej śmiercią nocy, przyłączali do tego stosu martwych coraz to nowych i nowych męczenników.

— Jutro będzie silny mróz i wiatr zerwie się od północy... — smętnym, ochrypłym głosem mówił do mnie Kazimierz Bilecki, polski żołnierz — może już nareszcie przyjdzie koniec... Oby prędzej... prędzej...

Opowiedziano mi tu przy ognisku tych, ledwie czołgających się ludzi, że pięciu towarzyszy, którzy mogli jeszcze chodzić, poszło na południe. Czy dojdą? Dokąd mają iść? Nikt tego nie wiedział!...

Przyrzędzaliśmy herbatę w kotle, poiliśmy tych jutrzejszych nieboszczyków, oddaliśmy im połowę naszych sucharków, ale było to wszystko, co mogliśmy dla nich uczynić, gdyż nie sami nie mieliśmy oprócz kilku tysięcy kilometrów nieznanej a niebezpiecznej drogi przed sobą.

O świcie dnia pożegnaliśmy tę mogiłę otwartą z ruszającymi się jeszcze trupami i pomknęliśmy ile koń wyskoczy dalej i dalej, od tego miejsca męki, rozpacz, przekleństwa i zguby, czując, że śmierć na czarnym rumaku o białych, krwią zboczonych nogach pędzi za nami i syczącym głosem woła:

— A jutro wy!... A jutro wy!...

Obóz 134-ch Polaków w Tajdzie Urianchaju, za Czokurem, pośród śniegów, na kamień stwardniałych na mrozie... Kto był z tego obozu ostatni, który wrzucił do ogniska ostatni kawał drzewa i został martwy, z szeroko rozwartymi, zrozpaczonemi oczyma nie w krzakach, a tu pośród swoich, przy zgasłym ognisku na śniegu, zezerniałym od popiołu i węgla?..

Umarli wszyscy, gdyż nie umrzeć nie mogli... A ci, co poszli gdzieś na południe, — gdzież są?...

Oto na bagnistych brzegach Sejbi znalazłem trzy kamienie z nakreślonym na jednym z nich krzyżem katolickim. Leżały pod brzozą, a na jej korze były wryte orzeł polski i dwie litery "K. R."

Oto w oczeretach i szuwarach jeziora Teri-Nur widziałem polskiego żołnierza. Leżał wciśnięty piersią w ziemię, ubrany w zakrwawiony płaszcz niebieski, ale był bez głowy. O kilka kroków dalej spostrzegłem gołą czaszkę ludzką, a dokoła kilka śladów wilczych.

Dalej za Khua-Kemem, na Kuturdze, widzieliśmy trupa człowieka, roz-

szarpanego przez dzikie zwierzęta i drapieżne ptactwo. Obok spostrzegliśmy strzępy polskiego płaszcza niebieskiego.

A reszta? Może ci zdołali się uratować?

Byłem szczęśliwszy, czy silniejszy od moich rodaków z tajgi urianchajskiej. Przeciąłem stepy Mongolji z północy na południe i z zachodu na wschód, przebrnąłem szlakiem wielbłądzim Gobi, po drodze spotkałem kilku Polaków, odważnych i dzielnych, lecz nie byli oni z liczby tych, których znaleźliśmy w przededniu ich ponurego zgonu tam, w knieji, za śnieżnym Czokurem, co jak kurhan mogiłny czerni się ponad lasami i ciągnącym na północ grzbietem Sajanów...

Przyszli inni drogą męczenników... Tamtych zaś nigdzie nie spotkałem i nigdy już o nich nie słyszałem. Wichry z Gobi i potoki z Tannu-Ołu rozniosły po Mongolji, tej krainie szatana, kości Polaków.

Niema chyba miejsca, gdzieby los surowy nie rozsiał kości naszych! Od wielkiego Altaju do oceanu Lodowatego, od granic martwej Gobi do brzegów Pacyfiku — leżą one i wołają do swego narodu:

— Podnieś się, bądź potężny i mądry, a wtedy zgaśnie nienawiść ostatnich chwil naszego zgonu męczeńskiego, o narodzie nasz, nad życie ukochany!

Słyszały te słowa gorące lasy Darchat-Uła i święty Bogdo-Uł, i szara, beznadziejna pustynia Naron-Khuhu-Gobi, i Anadyr, i północny łuk Żółtej rzeki — kolebka Chin, i tajemniczy Karakorum...

Kto zbierze te kości polskie?...

== SIEROTKA! ==

W świat idzie biedna sierotka
Z oczkami zapłakanemi —
Wiatr wieje i sypie śniegiem
Po zamarzniętej ziemi.

W świat idzie biedna sierotka,
W pustkowiu zatapia oczy;
Wtem przed nią pałac ogromny
Z gęstej wychyli się mroczy.

W oknach goreją światła,
Zamek, jak płomień, czerwony,
Łuna złocista bije
Na mury i bastjony.
W komnatach głośno rozbrzmiewa
Przesłodka "W żłobie leży";
Sierota zdumiona staje
U pałacowych dźwierzy.

Chee dzwonić, nie sięgnie dzwonka,
Chee pukać, zasłabe dłonie:
Nikt jej nie słyszy w zamku,
Co w świetle i pieśni tonie.

Gdzie? w którą stronę się udać?
W mgłach przed nią świat daleki!
Pod murem zamkowym spocznie
I zaśnie — może na wieki!?...
Wiatr wieje i śniegiem sypie —
Sierotka wyteża oczy:
U stóp zamkowych chatynka
Gubi się w gęstej mroczy.

W okienku światło przygasa,
Przymilkła kołęda słodka:
"Otwórzcie mi, dobrzy ludzie,
Ja biedna jestem sierotka!"

Otwarli jej drzwi sosnowe,
Wpuścili do niskiej chaty.
"Ogrzej się, dziecko, przy ogniu,
Zjedz kasek niebogaty!"

Sierotka siadła przy ogniu,
O, jaki los szczęśliwy!
I kromkę ma, a w oku
Dzieją się cuda i dziwy:
W izbie, gdzie knotek przygasa,
Gdzie głosu na pieśń nie stanie,
Światłość się wielka rozlewa
I setne słychać granie.
W białych, jak śnieg, sukienkach
Wkraczają aniołowie,
Skrzypeczki im błyszczą w dłoni,
Korony jasne na głowie.

Kołędy przeudowne
W nadziemskie płyną raje,
A w środku tego orszaku
Sam Chrystus biały staje.

Rzucił niebieskie progi,
Kościoły rzucił złote,
By podziękować biedakom
Że w dom przyjęli sierotę.

Jan Kasprowicz.

Ogólna Ilość Żydów Na Świecie.

Na podstawie pracy sjonisty niemieckiego Jakóba Leszyńskiego, paryski organ sjonistyczny "Le Peuple Juif" podaje następującą statystykę żydów.

Ogólna liczba Żydów na całym świecie wynosi 15,783,262, z czego na poszczególne części świata przypada:

Europa. Polska — 4,100,000; Ukraina — 3,300,000; Rumunja — 1,000,000; Niemcy — 500,000; Węgry — 450,000; Czechosłowacja — 349,000; Anglja — 275,000; Litwa — 250,000; Rosja sowiecka (Europa) 200,000; Austria — 200,000; Francja — 150,000; Grecja — 120,000; Holandia — 106,309; Jugosławia — 100,000; Turcja Europejska — 75,000; Bułgarja — 45,000; Włochy — 43,000; Szwajcaria — 19,023; Belgja 15,000; Estonia — 7,500; Hiszpanja — 4,000; Danja — 5,164; Szwecja — 3912; Finlandja 2,000; Cypr, Gibraltari i Malta — 1,445; Luksemburg — 1270; Norwegja — 1,045; Portugalia 1,000; Razem w Europie 11,474,668.

Azja: Turcja Azjatycka — 177,600; Palestyna 85,000. Rosja Azjatycka 76,262; Persja — 40,009; Indje — 20,980; Afganistan; i Turkiestan 18,316; inne kraje azjatyckie — 15,371. Razem w Azji 433,332.

Afryka: Marokko — 103,712; Algierja — 70,271; Tunis — 54,664; Afryka południowa — 47,000; Egipt — 38,635; Abisynja — 25,000; Trypolitanja — 18,860; inne kraje afrykańskie — 1,580. Razem w Afryce 433,332.

Ameryka: Stany Zjednoczone — 3,300,000; Kanada — 75,681; Kuba — 2,000; Jamajka — 1,487; Meksyk — 400; Razem w Ameryce Północnej — 3,379,668. Argentyna — 110,000; Brazylja — 4,000; inne kraje Ameryki południowej — 2,557; Razem w całej Ameryce — 3,496,225.

Australja: Australja i Nowa Zelandja — 19,415.

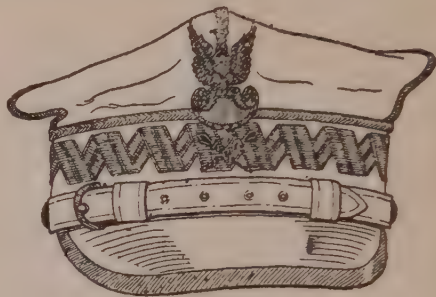
WEDLE PRZEPISU.

Stara kobieta w tramwaju: — Dobrze, ale jeżeli kupiłam dla mego psa bilet tramwajowy, to chyba ma on prawo siedzieć na ławce?

Konduktor: — Ma się rozumieć, ale tylko w takim wypadku, jeżeli się zastosuje do przepisu i nie dotknie poduszek nogami.

Brak statystyki dla Peru, Chin, Japonji, Korei, Sjamu itd. Ale w krajach tych prawie niema Żydów.

NOWE ODZNAKI MARSZAŁKA ARMJI POLSKIEJ.



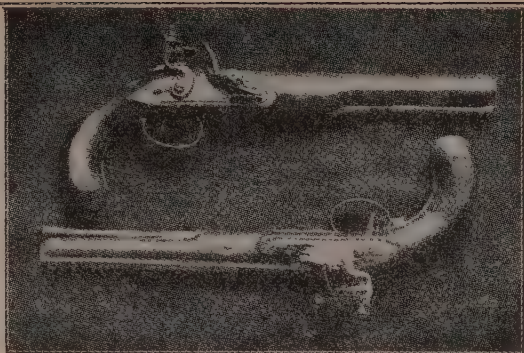
CZAPKA



NARAMIENNIK.



ŁAPKA NA KOŁNIERZ.



Pistolety ks. Józefa, które książę miał w olstrach siodła
w bitwie pod Lipskiem.

Wł. Ord. hr. Krasieńskich.



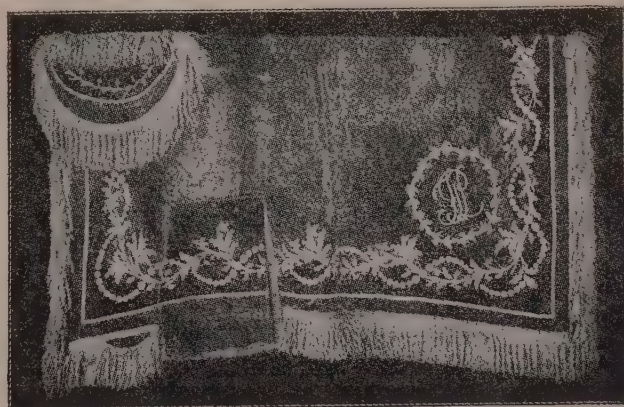
Siodło Napoleona z r. 1812.

Własność Ord. hr. Krasieńskich.



Czapka codzienna jen. Dąbrowskiego.

Ze zbior. rodzin. p. H. Mańkowskiego w Winnogórze.



Czaprak paradny generała Dąbrowskiego z czasów legjonów, haftowany
i ofiarowany przypuszczalnie przez damy włoskie.

Ze zbiorów rodzin. p. H. Mańkowskiego w Winnogórze.



Czapka jen. dywizji Księstwa Warszawskiego.
(Według podania ks. Józefa).

Własność Ord. hr. Krasieńskich.



Ordery generała Dąbrowskiego.

Ze zbiorów rodzin. p. H. Mańkowskiego w Winnogórze.



Przez pustotę mały Ami
Targa sukienkę panny Mani.



Sukienka z linki się zrywa,
I pustaka sobą pokrywa.



Leci Ami, zły, szczekając,
Ptaki i zwierzęta przestraszając.



Nawet malarz gdy potwora zoczył,
Ze strachu z krzesła w górę podskoczył.



WIATRY W PRZEWODZIE ŻOŁĄDKOWO-KISZKOWYM.

Napisał dr. Michał C. Goy.



Wzistiejszych warunkach "prędkiego życia" dość znaczna liczba cierpi — i to niekiedy weale dotkliwie, na wytwarzanie się w przewodzie pokarmowym nadmiaru gazów, wywołujących w ustroju zaburzenia. Przy- czyny tego są rozmaite i, aby wiedzieć, jak temu najskuteczniej zapobiedz, trz. ba będzie najpierw czytelników zapoznać z czynnikami wyradzającymi to przykre cierpienie.

Nasamprzód należy stwierdzić, iż tworzenie się w żołądku i kiszkaach pewnej ograniczonej ilości gazów następuje nawet przy normalnej kondycji przewodów trawienia i przy spożywaniu nawet odpowiedniej ilości stosownych pokarmów. Trzeba także wiedzieć, iż gazy nie tylko pochodzą od rozkładu chemicznego spożytych potraw, lub napojów, lecz także, i to niekiedy w znacznej mierze, połkniętego razem ze śliną, z pokarmem i napojem powietrza, którego pewna część, mianowicie tlen, bywają pochłaniana przez miazgę pokarmową i prawdopodobnie częściowo także przez błony śluzowe, pozostający zaś azot i nieco kwasu węglowego mieszają się z lotnymi gazami tłuszczowymi grubych kisek i odchodzą wraz z kałem. To jest jedna droga, którą wiatry nagromadzone mogą odchodzić na zewnątrz, a odbijanie się stanowi drugi sposób usuwania tych gazów.

Są jednakże wypadki, bynajmniej nie rzadkie, w których taki normalny odchód gazów zostanie z powodu jakichkolwiek zachodzących zaburzających czynników wstrzymanym, wskutek czego brzuch w ja-

kiś czas po przyjęciu pokarmów, wzdyma się z powodu tego, iż tworzące się gazy, nie mając ujścia na zewnątrz, rozpierają górne kiszki i żołądek i wywołują gniecenie, zganie, kolki, lub inne boleści, a nawet bicie serca i duszność. Jeżeli do tego gazy te bywają niezwykle cuchnące lub odbijanie się nimi przypomina woń zgniłych jaj, wtenczas należy bezpośrednio poradzić się lekarza, bo niedolegliwość taka, napozór nie wiele znaczącą, może jednak oznaczać jakieś poważniejsze cierpienie przewodu pokarmowego.

Doświadczenia wykazują i pouczają, iż obfite używanie pokarmów odymających, zwłaszcza przez osoby prowadzące życie siedzące, jak i napojów gazy zawierających, jest najeźściej przez obserwujących lekarzy napotykaną przyczyną wiatrów w żołądku i w kiszkaach. A więc najwięcej gazów z natury rzeczy wytwarzają potrawy mączne, ciężkie ciasta, chleb świeżo wypieczony, groch, wszelkie jarzyny strączkowe, kapusta, makaron, sztuczne stołowe wody mineralne, nasycone gazem kwasu węglowego itd. Dzisiejszemi czasami należy do tejże kategorii dodać także młode piwo... obecnie bowiem, kiedy dzięki osławionej prohibicji krajowej — trudno tu jest znaleźć dom, w którymby nie warzono piwa dla użytku domowego. Sprawa odęcia żołądka i kisek nadmiarem gazów przybiera dla lekarzy zajmujących się przeważnie dolegliwościami przewodu pokarmowego i jego narządów — coraz większą wagę. Domowej roboty piwa wskutek nieprawidłowego przyrządzania prędko się psują, kwaśnieją, to jest wytwarzają kwas octowy, lub podlegają fermentacji mleczej, więc są w rezultacie niesmacz-

ne, oduymają, sprawiając kwasy i gazy w żołądku, niekiedy zaś zbytnio rozwalniają, a używane przez dłuższy czas stanowiące przyczyniają się do wywołania uporeczywych katarów żołądka i kiszek.

Nagromadzeniu gazów szczególnie ulegają osoby nerwowe, dalej osoby już z jakiejś przyczyny chorujące na zakatarzenie aparatu trawienia, oraz takie, które podczas pracy zmuszone są wiele siedzieć, a poza pracą zawodową wskutek nieświadomości w takich sprawach nie starają się o należyty ruch ciała.

Pewna ilość gazów jest normalnym wynikiem trawienia, czyli innemi słowy, jest rezultatem fermentacji i procesów chemicznych, odbywających się w przewodach pokarmowych zmian, jakim wszelkie pokarmy tamże podpadają, zanim mogą być przez ustrój przyswojone; jeżeli zaś zachodzą w procesie trawienia inne, tak zwane fermentacje uboczne, a zwłaszcza mleczne i masłowe, powstają przytem obok kwasów gazy już w anormalnej, nadmiernej ilości. Z podkreśleniem zaznaczyć tu wypada, iż anormalny stan aparatu trawiącego i jego narządów jako też normalnie przebiegające trawienie — nie dopuszczają owych zgubnych fermentacji ubocznych, ale te ostatnie powstają z łatwością przy jakiegokolwiek zachodzącej nieprawidłowości przewodów pokarmowych, spowodowanej chorobą błon śluzowych, naprzykład tak rozpowszechnionymi letnią porą katarami żołądka i kiszek, lub też przy upośledzeniu czynności trawienia samego powstają w następstwie dłuższy czas uprawianego przeciążenia żołądka zbytnią ilością pokarmów, albo spożycia trudnych do strawienia, lub niedostatecznie przeżutych kawałków jadła.

W łączności z omawianym tematem nadmienić w dalszym ciągu wypada, iż w powszechnym użytku są niektóre pokarmy, które już i przy normalności akcji trawienia wydzielają właściwe sobie gazy, naprzykład wiele siarkowodoru (hydrogen sulphid) i siarku amonu (amonium sulphid) zawierające. Gazy te, posiadające woń bardzo nieprzyjemną, tworzą się po części w żołądku, wywołując odbijanie, po części zaś w kiszce, powodując wzdęcie w brzuchu. Do tak działających pokarmów należy wielka liczba roślin, zawierających pewne chemiczne związki aromatyczne, które mają w swym składzie znaczny odsetek siarki i fosforu; wszystkie ta-

kie substancje należą do kategorii bodźców pokarmowych, znaczną liczbę których dostarcza rodzina roślin krzyżowych i cebulowatych. Z pierwszej na wzmiankę zasługują: gorczyca, rzodkiew, chrzan, kapusta i brukiew; w drugiej mieszczą się: cebula i różne jej gatunki, szczypiorek, czosnek itp. Wszystkie te produkty mogą być używane jako przyprawy do potraw mięsnych i rybnych. Niektóre z nich, jak cebula, czosnek, kapusta, mają tę tylko wadę, o ile właściwość tę wadą nazwać można, że wywołują one właściwe sobie gazy, siarkę zawierające, o przykrej woni, która się udziela oddechowi. Gazy te oduymają i odbijają się — pamiętać wszakże należy, iż można temu do pewnego stopnia zapobiedz dodatkiem soli kuchennej, pieprzu, octu i tym podobnych przypraw, w powszechnym użytku będących. Trzeba tylko starać się rozumieć, dlaczego się używa tych rzeczy.

Wszyscy mający do czynienia bądź z przyrządzaniem potraw bądź leczeniem zapomocą dietyki powinni zdać sobie należycie sprawę z tego, dlaczego dodatek soli do pokarmów służących do spożywania w stanie surowym tak zbawienny wywiera skutek, ułatwiając w wysokim stopniu ich trawienie. Pominąwszy już pobudzane wydzielania z gruczołów, do przewodu trawienia należących, posiada sól w wybitnym stopniu wydajne własności przeciwnie, czyli antyseptyczne, dzięki którym rozkład trudniej albo powolniej strawnych włókien roślinnych, łatwo oduymających, a znajdujących się w takich potrawach, jak w sałatach, ogórkach, rzodkiewkach itp., zostaje powstrzymywany. Oprócz tego, dodaje się soli do pokarmów roślinnych dla wymiany zawartych w nich w zbyt znacznej ilości soli potażowych.

Kwestja soli przyprowadza nas do omówienia także przypraw aromatycznych. Nie można tej sprawy milezieniem pominąć, bo stoi ona w ścisłym związku z kwestją tworzenia się gazów w ustroju. Używane w umiarkowanej ilości bodźce pokarmowe, jak sól, o której już była mowa, ocet i wszelkie ostre korzenne substancje jak pieprz czarny, pieprz hiszpański, czyli papryka, imbir, korzeń tatarakowy (calamus), gorczyca, chrzan, cebula, czosnek itd. nie przeszkadzają, jak to mylnie niektórzy mniemają i pouczają, procesowi trawienia, ale przeciwnie ułatwiają akcję trawienia i powstrzymują albo co najmniej opóźniają fermentacje u-

boczne i rozkłady pokarmów w długim ich pochodzie przez przewód pokarmowy. Wszystko zaś, co powstrzymuje lub opóźnia ten rozkład, zapobiega tem samem tworzeniu się gazów, rozdymających żołądek i kiszkę, więc chroni od odymania. Ma się rozumieć, iż mowa tu jest jedynie o użytku w umiarkowanej ilości tych bodźców pokarmowych — a jeżeli gdzie, to w sztuce kucharskiej, przede wszystkim w użytku ostrych przypraw, należy zachować miarę. Z tej jedynie przyczyny, iż umiarkowane pobudzanie czynności narządów trawienia przy pomocy tych bodźców sprawia pewne zadowolenie i pewną ulgę, nie należy bynajmniej wnioskować, jakoby dodanie do potraw jeszcze większej ilości tych przypraw miało spowodować odbywanie się funkcji trawienia jeszcze sprawniej, łatwiej i prędzej. Baczyć więc usilnie należy na to, aby nie wpadać w drugą ostateczność i nie wytworzyć nałogu, który bardzo zgubne może mieć następstwa dla całego organizmu.

Bardzo wiele cierpi dziś ludzi na gazy właśnie z powodu używania zbytnej ilości tych koncentracji, bo one gdy nadużywane, nie tylko nie ułatwiają trawienia, ale przeciwnie tamują je i tem sprzyjają tworzeniu się gazów. Można więc rozumieć, jak one u jednych mogą wywierać wpływ na ich ustroj bardzo dodatni, a u drugich znowu wywołać skutek wręcz przeciwny i wysoce szkodliwy. Słusznie też stanowi umiarkowanie jeden z trzech kardynalnych warunków nauki higieny.

Osoby, cierpiące na wytwarzanie się w żołądku nadmiaru gazów, wiedzą zwykle z własnego doświadczenia, jakie pokarmy lub napoje są lub mogą być przyczyną ich cierpienia, powinny więc usunąć z codziennej diety pokarmy te, lub przynajmniej ograniczyć je do minimum. Uprzytomniwszy sobie te przyczyny, należy unikać wszelkich pokarmów, sprzyjających tworzeniu się gazów, jak potrawy mączne, szczególnie ciężkie ciasta, chleb świeżo wypieczony, makaron z serem, groch i wszelkie jarzyny strączkowe, kapustę, tak samo wszelkie słodkie itp. pokarmy. Nie należy też odżywiać się, jak to się tak często zdaje, prawie wyłącznie pokarmami mącznymi i herbatą, bo taki sposób odżywiania właśnie sprzyja powstawaniu tej dolegliwości, która wywołuje bezczynność mięśni kiszek, zatwardzenie i z

czasem nawet chroniczną bezwładność kanału odchodowego.

Wobec tego, że cywilizacja dzisiejsza zmusza każdego z nas do gorączkowej i wyczerpującej pracy fizycznej, lub umysłowej, wymaganiem jest, aby przynajmniej jedną czwartą część wydzielanego z ciała azotu zastępować białkiem zwierzęcem, to jest, mięsem; poleca się przeważnie spożywanie mięsa chudego, na przykład wołowiny gotowanej, czyli tak zwane "mięso z rosółu". Na ogół biorąc ludzie używają mięsa za wiele, czego należy unikać. W dalszym ciągu poleca się celem uzupełnienia właściwej diety, wszelkie owoce, szczególnie pomarańcze i jabłka, oraz jarzyny wszelkiego rodzaju. W łączności z tą kwestją na osobną wzmankę zasługuje kwaśne mleko; nie powinno się go pić całymi szklankami odrazu, lecz w mniejszych ilościach a częściej. Picie kwaśnego mleka poleca się z tego względu, iż rozwijają się w niem drobnoustroje nie tylko dla organizmu nieszkodliwe, ale nawet bardzo pożyteczne, ponieważ obecność ich tamuje rozwój innych w ustroju się znajdujących, szkodliwych mikrobów, czyli zapobiega fermentacji.

Odpowiednia zmiana w sposobie życia także jest wskazana. Osoby, które podczas pracy zmuszone są zawiele siedzieć, koniecznie powinny starać się o odpowiedni ruch ciała, na przykład przechadzki, masaż brzucha, lub regularne stosowane ćwiczeń gimnastycznych, — pochyłania tułowia naprzód, w tył i w bok.

Przy leczeniu tej przypadłości pamiętać także należy, iż każde wypróżnienie kiszek zmniejsza ilość gazów, z tej przyczyny środki rozwalniające są na miejscu, nie należy jednak używać ich regularnie przez dłuższy przeciąg czasu. Nadmiernemu gromadzeniu się gazów w samym żołądku zapobiega się poniekąd używaniem zaraz po jedzeniu trochę sody rozpuszczonej w ciepłej wodzie. Gazy znajdujące się w kiszce można usunąć przez wypicie filiżanki naparzonego kopru, kminku, anyżu, mięty pieprzowej lub rumianku. Można też w tym samym celu w aptece nabyć olejków przyrządzonych z wymienionych środków i używać ich po kilka kropli na cukrze. Niektórzy polecają następujący środek, przyrządzony domowym sposobem: rozgnieść drobno pokrajaną cebulę, wrzucić do kubka na noc i posypać cukrem; płyn powstały pije się powo-

li na czezo z rana. Inni znowu gotują cebulę z mlekiem. Nadmienić tu wypada o węglu drzewnym (charcoal), który, jeśli jest doskonale sproszkowany, działa dość skutecznie na wiatry.

Gdy zaś zwiększona fermentacja w żołądku lub kiszkaach jest następstwem choroby jednego z narządów trawienia, lub złaczonych z nimi gruczołów, wtedy wymaganiem jest odpowiednie leczenie przez lekarza.

NAJSTARSZY ZŁODZIEJ KIESZONKOWY NA ŚWIECIE.

Z Berlina donoszą: Najstarszym złodziejem kieszonkowym na świecie jest bezwątpienia senior berlińskich "specjalistów" w tym kierunku, Adolf Schafer, którego niedawno znowu aresztowano. Schafer ma obecnie 80 lat, a 46 z tego przepędził za murami więzień i domów poprawy. Kradł on z ogromną zręcznością i tak wiele, że mógł być jednym z najbogatszych ludzi, ale on jak szybko zdo-

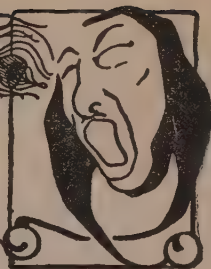
bywał pieniądze, tak prędko je również tracił. Przed rokiem może opuścił po raz ostatni dom poprawy. Sądono już, że przestanie wreszcie kraść. Umieszczono go w przytułku, sądząc, że tam dokończy żywota. Starzec wytrzymał też przez rok w zakładzie. Wkońcu jednak znudził się tam i zateśknął do swego dawnego zajęcia. Opuścił więc zakład, mając nadzieję, że zdoła tyle ukraść, by sobie kupić własny dom i zamieszkać w nim. Jak dawniej, tak i teraz liczył na przystanki na liniach tramwajowych i autobusowych. Ale nadzieja go zawiodła. Niewiadomo, czy wkrótce po opuszczeniu zakładu miał trochę szczęścia, czy nie. W każdym razie wiele nie zdobył. Gdy po kilku dniach sięgnął ręką do torbki pewnej damy na przystanku tramwajowym, schwytano go i zaprowadzono na prefekturę policji. Tam poznano go natychmiast. Po przesłuchaniu zaprowadzono niepoprawnego starca znowu do więzienia w Moabit. Schafer, jakkolwiek znacznie starszy, podobny jest ogromnie do sławnego swego czasu "kapitana z Koepenick." Gdy przed kilku laty poszukiwano owego niezwyklego oszusta, zdarzyło się parę razy, że gorliwsi, ujrawszy Schafera na ulicy, i biorąc go za "kapitana z Koepenick", schwytali go za kołnierz i oddawali w ręce policji.



"Nadchodzący deszcz."



ŻARTY I DOWCIPY



KRÓLEWSKA SKROMNOŚĆ.

Gdy zmarły król szwedzki Oskar, lubiany bardzo przez naród z powodu swoich wielu dobrych uczynków, odwiedził raz pewną szkołę w Sztokholmie, pewna mała dziewczynka szkolna została przy popisie zapytana, aby wymienić jakiś 'wielki czyn' króla z czasu jego rządów. Dziewczynka namyślała się długo, potem zaczęła płakać mówiąc: — Ja nie wiem o żadnym.

— Nie płacz, moje dziecko, — mówi król wzięwszy ją delikatnie za rękę, — nie płacz wcale! I ja nie wiem o żadnym!

W RESTAURACJI.

— Kelner, przynieś mi porcję taką rybę z kapustą, co ten pan jadł.

— To pieczeń wieprzowa, proszę pana.

— Oszeł jesteś! ja sze ciebie o to nie pytam.

NA CMENTARZU.

— Mamo, mnie się zdaje, że wielu z tych, którzy tutaj leżą, nie poszło do nieba.

— Któż ci to powiedział?

— Widzę to z grobów!

— Nie może być!

— Tak jest, mamo. Najwyraźniej stoi napisane na wielu nagrobkach: "Pokój tym popiołom!", a przecież popioły są tylko tam, gdzie jest ogień, to jest w piekle!

SŁUSZNA RADA.

— Złośliwa ta Lola! powiada, że ja się maluję.

— Nie rób sobie nic z tego! Gdyby ona miała taką cerę jak ty, toby się także malowała.

NA DOKTORÓW.

Był, mówią łotr, co nie kradł, szewc co nie pijał; Lecz nie było doktora, co by nie zabijał.

DOBRY SYN.

Więzień (do dozorczy): Proszę pana, czy nie mógłbym dostać celi nr. 37? Tam siedział ostatni raz mój ojciec.

NIEZNOŚNY.

Mąż (do żony sekretnicy, wyjeżdżającej na wieś, powiada): Bywaj zdrowa i baw się dobrze u krewnych.

— Ale wracaj prędko, mamusi — dodaje synek.

— Nieznośny bębnie — karci go ojciec — mama musi pozostać u krewnych jak najdłużej, bo ją tam bardzo kochają.

MAŁY KUSICIEL.



Biedna kobieta: Mój Boże, gdyby to człowiek mógł się też raz uraczyć takim ptaszkiem!

Synek: Matko, w koszu jeszcze jest miejsce, ale najprzód ją zabij.

TRAFNA ODPOWIEŹ.

Pani: Z której strony taki wielki dziś wiatr wieje?

Kobieta: A od Kamionki, proszę pani!

Pani: Jakto?

Kobieta: Bo w Kamionce stary Grzegorz się dziś powiesił!

ZAWSZE PO KUPIECKU!

Mały Moryc: — Ojciec, co to znaczy na koncercie solo, a co chór?

Ojciec: — Solo to znaczy en detail, a chór to en gros.

WYCHOWANIE DZIECI.

Mama: — Ależ Wandziu, któż widział bić zawsze lalkę — to nie ładnie z twojej strony!

Wandzia: — Ależ! Lalkę trzeba bić. Czy mama myśli, że ja chcę, aby mi zarzucano, jak papa mamie zarzuca, że ja moje dzieci źle wychowuję?

OSTROŻNY SŁUŻĄCY.

Hrabina: — Janie, dlaczego idziecie tak daleko z tyłu za mną?

Jan. — Proszę jaśnie pani, aby ludzie nie myśleli, że ja jestem mężem jaśnie pani.

— Hm, hm, hm... więc czujecie pewnego rodzaju ciśnienie w głowie!? A kiedy się to objawia najczęściej?



— Gdy wsadzę kapelusz...

— Dziwne to, bardzo dziwne!... Proszę więc położyć kapelusz na krzesiełko i usiąść!

(Cyrulik z cicha do służącej: Magdosiu, zanieś szybko ów kapelusz do kapelusznika, ażeby go natychmiast dostatecznie rozszerzył, poczem go niepostrzeżenie położy na dawne miejsce).

— Proszę pana doktora.. pocóż mi to pan doktor głowę tak ściska?

— To tylko na to, ażeby ją nieco zmniejszyć. Spodziewam się też, iż bóle w ten sposób ustąpią!...

(Służąca tymczasem przyniosła kapelusz pacjentowi z powrotem).



— Nareszcie ukończyłem!... Możebyście spróbowali, czy ból wraca, skoro głowę nakryjecie!... Tu macie wasz kapelusz... no i jak?!...

— Bólu żadnego już nie czuję... ale proszę pana doktora, głowę pan dektor jednak mi trochę zamalał zrobić!...

UCZYŁ SIĘ... WIĘCEJ.

Sędzia: — Ja nie pojmuję, jak mogliście sam rozbić takie silne drzwi i zamki!

Więzień: — No, ja wierzę temu, to nie jest tak łatwo, jak pisać przy biurku i zaszadzać biednych więźniów. Jeżeli kto z nas chce żyć na świecie, to musi się uczyć... więcej jak inni ludzie.

O "ŻYWEGO TRUPA."

— Czy pani czytała dramat "żywy trup"?

— Ach! panie! Dostyc mam w domu żywego trupa, gdy patrzę na mego męża.

NAPIS W 4-CH LITERACH.

W Medjolanie był portret Napoleona I, który zwrócił uwagę artystów i policji włoskiej. Malarz wystawił go na widok publiczny w dzień koronacji Napoleona, jako króla włoskiego. Wojownik ten był przedstawiony z żelazną koroną na głowie. Obraz był arcydziełem, lecz najwięcej zwrócił uwagi napis u dołu: I. N. R. I. Każdemu było wiadome dawne znaczenie tego monogramu; lecz tu nikt nie mógł odgadnąć myśli autora. Powszechnie upatrywano w tem złośliwą satyrę, uważając w koronie żelaznej koronę cierniową.

— Jaka zuchwałość! — wołali dworacy.

— Jaka prawda! — mówili mędrcy, mając na myśli wojny i licznych nieprzyjaciół, jakich ta korona stanie się przyczyną. Gdy tak rozmaite robiono domysły, policja kazała wyszukać autora, który właśnie tego pragnął, aby używać owoców swego dzieła, i bardzo prosty a prawdziwy dał tych liter wykład: "Imperator Napoleon Rex Italiae."

Wszyscy wykładacze byli zawstydzeni, a malarz hojnie nagrodzony.

NAPIS NA KIELISZKU BEZ NOGI.

Odjęli mi ludzkie nogę, chcąc dogodzić sobie; Ja im lepiej dogodzę, odbierając obie.

MA RACJĘ.

Powiedz mi, dlaczego, ile razy spotkasz tego złodzieja Fliengentela, to mu tak ściskasz rękę?

— Bo kiedy trzymam go za rękę, to wiem, że mi nie z kieszeni nie wyciągnie!

TRAFIŁA KOSA NA KAMIEŃ.

— Podczas mych podróży widziałem wieżę, której szczyt sięgał do nieba — mówił pierwszy.

— A ja — rzecze drugi — widziałem wieżę tak niską, że jej wcale widać nie było.

Z GODZINY RELIGJI.

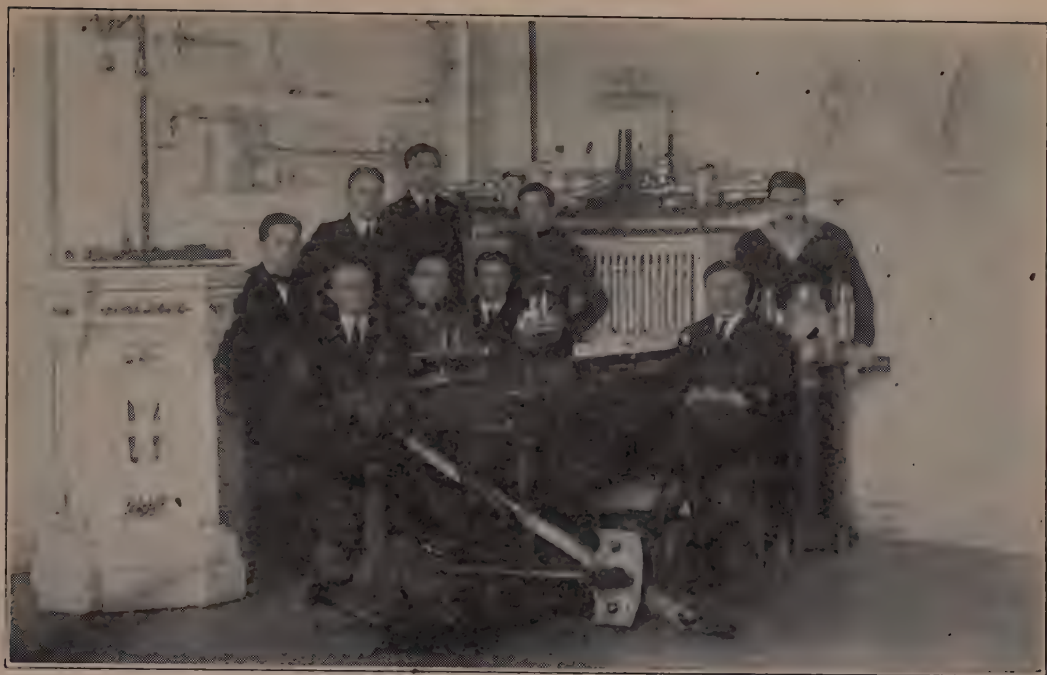
Katecheta (nauczając dzieci, czym jest grzech i zło). — Kto z was może mi teraz powiedzieć, co jest zło?

Mała Jadzia: — Gdy się mamie ukradnie dużo śliwek i powie się, że nie ma żadnych — a ma się ich pełno w kieszeni.

U DOKTORA.

— Dlaczegoż konsyljarz nie był na pogrzebie nieboszczyka radcy? Był to pański znajomy, zresztą leczył go pan przecież.

— Dlatego właśnie nie poszedłem. Widzisz pan, porządny szewc nigdy sam roboty nie odnosi.



Modelnia i Kurs Młodszy Szkoły Marynarskiej w Toruniu.



Wnętrze Kasy w Szkole Marynarskiej w Toruniu

Na Polowaniu.

Pewnego razu pan wielce zamożny
Wyszedł, by sobie uprzyjemnić chwile
I tak zwyczajem jak każdy "wielmożny",
Poszedł do lasu by czas spędzić mile.

Wszedłszy w gęstwinę, ujrzał pustelnika,
Więc się zatrzymał i począł go badać
O powód, który go w puszczy zamyka.

Ale pustelnik zamiast odpowiedzieć
Także zapytał: "Proszę powiedz panie,
Co ty tu robisz i poco tu błądzisz?"

"Ja idę sobie tu na polowanie —

Pan mu odpowie — więc cóż o tem sądzisz?"

"Otóż ja także w tej puszczy poluję —

Rzecz pustelnik — lecz nie na zwierzynę,
Tylko na Niebo, które mi wskazuje,

Że tam jest Pan Bóg — Szczęście me jedyne.

Żyjąc tu bowiem w pokucie katuszy,

Chcę tam ułatwić, co jest najdroższego.

Chcę posiąść Niebo — zbawienie mej duszy,

Być uczestnikiem szczęścia najwyższego."

Świat—to pustynia, miejsce niebezpieczne;

My zaś jesteśmy wszyscy myśliwymi.

Więc jeśli chcemy złowić szczęście wieczne,

Polujemy na nie uczynkami swymi.

Dosyć jest temu podobnych myśliwych,

Którzy polują na dzieł tego świata,

Nie przeczuwając zasadzek zdradliwych,

W których im grozi ich duszy utrata.

Jeden poluje na pieniądze — mienie,

Drugi w zaszczytach widzi ideały,

A trzeci chciałby znaleźć swe zbawienie

W brudzie rozpusty, w szczęściu ziemskiej chwały.

Lecz mało takich którzyby pragnęli,

Wstępować w ślady tego pustelnika;

Którzyby chcieli — aby nie zginęli

— Pokus unikać, jak on ich unika.

Więc jeśli jesteś rozsądnym myśliwym,

I chcesz wyjść z puszczy światowej bezpiecznie,

Poluj na Niebo! a będziesz szczęśliwym,

Albowiem przez to będziesz z Bogiem wiecznie.

Andrzej Wiśniewski.



PRAWDZIWA LEGENDA.

(Przekład JULJANA TUWIMA).



TYCH DNIACH opowiadano mi o zdarzeniu z przed dwudziestu pięciu laty. Historia ta dotyczy pewnego gubernatora, który, stosownie do zajmowanego stanowiska, odznaczał się ogromną kategorycznością sądów i poglądów.

Jest to historia prawdziwa, lecz robi wrażenie legendy — nie tyle przez swą dawność (działo się to zaledwie dwadzieścia pięć lat temu!), ile przez smutek i ponury ton.

Pewnego zimowego wieczoru w sali klubu miejskiego, w mieście gubernialnem, siedzieli czcigodni obywatele i grali w karty. Pośród grających był kierownik ruchu kolejowego i naczelnik więzienia. Ktoś wspominał o zapachach śnieżnych.

— Ach, to nieszczęście poprostu! — odezwał się kierownik ruchu. — Zasypany pociąg stoi już drugi dzień w polu — i nic nie można poradzić. Brak nam rąk roboczych.

Słyszając to, naczelnik więzienia zamyslił się.

Po chwili zaś powiedział zdanie, które fatalnie zaciążyło na całym jego życiu późniejszym.

— Niech pan ofiaruje sto rubli na patronat, a ja tej nocy jeszcze pošle swoich więźniów, aby szybko uprzętnęli śnieg z linji.

Kolejarz ucieszył się i serdecznie podziękował.

— Pan wybawiasz nas poprostu! Przecież to pociąg osobowy tam w polu!

— Niech pan będzie spokojny, wszystko się urządzi.

Naczelnik więzienia tejże samej nocy wysłał więźniów z łopatami. Tor oczyszczono i pociąg z tryumfem przywiózł do miasta zmarzniętych i głodnych pasażerów.

O tym wypadku zawiadomiono gubernatora.

— Zuch! Co za pomysłowość! Jaki spryt! Trzeba koniecznie postarać się dla Zurawlichina o jakiś awansik, odznaczenie lub coś w tym rodzaju. Zuch Zurawlichin!

Gubernator cieszył się, a wicegubernator z przerażeniem odczytywał raport jednego z podwładnych o tem, że

naczelnik więzienia nocą wywiózł za miasto wszystkich więźniów, do czego nie miał żadnego prawa, co się wyraźnie sprzeciwia przepisom i powinno być natychmiast ukarane z całą surowością obowiązujących ustaw.

Wice-gubernator pospieszył do gubernatora.

— Zuch ten Żurawlichin — zaczął pierwszy gubernator — trzeba się dla niego postarać o jakiś awansik, order, czy coś w tym rodzaju!

Wice-gubernator spojrzał zdumiony.

— Czy waszej ekscelencji wiadomo, co on zrobił ubiegłej nocy? Wbrew prawu wywiózł wszystkich więźniów z miasta. To wyraźne bezprawie.

— O? — zdziwił się gubernator. — Bezprawie? Rzeczywiście. Jak on śmiał? Ja go nauczę! Zawołać mi tu Żurawlichina!

I dostała się Żurawlichinowi taka bura, że przez dwa dni robił sobie po tem gorące okłady na brzuch.

Po kilku dniach spotyka gubernator kierownika ruchu i skarży mu się na zdenerwowanie.

— Ani chwili spokoju! Ten pański Żurawlichin urządził podobno jakąś awanturę! Wywiózł w nocy więźniów za miasto! Ładna sztuczka z niego!

Kolejarz zdziwił się.

— Ależ, ekscelencjo! Cóż w tem karygodnego? Wywieziono ich przecież w wagonie dla aresztantów i pod strażą. Taki wagon to to samo, co więzienie.

— Co pan mówi? — ucieszył się gubernator. — To samo, co więzienie? Zuch ten Żurawlichin. Mówiłem, że zuch! Postaram się dla niego o jakiś awansik lub coś w tym rodzaju. Oczywiście: wagon dla aresztantów — to więzienie. Okna zakratowane... Zuch! Zuch! Zawołać mi tu Żurawlichina.

Minął tydzień. Wice-gubernator,

zaniepokojony powolnością swego zwierzchnika w załatwieniu sprawy tak ważnej jak bezprawny czyn Żurawlichina, przypomniał gubernatorowi tę smutną aferę.

Lecz gubernator wyśmiał go.

— Nie było żadnego bezprawia! Wagon dla aresztantów to samo, co więzienie. A Żurawlichin — zuch! Zawołać go tu!

Wice-gubernator nie ustępował jednak.

— Według przepisów, więzień nie miał prawa oddalać się od murów więziennych na dystans przekraczający pewną określoną ilość sążni. Więźniowie zaś Żurawlichina rozeszli się po całej linji kolejowej. Co tam wagon! Nie siedzieli przecież w wagonie, tylko odkopywali pociąg.

Gubernator spochmurniał.

— A to łotr ten Żurawlichin! Rzeczywiście: nie siedzieli przecież w wagonie. Jak on śmiał? Zawołać go tu!

Po dwóch godzinach odwiedził gubernatora wpływowy generał.

Zaczął opowiadać, jak to śnieg zasypał pociąg, którym jechał, i gdyby nie energja naczelnika więzienia, to pewnoby wszyscy pasażerowie zginęli. Rozpływał się w pochwałach dla Żurawlichina i prosił gubernatora, aby nagrodził i odznaczył dzielnego naczelnika.

Generał był grubą rybą. Gubernator znowu zmiękł.

— Rzeczywiście. Zuch ten Żurawlichin! Ja już sam myślałem o odznaczeniu lub czemś w tym rodzaju. Zawołać mi tu Żurawlichina!

Tak płynęły miesiące i los igrał z osobą Żurawlichina, jaśniejąc mu na przemian błogą nadzieją i mącąc spokój.

Lecz Żurawlichin nie żalił się. Jak dziecko, przenoszone podług metody Kneippa z zimnej wody do gorącej i

odwrotnie, albo umiera, albo tak się hartuje, że mu już nie i nigdy nie zaszkodzi, tak Żurawlichin zahartował się na wszystko.

Lecz biedny gubernator, zmieniając wciąż zachwyt na gniew i z gniewu znów w zachwyt wpadając, nadszarpał sobie nerwy i zaczął niedomagać.

Nawet na łonie rodziny, zajęty sprawami domowymi, nie mógł zapomnieć o Żurawlichinie i zależnie od okoliczności, albo gderał:

— Jak on śmiał? Zawołać go tu!

Albo zacierał ręce:

— Zuch! Zuch! Trzeba mu koniecznie coś takiego...

Grając w karty, wlepił nagle oczy w obywatela i szeptał:

— Jak on śmiał?

Albo, biorąc lewą, przyśpiewywał:

— Zuch, zuch, zuch!

Nastąpiła katastrofa.

Pewnego razu zobaczył gubernator u znajomych papugę w klatce. Ptak kiwał głową i wołał:

— Lora drań, Lora — drrrań!

Albo:

— Brawo, Lora! Cukru, Lora!

Jakaś mgława, półświadoma myśl wywołała nagle w duszy gubernatora dziwne skojarzenie. Usiadł i gorzko płakać zaczął.

— Jak można tak męczyć ptaka? Przecież to także człowiek! Także twór boży!

I potem otrzymał dymisję z prawem noszenia munduru ze wszystkimi odznakami.

Tak oto brzmi owa legendarna historia, wykazująca w sposób dobitny, jak to nieraz bardzo trudno jest zachować wypływającą z obowiązków służbowych stanowczość, oraz kategoryczność w sądach i postępowaniu.

HUMOR HISTORYCZNY.

Za ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, żył śmiały i cięty poeta, Kajetan Węgierski.

Stanisław August, król słabego charakteru i słabego ducha, wzniósł w Warszawie pomnik z kamienia jednemu z najdzielniejszych swych poprzedników, Janowi Trzeciemu Sobieskiemu, który pobił Turków pod Wiedniem. Na tę uroczystość budowy pomnika urządził Stanisław August kosztowne zabawy i gonitwy, zwane karuzelem. Wówczas Węgierski puścił po Warszawie taki wierszyk:

“Sto tysięcy karuzel! Jabym dwieście
łożył,

By Stanisław skamieniał, a Jan Trzeci
ożył”.

Pewien znów magnat postawił w ogrodzie piękny pomnik swemu parobkowi, który był razem z nim na wojnie i ocalił go od śmierci, przypłacając to życiem własnem.

Na tym pomniku był napis, w którym jednak mało było o dzielności i poświęceniu zmarłego, a dużo o tem, że był sługą magnata. Węgierski, zgniewany niewłaściwym napisem, taki przesłał magnatowi:

“Gdyś mu stawiał ten nagrobek,
On już nie był twój parobek,
Ty nie byłeś jego panem,
Siedź więc cicho trutniu, —

Amen.”

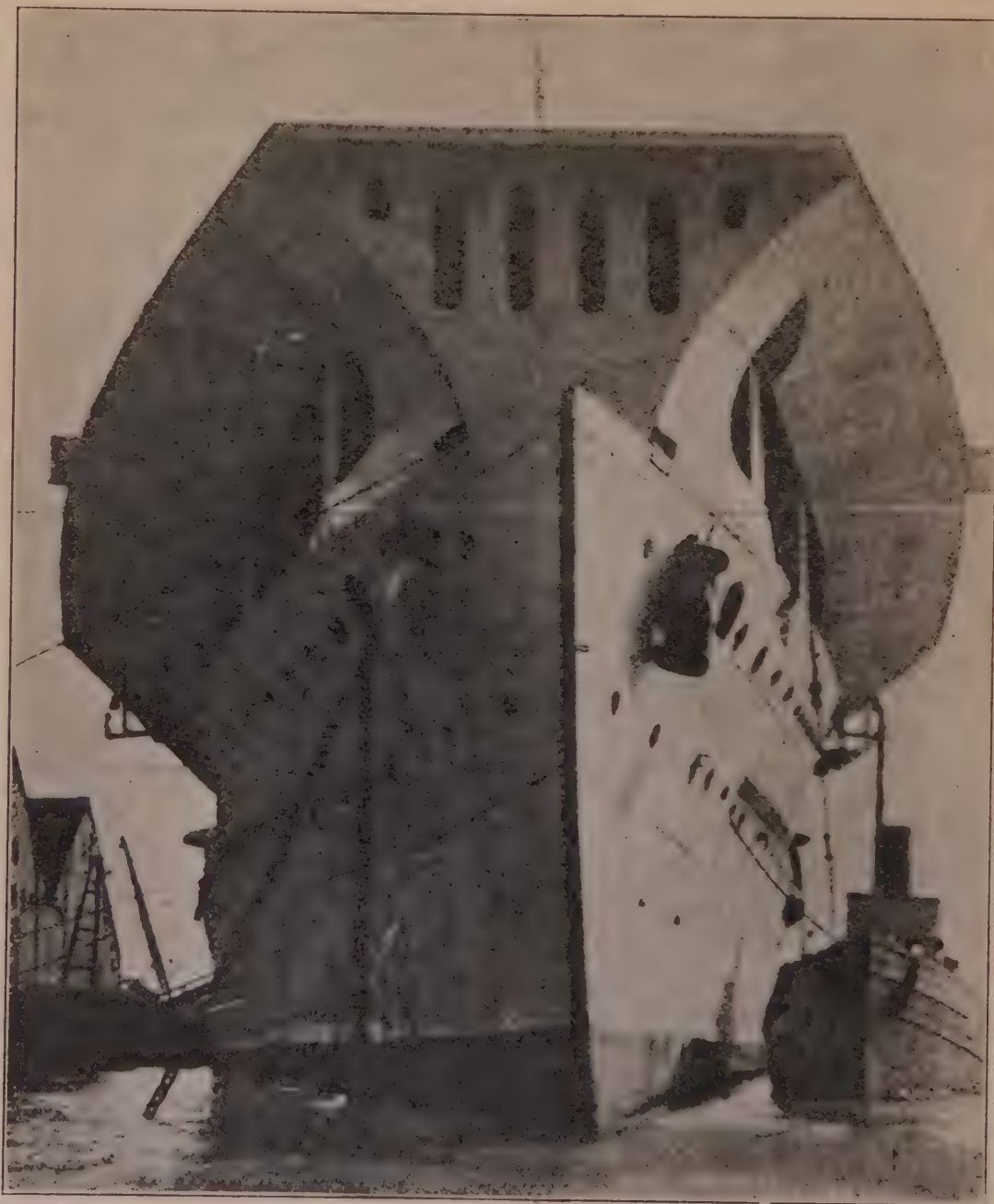
Gdy pewnemu magnatowi dała się we znaki własna żona, Węgierski pocieszył go wierszykiem który złożył naprędce:

“Że Pan Bóg jedno żebro wyjął
Adamowi,

I z tego stworzył Ewę — w to
nam wierzyć każą;

I wierzę — odtąd bowiem, które-
muż mężowi

Żony bokiem nie wyłożą?”



"Eagle", najbrzydszy okręt floty angielskiej.—Okręt ten początkowo został zbudowany jako krążownik, później jednak postanowiono dodać platformę dla aeroplanów—stąd to ten potworny niemal wygląd.



POCZĄTEK RZYMU.



EDŁUG starożytnych podań miasto Rzym powstało ze zbiegów i wyrzutek ludzkiego społeczeństwa, jacy się usadowili na siedmiu wzgórzach, w pobliżu ujścia do morza rzeki Tybru. Historję założenia Rzymu podaje, między innymi, historyk, Titus Livius, który skreślił w swem dziele "Ab Urbe Condita", wiele barwnych i zajmujących obrazków z najdawniejszych dziejów swego ojczyzestego kraju. Na nim też opieramy głównie swoją znajomość najdawniejszej przeszłości Rzymu i państwa rzymskiego.

Pierwsi obywatele i ojcowie miasta Rzymu to bandyci pierwszej wody, trudniący się w wolnych chwilach wypasaniem zrabowanych sąsiadom trzód owiec i bydła, staczący z sobą, dla wyćwiki, zapasy i obmyślający ciągle nowe sposoby rabunku. Byli to ludzie bezzenni, do pewnego stopnia podobni do ukraińskich kozaków, zupełnie zdziczałi i zdemoralizowani. Żaden italski mieszkaniec nie chciał dać swej córki żadnemu z tych bandytów, znieprawionych przez społeczeństwo.

A jednak ci ludzie młodzi i zdrowi chcieli się żenić. Uciekają się do podstępów. Urządzają uroczystość cyrkową na cześć bożka Neptuna i zapraszają na nią jako widzów sąsiednie plemię Sabinów, którzy przybyli na uroczystość z żonami i córkami już to ciekawości, już to dlatego, aby na siebie przez odmowę nie ściągnąć zemsty bandytów.

Podeczas uroczystości młodzi bandyci porywają Sabińskie niewiasty, Sabinowie zaś pouciekali oburzeni do domów i zaczęli z sąsiadami zmawiać się na wojnę przeciwko bandytom. Atoli przed samą walką wystąpiły w roli pośredniczek porwane ich córki,

które już miały wnet zostać matkami, więc do wojny nie przyszło, ale do zgody, na której znowu bandyci skorzystali. Wielu bowiem co najznakomitszych Sabinów przeniosło się na mieszkanie pomiędzy bandytów, aby być bliżej swoich córek i wnucząt. W ten sposób, przez podstęp i gwałt, wzrosła osada bandytów, nazwana później Rzymem.

Za twórcę Rzymian uchodzi znowu Romulus, który był bratem Remusa. Matką ich miała być dziewica, kapłanka Rea Sylwia, która była Westalką (tj. kapłanką bogini Westy), ojcem zaś bożek wojny, Mars, który na kapłance dopuścił się gwałtu. Srogów wuj kazał Reę Sylwii utopić, za przekroczenie przykazania o dziewictwie, a dzieci jej: Romulusa i Remusa włożył do koszyka i w Tybrze utopić. Tak też uczynił sługa i wyrzucił bliźnięta z koszem do Tybru, który właśnie wskutek powodzi wystąpił z brzegów i rozlał się szeroko, ale wnet potem opadł i koszyk z dziećmi osiadł na mieliznie, między zaroślami.

Zgłodniałe niemowlęta kwiliły. Zdarzyło się, że wtenczas z gór nadbiegła do wody spragniona wilczyca od szczeniąt, a usłyszawszy kwilenie niemowląt, zbliżyła się do nich i nakarmiła je swoim mlekiem. To powtarzało się przez dłuższy czas, aż wreszcie niemowlęta znalazł pewien pasterz i w domu swim wychował.

Wskutek odkarmienia się mlekiem wilczycy niemowlęta nabrały wilekiej dzikości, która ich całe życie nie opuściła i przeszła w ich pokolenie.

Pierwszym objawem dzikości było zabicie Remusa przez brata Romulusa dla błahej przyczyny. Romulus, obrany przez bandytów pierwszym królem, oborał miejsce, przeznaczone pod budowę miasta Rzymu i

zakazał, aby nikt nie ważył się przekroczyć skiby. Atoli brat jego w żarcie skibę przeskoczył. Widząc to, Romulus bez namysłu na miejscu zabija brata za przekroczenie zakazu (prawa) i nie odczuwa z powodu bratobójstwa żadnego wyrzutu sumienia, ale przeciwnie, chełpi się tem i grozi:

“Tak zginie każdy, kto się odważy przekroczyć mój rozkaz.”

W pewien czas później, gdy już Romulus urządził pierwsze zastępy wojskowe i odniósł kilka zwycięstw, został podczas prześlądu wojska nad Jeziorem Kozim, w czasie burzy, rozszarpany rękami swoich senatorów, którym dobrze dał się we znaki, i wrzucony do jeziora.

Wobec tłumów, uwielbiających gwałtownika za jego dzikość i odwagę, skłamano, że Romulus został żywcem do nieba wzięty i że ukazał się nazajutrz pewnemu senatorowi, któremu polecił, aby naród rzymski oddawał mu cześć boską pod imieniem Kwiryna. Tłum baśni uwierzył i bratobójcę, gwałtownika, pomiędzy bogów zaliczył. Romulus pozostawił, po swem rzekomem objawieniu się senatorowi (Paterculusowi) surowy nakaz, aby Rzymianie pielęgowali sztukę wojenną i podbijali pod swe panowanie wszystkie narody.

Ale już następca jego, Numa Pompiljusz, Sabińczyk, człowiek bardziej kulturalny, zauważył, iż takie dzikie plemię długo się nie utrzyma i nie może wytworzyć bez inteligencji umysłowej żadnej trwalszej potęgi państwowej. Zaczyna więc ową dziec cywilizować, a to najprzód przez religję.

Uczy sam, jak należy czcić bogów. Zakłada kościoły i kaplice i ustanawia całe kolegia kapłańskie, ofiary, modlitwy, obrzędy itd.

Wszystkie te urządzenia kościelne, nad którym Numa pracował przez czterdzieści lat zgórą (w latach około 700 przed Chrystusem), a które z biegiem czasu ciągle się pomnażały i udoskonalały, przetrwały w kościele rzymsko-katolickim, aż do dni naszych. Można wykazać wiele obrzędów, a nawet modlitw, wziętych dosłownie prawie z obrzędów starorzyskich, pogańskich. Podobnie ma się sprawa z godnościami kapłańskimi w tymże kościele i innemi instytucjami. Zwracamy uwagę, że zakonnice (Westalki) znanemi były, według świadectwa Liviusa, na 700 lat przed narodzeniem

Chrystusa, a kościół później nazwał je tylko po swojemu.

Pierwotną formą rządu rzymskiego narodu była anarchja bandytów; później wprowadzono rządy królewskie. Miało być siedmiu zrzędu królów, z których ostatnim był Tarkwiniusz Pyszny. Wypędzono go i po ciężkich ofiarach rewolucji wprowadzono republikę około roku 500 przed Chrystusem, trwającą do roku 30-go po Chrystusie, gdy znowu podstępnie wtargnęły rządy monarchiczne i te przetrwały polityczny upadek państwa rzymskiego.

Republikański Rzym wzrastał prędko, pomimo niezwykłych trudności. W myśl rzekomego zlecenia Romulusa (bożka Kwiryna) Rzymianie ujarzmiają podstępnie dokoła sąsiadujące z nimi italskie plemiona, tępiąc opornych bez litości z zaciekleścią, wilków. Z nienasyconą chciwością pożera Rzym jedno pokolenie italskie po drugim, niwecząc raz na zawsze zdobycze ich kulturalne i literackie, a zastępując je swoją, półdziką kulturą. Plemiona italskie bronią się zawzięcie, przyzywając pomocy z poza granic Italji, ale w końcu ulegają i giną. Najdłużej broni się plemię potężnych Samnitów, których wreszcie aż w pierwszym wieku przed Chrystusem pokonał ostatecznie sławny Sulla, pod bramą kolińską (Porta Collina.)

Jak cheiwie i prędko pochłaniał Rzym narody jeden po drugim—wystarczy przytoczyć fakt, że republikański Rzym w ciągu 120 lat opanował cały ówczesny, znany świat.

Polityką kierowali kapłani, tak dalece, że nawet dni pomyślne dla wyprawy wojennej kapłani oznaczali za pomocą różnych gusiel — dla złudzenia tłumów — w gruncie rzeczy na podstawie dokładnych obliczeń.

Kapłani wymyślili bajkę o Księgach Sybilińskich, w których przepowiedziano być miała przyszłość Rzymu i państwa rzymskiego, a do których to ksiąg tylko kapłani mieli dostęp i oni jedni rzekomo znali przyszłość państwa.

Rzymianie wcale się nie wstydzili swego pochodzenia, ale przeciwnie, chełpili się tem, że są potomstwem Romulusa. Poświadcza to między innymi poeta rzymski Ennius, który w swoich rocznikach pisze, iż “po drugiej wojnie punickiej (z Kartaginą) oskrzydłona muza spuściła się na dzikie plemię Romulusa” (“Musa pinnato gradu intulit se bellicosa in Romuli gentem feram.”) To znaczy Rzymianie wtedy, przez zwycięż-

ę, Scypiona, zetknęli się po raz pierwszy z kulturą grecką i odtąd zaczynają się zajmować nieznana wśród nich dotychczas, wyższą kulturą i literaturą. Grecy byli im mistrzami.

Wskutek zwyciężkich wypraw olbrzymie bogactwa nagromadziły się w Rzymie i zbiegały się tu narody z całego świata.

W pierwszej połowie wieku po narodzeniu Chrystusa następuje uspokojenie Rzymu po niesłychanych przed tem w historii masowych morderstwach i zabójstwach, jakie przez długi czas w Rzymie szalały w czasie wojen domowych, pomiędzy kandydatami do władzy. Gryzące się pokolenie wilczyce ujarzmił chytrze Oktawian August i zaprowadza władzę cesarską.

Za jego panowania dostają Rzymianie swoją "biblię" narodową w postaci Eneidy

Wergilego, który w szóstej księdze tegoż dzieła złożył swój testament dla Rzymu. oparty na "boskiem zleceniu" Romulusa. Testament ten streszcza się w następujących słowach:

"Niechaj inne narody zajmują się nauką i sztuką, niechaj wymierzają ziemię i przestronie świata; a ty, Rzymianinie, pamiętaj o tem, że masz panować nad wszystkimi narodami i masz im swoją formę pokoju nakładać. Panowanie nad światem — to twój przywilej przez bogów ci nadany".

W tym samym duchu przemawia także wieszcz Horacy, który swemu narodowi każe niezłomnie wierzyć w wieczność panowania Rzymu.

Rzymscy cesarze pozostali wiernymi tym wskazaniom aż do ostatniego (Romulusa Augustulusa).

Najgorętsze Miejsce Na Ziemi.

Najwyższa znana na ziemi temperatura panuje na głuchej nizinie w Kalifornji, nizinie zwanej "Doliną Śmierci." Miejsce to, 20 kilometrów szerokie a 250 kilometrów długie, ma w dni najgorętsze temperaturę 71 stopni Celsjusza. Ziemia rozgrzewa się tu pod wpływem słońca do tego stopnia, że podnosząc kamień ze ziemi poparzy się palec. Ten obszar produkuje najwięcej boraksu na świecie. Do niedawna transportowano tę kosztowną sól za pomocą wozów, zaprzężonych w ośmnaście par mułów każdy, dzisiaj transportują boraks za pomocą ciężarowych samochodów do stacji kolejowej oddalonej o 300 kilometrów. Produkcja boraksu i transport należą do najtrudniejszych zadań. Znajdowano woźniców nieżywych, trzymających jeszcze flaszkę z wodą w ręce. Woda przywożona tam w naczyniach z powodu nadmiernego gorąca dochodzi do punktu wrzenia.

Ostatnio amerykańscy inżynierowie dokonali prawie że cudu, łącząc za pomocą linii kolejowej tę dolinę śmierci i piekła ze światem zewnętrznym. Zbudowano cały szereg na kilometry długich wiaduktów. Najgorszym nieprzyjacielem tych robót było słońce. O wpływie promieni słonecznych nabiera się

dopiero pojęcia, gdy się naprzykład słyszy, że biurko jednego z inżynierów rozpadło się pod wpływem gorąca na kawałeczki po paru dniach. Przez kolej ułatwiono znacznie produkcję boraksu, która dochodzi do trzech milionów ton rocznie.

Mądre Myśli i Zdania.

Niektórzy ludzie są tak zajęci, że nie mają czasu się zestarzeć.

Ten, kto ci powie, że zrozumiał kobietę, wido-
cznie przestał już siebie rozumieć.

Zda się, że natura nadzwyczaj lubi płatać figle, a stwierdzają to dość jasno niektórzy ludzie, twory natury.

Wielu ludzi nie rozumie znaczenia słowa pożyczyć... w ich mniemaniu pożyczyc znaćzy tyle, co dać.

Intelekt mędrca, jest jak szkło; dopuszcza ono światło nieba i odbija je.

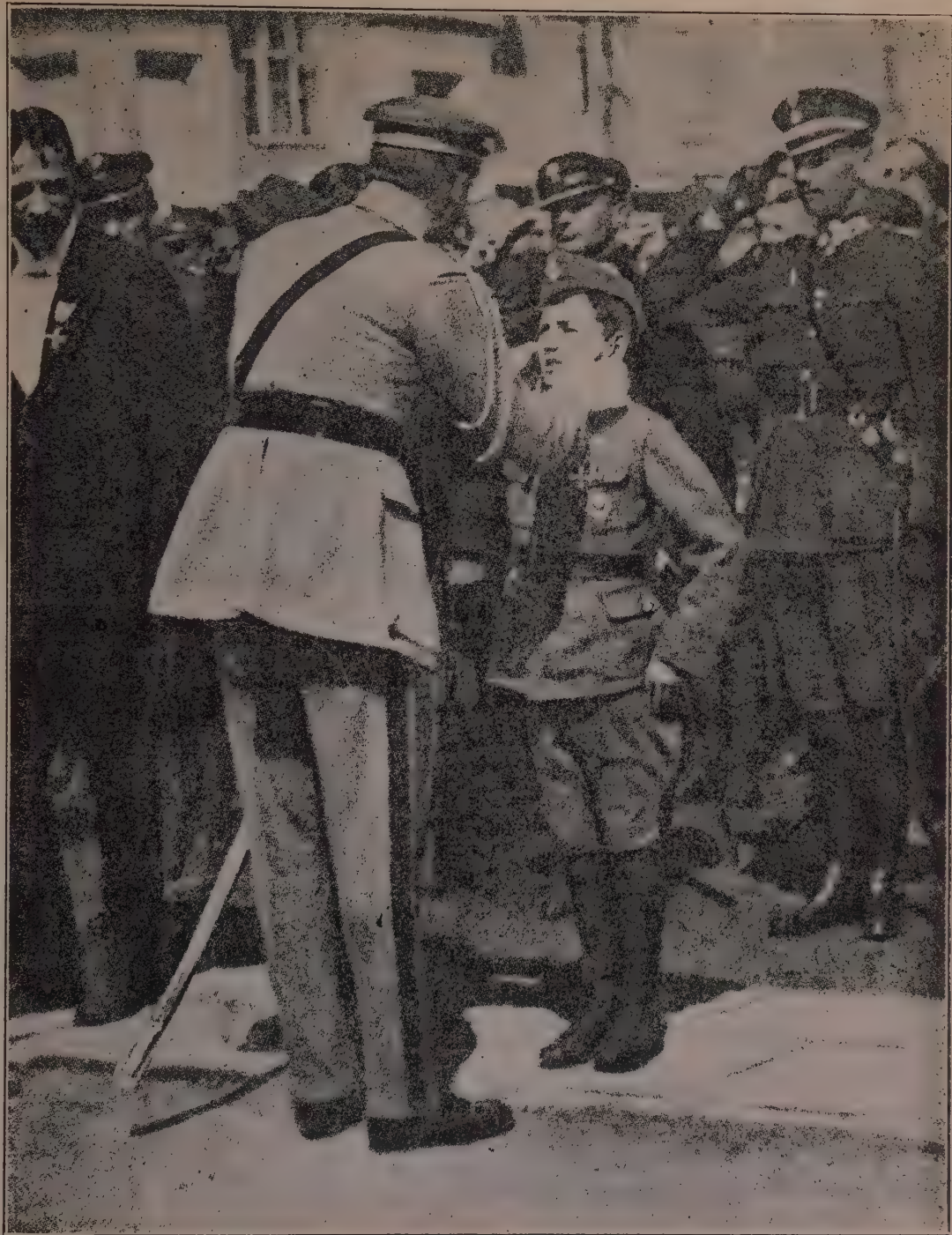
Człowiek, który ma mało na umyśle, zazwyczaj ma dużo na języku.



Oddział z dywizji wielkopolskiej, w umundurowaniu niemieckiem. Fotografia zdjęta podczas wojny Polski z bolszewikami.



Typy żołnierzy bolszewickich, wziętych do niewoli przez wojska polskie podczas najazdu bolszewików na Polskę.



MAŁY OBRONCA PŁOCKA.

Fragment z uroczystości wręczenia przez Naczelnika Państwa orderu "Virtuti militari" bohaterom Płocka.



ZŁOTO.

Skarżył się lud na biedę, źle mu się zdawało,
Ze choć miał dosyć chleba, pieniędzy miał mało;
A niepokojąc Boga prośbą natarczywą,
Uzyskał, iż go złota ukarał zalewą.
Jak grad na ziemię padały dukaty.
Z pałacu i z ubogiej chaty,
Naród zdyszany
Leci czempredziej zbierać ów dar pożądaný.
Wszystko wtenczas ze zwykłych karbów wyboczyło,
Nikogo ni w świątyniach, ni w domu nie było.
Lecz niedługo mniemana uciecha potrwała,
Ta ulewa obficie kraj cały zalała,

Mieli dosyć pieniędzy, lecz gdy kupić trzeba,
Nikt nie dał za dukata i kawałka chleba.
Każdy miał dosyć złota, a jednak żył w nędzy.
Wtenczas wartość prawdziwą poznano pieniędzy.
Niejeden westchnął z płaczem, umierając z głodu,
Że nie w złości prawdziwa szczęśliwość narodu.

Stanisław Jachowicz.



ŻARTY I DOWCIPY



SZCZEGÓLNE WYKROCZENIE.

Sędzia: — Za co cię policjant aresztował?

Włóczęga: — Bo spałem i zakłócałem spokój publiczny.

ZAWSZE ZAMAŁO.

— Pańska teściowa o mało się wczoraj w teatrze na śmierć nie zaśmiała.

— Niestety! Ona wszystko robi zamało!

DELIKATNA SORTA.

— Czy wie pan już, że fabrykant cygar Sottys wprowadził w handel pewne cygara pod marką 'granat ręczny'?

— Jakto, czy forma cygara jest podobna do granatu ręcznego?

— E, nie, przy tem cygarze znaczy to: zapalić i... rzucić precz.

GARBATY LOS.

Sławny miliardier Vanderbilt posiadał w Ameryce Północnej wiele kolei żelaznych i nazywał się dlatego 'królem kolejowym.' Pewnego dnia siedział on w wagonie jednej ze swoich własnych kolei, gdy wtem otwiera drzwiczki wagonu konduktor, kontrolujący i przebijający bilety. Konduktor, poznawszy Vanderbilta, uważał za zbyt uczte pytać go o bilet na jego własnej kolei.

Ale inaczej myślał Vanderbilt, i dał konduktorowi do zrozumienia, że powinien zawsze i bez wyjątku pytać każdego podróżnego o bilet albo o legitymację do podróży, inaczej on sam będzie pociągnięty do odpowiedzialności i do wynagrodzenia ewentualnej szkody.

Jak powiedziano, tak zrobiono! Konduktor stał w pozycji służbowej i prosi Vanderbilta, aby mu pokazać bilet.

Z tryumfującą miną Vanderbilt sięga do swojej torebki podróżnej, gdzie zwykły był trzymać bilety kolejowe. Ale tam niema biletu. Szuka następnie w pugilaresie i w kieszeniach—ale na próżno! Biletu jak nie było, tak niema!

— Proszę się spieszyć! — mówi konduktor niechętnie. — Przez pana nie mogę tutaj tak długo daremnie czekać i stać, bo mam innych także pasażerów!

Vanderbilt przewraca wszystkie swoje kieszenie i kufy — nademno — biletu niema!

— Zapomniałem, zdaje się, postarać się o bilet, — mówi wkońcu Vanderbilt.

— Tak? To musi pan zapłacić bilet i karę — mówi konduktor surowo—gdyż jest moim obowiąz-

kiem zawsze i bez wyjątku pytać każdego podróżnego o bilet, inaczej ja sam musiałbym szkodę wynagrodzić!

Zamyślony wyjął Vanderbilt swoją sakiewkę i zapłacił należytość za bilet. Potem położył się na miękkich poduszkach wagonu, mrużąc sam do siebie: — A to garbaty los — i na to mam swoje własne koleje!

DOBRA DUSZA.



Naczelnik do nowego urzędnika: — Ciągłe jeszcze pan zajęty, panie asystencie? To mi dopiero pilność! No, skończ pan, ma pan na dzisiaj dosyć!

Asystent: — Chwilkę jeszcze tylko, panie naczelniku! Zaraz będę gotów; napiszę tylko parę wierszy dla starej panny, która już od trzech tygodni czeka na list miłosny i zawsze taka zasmucona, kiedy go niema...

OKROPNE WSTRZĄSIENIE.

Nowy murarz na budowie: — Czemu nasz majster pozwala raz tylko kichać?

Towarzysz: — Ponieważ ktoś mu zniszczył budowę — kichaniem...

ON MA SŁUSZNOŚĆ.

— Na co to? — odpowiedział profesor. — Mój panie — jeden język to dosyć dla kobiety — a czasem nawet za dużo!

— Na co to? — odpowiedział profesor. — Mój panie — jeden język to dosyć dla kobiety — a czasem nawet za dużo!

JUBILEUSZ.



Pan Knuciel: — Przepraszam pana sędziego, ale właśnie wtedy przypadł jego dwudziestoletni jubileusz rozpoczęcia interesu!

Pan Knuciel: — Przepraszam pana sędziego, ale właśnie wtedy przypadł jego dwudziestoletni jubileusz rozpoczęcia interesu!

TO MU ODRAZU WPADŁO!

— Jak wy to zauważyliście? — pyta kapitan.

TO SZTUKA DOPIERO.

TO SZTUKA DOPIERO.

Hala: — Biedny Stach! Gdyby choć mógł przebierać często pończochy!

PRZYJĘTO GO.

— Takiego cudaka ze siebie nie zrobię, bo by się wszyscy górale ze mnie śmieli.

ANEGDOTA Z SZESNASTEGO WIEKU O SŁAWNYM MIKOŁAJU REJU.

— A kto tę wieś trzyma?
— Ziemia a ploty.
— A któż tu panem?
— Ten, co ma więcej pieniędzy.
— A któż to starszym?
— Jest tu baba, co jej przeszło sto i dziesięć lat,
to ta najstarsza.

— Któż wyższym?
— Lipa najwyższa, bo ją nad kościołem widać.
— Dalekoż południe?
— Nie szło tedy, panie, nie wiem, jak daleko jest.
Rej rozgniewany rzecze:
— Chłopie! albo to z swoim równym błaznować?
— Zsiądacie jeno, panie, z wozu, zmierzyna się,
chcę wiedzieć, jeśliżwa nie równi.
— Widzi mi się, chłopie, weźmiesz w gębę!
— Nie wezmę, panie, bo ja nie pies, wolę w re-
kę, jako człowiek.

ZDECYDOWANY.

Student: — Ależ naturalnie! Narazie jestem pa-
ni czynsz... dłużnym.

JAKO ADWOKAT.



Jeden z panów: — Skądże pan mecenas w takich łaskach u pani?

Panna: — To całkiem proste: jako adwokat najlepiej chyba umie — ściągać skórę z ludzi!

ZAZDROSNY MAŁŻONEK



AŻ może zdradzać żonę ile mu się podoba, a mimo to nie przestanie być tym samym kochającym, czułym i zazdrosnym mężem, jakim był przed sprzeniewierzeniem się jej!

Poglądowa historia, która zdarzyła się raz z panem Pietuchowem, może posłużyć za arcywzór tej wiecznej prawdy.

* * *

Pietuchow zaczął od tego, że — mając żonę — poszedł razu pewnego do teatru bez żony i ujrzał tam wysoką, piękną brunetkę. Miejsca ich były tuż obok siebie i to dało mu możliwość, obróciwszy się nieco bokiem, zachwycić się przepięknym, miękkim profilem sąsiadki...

Dalej tak było: sąsiadka upuściła futerał od binokli — Pietuchow podniósł go; sąsiadka uważnie spojrzała na Pietuchowa — ten zadrżał wewnętrznie od słodkiego dreszczu; ręka Pietuchowa leżała na poręczy krzesła — takąż pozycję zapragnęła przybrać i sąsiadka... a kiedy położyła swą rękę na poręczy krzesła — ich palce spotkały się...

Drgnęli oboje, a Pietuchow rzekł:

— Okropnie gorąco w tym teatrze.

— Tak — spuściwszy powieki zgodziła się sąsiadka. — Bardzo. W gardle mi zaschło niemożliwie...

— To niech się pani napije lemoniady.

— Nie wypada jakoś iść samej jednej do bufetu — westchnęła piękność.

— Pozwoli pani sobie towarzyszyć? Pani pozwoliła.

W ostatnim antrakcie oboje już rozmawiali, jak dawni znajomi, a po przedstawieniu Pietuchow, odprowadzając damę do dorożki, wziął ją pod rękę, przyczem trochę mocniej niż wypadało, ścisnął łokieć. Pani poruszyła się, ale ręki nie wyjęła.

— Czybyśmy więc nie mieli się ujrzeć więcej?... — z lekkim jękiem zapytał Pietuchow. — Ach! Powinniśmy się jeszcze widzieć!

Brunetka uśmiechnęła się dwuznacznie.

— Tsss! Nie można. Niech pan nie zapomina, że jestem mężatką.

Pietuchów chciał oświadczyć, że to nic nie znaczy (?), ale powstrzymał się i tylko szepnął:

— Ach, ach! Błagam panią — gdzie się zobaczymy?

— Nie, nie — uśmiechnęła się brunetka. — Nie zobaczymy się nigdzie. Niech pan porzuci te myśli. Tembardziej, że teraz codziennie bywam na scating - ringu.

— Aha! — krzyknął ucieszony Pietuchow. — O, dzięki, dzięki pani!

— Doprawdy nie wiem, za co mi pan dziękuje? Doprawdy, nie wiem! No, żegnam pana. Wsiadę do dorożki...

Pietuchow wsadził ją, pocałował jedną rękę, potem, pomyślawszy nieco, i drugą.

Pani zaśmiała się lekkim śmiechem, i odjechała.

* * *

Kiedy Pietuchow wrócił, żona jeszcze nie spała. Stała właśnie przed zwierciadłem i zaczesywała włosy na noc.

Pietuchow, pocałowawszy ją w ramię, spytał:

— Gdzieś była dziś wieczór?

— W kinematografie.

Pietuchow zazdrośnie chwycił żonę za rękę i szepnął, patrząc jej przenikliwie w oczy:

— Sama jedna?

— Nie, z Marysią.

— Z Marysią? Znam ja tę twoją Marysię!

— Nie rozumiem cię.

— Widzisz, kochana... Nie podobają mi się bardzo te twoje wędrówki po kinematografach i teatrach bezemnie. Do niczego dobrego nie doprowadzą cię!

— Aleksander! Ty mnie znieważasz... Nie dałam ci dotąd żadnego powodu!

— Ależ droga. I ja nie wątpię, żeś ty mi dotychczas wierna — ale przecież wiem, jak to się dzieje! Cha, cha! O, ja wybornie znam was, kobiety! Zaczyna się to, jak zwykle, od głupstwa. Ty, wierna żona udajesz się dajmy na to, gdzieś do teatru i tam znajdujesz tuż obok siebie sąsiada, dajmy na to, jakiegoś przystojnego blondyna. O, naturalnie, ty nie masz żadnych złych myśli. Ale przypuśćmy, że ty upuszczasz futerał od binokli albo jeszcze co innego... — ten podnosi, wy spotykacie się oczami... Ty, oczywiście, powiesz, że w tem niema nic zdrożnego? O, tak! narazie, naturalnie, nic niema. Ale on patrzy na ciebie bezustanku i to cię hypnotyzuje... Ty kładziesz rękę na poręcz krzesła — i, zgódź się — jest to bowiem bardzo

możliwe — ręce wasze naraz spotykają się! I ty, droga, ty (tu Pietuchow z jękiem zazdrości wściekłym ruchem chwycił żonę za rękę) naraz drgniesz jak od prądu elektrycznego. (Cha-cha! Stało się! Początek zrobiony! "O, jaki upał" — powiada on. "Tak" — odpowiesz naiwnie. — "Aż w gardle zaschło..." "Czy nie pozwoli pani szklanke lemoniady?" — "I owszem..."

Pietuchow porwał się za włosy i jak warjat zaczął biegać po pokoju.

Jego zazdrosny wzrok palił żonę.

— Lili! — jęczał — Lili! Przyznaj się... On potem mógł wziąć cię pod rękę, odprowadzić do dorożki i nawet — o, nędznik! — mógł był zapytać się przytem, kiedy i gdzie możecie się spotkać. Tyś naturalnie, spotkania mu nie naznaczyła — zbyt jestem tego pewien — aleś ty, Lili, mogła była przecież ubocznie mu nadmienić, że bardzo często bywasz na skating-ringu, albo jeszcze gdzieindziej... O, Lili, jak ja was dobrze znam, kobiety!

— Co ci jest, głupiutki? — zdziwiła się żona. — Przecież tego wcale ze mną nie było!...

— Strzeż się, Lili! Choćbyś nie wiem jak ukrywała prawdę przedemną — ja i tak jej się dowiem! Zatrzymaj się na skraju przepaści!

Ścisnął żonie ręce, biegał po pokoju i wogóle cierpiał okrutnie.

AFORYZMY.

Przyjaciele nasi kochają nas najwięcej za nasze błędy, które dają im prawo ganiaenia nas, albo piękniejsze jeszcze prawo — przebaczenia nam!

Milczenie kobiety jest ciszą przed burzą.

Robi się czasem wiele przygotowań, by spowodzić przypadek.

Prawdziwy głupiec prześciga beczkę Danaid.



George Washington,
pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.



Posąg brązowy, wystawiony w parku Prospect w Brooklynie na cześć 2,758
mężczyzn i kobiet z tegoż miasta, poległych w wojnie światowej.

POWSZECHNIE ZNANA

Polska Agencja Okrętowa

Założona w Roku 1910

GRZEGORZA KUNASZEWSKIEGO

REPREZENTANTA WSZYSTKICH LINJI OKRĘTOWYCH

Sprzedaż Szyfkart

~~~~~ DO ~~~~~

Gdańska, Antwerpji, Bre-  
men, Hamburga, Rotter-  
damu i Tryjestu

NA NAJLEPSZYCH I NAJSZYB-  
SZYCH OKRĘTACH



**Szczególną Opieką Otaczamy Rodziny**

*Wysyłka i wymiana pieniędzy po kursie dziennym.*

*Odjeżdżających do kraju nie zmuszam do wymiany pieniędzy.*

Po wszelkie informacje udawajcie się do znanej starej firmy:

## G. KUNASZEWSKI

179 East 3rd Street

New York, N. Y.

*Ogólne zaufanie rodaków zdobyłem rzetelnością mej obsługi, zado-  
wolilem wielu, zadowolę i was.*



# ŻARTY I DOWCIPY



## GRZECH CUDZY.

Ksiądz: — Powiedz mi grzech cudzy.

Józia: — Kradzież!

## PILNO MU.

— No, kiedyż ślub?

— Trzydziestego.

— Cóż ci tak pilno?

— Bo pierwszego mam duży weksel do płacenia.

## NA DWIE STRONY.



Konkurent: — Pozwól pan, że go poproszę o rękę jego córki.

Ojciec: — Bardzo mi przyjemnie, ale o którą? Pan bowiem patrzy na nie obie!

## PRZED PIERWSZYM.

Majster: — Odniosłeś buty panu sędziemu?

— Odniosłem.

— Cóż, dał pieniądze?

— Nie dał!... niech tam idzie Jędrak.

— A czemuż nie dał tobie?

— Czy ja wiem? Powiedział, żeby pan majster przysłał drugiego po pieniądze.

## WYDAŁ SIĘ.

— Żono, żono umrzeć pragnę!

— Naturalnie. Dla takiego leniucha, jak ty, nie byłoby większej przyjemności, niż leżeć cały dzień w trumnie i nic nie robić.

## DOBRY PODZIAŁ.

— Ja z moją żoną dzielę kłopoty, a moja żona dzieli ze mną dochody.

## ALBO PIES, ALBO CÓRKA.

— Kiedyż nareszcie zastrzelisz pan niezdolnego swego kundla, który całymi dniami tak wyje, że człowiek chwili spokoju nie ma?

— Uczynię to, skoro tylko zastrzelisz pan swoją córkę, która całymi dniami tak bębni na fortepianie, że człowiekowi świat obmiera.

## Darmo dla Cierpiących na Rupturę!

5,000 cierpiących dostaną Plapao na próbę i książkę o rupturze zupełnie darmo

STUARTA PLAPAOPADS są czemś innem od pasa. Są one zbiornikiem i aplikatorem medycyny, samo-przylepiającym się celem silnego utrzymania wewnętrzności w brzuchu. Nie ma pasków, sprzączek ani sprężyn. Nie zsuwa się więc, nie trze ciała i nie naginała na kość zwaną pubes. Tysiące osób leczyli się w domu skutecznie bez opuszczenia dziennej pracy, a skutek był nawet w najgorszych wypadkach. Miękkie jak aksamit, łatwe do używania, niekosztowne, nagrodzone złotym medalem i pierwszą nagrodą. Proces leczenia naturalny, więc pas staje się zbyteczny. Udowodnimy Wam to co mówimy, posyłając Was PLAPAO na próbę zupełnie DARMO. Napiszcie swoje nazwisko i adres na kopercie i wyślijcie pocztą, lub przysłójcie pocztówkę dzisiaj.

PLAPAO LABORATORIES  
2593 Stuart Bldg. St. Louis, Mo.

Imię i nazwisko.....

Adres .....

## ON CHCIAŁ—ALE CO INNEGO.

Wdówka: — Nikt nie zdoła zająć miejsca mego ukochanego męża...

Kawaler: — Ja... chciałem.

Wdówka: — O, to co innego! Kiedy pan chce...

Kawaler: — Ja chciałem... powiedzieć, że to bardzo ładnie z pani strony.

## NIEZGRABNA ZOSIA.



Pani: (do nowej służącej ze wsi): — Gdy Zosia przechodzi raz z wodą, to może zaraz skropić kwiaty.

Zosia: — Zaraz, proszę Pani!



Pani: — Ależ — ale — nie tak przecież!

## Z KARNAWAŁU.

“No... Jakże tam karnawał?” — pytano pana Jana.

— A niech go tam! Oto... proszę pana.

Byłem na kilku balach

Z córkami i żoną...

Zgnieciono mi kapelusz —

Palto zamieniono,

Nowiuteńkie kalosze

Komuś się przydały,

Zgubiłem rękawiczki

A... córki zostały!

## W SZKOLE.

Ksiądz katecheta poucza dzieci, że powinny się modlić przed i po jedzeniu i wypytuje każdego, czy zachowują ten zwyczaj w domu.

Jedne odpowiadają, że tak, drugie nie, nareszcie przychodzi kolej na małego Józia.

— Mój tatuś — rzecze chłopak — modli się po obiedzie.

— A jak on się modli?

— Gdy obiad się skończy, westchnie głośno i powiada: A no, dzięki Bogu podjadłem sobie porządek.

## W SĄDZIE.

Sędzia do zaareztowanego włóczęgi:

— Co, znów tu jesteście?... Sądziłem, że pierwsza kara was poprawi!

— Proszę pana sędziego, chcę się więcej poprawić.

## PO CO GADAĆ?

— Żydzie, gdybyś znalazł w szabes worek pieniędzy, czybyś go podniósł?

— Nu, po co mam gadać, ani worek z pieniędzmi nie widzę, ani dzisiaj nie szabes.

## I ON ŻĄDA NAPIWKÓW.

W hotelu. Gość przed odjazdem:

— Więc i pan żąda napiwku? Czy ja pana czemkolwiek zatrudniałem?

— Naturalnie!... Ja muszę pilnie baczyć, by nikt z gości bez zapłaty nie wyjechał z hotelu.

## Ruptura Zabija 7,000 Rocznie

Siedm tysięcy ludzi bywa pochowanych rocznie — certyfikat pogrzebu bywa naznaczony: “Ruptura.” Czemu? Dlatego, że ci nieszczęśliwi lekceważyli lub mało się zajmowali znakiem (opuchnięciem) tego miejsca, nie bacząc na nie. Co ty robisz? Zaniedbujesz się, nosząc tak zwane pasy, przyrządy, nazywając je czem chcesz? Najwyżej pas jest tylko usiłowaniem — fałszywą podporą rozpadającej się ściany — i nie może więcej zdziałać jak mechaniczna podpora. Ściskanie to wstrzymuje cyrkulację krwi, pozabawiając osłabione muskulary tego co najbardziej potrzebują — pokarmu.

Lecz nauka odszukała sposób, i każdy cierpiący z pasem w świecie jest proszony zrobić próbę DARMO, w swym własnym domu. PLAPAO metoda jest bez kwestji najbardziej naukową, logiczną i skuteczną kuracją na rupturę, jaką świat widział kiedykolwiek.

PLAPAO PAD, gdy przylega ściśle do ciała — nie może się zamknąć ani ruszyć się z miejsca, dlatego nie może rozjrzynać ani szczypać. Miękkie jak aksamit — łatwe do przyłożenia — niekosztowne. Można używać podczas pracy i podczas snu. Niema żadnych pasów, spinek ani sprężyn.

Dowiedz się jak zamknąć otwór ruptury tak jak natura przeznaczyła; że ruptura nie może spaść na dół. Przyślij twe imię i nazwisko dziś do PLAPAO CO., 2593 Stuart Bldg., St. Louis, Mo., po BEZPŁATNĄ próbę Plapao i potrzebne informacje pouczające.



Dobra noc.



# TRINERA GORZKIE WINO

"Zdrowa i Wesła  
jest Rodzina

Używająca Triner  
Gorzkiego Wina"

trafnie mówi pan  
Władysław Du-  
zak, 15 So. 14 St.,  
Pittsburgh, Pa.  
Triner's Gorzkie  
Wino jest lekar-  
stwem dla ws-  
stkich, dla każ-  
dego wieku ka-  
dego dnia. Przez  
34 lata cieszy się  
oni sławą, jest  
najlepsze domowe  
lekarstwo na nie-  
stateczny ape-  
tyt, zatwardzie-  
nia, wewnątrz-  
nościach, ból gło-  
wy, irytacje itp.  
objawy powstają-  
ce z zakurze-  
nia, jadła. Czyści  
no wewnątrz,  
wraca dobry ap-  
etyt, pomaga traw-  
ieniu, sorow-  
dza zdrowy i  
ręczwiałac sen,  
oraz wzmacnia  
cały system.



JOSEPH TRINER'S  
AMERICAN ELIXIR  
BITTER-WINE

1333—1345 S. Ashland Ave., Chicago



Wszystkich aptekach, oraz u sprzedających lekarstwa, gdzie także możecie do-  
stać inne i inne doskonałe lekarstwa Triner'a, na przykład:

Triner's Liniment na reumatyzm, neuralgię, lumbago, (ból w lędźwiach) i sztywne mięśnie;  
Triner's Cough Sedative, łagodzi kašel, usuwa zapalenie; Triner's Antipituit — łagodzi  
zapalenie gardła i do mycia ust, gdy dziąsła boją; Triner's Dental Cream, pasta  
do mycia zębów; Triner's Shaving Cream; Triner's Liquid Shampoo umiękcza włosy i łagodzi im  
płócenie; Triner's Hand Lotion na popękaną twarz, ręce i ostrą skórę; Triner's Headache  
Powder łagodzi ból głowy; Triner's Corn Remedy itp. Jeżeli Wasz dostawca nie ma ani skł-  
adki aptek i lekarstw, piszcie wprost do:

## JOSEPH TRINER CO.

1333—1345 S. Ashland Ave.

Chicago, Ill